

NIETOTA

Dr. Gajewski

WILSON J. BENTLEY & COMPANY
PRINTERS, BOSTON, U.S.A.
1900

WARSZAWA: GEBETHNER I WOLFF
KRAKOW: G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NAKŁADEM KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY
WARSZAWSKICH POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH



NIETOTA
KSIĘSATAJEMNA TATR

TADEUSZ MICIŃSKI



Mic R
Nie
17292

~~119531~~
884-3

Miejska Biblioteka Publiczna
w Zakopanem

8-3 R



0003-014292-00

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza
Warszawa, Nowogrodzka 17.

7/30/2015

*Poświęcam
Rozwojowi Świata.*

I.

WIECZORNE PUSTYNIE.

Mroczne fortece pradawnych Tatr, na których wygrzewa się Król Wężów... wielkie jego cielsko siedem i pół razy owija górę olbrzymkę, zarosłą ciemnym niedźwiedziowym lasem i zakończoną na wirchu lodozwałami nietającymi nigdy.

Król wężów—to piorun i słońce dla jednych, to Życie lub Zły Duch Myśliciel dla tych, co go znają już w sobie. Zielony jad zebrał się grubą warstwą na grzbiecie jego. Przecudna i straszna korona z nadludzkiej męczarni mrocznieje nad szmaragdowymi oczyma.

W dziedzictwo jego idziemy.

W te mroczne Tatry nie z czasów dzisiejszych, lecz takie, jak oglądałby jasnowidzący:

Tatry — Himalaje.

Tatry, u stóp których bezmierne szafirowe morze, zarywane w wielkie skiby fal złowieszczymi uroki Księżycy i Halnym wichrem; fiordów miłosne ręce zapuszczają się w gęstwinę boru, w tajemnicze wgłębienia regli podobnych dziewiczym piersiom olbrzymek.

Tam lodozwały wzniosły się w nieprzystępny dla żyjących Dom śmierci.

Tam rzeki spadają Niagarowemi kaskadami.

Rakszase nocy indyjskich czułyby się tu u siebie, rozpościerając skrzydła gigantyczne na lodowcach.

Pieśniarz Kalewali śpiewałby runy o bogini powietrza i pierwszym człowieku Wejnamojnienie, mędrцу i czarodzieju słów.

Kraina nie baśni, lecz najgłębszej istotności, rozpościera się przed nami.

Idziemy—za cieniem chmur płynących.—

za piórami zagubionymi orła—za echem kaskady tęczącej wśród leśnych wonnych malin.

My cienie—nie widać nas.

My niedotykalni—czujemy jednak pod stopą miękkie ziola. Tchnieniem woli możemy wzbic się aż po obłoki i płynąć w tych jedwabistych karocach.

Zaszło już słońce.

Król Wężów wypęła ze swej piekielnej czeluści. U wylotu doliny wznosi się potężna ściana gór—nad nimi już w niebie śnieżą lodowce.

Chłodno tu. Swobodnie. Olbrzymio-tajemniczo—wśród rozrosłych drzew, z których każde jest kościołem.

Rozsunął ktoś gałęzie limb.

Wyszedł—syn tej puszczy. Patrząc w niego, wierzymy mimochcąc w legendy o ludziach z rasy wyższej pewnego króla irańskiego, zamkniętych wśród gór.

Włosy czarne spadają mu aż na barki.

Strój lekki. Z łusek rybich ma ciżmy.

Na potężnych ramionach, podobnych do grubych gałęzi dębu—mroczy się skóra morskiego lwa z grzywą.

Ten człowiek może mieć lat około trzydziestu.

Zbronzowiały od burz na morzu. Z twarzy jego tchnie melancholia i dzikość.

Tak wyglądali indyjscy bohaterowie — Wężę, synowie króla Wężów w Himalajach, boga Sziwy. Tajemnicę widzieli wszędzie, do tajemnicy modlili się, tajemnicą zawierali swe Tabu miłości, która jawną dopiero stawała się w zbrodni płonących miast, w potężnym huku łamiącego się architrawu w skałach wykutej świątyni — Rameszwaram. Ten człowiek, którego my śledzimy, znużony być musi.

Nie kładzie się, lecz wspiera o pień limby rękę.

Zapewne ścigają go Duchy, jemu tylko widzialne: gdyż twarz mu się kurczy, oczy urzeczone potwornością płynącej na powietrzu trumny—i jeszcze czegoś niewyraźnego — bo wtem runęło ciało na ziemię, ciało mocne jak splot błyskawicy z pniem rosochatym czarnoklonu; ręce rwą koso-drzewiny w rozpaczonym wybuchu.

Tłucze się głowa o skały.

Na włosach czarnych występuje krew.

Z pieniających się ust niewyraźne słowa.

Lecz nie jest to epilepsja.

Ten człowiek wstaje.

Zaśmiał się.

Niebywale dumnie dźwięczy jego śmiech, jako tego co już pokonał Ból.

Straszliwszym jest teraz w spokoju, niż kiedy łamały go burze szatańskiej myśli.

Na głazie nad przepaścią stoi, u wejścia tej rozpadliny wulkanicznej, lawami gorącemi wionącej i dymami, gdzie zniknął Król Wężów.

Do niego pono idzie ów człowiek: żegna się z zielonowłosemi duchami limb!

Mroczniejszą dusza jego zda się, niż to niebo, z którego już zapadło w niebyt słońce.

Krwawe tylko smugi rozpełzły po wirchach, niby światła gromnic.

W głębi przerażającej nieruchomem zdaje się morze, które tam rozbija najśmielsze barki na fiordach. Nie dochodzi jego szum tu na wyżyny wielu tysięcy metrów nad morzem.

W milczeniu bezmiernem wtajemnicza się ten człowiek pustyni.

Dusza jego tu poczynając milczeć—Mówi tym językiem, który leży w głębinie wszystkiego bytu.

Tak mówią limby do skał tak mówił Demiurg do tworzącej się planety.

Tak mówi ludzkie wiecznie nieznane Ja w głębinie swej.

My cienie—niedotykalni, wijemy się za pniami drzew.
Posłuchajmy spowiedzi!

Lub kto wie, może dziwacznej komedyi?

Bo niewiadomo nigdy, gdzie kończy się groza i gdzie zaczyna się ironia w naturze i duchu.

Czasem oskarżamy to, co jest bardzo drogie sercu; czasem wyanielamy to, co dobrze byłoby owinąć kolczatą leśną lianą i rzucić smokom jaskiń na pożarcie.

Nie mówmy—nie mówmy—słuchajmy!

Zapamiętujemy wyznania — ten zuchwalec wygląda na Jazona, który zatopił swój okręt Argo dla Medei lub zdaje się być królewiczem indyjskim, który by wykupić swą duszę z pod gniewu świętego Wasantazeny, stał się grabarzem i musiał pogrześć własne dziecko.

Nie mówmy, nie mówmy—spisujemy oskarżenia.

Bo „wszystko co istnieje— warte jest aby poszło do dna”.

Milczy syn dziwowej krainy, mający wykrętną myśl tego co walczył z Minotaurami—mający serce płaczące rosą.

Milczy on, gładząc limby.

Przygląda się tańcu elfów niewidzialnych. Milczy, bo czuje, że my słuchamy. Lecz patrzcie, nie dba o nas!

My jesteśmy dla niego tylko liśćmi, które wiatr za chwilę utopi w czarnych piekielnych jeziorach śmierci.

Mówi ze sobą twór tych wielkich krain Jasnowidzącego.

Nie dowierzajmy jego słowom łagodnym, uspokojonym: ręka jego nieświadomie zakreśla na korze kilkusetletniej limby znak straszny zgonu.

— Nazwę się przed wami Arjaman. Jestem rybakiem, który w morzu poławia. I przepływam w barce wśród mroków ciemnej nocy, iskrząc kagankiem, wabiącym rekiny pod skalistymi zrębami Tatr: na harpunie mojej nieraz znajduję dziwa, o których ludzie nie wiedzą, chodzący tylko ładami. Jam rybak monstrów, zaiste osamotniony, lecz nie pragnę niczego nad to, iżby duchy jawiły się mi nadal, ślepiąc piorunami, a morze aby szumiało wiecznie, t. j. aż poza kres mogiły, moim dwojgu dzieciom i mnie.

Teraz Wam opowiem zupełnie o czym innym. Jestem nieumiejętny w opowiadaniu, zresztą nikogo z moich nie widząc, mówię jedynie do skał i do paru limb, które nademną się kłonią, do brunatnej leśnej ziemi, na której przed chwilą tak tłukłem głową.

Nie myślcie, że opowieść ma będzie smutna: niczego nie noszę mniej, niż rozpowiadanej boleści.

Owszem, rozraduję moje serce i wraz ze mną Wy,

którym Wieszcza ech poniesie tę opowieść przez góry i morza: wielcy magnaci nie wiedzący, jak czynić dalej ze swym życiem,—lub stróżowani przez halebardników więźnie—
tę noc mogą Wam umilić opowieścią!

Tylko niech kobiety nie spodziewają się, że jestem zdolen być kochankiem, nawet jeśli niejedno będę mógł wyznać o miłości, co nie było dotąd nigdy wypowiedziane.

Limby — pochylcie swe zielone serca w uwadze. Ta try mają duszę wewnętrzną, która wygląda zupełnie inaczej, niżli możecie sądzić, będąc przywiązane korzeniami do tej odrobiny nieurodzajnej gleby.

Mają one w sobie historję Praziemi, mają też klucz, którym roztworzy się Brama Sądu Ostatecznego.

Wspinałem się po tatrzańskich lodowcach nad morzem tragicznie szumiącym, choć niby obojętnem i czarnem; widziałem stwory, pasące się na halach, podobne do tych, które w starym fresku Czerwonego Klasztoru pożerają grzeszników:

wielkie ogniowe siarkany, siedmiomilowe węże z koroną, Antychrysty o 666 żrenicach, które latają nad głębinami, a gdy zasną—konstelacje gwiazd kładną miłosne pocałunki na ich oczach i cały archipelag astralnych ostrowów konieczny im jest do głębokiego rajskiego snu.

Na odkrycie tych i więcej przyziemnych krain naprowadził mnie stary Oreł Sabalecek, mówiący o ziemiach Pana Ofa, gdzie wielgoryby turlają się na trawie, a dziwożeny migają w potokach.

Kryje się ten zwierzyńiec wśród puszczy nieprzebytych, zwiedzanych tylko przez upiorny korowód wiatru halnego—wśród wzniesionych nad pratatrzańskim morzem, wielkich, niby katedry pełne ukrzyżowanego Lucifera, wyklepanych przed wiecznością wież Babelu; wśród niewyobraźalnie

groźnych, niepożytych otchłani, gdzie toną ametysty wieczornej żarzy nad mrukliwym złowieszczącym borem.

Zaiste, urzeczywistniony kraj tęsknot mojej duszy, kraj najtragiczniejszych mroków! Tam usłyszałem na turowym rogu grającego Rycerza konnego (indyjskiego Maga, idącego w świecie ryczących błyskawic Perkuna) i od epoki tego hejnału nie miałem już nigdy ukojenia.

Minęło wiele burz, wichur halnych i szkwałów na morzu, wiele upiornych polarnych nocy zimą —

niejeden potępiony duch, wlokąc gałąź jodłową, wchodził na Zaduszki w me drzwi — —

za smutny byłem, abym się do orlich wirchów uwieść dał kuszeniem: Bądź jako bogowie!

To obrzydliwe reklamujące się, jak kakao Van Houtena, człowieczeństwo, czyż nie ma i we mnie swego Przedstawiciela? czyż nie jestem z równie marnego materiału *fiat!* *pereat!* jak wszystko, co się przewala do otchłani? Skądże więc „hybris“, tak potępiona przez mędrców Hellady — aby się narzucać uczującym Bogom? a choćby nawet—Pustyni?

Limby, szumicie gałęźmi niecierpliwie, nudzi was, że nie opowiadam faktów z mego żywobycia?

Niechaj wam wystarczy jeden.

Znałem kiedyś głośnego w świecie Starca bramina, który się zwał de Mangro.

Mieszkając na wyspach Hebrydskich, wykladał nieśmiertelność duszy i obiecał uczyć potęgi nad światem.

Przybyłem do niego; pogrążony w pracę nad zawilymi kabalistycznymi rachunkami, przygotowuję się do wielkiego dusz kapłaństwa, gdyż naiwnie pojmowałem, że Chrystus objawi się tym zamyślonemu najgłębiej, pracującym w piwnicy magnetycznych filtrów Bramina de Mangra.

Ten zaklął mnie wielkimi ślubami usynowienia, odgrywając przedemną rolę Szekspirowskiego Prospera.

Zaiste jednak przekonałem się, czem są jego dobroczynne praktyki.

My młodzieńcy i dziewice w tej akademii uczyliśmy się na magnetyzerów, aby potem w salach koncertowych, uśpiwszy masy, można było swobodnie operować w ich sumieniu.

Czystość była pojmowana, jako *coitus sine ejaculatione seminis*.

Zbyt późno poznałem, do czego wiodą ścieżki tajne de Mangra, kiedy już ogół nasz był zmieniony w zwierzynę Cyrcei.

Ja ucierpiałem może najsrożej, bo przedsięwziąwszy bunt, przez syna de Mangra miałem być ujarzmiony. Jedna kobieta w klasztorze uwiadomiona, iż dostaję obłądu—istotnie wierząc w „ludzi wyższych“, przybyła zdaleka.

Mnie usypiano kwiatami odurzającymi—ściana przegradzająca w nocy łoża nasze zniknęła.

Ocean tak szumiał, księżyc tak czarował...

I została mą żoną.

Ku niedoli dowiedziałem się, iż była to zakonnica która wstąpiła do klasztoru wiedząc, żem przysiągł sobie nigdy się nie żenić.

Pytałem de Mangrów, w podstępnie tym—jaki był cel? rzekli mi:

iż chcieli wypróbować swej władzy nad ludźmi.

Czemu nie wziąłem kamienia i nie zabiłem? Chrystus patrzył na mnie przez wszystkie zasłony zbrodni i bluźnierstwa.

Minęły od tego czasu lata najgłębszych zwątpień.

Z trudem zdobywałem siłę na przeżycie powszedniego dnia, ona tym więcej męczyła się myślą, iż mnie związała.

W końcu przekonałem się, że de Mangro był tylko narzędziem sił wyższych. Moja przypadkowo wybrana jest ta, którą mi przeznaczyła duchowa Ananke.

Lecz wiedząc o tem, nie mogłem już mieć szczęścia — życie nasze już kąpało się we krwi. Potworny chaos różnych ludzkich zagmatwań zmusił mnie ująć aż tu — na pustynię.

Jak Edyp, zamieszkałem wśród przepaści, szukając rozwiązania tajemnic swej jaźni.

Gotów jestem kroczyć za wszelkiem Objawieniem, choćby ono było wiedzą kaititów, jeśli nie może być wiedzą świętych z Wieczery Ostatniej. Będzie li to jaskinia dusicieli, czy błękitna grotka, gdzie Anieli zanucą hymn Ofiarowania?

Jednego wieczora ujrzałem na chmurnym niebie wijący się Piorun — Króla Wężów: miał koronę z ognia, która mieniła miliardami klejnotów nad mrocznym wawozem w lesie, płomieniała uroczystym, dumnym szczęściem. Trwał on na wirkach sam, odbijając tragicznie mroczną łuskę w złocistych bronzach i w pompejańskim tęczowym od patyny wieków szkłe lodowca — jakgdyby wyklętym, tak — wyklętym był gościem na zbyt ubogiej ziemi!

Któż wie, dlaczego upadł z niebiosów? lub jeśli ojczyznę jego są podziemia — dlaczego wyblysnął z nich? I prędzej, niż okamgnienie, zniknął — zakopał się aż pod samą wezgląb morza — tylko ucichły druzgot lecących daleko hen — kamieni świadczył, iż tam przewiła się Potęga! — — —

Ulegając tęsknocie za mitycznym światem Ornako-wego Wojska, którego Wirnym*) musiał być mój Rycerz, a wzięcicielem Król Wężów — porzuciłem więcierze i chatę.

*) Po góralsku Przełożony.

Wiedziałem, że w chacie zapas ryb suszonych nie da dzieciom mym zaznać głodu, zresztą — że i mój syn już dobrze włada łukiem, mógłby ściągać żeleźcem nadmorskie, dzikie, wysoko lecące gęsi, gdyby nie miłość do skrzydlatego wszechstworzenia, która zapełnia serce moje i moich dzieci.

Oglądałem się długo, mijając rzędy podwórcowych świerków — swastiką odżegnywałem upiory; wiedziałem już, dokąd mam iść — nęcił mnie, co mówię! z siłą niepokonaną przyciągał mnie rzeką mroźną iskrzący wysoko aż w niebie lodowiec, na którego wirchu ujrzałem mityczną twarz Więziciela...

Nastał zmierzch, wszedłem między wąwozy, zarosłe wysokimi kształt gotyckich kaplic fioletowymi kwiatami. Kiedym już szedł na ogromnym wzniesieniu — w przepaści szumiała rzeka, wełniąc się mętną wiosenną pianą.

Kiście wonnych kwiatów lila
w niewiadome tchną regiony —
ciemny grób się tu rozchyła
w zmierzchach rosy zblękitnionej!

Tam — jak harfa wyżnich czynów
z gór się wełni potok siwy — —
idę szukać paladynów,
hufiec mężów, dotąd żywy!

Lecz nademną wieczna góra
lodozwałem zimnym jarzy!
w grotach oczy lśnią Ahura —
władcy grobów i cmentarzy!

Na wysokie szczyty Himalajów idzie się całe miesiące— o ileż dłużej iść muszę ja na te góry, zapewne wyższe od Himalajów!

A teraz opowiedziawszy wam o poszukiwaniu nieśmiertelności duszy pod wodzą bramina de Mangro, muszę wam wyznać, iż znalazłem istotny świat mistyki.

W głębinie ludzkiego jestestwa kryje się wiedza, która uczy iść przez labirynty świata.

Tak idąc, natrafiłem na Atlantyde, zatopioną niegdyś przez ocean, i na Lemurję, spaloną przez wulkany i trzęsienia ziemi.

Natrafiłem pradawną świątynię nad fjordem, przy którym rosły lasy wysokich drzew, podobnych do naszej, drobnej obecnie, roślinki Nietoty.

W tej świątyni, w lesie, stał posąg złoto-rozświetlonej Pani, który był jednym cudem niewysłowionego piękna.

Zapłonąłem, jak lampa w świątyni, bezmierną adoracją.

Byłaż to Matka Boża? byłaż to oblubienica Szatana Niedokonanego, który błądzi w straszliwych kraterach księżycy pod bezgranicznem milczeniem przestworzy?

Wtajemniczyłem się w uczucia bardzo górne i tak śródgwiazdne, że aż nieprawdopodobne.

Zwiedzałem w jednej chwili olbrzymi krąg istnienia po to, aby przynieść mej, wewnątrznie złotej, lecz we włosienicy i ze stygmatami, Pani —

jakiś nenufar z jeziora Rakszasów uszczknięty, lub talizman z berylu, który nosił król Salomon.

Stawałem się Jasnowidzącym.

Żyłem już na antypodach wszystkiego, co biedne, zrobczywiałe ludzkie serce uważa za niewzruszalną dziedzinę swych cnót i przywilejów, szukając „Boga” drogą bestjalstwa i lisiego chodu.

Wstąpiłem na drogę jedyną — Jaźni.

I zaiste, wraz z wielu świętymi i mędrkami na świecie, dosięgnąłem góry Meru, gdzie już na wirchu są indyjscy bogowie i dawne wielkie tytanobogi Hellady, prażywiolowy Światowid, oraz Druidy i Guślarze słowiańscy — wtem, kiedy już miałem kroczyć ku Ostatniej Wiedzy —

ujrzałem biedną dziewczynę żebraczkę, która zamiast oczu miała dwa krwawe oczodoły.

Lecz twarz jej była piękna i cicha.

Litość niezmierna wstrząsnęła mym sercem. Wziąłem ją za rękę, powiodłem ku leśnym kwiatom, grałem jej na harfie — i ona zaczęła mnie uwielbiać, jak samego Indrę.

Wkrótce jednak obmywszy oczy źródlaną wodą, obmyła tak dokładnie czerwieniejący je dotąd karmin, że spojrzała we mnie wielkimi błękitnymi oczyma z tysiąca i jednej nocy.

To jednak odzyskanie wzroku przypisała czarom miłości — i ja, naiwny, uwierzyłem w to.

I nie opowiem wam nic już nadto, iż ta litość nad istotą, której ludzkie jakoby wypalili wzrok, doprowadziła mnie wkrótce do czynów szalonych.

Znalazłem się w więzieniu i miałem być rozstrzelany. Lecz w nocy ujrzałem cudne zjawisko: jakaś moc wzięła mnie za rękę i wywiodła skrytem wyjściem podziemnem, a potem jarem leśnym. Tam rzuciła mi się na szyję żebraczka, która była niczem innem, jak możną czarownicą — i jedną z cór Króla Wężów. I księżniczka Azudem (bo tak się zowie) dała mi zaczarowany sygnet. Powiodła mnie w jaskinie świetniejsze, niż tysiąc i jedna noc w opowieści Szachrzadé. Wśród przesycień haszyszowych rzuciłem pierścień do wulkanu. Jaskinie cudne zmieniły się w ohy-

dne gliniaste, ropiejące wnętrza. Zamiast córki Króla Wężów kapiała tylko wilgoć ze ścian. Jedyłą prawdą było więzienie mej duszy. I byli tam ludzie uwięzieni. I przebyłem tam nie wiem ile wieczności.

Aż raz jednego rzekłem sobie, iż duszy niema — i naraz poczułem się wolny. Wyszedłem z tych murów. Natrafiłem znowu na miejsce, gdzie był Posąg Mistyki, lecz mroczny już i bezgwiazdny. Podbiegłem i rozbiłem młotem tę dawną, najwyższą moją świętość. I wtedy stała się rzecz najstraszliwsza: siłą niezmierną odrzucony, zleciałem z przerażającą szybkością po oślizgłych lodowatych ścianach głową w dół.

Ocknąwszy się z omdlenia, ujrzałem znowu tylko moją chatę, lecz z wyrazistszą nędzą, z coraz okropniejszym jękiem nocy jesiennych, z myślami, które już czekały na mnie wybladłe, trumniane, bezzaradne, pełne płaczu tak okropnego, że gdyby poradziło co rozpiąć się na krzyżu — z pewnością bym to uczynił dla znalezienia Utraconych Duchów i zgaszenia na wieki mego niemogącego skamienieć Djabła, t. j. serca.

Możecie wyobrazić, o limby, ile musi być wężów w tym biczu sumienia, które mi każe znowu szukać wejść do Ornaków.

Powiedziałem, że imię moje jest Arjaman: tak mnie nazwali indyjscy cyganie, wróżący mi z lotu ptaków.

Mówili, że jestem wcieleniem jakiegoś indyjskiego króla, czy fetysza; lecz ja chętnie ich obdarzyłem rybami i kilku lśniącymi ammonitami mimo tego kłamstwa.

Zaklęli mnie, abym nosił swe miano, jako talizman — i abym nigdy nie pokochał kobiety, że taka joga mnie doprowadzi do Źródeł Bytu.

Tak minęły znowu lata w oczekiwaniu.



Rozebrałem się ze wszelkich złudzeń, ze wszelkich pozorów — aż do nagiej duszy Pra-Indjanina.

Od świtu Jarego do wzejścia gwiazd, uważając siebie za zwierzę ziemi, chodzę wobec wszystkich leśnych parawanów nago; w pustyni nocy odnajduję w sobie powinowactwo z najdalszemi gwiazdami, niema dość wzniosłych Cherubimów, nad którymi nie byłbym wzniesiony, zwędrowuję na jakichś skrzydłach tysiące otchłani — nie mogąc potem przed sobą samym wysłowić ani jedynej z tych zaklętych tajemnic!

Życie moje zewnętrzne stało się zato melancholją mogił wraz z Dantejskim nastrojem i hyjenami.

Muszę wiedzieć nakoniec!

Muszę znaleźć nareszcie moje rozwiązanie bytu:

muszę zrozumieć, czy jestem z tych cieni, które niszczy Król Wężów w swych potwornych jeziorach, czy jestem nieśmiertelny —

czy dosięgnę Purana Bhagawat!?

Limby, wam nie będę tłumaczył wyrazów tu nieznanych, które mi brzmią głębiej i wznioślej, niż te, które są już, jak otoczaki wyokrąglone, a jak wulkaniczny tuff—wyżłobione i puste, dzięki nadużyciu ludzkiego jęzora.

Tak więc, powtarzam: muszę iść i znaleźć moje najwyższe Purana Bhagawat. Myślicie, że to będzie smutne jakieś misterjum? Bynajmniej, jeśli nie Wam — to sobie muszę dotrzymać opowieści o bezgranicznym wielkim Szczęściu.

Otóż winneście wiedzieć Wy, których ród ginie już po mieczu i po kądzieli, że tam wysoko w górach natrafiłem na wielki odwieczny las limbowy, który wcale wyginać nie

miał zamiaru; w tym lesie znalazłem krzewy górskich rododendronów [bardzo ukryte są, upewniam Was]!

Za lasem tym była mała wioseczka, którą ominąłem, dziwiąc się, że na takiej wyżynie ludzie mają bezczelność zakładać swą powszednią egzystencję.

Ominąłem wioskę zdaleka, kryjąc się gałęzmi, aby mnie czyje złe oko nie urzekło.

Wszyscy ludzie mają złe oczy, nieprawdaż? (mnie nie potrzebuje się lękać, ja nigdy nie uważałem się za człowieka)!

W dali za wielkimi głazami ciągnęły się hale, na nich zaś rosły kwiaty różowe, zasłonięte pajęczyną, zakryte, jak mniszeczki w żywym grobie, który same wyprzedły.

Usłyszałem kroki idących górali, na noszach kobietę leżącą nieśli z tych gór niżej ku wiosce. Wiedziałem, iż wieś ta była kumańska: są to rozbitki z dawnych połowieckich kucz, niegdyś tu chrzczeni przez świętego Jacka, przez którego ułożony słownik języka Kumanów zachował się dotąd w Podolińcu. Lecz ci górale kumańscy byli pijani—nosze chwiały się w ich rękach, oni zaś przeskakiwali głębokie zleby, nie dbając, jakie wrażenie na leżącej wywoła ich tępy, choć zawadjacki chód.

Kobieta skinęła ręką i wyszła z noszów. Nie miała pono sił iść, więc usiadła między bożym zieleń. Chłopy rypnęli ku chałupom. Nastąpiła cisza.

Nie zbliżałem się.

Miłosiernicy wyszperowują niedolę, niby ukrytego świasta, aby jego sadłem wdzięcznym natrzeć swą zazwyczaj morskowatej grubości skórze; któż wyleczy powszechną ludzką udrękę, pochodzącą z tego, że się związało duszę w wielki gordyjski węzeł głupoty? czyż miałem takiej, co znalazła się nareszcie sama w mroku pod płomieniami gwiazd, przysu-

nać fotel i zapalić elektryczne światło, ofiarowując interesującą pogawędkę? Ze zdrady, jak mówią górale, czyli niespodzianie spojrzawszy na nią, ujrzałem, że jednak powoli sama uniosła się do wpół — głowę wsparła o głaz, patrząc w lodowce. Od guślarstw wschodzących gwiazd ożywiały się, jak cmentarz w noc Zaduszną.

Jeden różowiał zacisznie ogrodem Hesperyd. Lecz drugi w straszliwych rozpęklinach, nastyrmiony miastami lodowymi, z monolitów tworzyły się wieże, kościoły, posągi, to znów demoniczne wielkie skrzydła Ponurego Myśliciela...

Na bezmiernej katedrze zatrzymały się gehenniczne duchy, błyskając srebrnymi lancami: Walkirje słowiańskie — może te, przed którymi ostrzegał Słowacki:

„Kyrie elejzon, Kyrie —

nie żonę mieć przy sobie, lecz Walkirję!“

Ciemność wychynęła z niepojętych czeluści, zakryła ziemię, kwiaty otuliła na magnetyczny sen.

Trwało to nie wiem ile czasu. Tonąłem, jak Ogień, w kontemplacji tej skamieniałej walki Bogów. Gwiazd zamarzę upiory, wróciwszy z Antarktycznego morza, olśniewały górę, każdą inaczej, jak odrębne, nie wiedzące o sobie planety. Wreszcie wzniosły się nad krawędzią otchłani, spoiły wszystkie mroki w jeden bezmierny, milczący, piekielny kościół.

Niżej w dolinach płynęły mgły — i było tak, jakby Tatry zmieniły się w morze łąz. Duch mój zapadł w zimne prawieczne kryształy lodowca, w mroźną gigantyczną tajemnicę ziemi. Lecz daremno rozglądał się twarzą srebrną w witrażach lodozorza, szukał wyjścia z wiecznie płaczących grot mieczem Parsifałowego rycerza — grał na wielkiej harfie tysięcy podziemnych potoków — zagłębiał się w coraz nową kondygnację męczarni i nienawiści — —

Mrok. W miejscu zgaszonego kościoła kłębiła się niewiadoma ćma nicości. Wtem z lodowca wypłynęła łódź płomienna —

to księżyc! Krwawił — umierał życiem swym nadziemnym w ziemi czeluściach. Nikt go nie wysłuchał w żadnym z wszechświatów.

I wspomniałem o Demonie, przez Króla i Maga Salomona zamkniętym w urnie, rzuconym na dno morza. Przez pierwsze lat sto obiecywał królestwa temu, kto go wybawi z pod władzy zaklętych pieczęci; przez dalsze lat pięćset chciał uczynić najszcześniejszym z miłujących; minęło jeszcze lat tysiąc—gotów dopomódz w niezgłębionej mądrości i nauce; wreszcie zerwała się śpiżowa struna jego cierpliwości, przysiągł, że tego, kto go wyzwoli — najokrutniej i najbezwzględniej zabije! Biada rybakowi, który nie w porę wyłowi takiego geniusza! biada — kto zbyt późno wyzwoli samego siebie! Względem siebie musi dotrzymać takiej przysięgi i unicestwić!...

Niegdyś mogłem kochać każdego boga—nawet Satyra, nawet Kriksztasa na żmudzki krzyżu!... minął ten czas, kiedy wzbierałem, jak morze, przyplływem i odpływem niechybnie ku temu, czego Niema. Moje serce było nieraz potratowane przez stada pekarich! i ja deptałem podkowami mego konia, druzgotałem, miażdżyłem — i gorzej: nie wiedziałem nic o innych sercach. Jestem już nieczuły nawet na grozę, gdybym ujrzał ziemię w jej nocy ostatniej istnienia — nie żałowałbym piękności jej, nie miłowałbym nawet w jej Euthanazji.

Jakże mógłbym się troskać o królestwa i wszystkie istnienia—ja, który nie mogę mieć już miłosierdzia dla własnej duszy? Rzuciłem ją w głęboki Malsztrem, skąd wypłynąć nie można już na żadnej beczulce sofizmu, na żad-

nej, choć pękniętej, łódce Wiary. Malsztrem jest koniecznym zderzeniem dwóch prądów pod morzem mej duszy: Wiedzy, że jest Jaźń! Wiedzy, że będzie Nicość.

Najluciferowszemu myślicielowi wystarczy trzy cale wody nad głową; dla labiryntu duszy wystarczy, jeśli się go zawikła na balu u miłowanej panny, którą Djabeł żenie...

Bo nie powiedziałem wam dotąd, limby, że kocham się w realnej księżniczce Zolimie bez wzajemności. Co, wyście się domyśliły od razu — zanim wyrzekłem pierwsze słowo mojego snu o córce Króla Wężów?

Uważcie, limby, zanim was porąbię i w ogniu spale, aż będziecie jarzyły w dymach, jak krwawa litanja o pomoc dla konających —

uważcie, że Was nikt nie wyratuje z obłądnego morza męczarni! — — —

Czy słyszałyście o takiej torturze: w Perejasławiu sadzano skazanych na wąskiej ławeczce wysoko na wieży i zmuszano ich tak przebywać kilka dni—kilka nocy: z tej ławeczki lada zmrużenie oczu, lada osłabienie ramion zwali w dół na czyhające straszliwe żelazne ostrokoły.

— Moja Pani, rzekłem.

W Nieznaną jakby strzeliła iskra elektryczna, duża przynajmniej na metr—taka, jak to umieją niektóre ryby morskie puszcząć! Kosodrzewiny, nagięte pod jej nogą, wyprostowały się, niby w lasach hodowane święte litewskie węże.

Zaczęło się mówić o Tatrach i giencjanach modrych, o zbitych ze stepowego bodjaku i ostu kulach, które gnane wiatrem, skaczą po ziemi jak zające, lub w powietrzu wiatrem niesione ku Morzu Czarnemu; wreszcie o Kamczatce, na której ona była jeszcze małą dziewczynką, towarzysząc wygnanemu ojcu, i wywnioskowała, że Sybir — to już nieodzowna część i najlepsza Polskiej Ojczyzny; opowiedziała

mi też o swym przodku, hetmanie Wychowskim, wbitym na pal przez Polaków — i o tym, że kiedy córka Mickiewicza prosiła ją, by usiadła w altanie Ojca — ona odrzekła, że tu należałoby uklęknąć, a nie siadać...

Trudno wyłożyć, lecz jeśli mam to wyrazić jednym określeniem i dla Was, o limby, zupełnie niezrozumiałym — powiem Wam: Polska... taka Polska z krzyża.

Czy rozumiecie, limby, jednak takie skamienienie duszy, która może się z męki na krzyżu wysmiewać?

Więc spytałem, czy taka Polska jest to Jaźń lub raczej Gnoza wewnętrzna — to, co u górali nazywa się gościec? Gościec chce, aby coś uczynić — trzeba wstać choćby w nocy i zaraz rwać kwiaty, nosić wodę, poświęcić duszę Panu Jezusowi, lub włamać się w dom swej Srebrnej Salomei — inaczej Gościec połamie człowieka, potardze na nic! Ma więc to być istotna prawda lechickiego człowieka w stosunku do jego ziemnych przeznaczeń — prawda nie tylko rozumu, lecz i całej nieświadomej Misyi?

Ona odrzekła: Dla mnie — tak. —

A więc, taki nawiedzony tym gościem polskim musiałby, jak wy, limby, znajdować się przy samym ołtarzu prawdy, głowę mieć w niebiosach, jednocześnie wrastając w czarną cmentarną glebę, która nas karmi. Śmiałby się do słońca na cmentarzu! wysyłał z każdym wietrzykiem swe bursztynowe pyły! i węzowymi skrętami strasznie opierał się burzy, rozkruszał cierpliwą swą macką — granity! Jeżeli zaś ten polski gościec w życiu okaże się inaczej: jako sam środek wnętrza pajęczyny, gdzie Dusza-pająk wyczekuje na ból, aby z niego wyssać — poetyczność?

Tak myśląc, choćby tylko jednym włoskowatym narzędziem mojego mózgu — już pozbawiam Duszę polską

Prawdy — Poezji — — — i Bólu. Jakże więc Polska mogłaby zmartwychwstać z takiej Duszy?

W niewiadomą toń spoglądam, w której bujne zielska melancholji, przezroczyście mątwy tęsknot, czarne sepje złoczyńców, namiętny tropikalny ogień wulkanu wśród potwornej macierzy oceanicznych głębin — i daleki tułacz księżyc, wieczny wędrowiec...

Dusza nie da się wyrazić morzem. Są w niej pustynie, wśród których bywa Chrystus kuszony przez Monstrę; są w niej żywiołowe pramoce podziemne, które jedne warstwy tak nałożą na inne, że na wirchu góry bywa płat pramorskich liljowców i radiolarji, gdy w dolinie uległy się granity, albo popiół wulkanu, który dawno już zagaśł.

Ani przez pustynie, ani przez góry, ani przez morze, ani przez gwiazdy, ani przez sny, ani przez myślenie, ani przez milczenia, ani przez miłość, ani przez tęsknotę, ani przez wiry zwątpień — Dusza wyrazić się nie może. Ani przez to wszystko razem wzięte. Ani przez Boga, unoszącego się nad tym Chaosem ciemnym. Ani przez Lucifera, który zeszedł w otchłań, o której Bóg zapomniał. Ani przez wszystko, czego jeszcze wśród licznych tysiącoleci myśl ludzka się dowie. Jest to światło, przechodzące w straszną wieczną ciemność. Jest to zapomnienie zupełne, że się jest światłem. Jest to konieczność być wszystkim w tej próżni, gdzie niema niczego, prócz kłębiących się męczarnianych smug. Jest to najdumniejsze zgodzenie się rachunku wszystkich wieczności, w którym wypada wyznać, że z całego skarbu na dnie zostaje — nicość.

Nazewnątrz ma to wygląd wcale nie rozpaczny, można być wysokim i rozrosłym, jak poskramiacz słonecznych koni, nieużyty przez rozpustę, — —

śmiejącym się z każdego złożenia w grobie. Męczarni

taki nie zna! Nim wejdzie ona za próg, strzela męczarni w łeb i kładnie ją trupem. Lecz taki Witeź smokobójca może mieć nietylko jedną piętę do zranienia, lecz cały jest jedną raną tym, że istnieje: narodzony nie z tych, nie tak, nie wtedy, nie tam, nie na to, jak to spodobało się zrobić miłemu Figlowi. Na pociechę zostanie takiemu Witeziowi tylko metafizyk, który rozumuje tak:

— Czymże jest król Asoka wobec dobroci mojej? i król Hammurabi wobec sprawiedliwości mych? i Orfijski pieśniarz wobec miłości mej? Wyszedłem z miasta zadżumionych, z wielkiego rodu niespokojnych, ze spuścizną marnotrawców, z błogosławieniem zmarnowanych, z wieczną pustynią niemiłujących. Gdy zanurzę ręce me w ziemi — ona zaczyna płakać; a kiedy położę ręce me już nie na gwiazdach — ale na prostych uczuciach — one opadają w zamieci liści zrobaczywiałych; kiedy podejść z przysięgą Bogu, — zawsze ją złamię; kiedy wezmę miłość — to na to, aby żelaznemi szczypcami drzeć pasy i cienkim sznurkiem przekrawać ją wzdłuż i wszerz, męcząc, jak Iwan Groźny w podziemiach — gdzie schodził dla nabrania apetytu.

Światło w ciemnościach świeciło, ciemności nim owładnęły!

Wóz Wielkiej Niedźwiedzicy zanurza się już do połowy w Tatrach zamglonych, które są jakby sonatą, niewygraną przez żadnego Ahura. Bramą wstępną Tatr te dwa odębne, a równie nieprzystępne lodowce.

Wiecie już, limbki, że w tych górach są osady Kumanów, i że władca krainy wśród innych tytułów nosi tytuł Rex Cumanorum. Uczni Akademicy ze świecą szukają sławetnego zgubionego szczepu, aby nie uszczuplić o jeden tytuł regaljów Jej Apostolskiej Mości! Otóż w języku tych

Kumanów różowiejący lodozwał nad lasem limbowym i rododendrami zwie się ogrodem róż; ten potrzaskany, jak twarz Lucifera, zwieszony potworną, prostopadłą, wyszlifowaną ścianą nad morzem, wpatrzony tam w jakąś okropną, jedyną wartą zamyślenia tajemnicę—to ogród Śmierci. Tu stanęły niegdyś hordy Alaryka, może na chwilę zapominające o skarbach Rzymu wobec tego wybrylantowanego tajemnicami Piekła!

W lodozwał, tchnący majestatem zgonu, wpatrywała się kobieta, jam wolał ten drugi lodowiec słowiańsko-indyjskiego Haremu. Muszę wam wyznać, że mój przodek był pierwszym perskim tłumaczem w Polsce mistycznego poematu o Jussufie i Zulejce. Nieraz też objawiał się mi duch mego ancêtre moslemińskiego, o którego zresztą tyle dbam, co i o samego Rolanda: tak mało ważę wszelkie przywileje rasy, mając zamek słońca nad bezgranicznym, dyszącym wielką opowieścią, morzem.

Mówicie, limby, że to jest pycha?

To jest dopiero tabliczka mnożenia rachunku nieskończonościowego Duszy. Lecz i wy ją macie? więc zaświadczyć o niej! —

Ujrzałem twarz mej sąsiedzicy, w tej chwili zaiste wieszczą.

Myślicie, o limby, zem wypowiedział się z moich poszukiwań Miłości? Wiedźcie, że mam 9 komór milczenia w swym sercu, trudno je wypełnić naraz, i dlatego nie tonę.

Miłuję Miłość — jak Dante, choć już nie wierzę, że obróci ona ziemią i gwiazdami; w dawnych, dobrych czasach romansu Róży usadziłbym miłość na wielbłąda i krokiem alexandryny, sloki czy heksametru wiódłbym ją, grając na flecie. Mówiłbym do Miłości przy jaszczurkach w południe, orłom nad wieczorem, duszom o północy, sło-

wikom mdlejącym o brzasku; wiódłbym Kobiętę-Mesjasza do tej jaskini w dalekim podbiegunowym kraju, gdzie męczy się Loki, zły tytan i wąż kapie mu jadem w obnażone serce.

Lecz żyjemy w czasach srogich, nieprzyjaznych dla życia duszy. Zapytałem Wieszczkę lodowców, jaką mi radzi wybrać drogę, aby zająć jak najzawrotniej i znaleźć miłość Giocondy księżycowej na najwyższym kręgu astralnej wieży magów Zigurat? — — zachrobotaly kierbce na kamieniach, zjawilo się kilku Kumanów, przepraszając Panią tę za nieuwagę, položyli ją na noszach i ponieśli.

Miałem iść wraz za tą Damą? Wszakże to nie było porwanie mojej wybranej, dla której zdobycia mógłbym wnieść Krywań na Lodowym i Kościół Panny Marji Krakowskiej umieścić jeszcze, jak kapliczkę, na wirchu!

Wieszczka nie powiedziała mi imienia swego, ani zamieszkania. Zrozumiałem, kiedy ją odnosili na noszach, że była jakąś wielką Panią. Mówiła ze mną tak, jakby z ogrodnikiem, który strzeże tych azalijek — jednak sama wybrała królestwo, gdzie nawet porosty przestały oddychać na kamieniach wśród wiecznej polarnej zimy Lodowca Zgonu.

I oto patrzcie! wywlokła się za mną olbrzymia chmura, a w niej kołysze się umierający łabędź: tęsknota za Polską!

Jeśli tak wesoły ma być ten gościec Polski — to lepiej odrazu w ośmiu buddyjskich pieklach mroźnych założyć hodowlę jedwabników. Polska tej Wieszczej Mary wyrasta z życia, lecz wznosi się nad nim — jak Bóg nad swymi karnodziejami. I zapewne wchłonie cały smutek niedorzeczny obrazu, gdzie Dziecię Jezus idzie wsparte na lwie, obok wesoło hasa zrebie, wół wyciąga poczciwą głowiznę, a tygrys śpi snem dobrego pasterza na trawie. Ideał pewnych ma-

rzycieli przedstawia moment zapewne po uprzedniej laparatomii, gdzie wnętrzości zmieniono wszystkim dwu i czworonogom, z wyjątkiem pijawki — tej wolno żłopać w najlepsze krew, idącą z krzyża — zaś krzyż, to, jak wiadomo, rzecz „bardzo dobra — ino, wicie, ciężko jest temu, kto go ma dźwigać!”

Być może, iż tego, co już najwyższe, niema kto rozpiąć na krzyżu! —

Zapusiłem się w wielką prerję traw—i—o wstydzie!— zacząłem schodzić ku jakimś błękitniejącym powabnym dólom. Winne były temu złowabne nimfy w postaci świerszczy, które mnie wiodły wciąż w swej kompanji śpiewackiej, bardzo rade z tego, że ich łachocą skrzydełka. One mnie namówiły, abym się zwierzył, mówiąc, iż człowiek w języku pralechów znaczy dźwięczną mowę mający...

Tak pochlebiając mi, zaprowadziły mnie z wyżyn milczenia na te pogwary jaskini nadmorskiej, gdzie zasnę wnet wśród leżących kupami alg, wonnych od jodu i od słonych powiewów morza.

Zresztą i rozum nakazuje mi wejść do jaskini, bo Tatry zmieniły się w jeden huragan — pioruny biją i zaczyna mi być prawdziwie dobrze.

Zasnę snem 40-tu młodzianków w piecu ognistym.

I widzicie mnie teraz, o limby, zabłąkanego w puszczy mego ducha tak, że ledwo kilka tych myśli mogłem wysnuć, obiecawszy słuchaczom wśród ciemnej nocy szatańsko wiele — jakąś Mahabcharatę Tatr!

Lecz tę wygwieździ wam noc, wyprorokuje księżyc, wyhuczy wiatr, zachełbi nią Morskie Oko, zimnymi palcami wykołącą ją u bram Umarli.

Moje skały — Wam poprostu powiem: nigdy w życiu niczego urzeczywistnić nie zdołam, i tę miłość, która tuła

się po dziewięciu dantejskich kręgach mego serca, będę musiał strącić w otchłań. Kobiecie jej nie oddam, gdyż każda jest Nietotą, lichą rośliną, pokrewną Lepidodendronów, na której jednak rozpryska zawsze kosa mojej metafizyki; Bogu nie — gdyż jest to malarz swej własnej bezczci: El pintor de su deshonra — malarz, który w ludziach wymalował swą odwieczną infamję: jest On zły, mściwy, narzucający się ze zbawieniem, nie pomagający nikomu, i jak fakir płynie na lichej tratwie przez swe najgłębsze nicości: nie dziw, że co chwila znika nam z oczu!

Miłować nie mogę niczego, prócz bezmiarów, niezapełnionych jeszcze krzykiem żadnego okrętu Argo, żadnej karaweli Wasko de Gamy, żadnego aeroplanu, żadnego podwodnego statku, uwięzłego w Bizercie.

Tam — wieczne tam — bezdroże jedynie miłuję!

Wieszczka Lodowców powiedziała mi, streszczając swe wrażenie:

— Arjaman nie uświadamia nic, zapomina o wszystkim i nie umie wyciągać wniosków z niczego. —

To straszne, nieprawdaż? Przypominam, że w kajucie rozbitego okrętu czytałem powieść o księciu, zwanym Idjotą, wprawdzie to był wcale nienajgłupszy z ludzi!

Także i Don Kichot, kiedy wyzdrowiał na łożu śmiertelnym i puścił się w nową podróż — to zadziwił nawet Sanczeza Pansę swoją roztropnością! Może będzie tak i ze mną. Tymczasem moja mądrość polega przedewszystkiem na tem, że zdala żyję od ludzi, bo inaczej byłbym przez nich odrazu strąconym aż na dno. Wywędrowałem do takich krajów, gdzie wogóle już nazwa człowiek staje się nonsensem.

Milczeniem bezgranicznem zakończyła się ostatecznie rozmowa Arjamana z limbami.

Ten szukający Wtajemniczeń nie domyślał się, że jego spowiedzi wysłuchuje najgroźniejszy tyran, najzręczniejszy Proteusz, najbardziej nieuchwytny wróg Boga w Tatrach!

Trismegista — Król Wężów, który oddawna już rzucał na duszę Arjamana swe trujące mroki...

Arjaman wyszedł z groty nad morzem wśród jarów Lodowca Zgonu i szedł kędyś po ciemku.

Deszcz ustał.

W smętnym mroku ginęły za widnokregiem krwawe żarze księżycy.

Wydawało się, że to już zmierzcha Kosmos: niezmierna melancholja zaprzepaszczania się natury i serca! Arjaman uczył się zawieszony w jakiejś pustce bezkresnej, jak Szymon Mag.

Wzięła go nieprzeparta ochota zejść znowu, lecz już ostatecznie w rozszczelinę wulkanu, gdzie żył Król Wężów, i zakolatać tam do bram śpiżowych.

Wtem uczył mróz, jakby tysiące macek głowonoga. W górze zawieszona głowa demonicznego Węża ze szmaragdowymi oczyma—niżej zaś otwarta czeluść do straszliwego jego Zamku.

Arjaman ujrzał, iż niema już innego zejścia z wysokości niezmiernej: wyjące wzburzone morze wydawało się z tych wyżyn jeziorem, śniącym w jesiennej topielic kołysance. Głos jakiś wewnętrzny szeptał mu: wytrwaj jeszcze — bliskie zbawienie twe!

Lecz upór zwątpienia, rozpacz wieloletnia i poczucie zemsty przeciw własnemu losowi zwyciężyły.

Jak księżyc walący się na ziemię, zasepiła całe jego

jestestwo decyzya Złego. Arjaman przeszedł most wiszący, który złożony tylko z trzech lin, chwiał się nad przepaścią potworną.

W dole wyła rzeka.

Krok jeden wahania strącał w bezdno.

Arjaman wszedł do jamy Króla Wężów.

Był rad, iż odrzucił za siebie tęczującą Maję — i że teraz iść będzie w Mroku nieprzejrzanym, lecz tryumfującym na wieki i będącym jedyną Prawdą.

W dali niezmiernej opuszczonego świata zabrzmiał turowy róg —

potężny hejnał rozlegał się wśród skał, jakby wspaniały grający pan Zawisza Czarny jechał do zamku swego pod Łomnicą.

Potężny hejnał Polski przyszłej — indyjskiej, runął na możne, lecz tak niepojęcie rozpaczne serce Arjamana — zapuścił w nim zołotostrunne szpony — zbroił w tarczę ze słońca, przekuwał w Miłość, ubierał w szyszak, dawał miecz wiedzy —

Arjaman dawniej poczułby się w każdej łacie swego pokruszonego serca — Wojownikiem Istnienia.

Lecz było już zapóźno. Wyjścia znaleźć nie mógł. Więzienie nad nim się zawarło. Podziemia potwornej grubości oddzieliły go od świata. Był więźniem Króla Wężów.

Błąkał się w strasznych labiryntach, a jedynym głosem był puhacz, który zdawał się śmiać szyderczo —

i echo w duszy Arjamana mówiło:

nigdy już!

E C H O H E J N A Ł U .

Tatry! wy niezgłębione otchłanie Prawiecznej niewiadomej Duszy!
strażniki piekła mego, grozicie krawędźmi skał!

Księżyc tu mnie rozskrzydła i więzy moje kruszy,
tu idę w Dantejski szaf!

Tu zapada wzrok mój w czeluście Gehenny,
szumią nademną puszcze olbrzymiej Nietoty;
Murań w koronie, jak Sezam tysiącpromienny,
obłoki lotne — hufiec Cherubimów złoty!

Tu jestem z mą zagadką... (wóz bohatera wspiął się na mury prze-
[znaczeń!) —

Wchodzę w ciemne komory, gdzie złoto krwi pleśnieje w cieniu...

Mam tysiąc zamków, a każdy jest księgą coraz głębszych znaczeń —
i żyję w wiecznym płomieniu.

Rozwieram bramy Ornak — idę w tych grot kolumnady...

Hejnałem mógłbym zbudzić Królowę i jej wojowniki —

lecz mą harfę oplotły straszne dziwne gady,

które już znał Herakles... Księżyc, jak wieszczcy Walmiki,

świeci w toń moją — — w toń morza... Tam wirch zdruzgotany
dawnego Boga — — —

— — — — — Polska zginęła w przepaściach, szła na takie
[słońca,

wywidła z raj — tak wielką miłość ku Mroczni niezbadanej,

że teraz musi — Nike tęczująca,

rozwiawszy pióra, lecieć w Wiecznych Burz płonący stos,

na gór tych najwyższy wirch... tam ujrzy Drogę Jedyłą z niezmier-
[nej oddali,
tam już Jej niedosięgnie maczugą zły, potworny starzec — Los,
tam pójdzie w mroku bezmiernym i Wiedzę ostatnią wśród gwiazd
[wykryształili!

— — — — —
Z tatrzańskich źródeł wyniosłem wam pieśń — niech idzie!
nie wierzę już w naród, który mogiłna żre pleśń —
lecz wierzę w wirchy Świateł, większe od gór Hiamawatu!
Z doliny nędzy — — gór wschody ku słonecznej wiodą was Izydzie...
miljony gwiazd w tym Kościele zaiskrzą całemu wszechświatu!

Tam zorze Sybiru, katorga (w krainy te wwiódł was Anieli!)
lecz mórz mojej rozpaczy nie zwiedzał nigdy Jan z Kolna, —
gwiazd mych nie mierzył Kopernik! w milczeniu wiecznych wierz-
[chołków
odkryłem Wam ten kraj, gdzie tylko dusza żyć może tam wolna,
mroku mojego nie zniesie czerń błotnych pachółków.
Lśnią karawany słońc! — wciąż wyższe — promienistsze słońca!
Na wolność!...

— — — Mam wyznać? ludzie zdają się mi glisty
marnemi, które świdrują moglię...

— — — Mam wyznać?-trzeba im chlewu, a nie gór z dyjamentów!
żadna pierś nie zdoła oddychać tam, gdzie duch wieczysty
wyszedł z swych urojeń, ambicyj — i trwożnych miłosnych zamętów.
Mógłbym z terażniejszości szydzić — i strącać kamienne lawiny,
bo nienawidzę podłej wciąż przed Jaźnią zdrady — —

(uczcijmy — Judasza!) —

bo niema gorszych głupców, ni gorszej przewiny,
niż twierdzić, że w nas jest Polska! gdzie my prosperujemy — tam
[Ona zginęła!

Ta ziemia — Matka Boża, cięta od pałasza,
nie dozna — Zwiastowania! czyż dziw, że brama się Ornaku zmknęła,
gdy wszelkie padło dziś ma się za Mesjasza!

Ten, co za miliony walczy — Duch piorunowładny:
Lucifer, Światowid, Agni, Angramajn — — niezależny
od ludzkich kiepskich przemyśleń i niewiar! — —

Już dość! drwię z waszych smaków! — —

Na harfie mej gady

zbyt Wami się troszczał!... Idę... Któż ze mną? niech będzie Ten
[puklerzny,
bo ja go nie oszczędzę! — — nieraz będę włókł, jakby trup He-
[ktora — —

(Nie mam porównań, bo któż się znęcał tak nad Poloniuszem?)

Rozwieram Wam pustynię w ciszy wielkiego wieczora,

urzczone księżycem, jak skarabeuszem,

boskim i cichym: te góry, lodowce, wyjące wśród czeluści, morze...

Idę na ucztę Genezis! wam hasło rzucam: — imię mu — Bezdroże!

II.

W PODZIEMIACH GIEWONTU.

Tak mówił konny rycerz Mag Litwor, stając w ciemnej głębi Wielkiej Doliny pod Giewontem:

Noc jest—i serce moje, okryte żalobą, ma znowu znaleźć się przed bramą Tajemnicy i oglądać cmentarze pełne bielejących kości, którym żaden prorok Ezechjel nie każe zmartwychpowstać!

Serce moje, okryte mrokiem tysięcy i milionów lat, które już przeminęły — mrokiem tych mirjadowych gwiazd, które zagasną.

Wieczność jest we mnie, na skrzydłach mnie unosi w głębie niepojętych, nieogarnionych milczeń, które prze-
rażają.

Nie mówię nic, — słucham.

Oto skrzydła Czarnego Boga we mnie, oto jest namiot wśród pustyni,—oto ja sam arcykapłan i Mojżesz bez ludu.

Prorokować mam tym, co nie mają duszy i skazani są na śmierć, jako te jednodniowe motyle, rojące się w malignie tęsknoty, szału, żądzy i upojenia.

Dajcie mi ostatni dzień Wasz na tej ziemi, a będę wiedział, co mówić Wam — milczeniom;

ostatni dzień, gdy słońce stanie się krwawym rubinem w zenicie południa—a czarną kulą ponurego żuzła w mgłach zachodu; gdy lodozwały na brzegach Afryki będą łączyły się z krami, płynącymi po morzu; gdy gruba warstwa wiecznego lodu rozpostrze się na Saharze! wtedybym zebrał Was konających i — przysięgam, znalazłbym moc unieśmiertelnienia!

Lecz wy musicie być rzućeni w głębiny morza, którym jest nicłość: gwiazdy, drzewa, góry, ludzie, sny — i milczenia!

Dusza ziemi zapadnie, jak świątynia o jaspisowych kolumnach! runie, zachwiawszy się na bagnistym gruncie złudy życia! rozmiażdży się i zamieni w pył niewiadomego — w meony! w to, czego niema, a co formuje wszelki byt, w meony—w nieujęte czynniki najstraszliwszych słońc—w pramyśli Boga, o którym mówi Kabała, że On jest Niebytem. Oto groza przeraźliwsza od widma w wyklętym kościele — groza tego, że jestem!

— — — — — : jako źdźbło trawy, zawieszone nad przepaścią mroczną i wyjącą lodowym tchnieniem międzyplanetarnego mrozu...

Jestem, a nie byłem: gdy zakładały się fundamenty owych piekielnych praw, które ugniatają nam czaszkę, każą bić sercu, zmuszają do wypełniania żelaznych, błotnych i gwiazdzistych tablic losu...

Jestem — a nie będę: gdy niemowlęta wyrosną i pochylą się im grzbiety, gdy przelecą wagony nadziemne, jak meteory nad wirchami Tatr i nad kopułą wgiętą, modrą, straszliwą Oceanu, nad Andami w przepaściach ich, nad pła-

skowyżem Pamiru i jeziorem Rakszasów wśród zamarzłych, niebosiężnych gór Hiamawatu...

Jestem — a nie będę; choć moje słowa zabrzmiały w ustach i duszach innych ludzi — nie będę! i żaden Mesjasz — żadne zaklęcie nie zmusi mnie — liść zerwany i uniesiony w ciemną zatokę śmierci, abym wrócił znowu w obłądny bór życia!

Skrzydłami wieści Czarny Bóg we mnie skuty do gór olbrzymszych, niż Kaukaz, przeświecony gwiazdami groźniejszemi, niż Wega, Algol, Erydan i Krzyż południowy: to bóg Thot, mistrz wyklętej Magji.

Modłę się do Ciebie, Twórcu mroku we mnie, Twórcu tych szalejących mórz w ciemnościach, które wyją szturmem na górach lodowych!

Modłę się meteorami, które przelatują nad milczeniem w otchłani: krótkim mignięciem ostrza w chmurze lęących widm; wlokącą się nicią Arjadny w labiryntach bez czasu i przestrzeni; lub uroczyście wolno wtaczając się, jakby posągiem Światowida na rydwanie ku mrokom i zagasając tak nagle, jakby pękło serce.

Stoję pod drzewem Niewiadomości, przykuty łańcuchem do ramion krzyża, który nie wiem kogo ma zbawić? rozświetlany fosforescencją wewnętrzną, jak świętojański owad, mający lampy z zielonych szmaragdów.

Wzywam Cię — lecz jesteś już! błagam Cię — lecz oddajesz mi już samego siebie! korzę się przed Tobą, a widzę Cię już u nóg moich: Ty straszliwy, niewyraźalny, jedynie istniejący Twórcu bólu, który jest królestwem godnem mnie — bo nieskończonem aż po ostatni bezkrés.

Mówił Sfinks: Mów, Duszo, zwolna i w majestacie Anamnezy wielu tysiącoleci — skąd idziesz, kto jesteś, pod tym niebem, starszem, niż wszystko, co się da objąć mirjadami manwantar? — mów i odgadnij — lub zgini!

Ja — Sfinks nieruchomy na drodze Twej pożarłem
spaliłem w płomieniach i pochłonałem narody dusz, o któ-
rych rzecz można, że „Bóg ich zapomniał“. Ja Sfinks —
bóg wschodzącego słońca Śmierci. Milczę.

Mdlejesz od mych kamiennych tchnień, zamagnetyzo-
wany emalją i lazurem mej głowy, sięgającej aż nad obłoki?
Słyszysz głuchy szum huczącego pod ziemią morza? temi
drzwiami weszli, którzy już nie wrócą.

Mówił Mag Litwor: Nocy, potęgo nocy! nagły zamęt,
jakby Wicher halny wzniósł wszystek pył dawnej Sahary
na miejscu Tatr w powietrzne regjony i kręci nim w wirach
miedzianego pyłu.

Niebo, rozpalone jak glina, w ogniu nademną, ziemia
żelazna, nieczuła jak Moloch, przygniatający mnie łapami
u piersi, która sączy zimny wiew mogli. Rozerwę te zasło-
ny, ze stropu nieba wiszące, poryte błyskawicami, zapadnę
w głębię snu, o moja Konieczności! zmiążdżę się lub uko-
ronuję gwiazdami — odpływając na morza nieznane. W głę-
biach ziemi idę i tworzę wśród milczeń wieczności nieistnie-
jących, niekończących!

Rozwarły się podziemia Giewontu.

Olbrzymie sale, kurhany, wielkie posągi dawnych
gontyn.

Na ścianach freski. Z pochodnią zapaloną przygląda
się im Mag Litwor.

— — — Lasy minione. Ruiny dawnych grodów kró-
lewskich, wody modre, spadające w wodospadach, [na któ-
rych księżyc łamie się pręgą spektru—kanały, niby na Mar-
sie, użyźniające pola; łąka morza, które się zda rzeką zam-
kniętą w kamiennym łożu niezmiernych po obie strony
wieczornych pustyń.

A więc te góry są cmentarzem mogił skalnych! widmowy wapien Giewontu istotnie kryje widma? W świątyni jego wykute filary, głębokie sale i zamarzły mrok.

Tu leży posąg króla twarzą do ziemi. Bogowie, którym drzwi wejścia grobu sięgają ledwo ponad kostkę stopy, skamieniali patrzą w bezbrzeżną dal.

W komnatach świątyni Światowid głową sięga sklepienia — miecz władzy w rękę jego — wkopany po kolana w ziemię — drzwi tajemnicze przed oczyma jego... Światowid... jakież echa szalejących fal Bałtyku! Nad głową w koronie ogromne słońce. A pośrodku posąg kobiety Żywie, która trzyma króla na kolanach, pod jego zaś stopami głowy mnóstwa niewolników. Jej twarz ma powagę bogini.

Pod tronem jej przywiązani Teuton i Hunn — ona trzyma miecz i swastikę: symbol przez tarcie wywołanego ognia.

Na przeciwległej ścianie ze słońca opuszczają się strzały ostre i ręce w mnóstwie błogosławiące.

Na liljach wodnych ptaki siedzą—młody Lechita uchyla nenufary z bagien Muru za Sichlem i czaple za wielkie różowe nogi chwyta.

Czarny bóg Zasób z wyrazem potęgi: członek bożka nad kwiatami lilji wodnych, jakby słupnik otrząsał się pyłem. Z węża czczonego pada wzrok na lilje. Teutonowie składają hołd w niebieskich tunikach, usianych pszczołami; Duńczycy hołdują z turami czarnymi — na rogach byków gęstogrzywych błagają ręce. Czesi sprzymierzeni: z tarczą wielką, z lancą i krótkim nożem sierpowym.

Jeden przyłożył nóż do czaszki wroga i młotem przybija. Wenedów tarcze czarne z gwiazdami lub słońcem: oszczepy, oksze i olbrzymie miecze, kręgi ostre, tnące, jak brzytwę lecąca w powietrzu, zwane po indyjsku czakra. Kró-

lewna Świętochna owita węzami, przed nią słodkie a namiętne usta w powietrzu bez twarzy i ciała — może bóg elektryczności dodatniej Polelum? dokoła niebo — gwiazdy z rubinowym wewnątrz ogniem.

Królewna ma skrzydła u rozpostartych rąk.

A dalej na ścianie jodłowego domu winograd z pękami kiści fioletowych. Bogini Żywie, mając noc czarną na głowie, karmi króla Arkony na kolanach — on ssie z jej piersi.

Przed nim fale pochylone, okręty zdobyte — szata jego pisana runami. Korzą się przed królem procesje, niosąc na tacach kosztowności, skóry lampartów, winograd, pawie pióra, bażanty, zboża, oraz owoce długie, z których wystają zielone liście.

Wszędzie barwy pawie, modre, karminy, purpura i szmaragd.

Tu i owdzie Huny, Pieczynhy, Kłobuki z okropnie związanymi rękoma wyją, patrząc w niebo, ręce wygięte w tył, lub zamknięte w kłodzie łokciami naprzód, dłońmi ku piersi. Części rodne nie są tu nigdy przedstawiane z wyjątkiem, gdy symbolizują świętość. Bogini zgonu, tragiczna Maruna, płynie na samotnym czólnie. Żagiel — pod nim pręty czarnych trzcin. Uniosła ręce do nieba. Magiczne elipsy ma na piersiach. Nogi jej na otchłani ziemnej.

W dali zaś na kurhanach stoją Wieszcze: grają na harfach wielkich z łbami orlemi.

U wejścia do grobu leży nieboszczyk. Poklus i Rade-gast trzymają urny, z których wyskakują iskry życia. Bóg z tułowiem węża, bóg z głową słońca magnetyzują rękami leżącego nieboszczyka.

Żar pochodni jał drzeć Magowi, gdy wchodził do sali grobowej—tam na ścianach magiczne hymny z Księgi Wtajemniczenia!

Odwrociwszy się — spojrzął przez szczelinę: morze kosówek chyliło się w głuchym przyśpiewie — wirchy witały księżyc krwawy, cicho wznoszący się.

I czytał Mag Litwor prastare hymny runiczne zaginionych królestw — tu w sercu Polski rosnące w mocy swej, jakby w księżycowej lunacji.

„Szukam drogi mej, duszo niezmienna, wychodzę w godzinie życia z wnętrzości małpy, inaczej ze zmiennego.

O słońce, które nie masz Pana, wielki przechodniu rozległości, dla którego miliony i setki milionów lat są jedną chwilą! Zachodzisz, ale pozostajesz!

Ty, który oświecasz dusze w ich tajemniczych schronieniach, patrz: moje serce płacze nad sobą samym. Siła idzie z niego, modlitwa idzie z niego.

Moje serce pali się w wielkiej sali w komnacie tortur.

Oby nie było me serce wyrwane!

Nie umarłem w otchłani, jestem oczyszczony. Wycho-dzę z mnogości krążących, zaczynam się między cieniami.

O serce mojej matki! o serce mojej matki! o serce, konieczne mi dla przemian. Nie podnoś się przeciw mnie—nie świadcz przeciw mnie! Nie czyn mi przeciwności pośród boskich wodzów i nie oddzielaj się odemnie przed Strażnikiem wagi. Ty jesteś moja osobowość w mej piersi — boski towarzysz, chroniący mego ciała. Czyste duchy mnie ożywiły i uprowadzają mych wrogów, którzy w łańcuch chcieli okuć wodzów boskich.

Łączy się ze mną moja indywidualność, pochodząca od mej matki.

Podnoszę się — wielki jastrząb wykluty, wychodzę z kajuty okrętu, niosę me serce na górę wschodu, prowadzą mnie boskie istoty schylone i obwąchujące ziemię przedemną.

Czycicie mnie!

Zasiadam między olbrzymimi bogami mogiłnej i żywej otchłani.

Posiadłem swe serce.

Zapatrzony w światło, wchodzę, przez bramy tajemniczego Miasta, w którym mieszkańcy mnie oczyszczą — dobiegam mego przybytku z pomocą istot, które tam są.

Tajemnica moich zaklęć magicznych wraca mi wspomnienie. Mnie — który już byłem nicością. Przetrwam. Wracają mi wesele serca i spokój.

Przybywam, objawiam się, mając oczy zamknięte na słońce.

Przybywam na ziemię w żądanej epoce dla wszystkich kultur na ziemi, odkąd istnieje przez rozkaz świętego Bóstwa."

Obchodzę wielką krainę — mierzę nawodnienie i zbrazam błota; przybywam zwycięzca, żeby poznać duchy Miasta Słonecznego.

Jeśli kochacie tych, co Was znają, kochajcie mnie. Znam prawdę, odróżniam ją — gdy się zasłoni. Ona daje dobrobyt i radość temu, kto ją ceni.

Cześć Wam, duchy Miasta Tajemnego, ilu was znam: Thot — bóg magji, Chrystus — bóg wcieleń i Ahryman — bóg, wiodący w mrokach na barce.

Wzrastałem wczoraj między wielkimi, staję się między wielkimi, staję się między tymi, co się stają.

Odkrywam oblicze Jedynego Oka, odkrywam krąg ciemności. Jestem jeden z Was.

Czy latorośl ze Słonecznego Miasta może być zniszczoną?

Tego, co mówię ja—Światowid, ludzie nie opowiadają, bogowie nie objawiają. Przenikam tych, co mnie zniszczyli, lecz nie widzę już tajemnic. Moje przejście jest przez pałac słońca.

Jestem wielki, który tworzy światło. Otwórz odnowionemu, który jest we mnie.

— Któż jesteś, wędrowcze? Jeden z was.

— Któż z Tobą? Podwójne oko żmii: grzech i pokuta.

— Oddziel się od niej i przyjdź twarzą w twarz przed miejsce odrodzenia.

Niema drogi zamkniętej dla nieboszczyka w kierunku nieba lub ziemi: wiadomość ogromna!

Jestem duch wielki wśród gór i jodeł. Ludzie nie znają tego imienia. Ja jestem wczoraj. Widzący miliony lat, idący drogami nadniebnymi.

Niech oko nie połyka swych łez. Jestem na wschodzie, oświecłam przodków w ich trumnach. Przechodzę niebo — idę przez ścianę żelazną, czyniąc światło. Otwieram i zamykam. Niema wielkości nademną, jako lwem. *Zaczynam się, gdy zechcę.* Władza magiczna daje moc memu ciału.

Jestem powódź górskiego strumienia wiosną! odtwarzam się w zamarzłości nocnej. Wychodzę, łamiąc drzwi zimy—wprowadzam tu oświecenie serca.

Zasiadam w mym pałacu na widnokręgu; odbieram ofiary na ołtarzu; upajam się wieczorną objatą.

Jestem koniec rozwoju firmamentu. Promieniuję światło po drodze całkowitej ciemności—przez oczy Węża wiecznego, który jest w mym łonie — przy pomocy siły ma-

gicznego słowa. — Ja zmartwychwstaję przez nie — przybywam przez nie, wracam się z nim w dolinę łez Polski, gdzie spocznę.

Rozsuwam mrok własną mocą.

Jestem kobieta, światło ciemności — rozświecam mrok, który się staje jutrzenką. Imię węża na wpół skamieniałego, który stanął przeciw mej barce wyprężony, zjadacz cieniów. „Ten, który jest w swym ogniu”, — który wyszedł z wodospadów piekła.

O istoto wzniosła i uwielbiana, wodzu widm, Duszo, władczyni grozy — wznosisz się na swym tronie wielkim.

Niewątpliwie, dokonana jest droga dla duszy cienia, który jest we mnie...

Nie daj widzieć tego żadnemu człowiekowi, prócz króla i kapłana.

Nie daj widzieć niewolnikowi, który idzie i wraca.

Nie czynь licznych komentarzy z pamięci lub wyobraźni. Poznasz je całe w sali unieśmiertelnień. Prawdziwe misterjum, którego nie zna człowiek o przegniłej inteligencji...”

Mag Litwor podniósł powieki swe ciężkie, jak głązy kamienne, niesione przez lodozwał — (rozbrzmiał dźwięk melodyjny, daleki, jakby z za widnokregu)!

Mag wychodził z jaskini filarów i posągów stalaktytowych, gdzie złotem świeciły postacie Tatrzańskich Rycerzy.

Jeden miał napis runiczny Krzestów Wiciądz [chrześcijański Witeź] a Bogini przy nim będąca ze słońcem nad głową, z poniżonym w cieniu trójkątem pogańskim — napis runiczny: „Dziewica Matka tych, co mają dźwięczną mowę“.

Rozmyślał Mag Litwor: więc na dworze królewskim

Lechitów pisano runami w języku polskim — była oświata, odrębna od łacińskiej, magicznie łącząca się z tajemnym piśmem runicznym całej Północy?

Na amuletach z postacią ludzką i twarzą djabła, z rogami baraniami, czytało się napis: Lice lecz! to znaczy: Istoto uzdrów! Na węzłach było: — Zawsze węzłu — przeciw boleści!

Na złotym dżademie: Lietuwoj mnie posiada.

Na zegarze słonecznym kamiennym kształtu koła — napis:

Zegar oto!

Z napisami właścicieli i tych, co przedmioty wykuli, były relikwiarze bronzowe, młoty, pierścienie, monety, a przede wszystkim dzwony, kamienie graniczne i nagrobki. Normana północnego mogiła brzmiała: —

„Thormundzie, używaj mogiły!”. Gdzieindziej:

„Ja Hagustald pogrzebałem syna w tej mogile. — Ja Wakran nagrobek kułem”.

Kamień inny głosił: Thurin postawił ten kamień dla Karela, dobrego towarzysza swego, bohaterskiego męża.

— Sote postawił kamień ten dla brata swego Asgusta czerwonoręczowego. — Mogiła Alego, świątyni czcigodnego kapłana. —

Był też kamień z lakonicznym:

— Utonęli. —

— Został tu pożarty przez wilka. —

Wielkie sklepienia podziemi zdały się napelniać tarczami i śpiewem umarłych Wikingów, którzy władali Polską.

Historyczne światło na wędrówki korsarzy rzucał ten napis: Zginał on w Grecji.

Na grobowcu Polaka poganina, który trzyma trójkąt, głosił napis: —

„Zmir żyrtwą leży.” Na drugiej stronie:

„Zmirnowego ociec Lutewoj woju.”

Widać, była to ofiara walki pogańskiej z chrześcijaństwem, na dworze króla wschodzącym.

Urna nieopisanego wdzięku z tymi cierniowymi znakami:

„Umarłemu małemu stawilem biadając”.

Mag Litwor oczy miał pełne łez na tę wieczną tożsamość duszy ludzkiej.

Mag Litwor idąc dalej widział wyraźne z Indyj przyniesione pomniki Arjów.

Z tej krainy, która była krainą baśni; Fizon — mlekiem płynący, czyli Ganges — okręzać miał krainę złota; na pierwszych stronicach Biblii już jest beryl i lazurowy kamień z krainy Ofiru, czyli z Indyj Zachodnich.

Stąd szły owe najcenniejsze z towarów dawnych — złoto, sandałowe drzewo, perły, małpy, pawie i bisiorzy.

Tu w podziemiach Giewontu, którego imię jest reminiscencją góry u zendów Giwant, jak były inne Dant lub Meru, — w tych podziemiach, jak w przecudownych w granicie wrytych galerjach bogów Rameszwaram i Ellory, jak w jaskiniach wodnych Elefanty i w Amrawati znajdował się Dwór boga Indry —

tak tu było miasto całe, gdzie niegdyś w epoce dżdżu i zimy chroniły się giganty — może jeszcze z tej cyklopejskiej rasy, po której znane jest 127 miast w Europie cyklopejskiego pochodzenia?

Rasa ta z wiedzą ezoteryczną, zastosowaną do sztuki architektonicznej — ci Atlantyjczycy — ci Gibborim biblijni, jakby sturęcy olbrzymy Hekatonchejrzy z Odyssei — wznosili budowle potężne, te posągi Bamianu, wobec których kolos Rodyjski był małym; wznosili miasta wielkie jak Ba-

bilon w tych płaskowyżach Tybetu, gdzie teraz tylko orkany szaleją.

Udzielić tych tajemnic nieprzygotowanym — byłoby „jak dziecku świecę dać w prochowym magazynie”.

Czytał Mag Litwor wielkie pieśni Wiedzy w tych złomach potężnych, kute z granitu, widocznie zdala przyniesionego, gdyż Giewont jest z wapienia.

Były to sagi o Ziemi, jako królowej węzów. Były hymny do Świętego Szatana, które potem powtórzył Hermes Trismegista: „między bogami niema mu równego; w jego ręku wszystkie królestwa, władza i wspaniałość świata”.

Wyszedł Mag Litwor na światło gwiazd.

I znowu w pustyni, wyrzeźbionej ścianami czarnych gigantów. Cisza tak wielka, że słyszał szeleszczące pod głazami strumyczki ros.

W mroku wśród błękitnych oparów szła kobieta, jak widmo.

Wieczna wśród żyjących.

W ręce miała harfę trójkątną, której struny były wieszczące o Nowym Objawieniu. Nad twarzą bledszą od księżyca wznosił się gąszcz wspaniałych włosów.

I mówiła ta pieśń o latach oczekiwania wśród łez i umęczenia. Mówiła do swych najtajniejszych myśli, zrodzonych w noce słotne, listopadowe, beznadziejne. Do myśli, w noce księżycowe, zielonawe, magiczne, wśród borów nad brzegiem północnego morza spędzonych. Pytała, kiedy zwycięży Miłość?

Złowieszczy ból przysłał oczy Maga Litwora.

W jej łzach łamały się sklepienia nieba.

Mag Litwor, nieruchomy strażnik, stał u bram śmierci

i wyrzekł na wieczność: nigdy! Ujrzał, że wstrząsnęły się końce jej palców delikatnych, tęczujących. Spojrzał, nie w oczy jej, podobne grotom, w których fosforyzuje ametystami i czarnym agatem głębina Morskiego Oka — spojrzął w mrok straszliwy piekła, które ją okrywało więzieniem.

W mroku tym świeciło gwiazd kilka niejasno—był to Ofiuchos. Ukazał jej: jakby ją wiódł na stos i w ofierze składał bogowi Piekła. Wymówił słowa mocne, niedosiężne.

Odeszła.

Słyszał jej kroki ciche, jakby kto pod ziemią przybijał gwoźdźmi trumnę — cichsze — jakby się sypała ziemia na twarz umarłej, i tak niepowrotne, jak muśnięcia rzuconych do mogiły kwiatów.

Umilkła pustynia wielkich gór.

Mroczny Giewont spotworniał—zwiastun śmierci, wiódący do kraju cieniów, szklął się od gwiazd.

Legł w zapadlinie jego piersi Mag.

Niewiadomo, ile nieruchomych epok — patrzył w górę, gdzie płynął na barce niewidzialnej tajemny, straszliwy księżyc. Podstawa góry rozpościerała się na kilka dolin, mogiła rycerza miała wysokość tak ogromną, iż monumentalny krzyż na jego przyłbicy zdał się igraszka. Głowa potrzaskana w jamy i otchłanie—nieujęte już w formę twarzy.

Ból i tajemniczość mroczyły się w jakieś lico nadludzkie, straszliwe skamieniałej Nieskończoności. Miljony zmarło Lechitów, zmieniły się dynastje królów, zanim te głązy kilkopiętrowe z szarego granitu były ociosane przez deszcze i śniegi, zanim przywiozły je tocząc na sobie lawiny — i zanim dawna olbrzymia rzeka wodospadem wyrzeźbiła kamienną masę w bożyszczce Giewontu.

Mag Litwor uczuł w piersi swej wezbrane uczucie tożsamości z tym, którego proch dawno się już rozwiął z świę-

tokradczo naruszonego kurhanu. Lecz przejęty bólem wiecznej Złudy, rzekł w najgłębszych milczeniach swych: nie krąży nic nad pustynią unicestwienia!...

Kamienny olbrzym przechylił się na bok gwałtownie, ciało Maga, dotąd leżące bezpiecznie, teraz zawisło nad przepaścią, gdzie jodły sterczały jakby las dziuraków. Trzymał się wysterku skały, zaś Giewont masą olbrzymią wahał się ciężko, opadał na bok i przecząc wszystkim prawom grawitacji, wirował na jednym kancie, pochylony ciężarem daleko za granicą linii równowagi.

Giewont, sądzić można, iż strząsnąć chciał Maga, niby mamut małą muszkę, zaczepioną na strasznym karku; linią horyzontalną stawał w pion i opadał, lecz co zadziwiało najwięcej, iż ruchy te odbywały się w próżni, to jest: nie czuć było uderzeń o ziemię! Nagle, jak okręt miotany burzą, kiedy się zaryje w ławicę piasku, Giewont runął ciężko—a po głazach przebiegało wstrząśnienie, jak oddech rozszalałego morza. Każdy śmiertelnik zemdlałby ze znużenia i grozy — runąłby z tych pięter wyższych, niż mury wieży Babel.

Wtem błysnęło światelko migając w odległym narożniku zapalone—czyżby księżyc rzucił z za chmury swój zachodzący promień? lecz raczej był to blask we wnętrzach Giewontu.

Milczenie. Nagły spokój. Mag jął iść po ciosach wapiennego dna Pramorza Tatr. Z głowy Bożyszczka światło zdało się wcale nie zbliżać — wreszcie zgasło.

Kiedy Mag Litwor ujrzał się wreszcie przed wejściem, utajonym w trójkącie przyłbicy Giewontu, z ust jego płynęła posoką krew.

Dusza jego upływała z nią — żali się dowie?

Wstąpił znowu w ciasny kurytarz, wijący się ślima-

kiem — namacał ostatni kres; był to mur, czy szlifowana skała? Żaden gienjusz rozumu nie mógł jej odewrzeć. Lecz mimo wiedzy ręce jego dotykały się runów i przy jednym naciśnięciu skała uchyliła mu wejścia w jakiś krużganek, nad przepaść wiodący, skąd wiał lodowaty chłód. Szmery i westchnienia—zapewne przyływ powietrza przez szczeliny—jednak zdawało się, że rojno tu od widm.

Zwarła się skała. Po głazach wystających nad otchłanią idąc, uczuł Mag, że mu serce zamiera, gdyż znaleźć nie mógł już oparcia — tak więc był w pułapce grobu. Wyciągnąwszy rękę uchwycił końce łańcucha — i nie badając już, dokąd go zawiedzie, wspinał się Mag po nim wysoko — jak na dzwonnice. I nie wstąpił, lecz ukląkł na progu małej komnaty, otoczonej kolumnami, na których były wyryte prawa całej ziemi. Przez wązki otwór w górze, który przerzynał niezmierną wysoczyznę góry, widać było, jak w dioptrze teleskopu, przesuającą się mgławicę Sobieskiego, która, odbita od wklęsłych zwierciadeł lodowca, rzucała blask magiczny na kosztowne kamienie, oprawione w ścianach i w architrawie.

Iskrzyły miliony płomyczków od rubinowego zodka — szmaragdy bogini Maruny rzucały cichy blask najgłębszej mądrości; astralne skrzydła Lelum i Polelum na architrawie tonęły w mrocznych głębinach zimnego Morskiego Oka.

Przepajały go moce i natchnienia, odradzały — wzmały do wiecznej ekstazy młodzieńczego Światowida. Uczuł się władcą, przenikał miliony lat, wchodził na szczyty gór niepodobieństwa.

Wtem obejrzał się.

Nie był sam. Czuł to, nie widząc nikogo. Ujrzał na ścianie odblask ręki.

Fosforyzowała, wychodząc z chmury czarnej. Nie wiedział, coby miała obwieścić — usłyszał, jak miecz upadł nagle i toczył się po posadzce. Miecz ten mignął w powietrzu i znalazł się w dłoni Widma — które ostrzem hartownym, skrzypiąc po granicie, wypisało w języku zaginionym Słowian indyjskich:

Jestem. —

Tak mocny był blask mgławicy w zwierciadłach kryształnych, iż czytał wyraźnie to słowo wieczne, twórcze, niezgłębione, stanowiące pierwszy wschód ku cudownym świątyniom, nieznanym już na ziemi. Ręka widma tym jedynym wyrazem nakreśliła dziwny poemat wiekuistych doskonałości Umarłego.

Mag Litwor mówił, wyszedłszy z podziemi Giewontu, do widm z podłemi głowami, które czyhały, aby mu odebrać tajemnicę i rozszarpać:

— Przysięgam wam, którzykolwiek Polskę zabijacie, iż nigdy ani głoska jedna powierzona wam nie zostanie. Możecie wątpić, wahać się, zaprzeczać, sztydzić, przechodzić w milczeniu — nie obejdzie mnie to bynajmniej.

Ja wiem!

I jeżeli wyszedłem z grobów Tatr, to przeto, iż posiadałem zaklęcia, które mnie wiodły przez mury i bezdenie, przez zamazłe lodowce i ogień podziemnych lawospadów.

I jeżeli nie oniemiałem z radości, pojąwszy niezniszczalną wiedzę, to — iż piękność objawień graniczyła z najstraszliwszą grozą. Były to posągi z ożywionych światła, góry objawień na górach tajemnic, tysiącolecia i miliony lat, narzucone, jak liście drobne, wędnące wśród wąwozów wieczności. — — — — —

III.

TWÓR LUDZKI.

Niebo wyglądało już jak turkusowy, zaświatowy ocean z horyzontami ze złota i płomieni; gór mrocznych niebo-siężny ołtarz, na którym płoną umarli. Kto wtajemniczył się w życie ludzi najdostojniejszych na ziemi — temu nie będzie nowe, choć pozostanie dziwne, że z olbrzymiej skały Giewontu wyszedł Mag Litwor, jeden z tych zaginionych Magów, którzy jeszcze gdzieś są i kiedykolwiek mają się stać.

Nie był on sam — za nim szedł jakiś magopodobny potwór, uśmiechał się napuszenie, w kompilacji robaczliwych instynktów i taniego rozsądku. — A to oszust! rzekł, myśląc o Magu i świecie, do którego ten go wprowadził.

Nie obrażajmy jednak zbytnio Mangra: był to zwyczajny człowiek.

Trochę więcej, czy trochę mniej podły — co to już znaczy?

Jedna z tych bestji, które, jeśli mają kaczy dziób na-
iwności, to w tyle kryją jadowity szpon znęcania się nad
wszystkiem, co nie jest kaczodziobem.

Jedno z tych zwierząt stadnych, które żyją z wzajemnego oszustwa: zawsze chciwe, choćby miało pałace, zawsze spekulujące na tym, że ktoś inny ma zasady wzniosłe i według nich postąpi, ono zaś ma frazesy — kto wie? może jeszcze wyżej podlicytowane, ale uważa za swój wyjątkowy rozum, żeby w życiowej tak zwanej walce—iść drogą geszef-tu i żuiserstwa, wie bowiem, że wśród równego sobie stada, po niewymownie opłakiwanej śmierci, będzie nazywało się nieboszczykiem, t. j. niebo ziszczającym.

Kiedy Chrystus nauczał: „Kochaj bliźniego, jak siebie”, —kaczoziób oznajmi: kochaj więcej, niż siebie, bo myśląc, że on jest tym jedynym bliźnim, lęka się wszelkiego ograniczenia zakonu dobra w zastosowaniu do swego ja. Tak przemykając w masce religii i etyki, dążeń społecznych i narodowych, lub choćby w imię postępu i socjalizmu — kaczoziób postara się wybić naprzód — jako prorok wilczo-prosięcego stada.

Taki Mangro dziś jest zwykłym wyjcem opinii publicznej, jutro będzie przewodcą partji, luminarzem stowarzyszeń i salonów, obejmie katedrę, meeting, kazalnicę, lub dom gry.

Taki szakał zawsze okradnie, zawsze wywacha, zawsze obelże, zawsze pojmie niewinną, lecz bogatą cnotę za swą magnifikę, zawsze urodzi mu się szlachetny syn, który będzie musiał prac jego brudną renome, jeśli na swe nieszczęście nie puści sobie kuli po pierwszym spotkaniu ze swym nieubranym już we frazesy papą.

Więc nie uważajmy Mangra za jedyne Kalibana na całej ziemnej wyspie.

Dlaczego jednak Mag Litwor znosił go w swojej obecności? Może pewne światło rzucą na tę sprawę własne słowa Mangra.

— Mistrzu, rzekł, jeśli byś chciał zrobić efekt na publiczności — wystarczy, jeśli im opowiesz, jakieśmy się namęczyli w tych ciemnościach. Ja ostatecznie wyszedłem nie najgorzej. Znalazłem 1-o, dowód, że mistycyzm, magia i t. d. są ścianą, w którą można stukać, lecz z której nic się nie odzywa. 2-o, poetycka Rossynantowa wyobraźnia dawno przestała mnie już, na moje szczęście unosić, odkąd poznałem, że wymarzony miljon nie jest jeszcze tym, który mi oby! zabrzączał prędko w kieszeni! 3-o, konkretnie mówiąc, zdobyłem ten jeno klejnocik, który sprzedam, jako koronę króla Popiela, do muzeum w Luwrze. Już tak jeden raz udało mi się z koroną Sajafernesa. —

Tu ukazał Magowi fałszywą, lecz nad podziw zręcznie naśladowaną koronę, którą w przejściu przez świątynię podziemia zdołał wygnieść w rękach z cyny, wypilować i, zamoczywszy w Złotym Jeziorze milczenia wieków, nadać jej wygląd niezwykły d'une Haute Nouveauté.

— Tiens, mówił dalej, wydębę ze siebie małą rozprawkę o ludzkiej aberracji. Zadedykuję kollegjum rzymskiemu — to będzie wyglądało dla niewierzących na szykanę, dla wierzących na uznanie, że w Rzymie jest Lumen Mundi.

Aber hier liegt der Hund begraben: w Oksfordzie mam wielu znajomych — król Edward na jednej kanapie ze mną dzielił ideały — w rozmowie o tem, żeby się nigdy nie dać niczemu oszukać — wybadam grunt, czy raczej naukowym być w Oksfordzie, czy intuicyjnym w Rzymie? —

Musiał być chłodny ranek, bo Mag wzdrygnął się nagle. On nigdy nie słyszał i nie widział Mangra, lecz kiedy chciał — słyszał go i przenikał nawskroś tak w jego spirali zaczajeń i zimnych kalkulacji, że nigdy Mangro nawet we śnie równie szczerze sprawy ze siebie nie zdawał.

Słońce niewidzialnym stosem ognia lśniło za Mura-

niem i, zaczepiwszy brylantową drabinę za potworne mury Tatr, wnet, jakby wdzierający się Aleksander Macedoński na mury Indyjskiego Miasta, stanęło już na wirchu mrocznych, nierozświetlonych od strony cienia, olbrzymów.

Mangro mówił dalej: Faust miał Wagnera, Don Kichote — Sanczeza Panse, my raczej jesteśmy jak Hadrjan i ulubieniec jego Antinous, lecz, że nie znoszę poetyckiego kabotynizmu — powiem wprost, że wy, Mistrzu, jesteście jak natura, która mnie ukazuje swój odwrotny medal — i każąc się mi przejrzeć, mówi: — cóż, jakżeś się sobie upodobał?

Bardzo mi jest dobrze za tobą, moja Pani! Magiczne ramy czarują motłoch, ja widzę tylko zwykłe, karczemne lustro, gdzie we wgłębieniach oglądam siebie naturalnym!

Lecz racz mi powiedzieć, Mistrzu, czem Twoją uwagę przykułem tak do mej, bądź co bądź niezwyklej istności? w nędznej portowej mieścinie, dawnym mitycznym Ofirze, angielski okręt stał w porcie, a ja, wieziony do kopalń Nowej Kaledonji, zdołałem włamać się do kajuty kapitana i w szatach, jemu już niepotrzebnych, wszedłem na molo. Ścigany przez władze perskie i angielskie z gromadą dogów — już miałem bandę na kołnierzu, gdy ty, o Błogosławiony Panie, w grocie czytając księgę Zend-Awesty, skinąłeś na mnie! I nie pochwyciłeś mnie, mimo wysokiej nagrody na mą głowę, lecz dałeś mi habit zakonny, a dogi odwiódłeś w inną stronę. Kazałeś potem iść za sobą po całej ziemi i aż tu do tej Polski, z której niegdyś wyemigrowałem, jak mnie się zdawało raz na zawsze — bo jest Bagnem dla małego robactwa, nie dla mnie, który tu nie mogę rozwinąć zwykłych moich płetw w interesach. —

Mag Litwor otworzył księgę sanskrycką i kazał Mangrowi czytać.

I Mangro czytał:

— Mścił ojca swego, pożartego przez Rakszasa *); setki ich zostało zniszczone za pomocą ofiary, lecz gdy mogli być doszczętnie zniszczeni, dziad jego rzekł:

— Dosyć, Rakszasi nie są winni; każdy człowiek ma przeznaczenie, które jest rezultatem jego postępów.

Gniew jest zniszczeniem wszystkiego, co osiągnął człowiek przez nieustanne wysiłki i pobożne umartwienia. Niech żaden z tych bezbronnych duchów ciemności nie będzie od-
tąd niszczony. Litość jest karą, przez sprawiedliwego wymierzoną. —

— Czy pojąłeś? — spytał Mag.

Zabłysnęły złowieszczo oczy Mangrowi i rzekł:

— Niezupełnie, Mistrzu—jest to dla mnie za wulgarna baliwernja! —

Nie mówił już Mag Litwor, lecz patrzył na cudowne pałace gór i na puszcze, gdzie rosły aż po niebo tęgie smreki, przy ziemi zaś krzewiły się wrzosi i gatunek wilczego ziela. Długo przyglądał się nikłym roślinom Mag, poczem, odkrywszy w innym miejscu księgę, skinął na towarzysza, którego twarz i ruchy zdradzały menażeryjne pochodzenie, a musiał piastować godność lektora, bo, jak egipski pisarz, usiadł na ziemi i szybko, choć z widoczną niechęcią, jął czytać w księdze.

„I wejdzie Mag w puszcze lepidodendronów, które, skarłowaciawszy przez ciąg milionów lat, nazwane były w Tatrach Nietotą.

Każda kosa rozbija się na tym nikłym, pełznącym ziele, którego kwiatu nikt nie oglądał — na tym nikłym

*) Demon zły.

zielu, pochodzącym od królewskich drzew olbrzymów, szumiących w dawnej manwantarze*) ziemi, przesyconej burzami elektryczności.

Smok skrzydlaty, a w dziedzinie ludzkiej Mag zostali wytraceni: tu nędzny żywot wlecze leniwa salamandra i leguan, — tam ksiądz, uczony, albo poeta.

Mag należy do wszystkich światów“.

Błysnął Mangro okiem nieufnym, czy Mag sobie czegoś nie dokomponował. — Wszakże to jest księga objawień, pisana przez Brahmatmę, czyli indyjskiego papieża Jati-Riczi, w której nie wolno czynić poprawek — wyrzekł nabożnie. Odwróciwszy się tyłem do wielkiej jutrznianej sonaty, rzekł, siląc się na głębię: „Słońce jest płamą dla tych, którzy świecić nie pragną. „A bas le soleil!“ I uwagę tę wpisał między dwie minjatury, przedstawiające świętych, modlących się nad morzem wśród burzy, żałując, iż mało miejsca zostało mu na umieszczenie tam jego podobizny z autograficznym podpisem.

Mag Litwor wiedział, że Mangro posiada pasję przemieniania wszystkiego nie tylko na geszeft, ale i na literaturę.

I teraz widział go, jak wtuliwszy ogon, godny króla małp, czcigodnego Hanumana, pod swój habit, odwrócił kilka kart laseczką z kości słoniowej i na brzeżku notował coś, mającego zapewne wnieść realistyczne oświecenie. Mag, wchłonawszy kilka kropel z potoka na odświeżenie ust, zdjął zawój z głowy, rzucający mroczny cień na twarz: teraz dopiero można było się przyrzyć tym rysom, dźwigającym na sobie wieki — a tak witeziowo młodym, jakby od roku 30

*) Okres geologiczny milionów lat.

życia potęgowały się tylko mądrość, wola i miłosierdzie, a nie umniejszały się siły fizyczne, owszem nabierały jakiegoś mitycznego hartu. Mrok czarnej brody, brwi krucze nad oczami lodowo szafirowymi.

Stał w kontemplacji smutku, który jest echem wszystkich rzeczy głębokich, nad głową zaś jego jarzył krwawy stygmat słońca. Dusza Maga pełną była rozpaczego cienia. Z wąwozów Nieszczęścia wyprowadzić jej nie mógł, on — wódz ojczyzny — chyba rozпалиwszy wiązki chrustu na rogach tysięcy dzikich bawołów, jak Hanibal, lecz nie mógł użyć tego sposobu, gdyż miał nad wszystkim litość.

Więc wynalazł bezdroże podziemne, żeby nikogo nie ranić, jak skałotocz rył tunele w skale głębokiej, wchodził w rozpadliny świata przeminionego i w ametystami zarosłą jaskinię, ciągnącą się długim kurytarzem zagrobowych objawień. W labiryntach Giewontu znalazł szkielet wędrowca umarłego, który miał na piersi złotą enigme — trójkąt kłęzącego mężczyzny, przecięty trójkątem leżącej kobiety; na jednej stronie był napis: Wyzwolenie i trzy krzyże niespodziane*), na drugiej wielka gwiazda i werset z Jezajasza:

„Ty więc jesteś Bóg niewidzialny.”

Modlił się Mag Litwor radośnie w przepaści nocą, gdzie nikt go nie oglądał — w tej przepaści najpotworniejszego z grobowców wśród mroku nieznanego śmiertelnym. Wędrowiec, który leżał umarły, szedł widocznie z tej polskiej krainy—ku jakimś innym światom, które może opuścił Mag Litwor.

Ten krokiem równym, lecz mijającym tysiącolecia,

*) Góralaska swastika.

szedł podziemiami i, rozchyliwszy wreszcie ostatnią zaporę ziemi,—po wielkim zapachu zboża poznał, że idzie przez łąk krainy Polskiej. W staroświeckim dworze zastał już Mangra, który skupywał ziemię od zdeprawowanych magnatów i sprzedawał mądrzejszym cudzoziemcom. Mag zjawieniem się swoim przejął taką mocą potomków książąt Zbaraskich, że wielkie swe puszcze przeznaczyli na Park Narodowy. Kiedy jednak Mag poszedł dalej, Mangro dokonał tyle, że ks. Zbarascy namyślili się — i w puszczech założyli prawidłowe polowania. Magnaci strzelali sarny lub dziki z wysokich wież — lub tępil bażanty z rewolwerów w tych puszczech odwiecznych, które przejeżdżali w gronie wesołem automobilami.

Tak idą Mag Litwor i Mangro, spotykając — to się rozstając, jeden sieje gwiazdy—drugi zasiewa wszelkiego rodzaju zarazki. Teraz znów się zeszli — i w obliczu Tatr zwrócił swe oczy Mag do słońca, zamknąwszy powieki, prosił wielkiego świetlanego boga, aby mu napełnił smutne po wszystkim otchłań serce.

Mangro niemiłosiernie chrząknął i, choć wiedział, że było mu to przez pierwsze powagi medyczne zabronione, chyłkiem rzuciwszy księgę, skoczył na drzewo — bo ujrzał tam wielką brunatną sójkę, odlatującą z gniazda. Mangro, jak czarny wampir tłukąc się po drzewie, na szczycie rozrosłego pnia ujrzał cenny skarb: ośm, wielkości gołębiej nakrapianych jaj. Z przedziwną zręcznością małpoluda zsunął się z drzewa, odpędziwszy sójkę, która z krzykiem rzucała mu się do oczu, mając zresztą jastrzębi dziób i wcale zadziorzyste szpony.

— Chcesz walczyć unguibus et rostro, szponami i dziobem! rzekł napuszenie Mangro, ale w końcu zdecydujesz się, uznać, że wesele musi być powtórzone z nowym ceremonja-

łem! zgodziłaś się?—leci w dalekie zagaje, drąc się, jak M-me Twardowska po przygodzie na rynku. —

Mangro, widząc, że go nie słuchają, położył ośmioro jaj na trawie u stóp Maga.

Tu mogła się stać rzecz, pożądana dla malarza, czyhającego na karykatury, gdyby Mag Litwor miał zwyczaj krok czynić wprzód, nim się rozejrzy. Uniknąwszy zamienienia jaj na galaretę, powiedział tylko do Mangra:

— Źle, iż się pomyślał o sobie w taki sposób, rujnując szczęście sójki.

— Wszakże, Mistrzu, to wam podaję, rzekł uprzejmie Mangro.

Nie mówiąc już słowa jednego, Mag Litwor wziął gniazdo i podszedł do jaworu. Jest legienda góralska, że jeśli kto weźmie gniazdo sójki—ten ptak, żeby je odzyskać, rzuca przywłaszczycielowi tajemniczą trawę, która, dając wiedzę wszystkiego—sama nie ma nawet nazwy. Koń, mówią, jeśli nastąpi na tę trawę — natychmiast mu z podkowy wypadną wszystkie gicele.

Mag Litwor nie czekał na nagrodę sójki. Szedł, zaparty w chmurzący się, choć poranny krajobraz — za nim zaś rozlegało się uderzanie skorupki sójczych o kamień.

Brzozy wielkie jakimś przeredziałym lasem okrywały okolice, nieznaną mu zupełnie. Ujrzał w dali idących czterech włóczęgów. Oni jego dostrzegli jeszcze pierwej. Wydał im się bogaczem. Śpieszyli na przełaj. Nikt w tej krainie nie witał go dotąd z taką gotowością. Nie miał bronii, nawet maleńkiej różczki dla poszukiwania źródeł i skarbów zaklętych.

W ich rękach czernią się ohydne, gumą oblane sprężyny, które w Afryce policja rozdaje dla pogromów.

Mag wszedł wolno przez bramę na cmentarz, błędził

po mogiłach i nagle wzrok jego duszy ujrzał jednego z nieszczęsnych, wczoraj pochowanego w letargu. Jął szybko rozkopywać kawałkiem deski ziemię, oglądając się na pomoc Mangra, lecz tego nie było. Tak został otoczony przez zbiegłych czterech bandytów, którzy w zamieszce nieszczęsnej kraju mieli obfite źródło łotrowskiego przemysłu. Uciekać nie umięją Magowie, nawet kiedy burza grozi rozbiciem okrętu, na który mają wsiąść—nawet kiedy trzęsienie ziemi ma zdruzgotać świątynię, w której zanoszą ofiary. Dusza wszechświata nie pozwala używać magicznych potęg na własną obronę.

Widział Mag usta krwią oblane tego, który zbudzony z letargu, dusił się pod ziemią, usłyszał już chrobotanie ciche powykręcanych palców. Włóczędzy wzięli Maga za poszukiwacza klejnotów mogiłnych — spieszą mu pomóc — wnet mogiła jest rozkopana. Skrzynię odchylają—tam leży stary, biedny Żyd, z twarzą zsiniałą, z wzrokiem, który od ponurości przechodzi w bezgraniczny zachwyt, jakby dla Mesjasza. Lecz włóczędzy są na Maga wściekli: podnoszą się ich pałki, wzrok hyjen! Za chwilę rozbitą będzie głowa, pełna najbardziej gwiazdzistych myśli, niesionych ojczyźnie. Lecz nad Magiem każdym czuwa wielki Niewiadomy—taki werset z księgi przypomniał sobie Mangro, patrząc na tę scenę z odległości i z wyżyny zacmentarnych brzóz, wsparty na wierzchołku, jak Murawjew na swoim kosturze. Wyciągnął notes i drugą myśl zanotował skwapliwie:

— „Rzeczą najważniejszą jest nigdy przed niczem w żadnym wypadku nie przeżywać strachu”. Cóżby teraz uczynił Japończyk? Sposobem dźiu-dzitsu powaliłby pierwszego, złamałby rękę drugiemu, roztrzaskał głowę trzeciego i spokojnie patrzył, jak ostatni będzie gnał, opętany zwierzęcym przerażeniem.

[Mangro był zjadliwy względem zwierząt].

— Francuz zaś rozpocząłby od Żyda: Sale guêlle que tu es! i z brodiagami zaśpiewałby Marsyljankę. Polak, po pierwsze nie wszedłby nigdy na cmentarz żydowski, powtóre zacząłby kłaść trzy państwa zaborcze, w których tamują i t. d.—wogóle: byłby niezdecydowany, czy zasłonić się boksem, czy krzyżem; co się zaś tyczy adepta życiowości Mangra, ten wie zawsze, gdzie wejść i kiedy rozmyślać. Zresztą nie trudzi się wskrzeszaniem umarłych—z tego powodu nie naraża się ludziom żyjącym.

— Tymczasem patrzmy, co robi wielki Prestidigitator! rzekł do siebie Mangro. Tygrysów umie strącać on wzrokiem w przepaść, lecz nigdy jeszcze nie czynił tak z ludźmi. Widzę stąd ich zwierzęce, przepite fizjonomie. Zakreśli niechybnie krąg i wyceluje w miejsce najłabsze każdego z nich pod zębami. Znamy się na tem. Wiemy, jak się zachowują mężczyźni np. podczas pożaru w Operze lub kiedy tonie parostatek. Biją i kopią, drapią i gryzą, plują i wyją — słowem budzi się w nich nie jedno zwierzę, ale cała menażerja. I to są zaiste najmędrsi. Co do mnie, wierzę publicznie w Opatrzność, ale piszę ją w myśli swej jako opaczność — — przez cz!! —

Teraz jednak Mangro zamienił się już cały z recenzenta, osądzającego zdala teren wojny — w widza, który, zapłaciwszy swą pezetę za miejsce na Toros, wie, że za sto pezet nie zechce się wmieszać do walki z rozwścieklonym bykiem. Lecz rozczarowanie jego było ogromne.

Mag szedł wśród brzoź wielkich przeredniałego lasu ku swemu Przeznaczeniu; za nim trop w trop włókł się zgarbiony, sędziwy żyd. Włóczędzy stanęli nad pustym grobem, płakali—i podawszy sobie ręce, złożyli jakieś przyrzeczenie. Komu? Grobowi pustemu—lub opatrznej myśli

losu, który, wiodąc ich do zbrodni, ukazał nagle ścieżynę miłosierdzia dla tych zatracieńców?

Mangro pośpiesznie zszedł z drzewa i biegł na spotkanie Maga, wystawiwszy nawet język i nieprzyjemnie rżąc.

— Mistrzu, rzekł, zaniepokojony jestem, bo pewne postępy w kabalistyce dały mi poznać, że wam zagrażało niebezpieczeństwo.

— Niechybnie zagrażało, odpowiedział Mag — wszakże niedaleko już Turowego Rogu, gdzie wielkie szczęście musi rzucać swój wielki cień. Skoro jednak włączysz na drzewo, pomnij nie zostawiać pod nim książki, bo mrówki wygryzły na niej przez ten czas jedno zdanie: tchórz jest ślepy! —

Stropił się Mangro, nie wiedział, jak to przyjąć, czy jako moralne oskarżenie, czy zwykłą filozoficzną sentencję, do której i on mógłby się przyczynić, znakomicie wystudjowawszy metodę analizowania z utworów literackich, które by nazwać można koprolitami *), bo zdradzają rekinowe trzewia swych twórców. Rzekł więc z prostotą Focjona, ostatniego Greka, który odmawiał sobie wszelkich praw do tryumfów:

Gnothi sauthon! wiem to, wiem aż do końca! jesteśmy istotami tylko mechanicznie rozsądnymi, bo wiadomo, że Descartes, Malebranche i Jezuita Athanasius Kircher odmówili zwierzętom wyższej mądrości, a więc i tak zwanej duszy. Przeto wyznam, że strach jest celowym urządzeniem w przyrodzie, osobiście też dla ludzi. Wy, Mistrzu, mogliście sobie nieraz pozwolić na szybszy spacer wobec zbliz-

*) Skamieniałe wydzieliny prarekinów, z których można poznać wewnętrzną ich budowę.

zających się pięści. Ale bądź co bądź udało się wam zgrabnie! Widać ubóstwo waszego płaszcza, tęgie dosyć bary, mina cudzoziemska, niewzbudzająca zaufania, a szczególnie kwiecista wymowa, którą zdołaliście tych nicponiów nie powiem wzruszyć, ale na chwilę zapiaszczyć im litością ślepią, może wreszcie Mesmera magnetyzm zwierzęcy, którym wstrzymaliście bieg krwi w komorach tych brudnych, robaczkliwych serc —

to było na ten raz wcale udatne!

Ale jeśli włóczędzy pójdą po rozum do głowy i zechcą mieć na chłodne wieczory jaką taką kołdrę z waszego płaszcza — i tu wpadną za nami —

to nom de nom! nie ofiarowuję się na opancerzoną kazalnicę waszą, z poza której będziecie im przewiercać wszystkie wątroby aż do sumienia. Moje skromne doświadczenie twierdzi, że raczej bądźmy tchórzami, a będziemy mogli jeszcze deptać ludzi odważnych. Uczynicie mnie swoim impresarjem, a potrafię sprzedać waszą Magję,—jak relikwę narodową. Każdy bowiem Mag powinien mieć przy sobie swego szarlatana, jak mówił Renan. Tak, tak, możemy jeszcze być rycerzami miękkiego łoża, okrągłego stołu i Monsalwatu z ładniutkich dam! —

Niewiadomo, czy Mag Litwor poddawał się dowodzeniom Mangra, bo, rozmawiając po hebrajsku ze starym Rabinem, słuchał jego roztrząsań o embrjonie, który zna 77 języków w łonie matki. Lecz kiedy stary rabin wspomniał Esterkę i króla polskiego, widoczny smutek wybił się na twarzy Maga; pytał o legendę, głoszącą, że oczy Kazimierza kazała Esterka wprawić sobie do pierścienia.

Tak rozmawiając, zniknęli wśród licznych parowów.

Mangro, spostrzegłszy się sam w lesie nieznanym, zrobił ze strachu wyraz poprostu niedorzeczny. Aby nie wrza-

snać głośno, przekonywał siebie jeszcze europejskimi logi-
zmatami, lecz cichaczem sam dla siebie myślał, że jedyna
rzecz mądra, to rzucić się na cztery łapy, księgę zwalić do
potoka, zadrzeć kiteę, kłapnąć zębami i, stuliwszy uszy po
sobie — smyrnąć w jak najgęstszy las.

Mag Litwor, przewidując, że to może nastąpić, wziął
już dawniej z pod drzewa kilkakroćtysiącletnią księgę i po-
niósł ją sam.

Teraz dopiero zauważył to Mangro; urażony do żywe-
go, postanowił dać dowód samodzielności artystycznej: usta-
wił kodak nad cichą zwierciadlaną kałużą i odfotografował
w wodzie swoją boleśnie wzgardliwą fizjonomję z rozwście-
klonemi oczyma, którym daremnie starał się nadać wyraz
mędrca dobrotliwego Sakja Muni.

Ktoby dłużej jeszcze chciał znieprawiać się, badając
w tym lesie Mangra, ujrzałby go rozmawiającego z czterema
bandytami, nakłaniającego ich do zbrodni: zaturkotał powóz,
ukazał się jakiś dostojnik, jadący z Murzynem na koźle.
Straszny krzyk — jęki — ... kałuża krwi wlokła się za mor-
dercami, którzy unieśli trupa do mogiły, wyswobodzonej
przez Maga.

Na uboczu został pilnujący powozu Mangro, który
przemówił kilka słów do Murzyna, będąc poliglota, w ję-
zyku Kisuahili — i ten jednym skokiem rzucił się na
ziemię, nogę Mangra położył na swej głowie i uznał go Fe-
tyszem.

Czarny syn Afryki i czarniejszy od niego Biały szybko
odjechali. Mangro zostawił kosz z jedzeniem i ratafją, niby
przez zapomnienie, w krzakach —

lecz nieznacznie dosypał trującego proszku, który miał
zawsze na detaliczną potrzebę.

Jadąc wygodnie powozem, rozmyślał nad małym Ejol-

efm i nad Kuglarzem, który umiał prowadzić na zatopienie bandę szczurów wraz z dzieckiem. Mały Ejolf to jest wogóle Polska.

Mag Litwor, rozstawszy się ze zmartwychwstałym Rabinem, nie czekał na Mangra, wierzył, że ten, jeśli nie mądrością, to poradzi sobie węchem.

Przeminął wzgórza i ciemne lasy. Nasłuchiwał; końcem krywuli kreślił na ziemi rachunek astrologiczny, wreszcie zakończył jedynym słowem: Ananke.

Echo okropnego krzyku.

Cisza.

Wzniósł wzrok na góry — niby na bramy mistycznego miasta Ragnarok, gdzie mieszkają demony.

— Tu więc jest moja zagadka, rzekł — tu most, po którym naród mam wprowadzić przed wyszlifowane zwierciadło przepaścistej jaźni, odbijającej prawdziwe ludzkie istnienie.

Jakaż błogosławiona kraina przedemną!

Bór szumi wieczną opowieścią jodeł, świerków i modrzewi; wielkie katedry wniebowziętych gór. Wędrowiec, którego trupa spotkałem w jaskiniach podziemnych, zaiste wzywał mnie, niosąc swastikę Wyzwolenia.

Magiczna Trójca posiada klucze do wszystkich serc (prócz swojego)! Zbudzeni, powiedziemy naród po ścieżynie wysokiego Światła. —

Ujrzał na wznoszącej się mgłę odbicie sfinksowe góry, tak wyolbrzymiałej, prawiecznej, pełnej tragicznego mroku — że jął modlić się do kogoś w tych gorach, jakby tam zaiste była już grotta Jedynego.

— Wielki Tajemniczy Duchu — wprowadź mnie do nocy głębszych, do tych bez wyjścia polskich otchłani!

Wielki Duchu, postawiłeś na mojej drodze mistyczny ołtarz Polski, którego runów odczytać nikt nie może, kto nie jest już po tamtej stronie Wyzwolenia.

Wielki Duchu, mówić będziesz do mnie z ksiąg tajemnych Turowego Rogu — z tych wielkich stronic życia, zdobnych w ludzkie minjatury — z tych legend o duchach wzniosłej piękności, — z tych zbyt gotyckich śmiesznych ułomnostek — z tych astralnych wieżyc, z tego precudownego, niezamieszkałego ogrodu Tatr, z tych zwierząt apokaliptycznych, z tych ludzi, którzy błędzą już za kometą Biela lub siedzą nad kraterami w protuberancji słońca.

Ludzie, którzy tam żyją, zasluchani są w poszum morza wieczności, przerywany wprawdzie lichą grzechotką troskliwego dnia, albo narodowym nieszczęściem, które jak kula armatnia wryje się w puszcę przed oczyma zdumionego żubra...

Otoczają jeszcze ich lasy puszcza wspaniałą tu i owdzie prapatrzańską, dusze wnoszą się, jak menhiry wszystkich niemożliwości szczęścia i najwyższych dopełnień tortury.

Oto już widzę ogrojec Turowego Rogu!

Wieczór już był, kiedy Mag Litwor wchodził w zarośla wielkich sosen nad skałami u morza. Fosforescencje pian na głazach nadbrzeżnych roztaczają się w dali królestwem bezbrzeżnego modroszafiru. Usłyszał z za muru, przez który przewieszały się mroczne zielenie jodeł, szalający śpiew:

Zachodzi słońce z mego ogrodu,
przyjęłam w morzu modrym chrzest,
wiosennego pełen chłodu...
Usłyszałam, że Duch idzie — i już jest!

IV.

MASKA I MIŁOŚĆ.

W bliskości Zakopanego znajdowało się Kasyno zabaw. Wśród iluminowanego podwórca i licznych zabudowań stały furki i powozy góralskie, wyczekujące gości.

Na bramach spodziewał się Mangro znaleźć napisy, głoszące wartość cywilizacyjną domów gry i rozpusty pod wspólną dewizą:

„*Sine arte luxuria est bestialis et vita odiosissimum taedium*“^{*)} jak to widział w Ostendzie.

Lecz nieumiejętność czynienia *pointe'y*, nawet w szelmostwach, odznacza naród polski; to też Mangro, wysiadający z powozu, wzgardliwie się uśmiechnął, widząc, jak prymitywnie inteligencja krajowa „nabiera sił i cery” w drewnianych spelunkach.

Ominąwszy długi budynek, wszedł do parku świerkowego, gdzie znajdowały się pawilony, i służącemu kazał roztworzyć apartament — właśnie pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia z Lourdes.

Mangrowi sprawiło nerwowe zadowolenie, gdy drzwicom rozwarło obok białego z niebieskim posągu, przed którym płonęły kopcące lampki.

^{*)} „Bez sztuki zmysłowość jest bestpalstwem, a życie nienawistną nudą.“

Uchylił Mangro kapelusza i wrzucił do puszek na kaplicę Niepokalanek tak ciężko zabrząkłego florena, że słuchający, jak wryty, wpatrzył się we wspaniałego, pobożnego pana.

Mangro, nie opuszczający nigdy sposobności zbudowania innych swą osobą, rzekł:

— Uważasz, garson, że ja przez trzynaście lat w dzieckich krajach byłem pozbawiony duchowych pociech, choć (mówię to bez wstydu) niejedną pociechę zostawiłem w murzyńskich korallach. U nas mówi się: „dziecko przychodzi na świat”, Włoch już powie otwarciej: *io fatto lui un figlio*. Ja, uważasz, ojcu świętemu Leonowi XIII proponowałem, by ten ideał niewieści niedościgniony stawiać w każdym miejscu, gdzie człowiek grzeszny mógłby, nie grabiąc po drodze innych, wrzucić do takiej puszek nabożnej automatycznej franka i, wyciągnąwszy za to bilet na loterję, przy pomocy onej Poczestycielki znędzniałych, dorobić się przyzwoitego majątku. — *Vivat Polonus solus defensor Mariae!* tak mi rzekł na to papież, wielki reformator.

Służący pojął widać to nowe rozwiązanie biedy na świecie, gdyż, schyliwszy się w kabłąk Jaśnie Panu, wprowadził go do trzech pokojów, uważając, iż mniej Baronowi zająć nie wypada — — —

Tym wstępem kronikarz „Nietoty” ma nadzieję zaskarbić sobie względy poważnej części naszych czytelników, bo daje dowód, iż umie malować nasze stosunki obyczajowe i nie zawsze lata w mistycznych zachłaniach.

Tak, to tak — nareszcie można było przy pewnej wrodzonej inteligencji odgadnąć, jak się robi u nas powieść — ale już Jadwiga królowa pytała: „któż biednym zapłaci ich łyż?” I któż kronikarzowi zapłaci jego autoznudzenie?

Może on teraz chciałby opiewać Zolimę, idącą wśród gaju jodeł, kiedy z niedalekiego kościoła na Ave Maria biją dzwony, nawołując, iż jest już godzina wieczorna i należy śpieszyć na wieczerzę —; może on teraz chciałby usiąść na siódmym od ogona kręgu Węża Tatrzańskiego i pogwarzyć z dziwożonami w chmurach, tam — pod baldachimem z najdrogocenniejszych, lecz wraz i bezpłatnych zachodnich świateł, rozsianych na wiekuistych z epoki Sylurskiej głazach? może poprostu chciałby żyć w swojej wygodnej willi piekielnej i nie mlec tych ciężkich żaren z głupią ludzką mąką?... Ale cóż, jeśli bez tych zasług obywatelskich byłby to poemat, a nie powieść! Ucieszą się nareszcie nasi Arabowie, gdyż to będzie kasza, a nie djamenty — zaiste chwalebne wyzbycie się impertynenckiej pozy być wzniosłym!

Allons, wesołym krokiem do Rabagasowskich biesiad, gdzie maska będzie włożona cencie, a obłuda podniesiona na piedestał! Patrzmy na góry odwrotnym, t. j. pomniejszającym końcem lornetki; tonąc i zachlipując się w polskim przemierzłym bagienku, przysiadźmy się do Mangra i studjujmy go z zachwytem, gdyż on jest tym, co zwycięża — mając wypróbowaną mądrość lisa i tasiemca.

Odprawił on służącego i, rozkładając kufry, był tyle uprzejmy, że mówił do siebie sam, przed lustrem, półgłosem, ale właśnie dość wyraźnie, aby wszędosłuchu kronikarskiemu mogło wygodnie stać się zadość.

„Wiem, że jest to, po rozsądnemu biorąc, szaleństwo. Zagrabiwszy powóz i majątność jadącego w Tatry barona Rabsztyńskiego, od tej chwili mam grać przed ludźmi jego osobę. Wprawdzie narażam się, że Mag Litwor — Noe współczesnego potopu — niby wielbłąd rozwścieklony wyrzynie na mnie długo przeżuwaną w swych wielu żołąd-

kach sumienia i odwiecznych sprawiedliwości magmę oszczerstw. Lecz któż są magowie, a kim jest Mangro?

Tamci są niedokonaniem wszystkich rycerskich dywincji i bredów Don Kichota, Merlina, Prospera, Parsifala i t. p. kontemplarjuszów. Mangro zaś dokonany projekt Sanczeza Pansy na gubernatorstwo ziemi.

Dopóki świat trzyma się w swoich mechaniczno-fizjologicznych zasadach, Sanczos Pansowie będą rządzili Magami. Osobliwie dziś, gdy szubienica, gmach giełdy i kapeluszy kokoty górują nad ludzkością, zamiast dawnych hekatomb, przez oświecony Mangrowizm z budżetu ludzkości wymazanych”.

W wielkim apartamencie, który zajmował Mangro, blask lampek elektrycznych, ustawionych w kryształowe kwiaty, rozsiewał mrok, a mimo to — wszędzie tam, gdzie przebywał Mangro, zgęstniał się mrok współczesnej świątyni złego.

Kto nie wierzy w zło metafizyczne, kto stawia zło, jako socjalne pojęcie tego, co jest nieużyteczne dla gminy lub dla gatunku, — dla tego Mangro będzie tylko nieodprawowanym proboszczem! Lecz kronikarz ma za honor mieć inny pogląd na tę sprawę, ale nie widzi potrzeby wyklądać go szeroko i długo. —

Mangro rozchylił kufry.

Pożądliwie wziął do rąk cudne tkaniny berberyjskie, karapetniaki z kości słoniowej i złote Fetysze z nad jeziora Njanza; prawdziwe skarabeusze, których tajemnica lazurowości zaginęła; rubinowy posążek bogini śmierci — Amenti; fotografie Karnaku i wspaniałych greckich twarzy z grobowca Kere; akwarelę tego głazu na szczycie piramidy Cheopsa, o którym wspominał Słowacki w Podróży łódką po Nilu, że Polak na nim pisał płaczem.

Istotnie ryty był ostrzem napis, jak śpizowy wiersz Simonidesa w Termopilach:

— PRZEKAŻCIE WIEKOM NOC 29 LISTOPADA 1830 R. —

Uwagę Mangra pochłonęła księga rachunkowa na złożony milion dwieście tysięcy funtów w banku londyńskim.

Spełnił się jego oraz wszechludzki ideał zostania milionerem.

Jego Wille zur Macht miał już realną podstawę. Mógł teraz, jak święta małpa w Benaresie, biegać po wszystkich ogrodach, zrywać wszystkie owoce, i nikt nie będzie śmiał oberwać mu pysków. Miljoner... to, czym dawniej był rycerz w zamku... pasowany przez „Rzymskiego” króla, wystający „na tarasie z kuflem w ręce i patrzący na rzekę, czy nie płynie szkuta kupiecka, tęgo naładowana, z której wół, beczułka małmazji albo kunsztowny pancierz przechodził wnet, jako okup, do skarbcza pana Rittersa“. Lecz Mangro nie lubi staroświeckich analogji. Mangro, możny swym złotem i zbrojny w wiedzę: z nienasyconym apetytem, uśmiechnięty tasiemiec w tłustych wnętrznościach losu, świat ma za zbiegowisko schodzących się i rozchodzących dynamicznych sił, których centrum stanowi on jeden. Ani przedtem nie było niczego, ani potem nie będzie nic.

Wygodnie i z elegancją odziewszy się w jedwabny szlafrok, zasiadł przy biurku, by czytać w szkatule przechowane listy. Z nich dowiedział się, że baron Rabsztyński spędził długie lata w Transwaalu, hodując stada baranów, siejąc zboże, kopiąc węgiel i djamenty, założył tam miasta fabryczne, mnóstwo osad i koleje.

Ze wzmianki jednego listu do matki można było sądzić, iż nieszczęśliwa miłość wyгнаła go w te dale, że tam

wyjechał ubogi, a stawszy się majątnym, wraca w Tatry, aby wyrwać je całe z rąk cudzoziemskich. W korespondencji handlowej był z panem Muzaferidem, inżynierem, który niegdyś udzielił mu materialnej pomocy, a teraz razem przemyślali o zajęciu wielkich pokładów węgla kamiennego, od Krakowa w stronę Kalwarji; pan Muzaferid utworzył już wielkie kopalnie pod Tatrami, dobywano antracyt, olej skalny i ametysty.

Rozpisywała się matka barona o nadzwyczajnych zaleczeniach Zolimy, córki Muzaferida, i zaklinała syna, aby przed jej śmiercią połączył się związkiem szczęścia z tą śliczną i mądrą panią. Wprawdzie ta ostatnia, przebywszy stację doświadczalną na pożytku swoich rodziców — państwa Muzaferidów wówczas, gdy p. Muzaferid był gubernatorem w Samarkandzie i ożenił się z cudną angiolką — uznaje, iż wogóle familja jest zabytkiem epoki krzemiennej, i sama więcej żyje w sleepingu, niż w muzułmańskim zamku Muzaferida nad morzem...

Zolima czasem odwiedza Turów Róg, tam żyje u bardzo tajemniczej istoty, pani Ameńskiej, lub też wyjeżdża na swą wyspę, o ile nie doppinguje się na przyrodzie w Marburgu, nie odpycha spojrzeniem studentów na lekcjach socjologii w Londynie, nie uświetnia laboratorjum Curie-Skłodowskiej w Paryżu, nie prezyduje na konferencjach emancypantek w Sztokholmie lub Abo.

Zresztą o pani Ameńskiej było mówione wiele gorzkich uwag, iż odsunęła się od niej arystokracja z powodu zbyt rewolucyjnych poglądów, iż jej patriotyzm staje się obrzędem druidycznym, spełnianym wśród lasu w jakiejś mistycznej przednocy św. Jana. Turów Róg jest wprawdzie doskonałą szkołą polskości, ale na Zolimie owa egzaltacja ducha wywiera skutek wręcz odwrotny, mianowicie stara

się ta dziewczeczka wszystko czynić *à rebours*, niż radzą Miekiewicza Księgi Pielgrzymstwa. To znów może tylko umiarkować syn ukochany, wsławiony w wojnie Boerów bohater, ten udowodni ukochanej Zolimie, iż nie należy pozbywać się szczęścia małżeńskiego, które leży w intencjach Boga i Ojczyzny, a jak to precudnie dowodzi w swych utworach Mistrz Teodoryk. W imię Boże, przyjeżdżaj, mój ukochany Hektorze! oddawna modłę się o to szczęście, abym pieściła moich wnuków, owoc twego namiętnego szczęścia z Zolimą. Już wysyłałam wam śliczny parawan” — —

Mangro począł się śmiać swym kwiczącym śmiechem. Wyjął bluzę wojenną i kapelusz z ogromnym rondem, nastrojał się do bohaterskich póz. Tarł ręce długo w doskonałym zadowoleniu. Z fotografii panny Zolimy poznał, że ją spotykał w Osfordzie, gdy kręcił się w towarzystwie wesołych kotów, pozostałych po helleńskim lwie Oskarze Wildzie, zamkniętym w więzieniu. Wszystko Mangrowi idzie, jakby napędzone na strzał.

Zakumkał znów z radości, lecz wnet się pohamował.

Wiedział, iż śmiech nie stanowi jego strony przyciągającej — był to jakiś przeżytek czasów homosimiusowych, gdy można było powiedzieć, iż ludzie rechotali, rzeli i szczekali zamiast się śmiać.

Należało przejąć się i całą postawą wyrażać powagę, idąc na zdobycie Tatr, panny Zolimy, mając paść do nóg hrabinie matce i oczarować cały dwór pani Mary Ameńskiej.

Wydobywał Mangro z własnego już puzdra różne blaszki megnetyczne i maski — jedyny artystyczny kunszt.

Magnetyzm poznał w spelunkach wschodnich, oraz zajmując się teozofją w królewskim towarzystwie; sztukę maskowania wyćwiczył, służąc u księcia truciciela de Marny.

Gdy książe, oplakiwany przez Paryż, leżał w trumnie, Mangro zdjął mu z twarzy maskę dostojeństwa.

I wtedy ujrzano straszne oblicze.

Ośłupieli mówcy, wracający z katedr gotyckich i z parlamentu, widząc bez maski dziką i wstrętną twarz wychwalanego księcia Brutusa, najlepszego syna Francji.

Był to zaiste Dorjana Grey'a prototyp, który natchnął Wilde'a do barwnej, w mistykę wchodzącej powieści.

Mangro zniknął, unosząc ze sobą tę maskę szarą, jakby z przędzy pajęczej utkaną. Odtąd twarz jego była zagadką dla tych, którzy widzieli w nim gienjusza-żwierzę ludu, Bramina anarchji, Judasza nowej przyszłości, Giles de Raitz'a, sprzedającego kamloty damom, kelnera, operującego miljonami w Banku Narodowego Zaufania, złodzieja-lorda, kradnącego kolczyki szafirowe pięknej Brazylijce, kaznodzieję nowej gminy Kainitów — i tak dalej.

Niedługo jednak oddawała mu maska nieocenione przysługi: wychodząc raz z opery w Londynie, gdzie w loży ambasadora niemieckiego uzyskał przyrzeczenie orderu za utworzenie towarzystwa polskich Junkrów Czarnego Orła, — wychodząc z tą nadzieją i koncesją w kieszeni na kolej między Zanzibarem i Kamerunem — Mangro ujrzął trzech dżentlemenów, którzy prosili o grzeczność zapalenia odeń swych cygar.

Zapałając, wcisnęli mu maskę z chloroformem na twarz i nieprzytomnego wiedli uprzejmie pod rękę, jako swego podpitego towarzysza. Ocknął się w Hyde Parku bez maski chloroformowej, lecz przypadkowo — i bez swojej własnej; z dziurawym bokiem od noża i pustymi kieszeniami.

Pierwszy napotkany detektyw zaopiekował się nim, lecz szukając przeszłości takiej twarzy, jaką miał bez maski Mangro, wpadł na różne rewelacje; okręt, idący do Nowej

Kaledonji, musiał z nich zrobić najwłaściwszy użytek, zabierając Mangra ze sobą, zakutego w kajdany. Wiemy już, co nastąpiło dalej.

Uzyskawszy bezpieczeństwo przed policją, dzięki Magowi Litworowi, Mangro postanowił szukać po świecie maski swej, jakby djamentu brahminów. Noce nie spał rozmyślając, że zapisze się do policji i będzie szukał owych trzech dżentlmenów.

Jakież było fascynujące wrażenie, gdy pewnego razu, stojąc w soborze Izaaka za Magiem Litworem, ujrzał, iż na wzrok Maga maska opadła z twarzy wielkiemu Wezyrowi i zakrystjan wymiatał ją wraz ze śmiećmi z soboru.

Potentat bizantyjski szukał po soborze zgubionej maski, którą Mangro szczęśliwy ścisnął już w swej kieszeni, i zbożnie ocierał z pyłu. Potentat tejże nocy umarł. Miał odtąd Mangro niepojęty dreszcz przed Magiem Litworem.

Po latach wędrówki teraz dopiero Mangro odważył się maskę przymierzyć — tu w kasynie zabaw dla polskiej inteligencji.

I zaiste była ta maska kunsztem nielada. Wyrobiona przez Czarodzieja z masy elastycznej, przylegała do twarzy, zachowując mimo to własny kształt, nadany jej przez magnetyczne wpatrywanie się. Nabierała ona ruchu i życia od każdego drgnięcia woli, była zdolna reprezentować wybrańców ducha i fortuny, umiała czarować cynizmem hr. Requine d'Ora, zarówno jak patetyczną wzniosłością autora „Z rozmyślnych niedoświadczeń”; udawała miłość z „Fuoco” d'Annunzia i miewała gromy Wilhelma II w brwiach. Miała oczy głębokie, jak butel szampańska Wdowy Cliquot przed lodowcami w Sils-Maria i wargi jej uśmiechnąć się mogły, jak precudne zuchwy bankiera, przedstawiającego

Demona Koprolatrij, a tworząc całość polskiego Barnum Jonesa.

Mangro, włożywszy na twarz, zaczął ją magnetyzować wolą swą na barona Rabsztyńskiego. Potem czytał mądrą i przemyślaną książkę Stirnera: „Jedyny i jego własność”.

W tym lesie, okalającym kasyno, gdzie rozlegała się muzyka rautu, siedł znany nam już tatrzański marzyciel.

Huczna muzyka i okrzyki wodzireja tańców, który wołał: panowie i damy razem! albo: changez les dames! mało pozwalały wyczuć głębię i ciszę tatrzańskiej nocy.

Mimo to Arjaman grał na harfie, którą tu wziął chyba dla ironji: żyjąc w górach nad morzem, uzyskał wielkie królestwo, obiecane samotniczym duchom — złudzenie, iż poza nimi jest również królestwo duchów!

Siła jakaś demoniczna pchała go ku tej sali, gdzie odbywał się kwartet: precudowna Kreuzerowska sonata Beethoven, którą wysłuchał, stojąc za oknem.

Wszedł do sali przyćmionej, orkiestra rozpoczęła grać z „Tristana i Izoldy” akt ostatni. Tłum ludzi nie dyszał, wsłuchany w szczęście i męczarnie miłości.

Łkały skrzypce, szumiały burzą morską trąby i pużony, flety, jak mewy, biły o kamienne filary zamku, które wyrzeźbiała muzyka organów. W niebie krążyły wielkie wichry, zmiatające wszystko, co było chwilą i doczesnością: w dwojgu ludziach naradzała się metafizyczna głębia pewności, że byli jeszcze przed dniem Genezyjskim świata.

W dwojgu? nie.

Odziany paprociami, wsparty o harfę królewicz z bajki
stał w półmroku sali —

on, który wczorajszego wieczoru przed lodowcami my-
ślał o samobójstwie —

teraz rozwierał naraz Bramę metafizyki ziemnego
szczęścia.

Dotąd Arjaman olbrzymią swą wolę życia poddawał
wewnętrznemu nakazowi wyrzeczenia się.

Pragnął, jak nikt — miłości i królewskiego panowania,
lecz uciekał przed miłością, a królewskie panowanie zapalał
w takich pustyniach, że z tego istotnie — jeśli nie Królowi
Wężów — to ludziom był śmiech.

Teraz on zstąpił ze swych lodowców —

i tu był wśród sali, gdzie tysiąc ludzi zamkniętych
w labiryncie muzyki, rzuconych na wszechwładztwo Mino-
taura Żądy, wyciągało ręce do zjawienia owej chwili, która
jest u poczytynych romansopisarzy wszystkiem!!

Królewicz w paprociach patrzył w mrok —

i nagle odwróciły się oczy, wspaniałe morskie oczy
kobiety przedziwnej, zaczęły się wświecać w jego serce.

Kronikarz piekielny, który te dokumenty ludzkich
dusz przegląda i notuje, nie może powstrzymać zgrzytliwej
złości przed nielogicznością umysłu mistyka, który projekcją
metafizycznego lśnienia we własnych myślach rozkoszuje
się, jako zjawieniem kometo-kobiety.

Zanotujmy: nigdy miłość nie bywa wzajemna; nigdy
nie spotykają się ci, którzy istotnie mogą potęgować w so-
bie wzajem pęd ku piekielności, czyli uwspanialić wolę Ży-
cia; miłość jest zjawiskiem, mającym początek i rozwój w każ-

dej istocie oddzielnie. Innej płci istota wchodzi w krąg bengalskiego ognia i oto jest: zjawiona!

Dama, która wpatrywała się w naszego marzyciela, nie była ani lepszą, ani gorszą od innych siostr swych. Na razie zapomniawszy o sprawach życiowych i praktycznych, wpatrywała się w oczy namiętne, szalejące, tragiczne tego bądź co bądź przystojnego mężczyzny, który w mroku, otulony paprociami, z dyskretnym połyskiem harfy — był interesujący, jak aktor w fantastycznej komedji.

Lecz proszę wytłomaczyć, dlaczego ten — zresztą logicznie rozumujący przy lodowcach (patrz „Wieczorne Pustynie”), melancholik, uginający wszelkie kanony wiary i miłości, teraz nagle staje się jakimś różokrzyżowcem z XIII wieku, wierzy w magję i w spotkanie dusz nad głębiami, twierdzi, iż był kiedyś Gienezyski dzień i oni tam byli!! gotów przysiąc, iż to Ona — właśnie ta Jedyna, Wieczna — przemawia przez te oczy panny z dobrego towarzystwa, która pysznie zgrała się w lawn-tenis i stąd czuje mocno bijące pulsa w swym splocie słonecznym.

Trzeba poprostu być analfabetą nauki zdrowego rozumowania! analfabetą, panie Arjamnie, i w tym znaczeniu iście Ramą i Waligórą, poprostu wirchem Durnym! Może ochłodzi cię prosty przebieg dalszych faktów?

Wszedł wytworny dżentlmen o twarzy nieruchomej nowoczesnego *Arbitra elegantiarum*, z dodatkiem wyrazu takiego pana, który dokonał *Umwertung aller Werthe* z powodzeniem, t. j. uzyskawszy dla siebie abstrakcję w postaci $X + \lambda$ milionów, złożonych w banku.

Nietscheanista z piorunem na czole, z kędziorami lwa na barach, ze szpilką w krawacie pięć tysięcy lat mającego rubinowego posążka bogini Amenti!

Tymczasem muzyka wiodła domniemanych kochanków na tortury szczęścia. Mówiliśmy już, że Zolima spojrzała w oczy królewiczowi — władcy mistycznych bredów — ze zdumieniem: ujrzała paprocie nad jego głową i wzrok nad miarę dumny, jakby się nie dopraszał, lecz dopominał — o to, co świat rzucił w kął jaskini między śmiecie, jak Mag rzucił tam zbrodniczą maskę —

o to, co było jego kapłaństwem i religją jeszcze niewypowiedzianą —

o Miłość!

Zolima, kiedy błysnęły elektryczne światła, ujrzała dokładnie zaiste dziwaczny, choć piękny strój; kiedy uświadomiła sobie ten wzrok, który był sonatą z płomieni luciferowych — kiedy wreszcie ujrzała harfę, zrozumiała naraz wszystko:

to liryk tych przywidzeń, które traktują życie, jako Otchłań.

I kto wie, czy nie uległaby w jednym momencie całkowitemu przeobrażeniu, jak św. Paweł w drodze do Damaszku, przeobrażeniu pod wpływem wysokiego magnetycznego światła, gdyby nie obecność Mangra; ten ciemny przyrządczacz filtrów, narzucił jej swą aureę, tworząc zmysłowo-rzeczny, poziomy tok rozumowań.

Z uśmiechem odwróciwszy się, pomyślała, że są przecież lirycy, logicznie myślący o kobiecie, miłe erotopsychjany, a zresztą niech devil weźmie wszystkich liryków, psychomistyków, filozofów! Miłość — czemu nie ma być ona w doskonale leżącym kostjumie, z rentą fabrykanta dział lub inżyniera rosyjskich kolei państwowych z orderami ministra austrijackiego, z willą prefekta prowincji we Francji i godnością lorda ekonomisty, poprawiającego byt robotników w Manchester? — Nawet nasz polski aktor prowinc-

cyjonalny, lecz mający tężyznę woli, energję czynu, czekają-
cy tylko momentu, aby wyjść na światło dzienne i wraz
z partją, rządzącą w kraju, wypłynąć, jako poseł, potem
premjer, potem — epuzer milionowej panny — no, wy-
starczy. Wtedy panna Zolima widziałaby też jasno swój cel:

agituje, pisze, żyje w wielkiej i ożywionej sferze sto-
sunków, traktuje miłość *en passant* przed snem w ładniut-
kiej sypialni, czasem nawet do kuchni wbiegnie i coś ugo-
tuje z książki angielskiej — pudding! lub coś niezwyklej-
szego —

będzie miała olbrzymiego psa koniecznie z rasy masti-
fów, będzie jeździła konno w kostjumie modnym wśród las-
ku Bulońskiego, a choćby w Alei Ujazdowskiej; słowem —
będzie żyła, jako *lady moderne*.

I będzie mogła nie dbać o męża; mąż musi całymi
miesiącami oddalać się od niej, zajęty bussiness'em, ona bę-
dzie mu wierna. bawiąc się z miłemi, wykształconemi pan-
nami lub pracując w bibliotekach i labolatorjach z tęgogło-
wymi docentami i profesorami; słowem, będzie brała życie
par force, polując na lisa t. j. na przyjemność, a goniąc
śladem pokrajanych i rozrzuconych papierków przez rowy
i płoty, przez żyta i mokradelko, aż pierś rozszerzy się
w tęgą amerykańsko-polską *lakto-fermę* wzorowej matki! —

Być poważną, lecz nigdy tragiczną, być mądrą — nigdy
delficką; być wesołą — nigdy wniebowziętą!... *last not least*,
kobietą być wyzwoloną — uczucia swe i myśli przesiać przez
dokładne sito badań o małżeństwie Morgana, Spencera, Fo-
rela i Konica, poznawszy dziedzicność, psychjatrię sądową
prawo kanoniczne, żyjąc wreszcie dużo z ludźmi, którzy je-
dni są hermafrodytami, inni urgiastami, inni używają nor-
malnie swych żon... —

Wieszczka Mara przy lodowcach opowiadała Arjamanowi

o grobowcu Julji w Weronie. Poszła na cmentarz, pełen cyprysów, eukalyptusów, pińji żałobnych, platanów i złocistych akacji.

Ujrzała sarkofag tej panny Kapulet — w rodzaju wyżłobionego kamiennego koryta — tam Anglicy nawrzucałi biletów wizytowych; daremnie kwiaty i drzewa starały się ukryć tę ohydę swemi więdnącemi liśćmi. Była to jesień. Z poza obłoków błysnęło zachodzące słońce. Rozogniły chmury i zakwitły dziwnym życiem; grobowiec zarumienił się krwią rozkoszy; blaski nadały niespodzianych głębin cmentarnym cyprysom. Na jedną chwilę Romeo wychylił się z mroku — wtem słońce zgasło, chmury spopielaly, zrobiło się gorzko i zimno, w mrok wstępował młodzian na złowrogim tle w kurcie łosiowej, niby w zbroi, opięty pasem ze stalową kłamrą, silny a melancholijny, o twarzy Druida, jak to widziała na małym obrazeczku Al. Gierymskiego.

Znękanie romantyczne nie trwało długo na twarzy panny Muzaferid. Teraz ona wpatrywała się w dżentlmena Mangra, jakby on był sąsiadem landlordem, którego zdawna była ciekawą poznać.

Muzyka wzbiła się płomieniem ofiarnym aż po niebo.

Dżentlmen, spojrzawszy w Zolimę, przechylił się i parę słów wyszeptał. Arjaman usłyszał tylko: „Oksford — Pani pomni na statku na Twent w Szkocji” —

poczem ręce ich dotknęły się swymi pierścieniami — Zolima była blada, jakby jej się robiło słabo — dżentlmen znów się nachylił, ona skinęła głową, powstają —

i wśród oburzonej sali której przerwano słuchanie, szli —

on ze spokojem prawdziwego globtrottera, ona, jak Fe-

niki, lecący w krwawą czeluść, gnany dantejskim wichrem nad otchłaniami.

To ostatnie „jak” należy się oczywiście poetycznej wyobraźni królewicza, który przyslonił twarz, przypadł nią do kolan swych i patrzył, jakby tam u stóp jego rozwarły się głębie nieznane niesłychanego bólu.

Arjaman na swe nieszczęście nie spotykał się dotąd z Magiem Litworem. Dopóki żył w puszczy, uczucia jego były wzniosłe, jak niebo, tęgie — jak jodły. Lecz dostawszy się w tłum ludzki, uległ naraz zamieszaniu i korrupcji. Arjaman bowiem nie był jeszcze adeptem duchowej wiedzy — był tylko psychikiem, który nie kształtuje świata, lecz ulega jego wpływowi. To też w marnej ironji nad samym sobą, wmawiał w siebie, iż powinien był iść do krawca, zamówić doskonale leżący tużurek, złożyć wizytę tym swoim znajomym, u których bywała panna Zolima, nareszcie prosić ją o pozwolenie bywania w domu jej rodziciela, poczem, w razie, jeśliby panna była wzajemną — z żoną Zolimą zamieszkać choćby w Wenecji i odbijać laury panu Pumpernicklowi, który rozbija się w czerwonym fraku, ze sforą 17 sybirskich chartów i rzuca pieniędzmi Contessy X, której jest poufny przyjaciele. Ten utalentowany fryzjer ma się za brata Homera. Arjaman mógłby pokusić się iść drogą taką w życiu, zostać głośnym literatem, bo zapewne te wszystkie jego fantazje wśród lodowców, samotne wystarczanie sobie znamionują człowieka talentu. Tylko należy, jak francuscy noweliści, spojrzeć na kobietę, jako na Petite Sécousse, zacząć spieniężyć się, umieć siebie wystawić na witrynie świata. Wtedy może Zolima...

W malignie rozpaczy wyszedł przy kończącej sonacie, nie widząc dokoła siebie nic — huczał w nim potężny strasz-

liwy Atlantyk miłości, w którym dwa obłądne Malsztremy świeciły: jej oczy.

W mroku usłyszał odjeżdżającą karete, tupot koni, od latarń piekielniały kare łby końskie, rozpierał się Murzyn na koźle.

Zapytał Arjaman odźwiernego, który skrzywił się, ujrawszy jego chmurną twarz i podciemniałe zamogilne oczy.

— Pojechali nad morze do zamku pana Muzaferida.

— Kto jest ten Anglik?

— Baron de Mangro Rabsztyński, który przyjechał z Astralji... Wszystkie ma kopalnie, zakupuje Tatry. —

Nie słuchał już dalej Arjaman o „astralnym” kupcu Tatr. Szedł obojętnie, milcząco wśród wielkich nieruchomych smreków, które są wspaniałymi drzewami, choć nazywają się marnie. I dlatego Arjaman zwykł był las iglasty, ze świerków, modrzewi, jałowcowych krzewów i jodeł złożony nazywać ogólnie jodłami.

Szedł więc wśród jodeł.

Tu my, kronikarz piekielny, musimy wyznać, iż, jak maturzyście, który się obcina na egzaminie, przez koleżeńską uczynność zaczęliśmy podpowiadać sentencje, mogące go zbawić z opresji, prosząc aby zachował choć krztę jeszcze przytomności umysłu.

— Jest wysoce nieprzyzwoite, aby się znęcać w swym sercu nad osobą, która nie miała żadnej racji klangorem żorawi siostrzanych odpowiadać na twą ligawkę, panie Arjamanie, pasterzu obłoków. Ten świat, od którego odsunąłeś się aż na morze Pratatr, teraz szydzi z ciebie swym prostym kalkulem: małżeństwo zawiera się przy pomocy kopalni, wsi, kamienic, rent, dożywoci i t. d. dla Gaya scienza hotelowych rozkoszy w Monte Carlo i Nizy, dla prowadzenia

domu i robienia przyjęć w Warszawie lub w Wiedniu. Małżeństwo jest społecznym odruchem zwierzęcia w kierunku najzłośliwszej banalności, ubranej w pozór bezinteresownych uczuć.

Ten, kto wybrał los Mistycznego Rybaka, niech sprawi sobie jeszcze skafander i zapadnie na dno — w lasy koralowe — niech tę przechadzkę wśród feerycznego, szafirowego światła powtarza coraz krytyczniej i coraz płycej, aż przekona się, że baśniowe stwory tylko tam w głębi wydają się przedziwnymi, i gdy taki koralowy kandelabr lub rozchwieja wydobyta jest na wierzch — okaże się w ręku — brzydkie ziele, obślizgła żelatyna. Wtedy może Arjaman zrozumie, iż należy być rozsądnym! Zabawne, jeśli on to zrozumie, znajdując się już pod straszliwym ciężarem oceanu, kiedy pęknie gumowa rura — ciśnienie kilku atmosfer zacznie miażdżyć mu oczy — czaszkę!! — tak, otchłań nie wypuści już, chociażby chciał wtedy zostać rozsądnym obywatelem o cztero przymiotnikowym prawie głosowania!...

Zabłądził — willa?

Ciemno. Przez żaluzję w jednym z okien przedziera się fala światła. Na werandzie stoi postać wspaniale zbudowanej damy, która wyciąga ręce —

ździwiony królewicz w paprociach zrozumiał, iż jest wreszcie na serjo wybranym i pożądanym.

Dama otworzyła balkon, królewicz wszedł. Zobaczył, jak w „Metamorfozach” Owidjusza Meandry, Syleny, Bachantki —

tylko zamiast Djonizosa — był sędziwy król belgijski, a z nim Cléo de Mérode i różni generałowie du petit Cri Cri skandalu —

posągi wyszłe z moczarnych illuzjonów dzisiejszego dnia.

Wspaniale zbudowana dama w czarnej powłóczystejszacie stała blisko, wtulając go swym białym szalem.

Królewicz —

ale dlaczego komplementujemy bohatera naszego romansu tym arcyniepochlebnym tytułem ztrywializowanym przez panujące rodziny?!

I do tego królewiczem—Tatr? alboż mówimy tu przypowiastkę dla dzieci? Królem Tatr jedynym jest teraz Mangro, Arjaman niema ani jednej piędzi na własność w całej wszechświatowej ziemi.

Królewiczem — takim z ballady — jak np. może być król i królowa Wartogłowy, no — to przynajmniej znaleźliśmy określenie i należyte ujęcie wyrazu!

Wartogłowicz stał zimny i złowrogi, podszedł do wielkiego posągu Małpy i włożył w jej cztery ręce harfę swą.

Małpa była cudem amerykańskim zaiste, bo umiała czynić to, co należy czynić z każdym przedmiotem: świecę zapalała, dziecko nakarmiła, buty oczyszczała, kobietę gładziła, a na harfie — jeła grać.

I w jednej chwili poruszyły się w groteskowym tańcu wszystkie marjonetki, któremi bawiła się fantastyczna dama.

Małpa grała matczicza — marjonetki bachantek, papieży, królów posuwały się w nabożnym, wielkopostnym, procesjonalnym tanie. Małpa uderzyła w ton Mszy Żałobnej Palestriny — i marjonetka króla Leopolda poklepała po biodrach marjonetkę panny Cléo; Falstaff w tjarze przycisnął księżnę Dosię Drze Pościel do ostatniego muru wyznań, a polski współczesny Małpoźwierz z miłą gracją odśpiewał arję o tonie swych jelit wśród zainteresowanych dekadentek.

Wtem z niezmiernej dali rozległ się ponury religijny dźwięk gonga.

Arjaman rozwarł drzwi.

Księżyc, ten sam dobry wieczny Chrystus, mówił z nim — z tym niezawsze rozumnym, niezawsze przyto-
mym, niezawsze dobrym Nikodemem.

Dama wybiegła na werandę, milczała — a wtem papuga w klatkę nad oknem wrzasła:

— Czemu?

Wielkie, rozwarte oczy damy, łagodne, jak u pasącego się zwierzęcia, mierzyły zczerniałą i złą twarz Królewicza.

Papuga zaś darła się:

— Pan chce za dużo naraz — Pan jest niecierpliwy!

Królewicz (zostańmy już dla zabawności przy tej nazwie) usłyszał rozkręcanie mechanizmu —

z najwyższym zdziwieniem poznał, że i Dama była automatem.

Wtedy ją pogładził i rad był z czyjegoś tak wielkiego dowcipu.

Myślał, jak dobrze jest być wśród tych zdecydowanych mechanizmów — o ileż lepiej, niż mieć królestwo niepojętych aż do dna jasnowidzeń!

Dźwięk gonga rozległ się świątyniowym hymnem, harfa wypadła z rąk Małpy, zadźwięczawszy w złowrogim kassandrycznym rozjęku. Pręga bólu przeleciała po duszy Królewicza; przykrepowany do słupa męczarni, jak umęczony przez wrogów Irokez, śmiał się przeciągle, wspaniałe.

Śmiał się, widząc, że takie i tym podobne arcyłudzkie mechanizmy przyciągną niepohamowanie wspaniałą naturę Pentezilei.

Dlaczego obdarzał ją ogromem poetyckiego zaufania?

dłaczego aż królowa amazonek? dlaczego nie zwykle, dość naelektryzowane dziewczę? Co nam do tego? nam już zmarzłym w uniwersytecie piekielnym?

Królewicz niech żyje w swej poetyckiej Walpurdzie i niech mu się tam jaknajcudacniej układają miłosno-astralne materjalizacje, esencje i dekokty.

Natura jest zręczną stręczycielką, umie naszeptywać o gwiazdach takim astrologom, którzy wpadają w studnię — na dnie czeka ich małeńki Homunculus imbecilis, w razie spełnienia snów. W razie niespełnienia — kula.

Przed królewiczem Tatry rozciągnęły się melodją światłocieniów błękitnych, czarnych, popielatych, zielonawych —

płaty śniegu forforyzują na wirchach.

Księżyc z za chmur rozsiewa złote mżenia i wszystko nasiąka listkami złocistemi, jakby wokół przecudnej Danae. Na niebie aljaże chemiczne z wielu rozjarzonych metali na chmurach —

oto laboratorium dla myśli twych, samotniku!

Nie idź do tej, która cię odrzuci, nie rozumiejąc tak dokładnie, że choćby jej w 72 przekładach z komentarzami załączyć biblię twej duszy, ona, w najlepszym razie, kazałaby tę biblię ładnie oprawić i umieścić w szafce, aby jej nikt, ale to nikt jej nie ruszał.

Zapytana o wzajemność — zmierzyłaby cię wzrokiem trochę zmieszanym, lecz uprzejmie i chłodno rzekłaby:

— Panie? ja właściwie bardzo się śpieszę — —

Śpiesz się, śpiesz! na swym jachcie płyn w wodzie zatechłej, cywilizacją nazwanej — wibruj, z tym lub tamtym de Mangro Rabsztyńskim! —

Królewicz szedł nad morzem, nie czując, że palce pokryły się rubinowymi zagłębieniami na gwoździach harfy

„I przyszedł jako nędzarz do ogrodu pokazać serce, które więcej warte niż to, co mu za nie dawali na świecie ci, co kupują serca na tandecie”.

Nagle czoło wsparł o drzewo i łzy padały mu, z których się śmiał — na tę dłoń dziwnie krwawiącą.

Księżyc migotał mu w łzach i tak magnetyzował mu wyciągnięte w pustkę dłonie, że aż krew przestała z nich płynąć.

Waż przewinał po ciemnej trawie, niby płynący strumyczek z merkurjuszu.

Otoczający Kosmos był zaiste wielki groźny: lasy tajemniczyły się odwiecznymi legendami o zbójach, strachach i Królu Wężów wśród kamiennych, piętrzących się zwalisk tych gór, które w mroku wydają się niematerjalną kwintesencją mroku.

Po drugiej zaś stronie morze: płaczące mniej, straszne mniej, głębokie mniej, niż miłująca nieszczęsna dusza.

Królewicz szedł nad brzegiem szumiących fal.

Około północy ujrzał zamek Muzaferida. Most był zwiedziony, więc obchodził dokoła.

Na murach kładł głowę płomienną.

Wreszcie, wdrapując się na skały z niebezpieczeństwem najwyższym, namacał jakieś zakratowane więzienne okienko. Wyszarpnął kratę, wpadł do potwornych lochów — tam byli zgromadzeni robotnicy śpiący.

Porwali się, świecąc kagankami, nie rozumiejąc, skąd się tu wziął ten twór z instrumentem muzycznym, ten z rozpalonymi obłędnie, fioletowo w mroku iskrzącymi oczyma Skarbnik, duch kopalniany?

Nie badając dłużej, zamknęli stracha w sąsiednim lochu, zmówiwszy razem na klęczkach pacierz za dusze, w czyścicu cierpiące.

Zapadło wszystko w ciszę mroczną.

Królewicz tylko spoglądał na rosienie gwiazd przez wążki otwór okienny —

potem wszedł dalej w kurytarze, natrafił drzwi, podparł je ramieniem, wyleciały żelaziwa.

Wyszedł na taras zamku.

Wieże olbrzymie mroczniały aż gdzieś wśród chmur. Tam z wieży najwyższej żałobny głos — wśród mroku wielkich ścian płakał śpiew obłąkanego muezzina —

straszny, beznadziejny głos modlitwy do nieba, którego już zdawna w Polsce niema. — I zaiste, był to muezzin z zamku Muzafferida, lecz dla niewiedzącego o tem, zdawał się głosem jego własnej jaźni.

Królewicz uczuł ból serca tak straszny, że wychwycił wielki swój nóż do walki z morskimi potworami, groźnie zatoczył nad piersią swą —

jedna chwila, a wbiłby aż po rękojeść w serce.

Naraz wiekowego mroku skrzydła olbrzymie przypięły się mu do piersi. Nie swój ból uczuł — lecz mękę miłości kosmicznej. Oparł harfę o bastjon, grał wśród murów mrocznych, zapominając, w jakich żyje czasach! Książę Niezłomny, więzień w maurytańskich mazamorach, utracił wiarę w religję swej duszy i wyśpiewując to, zapadał w potworne, coraz głębsze piekła.

PIEŚŃ TRYUMFUJĄCEJ MIŁOŚCI.

— I tyle jedno pozostało mi szczęścia na tym bezgranicznym świecie, że mi dano czasem rozmawiać z gwiazdami.

Ja więzień — od całej wieczności lat przykuty do ścia-

ny, zmuszony obracać żarna pod biczem, krwawiącym moje krzyże —

ja więzień — lichszy od pajaków, które wybiegać mogą na słońce, a kiedy zapragną — chowają się w szczelinę ciemną;

od stęchlizny lochów — przegniły; od wyziewu kości niepogrzebanych — zatruty;

ślepiec — nigdy słońca nie widzący; skąpą jałmużną księżycowych promieni, jak upiór, karmiony;

ja, najnędzniejszy z rabów—miałem też swoje królewskie, niebotyczne szczęście!

Jest chwila późnego wieczoru, gdy wypędzają nas szeregami na podwórze, otoczone murem skał i zębatach wieżyc.

I tu, dzwoniąc kajdanami, błąkamy się, niby cienie — a żaden w oczy towarzyszowi spojrzeć nie śmie, aby nie ujrzał własnego odbicia.

Nędzni, którzy spoglądają w niebiosy, jakby proszą przeznaczenia o litość — my, słysząc potem ich łkania nocne i jęki, przekonywamy się, że matką najokrutniejszych tortur jest nadzieja.

Starzy więźniowie kładą się na piasku i bawią się nim, jako dzieci drobne. Przesypując ziarenka, niejednemu zda się, że zaszumiało morze — które niegdyś kołysało jego dumne okręty, a które dzieli go teraz bezmiarem słonych łez od wszystkiego, czem dusza jego żyła —

i z twarzą pokurczoną wsuwa się w ciemny kąt.

Jam był zawsze samotny i urągałem boleściom.

Raz — gdy cienie bastjonów były czarniejsze od skrzydeł kruczych — leżałem w pomroce i zapuszczałem sieci

swoich szalonych marzeń w ciche odmetry niebiosów, wśród wieczności gwiazd przepływając, zapomniałem, że jakakolwiekbyż ziemia istnieje — i oto usłyszałem dopiero trąbkę trzeciej zmiany strażnicy. Ocknąwszy się, ujrzałem podwórce puste, a wrota kazamatów żelaznymi ryglami zasunione.

Próbowałem odciągnąć zawory — wiedząc, jak okrutnie karzą opóźnionych — napróżno.

I uspokoiłem się nagle spokojem konieczności. Przechadzając się, spoglądałam na gwiazdy, swobodnie toczące się w bezkresnych przestworach: Orjon zawieszony był właśnie na szczycie wieżycy — Aldebaran ostatnie promienie słał mi z za blanku — a siedem gwiazd królowej Bereniki prosto nad moją głową świeciło — siedem gwiazd koronowało moje czoło niewolnika.

W północnym zakątku podwórca skała pionowa odgrażała się olbrzymią maczugą niebiosom.

Nie było podobieństwa wędrzeć się na nią ludziom — ale ja po zrębach waziutkich piąłem się coraz wyżej, aż na głem uderzył głową o wykrot...

Kres tu mojej wędrówki ku gwiazdom!...

Z rozpaczą przycisnąłem się do zimnej skały, jakby próbując rozeprzeć swoją tęsknotą —
a wtem stała się rzecz boska.

Srebrzysta melodia rozperliła się — niby słowiki w noc majową — z tajemniczych oddali płynie gondola cudownej, brylantowej pieśni.

O gwiazdy — jedyne powiernice mojej duszy — nigdy potężniej huragan miłości nie uderzył w pierś niewolnika!

Wyciągnąłem ręce — i, chwyciwszy jakąś wizję oparcia, rozkołysałem ciało swoje i, kręgiem je zatoczywszy —

przerzuciłem w górę; czepiając się, biegłem po skalistych
zrębach, jak łasica, aż na szczyt.

Rozkoszy bezgraniczna!

W różowych blaskach wschodzącego księżyca rozcią-
gnęły się fiolety kamienistej pustyni — śnieżne wierzchołki
gór, niby śniące sarkofagi — a w dole głęboko u stóp mo-
ich — maurytański ogród;

w pozłotach migocą czarne koronki cyprysów — euka-
lyptusy, niby ogromne srebrne widma — palmy, kraszące
się bukietami mrocznych piór—kaktusy, jako węże zaslucha-
ne we fletnią, naprężone i groźne. Alkazar purpurowieje
przepychem rodyjskich marmurów, na tarasie w złote ara-
beski, rzeźbionym, rozświetlonym setkami ukrytych płomieni,
stoi ona —

Wyciągnęła rękę na spotkanie —

oczy nasze stopiły się w jedno słońce upojenia —
a z palców jej wybiegła skrzydłata,

wiekuista — święta — niewysłowiona — pieśń tryum-
fującej miłości.

Pani moja! dzieciątko moje! królewno!

O jakże słodkie są łzy szczęścia — jakże serce boli
od rozkoszy!

Niema przepaści tak głębokich, aby nas roździeliły,
niema łańcuchów, którychbym nie zerwał.

Przylecę do ciebie, serce moje — z tęsknoty uplotę
skrzydła Cherubimów, talizmanem siedmiu gwiazd roz-
świecę bezdenne mroki mego losu i odnajdę cię, serce moje...

Ponad szczyty gór najwyższych wzlecimy i stamtąd
pokażę ci królestwa świata — i zważymy je — a poznaw-
szy, że są, jako popiół, marne — odlecimy do rodzinnej
ziemi gwiazd.

Ja — Ty — i Wiara nasza — Trójca nierozdzielna —

nieskończony rozpęd miłości, świetlającej się ponad chaosem niebytu — Adonai!...

Z bezmierną miłością, trzymając ją w objęciach, leciałem, jak Demon, ponad wszechświatami —

jak Demon, którego niegdyś jedna kropla bólu mogła roztopić żelazo — a spojrzenie rezygnacji, rzucone w niebiosy, zatruwało je na wieki świętym wybrańcom i aniołom —

teraz — roztopiony w szczęściu, jako obłok w zorzy porannej, cichy — jako sen kwiatów lub muzyka gwiazd, radosny — jako zwiastowanie słońca w noc polarną, płynąłem w krainy marzeń, jakich niema na ziemi —

i tworzyłem światy wizji, jakich nie było nigdy w raju.

Bądźże ty mi błogosławiona każdą łzą moją przemieniona w tęczę, o Sawitri, królowno moja, dzieciątko moje!..

Złota mogiła księżycy podniosła się do zenitu — cienie drzew skurczyły się i do pniów przypadły — lekki wiaterek morski musnął świeżym aromatem wierzchołki jodeł, jakby szepcząc, że słońce nadchodzi — i ona jakby się ocknęła —

skinęła harfą, abym odszedł; gdym się wzbraniał, ręce do piersi przycisnęła — prosząc!

Spojrzałem raz jeszcze w jej oczy — i jak cichy niewolnik zesunąłem się po głazach.

Ona milcząc patrzyła w miejsce, gdzie zniknął, i tylko palce jej, drżące na strunach, słały mi pocałunki rozstania.

Trąbka się rozległa strażnika; pomknąłem na dół, ale gdym stanął na ziemi — przebił mnie ostry gwóźdź zwątpienia: może to sen kłamliwe miraż przesunął mi przed oczyma?

może to nikczemne hulucynacje więźnia: ogrody pachnące — pustynie bezkresne — i oczy — oczy jej utkane z poematu aniołów!

Szarpnąwszy się, jak lew zniecka grotem przesyty, wdrapałem się na skałę, aby sprawdzić, że nie mgławicą był mój raj. Lecz w przeskoku między głazami brakło mi oparcia — i runąłem.

A gdy mnie podniesiono — po raz pierwszy ujrzałem w śniadych twarzach dozorców jakoby połysk litości.

W tejże chwili rzucono do ciemnicy i mnie szaleńca przykuto łańcuchem do ściany.

Ileż to otchłani czasu zapadło, a ja wciąż wiszę nad bezdenną próżnią. Ptaki migotliwą wstęgą latają w przestworzach, jaszczurki błękitnie zwinnie pełzają po ogrzanych kamieniach, muszki z opalowymi skrzydełkami brzęczą rozradowane życiem, motyle piją nektar z kwiatów, ryby w kryształowych strumieniach płasają, drzewa jabłoni, osypane białym i różowym kwieciem, kąpią się w słonecznym wniebowzięciu —

a ja z pianą, ciekącą po wargach, krwawemi oczyma widzę w dali to moje zapadające w nicość—szczęście. I oto—ach, to ty, ukochana? — o jakże mi dobrze z tobą.

Trzykroć tylą łańcuchów niech mi piersi skrępują — w trzykroć głębsze czeluście podziemne niechaj mnie zakopią —

spieczone wargi moje niechaj nigdy nie zaznają ochłody —

zapadłe od bezsenności powieki niechaj mi się wrosną w czoło, byleś ty — pozostała przy mnie.

Spojrzenie twoje rozkwieca wiosnę na stepach bezdzy-

stych; morze pieszczotą otula posepny labirynt skał—a nie-
skończone, w wieczność zapadające niebiosy, ogarnąć nie
mogą mego szczęścia...

Dygot przeleciał — niby drobniutki zimny wiatr, mar-
szący jezioro; szare tumany płachtą wionęły na rozwarte
skrzydła serca—i dwa żółte ślepie bazyliuszka urągają mi ze
dna tej zachłannej szarości i pustki.

Ciało moje, przepalone ogniem wewnętrznym, schnie
i czernieje, jako gałąź jodłowa, zawieszona w kominie.

Skonać mi, skonać—prędzej! Śmierć nabiera dla mnie
uroku słodkiej twarzy.

Myśli się płaczą, zimno, wiejące od podłogi, przenika
nawskroś — gorączka spopiela me usta...

Najmilsza moja — nie opuszczaj mię: ty nie wiesz,
jakie mistyczne pokłady miłości leżą we mnie — jakie dja-
menty, chryzoprasy, turmaliny i szafiry — jakie oceany,
szemrzące pieśnią —

chodź do mnie!

Nie porzucaj.

Byłbym, jako niemowlę tonące, jako żebrak, obielony
trędem od stóp do czaszki, zbierający od psów jałmużnę dla
bólów swoich —

ukochanie moje — gwiazdy moje...

I znowu — i znowu wyrasta błyskawica z mojej piersi;
zawierucha ścierających się chmur skłębia moje serce,
zimnym gradem kąsane; zielone ognie łyskają po wszyst-
kich dolinach mojego jestestwa; góry w posadach swoich
drżą...

Koralowe gaje, niby skamieniały pożar szkarłatu; tę-
czowe konchy, niby dywan bajeczny; zielone aksamitne
liście pełzną po wszystkich szczelinach; w drobnych, przezro-

czystych jeziorkach mrowią się koniki morskie, anemony
i meduzy...

Rrrum...

Falą wzdęła się ziemia — zniknęły góry w śnieżnej
powłoce piany; drzewa koralów, niby gaje mimozy, skur-
czyły się w okropnej bojaźni;

straszliwe piekielne morze, przeleciawszy zaporę, zale-
wa cały świat.

Jak łania, pędzę do brzegu...

Zakłębiłem się w pianie ryczącej i, jako szczenię ręką
olbrzyma wyrzucone, lecę gdzieś w okropną wysokość, a po-
tem spadam — gdzieś w wirującą otchłań.

Kłęby piasku wżarły się w moje oczy, piersią uderzy-
łem o ziemię...

Obrus piany śnieżnej rozlał się po gładkiej powierz-
chni morza, zrywam się, biegnę wzdłuż brzegu — ściana
prostopadła bez wyjścia. Morze z okropną szybkością na-
pływa —

czemuż tyle męczarni, aby mnie zabić? upiór, lecący
z mogiły wznosi się — białą paszczę nachyla modra Śmierć
i za chwilę runie...

W okropnym przerażeniu zbudzam się — księżycowy
promień srebrzy okienko mojej pieczary.

Duchu mój — czemuś mnie opuścił!...

Serce mi bić ustało — a palce u rąk moich drgają
kurczowo...

Jestem więc w murach bez wyjścia.

Śmierci — królowo niebieska —

ratuj mnie!

Śmierci — zwiastunko miłosierdzia —

wspomóż mnie!

Śmierci — lekarko nieuleczalnych —
uzdrów mnie!

Śmierci — tęsknoto żyjących —
porwij mnie!

Śmierci — furto niebieska —
wypuść mnie!

Śmierci — gwiazdo zaranna —
zabij mnie!

Takie gorzkie łzy płyną po mej twarzy, takie słone i palące!! czemuż ujrzałem cię ku niedoli mej — teraz rozbiłbym sobie czoło o twarde kamienie i spocząłbym.

Ale mi tęskno, tęskno — zwodnicza nadzieja szepce mi — że cię ujrzę raz jeszcze, i każe znosić te wszystkie tortury.

Boś mi droższa nad wszystko, co dusza ukochać może: — cały wszechświat z bezlicznymi gwiazdami oddałbym, jako dziecinną zabawkę za jedno twoje dotknięcie; za kędzior włosów, które mi pachną; za tętno serca twego, które słyszę w ciszy nocnej.

Ale niema cię, niema i łzy żłobią grób w moim sercu.

Niema cię, niema!

Jak Demon w klatce pazurami rozkrwawiam pierś — z straszliwą wściekłością biję w nią pięściami i rwę się na łańcuchu to tu, to tam, to tu, to tam! Wydarłbym wnętrzności wszystkiego, co żyje — krew piłbym, mózgi bym rozmiądział...

Kręgi coraz szybsze dokoła jakiegoś nienawistnego bieguna — już tchu mi brak, czarne opary wirują zygzakiem, noc...

Morze — znowu morze: czuję pluskające jego zimne wody, niechaj mnie zatopi śpiącego.

Ktoś brutalnie szarpnął mnie za ramię. Murzyn dozorca, śmiejąc się, oblewa mnie dzbanem wody — precz idź, czarny pies!

Błysnął białkami, i jego podła twarz skurczyła się w złości, jak u buldoga, ale się lękał nademną naigrawać — cisnął mi w twarz sucharem i wyleciał.

Po chwili znowu usłyszałem uchylające się żelazne drzwi — wszedł oficer z dwoma żołnierzami.

Tortury! błysnęła mi obojętna myśl.

Ale on, milcząc rzucił mi z tacy, którą nieśli żołnierze, nieco pomarańczy, fig i granatów, oraz jeden pieniążek srebrny.

Zapach rozkoszny zapełnił pieczarę, uśmiechnąłem się do owoców, z których promieniowało słońce — i świeże powiewy królewskich sadów.

Uśmiechnął się i oficer.

— Wiedz — rabie: dzisiaj księżniczki Fenixany ślub!

— Kłamiesz! ryknąłem.

Zdumiał się oficer, a jeden z żołnierzy pokazał na moje czoło.

Siedzę skurczony, patrząc na fioletowe granaty i złote naranchy — jeden po drugim owoce poczynam rozrywać, krew ich, sącząca się po mych rękach, sprawia mi szalony ból, rozrywam je w strzępy.

Cichy i zamysłony siedzę nad zbłoconym darem słońca.

Światło wieczornego nieba słodką smugą zagląda przez kraty...

Porwałem się.

Trzasnęły kajdany, skokiem pantery rzuciłem się w górę, chwyciłem za kratę — i wydarłem.

Przez czarny otwór prześlizgnąłem błyskawicą: podemną przepaść, wierzchołki drzew — runąłem.

Powietrze świszczę; księżyc prosto w oczy; czarna gęstwina podemną; uderzyłem o gałęzie, staczam się i już—
Leżę bezwładny — wokół gwiazdziste niebo, czarne koronkowe zarośla. Oczy przymykam — i mdleję.

Pięknie tu bardzo. W powietrzu odurzający zapach werbeny, mirtu i róż: tak pewno pachną włosy oblubienic.

Ale co mi?

Szemerzą w cysternach fontanny, jako śmiech szczęśliwy; modre lotusy wynurzają się ku szczęściu...

Wśród pełzających ljan i smukłych terebintów przemkam niepostrzeżony.

Kaskady chińskich lampjonów, a na trójnogach krwawe płomienie ambry — muszę się ukryć w cień baobabu.

Nie widzę jej twarzy zakwefionej, ale wiem, że to ona być musi!

Nie mogę dosłyszeć ich cichej rozmowy. Ale ją rozumiem...

Mówią o sokołach, sprowadzanych z Persji, które w lot zabijają białe kiciaste czaple — mówią o nowej prowincji, zdobytej przez księcia, i bogatym łupie niewolników i niewolnic — mówią o pałacu z perłowej macicy i zielonego nefrytu, jaki się buduje dla nowożeńców...

Zachwycająco umie opowiadać książę o rycerskich czynach! malowniczo rozwiesza swoją miłość, niby kaszemirski szal, wyprzedzony cudną robotą tysiąca niewolnic, oslepiłych przy misternej tkaninie!

Nogi moje obrzękły, pierś zapadła, ręce obwisły bezwładnie — i tylko w oczach jarzy moc: wulkany!

Ona mimowoli odwróciła oczy w moją stronę, krzyknęła strasznie.

Porwali się rycerze, obskoczyli mnie dokoła i bezwładnego przyciągnęli do jaspisowych schodów.

— To nie tygrys — to żebrak!

Widać mnie poznała — bo z dziwnym uśmiechem spogląda na moje łachmany — ruchem ręki każe dworakom uwolnić mnie.

Boję się swego wzroku — wbijam go w ziemię, wzrok potrafi zabijać.

„—Przyszedłeś posłuchać pieśni weselnej — niechaj ci się stanie zadość!”

I podjąwszy harfę z alabastrowej kolumny, musnęła ją ręką.

Ach! świętokradcza pieśń — pieśń zbezczeszczonej miłości!

Spotkały się nasze wejrzenia i harfa z brzękiem upadła na marmury.

— Związać mu oczy! — Zarzucono mi ciężką materję na głowę — ona grała czarodziejską pieśń, gwiazdami przetykaną.

Zagrażony w mroku jakby głębokiej jaskini, słucham melodji srebrzystych kropel, które mi spadają wciąż na jedno miejsce mego mózgu —

najprzód, jako płatki róż więdnących (nigdy, nigdy...) — potem — jako srebrzyste pieniądze; potem jako ciężkie gwoździe, którymi nabijają tarcze (nigdy! nigdy!...).

I wciąż rośnie ich moc, gradem siekają mnie —

i deszczem kamiennym druzgocą mnie nawskroś... myśli me stają się, jako pale, wbijane żelaznemi babami.

Mruk wydobywa się z moich piersi — obłąkany ból jakoby serca, zrąbywanego na wióry...

W czarnej szacie, płomienistymi rubinami haftowanej,
pukle jej włosów rozpląły się, jako mrok zgasłej komety
na niebie...

W oczach jej spieniły się groza i gniew, a potem oto—
łzy święte spłynęły po jej twarzy.

Podeszła ku mnie i zarzuciła mi ręce na szyję — przy-
padła do moich piersi — i poczułem, że moją jest.

Nagły cios rozkrwawił mi czoło —

Ukochana moja...

Tysiące komet ściga się wzajem — miazdzy, girlandy
iskier sypią... i gasną.

Cicho....

Świata nie było i niema — tylko grzęzawisko, w któ-
re zapadam; ogniki fosforyczne tańczą nad gnijącą duszą...

Jak cicho...

Wynieśli mnie na pustynię, jako lwa zdychającego —
dobrze mi tu — o! —

Te gwiazdy — siedem gwiazd królewskich, które mnie
wzbijały ponad wszystkie szczyty mego więzienia — znowu
nad głową moją świecą.

Kto wie? Może już od wieków zamarły — i tylko upio-
ry ich światła błędzą po pustyniach, kształtem złamanego
krzyża urągające...

Gwiazdy!

na waszych złotych ćwiekach krzyżujecie najbiedniejsze
ze stworzeń:

bo już niema nic biedniejszego nad Pana wszechświa-
tów — Syna bożego,

który kona —

na krzyżu — gwiazd.

Jak cicho...

Królewicz leżał z dosłownie pękającym sercem.

Nie był to już on, nie była to już jego indywidualna miłość, lecz niezgłębiony Ocean miłości.

Wśród gór Gehenny przechodził Anioł, łamiąc ręce i krwawiąc na głazach swe lazurowe czoło.

Wicher świata huczał w tym człowieku z siłą genezyjską, jak pierwszego dnia, gdy tworzył Bóg wielki płomień ze swojego serca. — — — — —

Na majolikach otwartego balkonu ujrzyć można było dwie kobiety i hrabiego de Mangra, którzy nie słuchali pieśni tryumfującej miłości, gdyż przyjemnie bawili się własną rozmową wśród łkających głębin morza.

Jedna z nich klęczała —

włosy jej czarne, jak zgęstniała posoka krwi, staczały się aż na ziemię.

Czy odblask zaciężył jej bólu, który Syzyfowym kamieniem staczał się z gór Przeznaczenia?

O nie, ze śmiechu aż uklękała...

Znajoma jej Duta, która, mieszkając w Petersburgu, na drugiej stronie ulicy umiała wyczuwać, który pan ma 15 tysięcy rubli rocznego dochodu, opowiadała tak pyszne kawały z życia nadnewskiej stolicy!

Pieśń tryumfującej miłości — gdyby ją wyśpiewał Battistini na mistycznym wieczorze? A! panna Duta możeby na chwilę przybrała wyraz poważny — wyglądając tak, jak wogóle wyglądają panny dla mężczyzn, kiedy wiedzą, że na nie się patrzy. Pieśń wzięłaby do siebie. I zaiste, jest nadmiar obojętne, czy dla tej blondyny, czy dla tamtej brunety grał królewicz!!

Miłość jest sama w sobie, Ding an sich.

Dla niej człowiek staje się Księciem Golgoty. Krzyż

Arjamana, jak na obrazie Previtaliego, wzniosł się wśród najcudowniejszej mrocznej zieleni lasu.

Przy tej opiewanej zostanie zaś trwały rezultat — zadowolenie.

Zachowa ona na pamiątkę taką pieśń, jako dobrą literaturę. Będzie miała ją na dnie jednego ze swych kufrow. Którego? doprawdy nie będzie w stanie przypomnieć. Tyle wchłania statystyki, nauk kameralnych o lupanarach i nieprawych dzieciach w Monachjum, o cłach na drożdże i wywarach piwa! Ona weźmie też swą miłość, lecz jak Danae — w deszczu złota. Kiedy w niej obudzi się instynkt, będzie kochała pierwszego, który ją zapłodni i uczyni matką. Potem? W wazonie życia kwiat, zerwany ręką niekochaną, cóż że zatęskni i zwiędnie?

Zolima kiedyś będzie takim kwiatem.

Kościotrup, ubrany w ciało, — kiedy się z niego rozbierze i weźmie w swe wyschłe kości rąk gorejące nieużyte swe serce —

położy je przed sobą na stosie trumnianych zgnilizn — i oburącz ująwszy swą czaszkę, zacznie się wpatrywać — w to Serce —

któż powie wtedy, że nie przychodzi wielka sprawiedliwość?

Lachmany, lachmany okrywają to wszystko, co ma jeszcze jakąkolwiek wartość w życiowej grotesce! —

— — — — —
Po morzu płynęła barka, a w niej stał Mag Litwor, obleczony światłem, i przyzywał marzyciela znakiem nad morze.

Barka leciała z największym pędem, bez żagla, nawet wiosel nie było przy niej, nic nie zdradzało też elektrycznego motoru. Marzyciel przysłonił oczy, wglądając się. Roz-

brzmiał śpiewny jęk muezzina. Zaczynał rozumieć Arjama. Zeszedł ku morzu.

— Pomnij na straszną przysięgę, którą złożyłeś Królowi Wężów: że wrócisz po trzech latach.

Król Wężów rządzi widmami w dolinie wiecznego mroku.

To widma wyklętych!...

Masz więc tylko trzy lata życia przed sobą i musisz rozewrzeć bramy swemu przeznaczeniu na ziemi. —

Kiedy odpłynęli, ozwał się znowu Mag Litwor:

— Djament, jak wszystkie krystaloidy, oparte na kwasie węglowym, nie jest ograniczony równiami, lecz wygiętymi płaszczyznami. W tych wygiętych płaszczyznach świat staje się niebem i Gehenną. Lecz od zbyt wielkiego żaru djament może się zmienić w zwykły kominowy czad. Nie należy wierzyć automatom! —

— Muezzin zbyt przeraża — rzekł w zamyśleniu Król Lewicz. — Kto mógł aż tam — do Kasyna zabaw donieść jego głos? Brzmiał, jak duch Baskerwillów, na tym bagnisku.

— Jest to głos, który my dwaj słyszeliśmy: mówił tylko do tych, co mają w sobie świątynię! —

Morze dokoła nich było zaiste niezmierzone!

V.

MARE TENEBRARUM.

Przeplływali mimo góry Ornaku, przy której tworzył się wir.

Węże fal na dwóch sterzących fortecach zakręcały z furją.

Śnieg piany wylatywał w powietrze.

Woda, jak w olbrzymim kotle, wrze.

Znikają czarne zręby granitów i staje się mleczne jezioro.

Morze nieomal gładkie, tylko wewnętrzne spazmatycznie dreszcze nim wstrząsają. I oto Hades mrocznych skał wychyla się: miljon potoków, rzek, wodospadów i lawin dżdżu leci z tych poszarpanych głazów ku morzu.

Rozwiera przepaść mrok przeraźliwy, chłodny, jak w północnych sagach o Niflhajmrze.

Nad przepaścią wyrasta zły pylon Hadesu — skały, zwane Wejście Ornaku.

Węże pian żółtych, milami długie, leniwie opasują to Horodyszczce demonów.

Mrokiem olbrzymim wznoszą się wielkie góry lądu.

Wilgotne porosty nadają hieroglificzną patynę tym tarczom Achillesowym skał.

Wszystko bierze tu w swe posiadanie księżyc, posepny czarodziej, czyta runy na skałach i wsłuchuje się w mszę, jaką tu odprawia piekło.

Za hukiem rozbitej fali nastaje cisza konających. Zdała wzbierają wysokie jak wiekowy las dębowy, fale — płyną spokojnie, niby rapsody Homera piersią tytanów śpiewane; na hełmach ich błyskają klejnoty głębin.

Im bliżej, groźniej tu blisko skał — potworne nieokreślone apokaliptyczne tabuny.

Wzdęte w piorunującym błysku smoczego grzebienia, mirjadami bazylijszkowych kwiatów zwisają, mirjadami srebrnych szponów śmierci nad wessaną w mroku otchłanią, która wyżyłobiła wody głębin, wtuliła jak kopulujący Lucifer, całe naraz piekło. Aż wszystko wyrasta w jakoweś Monstrum:

w karawan wieżyc chińskich, — w zwał lokomotyw — w pociąg, który gna pełnym rozpędem, nalatuje naprzód rozzianiem powietrznym, wściekłym, jak uderzenie Ananki; morze jeszcze zawisa chwilę, jakby wybierając los swój w jednej tysiącznej mgnienia, lecz ujrzawszy w dolinie zgonu na dnie swoje fatum —

przechyla, wali się — jak mur obronny olbrzymiego miasta:

wieże zębate, mirjady wojowników z lancami i pióropuszcami na głowach, te hufy słoniów, połyskujące szmaragdowymi napierśnikami, kwadrygi z wirującymi kosami śmierci, boscy śpiewacy i czarne demony w zapasach matematyki i oblędu, całe narody, wytchnione przez morze, — runęły naraz!

Kto nie słyszał burz jesienią na Żmudzi, kiedy pioru-

ny padają, iście Perkunowe oszczepy we wzdęte fale Niemna — ten nie wie, czym zdole być głos żywiołu!

Tam jednak zgon pod oszczepem piorunu jest złagodzony przez krzyże na polach, przez pieśni w kościołach, przez kwiaty na łąkach, przez miłość, która na mogile odprawi swój tan kukułczany!... tu zaś nic—prócz grozy, której nieznanem jest miłosierdzie!

Nieprzystępne turnie skał Ornaku odbiły impet wód, które wytryskują szaleńczym ogrodem gejzerów, fontann i jakby czarnoksiężskiego ognia.

I wtedy — i wtedy, moja, duszo, widzialnym naraz staje się Twój tajemniczy ogród męczarni, wszystko szczęście już się kończy, wyrasta las posągów zamarzłych, zaśnierzonych, cmentarzysko grobów głębokich, więzienie groteskowe i życie katorżnika rozbite na niegodny strzęp!...

A nad tym piekłem duszy w olbrzymiej chmurze oparów księżyc wyrzeźbia magiczne kręgi tęcz, wrota i witraże miłości, targając trupem nadziei po okręgach wód.

Minęła cisza — znów morze szturmem wdziera się na podchmurne wieżycy mrocznych nieprzejrzanych skał, miażdży je naraz.

Niema tych raf — jakby ich nigdy nie było —

znikają doszczętnie pod wzdętą krzywizną morza, podobną tu do soczewki tytanicznego teleskopu.

I znowu z świstem, z wyciem opadają wody — opuszczają zwycięstwa szczyt! znowu wściekłym impetem zlatują katarakty po zrębach, na porohach i wyżłobieniach, zżartych przez fale, niby przez usta tysięcy mątw.

Wzniósł się Hades mroczny, potwornie tryumfujący, odwiecznie zły, nieubłagany i zimny, dyszący śnieżnemi brzdami swych ran —

wodospady łoż ociekły — i już milczą.

Wejście Ornaku najstraszniejszym jest w tej czarnej za-
stęglej ciszy.

Tam, w głębinach Luciferowych księżyc-alchemik nuci
bezmowną pieśń jądów —

na dnie otchłani morskiej widać jego laboratorium; fos-
foryzuje widmo odblasku, podobne do krzaku Mojżesza,
wokół tam zgon czarny, jak w pustyni Hijoła, gdy
oślepl.

Księżyc spogląda z głębin nieba, niby wielkie oko dja-
bla — wtem znowu poczyna tkać mistycznie gotyckie, tę-
czujące rozety, staje się cichym jak Adam w raju przed uj-
rzeniem swej wysnionej — wąż żółtej piany zbliża się, za-
czaja — to z Genezis kusiciel —

U Ornakowych skał wybucha poemat grozy, której
nigdy żywy człowiek nie zapomni i przed skonaniem ją uj-
rzy znów...

Wężowa piekielna miłość napływa, zmienia się tu na-
raz w wyrastającą dziko baterję z tysiącem najeżonych dział:
jęki, wycia, wsysanie i ryk płynącego pobjowiska!

Tragiczny księżycowy hieroglif zagadki rozbłyska na
tych falach, które namyślają się, wzdęte i pochylone, jak
pizańskie wieże — runąć? czy wniebowstąpić?

Niewypowiedziany już żadną orkiestrą piorunowy jęk
organów kościelnych, które zwały się na głazy kościoła —
burze dawnej sławy narodu, walące się rusztowania
wszystkich świątyń życia!...

Jakiż Szopen i Wagner mógłby oddać to bolesne wez-
branie wód u stóp skał Tatrzańskich, które łączą Polskę
i Sybir, kędy mrocznieją widma idące w lody północne sy-
birskiej katorgi—!

Łódź płynie mimo skał Ornaku, o których wie Arja-
man, iż tam jest wejście do polskiego Inferna.

Któż jemu nada wyraz?

Gdyby piekło mogło się wysłowić, byłoby już zbawione.

Arjaman spoglądał przez otwór jaskini w mirjady zrębów zagwiezdnej męczarni —

i zawstydził się, iż jeden cierń wbity w jego czoło, tak mu już starczy za koronę!

Tam iść —

tam, aż do głębin źródlanych ducha polskiego!

a jeśli się znajdzie tylko nicość i rozpacz, to nią roztrzaskać wszystkie Chrystusowe nieba! — — —

Tak mijają godziny nocy, lub może — lata? — — —

Łódź wypłynęła w podcienie skał. Pierwotny mrok zaczął rozświecać niebywałym szafirem. Ten kolor powstał z fosforescencyj morskich, gęściej nagromadzonych w grocie. Woda uciszona głęboka oświetla wielką naturalną świątynię. Lecz nietylko woda świeci tu blaskiem — kiedy Mag Litwor i Arjaman wyszli z łodzi, idąc komnatami gotyckich sklepień i kolumnad, wszędzie spotykają szafirowy mrok, w którym jarzą myśli.

Mistyczne niebo świeci w tych jaskiniach! W jednej sali ustawione teleskopy, siedzi mędrzec przy małej lampce oliwnej. Poznali Kopernika, słynnego autora *De Revolutionibus orbium coelestium*. Księga ta leży na głazie, mnóstwo na kartach znać poprawek i dopisków. Kopernik jednak pracuje nad nowem dziełem z rozszerzonego zakresu. Z uchylonych kart wyrozumiał Arjaman, iż jest mowa tam o Państwie Lucifera.

W milczeniu najgłębszem idą dalej, spotykają dawnych uczonych, których Mag Litwor określa nazwami: Wojciech Brudzewski astronom, Marcin z Olkusza, który poprawiał wraz z Kopernikiem kalendarz w Rzymie, Wawrzyniec z Nowego Targu, Witellion optyk i t. d. Wszyscy oni

pracują razem teraz nad wielkiem nowem wyliczeniem, zajęci pogłębieniem swych dawnych prawd.

Przechodzi Arjaman obok Czarodziejów, którzy swe poszukiwania alchemiczne i nad naturą Djabła czynią dalej, mimo, iż Sejm Warszawski wyrzekł, iż niema czarów na świecie. Jeden z nich pisze o Bagnie obecnej Polski, w którym broi Djabł. Inny dowodzi, iż jak pajak wyciąga truciznę z róży, tak teraz uczyniono truciznę z nauki Chrystusa.

Widzi Arjaman dawnych pisarzy i poetów; Janickiego, Pawła z Krosna, Piotra i Jana Kochanowskich, Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Stanisława Orzechowskiego, Jana Ostroroga, Tydemana Gizego—a prócz tych, Braci Czeskich: sieją we łzach Królestwo sprawiedliwości, którego królowie Jan Kazimierz i Zygmunt August teraz już nie zaprzeczają!

Wielki tłum niekatolików, a najlepszych polaków — których już nie wyklina Hozjusz i Skarga...

Odpokutowane też winy dyssydentów, którzy wzywali pomocy Karola Gustawa szwedzkiego i Piotra Wielkiego. Lecz inkwizytorzy nasi, wychowańcy jezuitów, wciąż broją i tu, wciąż grmią kazania przeciw różnowiercom!

Męczy się naród za winy jednostek.

10 wiekowa budowla niszczona przez pasieki trutniów szlacheckich, któremi były i są kollegia jezuitów.

W głębinie piekła kotłuje jeszcze zawierucha, wzniecona przez Bohdana Chmielnickiego, mści się też i Nalewajko, torturowany niegdyś w Warszawie.

Tłumy Arjan, wypędzonych przez Orthodoxa Jana Kazimierza z nauszczeń nietylko katolików, lecz kalwinów i luteranów, tłumy te na tułaczkę idą, śpiewając nabożne pieśni o Jeruzalem św. Jana.

Szli dalej Mag Litwor i Arjaman.

Na rynku krakowskim fanatyk starosta Gabryjel Tarnowski pali pisma Broscjusza, przeciw jezuitom i krzyżakom wymierzone. Widzą jezuitów, co handlowali w Martynicy i byli królami w Paragwaju; zasiadają na fotelach w złym smaku przepychem lśniących, obradują nad Polską terażniejszą. I huczą kazania dawnego jezuickiego kaznodziei, wymierzone przeciw kierunkom modernistycznym w języku zepsutym i nadętym, w nienawiści przeciw tym, co chcą poprawiać nawę św. Piotra.

„Znać, że to teraz kanikuła, kiedy Canicula modernistyczna przy pałających syrjuszach coś chce zaskomleć na naganę wielkiego Ignacego.

A z czemże się odezwiesz, szczeniuchu?

Z trąbą? I dobrze: bo Ignacy jako tuba Ewangelii, nie tylko w Europie, ale i na nowym świecie rezonancję daje. Słychać po Indyi tej trąby kuranty. Nadprzyrodzone sztuki umie Ignacy.

Ignacy w inwencjach swoich przechodzi Archimedesów, in manuali opere Kallimachów, w architekturze Nikonów, w optyce Bodynów, w muzurgii Arjonów, w matematyce Kononów, w geometryi Archytów, w oratoryi Peryklesów, in calamo Orygenesów.

...Tu wierzgają nietylko piekielne, ale i ziemskie monstra...”

Wtem, ujrawszy obcych, jezuita zakrzyknął:

— Czy nie jesteście i wy nowinkarze? chodź no ty sam, ty młodszy, na katedrę, pokazać go narodowi, niech mówi... —

I tysiące rąk wypchnęło Arjamana na rodzaj kazalnicy, która była naprzeciw jezuickiej i służyła widocznie do dysput.

— Proponuję tedy, rzekł Pater, iż jako słońce obraca się koło ziemi i na głos Jozuego stanęło, tak i dusza ludz-

ka musi stanąć na głos Jezusa! Jeżeli uczyłeś się waćpan retoryki i choć nieco teologii, mów. Słuchamy. Prosimy. Głośniej—jako tuba zabrzmij. Nie lęka się ciebie nasz Zakon!

— Nie do ciebie mówić będę, lecz do tych, których wiara staje się już cudem zamyślenia!

Jestem wtajemniczonym przez Króla Wężów w sferę elementarną — w pewność, iż Chrystus według pojęć pobożnych nie istniał nigdy.

Chrystus ma stanowić słońce najwyższe wszystkich religii, które dokoła Niego krążą, jak nasz świat planetarny dokoła konstelacji Herkulesa.

Dla mnie takie słońce Chrystusowe już umarło.

Zanim krok uczynię ku „wyzwalaniu się z moich osobistych pragnień” — muszę wiedzieć, w imię jakiej Prawdy bezwzględnej mógłbym poruszyć mój świat?

Nie wierzę w kościół, który jest kałużą zmarniałej ugrzesznionej natury ludzkiej.

Nie wierzę w naturę, która na dnie najgłębszem kryje nieświadomość.

Nie wierzę w Boga osobowego, bo jest karykaturą mej osobowości.

Nie wierzę w mą osobowość, bo —

tu Arjaman utknął — bo jest złudzeniem!

— A cóż jest niezłudzenie? szepnął Mag.

— Nie mówmy o pojęciach ogólnych. Wiem, że wśród mroku mej duszy zjawiają się dziwne smugi światła — i zbiorem tych smug ty jesteś, Magu Litworze.

Wiem, iż są pomoce niewidzialne, wiem, iż są przecucia, wiem, iż można odgadywać przyszłość — i to nazywam głosem Jaźni. Lecz czuję się zbłąkanym jako człowiek, jako ten, co przestał być chrześcianinem, a nie przestał być psychikiem.

Jezus z Nazaretu przeszedł przez serce ludzkości, lecz wszakże nie da się on pogodzić z jakąkolwiek rozumową krytyką!

Wypełnia wolę jakiegoś niewidzialnego komendanta. Jaką wolę? żeby założyć Królestwo Boże. Nie udaje się mu to w Judei, jedynie powołanej do przyjmowania objawianych nasion.

Po wydarzeniu w Cezarei mówi już tylko, jak istny melancholik, o potrzebie śmierci.

W tej filotanazyi idzie rozbewstwonemu ludowi w łapy.

Męczeństwo jego wzrusza mnie, ale i gniewa.

Męczeństwo lunatyka, lub tych fanatyków w Rosyi, którzy się spalają tłumami w chatach zamkniętych, aby dosięgnąć nieba, zbawić siebie i świat.

Jezus z Nazaretu niema zupełnie świadomości o tragedyi bytu.

Dokoła niego skowronki nuca, Ojciec dobrotliwy za kotarą świata gotów przytulić marnotrawne dzieci.

Nakoniec, Jezus z Nazaretu jest skończonym typem owoczesnego szlachetnego żyda: wszak nie burzy nic w Starym Testamencie, a co gorsza, sam żelaznym berłem chce rozprawić się podczas Ostatniego Sądu, jak Jehowa nad Sodomą, lub Dawid nad Amorejczykami, których kazał przepiłowywać drewnianemi piłami.

Z tej działalności proroka nieudanego — robi historję zaświatową dopiero Paweł z Tarsu, i wtedy rabi Jeszua z Nazaretu przy jego pomocy wkracza w dzieje.

Dialektyk grecki wyrobiony w rabinie żydowskim, opętuje świat pogański, który właśnie zaczynał się męczyć tajemnicą życia i zgonu.

Paweł jest założycielem Chrześcijaństwa, tworząc Misterjum Syna Bożego i wzywając świat cały, aby się do Ojca swego po dziedzictwo udał. Lecz kościół zakłada jeszcze nie on.

Czyni to Piotr — i w zasadniczym przeciwieństwie do kosmopolity Pawła, tworzy kościół na wzór jerozolimskiej hierarchii, która w rzymskiej atmosferze panowania wyra- sta na potęgę, zginającą królów i bazileusów.

Kościół jednak nabiera cech życia tych narodów, wśród których powstaje.

W Egipcie ucieka od świata i w celi lub na słupie, gdzie stoi fakir wśród jarmarku, wyrabia typ surowego dog- matu.

W Helladzie stał się kościół Akademią metafizyki, msza zaś — magicznym środkiem udzielania nieśmiertelności.

W Rzymie na miejscu bożków pogańskich postawiono świętych, lecz z energią rzymską rozszerzono wiarę aż do Brytanii i słowian.

Kościół Katolicki uznał się za arkę Tajemnic Bożych i nawet za Państwo Boże, mając w sobie zepsucie Borgiów, inkwizycję, sprzedaż odpustów i absurda dogmatów.

Przeciw temu wybucha zdrowy instynkt i niepogwał- cone sumienie ludów północnych, buntując się przeciw celi- batowi, przeciw rozdawaniu koron przez tyjarę.

Biblia dostaje się do rąk ludu.

I cóż? zatrute źródło nie może napoić ducha Ludów.

Tłumaczenie Biblii kończy się sektami, które rozpeł- zają jak raki, wypuszczone z worka.

Nas, Polaków, uważają Szujscy, Tarnowscy etc. za przynależnych do Rzymskiej kuryi tak, jak dzieci przyna- leży do matki.

Zła była dla nas ta macocha i nie karmi, bo nie mo- że karmić nas Prawdą, która wszak jedynie zbawia!

Trzeba, żeby Polacy nareszcie zaczęli czytać Biblię. Nareszcie wówczas by zrozumieli, jak tańczą od lat tysiąca pod muzykę zmyloną zupełnie.

Punkt wyjścia jest fałszywy. Państwa Bożego założyć się nie da, gdyż Kazanie na Górze niszczy całą kulturę, a nawet całego człowieka, który wyszedł z rodziny mastodontów i ichtjosaurów, a idzie — ku wielkim Mahatmom Przyszłości.

Idąc wśląd za Jezusem, kończymy ciemnością Golgoty i koroną cierniową.

Idąc za kościołem, kłamiemy w czasach dzisiejszych — niewybaczalnie.

Tęsknię ku Indjom, lecz wątpię, czy i tam jest światło Wiedzy Bezwzględnej! --

Nie wiem, czy Kriszna nie jest tam tymże samym, co u nas „Zbawicielem” — t. j. tymże samym Mirażem.

Znany jest argument, iż zbawienie musiałoby powtarzać się nieskończoną ilość razy na nieskończonej ilości zamieszkałych planet. —

Powstał krzyk tak długi i zewsząd idący, jakoby Charabda otworzyła swą gardziel i ryczała.

Arjaman znieważył uczucia najdroższe wszystkich. I tych, którzy szli za kościołem i tych, którzy budowali wiedzę swą na wierze w Indje.

Z tego tumultu jeśli wyszedł żywym, zawdzięczał jeno Magowi Litworowi, który potem rzekł:

— Mówiłeś prawdę: Wężową głęboką prawdę. W Orna-ku trzeba było złożyć i taki dokument. Ale teraz śpieszmy przemyśleć możliwość nowej budowli z niezniszczalnych głazów. —

Szli szybko, pragnący patrzeć, jak rozwija się sekta Franka, który przez Polskę miał wieść żydów do nadzwyczajnych bogactw i zaszczytów; potem zwątpiwszy prędko w nową religię, zachowywała z fanatyzmem formy zewnętrzne, aby utrzymać towarzyskie pozycje i prebendy.

Lecz tłum biegł za Magiem i Arjamanem, gotów ich jeśli nie ukamionować potrzykroć, jak się kamionuje djabła, to w każdym razie wykrzyzczyć, odmówić im polskości, zdrowego sensu i naigrawać się nad tajemnicą duszy, która jest łajnem.

Ale na szczęście Mag i Arjaman zdołali się zasłonić szeregami, idącymi za Apollyonem apokaliptycznym na śnieżne pola pod Moskwą... na nowy szturm.

Wtem ujrzy Arjaman na wyjściu z jaskiń Ornakowych widmo wojskowego z r. 63. I mówił w nim jakiś głos dawny tych marzeń, które i on przeżył w pierwszej młodości.

Hauke-Bosak, dzieckiem wzięty do paziowskiego korpusu, wychowany w banalnej świetności na oficera, dowiadyuje się w Paryżu, jako 24-letni podpułkownik o Polsce — i swym pochodzeniu. Nauczył się w sześć tygodni mowy i historii polskiej, jedzie na Kaukaz wyćwiczyć się w walce — a kiedy tam zdobył sławę, zaraz przy wybuchu powstania bierze dymisję, mówiąc, iż nie może dowodzić wojsku, które rozstrzeliwa tłumy bezbronne!

Idzie na tę nędzę życia, wspaniałego li jedynie ogro mem męczarni —

idzie, jako dowódca oddziałków powstańczych, rozbijanych z łatwością przez karne szeregi rosyjskie.

Naraz przed Arjamanem w mgłach nocnych rozsunęły się lasy Iłży, klasztor Świętokrzyski, spalony Opatów, kłęska pod Bodzentynem — — i potem na wyspie Kaprerze Garibaldi, rozmawiający z Bosakiem-Hauke; i potem on, nie dający się nakłonić do powrotu na dwór carski — idzie ginąć za Francję w wojnie przeciw Prusakom!

Zapadła w wir pod Ornakiem mara, Arjaman ukrył twarz.

Zmęczony nie chciał już patrzeć na zjawy historyczne: widział jasno, iż tylko wydobycie nowej, prostej, głębokiej prawdy życia zdoła nieszczęsny naród w jego tułaczce po pustyni przywieść do Ziemi Obiecanej mądrości, pracy i harmonii.

Mag Litwor nie chciał poruszyć jeszcze całą ręką strun w duszy Arjamana, który miał w sobie spuściznę nieświadomą wiekowego cierpienia: Polak w młodości, jak wieloryb w czasie burzy rzucony na skałę, wyłabia cały bok — i z tą krwawą rzeką płynie w coraz ciemniejszych głębinach. — —

Mrok nocy zakrył im góry Ornak.

Wypływają z wielkiej zatoki — morze pełnym przypływem napełniało ją, zaś odbite fale tworzyły jeden za drugim trójkąty zderzających się i niebezpiecznych mocy.

Mag Litwor nakierował łódź naukos fali, idącej z wprost — największej.

Arjaman skrócił żagiel — wtem druga fala nadchodzi z boku — łódź obróciła się do niej pod kątem i została zalana tylko jej grzywą. W tejże chwili Arjaman czuje, że mu serce zastyga, bo oto fala, nalatująca z tyłu, wściekłym naporem gruchnęła w łódź.

Myśli, że to już koniec —

lecz Mag Litwor nie tylko znał się na burzach duszy — niesłychanie błyskawicznym ruchem wykręcił ster i skrócił żagiel drugi, tak, że łódź znajduje się znowu w ukosie do fali.

To ocaliło, wysmignęła, cała zapełniona złotymi burztykami jeszcze dyszących, jak żywe, pian.

Na Arjamanie, który kochał żywioł („żywioł oczyszcza”) i rozumie żeglarstwo, umiejac w łodzi o zakrytym pomoście przepływać nawet wir przy Muraniu —

teraz witeziowa potęga Maga Litwora wywiera wrażenie bardziej imponujące, niż cicha świetlaność jego ducha.

Tak już bywa z naturami wiecznie młodzieńczymi, że wrażenia najsilniej przyjmują przez zmysły.

Morze — ten wielki symbol życia i śmierci, otaczając wokół, zaprasza Arjamana i w każdej chwili gotów rozemknąć swe straszliwe uniwersytety wiedzy: że się jest niczem, będąc wszystkim; tej wiedzy, iż ostatecznym wyrazem duszy ludzkiej — jest mrok.

Mówi Tirso de Molina iż „największymi z uniwersytetów jest boleść”.

Gdyby miłość szczęśliwa była nawet Beatryczą, gdyby miłość nie była ślepym pociskiem Fatumu, lecz Wieszczką, idącą wspaniałymi wschodami, jak na Ca d'Oro, gdzie u szczytu stoją tytany:

tu, na tym dzikim żywiole bezbrzeża, wyglądałaby, jak marny kwiatusek u kamiennego, sardonicznie uśmiechniętego Sfinksa!...

Księżyc zachodzi za chmury —

zda się on szeptać strofę ze Statku Pijanego:

„Już zadługo płakałem: jutrznie są bolesne,
srogie wszystkie księżyce, gorzkie wszystkie zorze;
miłość mi dała strętwienie przedwczesne —
o, niechaj dno me pęknie! niech pójdę pod morze!”

Sen o rozwarciu bram życia nowego i dla narodu nie ziści się.
Kamień się stoczy z tych gór, na których miał być pono raj — (tak wywróżył w jaskini mu Król Węzów —)
ten kamień Syzyfowy uderzy nas wszystkich w pierś —
i długa maligna, ciężka nie na żarty choroba — —
Arjaman zakrył oczy...

— Bezgraniczna święta ojczyzno! pustyni Twej nie odda samotnik, choćby, jak bizantyjski następca tronu, mógł wybierać w tłumie dwunastu tysięcy najpiękniejszych dziewic— szukając Pasargady, córki Komet! —

Arjaman, czyniąc to zaklęcie, zanurzył rękę w morzu i widział, jak zostawia ona za sobą brylantową smugę fosforescencji.

W duszy jego toczy się taka smuga krwi! Zaiste, on nie krzywoprzysiągł: miłość w pustyni świata jest większa, niż morze — miłość ta jest największym z uniwersytetów!

Wysiedli na małej wyspie, zarosłej gęstym lasem; już księżyc zapada w morzu i zda się żagwiącym okrętem wśród mroków.

Tu było wybrane miejsce dla pierwszych święceń Wtajemniczenia.

Tu wśród lewad wonnych tajemniczo milczącego lasu rzekł Mag Litwor:

— Nic nie jest dalsze od prawdziwych wizji, niż marzenia.

Wtajemniczony winien władać w zupełności każdą myślą swą i każdym odruchem woli.

Wtajemniczony musi narodzić swe ciało eteryczne — podobne różanemu kwiatu brzoskwini, które mu da potęgę wewnętrznego słowa,

Tym Słowem on będzie porozumiewał się z istotnym wnętrzem minerałów, roślin, zwierząt i ludzi.

Wtajemniczony musi narodzić samego siebie — musi utworzyć silne harmonijne organy nowej swej istoty.

Wtajemniczony musi uważać wszystko, co jest wyłącznie nim samym, za złudzenie.

Wszelkie osobiste pragnienia za niedozwolone.

W Żwierciadle swej wyższej jaźni ujrzy on zwierzęce postacie swych namiętności.

Wszelkie zwątpienia muszą w nim ustać. Zamiast wiary naradza się wiedza zupełna. —

Rzekł Arjaman:

— Mam i ja swą ścieżynę do świata innego, ale na tej ścieżynie często napadają mię burze i mgły.

Jeśli raz przejdę wśród gwiazd, raz drugi zbłądę wśród miejscowości znanej mi dokładnie.

Jakim więc sposobem mogę odróżnić to, co jest prawdą, od wewnętrznego mirażu? —

Mag Litwor zaczął wtajemniczać Arjamana w pojęcia innej świadomości, niż mózgową: wiemy, iż podczas transu śpiący w letargu ma zmysły i mózg jakby sparaliżowane, źle odżywiane przez złą krew. Jednakże pamięć staje się fenomenalnie dokładna, wzrok widzi przez zamknięte skrzynie lub na ogromnych przestrzeniach innej części świata.

Dzieje się to zapomocą innych stanów materji, niż znane nam stała, płynna i gazowa.

Między atomami są olbrzymie przestrzenie, wypełnione eterem, według fizyków.

I gdyby metr kubiczny platyny, ważący kilkanaście tysięcy kilogramów, złączyć w materję absolutną, bez pustych przestrzeni — byłby to kłaczek wielkości łebka od szpilki.

Atom jest tylko pojęciem siły.

Człowiek jest zbiorem różnych potęg, które w nim osłaniają tajemnicę najwyższą — boskiej iskry.

Kronikarz Turowego Rogu nie jest w stanie szczegółowo podać rozmowy tej: bo udzielił mu jej Arjaman pod największą tajemnicą. Część dalsza rozmowy była jednak czysto pojęciowa.

I tak podobno mówił Arjaman:

Wiem, iż świat starożytny Hellenów był poprzedzony przez świat indyjski.

Z Himalajów wiedzy i przemyśleń, mitów i poezji — zasilają się wielkie rzeki cywilizacji: Babilon, Egipt, Hel-
lada...

Herkulesa znamy w sanskrycie, jako Hara-Kala, bóg walk — miano, dawane w poezji indyjskiej Sziwie.

Towarzyszem Sziwy był Tha-Saha, znany nam, jako Tezeusz; Ari-Ana — uwiedziona przez wroga; Para-Saha — przychodzący na pomoc — Perseusz.

Trzej bogowie piekielni Aha-Ka, sędzia surowy — epitet Jamy — czy nie poznajemy Eaka? Radha-Manta — ka-
rzący występki, i Pluszta, bijący ogniem!...

Atanaia — bezdietna, Ken-tura, człowiek, koń, Zupi-
tri — ojciec nieba, Napatana — ujarzmiacz fal, Lalaga — ten,
kto idzie, szerząc strach, dawne Lelegi, Lachy?

Filozofowie w Grecji mieli imiona zbiorowe: Protha-
guru, Anangaguru, Pithaguru, gdzie znaczy guru — nauczy-
ciel szkoły — wiedzy — rozumu i t. d.; imiona te są tak
zbiorowe, jak Xerxes, który w sanskrycie znaczy Xatrias —
król, Artha, znaczy wielki — i mamy oto Arthaxerxes!

Wirch Meru indyjskiego narodził mniejszy Olimp grecki; tu i tam była rozdawana Amrita.

Legiendaria o Złotym Runie i wyprawie morskiej zna-
na jest w Indjach; Iljada Homera — jest wieszczą córą Ra-
majany.

Lecz jakież jest most wiodący z Olimpijskich igrzysk
do samoumęczenia fakirów? Co wyraża też Msza chrześ-
cian w stosunku do ofiary rannej braminów? —

I mówił Mag Litwor:

— Uroczystość mszy rannej Sarwameda wyobraża ofiarę powszechną i symboliczną wszechstworzenia.

W obrazie Kriszny spełnia się ofiarowanie uroczyste samego Boga; każdy bramin powtarza: „Ani ja nie należę do siebie, ani świat nie należy do mnie. Co do mnie należy, należy też do innych!”

Wprawdzie okres indyjski został w Indjach poniżony przez faryzeuszów.

W Indjach widzimy kozła ofiarnego w całej kaście parjasów, którzy się stali idjotami; blade szkielety — włączają się nocą po miejscach pustych, szukając padliny, o którą walczą ze szakalami i ptakami drapieżnymi. —

— W Egipcie takim narodem parjasów byli Żydzi — rzekł Arjaman — i oni nam narzucili swą religję męczeństwa.

Wyjście ich z Egiptu jest najhaniebniejszą ramotą, jaką zna kryminologja. Bóg ich prowadzi od komizmu kar żabami i muchami do potworności morderstwa synów pierworodnych.

Biorąc na pomoc hagiologów i przedewszystkiem samą Biblię wspomnijmy: pobrali złote naczynia sąsiadom; potem wrócili się Żydzi, aby Faraon, widząc ich, pogonił za nimi i mógł zginąć wraz z armją — wtedy na rozkaz Jehowy rozwarły się wody...

W Kanaanie z miast zdobytych nie zostawiają nikogo żywym — prócz dziewic (Liczby, Rozd. 31), rzuconych na rozpustę. Z małej rodziny Jakóba, po 215 latach, miał się rozrodzić naród parumiljonowy, gdyż samych mężczyzn było 600 tysięcy, nie licząc kobiet i dzieci... Rozrost niemożliwy.

Z bandy tej niesfornej Mojżesz formuje naród. Lecz jak? Oto ognie podziemne pożerają za niedowiarstwo 14 ty-

sięcy. Kapłani mordują 24 tysiące za obcowanie z Moabitkami; po uczczeniu złotego cielca, Jehowa chce zniszczyć naród, na prośbę Mojżesza zgadza się, żeby kapłani wymordowali tylko 23 tysiące.

Jehowa ukazuje się Mojżeszowi z tyłu: videbis posteriora mea...

W Gienezis żydowskiej widzimy skalanie kobiety, zwalenie na nią całego ciężaru grzechu pierworodnego.

— Wszystko to jest nieco inaczej, niż Ty przedstawiasz w zapalczywym gniewie na Stary Testament, rzekł Mag.

Nie przeczę, iż w Indjach pojęcia były głębsze, ludzkość — czystsza.

W Indjach Adima i Hewa, żyjący w raju wyspy Cejlon, przechodzą, dzięki omamieniu Rakszasów, na ląd — nie popełniając grzechu.

Hewa z miłości idzie za mężem, lecz ostrzega przed nieszczęściem! I dlatego z niej to naradza się potem Zbawiciel.

„Kto pogardza kobietą, pogardza matką!

Łzy kobiety ściągają ogień z nieba.

Bóg śmieje się z modlitwy tych, którzy szydą z cierpień kobiety.

Kto zapomni o męczarniach matki, w jakich go narodziła — ten w ciągu trzech wcieleń będzie wiódł nędzne istnienie.

Kobieta jest duszą wszechświata”.

— Oto Indje, wykrzyknął Arjaman. Zestawmy dla porównania tę Ruth, która zdobywa bogatego wdowca przez prostytutkę; Abrahama, który wypędza swe dziecko i kochankę na pustynię; tego męża który żonę swą oddał na całą noc orgji — ze strachu przed bandą awanturników.

Ciekawe skądinąd dla socjologii żydowskie opowieści mają śmieszną odwagę mienić się objawieniem Bożym.

Mógłże Jezus, ten istotny Prorok, nie kontradycją z ulepionych legiend i przewijającej się tu i owdzie gnozy, mógłże wyrazić się, że On nie przychodzi niczego burzyć i utrzymuje Stary Zakon?

Wszakże w całym Starym Zakonie niema jednego słowa o nieśmiertelności duszy, a bez tej czemże jest nauka o Słowie?

Mojżesz przez Egipt wziął wiedzę pradawną, ale nie zaczerpnął jej w całej głębi, będąc adeptem niższym, później lud i tradycja lewitów skazili jego naukę.

— To źle dla adepta Wiedzy Tajemnej, jakim Ty jesteś Arjamanie, że myślisz wciąż w tonie burzycielskim. Czyś nie przeżywał chwil wzniosłych na Synaju? zali nie mówi ci o nieśmiertelnej duszy jej podobieństwo do Jehowy? czyś nie płakał nigdy z Jeremiaszem? i nie tryumfowała Twoja dumna młodzieńcza dusza z Dawidem?

Znów powtórzę, że Indje są Monopolią innych religijnych kolonij.

Wszakże Wedy głosiły najdawniej jedyne Boga i, co ważniejsza, dowodziły jedności świata.

„Ten, który istnieje sam przez się i który jest we wszystkim, bo wszystko jest w Nim.

Ganges, który płynie, to Bóg; morze, które huczy — to On; wicher — chmura — błyskawica — to On”.

Świat w kosmologii indyjskiej stawał się stopniowo. Jeden dzień Brahmy stanowi cztery miliony trzysta tysięcy rokov ludzkich.

Na 3,500 lat przed naszą erą, czyli narodzeniem Jezusa w Judei, naradza się Kriszna z dziewicy Dewanagij.

O przyjsciu Kriszny mówiły prorocтва:

„Przyjdzie okrążony światłem, tchnienie czyste wielkiej duszy; wody Gangesu wstrząsną się od źródeł, aż do morza — jak brzemienne kobieta, która czuje w swym łonie pierwszy ruch dziecka.

Przyjdzie, i Rakszasy przeklęte uciekną w głębiny piekła.

Przyjdzie, słodszy niż miód i amrita; wszystkie serca uniesione będą miłością...

„Jednego wieczoru, kiedy dziewica Dewanagij modliła się —

muzyka nieba oczarowała jej słuch, więzienie w którym była, — rozświetlało —

ujrzała Wisznu w bożym majestacie.

I oto duch zaciemnił jej — i ona poczęła...”

— Narodziny Kriszny otacza też legiendra o rzezi niewi-
niątek, której Herod w Judei nie mógł spełnić dla tej
prostej przyczyny, że umarł cztery lata przed erą chrześci-
jańską, dodał Arjaman.

— Nauka Kriszny była prosta, lecz wpływ jej wstrzą-
sający.

Mówił przypowieściami:

„Należy się wyrzec bogactw i rozkoszy, jeśli sumienie
ich niepochwala.

Ziemia nosi tych, co ją depcą nogami i roździerają jej
łona, zaorując; podobnie musimy dobrem oddawać za zło.

Jeśli obcuje z dobrymi — twe przykłady są niepo-
żyteczne; nie lękaj się żyć wśród złych — aby ich dopro-
wadzić ku dobru.

Jakiegokolwiek przysługi oddaje się ludziom przewrot-
nym — podobne to jest do liter na wodzie, które zmazują
się w miarę, jak są nakreślone. Lecz dobro musi być speł-

niane dla dobra, gdyż nie na ziemi trzeba oczekiwać zadośćuczynienia.

Człowiek, który uświęca środki jedynie przez żądę dojścia do celu, traci prędko sprawiedliwość i zrozumienie świętych nauk.

Człowiek szlachetny, walący się pod ciosami złych, jest jak drzewo sandałowe, które padając, napełnia wonią topór, który je uderzył”.

W rozmowie z Ardżuną o Jaźni mówi Kriszna w Bhagawad Gicie:

„Dusza nie jest niedoskonała w swej czystej istocie. Światło wysokiej jaźni nie ma ze siebie swego zaćmienia.

Z połączenia duszy z naturą powstała niedoskonałość. Lecz ta niedoskonałość nie sięga jej esencji, nie leży w jej przyczynie, którą jest inteligencja najwyższa — Bóg”.

Kiedy Kriszna przemienił się przed oczyma swych uczniów, ci nazwali go Jezeus, t. j. wysnuty z bożej istności.

Dwie kobiety u nóg jego, chrzest w Gangesie, mordca jego Angada... Ciało Człowieka-Boga zawieszona na drzewie staje się pastwą jastrzębi...

Ucniowie nie zastali już ciała, —

drzewo, okryte krwawymi kwiatami, rozsiewało woń. Sprawę jego prowadzili dalej brahmani.

Ci ludzie, noszący tonsurę i sznur święty, mieli całą zakonność wieków średnich Tomasza á Kempis i bizantyjskich pustelników.

„Niech będzie sam bez towarzyszy nie troszcząc się, iż jest opuszczony przez cały świat i że on sam wszystko porzucił.

Niechaj nie życzy sobie śmierci, niechaj nie życzy też

i życia, i jak żniwiarz wieczorem czeka spokojnie swej zapłaty na progu Pana, niech on czeka, aż godzina jego nadejdzie:

Jeśli ten, który go uderzy, upuści kij — niech on go podejmie i odda mu bez skarg.

Niechaj nigdy nie zdobywa sobie pożywienia, czyniąc cuda i tłumacząc sny.

Niechaj nigdy nie wypacza istotnej treści świętych Pism, aby wydobyć nakazy, służące namiętnościom i dobrom tego świata.

Kiedy godzina śmierci wydzwoni, niech się rozciągnie na macie i pokryje popiołami; ostatnie jego słowo niech będzie modlitwą za całą ludzkość, która cierpi dalej, gdy on jest już odpuszczony do Ojca wszechrzeczy”.

Brahmanizm, jak i nasza religja, sięgnął zczasem po ziemną władzę. Zgięto do ziemi naród, nie dając mu już wolnego sądu, sumienia ani godności. Kiedy garść obcych zdobywców przysłała, zastali w Indjach tylko tłum bez odwagi, inicjatywy i wolności. —

— Nie wnoszą jej chrześcijańscy misjonarze, którzy w tak zwanym rytuale malabarskim mały krzyżyk przywieszają do bezwstydnego Sziwy lub wypędzają parjasów z kościoła! rzekł Arjaman.

— Sami brahmani dzisiejsi są cieniem tego, czem byli: w nędzy, w występkach, w upadku moralnym i w bezmiernej pysze, która wyrasta nad otchłanią ich bezpożyteczności. Przebudzony ruch między nimi Commouty przez handel, kapitały i asocjacje — dąży do dawnej władzy teokratycznej. Wyjątkowi tylko wracają do Wed i wtajemniczeń pierwotnych.

Są jednak inni, którzy idą ku Wolności przyszłej...

Lecz idźmy dalej w badaniu Kriszny-Chrystusa. Chrystus oznacza ten wielki ideał, do którego dążyła cała ludz-

kość. Jestto nazwa Pomazańca, Syna Bożego, jakim miał się stać każdy człowiek religijny.

— Jezus był więc jednym ze Synów Bożych, rzekł Arjaman, który widać tej nocy postanowił zerwać z Krzyżem.

Nazarejczyk Jezus cóż czynił do roku 30? Nie mówią o tem Ewangelije.

Był w Egipcie, czy w Indjach? sam — czy z towarzyszami? Czem mógł tak wyrosnąć nad ciżbę ciemnych współplemieńców?

Mistyka essencyków cicha kontemplacyjna — czy mogła wydawać takie rezultaty, co Joga indyjska, t. j. wiedza o głębinach duszy i panowaniu nad jej potęgami? —

— Arjamanie, rzekł Mag, rozumujesz jak faryzeusz, wyznawca litery zakonu i fanatyk pewnej szkoły.

Dusza może być wszędzie i zawsze równa sobie t. j. nieskończoności.

Przyznaję, iż życie Kriszny wpłynęło na legendę o Jezusie, zaś wiedza aryjska Indji na rozwój duszy semickiego proroka Arjów.

Również imię Jezusa, jako jednego z wcieleń Buddy — których 84,000 wyliczają księgi święte — jest znane w Indjach: Issa.

W klasztorach buddyjskich, osobiwie w Lassie, dużo jest odpisów życia „najlepszego z ludzi”.

Te odpisy znane w Europie, dzięki całemu szeregowi sanskrytologów, z naciskiem twierdzą, iż w 14-ym roku młody Issa z rodu Dawidowego przybył do krainy Sind, zamieszkałej przez Arjów. Tu w pobliżu Dżagernaut, gdzie mogła Kriszny i wielkie biblioteki, studjował.

Wtajemniczywszy się w wiedzę indyjską, zaczął potępiać nienawiść między kastami, oraz brahminów — dowód, iż nie był ślepym naśladowcą Hinduizmu. „Jeden w pocie

oblicza swego pracuje, aby zdobyć łaskę bezczynnego, który siedzi przy stole wspaniale zastawionym.

Brahmani oddalili was od prawdziwego Boga, ich przesady i okrucieństwo wiedą was do przewrotności umysłu i utraty uczuć moralnych”.

Ten życiorys każe Jezusowi, wracającemu przez kraj Persów, pouczać też czcicieli Słońca:

„Słońce podnosi się, aby was ogrzać podczas waszej pracy; ono się kładzie, aby użytych wam spokoju, który ja sam utwierdziłem”.

— Widzimy, że łatwiej było dawnej Ludzkości uzyskać wiedzę ducha, niż wiedzę kosmograficzną, szepnął Arjaman.

— Teraz zaś wśród stert wiadomości przyrodniczych panuje zamęt i ciemność w tych świątyniach, o których mówił Issa:

„Wejdźcie w świątynię, w serce wasze, oświećcie je dobremi myślami, cierpliwością i dowierzaniem niezachwianem, które winniście mieć w waszego Ojca.

Wasze naczynia święte — to są wasze oczy i ręce... czyniąc dobro bliźniemu, spełnicie ten obrządek, który uświetni obraz wasz, w którym przebywa On”.

Koło r. 29 Issa wrócił do Ojczyzny, której los w ujarzmieniu było mu ciężko oglądać.

Kiedy szpiedzy Piłata już go otaczali, on uczył:

„Nie wiercie w cuda — człowiek nie może wstrzymać szaleństwa huraganu, ani rozwiać dżdżu.

Lecz jest cud, który człowiek może spełnić: pełen wiary szczerzej wykorzeni on ze serca wszystkie złe myśli i aby osiągnąć celu, nie będzie szedł już drogami niesprawiedliwości.

Nie dawajcie wiary wieszczkom. Bóg jeden zna przyszłość; kto zapytuje wróżbitów, zanieczyszcza świątynię,

która jest w naszym sercu i okazuje niedowiarstwo względem swego Twórcy.

Wiara we wróżbitów niszczy prostotę wewnętrzną; pogańska szatańska owłada nim i zmusza go spełniać wszelkie zbrodnie i czcić fetysze”.

W Jerozolimie uczył: „Rasa ludzka ginie z powodu braku wiary, gdyż ciemności i burze zbłąkały stado ludzkie i oni stracili swoich pasterzów.

Lecz burze nie trwają ciągle i ciemności nie zakryją światła na wieki.

Nie starajcie się szukać dróg prostych w ciemności, bo możecie wpaść w jakąś otchłań; ale zbierzcie ostatnie siły, podtrzymujcie jeden drugiego, wierźcie w Boga i oczekujcie, aż pierwsze świtanie zabłyśnie.

Kto wspiera swego sąsiada, wspiera siebie—kto ochrania rodzinę swą, ochrania cały swój naród i swój kraj”.

Na pytania współrodaków o wyzwoleniu mówił:

„Ostrzegalem władze, iżby nie szły daleko w swych drogach mrocznych, bo przepaść otwarta jest u ich nóg.

Władza ziemna nie trwa długo i podległa jest wielu przemianom.

Niema żadnego celu dla człowieka buntować się przeciw niej, bo władza jedna ustępuje tylko drugiej władzy, i tak będzie to trwać aż do wygaśnięcia rodu ludzkiego”.

Ty, Arjamanie,—mówił dalej Mag Litwor,—tu chcesz uczynić zastrzeżenie.

Istotnie, ta zasada sprowadzałaby się do niedziałania wogóle, gdyż upadek, rozkład i zmiana istnieją we wszystkim.

Nie mówię Ci też, abyś przyjmował te piękne tradycje za dogmaty: nie pozostawaj przy latarniach morskich, lecz dzięki im — umiej omijać rafa.

Arjaman odrzekł:

— Biorę z tych minionych światel wielką władzę mroków.

Jeżeli Issa, syn wcielony Boga, nauczyciel ludzkości, nie mógł się zdobyć na inne sentencje, niż te, które każdy curé w cichej wiosce może czynić parafianom, kiedy trwa zaraza, lub kiedy jest najście Prusaków —

to zaiste, nie warto oglądać się na wierzchołki, których niema: są to miraż:

— Słowa Issy, rzekł Mag Litwor, doszły nas w lichej ewangeliji, uczynionej przez kupców. Biję z nich tylko jedną pewność: że należy w duszy swej rozkrzewiać miłość i światło...

— Miłość! rzekł gorzko Arjaman, — nauczyłem się innego prawa we wszechświecie — t. j. umierania z braku miłości. I dlatego muszę widzieć w kobiecie, która niesie złudę—mego świadomego lub nieświadomego wroga.

— Mówił Issa, rzekł na to Mag:

„Błogosławcie kobietę, czcicie ją — ona jest waszym jedynym przyjacielem i waszą oporą na ziemi.

Czcicie wasze kobiety—jutro one będą matkami, a później babkami całego narodu.

Jak Pan zastępów — który oddzielił światło od mroków—i lądy od wód, tak kobieta posiada boski dar oddzielać w człowieku dobre uczucia od złych myśli.

I dlatego, mówię wam, po Bogu wasze myśli najlepsze muszą należeć do kobiet i żon, gdyż kobieta jest boską świątynią, gdzie wy osiągniecie najłatwiej doskonałe szczęście.

Zaczerpnijcie z tej świątyni wasze siły moralne; tam zapomnicie waszych smutków i niepowodzeń, odzyskacie moce utracone, które są wam konieczne, aby pomódz bliź-

niemu. Nigdy jej nie wystawiajcie na poniżenie; przez to unijecie siebie i straciecie dar miłości, bez którego nic trwać na ziemi nie może”.

Nie protestuj, Arjamanie, przeciw tym słowom.

Kto wypił truciznę, niechaj nie zlorzeczy wodom zdrojowym ani hydromelowi! —

Rzekł Arjaman, śmiejąc się: Zlorzeczyłem, albowiem konałem. Teraz z kamienia pustyni pić będę.

Mówił dalej Mag Litwor:

— Zakończę wyłożeniem twego imienia.

Arja — jest to imię starożytnych mieszkańców Indji.

Znaczyło najpierw: człowiek, który uprawia ziemię.

Pojęcie etnograficzne uzyskało później znaczenie religijne i znaczy ono:

Człowiek, który wierzy.

Arjaman milczał, potem rzekł:

— Odtąd imię me będzie znaczyć: Człowiek, który oparty jest sam na sobie...

Wiara moja rzuciła mię w otchłań piekła. Wyprowadzi mię z niego tylko myśl, która tragedją ludzkiego istnienia osądzi me stare wierzenie.

Kiedy Notowicz jechał po ewangielję Issy, mającą być w klasztorach Tybetańskich, raz nocą ciemną przejść musiał przez wąwóz, gdzie mrowiło się od dzikich zwierząt.

Dziesięciu tragarzy, niosących paki, posuwało się w ciemnościach — wtem ryk pantery!

Wszyscy stanęli w trwodze.

Usłyszeli krzyk straszny walki i w agonji umierającego człowieka...

Nieostrożny podróżnik, jakim był Notowicz, nie miał przygotowanej broni — ta była niesiona przez któregoś tra-

garza. Gdy rozpalono światło, ujrzano na konwulsjami targanym Indusie wspaniałą panterę..

Notowicz wycelował karabin, pantera już miała się rzucić — lecz odmieniwszy nagle zamiar, wyrwała kawał ogromny ludzkiego ciała i uciekła w las.

Tak drogo trzeba nieraz opłacać ewangielję!

Ta opowieść jest więcej warta od całej ewangielji Issy!

Pantera w mrokach nocy rozszarpuje i pożera wędrowca, idącego po „wieczne” światło.

Wszakże tego Indusa-Arję, „człowieka wiary”, nikt nie uchronił! dobry Purana Bhagawat nie zeszedł na pomoc synowi! lub raczej przyszedł w postaci tygryscy?

Świat jest pobjowiskiem ścierających się sił.

— My jednak ludzie, którzy jesteśmy wierzchołkiem ziemi, powinniśmy wybierać moc najwyższą, rzekł Litwor.

— Moc moją zdobędę w niszczeniu Arjaman, człowieka wiary — rzekł ten, który się mienił sam tak długo Arjamanem.

Kiedy wzniosł oczy na Maga, myśląc, iż ujrzy w nim święty zagniew, z dreszczem podziwu ujrzał tragiczną zadumę Lionardowskiego Wieczernika.

Mag Litwor przyszedł li wypełnić otchłanie Lucifera?

Brzask się tworzył.

Mag Litwor i Arjaman chodzili wśród łąk, okrytych krwawymi makami, gdy dokoła zaczarowane szczęściem wznosiły się wielkie jodły, ożyny kwitnęły różowymi pąkami, a w błękitach przelatowały ptaszki.

Kilka drzew wiśniowych migało swymi rubinami.

Była to wyspa, na której mógł się urodzić Zeus z cichej tajemniczej Semeli.

Tej nocy Arjaman narodził sam siebie.

Teraz poznał do głębi, iż wiele w nim było zbudowane na leniwych zwątpieniach i że Polska tkwi jeszcze w samym środku bagna, gdzie dokoła latają błędne ogniki.

On, który niegdyś kochał nad wszystko Chrystusa, teraz myślał, iż musi rozejść się z Nim —

iż należy w wiecznie istniejących burzach tworzyć swe przeznaczenie.

Prosił Arjaman swego Mistrza, aby tu mogli pobycć dzień jeden nad źródłem, które wypływało ze skały.

I spędzili tu dzień, żyjąc chlebem przywiezionym i miodem, który znaleźli spływający po korze drzew przepęnlonych miodem dzikich leśnych czarnych pszczoł.

I mówił jeszcze o swym życiu Arjaman.

— Badałem różne drogi tajemnej wiedzy: i przeraził mnie ten obmierzły kabotynizm literacki, który epatuje paru znakami astrologicznymi i tym żydowskim pentaklem z wielkim imieniem Jahwe, okazującego swym prorokom — tył.

Ach, te witrynowe figury, ten niedorzeczny żargon mumi, piszących grube tomy bredniowego astro-chiro-papugomantyzmu!

Te różne M-me de Thèbes...

W czasach w. XVII ukryte koła czerwonych i białych zróżniczkowały się przez wylew Rewolucji: jakobini owładnęli tłumem, filozofja ateistyczna stała się przyziemna i zbrodnicza; iluminaci rozwijali się pod wodzą Fabre d'Olivet i Eliphasa Lévy; Wroński, Vaillant, Alcide Morin — niestety nie zawsze oddzielający wiedzę istotną od przywidzeń. Potem Stanisław Guaita obudził tradycje Swedenborga,

Martineza Pasqualis, Boehma, Saint Martina, Paracelsa, Rajmunda Lulla, Agrypy, Khunratha i Flamela.

Teraz widzimy we Francji potężne wpływem koła masonów i udające wpływ literackich wibrionów.

Stanowi ogólną wadę ich — wiara w martwe słowo, wiara, iż jakieś zaklęcie, jakieś słowo kabalistyczne, lub matematyczna formuła sama przez się rozwiera skały przeznaczenia. Ich mesjanizm, ich Muzy Czarne, świątynie Lilithy, ich Róże Mistyczne pełne są martwych kości — i, doprawdy, szkoda było namiętnej poetyckiej wiary Stan. Guaity na badanie potrójnego sensu: literalnie, symbolicznie, hieroglificznie słowa Nahasz, które w tekście Wujka znaczy Pokuśnik. W sensie pozytywnym Nahasz ma być upojenie żądzą, wiodące do zła; symbolicznie — Nahasz jest światłem astralnym, wysokim czynnikiem mroków Goecji; w znaczeniu najwyższem Wąż Nahasz wyobraża egoizm pierwotny — Ja, ciągnące ku Mnie samemu.

Brnięcie w labirynt kabalistyki jest wybraniem drogi przez Absurd. Wiedza kabalistów dawnych płacze się w takich rozumowaniach, że np. Sokrates znaczy mur żelazny, bo so jakoby znaczy mur, a krato żelazo; błogosławiony biskup Voragine, autor Legenda aurea, tak samo w w. XIII objaśnia słowa, np. Agathę — aga znaczy czysta, a tha święta.

Znam Żyda kabalistę, który niezmiernie trafnie odgaduje przyszłość na zasadzie zupełnie fałszywych danych kabalistycznych.

Mówi przez niego nieświadoma moc profetyczna, zaś umysłowi jego wydaje się, iż zawdzięcza to zagmatwanym i dziecinnie przekalkulowanym rachunkom. —

Arjaman zatrzymał się i zaczął słuchać — tam z podziemi dochodziły dzwony —

usłyszał jakby śpiewy religijne —

wstrząsnął się —

to w jego duszy jeszcze coś tak śpiewało chwałę Ukrzyżowanemu.

Wraz z imieniem Jakóba Voragine przemknęły te rozmodlone postacie świętych, te jednaście tysięcy kobiet, mistycznie nastrojonych, które z Bretanji szły za św. Urszulą — — okręty zaniosły je w trzy dni prądem rzek aż do Kolonji, stamtąd szły aż do Rzymu, wyszedł na ich spotkanie papież i szedł wraz z niemi, mimo zgorszenia kleru watykańskiego...

Tak szły, aż były wymordowane i umęczone przez Hunów wszystkie, prócz Korduli, która ukryła się naprzód, a potem, zawstydzony się, iż przeżyła swe towarzyski, wydała się barbarzyńcom na śmierć — —

Jak trudno jest naprawdę wyrosnąć nad swe serce, pomyślał Arjaman: kiedy mój umysł szuka innych światła, moje serce jest zasłuchane ciągle w Ostatniej Wieczery.

I, aby wykryszalić swe myśli, zaczął znowu snuć swe zwątpienia o Jezusie:

— Wszakże i to jest fakt niemały, iż świat myślicieli greckich i rzymskich nic nie wiedział o takim Bogu: Tacyt, Swetonjusz, nawet Juljusz Flawiusz! Domniemany morderca niewiniątek, Herod, postrach wieków zbyt wierzących — kiedy był głód w Judei, sprzedał dobra swe i meble drogocenne, aby ulżyć męczarniom narodu.

Za to istotny morderca i potwór, Konstantyn, nosi przydomek Wielkiego.

— Ludzkość, zamiast pojąć naukę Jaźni z życia Jezusa, urobiła sobie twarde intelektualne dogmaty, rzekł Mag.

A wszakże jeszcze na krzyżach z V wieku Chrystus wyobrażony był żyjącym z odkrytymi oczyma i bez oznak

fizycznego bólu. Było to bowiem światło z krzyża, który w najdawniejszych symbolach Egiptu, Peru czy Indyj — oznaczał zawsze reinkarnację, ewolucję, czyli pierwiastek niezniszczalny życia.

Jezus wiódł uczniów... męką swych skrzydeł astralnych. Nie trzeba na to było cudów.

Gdyby cuda były, poszedłby za Nim cały ambitny żydowski naród.

Łatwo stopiła się nauka Kriszny indyjskiego z życiem rabi Jeszua.

Rozproszeni po świecie apostołowie prędko weszli w atmosferę orientalną mitów i cudów; jeśli święty Józefat wziął na się historję królewskiego pacholęcia Buddy, — tym łatwiej imię Jeszua stopiło się z indyjskim epitetem Kriszna, to znaczy Wysłaniec Boga, oraz z wyrazem greckim „Pomazaniec”.

Nie zapominajmy bowiem, iż czasy, w których tworzyła się legiendy życia Chrystusowego, były czasami, kiedy panował gnostycyzm: Filon, Szymon Mag, Menander ze Samary, Dozyteusz... Ich idee rozwijane były w II i III wieku przez Bazylida, Saturnina z Antjochji... Orygenes uczył indyjskiego przedistnienia dusz i czasowości piekła.

Apostołowie i kościół tych mistrzów swych uznali za heretyków. —

I rzekł Arjaman:

Historja bywa mistrzynią, lecz zbyt późno, jak w życiu jednostek — nagle i przerażające doświadczenie często tylko jest błyskiem piorunu, który wprzód zdruzgotał okręt, nim płonącymi masztami jego rozświetlił drogę!...

W moim życiu lat temu dziewięć byłem już na ścieżynie wolności i przemyslenia.

Lecz zwróciłem się w manowce mistycznej wiary, dzie-

ki męce serca, które wybuchło z głębin — męce, która mi dała skrzydła astralne...

— Wspomniałeś, Arjamanie, z zalem, iż wszedłeś niegdyś w manowce mistycznej wiary. Wiara Twoja była przecuciem Istotności. Teraz jedyną największą pracą w Tobie powinno być oddzielenie fantazmatów wiary i fantazmatów zwątpienia od najgłębszej rzeczywistości. W głębiach bowiem wszystkiego — jest Duch.

Teraz, jak i zawsze, każdy może się stać wybrańcem, który, jak mówi Manu, rzuci zapaloną strzałę w potężne bastiony przesądu i omyłki.

Lecz ta zapalona strzala może się okazać sama błędem, jeżeli tylko ociemnia wzrok i zgasi wiecznych ogni słupy...

Dusza Arjamana płynęła, jak morze wzburzone — — krążyła nad przepaścią, żyjąc w tchnieniach żywicznych lasów nad pradawnym światem morzem.

Leżał, zatopiony w woniach żywicy tych koniferów z długimi igłami, pachnącemi, jak fjołki; wśród olch, czarnych klonów, trzciny i traw macierzanek.

Fale wyrzucały na brzeg dziwne twory głębin: kraby, zagrzebujące się w mokry piasek, przystosowane barwą do żwiru, tak, że można było je wziąć za kwadracik nadbrzeża poruszający się; zielonawe algi w formie gąbek, lub podobne wstęgom wygiętym falisto, czy rozchwianym w krzewy; modre precudne łódki z kryształowym żaglem, fyszalje. Raczki skaczące nikię, zdające się pchłami, czyniły jamki w piasku, małe, jak ukłucie cierniem.

W miejscach suchych modre i zielone żuki toczyły z komicznym uporem bryłkę ptasiego nawozu, wrywając ją sobie, jeden najtęższy pchał tylnymi łapkami, starając się uciec z nią od natrętnych towarzyszków.

Lecz oto rozegrał się nowy dramat: wielki metalicznie czerwony żuk usiadł na wybrzeżu — dwa haczyki wydobyły się z pod piasku i wparły tak nagle i tak potężnie w żuka, iż ten po kilku drgawkach zmarł. Wygrzebał się z piasku lew mrówczany, obrzydłe piaskowej barwy, pręgowane, podobne do hjeny zwierzątko z wielkimi hakami, wydzielającymi jadowitą i cuchnącą ciecz —

począł korzystać ze zdobyczy, wysysając.

Wyskoczył drugi lewek — zaczęła się śmiertelna walka, pierwszy legł zatruty i ciało jego wnet przybrało barwę siną.

Nad morzem wśród skał latały orły morskie, zanurzając pazury w wodę, gdy widziały płasającą na powierzchni rybę.

Tak więc, dusza Wtajemniczonego powinna absolutnie zdawać sobie sprawę z realności zewnętrznej i nią władać!

Znużenie bezsenną nocą dało się wreszcie odczuwać.

Położył się pod cienistym czarnym klonem. Zasnął.

Wielki bezmiar nocy zasiewał już świecące hieroglify wieczności — haftował wtajemniczenia na wzruszonych, mrodo-ciemnych głębinach.

Mag Litwor, nachyliwszy się nad Arjamanem, zbudził go wolą, nie dotykając.

— Ty, Mistrzu, czyś wypoczął?

— Nim pszczoła jedna zdążyła wyssać wszystkie kwiaty na tej lewadzie — byłem już po moim śnie.

— I to wystarczyło?

— Pewien rodzaj spania więcej wzmacnia, niż zwykły sen. Teraz nie mamy już czasu, wiatr zrywa się wieczorny, musimy dogonić podmorski statek księcia Huberta.

— Wszakże tu jest pełne morze!

— Ja widzę w dali tego człowieka — —

i widzę jeszcze torpedowiec rosyjski z którym musimy się spotkać. —

Nie pytał już Arjaman, pomógł założyć żagle, wysunęli łódź na fale, grzmiące potężnie wraz z nocnym przyływem.

Wiał chłodny wiatr, łódź, pochyliwszy się na bok, z świstem zaczęła pruć wody. Góra na wyspie wyrastała wciąż — olbrzymiała w mroku, aż w nim zatonąła.

Już był nad nimi tylko rozpięty haftowany gwiazdami namiot nieba. Mrok nocy magnetyzował; tężyzna fal udzielała się Arjamanowi. Myślami krążył, jak olbrzymi albatros, wśród chmur nad wzdętym morzem.

Mijały godziny.

Bez słowa, w milczeniu płynęli.

Arjaman wracał myślami do ubiegłej nocy, wśród której on, król wyspy Thule, rzucił bajeczną czarę miłości do morza.

Czasza ofiarna dla żywiołu, z której nikt nie wypije już nigdy.

I w tej dumie żałował, iż, jak Aleksander Wielki, nie pochodzi od matki czarownicy, która niewiadomo z jakim demonem poczęła syna!

Aleksander, nie uważając się za syna Filipa, mienił się synem Ammona, boga słonecznego w Egipcie.

Takich matek Olimpiad liczy historia tylko na jednostki.

Słowacki ułożył modlitwę dla matek o syna gienjusza.

Arjaman sam teraz był swą matką i czuł, jak rozskrzydłają się w nim czarne, mroczne zadumy.

Wtem ujrzał mknący błyskawicznie po wodzie ogień.

— Nie może być łódź tak szybko pędząca, pomyślał, nie jest li to jakiś pocisk nowego systemu — światło zbliża się, zakaty! wychynęła podmorska łódź! —

Istotnie, zahamowała się w tak wściekłym rozpędzie, jak lecący siłą parutysięcy koni parowych torpedowiec. Miała motor aeroplanowy, przyczepiony do wierzchołka masztu, o ile szła na powierzchni morza — i nadający jej ten bajeczny pęd.

Rozwarły się stalowe klapy.

W łodzi elektrycznej oświetlonej stał wysmukły, w płaszcz otulony człowiek.

Widząc dzentlmenów, dotknął bireta, salutując — i zapytał:

— Czy nie znajdę towarzyszków wyprawy na Wielki Wir, który tworzy się koło Murania każdego przedranka? Moja łódź jest podmorska i możemy odkryć ów tajemniczy pod Tatrami prąd!... —

Mag Litwor zaprzeczył głową.

Arjamanowi zrobiło się żal sposobności, spojrział na Maga. Lecz ten, jakby nie widząc spojrzenia, przeszedł do elektrycznej szalupy i skinął na Arjamana.

— Jakto, nie chcecie jechać na Malsztrem i wstępować do mojej Jo, która nosi nazwę bohaterki, co miała odwagę przepłynąć wielką drogę od bogini do krowy — rzekł dzentlmen, sięgając nieznacznie w zanadrze — zapewne, aby mieć pod ręką rewolwer.

— Mamy na razie rzecz inną do uczynienia, skoro los nam ciebie zsyła, książę Hubercie, odrzekł Mag Litwor. Musimy jechać pod granicę Tatr i spotkać okręt, jadący z Kaukazu i Batumu. Tam jest plan walki, przygotowany przez jednego rosyjskiego kapitana; sztafetą ma być wysłany dalej, aż na Dwór. Jestto z niesłychaną precyzją obliczona możliwość wygrania walki przez Rosję na Dalekim Wschodzie z Japonją —

— Jakto? — zapytali obaj naraz: książę i Arjaman — walka Rosji? — nic o tem nie wiemy.

— Jest już w powietrzu, zaraz się pojawi na ziemi. Kapitan Czibisow należy do tych ludzi, co nasz Przewalski Mikołaj: uwielbia absolutyzm i służy mu całym gienjuszem, rozległością wspaniałej wiedzy i młodością. Lecz Rosja musi być pokonana dla jej własnego dobra i dobra ludów. —

Nie odrzekł na to już nic właściciel Jo, spojrział tylko bystro i oddał koło sterowe Magowi, sam zaś spokojnie wyjął małe pudełko i podał uprzejmie Arjamanowi wraz z koszykiem kolczastych fig, zwanych indyjskie.

— Haszyszu? trzeba jednak wprzódy zakąsić, choćby tym owocem!

— Z trudem doszedłem do otrzeźwienia, rzekł Arjaman.

— I ja też. Lecz powierzyłem łódź mą w dobre ręce i pewno na dłużej.

Kto panowie jesteście, nie pytam, wolę mieć do czynienia z nieznanymi, choć już robi mi niemiłą różnicę, że ten straszny pański towarzysz zdaje się mnie znać.

Co zaś dotyczy statku, wiozącego plan walki, to mam tu aparat telegraficzny bezdrutowy — oddaję do rozporządzenia. —

Książę Hubert powtórzył swe usługi Magowi, lecz były nieprzyjęte.

Mag siedział w skupieniu najgłębszym i to był zapewne jego sposób przyjmowania wrażeń z całego świata.

Książę Hubert, wchłonawszy dwie bryłki haszyszu, zapadł w rodzaj letargu, lecz nie minęło kwadransa, gdy dotknął ręki Arjamana, wstrząsnął nerwowo i rzekł cichym, natchnionym głosem:

— Mój druhu, bracie krwi, przelanej w jedną czarę — czy widzisz te piętrzące się wschody z granitu? tam musisz iść. Tam żyje Prometeusz zła — nad kraterem wulkanu, skąd wychodzą wyziewy siarczane.

Węże dwa pożerają mu plecy. Okuty łańcuchem w tym wiecznym mroku on żyje, ślepiący duch — który niósł światło.

Ja byłem tam. A ty masz skrzydła białe Perłowicza — tyś jest witeziem, który zmógł niegdyś Króla węzów w Tatrach.

Dziś ty się tułasz... jam twój brat — i jam jest twój wróg Janosik.

Tak, byłem kiedyś hersztem. Dziś jestem wielkim nudzącym się panem.

Lecz widzę mój los — na mym pękniętym sercu, jakby urnie z brązu,

która, w rozpaleniu aż do krwi, jest rzucona w mroźną dolinę zgonu.

Na tej urnie rozerwana pieczęć Salomona, Duch wyleciał w objęciu tysiąca kobiet.

Gieńjusz był to może straszliwych potęg?... Biada, com ja uczynił — com ja uczynił z mą wieczną sześcioskrzydłą duszą? —

[Książę Hubert w rozpaczycy najgłębszej uderzał głową o powietrze, a zdało mu się zapewne, że tam są skały Kaukazu.]

Książę ręce rozpostarł na przestworze nieba zasianym grozą milczących gwiazd.

Arjamanowi zdało się, iż dokoła pędzącej błyskawicznie łodzi, skaczącej na falach, jak nietoperz w locie — wiją się błękitne, karminowe, żółte Muzy, srebrne Peri, czarne Walkirje — on zaś, jak Dżalaaluddin Rumi, odrzuca wszyst-

kie czary, idąc w płaszczu derwisza po drogach samotnych.

Mag Litwor powstał, dłoń przyłożył do czoła księcia Huberta — i ten otrzeźwiał naraz.

Arjaman nie potrzebował wytrzeźwienia; patrzył z zimnym uśmiechem na księcia, myśląc, iż to jest jakby jego sobowtór, używający życia i biorący par force wszystkie przeszkody, u których on legł, jak u mirażowych gór.

— O jedno was proszę, rzekł już zupełnie innym tonem książę Hubert. Na torpedowiec wiozący plan walki, pozwólcie bym wstąpił ja sam. Byłem lejteńtanem marynarki wojennej i rozumiem się na wzięciu w ręce różnych delikatnych spraw, zresztą znam osobiście kapitana Czibisowa. Widzę na horyzoncie odbłask krwawy z komina. Przetniemy drogę i ja pomówię z kapitanem. —

Lecz na to nie zgodził się bezwzględnie Mag Litwor. Ujrzano pędzący torpedowiec.

Książę Hubert wywiesił latarnię reflektorową i sygnalizował wstrzymanie.

Torpedowiec, lecący z szybkością kurjerskiego pociągu, zwolnił pęd.

— Czego? — zabrzmiało gniewne zapytanie.

— Ważna rozmowa sam na sam z kapitanem, rzekł Mag Litwor.

Opuszczono drabinkę sznurową, Mag Litwor wszedł na pokład odymionego, buchającego parą żelaznego potwora. Zniknął wraz z krępy miedzianem.

Arjaman nie zmieniał zadumy, książę Hubert rozmawiał wesoło z oficerami.

Po kwadransie wyszedł Mag Litwor.

Popłynęli.

Torpedowiec odrazu wziął pęd najwyższy i zniknął w parę minut za widnokretem.

Mag Litwor usiadł w łodzi, głowę złożył w ręce i płakał.

— Teraz i my nie tracimy czasu, rzekł książę Hubert, kapitan umierający może lada chwila spostrzedz, iż podłożyłeś mu pan inny papier na miejscu owych planów. —

— Kapitan Czibisow oddał mi je dobrowolnie, gdy mu ukazał inne w głębinie ludzkości — światło. —

Mag Litwor podniósł głowę i ze wzgardą spojrział w księżca.

Ten jednak wytrzymał spojrzenie i rzekł:

— Tak czy owak nie minie nas dobrze wycelowany wystrzał armatni. Zakrywam hermetycznie łódź. Zapadniemy w głębie. —

Był ostatni czas, bo nagle reflektory torpedowca, jak potworne świecące macki, zaczęły latać po powierzchni morza.

Torpedowiec znowu ukazał się na horyzoncie i gwałt prosto ku łodzi.

Lecz ta już się zanurzyła. Huk armatni wstrząsnął powietrzem i był to ostatni odgłos ze świata dźwięków, bo płynąc w głębinie kilkunastu metrów, nie słyszeli już nic.

Wszystko jednak, nie jak w chaotycznym śnie, lecz wiązało się w głęboką rozległą skalę Wtajemniczeń myśli i czynu.

Arjaman patrzył przez zwierciadlaną szybę w mroczne tonie rozświetlane elektrycznością. W niemej otchłani snuły się pająkowate głowonogi, i znowu mrok — tylko mignął podobny do stalowej deski z zębami piły, z miną hipokryty — rekin.

Mag Litwor palił w ogniu plany i memorjał kapitana Czibisowa.

Rozległ się dźwięk aparatu telegraficznego. Książę Hubert zaczął odczytywać depesze.

— To przepływa eskadra rosyjska — zapytuje fortecę przy Bosforze, czy nie zechce rząd Otomański jej przepuścić — chcą płynąć przez Sueski kanał, zapewne do portu Artura! —

— Wszystko jedno, nie zdążą — rzekł Litwor. Te trzy noce będą ważne w dziejach świata.

My robimy rzecz najwspanialszą, jakiej można dokonać: olbrzymowi wysłoneczniamy jego myśl.

Rosja może zatryumfować, ale inaczej.

Kapitan Czibisow jest już przekonany naszym druhem. Powiedział to swemu oficerowi, lecz ten kazał torpedowcowi nas ścigać. Kapitan dogorywa—jest suchotnikiem. Duch jego z tamtego brzegu wkrótce spojrzy i pobłogosławi. Nie płaczą już.

A teraz, panowie, czas spocząć wam. Ja zostanę jeszcze przy sterze. Wracamy do kraju. Bądźcie spokojni — maszyna do wytwarzania powietrza nie ustanie. —

Książę Hubert ułożył Arjamana w krzesło wygodnym, zmieniającym się w otomanę.

Wkrótce cisza absolutna. Mag Litwor zgasił reflektor, oświetlający głębiny i drogę przed łodzią. Widać ufał swym zmysłom magnetycznym, iż go ostrzegą przed rafą zdradziecką lub tonącym statkiem, z którym łódź mogłaby się zderzyć. Tak mijały ciche godziny nocne w tajemniczych głębinach.

Nareszcie łódź wychynęła na powierzchnię. Mag Litwor uchylił klapy stalowej.

Morze było zmienione w karmazynowy ogród ruchomych gorejących klejnotów. Lub nie, raczej były to potoki krwi na mrocznych piekielnych głębinach.

Wielkie, jak tarcza Achillesa, słońce wytoczyło się już

nisko nad fale, i jęło odbijać swe prorocтва w lśniących od morskich kryształków ścianach fjordu między Łomnicą i Białskimi grotami w Koperszadach.

Morze zmieniło się w krew. Tam, gdzie był cień, mroczył nieprzejrany Hades.

Wjeżdżali we fjordy Tatr. Regle świeciły, jakby miały na sobie korony złote.

Mag Litwor nie budzi swych towarzyszków, bo ci nie śpią. Milczą wszyscy. Jakżeby mogli przespać tę noc Misterjów, kiedy tam w oddali toczyły się tak straszne przygotowania do Wielkiej Rzezi — kiedy oni sami musieli wykonywać posiew słońca na mogiłach.

Arjaman i Mag Litwor zmierzali do Turowego Rogu. Książę Hubert miał ich podwieść, a sam płynąć do swego zamku. Uczuli się zaprzyjaźnieni przez jedną noc, wspaniałą w myśli, wielką w marzenia i w czyn.

Płynęli fjordem doliny Jaworowych Sadów, pustynnym i strasliwym; potem, mimo boskiej przełęczy nad Litworowym Jeziorem; minawszy fjord Białej Wody, skręcili już dość późno pod Morskie Oko. Dla szybkości tę drogę przepłynęli w łodzi, korzystając z fjordów.

Książę Hubert płynął do swego pałacu.

Nakoniec było radośnie Arjamanowi deptać te Góry ojczyste wielkie, ukazujące duszy jej własny majestat.

Szli przez dzień cały Tatrami, gdyż Mag Litwor wiódł drogą nie najbliższą — uczył Arjamana, gdzie są ukryte skarby dawne oraz jaskinie naturalnych ametystów. W ten dzień widział Arjaman tyle klejnotów, jak gdyby zeszedł po lampę Aladyna do czarnoksięskich podziemi.

I teraz nieznużeni, lecz jakby uskrzydleni, Mag i jego

Epipsychidion toną w kontemplacji potężnego cudu, który przedstawia o zachodzie słońca Morskie Oko.

Rzekł wtedy Mag Litwor słowa, które przeszły jak miecz o siedmiu astralnych płomieniach, serce Arjamana:

— Mam lat już sto, rzekł Mag, mimo iż wyglądam jak ty, młodo. Moc, która mnie utrzymuje, nie jest zależna tylko odemnie i może już prędko wybije mój dzwon mogiłny.

Pamiętaj, Arjamanie, że musisz teraz całą duszę swą wyteżyć, by osiągnąć Odrodzenia.

Musisz moim być pomocnikiem — winien też jesteś wspomnieć o dziedzictwie twym — Zamku Krzyżtoporskim.

Zali Cię nie znam, Witeziu, który ukryłeś się pod swobodną, lecz straszliwie bolesną maską Arjamana?

Dzwon mój może każdej nocy uderzyć. Jeśli odejdę — a Ty nie pochwycisz żagwi płonącej bez dymu — biada Polsce!
biada i duszy Twojej, witeziu!

Niewidzialne już za horyzontem Słońce zagasłe — prześwietla rubinowym dżademem granity dzikiego zwału Siedmiu Granatów, fortecę niezmierną Żabiego, spadzistą otchłań Rysów.

Migocą te potworne skały, jakby wewnętrznym płomieniem tłących się kruszców, czerwienią, jak żelazo w ogniu, złocą się, jak prastare bizantyjskie Madonny w ponurym podziemnym kościele, gdy rozżarzone węgle rzucą na ich twarze krwawy połysk przez chmurę kadzielnic; — zalane falą fioletową, jak obrzeże szat rzymskich dam we freskach Pompei — wstępują w epokę niesłychanej, wywalczonej przez duchy groźne ametystowej potęgi imperatorów. Kró-

lują na tronach kamiennych wysoko nad światem — lecz z mrocznym natłokiem rozpaczy u nóg swych — z bladą nicością nieba, w którym niema bogów. Wreszcie poczynają stawać się bure, jak opadłe jesienne liście, zmyte nawałnicami i szrężogą.

I nagle przybierają bladłość zamarznętej twarzy—siną, z białymi wypiekami, jak trupy Anhellego, Eloi i Szamana, zapatrzone w śnieżną bezbrzeż Sybiru.

Małe ducki na powietrzu odprowadzają miłosne gody, topnieje różowa ambrozja, drzewa wyśnionego raju zanurzają się listkami rozkoszy w mroczne wzruszone fale jeziora i ono poczynna mienić mirjadą modro-fioletowych ogni.

Króle gór probują się ożywić, lecz już niezdrowym ceglastym rumieńcem: rozpadliny skurczone i zczerniałe od niewymownej męki zatapiają się wciąż głębiej w zadumę piekieł — niebo srebrzy, jak całun.

Pora to najstraszniejsza w zmierzchu olbrzymów. Toń, a raczej dusza Morza, zamkniętego wśród skał — oczarowana ostatnim pocałunkiem umierającego gdzieś w zaświatach słońca — obłąkana, uwiedziona chwilą niezmiernego wyzwolenia —

jak naga kochanka, zarzuciwszy na siebie żałobny aksamitny z katafalku kir — poczynna szlochać, miękkiem pieszczotliwie tulącym się ciałem pluska o nieubłagane, jak tajemnica — więzienie skał.

I wtedy — w jęku fal, które się stają groźne i złe, jak Meduzy; w srebrno-kryształowym dzwonienu siklaw, które rozbiegły pod ogromne głązy i harfami nawołują czarne duchy ziemi; — w straszliwym zapadaniu morza mroków na te świątynie Lucifera — dźwignione przed milionami lat, jako tryumf wiecznego ognia, który jeszcze w łonie ziemi

trwa — słyhać ton trzeci najgłębszy, rwących się nieziem-
nych strun.

Na potwornej, zczerniałej piramidzie Miedzianej turni,
zatopionej w mroku jeziora, granią wspartej o gwiazdy —
wśród pustynnego cmentarza rozbitych w gruzy jakichś nie-
wiadomych prastarych istnień—występuje Widmo: wyrzeź-
biła je lawina, tocząca się tu po niedostępnych wirchach
upłazach, żlebach i na krzesanicy.

Widmo idzie przez ogromną pustynię gładów, zaro-
słych kosodrzewiną — w mroku świecąc życiem okropnym,
rozmachem gieńjalnej fantazji szaleńca.

Idzie:

z piersią wzniesioną, ciało wysmukłe gibke podawszy
w tył — jakby młoda pieśń wielkiej muzyki i wielkiego
światła, wyśpiewana przez huragan nad otchłaniami gór!

cudowne łono dziewicze wystąpiło naprzód, zapłodnio-
ne przez Mrok —

mknie ku najgłębszej dali ruchem nóg gwałtownym,
złowieszczym, nieprzepartym, jak Furja, idąca do szturmu.
Wlecze — wlec musi u nóg swych nieforemne, rozsypane
trumny.

Tak idzie — ku niezmiernej, rzuconej poza wszelkie
horyzonty, płomięjącej na siedmiu wulkanach, Jutrzni!

— — —
Szumią bory złowrogą, nieprzejednaną, z mrocznych
głębin ziemi wypływającą nienawiścią—protestem głuchym
Zycia przeciw miażdżącemu gwiazdy:

Niewiadomemu!

DROGA OD KEZMARKU.

Nieskończoność we mnie trwa —
Iśnią szmaragdy czarnych borów —
Iśnią szmaragdy czarnych borów.
Na kaskadzie nimfa łąka
w grotach ciemnych wśród jaworów.
W Koperszadach złota mgła —
zapóźniony gość wieczorów —
noc na koniu czarnym gna
i zamyka raj przestworów.
Zapóźniony gość wieczorów —
Noc na koniu czarnym gna.

NA HALI MIĘTUSIEJ.

Mgły się suwają nad czarnym borem —
krople padają z drzew —
słyszę daleki słowiczy śpiew
w sercu mym chorem.

Na niebie groźne mroczne chmury —
w mgłach mój nieznaną szczyt —
ptak me mnie śpiewa złotopióry:
już świt! już świt!

W WĄWOZIE SMOCZEJ JAMY.

W czarnej jaskini żyje smok,
światłaki krążą złote —
o Matko Boża, niech Twój wzrok
rozjaśni życia grotę!

Przepaści pełen groźny jar,
gdzie się wciąż toczą lody —
o Matko Boża — niech Twój czar
powiedzie nas na Gody!

PRZY SKALE PISANEJ.

Jednodniówki konają na wodzie —
czemu konają? nikt nie wie.
Rój motyli krąży na swobodzie —
czemu krąży? nikt nie wie.
Góry w chmurach już od lat milionów —
czemu w chmurach? nikt nie wie.
Serce tęskni do morza i tronów —
czemu tęskni? nikt nie wie.

W KOŚCIELISKIEJ.

Niebo tak modre, jak myśl Zbawiciela,
gdy potępieńców wyciągał z otchłani —
od ziemi jakaś nas przepaść rozdziela —
a nad przepaścią my dwoje zbłąkani.

Serce mi pęka — a nikt czemu? nie wie.
Wiwian mi zwięścił: tęsknota za niczem!
siedzę na drodze, zasłuchany w śpiewie,
który o szczęściu mówi mi zwodniczem.

Leśne zielone kałuży zwierciadło,
jak przez Chrystusa odpuszczone winy —
widzę mej duszy niezmierne mokradło
i wiary mojej ognik złoto-siny.

Życie aniołów tętni w każdej trawie,
marząc o gwiazdach, umierają w chuci —
tych gór olbrzymy do ziemi przykuci —
o, księżyc! księżyc śmierci wschodzi zbyt jaskrawie!

VI.

TURÓW RÓG.

W puszczy wśród niebosiężnych jodeł, pod sklepieniami olbrzymów, cichy żywot swój wiodą paprocie, czekając na jedyną chwilę Nocy świętego Jana.

Z głązów ciemnozielonych omszałych cichutko perłą się wśród mchów niteczki srebrzystej cieczy, przechodzą w tkanki lub wypite przez zabłąkany promień słońca w niebo idą na wybóstwiony żywot Obłoku. Naturalne mosty z brzegu na brzeg szalonego górskiego kryształnego potoku przerzucają chmieie.

Potok toczy się pianą z mnóstwem ciemnych, to znów oślepiająco-djamentowych wklęsłych zwierciadeł, zdaje się być żywą czarnoksięską baśnią wśród mroczni lasu.

W tym zagęszczeniu leśnym wzniosł się Turów Róg.

Zbronzowiwały i przyciemny staroświecki zamek pamiętał Zawiszę Czarnego i młodą Jadwigę. Dokoła zarósł on trawą i zieleń, wielkie zielone baldaszki litworów roznoszą upajającą woń, jaką ma kwitnienie lip. Na podwórku piętrzył się zniesiony dawnym lodowcem gigantyczny głaz. Deszcze, burze i pioruny nadały mu tajemniczy wygląd ja-

kiegoś, na szczęście nie nadającego się do muzeum, bożysz-
cza; głębokie źródło iskrzy pod nim, czerpak na łańcuszku
zaprasza do picia.

Tu zmierzali wędrowcy.

Mag Litwor nachylił się i modlitewnie magnetyzował
wodę, zaczerpioną w dziwnego kształtu ów czerpak drzewny,
z rączką, przedstawiającą głowę węża, podczas gdy czara wy-
obrażała zewnętrznie kaplicy.

Wodą Tatr odmładzał swoje serce, na zbyt strasznych
wyżynach Himalajów przebóstwione.

Arjaman, niby Dantejski cień, przesuwiał się przez gę-
stwinę litworów.

Przyglądał się tym okrucinom Polski, jak Wergiliusz
Eneidzie na łożu śmierci, zanim wyszeptał przyjaciółom, aby
ją spalili.

Mag Litwor odwrócił się i spojrzał w Arjamana, jak
słońce, kiedy uderzy w skrzydła czarnego szerszenia i uczy-
ni jego mrok modry—świecącym, niby Medjolańska zbroja.

Mury kamiennych, widno prastarych baszt, nadawały
groźnego wyglądu zamczysku. Dziwem jakimś ocalał wśród
nawałnic krajowych i wśród lekkomyślnego nierządu, jaki
cechuje magnackie życie w Polsce. Moc i krzepota Lechic-
ka były od tajemniczej, groźnej syntezy, którą przedstawiał
Turów Róg.

Wstępując po kamiennych skrzyżalach schodów, Mag
Litwor rzekł: — jeśli Zolimę upragnąłeś naprawdę, będziesz
ją miał. —

Niespodzianymi krzyżmi i jutrzeńkowym słońcem zdo-
bne dzwierze wymagały lepszego widza, niż Arjaman, w któ-
rego jakby runął piorun.

Rok wypisany świadczył, że terem stawiony był w cza-

sach bitwy Grunwaldzkiej, a napis gotyckimi znaki wymieniał to dostojne imię: Zawisza Czarny.

Rozwarł Mag drzwi, u wejścia wisiały struny, których każdy wchodzący tu mimowoli musiał tknąć; Arjaman zapłatał się w nich tak, że zamiast cichej melodji, jeły brzmieć potwornie smętne dzwony.

Aż pod ręką Maga Litwora uciszyły się, on zaś, dotykając ich, zdawał się być królem Derwidem. Minęli ciemną sien z okienkami zakratowanymi, dalej jak refektarz klasztorny dużą salę: wielki komin, gdzie drzewiej układały się całkowite smolne wykroty, a przy piekącym się odyńcu zgromadzali się myśliwcy, damy, księża i rycerze, spozierając na zielone kafle z historją biblijnej polskiej księgi Kohelet: wznoszenie świątyni Marji Panny w Krakowie, zrąbywanie modrzewi na potaż i wysyłanie go do Gdańska; ofiarna msza sejmu Michałkowego, w którym uczestniczył Jehowa w piorunach; sen, w którym Jehowa daje mądrość zwątpiałemu Possewinowi, każąc, aby jechał do Moskwy i zepsuł na długie wieki zgodę Moskwy z Polską. Wreszcie, wszystko zważone na szabli Kościuszki i przechylone w piekło Niewoli.

Maga Litwora dawno opuścił Arjaman myślami zabłąkany w czasach, gdy nie było nawet Jehowy, biednego boga koczowników, lecz żyli jeszcze wedyjscy Riszi, mędrcowie, którzy wielbili wśród nocy zimowych w Himalajach—Ogień.

Wreszcie ruszył dalej, wejrzawszy na niedźwiedzia litewskiego, który wyciągał łapy, jakby zapraszając do nieco niebezpiecznych objęć.

Snuł się tu jakiś poemat zaginiony z trzynastej księgi Pana Tadeusza, urzeczywistniał jakiś zapomniany sen górnej młodości.

Arjaman zmusił się wreszcie do rozchmurzenia: wszak jest południe, tyle harf gra przed słońcem!

Mag Litwor wszedł już do komnaty, gdzie na wyżynnej powale z rzędu modrzewiowych grubych sozrębów wiszały się spiżne, meczetowe lampy.

Pośrodku komnaty był istic mitologiczny dziw: jawór rósł tak niepołomny, że gałęzmi wspierał powalę, koroną wystrzelał nad obszar zamczyska.

Miał w sobie coś z Mitu dawnej Arkony, zdawał się tych sięgać epok, gdy w Tatrach bóg Światowid wchodził do kniaziowskiego teremu, grom swój, jakby krywulę wędrowca, ustawiał w kącie i wypraszał młodą kniaziównę dla bohatera.

W pniu jego wyżłobionym, lecz jeszcze zdrowym, kryło się archiwum Turowego Rogu — najcenniejsze dokumenty do Historji Ducha w Polsce.

Arjaman uczył w piersiach swych morze niezapomnianych uczuć, opromienionych zarzewiem wschodzącego księżyca melancholji; wystarczyło mu wsłuchać się: okropnie jęczał wiatr na wydartej z wnętrz tych Mogił strunie; dalekie morze Sybiru wrzało jak ukrop i tu aż było je słyszeć!...

Od dołu ścian piętrzyły się witraże, nad nimi przez okna słońce zalewało komnatę i ożywiało rycerskie zbroje, jakby żelazne Romansero o królu i wojsku w cieśninach Tatr.

Witrażami wchodziła muzyka niezemnych tonów, krwawo-szkarłatnych zmierzchów niby Tristana i Izoldy; wieczysta zieleń wysp na których żyją upiorne widma z kroniki św. Brandana.

Lecz wiedział Arjaman, że to co mu się wydawało tak irlandzkie, z głębin ducha było istic polskie. Zawisza Czarny na tle Łomnicy; święta Kinga, której anieli pomagają

budować zamek w Pioninach; wojewoda Spytko z Melsztyna, jadący na dwór krakowski z młodziuchną Jadwigą; pan Turzo, udający warjata w weneckiej odlewni kruszców, aby wydobyć jej tajemnice; Bolesław Chrobry z wojami swymi na Królewskiej Horze; Sejm w Wiślicy, Grunwałd. Palono na stosie ateusza Łyszczyńskiego; huczał sejm czteroletni, Repnin i X. Izabella, postacie legionistów; Kopernik, zakreślający budowę świata; Zygmunt w izbie alchemicznej u Sędziwoja: tak snuł się epos historii naszej. Wallenrod i sceny z Dziadów, wspaniałe wizje Króla Ducha, wygnancy idący na Sybir, Zorza borealna nad ujściem Leny — — Syn Cieniów... Mickiewicz na katedrze...

Muzyka niewypowiedzianie wzniosła, nieco żałobna, tych miejsc uduchownionych — jednała się z radosną symfonią słonecznych zenitów. Dobrze było tę chwilą stać niewidzialnemu za kolumnadą: tam widział Arjaman magiczny pięciokąt, który obejmował w sobie wszystkie głębie Polskiej Duszy.

Jedna z kobiet była owa Pani przy lodowcach, mieszkanka główna Turowego Rogu, ubrana czarno z zupełnie srebrzystymi kręcącymi się włosami, lecz z twarzą dziwnie młodą o dużych błękitnych oczach, które kryły wieczną zadumę, a wyrażały radość tragiczną, bo już jakby nie z tego świata. Przed nią kwiat wyrastał ze szklanej zielonawej kuli—wielki tatrzański złotogłów. Dla osób wymownych kwiaty są ich wymową, dla tajemniczych — ich tajemnicą! Mędrzec Zmierzchoświt przeglądał fotografie z obrazów Matejki. Mag Litwor rozmawiał z młodą blondyną mniszką, która trzymała w ręce traktat filozoficzny Paskala; była ona wysoka i rozrosła jak Atalanta, miała twarz Walkirji. Mimowoli Arjaman spojrział na Jawor rozrastający się za oknami i dojrzał nietoperze, jak mówią górale — gacopirze, zwisłe

na kędziorach olbrzyma; już gotów był wejść w zadumę nad starzeniem się i zapleśnianiem wiedzy ludzkiej, w której Paskal jest tylko błędem od fundamentu, gdy wbiegła na drzewo mała z gatunku Maki i podkradała się do kameleona, zajętego drzemką; ten jednak wrażliwy na najłżejsze drgnienie latającego owadu — nie dał się podejść i na leśnych jodłach rozpoczęła się szalona gonitwa cudaków.

Wśród komnat wysokich z niezmiernie grubych jedli możnaby tę scenę z indyjsko-słowiańskiego teremu przenieść na widownię feackich izb króla Alkinoosa, dźwięcznych od cedrowego drzewa, miedzi i elektronu.

Ujrzał Arjaman Zolimę, i zdało mu się, iż podłoga była grzbietem wieloryba, który zakolysał się pod jego stopami. Ona zaś, jakby zapomniała o serenadzie pod Zamkiem — siedziała roztargniona z podkrążonemi oczyma, notując sobie coś z księgi.

Mag Litwor, idąc nad górą Horeb tęsknoty za Ziemią Obiecaną — spoglądał w ludzi zgromadzonych w Chacie Turowego Rogu, mając im rzucić olbrzymią wieść.

— Zbliża się chwila wyzwalania — rzekł wreszcie cicho, jednak Arjaman, stojący na drugim krańcu komnaty, usłyszał tysiączny dzwon w najdalszej świątyni swego serca.

Znieruchomiały kobiety, wpatrzone w tego, który im z niedawna zjawił się: Pogoń z innego świata!

— Lecz cóż! wszak Państwo musi zwyciężyć — rzekła Zolima. Moralna i artystyczna piękności nie wystarczają do tryumfu: inaczej Wschodząca Jutrzenka otwarła by bramę nowym dziejom?

— I tak się stanie — rzekł Mag Litwor.

Kobieta w żałobie wlepiła w niego wzrok, znienacka czemś olśniona drżała, nie mogąc wymówić wyrazu, jakby po ujrzaniu widma.

Wstała, szła, aż zbliżyła się ku samej kolumnadzie, u której wsparty Arjaman; rzucając mu błyskawicę oczu, które naraz zmieniły barwę, jak głębokie górskie jezioro, kiedy je zgasi mroczna chmura — szepnęła:

— Nazwał mię Arjaman niegdyś wieszczką przy mrocznych lodozwałach, a oto wszak zmartwychwstaje Polska i nawet ludzie.

Mówiąc to, wejrzała w Maga Litwora: tak wzrok duszy spogląda w wydobyty ze zmierzchu zapomnienia posąg.

— To dziwne, rzekła, dlaczego teraz dopiero spostrzegłam!

Nie było mnie jeszcze na świecie, gdy Jego już mieli w Petersburgu zabić, wykrywszy w nim Wallenroda.

Krażyły tajemnicze wieści wśród ludów Azji.

Więc to istotna prawda: Mesjasz Wschodu? —

Rozświeciła twarz Maga Litwora uśmiechem, którego nie umiano rozpoznać.

— Według wiedzy indyjskiej, Dusza nie jest utożsamiona z naturą! —

Nie chcąc zapewne dłużej mówić, rozglądał obrazy, wyobrażające tatrzańską zimę, portret Mędrca Zmierchoświta, oraz zabytki kultury góralskiej.

Pani Ameńska zdjęła jeden maleńki obrazeczek, — pułkownik w mundurze rosyjskim, z turbanem na głowie, w płaszczu wschodnim i ze wspaniałym bucharskim orderem.

Twarz jego była twarzą Maga Litwora: gienjalna, śmiała, zdobywca. Tylko różnica w tonie oczu, które u Maga były idące głębiej w mroku niezmiernych oceanów, z nieznanego ludziom, świata.

Nie mówiono o tem więcej.

Pani Mara, gdyż ją tak nazywali najbliżsi, którzy w niej jakąś marę Polski dawnej widzieli — odeszła z Zolimą, aby ubrać stoły kwiatami.

Arjaman też był do tej obrzędowości zaproszony, nie chciał jednak przyjąć tego, czegoby dawniej tak pragnął: znajdować się blisko Zolimy realnej, nie zaś widzianej za przełęczą Bethowenowskich sonat.

Panie ustawiały na stole i znosiły wazon-y z kwiatami, których Arjaman przyniósł całe naręcza. Znane są z żywości barw kwiaty w Tatrach: z powodu mitycznej świeżości słońca oraz małej liczby owadów musiały wyrobić w sobie potężną moc przyciągania ich swym jarzeniem.

Więc były tam habry górskie, urdziki, jaskry i z nadpotoków kaczeńce; niesłychanej głębi szafiru, jakby Lazurowa Grota, gencjany lodowcowe; starce karpackie oraz jeden karniolski; wieczniki matronalne i miesięcznice; wśród traw leśnej kostrzewy, stokłos, tomek wonnych i brzanki były: pompawa i jastrzębiec pomarańczowy, omieg; storczyki przeróżne od śnieżnych łez Matki Boskiej do fioletowych kukulek i bachicznego trzewiczka Wenery; oddzielną gałęzią kraśnieje cud rzadki w Tatrach: różanecznik, zwany przez Słowackiego różokrzewiem.

Mrok zieleni roztaczały gałęzie cisu i limby, które urzekały powagą, jak strażniki świątyn. Na cisie była jeszcze okręcona powojnica czyli gościec, wspinający się wysoko na konary drzew — wabiąc swymi ogromnymi płatkowymi kwiatami.

Były i ponure tojady, czyli owe słynne trujące fioleto-we z czarnem akonity; i naparstnice żółte, też jadem złościły się, jak włoskie damy z epoki Cezarego Borgia, lub naszej Bony; ostróżki, gwoździki, kraśne leluje (Troillusy), kwiat ukochany górali.

Już dla pełni chyba wspomnień o mastodoncie wziął Arjaman z moczarów turzyce, dwa gatunki rosiczek, knieć błotną, trędownik.

Z wysokich wirchów przyniósł szarotę, której zresztą nie obdarzał sympatją, bo jest włóknista, tłustawa, niedokrewna i jakby wykrojona z szarego aksamitu. Wolał te krwawe gwiazdki łamiących skałę, skalnic, cherlerkę, a wprost admirował wielkie straszne pająkowate dziewięciorniki, zwane też pięciornikami, bo mistyczna liczba dziewięć odpowiada w rzeczywistości tylko pięciu rozramienieniom.

Miał też garść tej skuciny, która nadaje czerwonym wirchom ognistą barwę i długie potworne, jak warkocze czarownic, siwe mchy polarne, rosnące na smrekach.

Brakowało jedyne go jeszcze kwiatu bez którego niema pełnych Tatr: tymi są krokusy, te wielkie fioletowe chrzcielnice z szafranowym słupnikiem, jak w baśni wyrastające jeszcze pod śniegiem delikatne księżniczki, a kiedy śnieg uleci znów do swej ojczyzny w niebie — krokusy potężnym łańcem dywanów zaścielają ogromne ugory, przełęczę i polany w lasach.

Mimo tego jarożycia, które wniósł ze sobą, nie miał Arjaman w swej duszy bynajmniej Gulistanu — zrywał mosty ogniowe z tym przeciwnikiem pięknym, którego w głębi swej duszy widział już, jakby z za odległych gór Króla Wężów.

Wie dobrze, iż kiedyś będzie miał w ręce tę — która mu wymykała się tak długo.

Jakby ściętą głowę weźmie za włosy i przyjrzy się jej oczom.

Kto tu niedawno warjował? dusza — Bóg — natura — djabeł? pisał kiedyś Prus powieść o Lalce i Wokulskim — rozumnym człowieku, który dynamitowe maszyny podkłada

dla wzruszenia kobiecego pudła z kapeluszem. Garszyn mówi o warjacie, który się zakochał w czerwonym kwiatku — i ten kwiatek — ten drobiazg stał się jego Bogiem, straszliwym tyranem.

Lecz nie, miłość nie da się zlekceważyć przez lalkę, nie jest czerwonym kwiatkiem warjackiego umysłu!

Jest to najgłębsza potrzeba urzeczywistnienia.

Wszelka moc, piękno, praca, chcą się urzeczywistnić przez mediumizm tego drugiego człowieka...

Jest to problem ważniejszy niż śmierć.

Jest to problem, czy spełnić swe przeznaczenie szczęścia na ziemi —

czy zamknąć się w pustyni.

Przeznaczenie — nie małżeńskiej łóżnicy, lecz związania najwyższych kresów swego jestestwa z tym drugim tajemniczym tworem — by utworzyć Blask.

Miłość Arjamana była poważna, tragiczna, wzniosła i zachwytna.

Lecz nie mając oddźwięku w innej istocie, mogła stać się naraz dzika, rozpustna, zła, a bezlitośnie druzgocąca wszystko, co jest Duchem.

W Arjamanie tętniły wulkany, które były pod jaskinią Króla Wężów. Nie mógł pogodzić w sobie tych promieni, którymi przeświecał go Mag Litwor z temi potwornymi zadumami i widokiem na nicość świata, które mu wpoił Król Wężów.

Oto wyrosła w nim wielka świątynia Miłości, a okazała się zarówno w promieniach Wiedzy Maga, jak w mroczach przepaści Króla Wężów — tylko tęsknotą szaleńca.

Więc przed pójściem w dale na Wschód chciał wyzbyć się tego nad miarę przykrego uczucia zlekceważenia swej świątyni! Jeśli będzie leżał z przestrzelonym płucem na polach

Mandźurji — niech dusza jego uczuje, iż zostało tam, w świętym kraju polskim istotne wielkie jej światło.

Tragedja narodów rozwija się z niepohamowaną szybkością, jak rydwan Boga Gromoności lecący z gór Przeznaczenia. Walka narodów zacznie się toczyć niezmierna, jakiej nieznano dotąd w dziejach nigdy! i nawet pochód falang Aleksandra Macedońskiego, zagarniających całe krainy, nawet bitwa Aecjusza z Atyllą, zdadzą się być tu chłopięcą igraszką.

Mając wyobraźnię, zapłodnioną wizjami Hekatonchej-rów i Kronidów, a nad tym światem walk, widząc jakąś mistyczną heroiczną Polskę — postanowił Arjaman udać się na teren boiszcza. Nozdrza jego nasycaly się zapachem cmentarnych pobojuwisk, jak skandynawskie bogi dymem lasów i krwią zamordowanych w Walhalli.

Wyczekiwał wskazówek Maga Litwora, by życie swoje rzucić na szalę z równą łatwością, jak tych tysięcy marynarzy japońskich, którzy, chcąc być wybranymi na niebezpieczną wyprawę i wprost pewną zgubę, jako dowód swej decyzji, odcięli sobie — każdy z nich — jeden palec — i krwawiącym się podpisali prośbę do wodza.

Wprawdzie Arjaman z jednego nie zdawał sobie sprawy — w jakim ludzkim tłumie ma ginąć? w masie ludu na barykadach Moskwy lub Warszawy? w wojsku japońskim za Wschodzącą Jutrzenkę, czy wraz z tymi tysiącami Polaków, którzy ginęli w mokradłach i w szuwarach gaoljanu, tępieni przez nieudolność gienerałów w wojsku rosyjskim?

Wybór tej drogi śmiertelnej rozwidni mu Mag Litwor.

I ponura, lecz upajająca muzyka upiórów grała mu w uszach.

Lecz nagle wspomniał, że nie jest sam na świecie i szu-

kać romantycznej śmierci mu nie wolno. Zresztą, wobec tych światła, którymi zabłysnął mu Mag, czyż nie byłoby to już nie tylko lekkomyślnością, lecz winą wobec swej jeszcze nierozwiniętej osobowości? Tak więc, musi wybrać swój obowiązek, musi wznosić głazy dla świątyni szczęścia niewłasnego. Musi, idąc drogą poziomą, iść w społeczeństwo i jemu służyć.

To proste hasło wywoływało tysiąc buntów w uczuciu nieposkromionej wolności Arjamana. Lecz wiedział, iż musi się przemódz — i to jest pierwszy warunek postawiony dla jego Wtajemniczeń.

Wielką poważną zadumą mroczący się ton jego duszy musiał zdalić jeszcze głębiej za widnokrąg, zajęta zupełnie czem innym Zolimę, — — — —

Tymczasem Mędrzec Zmierzchoświt, czarujący obęściem radosnym, witał innych mieszkańców Turowego Rogu.

Zasiedli pod wielkimi drzewami na ławach przy stole, zastawionym w kwiaty i wielkie dzbany z owocowym i chlebnym kwasem, proste potrawy przynosiło dwóch górali z kuchni. Wszyscy byli wzruszeni aż do głębin nieprzeczuwalnych, żałując, iż nie mogą zaciągnąć się do walki wyzwolenia, gdyż byli to ludzie chorzy.

Ponieważ więc jedynym ich terenem działania miały pozostać Tatry, poczęto zbierać całą wiedzę dotyczącą tych gór, z których miało odrodzenie zejść na Polskę.

Najpierw począł wiedzy t. zw. ściślej udzielać prof. Ruffin Zawirro.

— Tatry są małe, to jest maleństwo, rzekł: szerokość od jeziora Szczyrbskiego do Murzasichla wynosi ledwo 17 kilometrów, długość od Siwego wirchu po Żdziarski wąwóz — 52 kil. Tatry sterczą jak wyspa z pośród stężyłych fal wzburzonego oceanu. gdyż dokoła falują z północy Beskidy, z po-

łudnia Niżne Tatry i pasmo Uhrońskie, z zachodu Mała Fatra i Wiaterne Hale, ze wschodu zaś Pioniny.

Od tych mniejszych gór Tatry oddzielone są przez niziny, na których płyną 4 rzeki — zupełnie jak w raj — Dunajec i Orawa z północy, Wag i Poprad z południa.

Gdybyśmy mogli teraz wszyscy na aeroplanie, którego niegościnnie X. Hubert udzielić nikomu nie chce, wznieść się na 3000 metrów tj. ponad najwyższy wirch Gałucha — ujrzelibyśmy wtedy bezmierną rozległość o wiele dalszą, niż kościoły Krakowa, nawet niż Ojców i Chęciny. Ale mgły nie pozwalałyby widzieć tak daleko. Tu bliżej natomiast ujrzelibyśmy za Gubałowskim wzniesieniem dolinę Nowotarską, złożoną z gliny lub torfu na szutrze z odłamów zaokrąglonych Tatr.

W rzekach ten szuter tłomaczy się sam przez się, lecz daleko od rzek mógł się tam dostać tylko przyniesiony przez lodowce.

Te bowiem w okresie lodowym zapełniały w Tatrach wszystkie doliny, a w każdym razie już od 1500 metrów wzwyż następowała linia wiecznego śniegu.

Lodowce bardzo powoli, bo przeciętnie 100 metrów na rok, posuwają się, niosąc na sobie ogromne zwały głazów i drobniejszego zwiru. Tam gdzie lodowiec wkracza w sfery cieplejsze i topnieje, pozostawia po sobie zwały kamienne, zwane morenami. Jeziora w Tatrach są takim dziełem lodowca, a jako pamiątkę tego pochodzenia mają zwykle morenowy pierścień, np. jezioro Szczyrbskie, Morskie Oko, jeziora Furkotne lub ślicznie w lasach ukryte Jamsko Plesso. Otóż dolina Nowotarska ma ogromne moczary i torfowiska, czy to po dawnym jeziorze, jak chcą jedni, czy wprost z powodu gruntu nieprzepuszczalnego, jak dowodzą niewyobraźniowcy.

Na tych pustaciach czyli borach rośnie sosna błotna, brzoza omszona, rokita, wierzby krzewiaste; z drobnych zaś krzewin łochinia, bruśnica, żurawina, bagno, modrzewnica, wełnianka i rosiczki.

Dawna roślinność tych borów był to wysokopienny las; żubry i bobry tam żyły (dotąd wieś Zuberec i miasteczko Bobrów), jeleni pasł się wielkorogi.

Są też tam i pokłady węgla brunatnego, który leży pod łałami margłowymi, gruby na 2—4 stóp. Torfy nie są wyzyskane przez górali. Wiadomo iż torf tworzy się z narastających mchów, ich kępiny obumierające wznoszą się coraz wyżej: turzyca siwa, wełnianka, siedempalecznik, czermień i rosiczka są mieszkańcami tych cmentarzysk.

Torfowiska giną, gdy woda wapniowa napłynie—zmieniają się w łąkę moczarowątą czyli ślepe jezioro.

Gdy las wyrośnie na suchym torfowisku, zostaje jeszcze ziele, bagno i modrzewnica, które dowodzą mokrzejszej przeszłości.

Te torfowiska zawierają historję dawną, sięgającą aż do epoki lodowej. Z nich np. wydobyto rogi łosia, najmniej trzy tysiące lat mające. Pastuch na polu palił szkieletem łosia, biorąc te kości za jakowyś chrust.

Teraz się spójrzmy na południe.

Wspaniała żyzna dolina Liptowska. Owiec mnóstwo się wypasa, kopalnie złota, srebra, antymonu, miedzi, kobaltu. Spławny Wag niesie aż do Dunaju tęgich jodeł spławy.

Dolina Spiska na zachód mniej żyzna. Zbyt liczne zimne strumienie płyną z okolic kosodrzewu. Stąd łązy czyli łąki podmokłe, niezdatne do uprawy.

Lecz w pobliżu są słynne góry Kruszcowe, które wy-

tworzyły związek górniczy 16 miast spiskich jeszcze w XIV wieku.

Tu z powodu łukowatej formy Tatr nie możemy gór objąć naraz.

Trzebaby na nie spojrzeć z Niżnich Tatr, wtedy ujrzy się wspaniałe strażę Łomnicy, Gerlacha, Lodowego, Krywania — aż po Chocz i Rohacze.

Rdzeń Tatr składa się z granitów. Z powodu iż wie- trzeją mało, pozostają wirchy ostrymi.

Zaś tam gdzie jest łupek i gnejs na granitach, tworzą się z powodu rozmycia wodą łagodne grzbiety. Skały osadowe piaskowce i kwarcyty, wapień i dolomit leżą na skałach starokrystalicznych.

Formacja jurajska tworzy olbrzymie masy wapieni ciemnej barwy, twarde i trwałe. Są takimi wszystkie wierzchołki nad Zakopanem.

W tym wapieniu znajdujemy liljowce i nummality podobne do pieniążków lub jarca i w wapieniu Rogoźnika pełno jest olbrzymich ammonitów. Wapienie Tatr przeżera woda z kwasem węglowym; tak tworzą się pieczary.

Woda, pozbywając się kwasu węglowego, pozostawia osad wapna. Stąd owe stalaktyty w grotach które są w wirchu Kobylim, gwoli estetyki przemianowanym na wirch Koboldów. Stalaktyty tworzą się bardzo powoli, między jedną kroplą a drugą upływa nieraz kilkanaście minut. Dla utworzenia słupa kilkametrowej grubości trzeba dziesiątków tysięcy lat.

Musimy teraz zejść w te sale podziemne, znane już poszukiwaczom złota za Długosza; tam Sala Śpiewaków wysoka na 40 m. — mająca ze stalaktytów dziwne obłoki, kolumny, wieże gotyckie, ludy i krzewy.

Gdy uderzyć ręką w te zasłony — one grają donośnie.

Zajrzmy w studnię czarodziejek, głęboką na 10 metrów, gdzie w przeczystej wodzie świetlą się słupy. Nasza pochodnia opuszczona w małej lódeczce oświetli je wybornie. I wtedy ujrzymy — ale to już jest dziedzictwo pana Arjamana. Uczony nie widzi już nic więcej.

Długość podziemi wynosi 3300 metrów, lecz są i dalsze zapewne groty, do których wejście zasypane. Z Orawskiego zamku ciągną się takie pieczary podobno aż do Mniacha nad Wagiem — 19 kilom.

W grocie nad Wagiem znaleziono ludzi przedhistorycznych; byli to ludożercy, jak świadczą niektóre piszczele ludzkie wzdłuż krajane.

Ze zwierząt pradawnych były tu renifer, lemingi, pardwy, sowy białe, niedźwiedź jaskiniowy i mamut. Lecz dołąd żyją tu ślady arktycznej fauny: świstak, kozica, sorex i smuszka, oraz skorupiak zadychwa, żyjący tylko w Grenlandji i Skandynawii.

Klimat Tatr odpowiada z powodu wysokości strefom północnym. Ciepłota Morskiego Oka równa się tejże z Uleaborga w Finlandji.

Wirch Gerlachu (rocznie — $6\frac{1}{2}^{\circ}$) ma klimat południowego Szpicbergenu.

Wiatr mokry wieje od Atlantyku.

Wiatr halny zaś nie przychodzi ze Sahary; każdy wiatr, przebywszy pasmo gór, zmienia się w halny, t. j. zgęszcza powietrze w dolinach i ogrzewa je.

Wiatr taki nawet w Grenlandji tworzy ciepło, podnosząc klimat o 20° .

Znamy wszyscy ten wiatr halny, który idąc z siekawicą — deszczem — zrywa dachy, ludzi przewraca z nóg, a łamiąc lasy, pozostawia z nich tylko łomowisko. Powichrem zaś unosi w górę nieraz cały użątek z pól.

Nocą jest szczególniej groźny halny wiatr: księżyc ma ponurą czerwoną obłonę. Niebo fjołkowej barwy. Rosy niema. Duszno. Szum głuchy lasów. Potoki zdwojonym rykiem ogłaszają nabór swych wód. Nagły gwałtowny podmuch i rozpoczynają się harce. —

Prof. Zawirro mógł teraz w pełni tryumfować. Najcichsi i najcierpliwszi nawet powstali już od stołu i krążyli, jak gdyby ich powichrem unosiło.

Był to inny wiatr halny, który powstaje ze zgęszczonej nudy w dolinach rozsądku.

Nareszcie Mędrzec Zmierzchoświt zapytany o Tatry w krótkich słowach opisał je nieco weselej.

Temu kto w nich mieszka, szumi morze nietylko we wspomnieniach geologicznych, lecz i szumem wieczornym borów. Kiedy wejść na wirch — widać z nich Ocean Obłoków na dole i pomniejsze wirchy, jak wyspy.

Tu zaczęto Zmierzchoświta pytać, ile jest prawdy w tem, co głosi Arjaman: iż Tatry dotyczą aż Sybiru i nawet Amur jest granicą rzeczną Tatr od królestwa Anhellego; że góra indyjska Meru wznosi się nad innemi lodozwalami, które się zwą Dant, Giwant, Morteracz i Rozacz; że wir pod Muraniem tworzy się z powodu, iż jest jakaś zatoka tropikalna i stamtąd prąd ogrzany wypływa, a spotkawszy się z prądem mroźnym od Sybirskich brzegów tworzy straszliwy Malsztrem??

I czy prawda, że Zamek Xiężniczki Zolimy stoi blisko podmorskiego wulkanu, tak że lada chwila, a jak Arjaman się chwali, od woli jego zależy, wzbudzić najstraszliwsze trzęsienie ziemi, po którym zostaną z zamku tylko ruiny?!

Zaczął Mędrzec Zmierzchoświt tłumaczyć to, że Sybir istotnie graniczy z Tatrami, gdyż tu są wygnańcy Sybirscy,

w których zbyt głębokie wspomnienie Sybirskiej katoggi żyje tu nadal, i łączy się z wrażeniami Tatr.

Przez puszcze lasów limbowych, bezludnych i niemających wody, a stąd i zwierzyny, musieli iść tygodniami całymi, w tej myśli, iż zginą z pragnienia lub od kuli goniących ich kozaków.

Temi lasami limbowemi szły te tysiące dziarskiej młodzieży wziętej po powstaniu, która nucąc tęskną melodję

„Mamy wszelką wygodę:
Chleb, kapustę i wodę...

potem przechodząc mimo generałów, grzmiała chórem z junacką zuchwałością:

„Tak pozwólcie wam skazat'
„razniesiom my waszu...
„wsiech!”

Z powagą, choć ożywienie dysputujących nad wynikami tych wielkich spraw dla Ojczyzny—zostawiamy na werandzie teremu. Wśród nich podwójnym źródłem wędrowców na pustyni jest Mag Litwor i Mędrzec Zmierchoświt.

VII.

A Ł Ł A H K E H R I M *).

(BÓG JEST MIŁOSIERNY).

Nie udało się jednak kronikarzowi Anonimusowi wymknąć niepostrzeżeniu, bo został przytrzymany naraz sześciorgiem rąk, trzydziestoma palcami i ośmiu gromowładnymi błyskami spojrzeń przez czterech mężów, z których jeden był straszniejszy od drugiego.

Byli to: olbrzymi hrabia Ostafiej Huraganowicz, który o ile był uczonym podróżnikiem (w każdym kraju Azji i Afryki zostawił minimalnie po jednej żonie, która go uczyła również i języka), o tyle wróciwszy do swej wołyń-

*) Ten rozdział jest zapisany przez niejakiego Anonimusa, o którym wszelka dana jest sądzić, iż miał zмовę z Piekłem. Dałiśmy go, choć nie dociąga wysokiego tonu ludzi z Turowego Rogu, ale sądzimy, że wyrozumiałości cnota będzie miała tu nagrodą pewien należyty umowypoczyn po nadmiernem i forsownem wspinaniu się garści odważnych Nietoto-czytelników na najwyższe ludzkie, ba— i zgoła nieprzystępne wyżyny.

skiej slobody, znał tylko strzelbę, a w łożu sypiał na zgrai psów.

Taki był hr. Ostafiej Huraganowicz, nietylko weredyk, ale i człowiek, który miał tyle krzywd ludzkich na swej za mocnej ręce, że kronikarz życzy, aby miał hr. Ostafiej tyleż arbuzów i dyni w swych basztanach, a wówczas miałby czem utrzymać dobrze podszytą chorągiew.

Splendor Kijowa, Berdyczowa i Korsunia, p. Ostafiej był niegdyś patryotą rusińskim, nazywał swe dzieci Kiryłko, Mychajło i Stipa — a sam hrabiowskie nazwisko zmienił na dawne kozackie Demiszczuk.

Na cele małoruskie łożył hojną ręką, ufundował teatr i stypendja dla historyków.

Ale oto stała się przemiana pod wpływem jednej z żon —

nietylko stał się znowu Huraganowiczem, a synom przywrócił miana według kalendarza, a nie Czetij Minej, ale co gorsza, zajrzał, co się też dzieje z teatrem i historykami.

Ale to już było niecofnione.

W teatrach rizali panow, a historycy pisali tylko o hajdamakach, wielbili Żeleźniaka, Najdę i Żółte Wody, batkę Chmielnickaho i Zołtareńkę.

Hrabia Ostafiej, czyli Euzebiusz, stał się odtąd nadzwyczaj uważnym na wymogi honoru narodowego.

Drugim, niepokąźnym a straszny, bo wiecznie zadąsanym, zrzedzającym, któremu wciąż wątroba puchła na grubość ręki, lub i więcej—był p. Zimorodek omentra vel skoczybruzda, jak go zbyt familiarnie i za węglem domu nazywali chłopci.

W Turowym Rogu wieścił on zawsze zimę, i zamrażał wszystkie objawy zapalu, będąc zresztą człowiekiem nieposzlakowanej zacności i miłującym mędrca Zmierzchoświ-

ta, lecz barbarzyńsko terającym Wieszczkę Marę wraz z jej idejami Ornakowemi.

Trzecim był nikt inny, jak milioner i genialny inżynier, pan Muzaferid — o ponurej twarzy i skośnem spojrzeniu, nie mówiący nigdy nic, lecz zato gdy znalazł się sam nad morzem Pratatr we fiordzie Kościeliskim, gdzie potonęły dzunki tatarów — osobliwie kiedy była noc, a księżyc — p. Muzaferid wydawał dzikie, iście nogajskie okrzyki.

Teraz też milczał, przesywając natomiast strasznym wzrokiem dziecięcia, który wykuwał pracowicie swój powszedni chleb w postaci białych tłustych robaków, gnieźdzących się pod zestarzałą korą.

Nakoniec, ostatnim był senator p. Mogilnicki, o którym nic więcej powiedzieć nie trza, jeno, że był stryjem X. Bazylianina i zakładał, to zrzucał niecierpliwie swoje pince nez.

— Hopta! rzekł tubalnym, jakby ze Synaju głosem p. Ostafiej Huraganowicz, dokąd to, panie Anonimus, tak bieżysz? i czemu nie na wiecu, gdzie Mag Litwor w koziróg zapędza dotychczasową Polskę? he? (stuknął fajeczką o pień drzewa i wytrząsł popiół). Podaj nam tu waszmość jeszcze Arjamana, chciałby p. Mogilnicki jemu coś powiedzieć z racyi polityki, a i ja może zabrałbym głos prawem takiego, co widział prawdziwe lodowce — i mówił z prawdziwymi Maghusami! —

Kronikarz nie miał odwagi odmówić trzem mownym, a czwartemu milczącemu, w myśl przysłowia: gdy ci trzej mówią, żeś pijany — to idź spać.

Szczególniej, że i pan Zimorodek zapiszczał ostro o tem, że tu szacunku nie mają w tym domu dla nikogo i że mu wątroba już puchnie na grubość większą, niż zwykle.

Kronikarz podszedł cicho pod wiec obradujący i nasuwający się zdala na oczy Arjamanowi, skinął nań.

Ten, lubo niechętnie, wstał i podszedł.

— Bój się waszmość Boga, rzekł kronikarz—srogie na ciebie zebrały się chmury. Musisz je sam zażegnać, tylko się nie wymawiaj. —

I nie zważając na pytania, a potem protesty, wiódł kronikarz Nietoty, nawet używając zaklęć na najstarszą z limb, na drakonit w mózgu Króla Wężów, na piekło Ornaku i od czasu do czasu całując przez udany szacunek w ramię młodego człowieka.

To musiało Arjamana wzruszyć.

Wyszedł naprzeciw trzech panów, skłonił się im ceremonialnie.

Ależ jakie było kronikarza przykre położenie, gdy ujrzał, że oni na ukłon nie odpowiadając, dysputowali, biorąc obu w trójkąt swych trzech groźnych, bo podnieconych sprawiedliwością i napływem rozsądku, postaci!

Pan Muzaferyd zaś stanowiąc tę jakby gwiazdę w Wielkiej Niedźwiedzicy, która się nazywa jeździec, a na której próbuje się ostrości swego wzroku.

Mówił, jak zawsze p. Ostafiej Huraganowicz, pierwszy zagajając dysputę.

— Streścimy naprzód argumenty czystego rozumu Kanta.

Ponieważ w Tatrach niema Króla Wężów — bo co innego jest ludowy folklor, a co innego człowiek wzięty za plecy i wstrząśniony przez Darwina, Edisona, i nawet Zolę; niema lodników, ani też ze skał Giewonta wyleźć nie mógł żaden tutejszy Maghus —

więc pan Arjaman musi być lunatykiem, rycerzem o smutnej twarzy swoistego wyrobu.

Ale zakaty, kronikar Nietotki niczem nie stara się zaznaczyć swego Donkichockiego de Saaviedra stanowiska,

mieliśmy wszyscy trzej sposobność czytać w księdze, przyku-
tej łańcuchem w Turowym Rogu, a będącym kroniką,
same metafizyczne dywagacje!

A to ładny kusz! ludzie zasługi — pan senator
i marszałek Mogilnicki, mierniczy Wydziału krajowego pan
Zimorodek, milioner p. Muzafferid i skromny wasz sługa —
nie zgrywają w Tatrach żadnej roli, zato gada się tu ciągle
o Maghusie Litworzu?!

Ktokolwiek ten urok czy umozejście masowe sprawa—
byłby on — wykrztuśmy słowo — szarłatanem!! —

Od wykrztuszenia zatrzęsły się szyby w budynku są-
siednim góralskim, obok którego na płocie i na pniu to-
czyła się rozmowa.

— Hem! jakże nam odpowie na to kronikarz Anoni-
mus? czy odpowie wogóle?

— Odpowie. —

Ale nie mógł kronikarz przyjść do słowa, bo pan Zi-
morodek wyciągnął z kieszeni Arjamana pryzmę szklaną
i wznosił ją do oczu — i oczy jego szaro wymokłe zrobiły
się kolorowe, jak piłki.

— Nie trzeba, nie trzeba, nie trzeba! oto jest! oto jest
powód, zarazek, prima causa, narzędzie obrazy, symbol.
Hi hi hi! weź panie kochany tę pryzmę — spójrz na ten
krajobraz — jak Boga kocham, drzewa w tęczy, trawa jak
u naszego wibrysty malarza kochanego Kaktunia; kucharka
z pomyjami, idąca właśnie, wygląda jak Boga te—kocham—
niby ballerina z zaklętym świetlanym kubłem pod emana-
cją ręki —

czekaj pan, na pana spoglądam, panie Euzebiuszu —
i jak Matkę rodzoną kocham, jesteś pan poprostu
wzniosły —

— Co, zahuczał p. Ostafiej-Euzebiusz — powiedz, idjotyczny! —

— Z przystojnego, lecz ze szpetną brodawką na nosie staruszka zrobił —

[Pan Ostafiej stuknął fajeczką o drzewo tak, że aż odłupnęła się kora] —

się czcigodny starzec, palący węża — i ma wygląd, jak Ojca rodzonego kocham — tego jak tam — tego co jest un solitaire, un grand solitaire de Tibet —

dalej—dalej—mów drogi kochany panie Euzebiuszu — ja będę na Ciebie tak patrzył, a ty czytaj—i ja sprawdę, czy też choć jedną literę zrozumie z tej Niedojty...

Mów panie Euzebiuszu, mów, jak Trójcę mistyczną kocham, mów!... —

Więc zahuczał głos pana Ostafieja, zaś Arjaman znudzony usiadł na pniu, nie zważając na kronikarza znaki, iż to nie wypada wobec senatora stojącego, p. Mogilnickiego.

I zahuczał tako głos p. Ostafieja:

— Jest albowiem osłostwem w czasach zamętu. —

Tu pan Mogilnicki wznosił rękę do kapelusza, uśmiechnął się uprzejmie, uściśnął dłoń pana Ostafieja, jako tego, co za jednym zamachem przebył najtrudniejszy poroh — pan Ostafiej zamilkł, jakby wpadł w kapustę — a Magnat Mogilnicki, kręcąc binoklami — mówił już sam wytrawnie, prawdziwy statysta krajowy, którego mowy, na imieninach wygłoszone, są drukowane we wszystkich organach prasy.

— Słusznie wspomniał przedmówca, że jest niebezpiecznym w czasach orgiastycznego zamętu pojęć w Polsce przydawać swoje widzimisie; płodzić legiony niedouków bez udziału kobiety —

— Ha ha — zapodziemił głos p. Ostafieja—chyba przy pomocy egzaltowanych panien, którym też zwidzi się i wlaźszy na gruszkę...

— Należy wprzód — znów zaczął p. Mogilnicki — ad infinitum widzieć i pojmować realność, w niej utworzyć ojczyznę, przyjąć warunki piachów, nędzy galicyjskiej, analfabetyzm w Królestwie, płodzenie bez błogosławieństwa kościelnego, małostkowości rusińskie, zwyrodnienie socjalistów, ograniczoność modernistyczną umysłu ludzkiego, — a wtedy dopiero w przyszłym Państwie Polskim, mając się tak dobrze, jak Niemcy, Francja lub Ameryka — lub choćby jak Serbia, Afganistan i Papuasja —

pozwoić sobie na grupę fantastów, teozofów, czy tam badaczy somnambulizmu —

i owszem! grupę czy sekcję, gminę, osadę:

błękitną, szafirową, ultrafioletową, zgoła niewidzialną i t. d. Społeczeństwo mające nadmiary bogactw, może mieć Dżokejkluby; mające nadmiar pracy intelektualnej — może sobie pozwolić na fantastów w rodzaju Heny Wrońskiego, Jeremiasza Levi lub Fabrycjusza Oliveta, którego się lękał sam Napoleon, będąc, jak wszyscy korsykanie, przesądnym.

Kto wie, czasem który jak Mongolfier odkryje radiometr, bo istotnie w mrokach siedzimy i czasem ktoś z kominą ujrzy lepiej, iż gdzieś pogoda świta.

Nie dowód, żeby żyć na stałe w kominie, a za jedyny sposób komunikacyi używać miotły czarodziejskiej, zamiast bryczki lub lokomobili. —

— Zatem kochany panie Franciszek, zabrał głos p. Ostafiej — który wzięłaś za pseudonim Arjaman: wybij sobie z głowy owe Pratatry, i mnie uczciwego Wołyniaka, który miał sklep tytoniu w zarażonych febrą i fantazjami Indjach i zna parę wschodnich języków, nie czyn z łaski swojej Madżusem, bo to u arabów znaczy poprostu nicpoń.

Załóż waćpan cukrownię, albo szkołę, albo jedź jeszcze i doucz się czegokolwiek na serjo. Milionerkę pannę Zoli-

mę zostaw w spokoju. Ludzi w chałupie Turowego Rogu, w której cię dotąd uprzejmie przyjmują — nie tykaj, bo będziesz miał tylko milion nieprzyjemności. Nikomu nie dogodzisz, chwaląc, nikomu tymbardziej nie dogodzisz, ganiąc.

Czy nie masz pan ognia, tylko czasem nie z ołtarza braminów, ale zapalki narodowe Feigenbluma z Brodów?

A jeśli chcesz Waszmość koniecznie morza — to jak wiadomo 99/100 powierzchni globu faluje. Jedź na Ocean Spokojny, opisz tam, czy też tylko w milczeniu przeżywaj różne tajfuny, odpływy, przyływy, połuj na Węża morskiego i na samego Krakena, jak to czynił u nas dr. Tripin, który nie wyjeżdżając z Warszawy, bił białe niedźwiedzie pod biegunem. —

— Ale niewolno ci, młody człowieku, podjął p. Mogilnicki, w tych chorych mózgach polskich zaszczepiać nowego rodzaju niedowarzoną poetyczność —

— O której mówi nasze wołyńskie przysłowie: Dureń dumkoju bohatyje! dociął p. Ostafiej.

— Ty się kochasz — to znaczy, organizm twój potrzebuje pięknej kobiety.

I ona jest —

tylko się rozejrzyj. Czeka na ciebie, jest tak samo nieprzytomna, jak i ty.

Jeszcze Wam obu powiem — już bardzo serjo!

Jeśli ten kronikarz Turowego Rogu tak będzie dalej oczerniał Zolimę, to poprostu uznają, iż ty go przekupiłeś i on się mści, jak drugi Aretino.

Baron de Mangro usłyszy o tem z ust Pani Bredulskiej (bo sam czytać nie lubi takich elokubracji) — no, i będzie miał szczerzy żal.

I któż zaprzeczy, że nie ma racji? i za nim obrażą się

nietylko żony Witeziów, kapłanki i kanoniczki narodowych świątyń, które to żony Ciebie w wulkanie Piekielnika rade utopić —

— Krótko! ryknął p. Ostafiej: młodzieńcze, nie umitygujesz swojej imahinacyi, zmarniejesz.

Nawet w prawdziwej hinduskiej religii nie dozwala się unosić jak babie lato, lada podmuchowi imahinacyi.

Wszakóż mówi przysłowie, iż kobieta silniej ciągnie jednym włosieniem, niż 4 byczki w pługu! wiem to, bom zaświadczył na sobie.

Opowiedziałbym Ci, jak niejaki mój znajomy kapitan korsarski szukał blondyny po morzu, której włosień znalazł na pałubie podczas sztilu morskiego i kiedy marzył o miłości. Postanowił szukać tej blondyny. Napadł na pierwszy spotkany angielski bryg, wymordował moc ludzi, przeszukał wszystkie zachołuscia — i wogóle nawet niewiasty nie znalazł. Potem, w jakimś porcie Batawii trafił pędzącą na koniu amerykańkę o bujnych włosieniach blond. Pogonił za jej odpływającym brygiem i dowiedział się w innej znowu porcie Portoryku czy Pekiniu, że już ma jego Wybranka lat koło sześćdziesiąciu. Nareszcie, gotów był z tej biedy porwać żonkę jednego kamerhera, grubą, jasnowłosą moskiewkę, gdy ahent od towarów spojrzawszy na włosień, który on znalazł na morzu podczas sztilu morskiego wśród nienaturalnej tęsknoty za — powiedzmy, za miłością — —

otóż ten włosień okazał się roślinką rozy Jerychońskiej — —

Chciał coś poprawić p. Zimorodek, ale go zaćmił p. Ostafiej, jak przyrząd do tłumienia cudzego głosu.

— I ty Arjaman, panie Franciszek, dajże spokój! Utroiłeś, że właśnie Zolima jest twoja wybrana. Równy ta,

a nie inna? Ale przecież każde 7 lat zmieniamy całkowicie organizm! Co noc wstajemy innym człowiekiem.

Zatem w kogo ty właściwie zakochany?

No dajże łapę i nie gniewaj się.

To przykro komuś tak wleźć na pajęczynową, tęczową, z obłoków, deszczu i marzeń zlepioną karuzelkę—i zburzyć. Ale terpi kozak, atamanom budziesz; wstań z pod takich gruzów moszczniejszym!

— Jakby syn cieniów Krasieńskiego, rzewnym niespodzianie głosem zachlipał pan Zimorodek.

— I nawet Zolima może Cię nie ominąć, ale miej wolę posiąść tę, która w metryce rodziła się jako zakonna córka pana X. i pani L. a takową można zdobyć! Może się nie uda, ale zawsze jest możliwe — in potentia, si non in actus. Ale nie można z pewnością ożenić się i być szczęśliwym w całym tego słowa znaczeniu z księżycową sylfidą, z ener — z enerchumeną swych własnych nocą rozmyślań!

No, cieszy mnie, żem cię trochę przekonał, bo masz dobrą twarz i śmiejesz się do rozpuku.

I zaklinam Cię, nie rób mię waszmość Maghusem, — ty w imahinacji, a ten djabelny kronikarz w swoich ramotach —

— Co, burknął pan Zimorodek, Pana to już chyba nikt na Maga upozować nie może! —

— Jeszcze jedno, ale to już byłoby bez końca — rzekł pan Mogilnicki — przepłynąwszy lekko nad opozycją — co za radykalizm żydowski w waszych młodych pojęciach, te wycieczki przeciw narodowej mądrości — poco? Poco mieszać politykę do l'art? to obniża l'art. A wam dwóm sprawią zbiorowymi siłami najpoważniejsi criticiens i inni, których nie brakuje w naszym kraju — taką zupę żółwią—

à la tortue — że naprawdę niewarto, — no poprostu, gra nie warta jednej powozowej świecy.

— Jak mię widzicie, jestem podróżnikiem i dobrze Wam życzę, rwał znowu p. Ostafiej.

Po hindusku mogę Arjamana nadal uczyć i proszę pana oddaj mi himny wedyjskie z objaśnieniami, które ja dopisywał na marygenesach.

— Aha, to jeszcze chciałem powiedzieć, rzekł pan Mogilnicki — ktoś mi mówił o panu Arjamanie, że zdobył dla Polski morze, la mer navigable — i jest rodzajem Bolesława Chrobrego. Zaiste, piękny wzrost potęgi narodowej w Tatrach: morze, komunikacja parostatkiem transatlantyckim z Raby wyżniej do Honolulu... Przednie. —

— A tego rekina,^o coś którejs nocy ułowił w Koprowej dolinie — wrzasnął pan Zimorodek — to proszę, każ mi go pan wypchać i podaruj! —

— A mnie, rzekł hr. Ostafiej, ulituj się i nie rób skałotoczem — nie chcę tłuc swoich starych kości na marglu Giewonta. Bo to jest margiel, twierdzą. Ale, ale, — a kto to jest ta Mangra — niby mi kogoś przypomina, co? z imahinacji? o, w to nie wierzę — ten się zanadto wam udał. Ki djabeł to może być? no, jutro mi powiesz panie Franciszku — kiedy będziemy skandować:

— Gdybym, o Indro, tak jak Ty — jedynym władcą bogactw był —

nigdyby śpiewak nie został mój tak już zupełnie bez stad bydła”.

I ja ci opowiem wtedy o pewnej wschodniej Sybilli — pani Atharwan. Żyje. Jedź do niej. Nadzwyczajna. Ma pełno ordenów, wkochał się w nią dzisiejszy kierownik młodych Tamulów — i jest mądra, graczona i co chcesz.

A czy wiecie panowie o tem, że gazety piszą o gotu-

jącej się walce Rosji z Japonją? biedne japońcy — na kogo się im porywać! —

Tak mówił skromnych prawdziwych mędrców tryumwirat, zapominając o niepoprawnym Arjamaniu, który tymczasem, uważając, iż apostrofa do niego skończona, chciał iść. Ale wtedy wziął się do niego p. Muzaferid.

Przymrużył najpierw jedno oko — i patrzył jak się mierzyło dawniej z łuku w samo serce już oskalpowanego wroga.

Potem nagle to oko zamknął, a otworzył drugie — i przechyliwszy brodę z dziwną ironią i najwyższą nienawiścią wejrzał w strój Arjamana, będący jak wiadomo strojem witezia z Prata.

I kiedy nawet zuchwalszy od Arjamana nie wątpiłby, iż lustracja wypadła mniej niż niekorzystnie —

pan Muzaferid wziął Arjamana za jedno ramię, wygiął się, jakby teraz nareszcie chciał go rozpruć handżarem — i wyrzucił ze zsiniałych warg polszczyznę złą, ale dobitną:

— Widno zaraz, że ty nie jesteś żaden złodziej.

Córkę ci dam, jak zostaniesz u mnie podriadczym.

Masz — i więcej nie proś! Słyszal? —

I odwrócił się nagle, jakby od zabierania mu następnej sekundy zależała eksplozja wszystkich jego kopalń, kolei elektrycznych, fabryki aeroplanów, przyrządu do wyławiania okrętów zatopionych i t. d.

My, kronikarz Nietoty, natychmiast poszliśmy za Arjamanem, który się chwiał na nogach — i prawdziwie zaczęliśmy mu wieszować, mówiąc o niezrozumieniu przez społeczeństwo, o tem, że papyrussy czekały na Napoleona.

Mówiliśmy też na usprawiedliwienie Arjamana, że jest on jedynym w swoim rodzaju i dlatego można go jeszcze ścierpieć—to jest, raczej pożądanym jest i taki typ w literaturze.

Co najwyżej znajdzie się takich Arjamanów z pół-trzecia.

Zaraza Arjamaństwem musiałyby się liczyć do narodowych klęsk.

Tymczasem jednak niech korzysta z tego przywileju, który ma mąż in futuro Zolimy:

żyć według swych najgłębszych widzimisie.

Kronikarz Turowego Rogu opisał z uniesieniem „chmurne a górne” marzenia na Morteracza skale —

i wyprawę nocną po morzu z temi awanturami na torpedowcu, które wyglądają na dziennikarską kaczkę i nawet obniżają — ale to mniejsza, godność kronikarza.

Nazwał to Morzem Ciemności, bo nie wszystko tłumaczy się jasno nawet ze stanowiska indyjskiej Jaźni. —

Mówiąc te słowa z wszystko rozumiejącą i że tak powiem, szpitalną serdecznością, chcieliśmy z Arjamana wymódz słowo przyrzeczenia, iż będzie podriadczykiem p. Muzafferida. Ale on ku najwyższemu zdumieniu Kronikarza, rozpiął pierś i ukazał na niej bliznę w kształt swastiki.

— Słyszałeś coś o witeziach w Krzyżtoporskim zamku? nie?! Pan Mogilnicki i pan Ostafiej, nawet pan Zimorodek, mieliby zupełną rację. To jest, niezupełną jeszcze. Byłbym najgłupszy, najbardziej szkodliwy fantasta, jaki mógł się narodzić, gdyby nie to, że Jaźń jest większa niż wszystko.

Mają ci trzech mężowie jedną wadę polską, że lubią na ludziach z którymi nie mają nic wspólnego, obgryzać kości.

Wielbię natomiast Muzafferida.

Idę do życia realnego.

Być może, iż będę z bojowcami rozbijał pociągi. Ale nie będę z Narodową Mądrością chciał zastąpić Pol-

ski Panią Dulską. Nie będę się uczył, jak student na trupie, praw do wolności, wiwiskując mój naród.

Będę — (tu zrobiła się przykra pauza) — bądź zdrow. I to jeszcze zapamiętaj.

Widziałem starca, co wrócił z katorgi za spisek ks. Ściegiennego.

Te źdźbła rokicin na klęczkach całuję za tych, którym to na Sybirze i w więzieniach nie dano.

Gustavus obiit! —

Nie wiem, kto się ze mnie narodzi — bądź zdrow! Jestem Polak.

Zapomnij Arjaman!... —

I prędzej, niż mógł kronikarz zatrzymać go, zniknął wśród drzew i wrócił znowu na wiec przerwany.

Kronikarz stanął zdumiony, smętny i że tak się wyrazimy, obolały.

Na wiec iść nie mógł, więc słyszał tylko zdała urywane zdania.

Kiedy Arjaman stanął w kole wiecujących, była chwila właśnie, kiedy Mag Litwor mówił iż ma uczni swych i wykonawców.

I wskazał też na Arjamana, którego przejął wstyd, iż tak mało wie z tego, co wiedzieć teraz nadewszystko należało.

W myśl wiecu — jedni szli do Królestwa, aby działać w duchu i wyżynach.

Inni mieli iść do Rosji, aby działać w duchu i sojuszu bratnim.

Większa część musiała zostać w Turowym Rogu, bo ludzie to byli gasnący — choć sercami płonęli jak ta chorażew, co „we dnie jak słońce, w nocy jak żar prowadzi”.

Arjaman czekał swego wyznaczenia.

Rzekł Mag Litwor.

— Znam kogoś, w kim tętni ukryta jeszcze niewymierzona energia.

Dokąd chcesz Arjamanie? wybierzesz naturalnie strony najdalsze, nie byłbyś miał inaczej w sobie krwi z Króla Wężów. Więc idź za natchnieniem i szukaj swych dróg sam. —

Zdumiał się tej rewelacji Arjaman o powinowactwie z Królem Wężów, lecz milczał.

Odwiedził Arjaman chatę, dzieci swe i żonę. Milczący był, lecz radosny. Radosny, to nie znaczy pełny szczęścia, jeno że otchłani w głębi swej miał pełną niegasnącego światła.

Wyżej zaś były wszystkie męki własne i narodu, wszystkie przecucia złe.

Lecz w otchłani był Bóg, czyli to niepojęcie radosne mówienie z nieskończonością.

Arjaman obejrzał częstokół domu, do chaty swej przywiózł starego rybaka i prosił, aby czuwał nad lasami i nad pastwiskami i aby wszystko było tam dobrze.

Wiedział, iż żonie zastrzeżać tego nie potrzebuje.

Dawał jej bowiem wiarę większą niż komukolwiek, nawet nie wyłączając ludzi z Turowego Rogu. Jednakże nie wypowiedział jasno przed sobą, na czym polega jego zwycięstwo: oto wzniosł na takie wyżyny obłądną Mandragorę miłości, iż tam ona stanie się gwiazdą.

Kiedy żegnał Tatry, jak święty talizman zachował pożegnanie z Magiem Litworem, którego pytał, serce jego rosnąć ma — jaką askezą, jaką modlitwą, jakim ogniem w arce?

Rzekł Mag Litwor:

„Wesel się na wyżynach i dawaj innym tę radość”.

Był w Warszawie wśród tłumów burzących się, jak porażnione pszczoły, szukające Matki. Rzucił wszędzie posiew słów Maga Litwora, czytał wszędzie jego Złote Orędzie. Tłumy zaczynały już rozumieć.

Potem, na jeziorze Trockiem w ruinach Kiejstutowskich, zebrał lud i mówił.

I lud miał go za jednego z rycerzy Wawelskich, którzy powstali, chciano go okrzyknąć swym Jasińskim, ale Arjaman zniknął z pośród tłumu i gnał pociągami nad morze Czarne, które omywa skały Tatr.

W Bahczysaraju mówił z derwiszami i mówił z czciogodnymi sędziwymi tatarami, którzy dziwili się, że język ma tak słodki — i którzy opowiadając o klęskach swego oraz polskiego narodu, wciąż dodawali: Chwała Bogu! Ałlah Kehrim! I wzięwszy wielkie przysięgi, odjechał na Kaukaz Tatrzański, gdzie był przykuty niedawno jeszcze Prometeusz. Tam przebywał w miastach, mówił z nauczycielami, z redaktorami i z wojskowymi.

Tam błądził też sam w nocy po tym ogrodzie wśród czeluści skalnych, gdzie tęskniła Astrit, Królowna z Norwegii, zanim zabitą została przez kawiarnianego tragika. Wyruszył w góry, które są za lodowcem Morteraczu do wspaniałych bitnych plemion dawnych rycerzy krzyżowych, którzy zabłądzili w tych cieśninach i zostali tam na zawsze.

Wschód wiał tu zupełny, a zamiast kłamliwych dyplomacji zmierzały zbrojne dłonie do uścisku z Lachem.

Cudowne były momenty, gdy widział tych rycerzy ćwiczących się zbrojno w lasach.

Na kobiercach zaś — w dymiącej sakli — wśród chłodnych nocy górskich zawierał śluby, że nie zdradzą Swastiki.

Jechał Arjaman konno, wiedziony przez przewodnika do plemion muzułmańskich — i mówił z nimi językiem Emira Rzewuskiego i widział, że tam wszystko już gotowe.

Jechał Arjaman do ruin przecudnego pustego Zygmunta miasta.

Tam czytał z głazów wielką przeszłość.

W zamkach rozbitych armatami, patrzył na cudne dziewice rycerki wśród mirjady luster, tworzących sklepienia w kształt przyrmatycznych komórek w plastrze miodu.

W klasztorze Assassinów wśród żaru straszliwego leżał ukryty w celi chłodnej i czytał kroniki. Wieczorem, gdy powiał wiatr od góry, która się zwała Ołtarz świata, błdził nad świętym stawem, patrząc w lodowcową górę.

I mówił ze starcem gór, arcy-ihumenem tamtejszym, podobnym do Mojżesza z potęgą twarzy, z brody czarnej i z błyskawicowego geniuszu, który gniewem buchał za hańbę swego narodu.

Wracał Arjaman; przy jeziorze wielkim jak morze, rozbił się pociąg, pod który podłożono bombę, lecz on ocalał.

Na stacjach robotnicy walczyli tysiącami z wojskiem.

Padły kule, jak grad, lecz Arjaman był nieranny nawet.

A jednak był wszędzie tam, gdzie Mag Litwor chciałby go widzieć: gdy wchodził, płonęły fontanny myśli i uczucia, jak drzewa zapalone piorunem wśród puszczy.

I jeśli teraz odsłaniamy zapiski jego z tej podróży lotem husarowego ptaka czynionej, to nie przeto, iżby te sło-

wa ledwo jednym brzmieniem ogarniające całe otchłanie
przeżyć, aby te słowa były popularne.

Mrok z nich bije. I może czasem światło. Allah Keh-
rim — Bóg jest miłosierny. Niech każdemu, kto wart
jest, da wiedzę, fantazję, imaginację, natchnienie, tudzież in-
tuicję.

Bowiem pismo nasze jest szyfrowane i sympatyczne—
widzialnem się staje tylko pod skalpem myśli — i od wpły-
wu Ognia.

* * *

Migocą złote pomarańcze
w odludnym czarnym salonie —
Ty upiór — rządysz na tronie —
z miesiącem wchodzę ja — i tańczę.

Splecione kobry nad róż misą
nurzą jady w kryształ czarek —
wśród maurytańskich kolumn Wareg
mieczem wskazuje tam, gdzie lwy są.

Miłosne krwawe pomarańcze
w letargu śniącej czarnej Djany —
o jęku, tylko raz słyszany!

— — — — —
Z miesiącem wszedłem tu i tańczę.

* * *

Dni moje — jako borów palących się szum.
Noce me — to zbłąkany kometa w niebiosach.
Miłość ma — jak przez widma opętany tum.
Pieśni me — niby króle ginący na stosach.

* * *

Mam serce popękane jak wulkan w płomieniu
i pędzę, wichrem niesiony wśród skał:
nad morza cicho śniące, nad głębie w omdleniu,
gdzie pył kwiatowy tonie, który wicher zwiął.

Tak chciałbym słuchać śpiewów z minaretu,
nucących Imię Boga nad morzami z gwiazd!
Tak chciałbym w pierś mą sączyć powietrze sorbetu,
z dolin płynące aż do orlich gniazd!

Tak chciałbym palić twoich oczu lawę
błyskawicami moich czarnych żądź —
i miecz złożywszy między nas w murawę —
i z zatrutego drzewa kwiat pachnący rwąc — —

Lecz serce mam spękane, jak wulkan w płomieniu,
krwawiący Imię Boga wśród piekielnych skał.

* * *

Noc — kryształ czarny. Iskrzą się gwiazdy nad borem.
Jeszcze mam obraz Twój w sercu mem smutnem i chorem.
Pociąg mię niesie w dal ku morzom, gdzie wszystko utonie —
i wtedy pójdę ku wam, o gwiazd plejado, Orionie!

* * *

Lecę wśród złotych pszenic
w gajach gdzie słoneczniki —
w brzęku jedwabnych uździenic
koń rwie się podemną dziki.

Hej, zepchnąłem carewnę
w Dnieprowe ciemne wiry —
a łyż Jej — chmury ulewne —
rdzą padły do mej liry.

Hej, leć koniu przez jary,
zerwij pasma kądzieli —
jam nie pieśniarz Tamary
smętny Szot Rustaweli!

* * *

Nużę mię ta sina dał,
która nie ma grozy ciemnej Orki:
morze — ogród, wodorosty fal —
i delfinów stado, jak amorki.

Tu Czatyrdah nie śnieży w obłokach,
pieśnią wojny nie brzmią minarety,
burzan rośnie na Gireja zwłokach,
łez fontanny śnią milczeniem Lety.

* * *

Skrzydła gryfów pokłębione budzą we mnie szaf Atrydy.
Mórz głębin zielonawe w mgłach powiodą do Kolchidy —
a te zimne skał potwory, gdzie Dyjany ciemna grota,
ja miłością rozplomienię w myt z porfiru i ze złota!

* * *

Idziesz tu ze mną w zamarłe pustynie,
gdzie rzeka szemrząc w cyparysach płynie —
a niebo jasne rozpala pożogą,
jak skrzydła duchów co wzlecieć nie mogą.

Czarne djamenty — oczu twych latarnie —
wiodą mię w zimne lodowe zasłony —
i jako Dante błędzę potępiony,
gdy mu ostatnia gwiazda zgasła w Arnie.

* * *

Na maszcie moim Wega się żarzy —
a na dnie zimna puszcza koralu —
fala wyjąca dziko się żali,
jak widmo tęskne umarłej twarzy.

* * *

Wśród czarnych mórz
ogień w rubinie —
widzę w głębinie
Śniącą o wędrówce dusz.
Migocą żarze
na grobowcach gór —
płonęły nam twarze
miłością z nad chmur.

Słońce z gór wezgłowia
kładło cień po cieniu —
wśród ludzkiego mrowia
zostałem w milczeniu.

Ach, dobrze — już mrok —
na chmurach popioły —
widzę Boga wzrok,
gdy stracił Anioły.

* * *

Róże — mimozy
kwitną tu,
czarne wąwozy
pełne mchu.

Gór lodozwały
sinią w mgle —
potok źdźdźcały
jamy rwie.

Zmierzcha topazem
niebios chram —
zejdziemy razem
do tych jam.



Jadowite węże pełzną po stepach,
księżyc rosę pije w srebrnych czerepach;
(miłość ma umarła, jak o szczęściu sen) — —
niebo wiekuiste, jak morze bez den.

Gór wierzchołki w gwiazdach rzeźbią Boga sąd —
zły geniusz tam kona — ma na skrzydłach trąd;
burze ciemne biją piorunami w skroń,
żadna z cór anielskich nie podejdzie doń.

Koń mój, krocząc w otchłan, trącił gniazdo węża —
skoczył w bok — i upadł — i już śmierć go stęża — —
idę sam — i patrzę w śnieżną Boga twarz —
chmury łez mych płyną do lodowych czasz.

* * *

Pośród stepów i wydm i słonawych ziół
błękitnieją mury szafirów —
na nich gwiazdy lśnią z czarnoksięskich kół,
łabędziami płyną wśród wirów.

Morze wzburzone, złe — pełne milczeń i zrad —
morze pełne lśnienia turkusów —
wicher niesie mu pył — i szarańczę — i grad
i wycie z zadżumionych ułusów.

I wielbłądy tam błądzą po spieczonej pustyni,
gnąc swój grzbiet wśród czerwonych tumanów,
rzeki w piaskach mrą, niosąc swej Władczyni,
zwiędły liść jadowitych durmanów.

A tam w morza głębinie śni zaklęta królewna
i to morze straszne sił niema jej obudzić!

* * *

O, jakież idą srebrne chmury
na te olbrzymie czarne szczyty!
. nagły lecący ogień z purpury —
gwiazda! jak duch z amfory rozbitej.

W tych basztach popękanych są dziwne ulice,
w jaskiniach tajnych błyskają światełka —
meteor upadł w wyklęte ciemnice,
niechaj me serce hymnem swym rozelka!

Księżyc i chmury —i ja — Twórca wolny!
jam rozswulkanił te góry w przedwieku,
ja widmo groźne żyjące w człowieku,
ja niebo — gwiazdy dzierzę — i ów zamek dolny!

Teraz mój los widzę — mój los widzę — ten że jestem bóg!
prawdę mówiłeś do mnie Luciferze!
to zapomnienie straszne i wyjście za próg
mojej wieczności — skąd grzech źródło bierze!

Światła nad wodą śniącą, gdzie umarłe ludy;
obłoki cicho śnieżą te mury podniebne, —
a tam w księżycu zamek miłości i złudy
i zaklęte w kamieniu sonaty pogrzebne.

Bóg! jest Bóg! do niego się pięły tytany law
i zdumione stanęły przed gwiazd huraganem
i czytając księgę djamentowych praw,
umilkły — w zachwycenia morzu nieprzejrzaniem.

Ja mrok — ja smutek — ja bezmoc — a jednak też bóg!
.
mozajki gwiazd na czarnych wniebowziętych szczytach!

— — — — —
— — — — —
— — — — —
Książycu! przy ołtarzu chmur — wieszczku i kapłanie —
daj mi sny — tak skrzydlate — samotne — przejaskne —
bym zapomniał, że idę w wyklęte otchłanie,
iskrząc się męką ognia — aż w dymach zagasnę!

.
.
Ciemne drogi me!
wysrebrzone —
ukochane —
wycalowane przez księżyc!

RÓŻANY OBŁOK.

Z gór mówię białych przy zachodzącem słońcu.

Mrocznieją głązy olbrzymie, idą na wasz gród.

Nie oszczędzą sadów, ni minaretów.

Złote wieżycy legną w ruinach, na dywanach smyrneńskich
pokrwawiają się głowy.

Nałożnice w plusku fontann usłyszą z poza wysokich ścian
ogrodu huk ciężki zstępujących olbrzymów.

Miasto, jak garść brylantów migocąca w marmurowej misie,
rozbłyśnie tysiącami ogni tych, co zbudzeni będą pytać i zmilkną.

— — — — —
Ale On patrzy na obrady geniuszów w sali mrocznej gdzie
sądzą.

On słuca w ukryciu.
Jego niech się trwoży serce Twoje.
Miecz twój niech błyszczą rosą Imienia.

— — — — —

Fontanny zamarły, ptactwo ucichło, krzyk i śpiew skamieniał — dzieci przytuliły się do kwiatów, na których wiszą nieruchome pszczoły.

Czarna gazela moja wyszła z grobowca, ku morzom, gdzie płyną góry lodowe.

Widziałem Widmo i nie wzbronilem odejść za baszty skał, aby nie była w dzień mojego sądu:

gdy mię przywiodą skutego w łańcuchu i Jazń moja z obrzydzeniem nastąpi nogą na mój rubinowy dyadem.

Gdyż wybrała mię swoim prorokiem, lecz dusza moja płynie na lodowej górze, szukając nadaremno po modrych otchłaniach Tej, która wyszła z mojego serca, czyniąc je zimnym grobowcem.

Lucifer jest! mówią to skały, wstrzymane w biegu z gór ogromnych, które opasały miasto.

Lucifer jest: pachną Imieniem Jego żółte owsy w ogrodach i dojrzałe brzoskwinie — i laki szkarłatne, i pstre begalie, i chińskie fioletowe róże.

Lucifer jest: gruchają gołębie, i ptactwo świegoce w bujnych topolach, i niebo błękitnieje, słońce zachodząc przykłęka na kaszmirski purpurowy dywan —

a gwiazdy już poczynają wyśpiewywać Jego imię z kryształowych czarnych minaretów.



Lucifer jest! powtórzyłem, stojąc na płaskim stepie, który pokrywał zielenią górę, i czując jak morderca pełźnie wśród traw.

Zorza wieczorna złotym przepychem rozkrzewia się nad górą podobną do trumny — niebieskie trójkąty przedzierają się przez jej złototkany szal.

Gwiazda miłości wystąpiła pierwsza na jasne przejrzyste lazury.
Cmentarz, nagrobki w turbanach i spisach — dają mi wspomnienie, że byłem królem narodu który wyginał.

Nie żał mi jego i nie wyciągnąłbym berła nad nim.

Lucifer mię uczynił prorokiem pustym i nie kazał mówić do mrówek z miast.

Zejdą się olbrzymy przed namiot nieba mojego — zanurzą swe ramiona we krwi i będą kielznać chmury pełne skrzydeł.

— — — — —

Wyjechałem ku miastu wrytemu w skałach gdzie niema żyjących.

Koń biały unosił mię lekko jak obłok [mgły między wysokimi ziołami.

I gdzie padła piana z jego uździenic — tam zakwitwały ametystowe łany krokosu.

Jechałem do grobu Jej, aby przyzwać Widmo i do łoża mego chciałem Ją unieść,

W bramie umarłych ujrzałem niewiastę młodą i drobną, niezmiernej piękności.

Jakoby latarnie czarnych dyamentów okryte jedwabiami rzes— świeciły jej źrenice, twarz i postać zdały się żywym płomieniem.

Czułem pocałunki jej spojrzeń na moich opuszczonych powiekach, imię Jej było Dalita. Podałem dłoń mą zamiast strzemięcia, gdy siadła ze mną na Mlecznego, i ostrożnie zwolna zjeżdżałem z wielkiej stromości ku dolinie, gdzie srebrnym węzłem wypływała rzeka i drzewa gajem czarnym, pełnym cienia zapraszały do swoich świątyń.

Droga zwęziła się nad przepaścią i skała stromo sterczy ku niebu, a głęboko w dole zasnuły się wąwozy mgłami.

— — — — —

Tam w nieskończone dale idę, w nieskończone dale idę smętny sam.

Wrota gór rozwarte przedemną, a za nimi morze —

*

* *

Kiedy opadł żar południa i chłodny wietrzyk oświeżył niebo, które było rozpalonym piecem — używszy kąpieli pachnącej siarką w kłębach olbrzymich tęczowej piany — pod ręką wysmukłego hindusa — otwarłem furtę do ogrodu niezmiernego, który się rozciągał na stokach wielu gór przerytych bezdenną skalną czeluścią. Tu znużony myślami, których żar nie dał się ochłodzić sorbetem i zimnym krwawym owocem indyjskich kaktusów, patrzyłem na góry, gdzie kołyszą się jasno-zielone łąny traw i brązowe skaliste grody pełne sykających świerszczy i zapachu czombrów.

I zmierzając ku skałom, widzę na ich porożach sarkofagach zamierzchnie legendy: Prometeusz skuty słucho Oceanid, głowa ścięta Meduzy płynie po falach, Jutrzenka sięga ręką do przełęczy nowych zórz, okrutne Bożyszczce na ołtarzu splecionych ciał — — — a wodospady cicho szemrzą w wąwozach, i trzciny bambusów nad stawem poruszają się od przechodzącego ibisa.

Księżyc błądy, jak zbudzony upiór; muszki zielone wirują w powietrznych jeziorach —

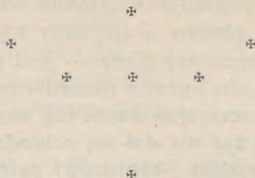
serce moje było ciche, lecz niemocne.

Syciłem się czarnym szkarłatem lilij, fale złotawych mietlic kołysały się —

i byłem znużony jak posąg świętego, co już stoi od lat tysięcy w starej świątyni, z rozwartymi oczyma na tłumy wielbiących, a bardziej tajemniczych, niżli Bożyszczce, dusz.

Gdzie jesteś? bóle moje się zagoiły, żądze umknęły, jak szakale z miejsca ogniów.

W duszy mej świeci głowa Matki Boga z przymkniętymi oczyma, gorączka męki już przestała ją palić, łyzy wyschły, niebo już osiągnięte i otwarte, Syn króluje wśród gwiaz i otchłani, żołnierze rzymscy dawno rozsypali się w mogiłach, lampa kadzılna płonie rubinowem pełgającym uwielbieniem — i tak smutno — monotonnie — bezdźwięcznie w tych niebiosach, gdzie trawy się kołyszą, błękit bez chmur, i tylko orzeł niedosiętnie przelata — unosząc w szponach obwisłe zakrwawione koźlatko. —



Przepaści węzłem złowrogim przeryły ogród, żlebem kamiennym zapadają w głębinę piekieł.

Potok to rwie się huraganem jęków, to wypełnia milczeniem zimne bezdenne jeziora.

Niewidzialne ropuchy i kameleony, gnieźdzące się w wilgotnych jamach, gadały ze sobą.

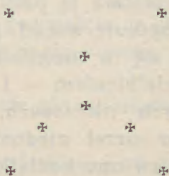
Księżyc przyświecał przez mroczne tysiącletnie lasy cedrów. Na szczycie niedostępnej góry migotał zamek łuską lśnienia.

Słuchałem bębnienia ropuch i szeptu kameleonów, które obśiadły w leju skalistym mgławce jeziora.

Myślałem o tych, co błądzą zamknięci w pieczarach.

Sam byłem — księżyc już zapadł za góry — chłodne milczenie nastrojało swój instrument przerażenia i rozpacz.

Myślałem — jakie są tajemnice Boga, kiedy je ukrywa przed sobą samym?



Przyległszy twarzą do granitowych wschodów świętego stawu —
przysiągłem Tobie, Duchu nieogarniony —

Czemuż przerywam milczenie?

Na górze upiornej z pod całuna lodów mroczą się granity — niebosiężne twierdze z białych marmurów — stacza się błękitny lodozwał, jakby płaszcz olbrzyma.

Tu karmią się u źródeł rzeki szalone i nieokiełznane, co trą głązy na miałki żwir — a im bliżej morza, ciche i głębokie.

Ja, król, wisiałem nad przepaściami, i nie miał mi nikt sznura dorzucić, nie było nikogo z żywych — prócz sępów, co wyglądały, jak czarny różaniec na tle śnieżnej straszliwej piramidy.

Pisałem sztyletem Imię Twe na bryle kobaltu, czekając rychło mi omdleje ręka i runę w otchłań, z której wiatr mroźny podnosił moje włosy do góry.

Ujrzałem kosodrzew i, wbijając szpony w ścianę, dociąłem się do krzewiny i przy niej ległem omdlały. Ptaszek lecący mógł mnie muśnięciem strącić tam w otchłań, gdzie ryczący potok tu za ledwo zdał się wężykiem srebra.

I począłem się zsuwać, jakby z murów piekielnego grodu. —

Teraz, gdy słońce zaszło, ja, minawszy otchłań, ucałowałem w mroku ziemię wonną od traw — i spoglądam w obłoki płynące, które przysły do gór tych na spoczynek nocny — patrzę ku Nie-skończoności, która się staje wciąż głębszą świątynią gwiazd i wta-jemniczeń —

Jestem obłokiem zwiewnym, który przyszedł ku nieruchomym nadziemnym wyżynom, wiatr poranku zwieje mię, dokąd Ty mu rozkażesz.

Gromnice gwiazd rozetlą się nademną śniącym, dusza ma jak tchnienie kwiatu tuli się do Twoich ran, o Góro,

z nizin umarłego stepu —

wznosząca się śnieżną Allelują w nieprzejrzane Milczenia Wiecz-nych Przeznaczeń.

* * * * *

Po kilkumiesięcznym wypełnianiu Magicznego Złego Orędzia, chciał oddać się duchowemu przeżyciu grozy toczących się walk na Wschodzie, a nie mogąc doczekać Maga Litwora w cieśninach, gdzie unieśmiertelniał ród ludzki Prometeusz, wyruszył wczesną jesienią nad Amur, gdzie znajdowały się wówczas wojska rosyjskie.

Mówią złośliwi, że Kuropatkin przegrał, mając w Arjamanie przeciwnika w bitwie pod Mugdenem.

Dalsze dzieje Arjamana trzeba byłoby wysledzić z biuletynów wojennych, my jednak, kronikarz Turowego Rogu, zajmujemy się tylko tatrzańską stroną życia naszych bohaterów.

I otóż, kiedy zimą wrócił w Tatry Arjaman z przestreloną ręką, zmiana nastąpiła w jego duszy.

Świat mu wydawał się jakby olbrzymia mroczna rzeka, pełna wodospadów.

Ta rzeka — to nieubłagane kosmiczne prawo.

W rzece, niby lipowy kwiat, niby jętki motyle, płyną i toną ludzkie egzystencje i nietylko ludzkie, wszystko co istnieje!

Jedyną mądrość stanowi życie swe wyżyć aż do dna.

Arjaman widział gladjatorów w straszliwej arenie, gdzie nie było duchów, jako widzów.

Zaiste, groza potworna tonących pancerników, bombardowane miasta, rozpusta między oficerami wojsk rosyjskich, łatwość mechaniczna zabijania tysięcy tych „Jaźni”, tych „dziedziców nieba”, tych „miar wszechświata” —

taniość ludzkiej Karmy, którą się wdeptywało w błoto mandżurskich rozmokłych Gehenn, —

to rozstroiło umysłowość nie tak zrównoważoną, jak p. Ostafiej Huraganowicz — skłonną do wyżyn, o ile był Mag Litwor, lecz tym skłonniejszą do przepaścistych wado-

łów szału i namiętności, o ile Wielkie Światło nie wiodło go.

Przebycie samopas okropnych dziejów walki uczyło z Arjamana jeźdźca, który z koniem swym przejeżdża nad przepaścią, widząc ścieżynę zwężającą się i bezpowrotną, bo obrócić koniem znaczy runąć tam w otchłań z wyżyny.

Dłużej uczestniczyć w ruchu „wyzwolenia” nie miał już Arjaman poco.

Utracił zupełnie wiarę w możliwość wielkich gór dla narodu. Małe zdobycze ekonomiczne nie obchodziły go.

Dziwił się sam tej złowrogiej pustyni, która w nim zapanowała. Schronił się nad swe morze w Tatrach dziko huczące w jesiennych burzach, z melancholią wpatrywał się we wschód, zarówno jak w zachód słońca.

Łowił ryby dla domu, i chętniej niż ryby, znosił owoce z lasów. Nad wodospadami nieraz stawał namyślając się, co czynić. Tam na dnie już spokój. Tu na górze—chmu-ry obłędu.

Wreszcie postanowił wybrać się na dni kilka do Turowego Rogu.

VIII.

CHATA WIESZCZKI MARY.

Jernesta. W wielkiej izbie ustawione łoże Wieszczyki Mary, która leżała chora, dokoła zaś niej były choinowe drzewka, wniesione tu dla balsamu.

I była sama, chwytając powietrze chorymi płucami.

Wspomniała swe dzieciństwo, kiedy malutką dziewczynką stała przed sądem wojennym; i potem, gdy z Ojcem swym na wygnaniu w Kireńsku przemyśliwała nocami całemi, jak uczynić coś dla Polski.

Straszne tarakańczyki szeleściły ohydny gromadami dokoła niej; te wstrętne insekty, których nie wolno było ruszyć, gdyż gospodarze Mordwini wynajmowali z tym warunkiem, żeby świętych tarakańczyków nie niszczyć.

Tarakańczyki niejednemu, śpiącemu mocno, czy pijanemu, odgryzały nozdrza lub uszy aż do kości, że wyglądał, jak dawny katorżnik „klejmionyj”, i dziewczynka Mara przeraźliwie ich się lękała, w ciemności szlochając w swym łóżeczku.

Tak, nocami tych lat długich myślała nad Polską i zro-

zumiała w przeczuciu swym, że nic dla niej wielkiego uczynić nie zdoła!

Widziała i znała tych dziwnych ludzi, tych wygnańców, jak Krajewski — melancholik milczący; żył zdala od innych wygnańców, głęboki, najmędrszy z nich.

Ten kochał tylko dzieci, i dziewczeczka Mara była jego ulubienicą. Opowiadać umiał cudownie...

Potem już panną dorastającą wieziona z jednego zakładu dla chorych do innego — z Paryża do Kaltenleutchen, poznała najdziwaczniejsze tajnie życia.

I ową straszną historję z rubinami Księcia de Marny... mieszkiała naprzeciw domu, gdzie była ta kobieta, kochanka Księcia...

Fantastyczna, przepiękna dziewczyna cyganka!

Zabił ją blondyn wymokły, Księżę — kazał sobie zrobić rubinowe spinki do mankietów i gorsu. Cały Paryż wiedział o tym morderstwie, lecz Księżę stał się najmłodniejszym z ludzi w salonach.

Znała w Tyrolu Niemca doktora, przyjaciela Polaków, który miał pokój, zawieszony Grotgerem.

Wyglądał jak nietoperz, w płaszczu, niziutki. Mówił tylko gwara tyrolską. Żył samotnie w zamku.

Znała różne potworne historie z obłąkanemi Polkami miłości, silne, jak śmierć! lecz mało z nich było tak dziwnych, jak tej góralki Jernesty, która służyła w Chacie teraz.

W zimie, podczas 26^o mrozu, przyszła w białym kaptaniku, w spódnicy niebieskiej letniej. Nie miała serdaka, ani chusty. Wszystko przepijał jej Józik.

Była tak limfatyczna z wyglądu, blada, piękna, w stylu Maeterlinowskim, wysmukła, z oczyma niewidzącymi, zda się, nic, zapatrzonymi tylko we własne uczucie, iż stawało

się zupełnie niewiadomo, gdzie mogła się kryć jej szalona, potworna namiętność?

Ubóstwiany Józik było to chłopisko szpetne, pijanica, drażał niezgrabny, co wrócił z wojska i donaszał mundur.

Nie chcieli nigdzie Jernesty trzymać. Nawet to, że była siostrą zbójnika, sławnego Sierotowicza olbrzyma, który większe pół młodego życia przesiedział już na Wiśniczu—nawet takie potężne tarcze nie zasłoniły jej: była we wzgardzie u górali i u państwa.

Wieszczka Mara wzięła ją, zresztą wyborną kucharkę, bo u hrabiów jakichś pomagała kucharzowi, który był pijakiem i więcej spał, niż pracował, za to całej wiedzy udzielił Jerneście.

Ta była cicha, niemowna, jakby indolente, lecz robota czyniła się sama, w godzinę obiad najwytworniejszy na dwańście osób umiała podać.

Z góralami była grzeczna, lecz obojętna — z tymi pięknymi przewodnikami, z półbohaterami, jak Jaś Krzepowski!

Jednego wybrała — i na zawsze już.

Józik był niezły może chłop, lecz dla niego była za tragiczna. Brał od niej datki na wódkę i miał pozwolenie przychodzenia jawnie. Wieszczka Mara chciała tę miłość uczynić prawem.

Bywało kilka dni dobrze; nagle ze strychu słychać było łomot zlatującego Józika pijanego, krzyk Jernesty,—i potem wśród lasu nad rzeką jej okropny lament.

Już wtedy na kilka dni nie była zdolna czynić obiadu, lękała się tylko Pana, chory śmiertelnie leżał w zacisznym pokoju. Za to do Wieszczki Mary przychodziła; tuląc się u jej kolan, wszystko jedno, że był to mrok [północny —

nieprzytomna, ustami coś żuła — gryzła podartą Józika fotografię!..,

Pani Mara schylała się, aby ją podnieść, Jerneścia nie dawała się — i tak zostawały obie na ziemi, razem płaczące — modliły się razem za nieszczęsnego Józika, aby go cosik odmieniło.

Kiedy znów uspokoiła się, chodziła wśród pracy domowej, nie widząc nikogo.

Pan Melanchtonius, najwytworniejszy z dżentlmenów w Turowym Rogu, blady też, wysmukły też, wodził za nią oczyma, z zachwytem, mówiąc do Wieszczy Mary:

— C'est une femme! c'est une femme! c'est moi qui vous le dit, Madame!

Sąd anachorety o tej Manon Lescaut był w tym wypadku najwyższą instancją znawstwa.

I teraz Jernesta przyszła, Pani Mara opowiada jej swój sen:

widziała gdzieś, na czarnej przepaści cudne arabeski...

Taki więc dywan czynią razem, Pani Mara rysuje, maluje kulfonikami, Jernesta przynosi włóczki, dobierają razem, tworzą — a wykonywa krawiec, hafciarz od serdaków, idjotowaty góral Dyrula, w którego wmówiła Jernesta, że Pani go kocha! — i on nietyle dla papirka dziennie, ile dla Pani Wielkomożnej haftuje i naszywa piknie.

Tak powstało arcydzieło — pierwszy haft sztuki stosowanej w Tatrach!

I ten dywan stanowi dumę Jernesty: „zrobiliśmy takie, czego nikt nie zrobił!”

Łoże Pani Mary zarzucone resztkami włóczek...

Jernesta wyżenia się w końcu.

Ślub smutny, życie stało się już piekłem zupełnym.

Pijaczysko nie wychodził z karczmy.

Chcąc oduczyć od pijaństwa, opychała go słodyczami, robiła mu sławne w Turowym Rogu ciasta Rzymusy, których nauczył ją hrabiowski kucharz. Zawsze u niej, jak na Wielkanoc, było zastawione; Wieszcza Mara czasem zajeżdżała do niej, dziwiła się temu:

— Abo widzi Pani, ja tak chcę Józika nauczyć, że mu w domu najlepiej... —

Ale Józik, noc spędziwszy w karczmie, rano pałaszował ciasta, potem drzemał — i znów szedł pić.

Tak przetrwonił całą chudobę, dom porządny, kawał lasu; Żyd karczmarz wziął to mniej, niż we dwa lata.

Jest prawo austryjackie, które takie długie chłopskie, w karczmie powstałe, bardzo surowo kontroluje i chłopów wydziera z rąk lichwiarza pijawki.

Na skargę Jerneści, miała Pani Mara jej bronić przez Sędziego Zygmunta — ale prosto po tej żalobie Józik poleciał do karczmy, powiedział Żydowi, że go Sędzia weźmie w kluby.

Żyd w nocy pojechał do Nowego Targu; co uczynił? kogo przekupił? czy tylko od kogo wymógł przyspieszenie likwidacji — dość, że w parę dni Jernestę wyrzuciono, — i tułali się w okropnej nędzy po Krakowie. Jerneścia była już przedtem bita przez Józika za jakiś grzech... teraz poszła drogą kobiety nierządnej... prędko dostała się do szpitala, stamtąd pisała list do pani Mary; był w nim tragiczny i wzniosły krzyk:

— Pani nie ma prawa mnie sądzić, bo Pani jest królowa Jadwiga, a ja jestem kobieta!...

Wspomniała, jak noce całe przemodliły się razem! — I nie sądzono jej zresztą nigdy źle w Turowym Rogu.

Umarła.

Józik wpadł w rozpacz — coś przejrzał.

Teraz wyrzucał sobie, że jakby on był jak się patrzy chłop, a nie pijanica, — Jerneścia by nie zatraciła się i nie umarła!

Coś w pół roku i on poszedł za nią.

Został chłopaczyna, szpetny, jak jego ojciec, kochany do szaleństwa przez matkę, póki żyła.

Jerneścia całą majątność swej młodości przemieniła w miłość do tego chłopca, lecz musiała go opuścić, idąc do Matki Ziemi na nowe przeobrażenia.

Taką była Manon Lescaut Turowego Rogu.

— — — — —
Kielo ta pani głupia! Burgrabią Turowego Rogu był zwarzjowany góral Gandara.

Chodził se po słonecznych galerjach — przytupywał wesoło; kiedy był rad, śpiewał piosnki z dzikim hipkaniem —

a kiedy głód go dojął i ujrzał Mistrza Teodoryka, pytał:

— Dali wam jeść?

— Dali.

— A mnie nie dali!

Gandara miał się za władcę niepomierzonych obszarów, niby Hamlet, lecz nie zamykał ich w skorupie orzecha. On widział je — on okazywał na całe Tatry: — syćko moje!

Na dzień jeden zaszedł po drodze do Turowego Rogu.

On i warjat Gandara dosyć się lubili, choć Arjaman nie miał dla niego uczuć rzewnych, bo widział w nim jakiś swój prototyp. Usiedli więc.

Raz przed samą śmiercią usiadł z Arjamanem na słonecznej przyźbie i, przyśpiewując, tak gadał Gandara:

— Wicie, jako w Białce kościół zjedli?

— Z jedlinowych balów?

— E, wyście mądrzy, to nie uwierzycie, ale głupi to myślą, że kościół zjedli!

— Wybudowali kościół z pni wielkich jedlanych, hrubych, jak ten skrzyżał (ukazał wielki płaski głaz u schodów).

I był taki gazda, co syćko zabijał: barany, owce, woły, ludzi syćko zadziobywał.

(Tu Arjaman miał widzenie olbrzymiego, czarnego, skrzydlatego człowieka, który syćko zadziobywał!...)

No i było mu już na śmierć.

Ale jako ta do księdza pójdzie?

Kto mu da rozgrzesynie?

Namówili go przecie. Ksiądz pyta: no, ile ta może być tego, co zabiłeś?

Tak mówi ten zbój:

„Jakbym ze Żaru do Jurgowa zrobił płot, telo by on mógł objąć, com nasabijał.”

To mówi mu Ksiądz: klęknij w kościele, zrób krydą koło i módl się, a nie daj się wziąć złemu. —

Zostawili go.

Modli się.

Noc — ciemno! żebyś djabłów zjadł, a nie widział.

A tu widzi ogień zaświecił — kuźnia!

Takie pięć pieców bucha ogniem, jako w Hamrach, kie żelazo robią — rude oczyszczają. Kręcą się też różne sie-leniejakie duki. Mieli ulać dzwon, a na tyn dzwon wsziscy dawali pieniądze stare, spilki połamane, abo i całe — syćką miedź i srybro. Zewsząd ludzie umarci schodzili się, dawali, a Ksiądz dorzuczał.

I postawili na tym grzysniku dzwon.

I młotem biją, a taki huk, że jak uderzy młotem, to wszyscy głuchną w Zakopanym.

I tak mu strasznie dzwonili, kując na nim.

Rano nie chce nikt wejść do kościoła — tak się brzydzili grzyśnikiem.

Ale Ksiądz wszek:

widzi go, iże kłęczą w kole.

I nie pytał już więcej, dał mu rozgrzysenie. On wiedział, kielo musiał wycierpieć tę noc. To już mu więcej potrza nie było! — —

I śmiał się Gandara do Słońca, które ogromne blaski rozsiewało na lazurowy przepych zimowego krajobrazu Tatr.

Gandary znaną jest historia.

Mędrzec Zmierzchoświt rzekł mu: napisałem o was książkę.

— A co to? spytał.

— No, jest taki człowiek, nazywa się Gandara.

— Jak śmieliście? to jeno Żydzi wołają Gandara! a ja, się zowie Adalbertus Łukascyk z Murza Sichla!

— — — —

Kiedy te słowa Kronikarz Turowego Roku pisze, wi cher okrutny duje za ścianą, — tam idzie Gandara już nieboszczyk:

prosty jak był starzec, wyglądający na młodzika hardy — nieprzystępny.

Kiedy go pokrzywdzili, zabrali mu grunta orne, na których wysiewu miał 23 korce, i łąki szmat, i lasu godnie, i z chałupy wygnali mu dzieci i żonę za jakiś mały dług 3 korcy kartofli, cztery razy zapłaconych u Żyda, a bez kartki —

on leżał po oborach chory z połupaną czaszką od kijów.

Wyszedł, jako warjat.

Sąd przysądził mu 4,000 za ono pobicie i chorobę, nie miał kto ich pobrać — żona umarła z rozpaczy, synowie byli mali.

Gandara chodził po świecie, czasem bywał ponury i kłął.

— Wsy me żreją, katany i obucia nimam, a syćcy mi rozkazują: ino pracuj! Dość jo się napracował, a jescę pirwej byłem w wojsku—w Nietalii: w Peskierze i Werunii—w Milanie! mój pułk się nazywał Wilam Princ Preis fon Fridlik este regiment lunero cwancik! mój gienerał nazywał się Kostia Ziemania, jedno miał oko gdzie trza, a drugie tu: (pokazywał żuchwę).

W Nietalii syćkie panny chciały się za mię wydać — nie chciałem.

A i tu mówi do mnie ta, co w Kuźnicak: podobacie mi się, Gandaro!

Niechce was, boście głupia!

— Jakże tak można pannie ubliżać? pyta Zmierchoświt.

— No, toć jej tu niema, a że ona głupia, to je prawda! —

Wogóle Gandara nie był łaskaw dla kobiet.

W bajce o Adamie i Ewie mówił:

„jescę ta Jadomisko, jako Jadomisko, niezły chłopisko był, pracował ciężko — ale ta! tu machał pogardliwie ręką na tę, która wydobyła mysz z pod czapki mimo zakazu Boskiego i przez to sprowadziła tyle biedy na świat, ba, i Chrystusową mękę!

Gandara szanował nadzwyczajnie pracę przy ziemi.

Księżniczkę Wisznu chwalił, gdy widział ją pielącą ogród, mówił, że ojciec jej (Pan Oleśnicki) oślepnie od książek, ino ta go zdołe utrzymać!

Wogóle jednak kobiety niegodne były jąc się pracy przy ziemi — to nie dla bab!

Widząc, że Wieszcza Mara nie chowa świnek, nie karmi ich własnoręcznie, ogrodów i puszczy Turowego Rogu nie oddaje pod ziemniaczki — mawiał: kielo ta pani głupia!

Wpadał nieraz o zmierzchu straszny, z obłądnym wzrokiem i upominał się;

— Ka moje grunta? cemżeście mnie dali oszukać? co wyście za pany?! —

i wielką kosą, wziętą ze ściany, wywijał nad Wieszczką Marą.

Wśród zmierzchu ten warjat z kosą szalejący — i pani Mara nieruchoma na swej kanapie, cichymi słowy uspokajająca! obraz, jak wszystko najlepsze, nienamalowany!

Nachodziła go śmierć, kończyły mu puchły, czerwieniały — wpadłszy w śnieg, nie mógł się już sam wydobyc.

I tak opowiadał o tej utarczce swej ze straszną bezoką Mocą:

— Kazałem hadwokatowi, aby pisał o śmierć.

A ten pyta: gdzie jej zamieszkanie?

Jak ci dam w kark, to zaros będzies wiedzioł, gdzie je ona! —

I chichotał...

Mędrzec Zmierzchoświt zapewnił mu izbę dostatnią, gdzie miał codzien to, co tak lubił: mliczko i ciepło.

Wzgardził po tygodniu kątem.

— Co ja tam będę robił? babsko je stare, brzydkie. Takie to dziady!... —

Gandara był strojniś, wybredzał, nim co raczył przyjąć. Umiał do żywego wydrwić niefortunnego ofiarodawcę starych butów lub niewyborowych rękawic zimowych.

Chodziła po nim gawiedz, t. j. insekty swojskie, ale dusza jego była krynicą wielkiej mądrości, swobodnego tworzenia swego własnego, z głębin natury chłopskiej wydobytego światopoglądu.

Na św. Szczepan, w ostatni dzień umierającego roku, przyszedł do Wieszczyki Mary bardzo smutnej, która była sama. Pijąc nietalijskie, jak myślał, a właściwie Dalmatyńskie wino, tak się dziwnie rozwieszczęł, że mówić począł w natchnieniu ogromnym, zawierając całą mądrość chłopską w potężnych Ezechjelowych wizjach:

— Obłoki się otwierały, jako tu u was dźwirze do pokoja, do piątego razu odmykały się do nieba!

A wicie co to niebo?

Jak się niebo zamkło, upadł na ziem krzyz.

A ja podniosł ten krzyz, bo żaden nie kciał go dźwignąć.

Telo głupik wte było, co i dziś!

Krzyza to nie miał kto podnieść, to ja go wzion ten krzyz i podźwignon i poseł z krzyzem po świecie...

A kazdy na mnie do dziśka woła: tyś głupi! tyś głupi

Tak mnie wej wysło!...

A kieś ty mądry, cemuś ty nie wzion krzyza, nie wzion i nie poniós, tylkoś me do śmierci zabił? —

„Zje to mój las, zje to mój las, zje to moja ziemia!” —

A to nie twój las, nie twój las, ani nie mój las, ino Boski, i ta ziemiecka święta nie twoja, nie twoja, ani nie moja — ino Boska...

A jak się zamkły obłoki, to tak łupło!

A łańcuch leciał na ziem, a jak doleciał — to zgasnon, bo był tak, jakby z ognia...

— — —

A głupi nie wiedzieli, co to niebo wskazywało.

Jeden głupi krzycał: — Bedzie mór! — drugi głupi krzycał: — Bedzie wojna! — trzeci głupi krzycał: — Bedzie głód! A to niebo wskazywało skarby: lasy, ziemie, wody, sól.

Cicho! cicho ze bądźcie! Nie mówcie nic, coby was głupi nie słyseli! My tu dziś ino sami dwa mądrzy!

Słuchajcie, jako wam powiem: Śrybła, złota człowiekowi nie trza. Śrybło, złoto, to ino z dyjabła, to jest, dyabelska rzecz.

Pan Bóg dał człowiekowi sytko, sytko, co mu trza.

— — —

Słuchajcie ze, jako wam mówiem. Pan Bóg dał człowiekowi te ziem świętom.—W imie Ojca i Syna i Ducha świętego. Jamen. I ku temu dał Pan Bóg człowiekowi jeszcze lasy, wody, ziemie i sól — więcej nic nie trza. A ty cierp i pracuj!

A nie trza nigdy ślubować od wódki. Moi ostomiljoni! Pamiętajcie! Pamiętajcie! Wódka najpotrzebniejsza, bo to z Boskiego daru, ze ziemniaków.

A ściąga żołądek i śmiałości dodaje, ze i do śniega hipnies! A ognia dodaje, choćbys nic nie zarł... —

— — —

W kilka dni później zaziębił się na srogim mrozie, jadąc ku Nowemu Targu do sądu po swe majątności — po te syćkie hale w Tatrak... co je widzicie haw!

Siostra miłosierdzia w szpitalu gdy Gandarze powie-
działa, że to już jest *to*, Gandara rzekł: Kieło razy już o nią
pisałem!..—

Umarł Gandara, król przestworzy, w przedzieniu
Tomka biednego, Towarzysz Mędrca Zmierchoświta, który
był Królem Lirem Turowego Rogu.

Wszyscy byli Gandarze w życiu radzi i wszyscy byli
śmierci jego radzi.

Mędrzec Zmierchoświt, przynosząc wieść o jego zgo-
nie, śmiał się prawie radośnie, roniąc łzy.

— No, już się stało, droga pani! rzekł, już naszemu
Gandarze jest dobrze!.. —

W puszczy. Chodziła z Mędrcem Wieszcza Mara,
idąc ku puszczy. Spotkali tam lwa wspaniałego z grzywą
płową, który żył w jaskini z małym, nędznym kundysikiem.

Lew był zmęczony żarem, kładł się łapy wyciągał, mu-
chy go gryzły.

Obrzydliwa psina targał za uszy — gryzł, wrywał
mu kudły —

lew znosił to ze spokojem królewskim.

Kundys ten był nie do zniesienia, jakiś marny, nu-
dny—i co zmuszało lwa znosić takie towarzystwo?

Potrzeba kontrastu? potrzeba być wspaniałomyślnym?
czy też wprost — ten fiber serca, który szukał kogokol-
wiek, cośkolwiek? — —

— Jodły były tak rozłożyste w słonecznych srebrzeniach,
chmury płynęły tak dalekie od wszelkiej troski na swym
błękitnym morzu, że i w serca ludzi wpadała przez jakiś
otwór szturmem zdobyty — radość, jakby młody Apollo
z mieczem.

Wielkie, posępne skały mroczyły się, zwrócone od słońca, zapadłe w morze.

Straszny jęk dobywał się z nad fjordu.

To Otaria utraciła towarzysza!

Miesiące mijały — i to wielkie wspaniałe zwierzę, pokrewne fokom, nie odchodziło od brzegów, przepływało tylko fjord to tu, to tam —

szybka, jak syrena, goniąca okręt Odysseusza na morzu.

— Te zwierzęta są bardzo szczęśliwe, mówił Arjaman, wskazując na głazach rozwalone foki i lwy morskie: nurzają się w rozkoszy żywiołu Tetydy całym swym jestestwem i tak łatwo mogą zdobyć kontrapunkt radosnego, leniwego wypocznienia na skalistej wyspie!

A potem znów płynąć gromadnie, jak armja, po tych głębinach z niesłychaną szybkością, w dni kilka przenosić się ze stref polarnych w umiarkowane rejony! Iście Böcklinowski tryton! jakie Odysseuszowe najady!

— Tak, są szczęśliwi — jeśli mogą być szczęśliwi?! rzekła Wieszcza, dygocąc całym ciałem na rozpaczny głos biednej Otarji, która samotna, niedopuszczająca nikogo w pobliże, wyła przerażająco! milkła tylko, zanurzając się na krótko w ciemną toń.

Przypisek kronikarza piekielnego. Te wzruszające — hm, hm, opowiadania mogą iść zaiste w zestawienie tylko z kwiateczkami świętego Franciszka... także bredy! nie razi nas to, że lew znalazł się w Tatrach — akurat w czasie, gdy z mrozu Gandara dostał zapalenia płuc, bo jeśli tyle mułów upasa się na krytyckich prerjach różnych stolic, o każdej porze dnia, nocy, roku i stulecia — to czemuż nie miałyby się znaleźć i jeden Felis Leo w Tatrach — zimą?.. Więc nie to razi nas, ale skąd wjeżdżamy znowu w jakiś

elegijny nastrój? skąd ja do tego przychodzę, żebym się miał zajmować cenzorowaniem tych skryptów o bekowisku fok, o wszach Gandary i Rzymusach, które piekła kucharka swemu strażakowi? to ma jakiś zaraźliwy nastrój gromnic i Wielkiego Piątku, Biblii dla ubogich duchem w Milwaukee lub Massachusetts i ostatnich — tamże chrześcijan! Myśleliśmy, że po rozmowie Arjamana z Magiem Litworem o Krisznie—i w kronikach Turowego Rogu zapanuje chłodne, tęgie powietrze, ale nic z tego! na wszystkich Polakach widać, że jest to „nacja przetrącona!”—jak mówi pan Zimorodek.

Koniec przypisku.

Pogrzeb. Nikt nie mógł być na pogrzebie Gandary, jedni byli sami zbyt chorzy, inni za obojętni.

Wieszczka Mara, zapłakując się dniami całymi nie za Gandarą, ale z powodu faktu śmierci, z którą nigdy pogodzić się nie mogła, prosiła Arjamana, żeby ten był na pogrzebie od Turowego Rogu, zanim wróci do swej chaty.

Wybór padł źle.

Dla Arjamana nie było ze strony Gandary śmierci, poprostu zabrakło go, jak jednego z ptaków, albo obłoka na niebie, albo przeminionego dnia.

Śmierć mogła się zjawić przed Arjamanem tylko jako otchłań w jego własnym sercu. Lecz serce jego całe było już otchłaniają.

I teraz Niniwę niechby ziemia pochłonęła, on ze swymi ukochanymi mógłby trwać w stanie tego badacza meteorologii na szczycie góry Dant, który zapisuje stan psychiczny atmosfery ludzkiej: Zeus + 40, burza od Archipelagu Księżniczki Wisznu, Chrystus — 12, sucho, obłoki Cirrusowe sceptycyzmu. — Arjaman nie mógł darować Wieszczce

Marze tych łez wylanych napróżno, tej boleści, która nikogo widzieć nie chciała, tylko przed Mędrcelem występuje z twarzą wesołą, by jemu nie powiększać smutku.

Czyżby zaś Mędrzec cierpiał z powodu, że W. Mara cierpi?

gdyby Mędrzec Gandara widział te żale nad tym, co już nie istnieje, czy nie powiedziałby znowu: Kielo ta Pani głupia?

Gandara jest lub go niema —

a słońce jednako potoczyło się kulą rubinową za kurhan Osobitej i pójdzie zajrzeć w twarze obłąkane tych setek rysięcy, które giną tam — pod murami obłązonego Portu Artura; jednako śnieg cudowną, mocną pokrywą oszrężył bezmiary śnieżne, po których leciał na nartach Arjaman.

Nie znaczyło to, żeby on był wesoły, nie:

ujrzał przy mogile Gandary ohydnie zjedzoną przez raka twarz jego córki, czarownicy, w której czarach był rozkochany. A że nie mowa tu o czarach fizycznych, to się rozumie, lecz o zamawianiu na ciężkie smutki, którego to zamawiania używał niedawno Arjaman, śmigając od granic Kaukazu aż po Altaj i szukając duszy świata w barakach umierających—i na polach, gdzie skłębiały się masy ciał od pękających granatów.

Czy użył tego zamawiania z powodzeniem na własną duszę? z większym jednak, niż na swego raka w twarzy biedna Łukascykówna! bo przyniósł moc dzikiej tężyzny.

I był jeszcze tam na tym cmentarzu obmarzłym zachlipły z nosem czerwonym karzeł Jaś, syn już podstarzały Gandary...

Takie się to obrodziło szpetne potomstwo temu, którego upragnęły syćkie panny w Nietalii i nawet ta z Kuźnic, ino bez to że głupia, to jej nie wziął!...

Tak, jest Polip, który ssie duszę świata:

obrzydłe Przeznaczenie ze skośnemi oczyma handlarza ludzkim towarem, z rurką zamiast nosa, z gębą ukrytą między strasznemi ramionami...

I jakże to nazwać — ten Absolut, tak niepodobny do ciszy lodowców Getego, do piorunowej na cherubimach toczącej się chmury Mojżeszowego Boga?... Czerwony śmiech — Czarne Maski — Bezdno — jak nazywali autorowie rosyjscy? Karma, jak mówią teozofowie? Czy też „Cosik“, jak nazywała Wieszcza Mara?

Z pól śmiertelnych Mandżuryi wyniósł Arjaman życiową wolę walki z tym Przeznaczeniem.

Nie pozwolić, aby od szachrajstwa różnych „Bezobraznych“ panów zależały losy kroci tysięcy tego boru ludzkiego.

On czuł się witeziem, który nie żądał już niczego dla siebie.

Nad grobem Gandary rzucił Arjaman kilka jedlin do jamy, rozmyślając, jak innych witeziów w Tatrach przejmie tą samą mocą, jak też Zolimę postawi na straży Tatr, wiedząc, iż bez niej stanie się tu coś potwornego, jakiś drugi Bezobrazów z jakimś nowym Abazą wywołają wielką niepowetowaną narodową klęskę.

Słońce, wracające krwawo do swej kuźni, przypomniało mu północne sagi o rycerzach-bogach prastarej Eddy — i o tej kuźni, która jest pod Ornakiem.

Przy kolacyi u Wieszczy Mary spotkał księcia Huberta, który mając pewne względy dla Arjamana, chciał koniecznie jednak uczynić go człowiekiem arrivé.

Gniewało go to, iż Arjaman mogąc zdobyć Zolimę, trawi się tajemną męką, zagłuszając ją (tak sądził książę) różnemi metafizycznemi Donkiszoterjami.

Jego melancholja nie umie spojrzeć na życie, które jest warte dobrego śmiechu.

Melancholja Hamleta była tylko kolorem głębin. Ale na wybrzeżach swych on pienił się srebrem, szalał setkiem tęczowych katarakt.

I to miejsce dramatu:

„Być, czy nie być? —

Przez intuicyjnego aktora powinno być mówione podczas rwania krasnych goździków przy oczekiwaniu niespokojnym, kiedy na zegarze zamkowym wybije północ.

Wtedy rozpocznie się najcudowniejsze misterjum, jedyna najświętsza msza—obcowanie z własną jaźnią, przybierającą kształt zewnętrzny Ducha starego Ojca.

Potem zaś nad ranem, kiedy Poloniusz pójdzie na nabożeństwo do kaplicy i na grę kostkową w kurdygardzie, Ofelja idąc przez chór kościelny, w jednej z nisz uczuje rękę Hamleta, który obejmie ją w pół i wprowadzi do miłości, lub jak chcą inni — do porubstwa! —

Wieszczka Mara, zboląła pogrzebem Gandary, czuła zamieranie serca; lecz zażywszy walidolu, prędko ją przychodzić do stanu normalnego pogodnej mądrości.

Lecz niestety, nazwa tego lekarstwa przypomniała ks. Hubertowi sułtanekę Walidę z czasów rozbioru Polski i popędził on myślą do tych zacnych krajów, gdzieby wolno było porwać ukochane do haremu —

i przez cudne arabeskowe okna mówić z niemi na tarasie, podsuwając im figi smyrneńskie, rachatłakum, wino Lacrymae Christi i to lepsze jeszcze Lacrymae Veneris z wyspy Cypru...

Ach, obnażyłby ją, taką wysoką, gibką, cudną kobietę o włosach krucznych, z oczyma szafirowymi —

i nie byłoby wtedy mowy, żeby panny miały ślepotę

kurzą, nabytą z książek ekonomicznych i nie wiedziały, kim jest Baron de Mangro, handlarz ludzkim towarem, a kim ten, który stoi sam, walcząc ze swym Losem.

Porwać należy!

tak — już nie pieśnią, lecz zbrojnym napadem, tylko zamiast w kilkunastu draba — zjawić się samemu jedynym!

Już nie śmiesznym pieśniarzem, lecz Templarjuszowym Bafometem — głową mądrego mężczyzny brodatego, na czterech łapach zwierzęcia.

Arjaman próbował umitygować księcia, lecz ten rozgrzany winem, okazywał się istnym awanturnikiem z XVI, lub XVII wieku, jakimś Kortezem lub Pizarrem, jakimś panem Lisowskim czy Radziejowskim.

Czem dla takich panów były świątynie Peru, czem kolumna Memnona, zasłuchanego w wieczność?

Żwierciadło jaźni tacy powieszają sobie w swej sypialni, gdzie odwiedza ich tabun kobiet.

Mądrość ich—to nowa alchemia, aby według swej anarchistycznej woli sproszkować świat, a potem z niego utworzyć wesoły kulig.

Książę Hubert nie znosił cierpienia i chciał je zewsząd exulować.

Na Turów Róg patrzył on jako na jeden z nieopisanych jeszcze przez Dantyszka zakamarów piekła, gdzie nad czeluściami, żarzącymi się od lawy, księżniczki Zolima i Wisznu pieką, jak uśmiech dziewicy, miłe ciasteczka;

Wieszczka Mara, wisząc na krzyżu, wszakże zaprasza, aby jeść wyborne ukraińskie konserwy z berberysu, a do miski dodać śmietany. (Wspaniała Złota poganka, pokutująca w tej wychrzczonej, niestety, Duszy)!

Mędrzec Zmierchoświt uzbrojony młotem Thora burzy

cały ustrój społeczny, a nagim i przygniecionym ruinami ofiarowuje kwiatuszki z jeziora świętych;

Mag Litwor niechże z Indyi wydobędzie Kama Sutrę, sztukę miłości, a da spokój wszelkim Ofiarniczym Mostom ku nieistniejącej Krajinie!

Kiedy Wieszcza Mara wyrzekła, iż dla niej smutek jest tym dławem, bez którego już nie może się wyrzeźbić dusza — ks. Hubert aż się wzdrygnął.

Dla księcia była to stęchła zatoka, on sam rwał się na Ocean dziko szalejący, po którym dopłynie w końcu do krainy pełnej najcudniejszych kobiet kapłanek, drzew chlebowych i mądrych mitów, zaklętych w rzezanym kamieniu przy świątyniach Oceanicznego Djabła.

Książę mówił te i tym podobne baliwernje, obmyślając jednocześnie zagarnięcie zamku Muzaferida w Tatrach i odrodzenie całej Polski z wielkiego źródła Nietscheanizmu.

Wtem Wieszcza Mara wstała, długo nie wracając, ks. Hubert też zabrał się i poszedł.

Zamyślony Arjaman patrzył przez okno. Ujrzał naraz Wieszczkę Marę, która szła z swą śnieżną głową, czarno ubrana, wśród mrocznych drzew, brnąc w śniegu i płacząc.

— Kieło ta Pani głupia! —

Żałobnice. Częstemi gośćmi były w chacie dwie żałobnie ubrane wdowy. Jedna ze Żmudzi — rumiana, z naiwnym wyrazem twarzy włościanki, lecz z niepożytą siłą duszy, jaka się trafia tylko wyjątkowo. Paśla krowy do 14-go roku, potem los jej pozwolił się uczyć i w osiemnastym roku zdała już egzamina z gimnazjum, nauczywszy się zupełnie jej obcych języków: polskiego i rosyjskiego. Po-

jechała zagranicę do Szwajcarii na uniwersytet, chcąc następnie zarabiać na młodego literata litewskiego, w którym się zakochała, a który miał suchoty.

I byli razem w Szwajcarii.

Nędza, niejadanie całymi tygodniami — uczyniła stan literata beznadziejnym. Kiedy żona jego posiadała patent i przyjechała w Tatry zarobkować, i kiedy mogła dać ukochanemu człowiekowi wszystkie wygody — on już kończył ledwo zaczęte bezlitośnie twarde, smutne życie. Podobno wszyscy litwini z ludu, idący ku nauce, dostają tuberkuł z powodu nędzy!

Wielka wspaniała głowa poety z uśmiechem sardonycznym, leżąc na poduszce trumny, zdała się spoglądać wzrokiem zakamieniałej boleści w tę — która klęczała na śniegu cmentarnym, złożywszy ręce, z wyrazem chłopskiego tępego bólu, który pyta Boga pierwszy raz w życiu — i ostatni:

— Czemuś mię tak pokrzywdził?

A może — Ciebie niema? —

I to straszne dla dusz głęboko pierwotnych zapytanie wyłoniło się też, jako najwyższa waga życia przed tą drugą wdową.

Jej oczy nierozświetlne, postać zdająca się być tylko w czarny jedwab zamkniętą chmurą, jej wyraz przedelikaconej mimozy pytał o to samo.

Weszły one do chaty Wieszczyki Mary, zapytując prawie na progu, czy jest Bóg!

Wieszczyka Mara naraz uwierzyła, naraz wyciągnęła rękoma po tę władzę, którą miała lub zdawało się jej, iż miała ukrytą w misterjach duszy na straszną potrzebę.

Potwierdziła, że Bóg jest — i dusze są — i ci dwaj skrzydlaci rewolucjoniści — tam są.

Lecz obie wdowy zaczęły zaprzeczać.

Mąż żmudzinki był niewierzącym socjaldemokratą i melancholikiem. Dopiero przed samą śmiercią miał wizję słonecznej żmudzkiej ziemi wśród lasu — i było tak szczęśliwie — tak oddychało się pełną piersią — tam był Bóg!...

Lecz mąż drugiej wdowy, bogacz, proletarijczyk, człowiek zdumiewająco zdolny, umierał w spokoju filozofa, mówiąc, iż nie chce księdza — i nie mógł przypuścić nawet na chwilę takiej niedorzeczności, jak życie pośmiertne! Żona, która mu towarzyszyła aż do końca w niewierze, zostawszy sama wśród pustych ścian — zaczęła wywoływać jego ducha, słyszała w muzyce swojej tęsknej na fortepianie jego głos za sobą, widziała go w snach, widziała na jawie z otwartymi oczyma, przestała kochać nawet jedyne synka — i szła za duchem, gasnąc, niknąc...

Nocami te dwie wdowy tworzyły seanse, miały widzenia, odpowiedzi duchów.

Więc przyszły wreszcie do Chaty, czując, iż umysł im się mięsza, i prosząc tylko o jasne, proste zapewnienie, iż Boga niema.

I wieszczka Mara (kobieta!) uczuła naraz, że Bóg jest!

Zaczęła dawać Go im w płaczu i w wysłuchaniu dziwnego ich życia — i w zapomnieniu, iż sama dla siebie doszła do strasznych pewników!...

Żmudzinka była zawsze milcząca, ta druga zaś mówiła tak, jak śpiewają łabędzie — pieśń przedśmiertną.

Krwawej piękności wspomnienia!... w więzieniach Petersburskich, w tych szalenie odważnych drukowaniach na maszynie, szukanej przez całą policję miasta, przez żandar mów, — właśnie, kiedy ruch wydawał się zdławiony —

ta wówczas szczęśliwa kobieta, a zawsze nikła mimo-
za, drukowała płomienie, rozrzucała je po mieście —

i jeszcze przychodziła do władz, ujmując się za więź-
niami, grożąc sądem za bicie i wyrzucanie za drzwi kobiet
z prośbami.

Jej brat jest na Sybirze! Raz już uciekł i schronił się
zagranicę, lecz wrócił, wiedząc, iż go szukają, bo musiał
i chciał należeć do Rewolucji.

W dzień przyjazdu aresztował go agent ochrony —
przesiedział rok w więzieniu — i chorego z nadpękniętymi
do szaleństwa nerwami wysłano na osiem lat katorgi.

— Więc tak prosto, pytając Drogą Panią i nie mę-
cząc już naszymi opowieściami, czy jest Bóg? —

Poszła na spowiedź do księdza:

potępił rewolucję, potępił też wywoływanie duchów,
ale kiedy zaczął mówić o Bogu —

to mówił tylko o którymś paragrafie katolickiego Sw-
da zakonow. —

Późno w noc przeciągały się rozmowy tych trzech wdów
ze sobą.

Wieszczka Mara. W górach mrocznych Bolesci żyje
Wieszczka Mara;

w górach osłonionych od świata senną żaluzją chmur-
nego milczenia;

w tych górach nieznanach, jak były nieznanne przez lat
tysiące góry Nieba, z których wypływa Nil, jezioro Njanza
i Wielka Zambezi;

w tych górach smutniejszych, niż lawy księżyca...

w tych górach osamotnionych, jak ponury wulkan Tristan da Kunja, otoczony morzem i z Antarktyku płynącemi górami lodu;

w tych górach przeczuwalnych i wyliczanych w przybliżeniu, jak dziewiąta planeta Neptun, nim ją odkrył potężny teleskop Astronoma;

w tych górach ubłogosławionych, jak Góra Czaszek, kiedy spełniła się na niej ofiara Miłości;

w tych górach, osypanych zwałem wszystkich polskich trumien, jakie były od czasów Króla Popieła;

w tych górach mądrości nieprzewyższonej, dobroci zawsze zawiedzionej — Zniczów nigdy niegasnących, przyświecania lampą wieczną serca nad kaźniami więzień i zesłańcami wśród głuchej mroźnej Nocy syberyjskiej:

tam żyjesz Ty, Wieszczo Maro, najdziwniejsza w Trójkącie Magicznym, Wielki Brahma kobiety —

wiedząca jak —

i wiedząca, gdzie są wysokie Golgoty dla Twych oczu, szukających w mroku niepohamowanym, krzyczącym wśród grobów zamurowanych — bez echa!

Tu — w Twoim królestwie Niemocy Gwiazdzistej ogrodziłaś dla dobrych i zaiste dziwnych ludzi w Polsce Turów Róg —

i tu dzieją się cuda wielkie, nigdy nikany nie mające podobnych sobie!

Tu po Tatrzańskich puszczech skaczą małpki, które gdzieś ze Surabaji i Jawy wieziono i zbiegły — — i te powabne zwierzątka wieszają się nad melancholją olbrzymich smreków, żywiąc się leśnymi jabłkami lub orzechami leszczynowymi, gdy pogonią aż na węgierską krainę...

W tym zwierzyńcu, lub jak pieśniarz żydowski powie-

dział — w tym Zwierzeniu, istnieją również twory, które wyobrażnia ślepego Sabaly wyznawała, jako własność mitycznego pana Ofa:

w potoku płyną wielgoryby i turlają się na trawie; wszystkie zwierzęta praojca Adama żyją tu na powierzchni łądu lub w głębinach morza, w podziemnych aż na Oceany amerykańskie wychodzących labiryntach Kościeliskiej i Białskich Tatr.

Tu Wieszcza Mara ugaszcza niezliczonych magnatów ducha, wędrujących z całej Polski, zarówno jak chłopów siermiężnych i gazdów: latem nad zielonym dywanem, usianym w przepych modrych gencjan, wiosną—nad łąkami zaśnieżonych fioletowych krokusów... Wita radością i sadza na tronach kamiennych z doliny Chochołowskiej Wiecznych Wędrowców, którzy schronili się tu, nim wstąpią w Dolinę Śmierci!

Inni, nie znając nawet Wieszczy Mary, przychodzą w nocy wyjącej bez rozelsnień błyskawicowych, stukają do drzwi chaty w ciemnym nieprzebytym lesie —

i tu w dali za tłumem ohydnej publiki czują się wykopanymi z zimnych duszących mgieł życiowej głupoty.

Tu przychodzą i Witezie z gwiazdą Potęgi Myślicielstwa Polskiego; starcy kapłani dobrodusznie wierzący w „Papiża”; dziewczęta, mające iść rzucić bombę, komuniści, lepiący nieudolnie i niedźwiedziowato swe zbawcze falanstery; tu orli człowiek, biały Tytan, będąc lekarzem swego narodu, wie dzie go, jak Mojżesz w Tatrzy!

Tu historycy, przesubtelnieni w wątpliwościach, rozmawiają z założycielami klasztorów; tu powieściopisarze, ogarniający bezkresne fantastyczne stepy Ukrainy dawnej i mający tę niepożytą zasługę przed narodem, że przyszli z animuszem rycerskim wtedy, gdy naród po powstaniu

był, jak chory człowiek ze szpitala, storturowany, nie wierzący w swą siłę!

Tu geologowie z młotem w ręku rozbijający Mrok tajni Pratastr—i jak zwykle w Polsce, domierający głodem—i suchotami... Staszice młodzi!..

Tu przychodzą spowiadać się ewangeliczni ludzie i natury drapieżne, władcze, nieprzebaczące nigdy zadraśnięcia na herbowych bramach swej skały Pysznej serca; i nade wszystko starzy gazdowie, jak wiekowy ogromny Zych, który rzucał się całym swym ogromnym wzrostem na podłogę i modlił się głośno do swego Boga, w odmiennym z czasów Zbójników i prawie z przed Chrześcijaństwa pa-cierzu.

Tu przychodziły Wiedźmy Czarownice, umiejące od-czyniać uroki, lub rzucać je w formie złowrogich hymnów;—tu dziewczątka góralskie skamlały do zbójnickich opowiadań.

Tu wreszcie do okna przylatał nigdy w Zakopanem niewidziany ptak: Mentyl Pomurnik, tłukł się w okna, krążył swym motylim lotem, wirując dokoła siebie, jakby radował się tą pustelnią świętszą, bezpieczniejszą, niż wysokie nieprzystępne turnie!

Tu nade wszystko przychodził z głębokich, zapadłych Tatrzańskich jezior Mędrzec, kapłan i w jednej osobie bóg żmujdzki, stawiający świątynie, lub też piorunem bijący w Bagno ludzkie, lęgnące się za Turowym Rogiem!.. Ściany belkowań tej chaty uginają się pod nieopisaną boleścią wszystkich spraw Polski, wszystkich duchów, które nocami ciemnymi zaglądały do wnętrza i zastając gorączkowy obłędu bliski wzrok Wyczekiwania — nie śmiały wejść z krużami pełnymi łez narodu, z łachmanami nieurzeczywistnień po strasznych, gorszych niż Maciejowickie, bitwy: zadeptywaniach Ognia!.. plwaniu w dar Wieczności!..

Wszystkie chóry zakonnic i świętych oplotły litańją duszę Wieszczy Mary:

Krystyna zwana Dziwną, kryła się w przereślach, wdrapowała się na szczyty wież i na wirchy gór, w zagęstwia wysokich drzew przed obmierzłym zapachem ludzkiego jestestwa;

Aniela z Foligno, która się radowała, że umarł jej mąż i synowie, bo nic już nie przeszkodzi jej oddać się w pełni Bogu;

Katarzyna ze Sieny pisywała traktaty do papieży i monarchów, umierając w wieku lat trzydziestu;

Jan XXII — Papieżycą, zdumiewała mądrością, kając przed wyznawcami Islamu w grodach Małej Azji —

a niemniej duszę Wieszczy Mary tworzył i straszny Ataman Wychowski, którego pogrobowczynią jest ona; nie rozstaje się też nigdy z cudownym obrazem na kiparysowej desce, w barwach poematu Beniowskiego o świętej Rodzinie; ten obraz wisiał w namiocie zuchwałego hetmana Zaporozża, grożącego nawet swej Macierzy — Polskiej Rzeczypospolitej!

Pogrobowczyni tego straszego człowieka towarzyszy na Sybir Ojcu; w trudach zesłania na młodość jej padają krwawe zorze Anhellego. —

Kronikarz Turowego Rogu spędzał noce długie, zwane żartobliwie Wsienoszczami, jak są po cerkwiach całonocne nabożeństwa, —

i słuchał epickich opowiadań tej Wieszczy, która powinna mieć koło rycerskie z obrazów Mistrza Matejki.

Ze swymi śnieżnymi warkoczami włosów, ubrana czarno, robi jednak wrażenie posągu ze złota, który się utworzył z inkrustacji mrocznego strumienia,

płynącego z piekieł polskiej męki. Wydaje się swa-

stiką tajemniczą, a żywą, która leży na grobie Targowicy—
i Cecory.

Wszystkie bóle wsiąkły w jej pierś, jakby w ziemię
żyzną wiosenną, lecz nie mogącą wydać innego ziarna, niż
ciche słowa—i nie mającą innego żniwa, nad wielkie Mil-
czenie.

Idzie zgięta pod naręczem drzewa wonnego na ten
Znicz, z którego zacna publiczność będzie kiedyś wybierać
węgle do samowara narodowego! lub jeszcze gorzej: gdyż
w Polsce wszystko oddadzą trzodzie chlewnej i bezczelnym!

Nie pojmie nikt myśli Kronikarza Turowego Rogu,
który za to, iż odczuł żywą piękność Polski—maluje Wieszc-
zkę Marę, jakby królowę Sabę w domu obłąkanych; bo
według miary rozsądnych tryumwirów—Ona te niezmierne
skarby swoje na wodach cichych przed wschodami z olbrzy-
mich granitów rozsiewa w głębinach, z których nie znur-
kuje nikt nigdy nikany niczego.

Jest to jakby na szaleńczym i nieistniejącym obrazie
Quentyn Massysa lub malarza Koronacji N. Marji Panny —
heretycka święta, która nalewa w kielich trucizny, aby
ją wypić, nie chcąc obarczyć Boga tym strasznym wyrzu-
tem, że wszystko tak jest, jak być musi, i że łamią się wir-
chy serc w ciśnieniu potwornego Oceanu Nicości.

Dusza Wieszczyki Mary zakwitła, jakby ogród bujny
strzelistych Eukalyptusów, uzdrawiających okolicę od mę-
remmy!

(ogród zapadający aż w groty Ornaku — —)

Natomiast zaś tysiącletnie jabłonie rozkwitają deszczem
kwiecia nad twarzami Xieźniczek Morza i Tatr, nad Wisznu
i nad Azudem, gdyż tak Arjaman nazywa Zolimę, nie chcąc
wymówić wprost Meduza! najbardziej zaś nad Mędrce

z jezior Tatrzańskich, który jak Orzeł ukryć chce ostatnią godzinę swoją...

Ty ścieżyny czynisz w górach wszystkim dalom Chrystusowym i Dionizyjskim misterjom życia!

Ty, Gromownica, strącasz głązy budowne z wielkich przeznaczeń ku Polsce!

Ty, wieszczko zakrytych bram Ornaku!

Ty, najbiedniejsza z tych, którzy rozdali swe królestwa, Ty, płomienna siostró zmartwychwstać niemogącego Polskiego Łazarza—wyczekująca i biegnąca wciąż na spotkanie Pana!

Ty, nie mieszcząca się już w Turowym Rogu, lecz idąca wciąż dalej..

Wciąż potworniej opuszczona, z dziwną Apokaliptyczną literą Człowieczo-boskości na swym sercu, idziesz—aż tam, gdzie, jak Ty osamotniony, czeka Cię kurhan przy ujściu Leny do Lodowatego Oceanu — tam, gdzie nie był jeszcze nikt, chyba skrzydlaty duch Eloi!

Na gędziolkach grał, idąc przez Krokusową łąkę, stary ślepiec Sabała—Homer tych miejsc.

Pani Mara, stojąc wśród wschodzącego brzasku, przyzywała starca ręką, lecz on nie widział — i zresztą choć od dziesiątków lat znał, nigdy jej nie widział i zawsze się dopytywał: jak wyglądacie?—gdyż był niewidomy.

Raz już konał na jej rękę; a nie chciał Xiędz szambelan odwiedzić z Panem Bogiem starego zbójnika, zły, iż starzec mówił kiedyś: Kie bede mówił niezadługo z samym gazdo—nie trza mi pachołka“! Ale teraz tak wyczekiwał, tak wyglądał, tak prosił Xiędza Jegomości...

Xiądz się zaciął, udawał, że się zbiera... dość niepilno!
zaiste!

Wreszcie Sabala nagle porwał się ku słońcu, — i jał biedz—jakby skrzydła miał, a ptakiem był... Biegł wciąż, oczy ślepe zwracając ku słońcu, w które zawsze już patrzył żrenicą nieprzymkniętą.

I przesłoneczniony wszedł do Turowego Rogu, gdzie wodą życia napojony przechadzał się, nie czując brzemienia grobu, niepoddany złym urokom Wiedźmy Kostuchy.

A w ogrodach Turowego Rogu wśród jodeł drzemały przedpotopowe jednorożce, krzyczały w puszczech pawie, iguanodonty, wielkie jak kościół w Zakopanem, pożerały trawę i drzewa.

I ów straszny w mrokach morza, kryjący się nawet przed blaskiem gwiazd, potwór Kainotherium!

Wielkie cudne gaje wrzosów, jak gigantyczne kandelabry, fosforyzowały kielichami swych kwiatów...

Coby dał teraz Arjaman, żeby naraz wszystko się odmieniło—i on szedł tak z Xsiężniczką Azudem po tych nieobjętych myślami Górach — i mógł przemyśleć ten cięższy od łańcuchów, na których wiszą Gwiazdy — rachunek życia nowego, które rozpoczyna się z rąk Maga Litwora — polskiego Zarathustry!..

Przypisek kronikarza piekielnego. Heureka! znalazłem... wiem teraz dlaczego muszę takie tortury przechodzić, słuchając tych niekończących się litańji uwielbień... Oto jak na palimpseście jest kilka pism — jedno na drugim — tak w Nietocie kilka osób, w różnych epokach, bez porządku chronologii, ani wypadków, zapisywało swe Mementa... Kto pisze naiwne franciszkańskie opowiadki, kto suchym tonem

chronografa? nie wiem. Małe uwypuklenia sytuacji, jak tam, gdzie będzie mowa o Fauście i Małgosi, będą mego skromnego pędzla. Lecz wiem, iż tam, gdzie się zjawia, jak kościół w Zakopanem wielkie iguanodonty i gdzie krzyczą w puszczech pawie—a panna Zolima staje się objektem tropikalnego upału—tam, jeśli nie wprost pisał, to cyklonami fosforycznymi myślenia swego wywiewał wszelki zdrowy sens nie kto inny, jeno p. Arjaman. Ważniejsza, kto napisał, lub choćby wymyślił hymn na cześć Wieszczyki Mary? cóż to za święta in partibus infidelium? wszakże Mara w Indjach oznacza djabła... czyżby to nie był kto z naszych? tedy bym ją nazwał—Précieuse!

I ja jestem patrijota polski—lecz chcę widzieć djabłów w Polsce takich, jak Stadnicki, jak sławny Samuel, jak Nietzsche!.. jak Bonaparte, jak Stieńka Razin, jak generał Nogi, jak Żelazny Kanclerz!

Obrzydliście mi, kiepska polska narodowości obecna!

Turów Róg nie zbawił Cię, niechby Cię choć piekło uwierzytelniło!

Ja tu za ludzi interesujących Nas uważam tylko Zolimę, księcia Huberta—no i jeśli się okaże podejrzenie me słusznem, owego Mara...

Ale, niestety, muszę zostawić rzeczy ich naturalnemu rozwojowi, i dalidjasek — wytrzymać jeszcze będę musiał całą pielgrzymkę odpustową po Turowym Rogu!

Ale co później, to już moje!

Wtedy się trzymajcie!

Chór djabłów w kominie:

— Bo słuchajmy i zważmy to w sobie,
że wedle Czarciego rozkazu,
kto nie kochał się nigdy w djablicy —
ten nie był Djabłem—ni razu!

To! Jedyna istność, przed którą korzyła się Wieszcza Mara, była Śmierć.

Nie zgadzała się na nią nigdy, choć była przy tyłu konających.

Nienawidziła jej za tę potworną pustynię, jaką ta Królowa Prerażeń szerzyła, sama gnieźdząc się wśród gór boleści najprzeróżliwszych, wśród otchłani łoż nigdy nie wymarłych.

Jeśli władczynią Turowego Rogu żyjącego była Wieszcza Mara —

rzędzicielką tych nieprzeliczonych rzesz, tych co nigdy nie wracają, tych co odeszli w krainę Duchów lub Nicości —

była Śmierć.

Jak dwie siostry, walczące ze sobą—ta miłością i swastiką, tamta milczeniem, lub rechotem przedzgonnym w akompanjament dzwonów...

Mówiliśmy o pójściu w krainę duchów lub Nicości.

To łatwe gramatyczne związanie powyższego zdania przez lub —

jest właściwie największym kontrastem, jaki stworzyć można!

Śmierć — Muza, chłodząca skronie bohaterom wśród pól Elizejskich; rozwierająca bramy Nieba i Piekieł Danteskich; śmierć — Walkirja, potrząsająca włócznią piorunową przed zastępami w Walhalli; śmierć, która staje za Konradem, kiedy on bluźni przeciw Bogu; śmierć, która prowadzi wielkie legjony astralne po niezmiernych pustyniach wszechświata z pochodnią, co rozsiewa sercom mędrców blask: Scio ut credam!

— — — Śmierć, z którą umawia się Chrystus, kiedy idzie przed jaskinię z martwych wznieść Łazarza—ta śmierć nie jest straszną!

Owszem, każdemu śpieszy się przepłynąć przez taki Kocyt, wstąpić na taki wirch Anafielasu!

Ale my wiemy już napewno, że śmierć jest inna: Ogromne, prawie aż pocziwe, Nic!

Rozwiązanie zadania żyjącego w formie Rzeczypospolitej z kilkudziesięciu milionów komórek w organizmie ludzkim...

Nie daje o tem pojęcia, ani zgaszenie lampy, ani opadnięcie liścia.

Jest to zniknięcie tego, który dzień temu, chwilę temu był Absolutem:

dzięki któremu Ocean był Oceanem, Bóg Bogiem, Miłość Miłością, rozwarcie kolan kobiety ukochanej — szczęściem!...

Bez niego nie istniał Byt.

W nim wiązało się, jakby w zworniku, gotyckie sklepienie świata. Śmierć uczyniła zaś z tego cudownego rąbka — zupełny absurd.

Turów Róg takiej śmierci nie uznawał.

Śmierć w Turowym Rogu miała swój zakon i swoją świątynię o trzech kondygnacjach.

Wchodziło się do niej, jak do kościoła w Assyżu: najpierw ciemne nawy z niskimi sklepieniami, tysiące witrażowych lśnień promieniowało na freskach Syna Cieniów, symbole starego Zakonu przed zjawieniem się Mickiewicza — i On — On widzący kres tych katorg sybirskich...

W tym kościele zawsze musiała zwyciężać Moc duszy,

prawda polskiego serca i umysłu. Tu był duch Archanioła, kreślący Polskę: In hoc signo — vinces!

W kościele górnym były jasne zielonawe barwy życia Tatrzańskie, na freskach cuda świętego Zmierzchoświta, jego życie wniebowzięte; księżniczka Wisznu i jej brat, dalej oddzielna kaplica dla przekornego i z różkami, lecz nie mniej najukochańszego fetysza — Zolimy!

W kościele podziemnym trzecim — w krypcie ponurej odbywała się Wieczna Msza, u wejścia stał tam posąg świętych Franciszka i Klary.

Wieczna Msza mówiła wśród bezmiarów głosem tych, dla których wszystkie gwiazdy zmieniły się w dwa płomienie serca... oddzielone otchłanią.

I był tam jakiś tak bezbrzeżny czarny ból, jak w grobie Chrystusa, kiedy nad nim legł Rozpaczny, Tryumfujący Mrok.

Tak, w Turowym Rogu były katakumby, były krypty, od których wiał zimny, przerażający chłód.

Wieszczka Mara w dni pewne przeżywała swe Zaduszki, w których nie widział jej nikt — po których postrzegano tylko jej bladą twarz, jakby krew ze serca wyssał jej Wampir. — — —

Arjaman jednak pod wpływem wieczności Tatr i w kontraście do smutku Wieszczki Mary, odzyskiwał swój dawny inny pogląd na śmierć.

Była dla niego tajemnicą, za tymi zaś potwornymi mrokami wierzył, że jest Najwyższy Sens.

Ten Lohengrin i Faust w jednej osobie, wypijając życie całą mocą swej wyobraźni, najwyższe światło chował sobie za ten wirch, którym się kończył życia padół.

Nawet spotkanie z Mędrce Zmierzchoświtem zmusiło

Arjamana tylko do zrozumienia najwyższej wagi tego co jest, albowiem w tej formie za chwilę będzie już niepowrotne.

To co umarło — umarło na milion wieczności i nie wróci tak, jak nie wrócą wielkie ptaki Moa na Nowej Zelandji!

Przeminęło — oto co stanowi tajemny logarytm duży Zmierchoświta.

Istnieje stokroć wyżej, w formie nieujętej dla pięciu zmysłów — wyrastało Arjamanowi z każdego źdźbła.

Gdyż spotkanie z Magiem Litworem, niewątpliwa rzeczywistość mocy proroczej i potęg telepatycznych zmusiła Arjamana do niezadawalniania się już tym mrocznym pesymizmem, dla którego jedyną przyprawą była dobroć ludzka.

Arjaman szedł znowu wśród zamieci padających gwiazd. Miewał chwile jasnowidzenia, kiedy widział Jaźń swą jako równą wszechbytowi.

Wprawdzie w metafizyce jego był jeden niewymierny wulkan — serce kobiety.

Spotkawszy mądrą, bezdennie mądrą trzeźwość, miewał chwile zwątpienia w siebie, gdy mgliła się mu pewność, iż jest droga dalsza niż ziemia — gdy chciał jak Jahwe zebrać wszystkie swe światła, i oddać mrokom: Fiat Hewa!

I tak z lodowatej bryły mroku narodzić swe ostateczne szczęście.

Ale przychodziła chwila olbrzymich rozświetleń — i wtedy chciał tylko już Zolimę widzieć wracającą z tamtej strony światła, i tu ogarniającą wielką straż Tatr i utajonych świątyń w podziemiach.

Arjaman zajęty problemami świata nie objawiał tej prostoty uczuć, jakich wymagała Wieszcza Mara.

To też z wyrzutem mówiła mu nieraz, iż ma w sobie duszę Cida hiszpana, że i chatę w jej ludzkiej realności bę-

dzie naprawdę rozumiał, gdy legnie Wieszcza na marach, gdy cały Turów Róg przeprowadzi się na Ornak; wtedy Arjaman zagra na tysiącu organowych trąb ze spiżu i złota, wtedy będzie mógł wyprometeizować tragedję nad tem, co utracił.

I nie przeczył temu Arjaman.

Wiedział w głębi serca, że cały Turów Róg jest dla niego tylko szmerem padających liści, przy których on wsłuchiwał się w głos Mocy Ostatecznej.

— — — —

Od wielu miesięcy nie widział już Arjaman Maga Litwora.

Ten bowiem zniknął tajemniczo, może brał udział w walkach na Wschodzie, może przemawiał do robotników w Zagłębiu?

Lecz tam wszędzie był też Arjaman, nie spotykając Maga, tylko po twarzach wznioślejszych, po uczuciach głębokich znać było, że tam działał i zasiewał Mag.

Jakimże dziwem było dla Arjamana, gdy pewnej nocy zastał kartkę na swym rowkowanym ołtarzu dawnych ludzkich ofiar w jaskini —

i kartka ta wieściła ręką Maga Litwora, aby jaknajśpieszniej wracał do swego domu w bliskości wysokich fjordów Murza Sichla położonego.

Miał Arjaman iść natychmiast, ale stało się inaczej.

Wieszcza Mara prosiła, aby wstrzymał swe odejście na dni parę, bo ma pewne dane do widzenia wielkiego niebezpieczeństwa, grożącego Zolimie.

Arjaman wahał się, komu uledez.

W niewycwiczonym aż do końca uczniu Maga Litwora pod różnemi formami objawiało się uczucie dla Zolimy.

I teraz na myśl, że Turów Róg tego żąda i że Zolima może wpaść w ręce jakiego życiowego zbira —
wszystko w nim przemawiało, aby zostać.

Nazajutrz miała się odbyć wieczorynka dla młodzieży w Turowym Rogu i Wieszcza Mara miała mieć w rękę wszystkie nici jakiegoś niezwykłego sprzysiężenia.

IX.

JUŻ PO TAMTEJ STRONIE LINY.

Reszta towarzystwa młodego rozrzuciła się nad szumiącym potokiem wśród wysokopiennego ciemnego lasu jodeł.

Był tam i uczony pan Kserkses Jakszma, który w 22 r. życia odkrył pierwiastki składnicze plam na słońcu, w 23 napisał świetną rozprawę o zwyrodnieniu seksualnem Hrabiny Wawilońskiej, a teraz w 24 wracał pełen sławy z odkryć w siamskich grobowcach.

Ten pan zimny i mądry, wytworniejszy niż lordowie Wyższej Izby, był nierozłącznym Księcia Huberta, podobnego doń, lecz zanurzonego już w zbrodniach niezwykłych, o których dopiero marzył Jakszma.

Był i kwadratowy muzyk wspaniale grający, tudzież jego druh—wielki kompozytor, który grał miernie; z twarzą rycerza Merlina, fetysz salonowych dam. To wszystko wielkości uznane w kraju i zagranicą. Inni—ludzie dziwni, np. Ellenaj Mironowicz, który dowodził, iż świata niema — i że trzeba przejść poza tamtą stronę liny. Cichy asceta i niezwykłej szlachetności, niezwykłego polotu marzyciel. Pisał poezje nieokielzanej zmysłowości, wobec których rosyjski Sołłohub był tylko beczącym barankiem.

Lecz tych poezji nie wydawał, czytał tylko jednemu słuchaczowi w Wielki Piątek w domu publicznym i palił.

Oznaczało to symboliczną mszę pokory i zrównania wszystkich już po tamtej stronie liny.

Działo się to oczywiście w największej tajemnicy. —

Średniowiecznym iście duchem był Lew Mironowicz.

Twórczość jego — to katedry, wypełnione rozumowaniami z Orygenesesa i Duns Scotta, z Eckartshauzena i hiszpańskich mistyków, jak Leon de Granada, lub Huan de la Cruz. Miał on matkę obłąkaną i brata młodszego, dążącego znaleźć się już po tamtej stronie liny.

Ze swoją twarzą Calderona — z oczyma wielkimi nalanymi mrokiem — był Lew iście jeźdźcem pędzącym na koniu, którego podkowy są nabijane szmaragdami.

W jego komnacie wielkiej, niemal pustej, stało tylko biurko, książki i czarny krzyż. Nie mówił z nikim. Kochał go nadzwyczaj Arjaman.

Nie możemy zatrzymywać się dłużej, kronikarz wymienia tylko ludzi niektórych, lecz naturalnie jeszcze ominąć nie może witezia Zygryda, który mieszkał na granicach Tatr i Sybiru, wielbił mrok Rosyi i był najradośniejszym demonistą, jakiego wydała bujna w demonizm tatrzańska ziemia.

Teraz on tu radował się Polską.

Wielki czar roztaczał dokoła inny wędrowiec: mahometanin, rodzaj młodego Emira Rzewuskiego, najdzikszymi tlanem paryskich kawiarni i najgłębszy proroczego ducha śpiewak Mekki i Kaaby.

Zato, niby krzew swojskiej limby, tragicznej, wysoko rosnącej, był — do Michała Anioła młodego podobny, rzeźbiarz, który przebywał najprzepaścistszą nędzę, najdumniejsze marzenia, i płynął, jak łabędź z rozbitymi płucami przez kryształne jeziora swych marzeń.

Stronę przemożną towarzystwa stanowili witezie, któ-

rzy, z wyjątkiem tego zwanego Zygfydem, trzymali się, jako wirchy, z ubocza, a nienawidząc się wzajem, nie mogli jednak dosyć sobą się narozkoszować! Jeden z nich najmężniejszy o ponurej twarzy i cudownem czole, obrzucał nieprzejednanem złowieszczem spojrzeniem każdego, kto próbował przeżyć realną historję grzechu, pałac się i zalecając do ślicznej, jak marzenie, panny Luny, do genialnej malarki Hadzi, lub do arystokratkowanej berajterki hrabianki żydówki ze Siedmiogrodu Wratisławy Karloman de Katzengold Czacza.

Kto wie jednak, czy najpiękniejsi nie byli w tym towarzystwie ustępujący magnaci z Tatr: brat i siostra, on jakby jakiś Malatesta o wściekłym życiowym temperamencie, ona — córka bohaterów — z uśmiechem i oczyma, od których topniały najtwardsze granity.

Jak widzimy, nie brakło tu ludzi pociągających i godnych każdy, aby im poświęcić monografię. Lecz byli jeszcze inni, których Arjaman nie znał — panicze z najbogatszych domów w Polsce, panny, które urodziły się na Litwie, a zwiedziły już Ogród miłości — Josziwarę nietylko tę w Japonii, a przepadając za walką byków w San Sebastian, dla niej jeździły do sąsiedniego Biarritz.

Te imponowały nawet uczonym pannom z uniwersytetów i młodzieńcom, którzy już gardzili nauką, szukając Absolutu, teraz zaś pogardzali nim do głębi, wobec tych litewskogoyowskich Mach.

Wśród młodych Arjaman wydawał się najstarszym; był zaiste nadzwyczaj zamyślony i wciąż podnosił rękę do czoła, jak żeby odpędzić wiejące nań zaraźliwe miazmy z karawaną, niosącą trumny przeczuć.

Wreszcie chciał już odejść, prosił Zolimę, aby mógł z nią pomówić sam na sam. Lecz ta wyznała, iż bawić się umie conajmniej tylko we troje.

Rozgwarno, wesoło zaczęła się toczyć gawęda, w której Arjaman udziału, mimo wszystkich wewnętrznych protestów i przekonywań się, nie brał. Książę Hubert, odgadujący w lot sytuację zbyt mrocznych i ciężkich chmur w umyśle Arjamana, zaczął opowiadać anegdotę, której cała młodzież i wogóle ludzie weselsi i uważający zawsze księcia Huberta za duszę towarzystwa, wysłuchali z nabożeństwem, pełnym wykrzykników i gaudiumu.

— Hrabia August, mój najstarszy przyjaciel, z którym część ciemniejszą moich nocy spędziłem, był zapewne nieco wyuzdanym, jak na naszą mieszczańsko-bezzębną epokę, ale miał dużo zdrowego rozumu.

I raz, kiedy nudził się w Warszawie podczas kanikuły, spotyka się ze mną, jeszcze młodziutkim księciem z Litwy; wspominałem mu w rozmowie, iż są tu damy ze wsi bardzo przyzwoite, „ale bo ty, mój hrabio, zaraz je zrazisz swym cynizmem”.

— Nie!

— Kiedyż bo nie można tobie ufać!

— Hrabia August pokaże, iż jeszcze wie, co to jest dobre wychowanie! Masz moje słowo. —

Zaprosiliśmy damy na kolację.

Hrabia August przyszedł z wielkim dogiem, który, jak wiadomo, jest prawie goły.

— To coś nieprzyzwoitego, rzekła Zolima, aby nie gorszyć małeństw, proszę tu przy mnie usiąść i pocichu dokończyć.—

Całe towarzystwo chórem zaprotestowało.

Więc ciągnął książę Hubert:

— Mówi hrabia o teatrze, nie klei się rozmowa. Damy się jąkają, zresztą zdania ich są okropne—takie ot z Zawierchłepia, czy z innego Kiepiska! Mówić poczynamy o wsi, damy zaczynają poziewać! Tak trwa z pół godziny, aż ja,

oblany zimnym potem, wychodzę. I dalej odbyło się już bezemnie, w sposób następujący:

Hrabia August nagle przysuwa krzesło do jednej z dam uderza ją w kolano i rzecze: „patrz no pani, jak mojemu psu jest do twarzy z tej i z tamtej strony!”

Powstał śmiech i wesołość, jak teraz w szanownym towarzystwie; kiedy ja, zbyt młody i niedoświadczony jeszcze w Ars amatoria, wróciłem, gadali już najswobodniej o rzeczach, które jedynie ludzi obchodzą. Nieprawdaż, pan- no Zolimo?

— Jeżeli pan się zalicza do ludzi, ja wyrzekam się chętnie tego zaszczytu, odrzekła, mierząc księcia niezbyt chłodnym wzrokiem.

Lecz zaiste huczny i Rejowski zrobił się nastrój, nie mogły tu rosnąć i pęcznić kaczany gniewu.

I właśnie zesza rozmowa na króla Ludwika II w Bawarji, gdyż panna Zolima, koczująca wiecznie i tym przyzwyczajeniem tak mile wiążąca tradycję Gobi z wymaganiami towarzystwa najwytworniejszego z Hyde Parku, jeździła niedawno zwiedzać zamki w Neuschwanstein, Chiemsee i Lindenhof.

Mówiła Zolima:

— Zamki są bankierskie, zimne i nadęte. Król Łąbędz chorował na mańę wielkości wraz z absolutnym upokarzaniem się przed skabotyniałym mistrzem Wagnerem lub aktorzyną Kaintzem, do których pisał nieprzyzwoicie czułe listy.

Opętany ideą wagnerowską wskrzeszenia dawnych rycerskich cnót, król Ludwik miał się za Parsifala.

Ale to było zawsze dekoracyjne i aktorskie — czy pan słucha, Arjamanie?

Zamki jego były w stylu tego opętania.

Neuschwanstein jest na nieprzystępnej skale, która wymagała niezmiernych przybudówek, bo skała ma niepewne miejsca.

Sala tronowa bizantyjska, gdzie Ludwik, upokorzony przez Prusy, odgrywa, siedząc z jabłkiem w ręku w pustej sali, rolę władcy absolutnego.

W hotelach podpisywał się niby Filip II, w którego państwie słońce nie zachodziło: Yo el rey —

Ja król! —

Wioskę, która się zwała Ettal, przemianował na Meicost Ettal, co jest przestawieniem liter w L'etat c'est moi.

Na widowiskach pasyjnych w Oberammergau chciał grać rolę Chrystusa i marzył, iżby umrzeć na krzyżu.

Wogóle, jak dziecko, żądał zabawek zbyt kosztownych i do tego niegustownych.

— Kobiety, szepnął książę.

— Nie, kobiet nie znosił... prawdziwych. Lecz ja będę opowiadała tylko pod warunkiem — że z towarzystwa nikt nie będzie przerywał!... Wybudował w lesie chatę Zygryda, był tam pośrodku dęb i rycerskie zbroje, na skórze lubił sypiać król. W sieci tego domniemanego rybaka widniała wielka złowiona w Renie ryba z kartonu.

Ale nie myślcie, że nasi witezie nie łowią prawdziwych rekinów w morzu pod Tatrami, albo że nie mieszkają w jaskini z oszczepem w dłoni! tylko w jednym ustępują niektórym królom: ten w chacie Zygrydowej miał zręcznie ukrytą, doskonale urządzoną kuchnię współczesną.

Pielegnował dwa życia w sobie zupełnie sprzeczne (och, tylko dwa, jak to mało byłoby dla Młodo-ssącej Polski!) — więc absolutyzm króla Ludwika XIV i nastrojowość pneumatyka mistycznego, w rodzaju Tituriela, z poematy Alberta Scharfenberga.

Król wybudował wśród lodowców w nieprzystępnych górach zamek w stylu Wersalskim, gdzie było pełno wejść skrytych, oraz różowe buduary: ale nie wchodziła nigdy żadna dama.

Wolał o niej tylko marzyć!... lub ją unicestwić pionunami w swej głowie!

W gabinecie miał obrazy, powiedzmy gorzej, tanie litografie Króla Słońca, pani Pompadour i ministrów owoczesnych.

W innym zamku wszędzie napotykało się łabędzie Lohengrina, lecz tak niewymagającym był król pod względem arcyzmu, że wprost kupował za markę tandety ze stiuku lub z fajansu.

Jak wiadomo, Król Ludwik II swoim złym smakiem i żądaniem dekoracyjności, oraz tematu w obrazie, sparaliżował rozwój sztuki w Bawarii. Jego dziad i ojciec budowali w Monachium łuki tryumfalne i loggie, takie same, jak widzieli w Paryżu i Florencji, Arjaman zaś — ach, przepraszam — król Ludwik II (czy nie pochlebia panu ta omyłka i zestawienie?) sięgał wyżej — aż do teatru!

Lecz naiwność jego występowała w teatrze poprostu w nagości tego doga, o którym słyszeliśmy z ust Arbitra elegantiarum iście wytworną powieść.

Aktor, który grał rolę szlachetną, stawał się w oczach króla realnie szlachetny.

Kaintza aż do końca nazywał mój Didier! bo widział go w sztuce Sardou... Temu Kaintzowi, Izraelicie z Budapesztu, każe raz czytać sobie na głos przez 7 godzin książkę Hauffa: Człowiek na księżycu.

Jego siostra Elżbieta, cesarzowa austryjaska, równie, jak król, niezwykłej piękności, lecz też błąkała się w ciągłych marzeniach.

Elżbieta nie miała, jak jej brat, talentu do wybierania ludzi (nie chrząkać, książę!), Achilleion na wyspie Korfu jest trochę więcej niż średni, ale zato umysł cesarzowej był jasny, ironiczny i naprawdę poetycki, jeśli młody wielbiciel jej Christomanos biografji nie podmalował..

Umysł króla Ludwika II schodził natomiast coraz bardziej w zwykłe maligny:

słyszał za sobą kroki, każe sprzątać pajaka z posadzki zupełnie czystej.

Chce tworzyć Monsalwat, górę cnót, i jedzie do niej: w manège, zrobiwszy kilka kręgów, zatrzymał się, niby w oberży włoskiej.

Po kilku kręgach znowu zatrzymał się — jest już w jaskini nakręconych lwów.

Tym sposobem mógł jechać zadziwiająco daleko.

— Czy jeszcze nie dojeżdżamy? — szepnął książę.

— Król Parsifal miewał też napady furji:

ścisnął raz między drzwiami na śmierć kamerdynera. Opornych krytyków—nie, radców chce ze skóry obdzierać, wieszać, zamykać w celach podziemnych. Lecz nikt go już nie słucha.

Wstrząsającą jest chwila, kiedy lekarze czają się nań w ciemnym kurytarzu: król idzie na wysoką wieżę, aby się z niej rzucić i wtedy znienacka go chwytają.

Chory umysłowo cztery dni tylko przybył nad jeziorem w zamku Starnberg.

Śmierć jego nie była tragiczna: pragnąc uciec zagranicę do Austrii i walcząc z doktorem, skończył apopleksją w jeziorze, w miejscu, gdzie było ledwie po pas głęboko. —

Tu zabrała głos przechodząca Pani Mara:

— Więc cóż to przeszkadza tragedji, że było głęboko

tylko po pas? ja znam cały legion Iksjonów, którzy tworzą najstraszliwsze wizje z najprostszych sytuacji...

Tragedja leży w samym człowieku.

Kto wie, ile przecierpiał biedny król, goniąc za swym ideałem, który był za obłokami!.. —

Zolima zwróciła się już z wprost wyzywającym sarkazmem do Arjamana:

— Słyszałam, że pan buduje zamek w Tatrach nad morzem? czy tam będą tylko łabędzie?

Le Roi Vièrge nie dopuszczał kobiet innych, niż te, które śpiewały mu ukryte z za drzewa — lub jadąc zdala na łodzi...

Możeby zrobić też jak król?

ten kazał wykopać staw, aby mógł jeździć na swej łódce, jako Lohengrin. Jednak ujrzał na dnie asfalt i był zrozpaczony; aliści ein Rath kazał wodę zabarwić na błękitno przy pomocy kobaltu miedzi, odtąd robiła wrażenie głębi.

Jednakże było za cicho w tych głębinach.

Więc podwodnym młynkiem zaczęli robić fale, i tak groźny był efekt, że król Lohengrin wpadł do wody, gdyż się łódź, jak całkiem niemistyczny przedmiot, wywróciła!

Staw ten był zbudowany na tarasie; kiedy kobalt zaczął wyżerać dno asfaltowe, woda wdarła się przez sufity do pokojów i uczyniła dekoracje w stylu jaskiniowym.

Czy na pańskim morzu będą pancerniki?

czy w oranżerji ducha, gdzie hodują się tylko Kaino-theria i węże siedmiomilowe, każe pan zrobić panoramę Tatr? mów, o Miło-ssący polski Lohengrinie!

(Arjaman uśmiecha się, ale tak — jakby miał zaraz lawinę strącić na całe towarzystwo! —)

Księżę zaśpiewał z jakiejś operetki:

— Raz w piękny dzień moja matka,
kiedy ją łabędź w objęcia brał,
bronila się jemu do ostatka,
lecz któżby się łabędzia bał?

Arjaman wciąż milczał i nie mógł, czy już nie chciał słowa wydobyć na poskromienie tej operetkowości.

— Tak, cierpię, cierpnę i tym podobnie, kiedy jasnowidzący, zamiast mnie widzieć, widzi tylko czarną Aurę dokoła mnie, a wszystkie kakofonie życia dyskontuje na me conto, dorzuciła już rozdrażniona Zolima.

W Arjamanie zbudził się naraz jasnowidzący. Westchnął cicho, przetarł ręką czoło, i rzekł nie władnąc swymi słowami:

— Trzeba żeby Pani spieszyła do zamku. Tam matka Pani otruta przez—swego znajomego—leży już w kaplicy.—
Zolima zbladła i wstrząsnęła się.

Lecz nikt nie zauważył tych słów, tylko Xiążę jakby poczerniał, lecz wnet się opanował.

— Zatem, zaśmiał się książę, będzie pani komendantem naszej konnej marynarki, która zechce i raczy łaskawie odwiedzić zamek mój Nowo-Łabędziogłaz, gdzie niezwalczeni witezie łaskawie zarządzają swemi poddanemi! —

Powstał wesoły śmiech, każdy pytał Witeziów, jaką rolę niezwykłą zdobędzie w tym widowisku.

Młodzież wybiegła ku morzu, jedni zaczęli spychać łódź, inni poszli po konie —

Zolima podeszła do Arjamana.

— Pan chciał zemną mówić poważnie? Teraz ja zaczę i skończę w trzech słowach,

Tej nocy ja wybieram jednego z was trzech. Muszę to uczynić, bo jestem związana bezwzględnością zakonu i jest nademną magnetyzm.—

Jeśli Pan jest jasnowidzący, jeśli Pan może przewy-
ciżyć przestrzeń, moralność, nieprawdopodobieństwo — —
to się wtedy okaże — —

Skończyłam. —

I natychmiast odeszła, śpiesząc do koni.

Ku niemałemu zdziwieniu starszych, a nawet zgorsze-
niu, ujrzeli wkrótce księcia Huberta, który sadził na olbrzy-
mim starogniadym ogierze, towarzysząc Zolimie siedzącej
z jakimś nieznanym nowo ujawnionym panem w eleganckim
tilbury.

Za nimi gałęzmi zielonemi zbrojni pędzili znani i nieznani
zupełnie ludzie, bardzo szczególnie, o których kronikarz po-
wie następnie. Arjaman nie chciał im towarzyszyć. Lecz do-
kład pojechali? nikt nie wiedział.

Stał więc wśród lasu na uboczu, niewidziany przez
nikogo, i głowę w której zaczynało gotować się piekło, trzy-
mał oburącz—nagle drgnął.

Ktoś dotknął jego ramienia.

Wieszczka Mara stała tuż obok, twarz jej była sino-
blada, skinęła żeby szedł za nią—i poszli za kilka jodeł na
wzgórze.

— Pan musi teraz okazać się tym, kim Pan jest w isto-
cie swej: nie tylko człowiekiem poważnym i głębokim, lecz
i umiejącym za miłość swą walczyć.—Gniew zaczął ogarniać
Arjamana; właśnie była pora, aby jego szalony Achillesowy
gniew jeszcze w tym kierunku podjudzać!

Więc rzekł:—słucham.

— Niech Pan nie mówi tym tonem, albo odejdę.

— Będę się starał zrozumieć.

— Czy Pan kocha Zolimę?

— Nie dałem nikomu prawa o tem nawet domy-
ślać się —

— Ja wiem, że to nie jest dla Pana, to Pana może tylko poniżyć. Zresztą, Pan głęboko jest przywiązany do swej chaty i ma swoje własne przeznaczenie. Mówię dlatego, żeby Pana prosić o wielką braterską opiekę nad Zolimą.

— Cóż jej zagraża? —

Wieszczka Mara niemal się dusiła, nie mogąc wymówić.

— Jest tu jedna rzecz tajna i potworna. Xiążę Hubert należy do stowarzyszenia Czarnych Magów, czcicieli Djabła. Mam teraz pewność, że i Zolima. Dowiedziałam się o tem w ostatniej chwili. Każdy, kto będzie miał znak Bafometa, będzie mógł wejść. —

Zdumiał się Arjaman, bo niedawno bez żadnego powodu mówił istotnie Xiążę o Bafomecie...

— Tu jest ten znak. Wierzę w Pańską siłę i odwagę. Czy mogę liczyć na przezorność?

— Jaka?

— No, żeby Pan sam nie zginął— i —

— I?

— i żeby Pan nie dał zginąć Zolimie.

— Wolę nie brać żadnych zobowiązań, nie chcę też wchodzić tam niewzywany. Ale i tak ja niewidzialny to zebranie będę widział. Gdzie ma się odbyć zebranie — ta Msza Czarna?

— W kaplicy, która jest przy zamku Muzaferidów. Trzeba spieszyć tam. To będzie przed północą. A jest pięć mil i już zachodzi słońce. —

Po morzu pędziła łódź Arjamana. Schwyciwszy silny wiatr, łódź gnała z szybkością rozpedzonego ukraińskiego kłusaka.

Lecz trzeba było okrążyć długi cypel leśny i skalisty, aby zmierzyć ku zamkowi Zolimy.

Późną już nocą podpłynął pod Zamek i z trudem wylądował na wspiętych dziko ryczących falach u brzegu.

Zmęczony nieco i w gorączce piał się po upłazach skalistych, otaczających wieńcem lesistą zamkową górę.

W Arjamanie tętniła wrodzona mu energja.

Teraz weźmie cały umysł Zolimy, wstrząśnie nim i postawi jak pochodnię, wyżej niż był nawet on sam. Czuję w sobie tak olbrzymią potęgę uczucia i woli, że mógł tem obdzielić i wyzwolenie Polski i wyzwolenie życia Zolimy ze satanizmu.

Myśląc to, zatrzymał się — bo mu się zdało, że jakaś dziwna roślina owinęła mu serce i nie puszcza.

On tę roślinę rwał i szarpał z korzeniami, chcąc iść dalej.

Na rozerwanych łodygach świeciła jego krew ze serca.

Wszakże tak strasznie miłował chatę swą, lecz jednocześnie tak cierpiał tam!

A trzeba być szczęśliwym! to małoduszne, mając do wyboru Xiężniczkę Morza z jej demonizmem —

zostać przy swej tęsknej, spoglądającej w mistyczną dal, chacie!

Szedł prosto ku wielkiej wieży, która nie przytykała do zamku, lecz była resztką dawnego minaretu. Na dole jej było światło, a im był bliżej, tym słyszał wyraźniej grające organy.

Widocznie Matka Zolimy, chrześcianka, kazała tu urządzić kaplicę. Muzykę poznał: msza Bethowena, lecz przetworzona na język upiórów. Drzwi Kaplicy zamknięte.

W pobliskim lesie stało tilbury i uwiązany koń pod siodłem. Nikogo przy koniach. Konie miały pyski owięza-

ne rzemieniem, aby nie mogły rzeć. Arjaman daremno szukał wejścia do kaplicy. Wreszcie wspomniął, iż od morza widział w oknie kaplicy mżące ciemne światło. Lecz jak się tam dostać? To okno było nad prostopadłą pięćset metrów nad morzem skałą.

Przypuśćmy iż będzie szedł po szorstkościach muru — lecz najmniejsze osunięcie się—to śmierć straszliwa, z takiej wysokości lecąc!

Lecz Arjaman nie rozstawał się z liną; zrobił z niej jakby lasso, zarzucił na hak, który w bliskości framugi okna wystaje — służąc do wzmocnienia muru, lecz przez deszcze omyte wapno dokoła żelaza utworzyło zagłębienie.

Nie udało się, sznur oślizgnął.

Ten hak nie wystawa poza powierzchnię muru, więc jakże go zaczepić?

Wpadł Arjaman na pomysł. Z rozmokłej ziemi zrobił kulę, do niej zaczepił węzeł liny i rzucił w miejsce gdzie był hak. Lina się zaczepiła. Czy mocno? Pociągnął — trzyma!

Wtedy upewniony o jej mocy, zawisnął nad przepaścią, zatoczył łuk, jak olbrzymie wahadło; szybko się wspinał. Na wysokości piętra już jest, o framugę uderzył głową. Chwycił ręką jedną framugę — zerwał się zmurszały głaz, ledwo miał czas odepchnąć go Arjaman, bo strzaskałby mu czaszkę. Posypał się żwir.

Arjaman teraz na wąskim miejscu próbował oprzeć rękę, ani sposobu. Wybić szybę — to znaczyłoby ostrzedz tych, co tam są.

Zmęczenie go ogarniało. Muzyka pogrzebowa nastrojała go ponuro. Jeszcze minuta, a trzeba będzie opuścić się na dół—i próbować zapomocą rozhuśtania sznura wyskoczyć na ziemię.

Ujrzał przy słabym migocie gwiazd mrówki pełzające po murze. Widać był otwór przy oknie, bo tam kończył się ich szereg.

Jest! wprawdzie dotykał tylko czterema palcami tej jamy, lecz trzymał się jej silnie, podciągnął jedną rękę i uczył straszny kurcz w ramieniu, gdyż w pozycji wygiętej i niecałą dłonią musiał utrzymywać ciężar dużego rosnącego ciała. Jeszcze chwila—runie—trzymając się tylko tymi czterema palcami w jamce, gdzie kasały go mrówki.

Nie, oparł kolano—teraz już stoi.

Okno witrażowe było z Cherubimem, migocącym krwawo od rzęsiстых w kaplicy jarzeń.

Arjaman próbował obluźować którą szybkę z jej oliwianej oprawy.

Udało się mu.

Spojrzał do wnętrza przez otwór w witrażu, który był nad wysokim chórem. Z postaci Cherubima skrzydła krwawe wznosiły się za Arjamanem.

W czarnym mroku z krwawymi skrzydłami wydawał się szatanem, który się zakrwawił w Gehennie. Ale nikt w kaplicy go nie zauważył. Muzyka grała tonami bezdenne go szału Walkiryi. Książę Hubert i ktoś ciemny, podobny do barona de Mangra, stali nad lochem krypty grobowej, postawiwszy z dwóch jej stron gromnice.

I przy blasku tych gromnic krzyżowały się ich szpady ze straszną, lecz matematyczną dokładnością. Stali tak, że każdy kto będzie raniony, będzie musiał runąć tam w kryptę.

Pośród kościoła leżał trup w trumnie, otoczonej jarznięmi gromnic.

Trumna była ogromna, jak sarkofag. Zolima w suk-

ni czarnej z jedną pąsową różą, lecz nie na piersi, ani we włosach, lecz nisko spiętej pod kolanami —

siedząc w fotelu staroświeckim, grała na organach, podobna do św. Cecylii, zakochanej w Szatanie. Inni wtajemniczeni siedzieli w stallach chóru pod witrażem. Było tam 11 mężczyzn, trzymających miecze i dwanaście kobiet z kwiatami i w maskach. I było w atmosferze tego starego, jeszcze bizantyjskiego niegdyś kościoła, coś bezdennie obłądnego.

Zamagnetyzowany, czarodziejską moc mający wzrok Zolimy zdał się do szału doprowadzać zapaśników. Nagle Xiążę wymierzył śmiertelne pchnięcie de Mangrowi, lecz ten musiał mieć niezwykłą przytomność umysłu, bo pochwycił lewą ręką ostrze tuż u swej piersi, a szpadę pogrążył do połowy w piersiach Xięcia. Trwało to mniej niż sekundę.

Xiążę runął wgląd krypty, de Mangro zgasił gromnice, pozostawiając tylko jedną w całym kościele płonąca. Poczem wyjął trupa z trumny i też wpuścił za księciem do lochu.

I przez dziwną perwersję cały naręcz orchidej rzucił, jakby świadcząc, iż tam jest pagoda Wenery.

Lecz to co się teraz stać miało, przewyższało okropnością wszystko.

Wspomniał Arjaman miejsce w dramacie Materlinka „Księżniczka Malena” kiedy małe pacholę trzymane przez zardrosnego ojca, zagląda do sypialni swej matki, która tam jest z kimś.

I nagle krzyknęło:

— Ja boję się, weź mnie, nie mogę, nie powinienem tego widzieć. —

Małe pacholę nie mogło znieść widoku zmysłowego potwornego żaru, mocą którego ludzie zmieniają się w oszalałe pająki.

Mangro, stojąc nad lochem, nakrył go płytą grobową i krzyż żelazny spiął kłamrami.

Upewnił się, iż nikogo za kościołem niema—podszedł do grającej Zolimy i zaczął magnetyzować powietrze nad nią.

Po kilku minutach kaplica zadrżała jeszcze głębiej od tonów potwornie dzikiej Czarnej Mszy, od galopu szatanów, i od śpiewu królowny mniszki, zamkniętej na wieży, która wpuściła morze przez służę do miasta.

Było w tej mszy oddawanie się namiętne i bluźniercze Książęciu Mroków, po trzykroć ukamienowanemu według legendy wschodniej. I ten kto Zolimę kocha, musi być godnym jej zdobycia, musi być—djabłem.

Trumna otwarta pełna róż krwawych i upiornych orchidej, szeroka jak na dwoje, zdawało się już łożnicą, która wyczekuje, muzyka zaś Sfinksem, który objawia.

Rozległy się tony nieposkromionego bluźnierstwa, kiedy de Mangro podszedł do cyborjum i wyjął kielich z winem i kiedy ofiarował jej —

Ona nie przestając grać, z oczyma nabrzmiałymi Infernem, nieruchoma jak w ekstazie, piła.

I nagle uczyniwszy szybki ruch ręki, wylała resztę wina mocom podziemnym. Zakrążyła się w dzikim wschodnim tańcu, jakim Czyciele Djabła wielbią Gasicielea światłości.

Ktoś z Wtajemniczonych na chórze zaczął na organach grać, Zolima zaś nie odwodząc już oczu od krwawoskrzydłej postaci za witrażem, tańczyła.

Muzyka stała się straszniejsza, niż nagość kobiety na ołtarzu, straszniejsza, niż chwila oddania się Heloizy mniszki wielkiemu kontemplatorowi św. Trójcy — właśnie gdy byli w kościele i za ołtarzem; straszniejsza, niż deszcz siarki roztopionej, który się lał na Sodomę, powiększając upojenie miłością i zgonem.

Postać mroczna w witrażu poruszyła nagle obojgiem skrzydeł, mrok rozsiekany piorunami ją otoczył, z otwartego okna zesuwał się czarny cień, nawałnica dżdżu zgłuszyła krzyk Arjamana.

Mangro, ścigając Zolimę po kościele, pchnął ją nakońiec w trumnę, jakby w łożnicę Afrodis piekielnej. I kiedy nachylił się nad nią w przemierzonej zbrodniczej chuci, jakby dwie rzeki, unikając się, nagle się zeszyły w cieśninie gór, z za ołtarza wybiegła jakaś olbrzymia kobieta i nakryła Mangra makatą. Baron wydobył sztylet i bronił się, lecz postać tej kobiety, czy demona, ze straszliwą siłą wyrwała sztylet, i zmiążdżyła opór nogi de Mangra, którą on odpychał wieko trumny.

Potwór sznurami owiązał trumnę, nożem szerokim z szybkością błyskawiczną zrobił trzy nacięcia dla powietrza tych, co byli wewnątrz.

Gromnicę zgasił wicher burzy, w mroku kościoła zrobił się zgiełk—kiedy zapalili na chórze światła i przybiegli, gdzie trumna stała, już jej nie było —

już nie było nikogo tam! wyjściem sobie tylko wiadomem ten potwór musiał wynieść trumnę. Dokąd? Arjamanowi zdało się, że słyszy głuchy jęk i pięści bijące w lochu.

Wtem nastąpiła rzecz w górach jedynie możliwa.

Nad kaplicą wznosił się skalny wirch. Zapewne siłą burzliwego wiatru popchnięty głaz zleciał z wyżyny. Głaz odbiwszy się kilkakroć o ziemię, jakby wyrzucony z kaptuły pocisk runął w dźwierze kaplicy dębowe okute. I w jednej chwili rozwarły się, bo pękły żelaziwa, posypały się trzaski i obłok rozpylonego głazu. Arjaman, wychodząc z kaplicy,

ujrzał zgromadzonych tam czcicieli Djabła, nieruchomo oczekujących jego zejścia.

Odpiął szybko klamry, spinające krzyż nad kryptą. Arjaman straszny w gniewie, mógł z zimną krwią zasztyletować de Mangra. Lecz teraz chodziło jeszcze o Zolimę, o cześć dla Turowego Rogu, o miłość tak długo wynoszoną na wyżyny dla księżniczki Morza!.. Nim dobiegł do podwórza meczetowego, usłyszał turkot tilbury i mimo całej szybkości, zdołał tylko ujrzeć potworną kobietę, która stała w powozie, trumnę gniotła kolanem, a drugą ręką trzymała lejce. Konie targnęły odrazu i pojazd, jak wichler, pognął drogą z góry.

Arjaman pośpieszył wziąć jednego z wierzchowców, lecz tętent koni rozbiegających się po lesie, oznajmił, iż uzdy były przecięte. I zaiste, na drzewach wisiały kawałki rzemieni.

Burza milkła, choć błyskawice wciąż rozświeślały góry w ich królewskim majestacie. Arjaman teraz dopiero zauważył, iż stoi jeszcze z ubocza koń księcia uwiązany. Wskoczył nań i pognął. Turkot powozu dawno już umilkł, ale wszak nie mógł długo ukryć się pojazd.

O milę stąd będzie młyn wietrzny, dalej bór i za tym borem o kilka mil na gorze leży Turów Róg.

Arjaman pędził jak burza.

W sercu jego walczył gniew i upokorzenie.

Kto śmiał odebrać mu jego zemstę i zarazem jego miłość?

W myśli krążyły mu słowa jakiejś Serenady zasłyszanej:

„Indyjskie zwiewne kwiaty
kwitnące raz w sto lat,
o piękna, wyjdź z komnaty,
jak księżyc z poza krat!
Na harfie gram ci słowa,
które się lśnią, jak żar,
czemuż cię otchłań chowa
i ty nie wstajesz z mar?

Ekstaza miłosna jego doszła szczytu, chciał teraz wy-
dobyć z trumny Mangra, roztrącić jego mózg o skały,
i pchnąć w otchłań!

Zostać z tą szaloną, jak on sam, cudowną jak Ahur
i Noc zakończyć miłością, z której już żywi nie powsta-
ną. Arjaman zatrzymał się, skręcała droga do młyna.

Wśród mroków nocy zabłysło tam płonące drzewo—
ostry szum śmig wiatraka roździerał ciszę.

Tam na śmigach coś wielkiego uczeplone krążyło —
z zawrotną szybkością.

Niesamowity potwór siedział skulony pod palącą się
żywiczną sosną i spoglądał w śmig kręcące się z przywią-
zaną do nich trumną.

Arjaman najechał całym pędem, gotów do wszelkiej
walki. Lecz gdy zbliżył się do wiatraka, nie było już
Furyi. Zniknęła.

Teraz się zastanowił, co ma czynić? uwolnić? nie za-
bijając de Mangra? to nie może być.

Zabijając zaś teraz tego, który miał już strzaskaną no-
gę—to odrażające.

Więc uczyni, jak mu nakaze instynkt.

Arjaman chciał wejść do wnętrza młyna, lecz drzwi
były zawarte żelaznemi zasuwami. Widać że młyn był pusty,

lub młynarz był w znowie. Próbował zahamować wiatrak, podstawiając drągi i bale.

Z trudem to mu się udało, choć jeden za drugim bierwiona się łamały. Nareszcie jeden wytrzymał uderzenie gigantycznego skrzydła.

Arjaman nadciął sznur od trumny.

Trumna owisła jednym bokiem, lecz wisiała wciąż.

Nagle Arjaman instynktownie się schylił.

Ogromny głaz rzucony z taką potęgą, iż rozbił deskę w młynie—przeznaczony był widać dla nieproszonego rozjemcy.

Arjaman uśmiechnął się, widząc że ktoś tak potężnie nienawidzi de Mangra.

Rozciął do reszty sznur.

Żałobna trumna się osunęła i natychmiast wyszedł z niej de Mangro. Wcale nie pamiętając o sobie, podał uprzejmie rękę Zolimie, która wstała jakby z ciężkiego snu, lecz o kilka kroków legła na trawie, patrząc nieruchomo w gwiazdy.

Kiedy Arjaman pytał jej, czego żąda, prosiła, aby czekał na nią tu, nieodchodząc daleko.

Baron de Mangro zażądał paru chwil rozmowy z Arjamanem.

Arjaman zapalił stos drzewa blisko Zolimy, aby się rozgrzała —

sam zaś z Mangrem poszli o kilkadziesiąt kroków dalej i siedli na stopniach młyńa.

— Teraz objaśnij mi Pan tę nikczemność!..

— Zwykły obyczaj naszego klubu. Nie zawierał nic zmysłowości. Wszak widzi Pan, że panna Zolima była i pozostała w toalecie balowej, ja zaś jestem białym fraku.

Położenie się obok wzajem w trumnie stanowi tylko symbol wstąpienia na członka klubu.

Stowarzyszenie nasze dąży do zniszczenia wszelkich tajemnic, więc wstydlivość i t. d. jest wykroczeniem.

My nie bawimy się w zmysłowość. Jestem asceta, sił nasiennych używam na lepsze cele.

Pan zdaje się wątpić?

Co do Zolimy, to nie jest w żadnym wypadku moja przyszła żona.

Geist hab' ich selbst genug, ja żądam czulej istoty i wiernej.

Jestto egoistka w najwyższym stopniu! Fantastka na zimno....

Jutro może się zbudzić ze sumieniem, mimo iż jest mahometanką. Wprawdzie ma odwagę spełniania czynów, od których włosy zdębiłyby się nawet Naczelnikowi tych, co rzucają w worku trupy do Bosforu.

— Nędzny łotrze, sam zapewne. — —

— Oh, oh—retoryka. Naturalnie, że ja napewno mógłbym uczynić wszystko, gdy tego potrzebuję.

Ale opowiem, jak łatwo zdobywa się sympatję i ufność Zolimy.

— Nie waź się pan oczerniać! —

— Pan nigdy nie będziesz psychologiem. Więc prosisz mnie, żebym mówił? milczenie przyzwala.

Było to zaraz po ogłoszeniu konstytucji w Warszawie. Mnie zamknięto na Pawiak za gorącą mowę, p. Zolimę za to, iż drukowała coś w robotniczej drukarni.

W więzieniu panowała swoboda większa niż tam, gdzie świsłały kule i nahajki.

Pięciuset więźniów bawiło się pysznie. I wiesz Pan?

że ta dziewczyna, wiedzona szczególnym instynktem, przychodziła do mej celi, kiedy mogłem się tego najmniej spodziewać. Ją nęci wszystko co jest upadłe, liche — a, pardon, nie miałem zamiaru siebie obrażać. Ale ona, ta genialna kobieta i zresztą dziewicza dotąd w najwyższym stopniu — ma np. chęć, żeby mogła zarabiać swym ciałem, jak to czynią wogóle kobiety na świecie. Męczy ją to, że jest bogata, szanowana, uwielbiana. Chciałaby tarzać się w błocie, być wypędzoną z baru, zawisnąć na rękę człowieka, który ją sprzeda w karty do Bukaresztu lub Belgradu.

Jak dziwnie świecą panu oczy — widziałem coś podobnego tylko u owych tintorery, rekinów przy brzegach Florydy, które głęboko w wodzie zdradzają swą obecność fosforescencją ponurych zielonych ślepi.

O tak, p. Zolima to genialne dziecko, to bajeczna intuicja wszystkich zepsuć.

Lecz ja jej wróżę nawrócenie, będzie prorokinią jakiej sekty. Rodzaj lady Stanhope; lecz nigdy Annie Besant!

Wie pan, że to nie jest i dla pana karjera!?... W rodzinach tatarskich kobiety budzą się rano zazwyczaj w złym humorze. Z wiekiem to rośnie. A do tego, jako lady — pół nocy poświęca bardzo drobiazgowej pielęgnacyi ciała — woda różnych temperatur, masaże, wanny świetlne i t. d. Jest piękna, a jednak... To nie dla marzyciela, który lubi wszystko zaraz gwałtownie. Ma się z nią to, co z pięknosciami miast wschodnich — wewnątrz nie wypełniają tego, co obiecują zdala...

— Milcz, podły!

— Muszę oznajmić, że to ja właśnie skończyłem. Jako memu wybawcy nie posyłam panu z miejsca kuli. Jesteśmy — na ten raz — kwita!

Mój tilbury państwu niech służy. Nie robię żadnych ustępstw. Na drodze tam jest ktoś, kto jest straszniejszy od wodza Siuxów, kiedy czyha na wroga.

Ale ja niedarmo polowałem na czerwonoskórych. Umiem pęłzać. Gdy będę za tymi zbożami i moczarem, zahukam jak puszczyk. Widzisz pan mimicry: zaraz panu zniknę z oczu. Mój strój jest biały, lecz podszewkę ma z czarnego atłasu. Na twarz kładnę maskę czarną z otworami dla oczu. Bocian ma skrzydła czarne z wierzchu, aby go jastrząb nie dostrzegł na tle ciemnej ziemi; ma zaś białe ze spodu, aby zniknął ludziom prędko z oczu na tle bladego nieba i obłoków. Natura tak przezorna nie przewidziała, że poczciwy nasz ludek będzie boćka ochraniał i nie wsadzi go co niedziela do garnka, jak tego życzył Henryk IV.

Teraz ostatnie słowo: jeśli pan zapragnie mi być wiernym, proszę na mnie liczyć.

— Masz ostatnie słowo, rzekł Arjaman, dając potężny policzek w to miejsce, gdzie było już pusto.

Ku najwyższemu zdumieniu, baron zniknął — nawet szelestu jego nie było słyhać w zbożu, po znacznym przeciągu czasu ozwały się ponure śmiechy puhacza.

Ale nagle hałas rozpoczął się w lesie, wystrzał, tętent dwóch ludzi pędzących na przełaj przez las — rumot spadających kamień — i ucichło, jakby wbiegli do jaskini.

Djabeł zawsze bierze w końcu swojego, pomyślał Arjaman, i myśli jego wpłynęły do krainy szczęścia, mimo tych wszystkich ohydnych przejść nocy.

Miał teraz w sobie już całą wielkość tatrzańskiego wietzia — niepokalanie skrzydlatego, wirchowego Pana.

Głos wewnętrzny kazał mu śpieszyć już teraz, — wznieść Zolimę na wyżyny — i tam ją opuścić...

Nie czekając, aż Zolima go zawoła, podszedł do niej.

— Jakie gwiazdy!...

— Dobrze mi tu jest. Już oddycham równo. Ukoilo mię to mżenie gwiazd. Miałam nieco migreny. —

Poczem zaśmiała się wesoło.

— Zdobyłeś mię! bardzo rada.

Przyjdź do mnie, sama jestem — zresztą zajmuję cały pawilon w ogrodzie, każę Arabowi, aby czekał na twą łódź i przeprowadził Cię.

Minie nam, jak sen—choć bez snu, ta noc. Zobaczysz jaki cudowny wschód słońca z mojego tarasu. Tyś mnie do-
tąd nie znał. Jestem więcej niż Julia, niż Imogena. — —

Chcę przeżyć z tobą nareszcie moją długo tajoną baśń z tysięcy wschodnich nikomu niewyśnionych nocy.

Moja komnata ma czarne marmurowe kolumny i z mas-
sywnego złota kapitele.

Na ścianach, które są w dole z marmuru czarnego, a wyżej mają szkliste kolorowe mozaiki —

wiszą makaty jedwabne haftowane wersetami z Koranu.

Mam ołtarz, na którym palą się kadzidła i czarnoksię-
skie zioła.

Bo jestem czarownicą — za woalem lady.

Czy ty myślałeś na chwilę, że baron mógłby mię
wziąć?

— Byłaś zamagnetyzowana przez de Mangra!

— Ja? ależ bawiłam się tą komedją.

Czyż to jest trudno kłamać? mój Boże, my kobiety
kłamamy tak, jak kwiaty które się barwią — i wtedy są
dopiero sobą.

De Mangro? incivil...

gdybym chciała się tak bardzo poniżyć, czy nie znalaz-
łabym gorszego?

— Nie!

— No, może i nie. Ja z tobą tak dobrze mówię...

— Jesteś dzieckiem, które idzie ze świecą wśród rozsypanego prochu, wśród arsenału najstraszliwszych wybuchowych materyj.

Błagam Cię, ufaj mej przyjaźni — ty musisz iść na wyżynach!

— W komnacie mej ujrzysz królowę kolibrów i tarantul — nie orlicę!

najmigotliwszą i najgorszą z istot, które muszą zgubić...

Ty zaś jesteś Prometeusz nierozpętany! rzekła smutno.

Arjaman stał w mroku i stamtąd jęły wieścić słowa dziwne, potężne jak fale morza, a pokorne jak kwiaty.

— Prometeusz nierozpętany — tak! i wzywam Cię ze straszną dumą: wszedź na moje wirchy.

O miłość Cię proszę? nie, miłość tylko mogę przyjąć Słonecznej — bo oddam takie królestwo mroku, rozpętam takie chmury gromowe, rzucę takimi tęczami na wszystkie ludzkie cichego szczęścia doliny — że nie mogę prosić, lecz muszę mówić, jak przystoi na wirchu, już z łańcuchów rozkutemu.—Ty przyjdź do mej groty nad morzem, w przeobrażeniu słoneczna córka Okeanosa — fala olbrzymia słońcem świetlącą, mrokiem zachłannym swych głębin wyzywająca wszystkie gwiazdy — przyjdź, jeśli jesteś boska!

A jeśli z tej rasy roztropnych, w trzech wymiarach ludzi jeszcze zbyt szeroko się czujących —

to uznaj to Pani za fantastyczny nastrój — tę noc!

Lecz biada Twej duszy — zbyt straszne przychodzą moje dziewosłęby!... one urzekną — że każda Twa droga będzie już nizinna! od każdej góry Cię moja moc odtrąci — od każdego Mitu — i od wszelkich urzeczywistnień.

Czemu zamiast słowy kwietnymi nęcić—ja grożę?!

czemu mówię, jak Cassandra, gdy miałbym mówić jak Porcja, sądząca sprawę o funt krwi ze serca?! — bo jest mi tak straszno za Ciebie, córo Okeanosa—że ujrzysz tyle ludzkich małych tam, a choćby w znaczeniu ludzkim i wielkich, mirażów —

że ujrzysz przedewszystkiem jeden — w sobie samej— który Cię zmusi powiedzieć mi *nie!* i cóż?

niech to się spełni zaraz, niech usłyszę to Morze szczęścia, które mi odmawia — swoich tajemnic!

niech to się spełni zaraz przez ciebie, jak słowo bogów indyjskich, mogących nagle świat zmroczyć, lub nagle rozświetlić, ubłogosławić na wielkie epoki...

Te mroczne wirchy też pytają milczeniem —

bo nie zniosłyby tej obelgi, żeby to mogło być odrzucone — to — na co zbierały się wieki długich mrocznych męczarni—burz wiosennych, lśnienia gwiazd i szalejącego morza.

Uskrzydlim w sobie moc jedynie bezwzględnie wspinałą: Życie-Zgon.

O, siostrzo Dionizosa—raczej Ty Dionizosie kobiecy — słyszysz te skowronki które nucą już, choć wszędzie noc — zawczasie uwierzyły w wirchy Tatr — w urzeczywistnienie — — —

mój Dionizosiel...

Jeśli masz w sobie tę moc, której nazwać nie chcę — bo już tylu przeżywało ją — to mi się zjaw w wielkich górach moich —

przeobrażona — przesłoneczniona — najgłębsza — najdumniejsza — wymagająca — nieugięta — miłość w zbroi, godna być mitem —

lecz nietknięta przez mrówczany kwas ludzkiego ter-
mityzmu —

Dziewicza Atene w swym niewidzialnym jeszcze pro-
mieniu!

Przyjdź mi słowem jedynem, postacią swą jedyną —
lub zapomnij — zniwecz wszystko, co nie jest do urzeczy-
wistnienia!

Jeśli słowo kiedy mogło być boskim dziewosłębem —
wysyłam je — promienne, choć w mroku jeszcze — wy-
syłam je z najgroźniejszym najwspanialszym wezwaniem —
przyjdź ze słowem jedynem — Ty!

Górom wielkim nocy dzisiejszej błogosławię — choć
niewiadomy mi Wschód.

Niewiem, czy góry nie zechcą się zamknąć, gdy orzeł
szczęścia mego będzie wlatywał w te regiony wielkie
szafirowe milczące pełne niewypowiedzianych nigdy zaklęć—
w te bezbrzeża myśli nieujarzmionej nigdy — nieurzeczy-
wistnionej może też nigdy?

Przyjdź — Dionizyjska — i zerwij łańcuchy swe przed
tym, którego imię ma związek z jasnowidzeniem!

Błogosławię Ci, jeśli przyjdiesz —

i błogosławię Ci, jeśli się cofniesz, bo już muszę być
Wierzącym Ci mimo wszystko.

Tylko, czy nastąpi mój dzień Genezyjski —

czy mroczna Dantejska brama wyolbrzymi się prze-
demną —

Ty bądź istotnie Sobą — nie oglądaj się na nic, jakby
wśród płonącej Sodomy...

Mówię to Spokojny — niezachwiany niczem — prag-
nący Wszystkiego—mogący jednak żyć dalej w tych mrocz-
nych wyżynach, i nie wzywając już nikogo, o córo Oke-
anosa! — — — — —

Trwało czas jakiś milczenie. Zolima też stała już w ciemnościach, lecz zaczęła iść w smugę jarzeń dogasającego ogniska.

— Podaj mi, Panie, rękę i lejce.

Pana musi to bardzo kosztować, kiedy pan tak mówi? a może nie, Walt Whitman, Tennyson, Homer żyli długo.

Może Pana podwieźć?

— Nie wiem! rzekł Arjaman cicho.

— Nie wie Pan?

— Nie wiem, jak mi dusza rozkaże.

— Ach, jak ja bym chciała mieć duszę, ale ja nie mam duszy.

Mahomet był bardzo mądry i jasnowidzący człowiek. No, więc nie, napewno. Dobrze, że mi Pan powiedział, bo ja bym czekała.

Więc, pan jeszcze nie wie?

— Nie, ja wiem!

Zakazuje mi — nie ujrzę Ciebie. Miłości moja nadgwiezdna! —

Zolima w milczeniu ściągnęła lejce, konie rasowe pobiegły wspaniałym kłusem, tilbury zniknął i tylko chwilę jeszcze tętniły znikające odgłosy kopyt i kół.

Arjaman czuł w swej piersi, jakby rzekę zgęstniałej czarnej krwi. Nie miał gorączki, ale myśli jego były naraz, jak skrzydlate burze. Chciał biedz, porwać za koła, wstrzymać, wyrwać ją z tilbury—tę cudowną czarną panterę, wgnieść usta w te wielkie płomienne kochania oczu, i śmiać się z nią razem do szczęścia swego, któremu świat zamały, wobec którego Babilon dawny, Kartagina i Sydon i Korynt, i obecne zepsucia fenickie Paryża — są tylko obrzeżem wielkiej księżycowej bogini Astarty.

I mówił: Morze moje, Morze, Morze! —

Jakby wielkie mgły poranne zesunęły się z olbrzymia skalnego: naraz przejrzał on swój wirch z najczystsze- jarzącego się rubinu. Tam w bezdeniach mrocznych własną duszę groźną nadziemną kapłańską ujrzał Arjaman. Od miesięcy żył w automatyzmie rozumu, zniweczył wszystkie świątynie Magii — i widział tylko ścieżynę z jedynym świętym Mihrabem w skale Miłości —

teraz mogąc ją mieć, mogąc ją mieć, jak król Salomon królowę Sabę — opuszczał ją — dla swych najgłębszych słów — dla Niedokonanego.

Idzie —

Święty, Święty, Święty...

Cała ludzka namiętność odpadła go już. Przed wszystkimi duchami Tatr szedł, jak dobry rycerz. Ale mu jednak straszliwie jest smutno. Trzeba nie myśleć...

Kto mógł być ten potwór, który trumnę uwiązał do wiatraka? Wspomniał Arjaman opowieści o dziwnych tajemniczych morderstwach, dokonywanych przez jakiegoś kryminalistę, który podawał się za księdza. Niedawno zdarzyła się homoseksualna zbrodnia dokonana przez księdza gubernera na dwóch paniczach...

Splot dzikich nieprawdopodobnych zagadek. Trzeba je zostawić czasowi.

I zaczął iść, pędzony skrzydłami myśli groźniejszych, niż to wszystko — płynących z zapomnianej chaty nad morzem.

Nie były te przeczucia—niby Chrystusowe anioły kołające do bram:

były to jakieś kruki czarne, jakieś sępy olbrzymie lecące za żerem.

I on chciał zobaczyć, skąd płyną te sępy, gdzie lecą
kraczące te kruki. I szedł w kierunku swego domu.

Burza jeszcze leciała nad światem, jakby wybierając
najchętniej te miejsca, którymi szedł Arjaman.

Lecz on uciszał się w sobie i nawet starał się wrócić
do pogodnej twarzy morza, które widniało wśród stepu.
Księżyc wschodził.

Księżyc, wschodzący krwawo ponad misą stepu,
jakby wychudła twarz świętego Jana;
powietrze słodkie jak róże Alepu —
i morza dal błękitna — modra — zadumana.

I tu mi jeszcze słyhać Twe szlochania ciche —
jak krwawe liście klonu lecą na mą drogę —
i czuję, że Cię w trumnę kładnę, mą niebogę,
a idę w pałac marzeń stworzony przez pychę.

Złocę się, jak latarnia, umarłym okrętom,
i rzucam komet blaski w pomrok nieprzejrzany —
i tak mi jest, jak gwieździe okutej w kajdany,
co innych wiąże swą mocą wyklętą!

Wracam — i świerszcze mi tak rzewnie nucą,
jakby wejść miało ze mną szczęście w progii!...
Ludzie znów będą — lecz dusze nie wrócą —
co się rozstały płacząc — w gwiazdach Mlecznej Drogi.

Sen mi się jakiś ciemny przypomina,
który ostrzegał, by podróż zaniechać —
na próg w koszulce wyszła ma dziecina
i mnie tak żebrze: tatusiu, nie jechać!

Podniebne rzeki zmarzłego lodowca
łyły moje więzy do zimnych potoków,
lustra Sardarów ujrzały wędrówca,
który je przyćmił gwiazdą wieszczych mroków.

Po opuszczonym błąkam się ogrodzie
straszliwych przecuć, które ból tłomaczy:
śniłem, że brnę z mym dzieckiem w czarnej wodzie —
krew mu garełkiem biła — i w rozpaczy

niosłem na brzeg. — Więc ujrzę nad ranem
mój los — i niewolnik Boga
klękne u stóp — lub będę szatanem!

Tak mijał góry.

Widział już swe ukochane Murza Sihle, te dziwne mo-
czary za niem, dokąd zlatywały się jesienią zdała tropikalne
ptaki: ibisy, czaple, marabuty...

Niegdyś, gdy w Tatrach był klimat cejloński — tu za-
gnieźdżały się roje ptastwa. Teraz klimat się zmienił, lecz
instynkt ptaków wciąż nakazuje, przynajmniej niektórym
gatunkom, lot w te zimne niegościnnie już regiony.

Wśród nocy mrocznej idąc szybko przez las, musiał prze-
skakiwać doły, strumienie i wielkie wykroty zwalonych
drzew. Ziemia ta zdała się być istotnie macierzą smoków.

Świecił sobie odłamem fosforyzującej hubki, bo zapał-
ki zamokły mu, gdy musiał przechodzić wbród przez wodo-
spad.

Szedł lasem głuchym istic Madejowym. Straszne le-
gends o żywiołakach... Nad strumieniem głębokim prze-
chodząc, poślizgnął się na wilgotnym kamieniu i nie upadł,
lecz w skoku już niezrównoważonym uderzył kolanem

o brzeg przeciwny. W oczach mu zapłonęły ostre dziryty światła, czuł, że mdleje.

Lecz wytrzymał chwilę, przemył wodą bolącą nogę i szedł już z największym napięciem. Wicher dał potężnie, zmieniając puszcę w jakiś beznadziejny sabat.

Myśli Arjamana były, jak rozpacz ściekająca jadłem. I nie dlatego, że wyrzekł się Zolimy; lecz że słyszał, widział, dotykał się ran świata i rozumiał nicość wszystkiego.

Olbrzymia karawana śmierci ciągnie trumny i jeszcze trumny... Cały Turów Róg żyje na tych trumnach... trochę przegniłych resztek... a on w tej infekcji gnicia musi być pieśniarzem archaniołów. I biją dzwony — stawał i nad słuchiwał..

Wszakże przejrzał już wszystko, widzi lecącą w mrocznych bezgraniczach ziemię, o którą nikt na gwiazdach nie dba; widzi to życie krzewiące się z nędznego splotu bioder i ud.

Ludzkość — wielkie drapieżne glistowate jestestwo, pozostawione sobie samej, jak ławica polipów morskich..

Nie rządzi ziemią prawo boże. Prometeiczne wystarczanie sobie — dla duchów najwyższych ludzkich; dla innych — apetyt życiowy, metresa, noc lubieżna z kochankiem, złota rulon, wsypyany do kasy ogniotrwałej, sława roznoszona przez dzienniki — nie, jeszcze nie to męczyło duszę Arjamana!

Lecz miał pewność, że jakieś piekło bez dna i bez granic czeka nań tuż — zaraz za tymi drzewami.

Kiedy napłynęła nadzieja, obiecywał sobie, że musi wszystko być odmienione: będzie pracował jak Walt Whitman na ziemi ornej nad morzem i stworzy Religję.

Mag Litwor wiele mu rozświetlił tajni, inne będzie już rozwierał sam.

Drogą Jaźni iść!...

W chaotycznej, złowrogiej rewolucyjnej walce wszystkich przeciw wszystkim — będzie Wulkanem, z najgłębszych cieni swej duszy wyłoni cud — żywe fosforescencje nowego Bytu, jaki jeszcze nie istniał.

Potęga królów Assyryjskich złączy się z mądrością indyjskich Riszich.

Nagle zatrzymał się, serce mu przestawało bić.

Miał wrażenie, że coś niewymownie podłego owinęło mu Wielki ołtarz — nawet nie żmija — lecz płaz inny — nic, nic zwierzęcego — abstrakcja — cień —

tak, to lęk...

Lęk złowrogi, że się coś może stać, czego nie widziały gwiazdy — —

Wicher wył — drzewa skrzypiały lub, kołysząc się, tworzyły szum potężnego morza.

I mówił sobie:

wszakże mam teraz dopiero skarby, uczucia i możność postawić drabinę i na słońce iść zagasłe i je zapalić!

Mówiąc to, deptał jakieś podstępne pełznące łyzy.

Już był blisko domu. Paliły się tam złowieszcze światła.

Zapukał. Nie odpowiedziano mu. Serce mu zabiło gwałtownie, wyrwawszy się naraz, jak zwierzę z ciemnej klatki. Rozwarł drzwi.

W wielkiej izbie płonęły gromnice. Kilka gałązek nakrywało trumienkę. Tam ktoś spał.

Poznał te cudownie piękne rysy i nieruchome szafiry. W drugim pokoju leżało dziecko drugie.

Widać dogorywające. Lampka oświetlała straszliwą, krwawą, ropiejącą maskę na jego twarzyczce.

Oczy nic nie widzące patrzyły weń.

Cofnął się. Nie szukał wyjaśnienia. Był spokojny w po-

wadze straszliwej, podobny Djabłu, który stanął nad Synajem. Drzwi, wychodzące do kuchni, były rozwarłe. Na progu w półmroku siedział strach. Nie —

jego żona...

Ten wyschły szkielet... Dotknął jej twarzy... Ona uchwyciła jego rękę i zaczęła całować mokremi usty.

— Uspokójmy się — rzekł Arjaman, lecz głos jego wydał mu się tak dziwnym, jakby to rzekł upiór — zupełnie ktoś mu nieznanym.

Żona powstała i głowę przycisnęła mu do piersi.

Arjaman ujął jej dłoń.

I nie mógł uklęknąć wraz z nią, lecz coś szeptał do Kogoś.

Ale były to myśli straszne Demona już z piekieł.

On myślał, że, jeżeli nie stanie się teraz cud natychmiastowo, jeżeli mu te dzieci nie przyjdą z uśmiechem wesołym — jak dawniej — jeśli ta ziemia czarna podła — tak —

tym nożem on zamorduje — Tego na krzyżu — i tego jeszcze Tam...

Żona jego, szkielet, w którym biło nierównym, ciężkim dygotem serce — jakby ono tylko pozostało z całego człowieczego istnienia —

żona — kochająca go nad wszystkie światy za grobem i tu —

ona tylko trzymała jego dłoń, czując, że z nim się staje coś potworniejszego, niż dusza ludzka znieść może.

On podszedł do dzieciątka jeszcze tchnącego.

Położył dłoń na jego czole i coś mu nakazał, jak Mojżesz swemu ludowi.

Wziął duszyczkę jego w swe możne jestestwo.

Ujrzał świat, jako olbrzymią jaskinię Króla Wężów.

A serce leciało bezdrożem kamienistym, pod oślepiającym księżyc... i tak im świeciło! tak świeciło w tę Noc!

A gdym buchnął krwawicą z ust,
wszystkie się nieba zebrały anhelice
i płakały nademną.

Chmury zerwały tamę i pękł nieba spust.
Pachniały wieńce krzyża — i gromnice —
i stary Matki Bożej bohomaz świecił srebrem.

I lał się za oknem deszcz w mroku
i woda pluskała nad cebrem.

I zegar bił prędko dwanaście uderzeń.

I umierało jedno z moich białych wierzeń.

I byłem cichy, wiedząc, że w niebie jest na mnie
wydany sąd — i będzie głoszony stubramnie
po wszystkich murach — w Grodzie Potępienia.

Bułgotał w rynnach deszcz. Wlokły się czarne milczenia.

Zegar bił. Cóż jest Szatan? Ten, który idzie wbrew Boga.

W grocie samotnej nad morzem palą się dymy z trójnoga —
wśród drzew się szarpią błyskawice —

a z domu wyszły chore myszy, by zaczerpnąć tchu.

Tym myszkom ludzie święci wszczepili błonnicę —

— taki mrok zimny — i taka ulewa — i tu

ja niegdyś miałem niebo otworzone.

O Luciferze! tam gdzie lwy w pustyniach

i gdzie haftują gwiazdy czarną tajemnic zasłonę,

tam pójdę — z błyskiem ognia w podziemnych świątyniach!

W duszy Arjamana świat zniknął, zamiast niego utworzyła się otchłań. Było to tak, jakby w burzy Kosmicznej nagle zważyło się drzewo Igdrazil utrzymujące na swych konarach wszelki byt, zaś olbrzym życia Imir nie mógł i nie

chciał zasypać strasznej głębokiej jamy, w której się zagnieżdżyło piekło, sięgające głęboko aż w antypody rozumu — w absurd.

Rozum jest oparty na kategoriach i odczuciu życia. Wobec faktu śmierci musi zamilczeć lub mówi rzeczy dowolne, jak kanclerz Państwa niebiańskiego po jego ostatnim rozbiorze. Niebo zniknęło dla człowieka, którego pochłonięła ziemia. Bóg staje się najdoskonalszem nieistnieniem dla tego, którego pochłonięła rozpacz. Mówią jeszcze: Los. Lecz z równą ścisłością możnaby powiedzieć: Złośliwe Warjactwo.

Mówi się: konsekwencja życia. Lecz jakąż konsekwencja życia mogła utworzyć tę otchłań wszelkich niemożliwych cierpień, żądź i tęsknot, która się zwie—sercem? konsekwencja w okrucieństwie, niekonsekwencja w błogosławieniu?

Prawdziwie, dziwić się można spokojowi i rozumnemu uczuciu Arjamana, który z największą troskliwością żonę zaprowadził do groty i widząc iż ona zapada w letarg, magnetyzował ją i złożył na suchych wonnych magicznych ziołach.

Potem wrócił do swej chaty i nie wchodząc do wnętrza, podpalił ją z czterech rogów.

Teraz była kwestja co czynić dalej z życiem.

Wytrwać w spokoju nie mógł ani chwili. Pożerał go demonizm czynu, walki, chciałby okrętem być, który zmagają się z burzą, chciałby raczej burzą być, która wydziera lasy, najlepiej zaś — trzęsieniem ziemi i niszczyć wszystko: świątynie, kochanków, zostawić tylko fabrykę armat i teatr dla Pandemonium.—Zajrzał jeszcze, ujrzał żonę leżącą w grocie bursztynowej, gdyż całe dno usiane było wielkimi odłamami bursztynu, który stopił się w fantastyczną głębię zło-

cistą i purpurową. Przy świetle pochodni — wydawała się ta grotą godną czarodziejki Kallipso.

Szedł Arjaman szybko w księżycowym świetle ku jezioru Demonów, gdzie, jak mówią, można było wywołać Króla Wężów.

Nad morzem wiała się droga.

Nigdy Arjaman nie chodził szosami. Teraz mu było koniecznością nie być już na wirkach, gdyż czuł, że chwila — a rozpocznie się obłęd.

Pospolitować się musiał, pospolitować swą duszę, swoją męczarnię!..

Nie ominął i roгатki celnej przy miasteczku Perditempie, która była przeznaczona dla opłat wwożonego mięsa i wogóle żywności.

Usłyszał wrzaski już zdaleka.

W karczmie brzęk wybitego okna.

Karczem było w Perditempie mistyczne 44 i baron de Mangro chętnie popierał ten narodowy przemysł, skutecznie walcząc z żydami. To też górale przepijali rocznie większą część swych dochodów na gościach, t. j. zdrowie, kultura i przyszłość narodu oddawane były propinacjom. —

Wyleciała dama publiczna pijana, kawaler jakiś przekonywał ją miękko.

Dama krzyczała tak potwornie rynsztokową gwarą, że nawet pijany „Wyszybajło“ z maison publique nie mógłby nic trafniejszego sam na sam wymamrotać.

Po długiej chwili, kiedy wszystkie żony oficerów i urzędników, narażając na katar swe wdzięki wyneśliżowane w ciemnych lufcikach, nasyciły się już krótką plugawą zwięzłością całej Kama Sutry, swoistej nauki kochania — zjawił się nareszcie żandarm. Dama pijana upierała

się przy twierdzeniu, że cały urząd żandarmski ma o wiele niżej, niż zwykle się nosi order — nadto, że żona rotmistrza odbiła jej kochanka — i za to musi ona wybić jeszcze jedno okno!

Młody sutener miękko ją przekonywał, mówiąc: dziecko, nie mów nic, bo ja cię zafądziam. —

Dama odpowiadała mu Kama Sutrą swoistego przedziwa. Wreszcie na zaproszenie do aresztu rzekła, iż chce, aby i jej alfonsa wzięli, i jej matkę starą ladacznicę. — Jak chyżo przeskakuje jeleni kałużę, w której się kłębią robaki obmierzłe, tak Arjaman w innym czasie przeszedłby nie słysząc i nie widząc tego „na dnie”. Teraz widział, słyszał i głęboko się zastanawiał.

Nie może kościół zmienić natury ludzkiej. Bo natura ludzka wyrasta z takiego gruntu, na jakim nie zna się kościół.

Trzebaby innego zupełnie systemu gospodarki rolnej, aby glebę ludzką zmienić na wspaniały las życia, zamiast roślinności bagiennej. Polska niema już busoli moralnej w katolicyzmie. Dawniej husarzowi skrzydlatemu wystarczało błogosławienie kościelne, aby jego baba zmieniała się mu w echo mniej lub więcej bliskie Matki Boskiej. Lecz już ci nieliczni, dawni i współcześni korybanci wielkich misterjów Ziemi — czem są wobec narodowego sumienia? gorszycielami. Czem wobec natury? latarnią morską.

Lecz co to wszystko obchodzi teraz Arjamana? I co tu poradzą Tatry, wirchy, indyjskie Giwanty i Meru, na co tu zda się Mag Litwor, kiedy sama zasada życia w Polsce — jest trzęsawiskiem, w którym przegląda się karykaturalne Niebo!

Króla Węzów tu trzeba, jego potwornych żelaznych pierścieni, żeby to plugastwo ludzkie kopytami tratować,

w kadry szykować chłopów co walniejszych, igrać ze Śmiercią tak, jak ona igra ze świętościami istnień, w kobietach widzieć nie anhelice, ale Praiły.

A jeśli, którą trzeba poskromić — to tak, jak uczynił któryś wojewoda w Pamiętnikach Paska — co ostrogi przywiązał sobie do kolan—i tak poszedł do małżeńskiej łóżnicy swej niewiernej. Wtedy i ta przestałaby mdłą być polską niewieścią zacierczką.

Arjaman musiał iść czarnym glebem w mroku ku przełęczy, na której wicher zrywał skały i miotał w niedoślyszalne dno przepaści morskiej. Księżyc już był na wierzchołku nieba i oświecał nisko pod Arjamanem płynące zwały chmur, niby zamieć śnieżną.

W mroku rozmyślał nad jednym słowem.

Nad jednym słowem, jak określić tego Ducha, który to wszystko utrzymuje i niszczy?

Gdyż Karma jest tu pojęciem pastorskim. To że dziecko umiera w konwulsjach, nie może wypływać jako zadośćuczynienie z win poprzednich, ani też jako cement przyszłości. Już i Chrystus powiedział głęboką rewelację bezwinności cierpienia, mówiąc o wieży w Sychem, która się zwała przypadkowo na tłum. Arjaman nie był religijnym fanatykiem, jednakże rozpoczął teraz jakby proces z Bogiem, silił się aż po rękojeść wbić miecz swemu przeznaczeniu. I wiedział, że to nedorzeczne mścić się na skale, która przywalała mu serce. Lecz nie mógł przytłumić straszliwego zarzewia gniewu, który w nim palił się niewidzialny, straszny, jak pożar w kopalniach nafty.

Nie było na kim poszukiwać winy. Zaczął siebie oskarżać w sposób niezmiernie ostry inkwizytorski. Wprawdzie rozumowo biorąc, cóż mógł być poradzić na

chorobę zaraźliwą i śmiertelną, w miejscu gdzie lekarzy nie brakło?

Tak, jednego zabrakło — jego własnego potężnego żądania, aby się to nie stało!!

jego woła nie wzniosła się granią skalistą, przez którą niemogłaby przejść Śmierć.

Nie zażądał życia — on, który życie dał tym najdroższym!

Więc na dnie swej istoty — on zaprzecza życiu, on je chce zniszczyć, tylko w momentach zbyt straszliwego bólu — mówi: Życie, nie gaśnij!

Ten kto zaprzecza życiu, jest świętym lub szatanem.

Świętym Arjaman nie jest, nie chce być, gardzi tem!—

Omam nie spadł, gdyż zerwała się skałka mu pod ręką. Kruche były tu skały, niedarmo zwane Łomnicą.

Wszedł na przełęcz.

Wicher wył z siłą, mogącą połamać najgrubsze drzewa. Należało się kryć za występki skał. Lecz Arjaman czuł się dobrze w tej wścieklej muzyce, złożonej z tysiąca orkiestr piekielnych.

Mózg nie mógł nic wymyśleć, prócz poddania i rezygnacji. Lecz tych dwóch słów nie miał w mowie swej jaźni. Co innego, że można się zacząć.

Lecz na Kogo?

Z kim tu należy stoczyć walkę?

Kto jest dość potężnym przeciwnikiem?

on sam! Walka ze samym sobą—z własnym zaufaniem w szczęście, harmonję i wielki ład Kosmosu.

Ten, kto chce zwyciężyć swój los tragiczny—musi stać ołtarze Luciferowemu Światłu. Dlaczegoż klęka na tych głazach, skąd może być strąconym w otchłań przerażającą —

i modli się... ten atawistyczny polski Abel?!

Lecz Kain zamierza się nań maczugą! Kain-Król miast Cyklopejskich, praw na żelaznych tablicach rytych przy ofierze z tysięcy jeńców!

Świsnęło koło niego coś jakby kula i odbił się złomek granitu.

Tam nad jeziorem — uczuł, że jest jakaś Furja piekielna.

I nagle wspomniął powiedzenie żony — iż widziała widmo kobiety czarnej pięknej, która zabijała mu dzieci.

Medea... czy iść ku niej?

Wymierzył cios maczugą, wydał tryumfalny świst i zbiegł olbrzymimi susami, jak kozodój, djabeł skalny, kiedy z dzikiem jarzeniem w oczach, wyteżając wszystkie swe siły, ściga i zabija echa świętych wielkanocnych dzwonów, które tu wlatują w Tatrzańskie mroczne samotnie.

Zaiste, był teraz synem Króla Wężów!..

Nad jeziorem rosły niezmierne, z pewnością więcej niż tysiącletnie, modrzewie i limby.

Wśród lasu nad jeziorem był prawieczny dąb, wyżłobiony wewnątrz, lecz zielony nawet zimą, ostatni król dawnej puszczy dębowej. Tajemnicę mocy jego życia stanowiło maleńkie źródło wiecznie ciepłych wód. W Dębie gigancie była świątynka, do której Zolima uciekała czasem, miewając też, jak Muzaferid, wybuchy melancholji.

Jeśli nie wyła nad morzem Kościeliskiem, gdzie potonęły dzunki, to wpatrywała się nieraz, zesiadłszy z konia, z rękawiczkami długimi zaciągniętymi nad kolana, niby klin-ga krzywego miecza — w sukni czarnej z włosami rozwianymi —

wpatrywała się w toń bezdennie melancholijną, złowrogą, bez dna. W dębie płonęła zielonawym mżeniem

lampa, przeciskało się światło przez ciężką ze skóry niedźwiedziej zasłonę.

Dąb był tak gruby, iż trzeba było uczynić sto kilkadziesiąt kroków aby można było obejść dokoła. We wnętrzu pnia rozległ się poryk, jakby dzikiego zwierzęcia. Arjaman wszedł przez zasłonę. Ujrzał iż wnętrze dębu było podzielone zasłonami na kilka maleńkich cel. W pierwszej był głaz i na nim bożyszczce mongolskie szczerozłote.

W drugiej (atmosfera wonna od werbeny) był stolik lakowany mandżurski, na nim rozłożone karty też nie europejskie, z wschodnimi kabalistycznymi znakami.

Mata do spania, instrument dziwny do muzyki, sztucer wiszący na ścianie dębu, oraz kilka książek wschodnich na półeczce. Były tu nadzwyczaj rzadkie lub może nieznanne rękopisy praw Dżyngishana, opowieść z miniaturami o Potockiej w Bachczysaraju; tom Beniowskiego i tom wyższej matematyki.

Kiedy to rozglądał Arjaman, nie dotykając niczego, rozległ się wesoly śmiech tuż z za kotary.

— Widzi Pan, że mnie Pan znalazł. Ale do mnie teraz nie można. Tu jest cysterna kamienna i ja kąpię się w tym naturalnym ciepłym źródle. Zbyt zimną jest bowiem woda tam w jeziornych głębinach, żeby można było spełniać nakazy Proroka. Jakże pan przyjął moje powitanie na przełęcz? Ta kula wyleciała z mojego sztuczeru. Ktokolwiek by tu szedł, spotka się odrazu z moją kulą, a wyczuje go choćby na największą odległość moja czarna pantera, z którą radzę być w wielkiej zgodzie. Kto się jej spodoba, temu krzywdy nie uczyni.—Mój sztucer niesie na 4000 metrów i na ten dystans, Pan wie, iż nie chybiam. Zatem ma pan już drugi dowód, iż właścicielka pantery jest dla Pana odmieniona. —

Usłyszał potem już tylko pluskanie wody.

Cisza.

— Przepraszam, że wyjdę w mym bałachonie. —

I weszła w złocistej jedwabnej tkaninie podobna do Djany myśliwej, trzymając za obrożę panterę czarną, która łasić się zaczęła do Arjamana.

— Właściwie, to jest zły znak, że Pana takie zwierzę może odrazu polubić.

Witam w Nieszczęściu, o którym wiem z kart. —

Była wonna młodością boskiego ciała, cudna od upojonych włosów, rozsypanych jak węże. Oczy jej były teraz podobne do zatok Morza Czarnego, kiedy wśród burzy znącą się z dna ily naftowe — wielkie tęczowe kręgi nadają mrokom wód jakiegoś niesłychanego demonizmu żrenic Lewiatana.

— Ja kładłam kabałę. I wypadło wielkie nieszczęście przeżyte już — i prawie mogłabym dokładnie powiedzieć!

Najważniejsze, iżśmy się odnaleźli.

Nacóż mamy gubić znowu swój ślad w nieskończoności? Mówię to, bo mnie niepokoi wyraz Twych oczu!

Nie dziw się, że mnie widzisz inną, niż mnie znały Twe myśli. Jestem zaprawdę taka, jakiej pragnęło Twe wieszczę serce. Lecz stało się to naraz—w owej chwili, kiedy mówiłeś do mnie przy tym djabelnym młynie — byłam tylko lub pragnęłam stać się zwykłą Demi-Vièrge. Teraz jam Walkirja, godna Demona! —

Arjaman stał na progu grotty dębowej, patrzył w jezioro przy księżycu i schylał się, biorąc grudki śniegu do ust.

Zauważyła to Zolima, szybko naląła gotującej się wody do imbryczka, zasypała herbaty dziwnej, bo wnet powietrze stało się pełne chińskich róż.

Na złotej tacy przyniosła Arjamanowi dwie z przezroczystej starej chinu filiżanki, klękając przy nim, jak wyśniona kochanka Peri.

— Kiedy wyjdziemy stąd, roztworzym bramy nowym dziejom.

Ty posiadasz w sobie więcej, niż Faust, fakultetów i jesteś z uzdolnienia wynalazcą nieustępującym X. Hubertowi.

Więc wraz z kapitanem Anacharziszem tworzycie potęgę. Rozwiążecie wszystkie zagadki świata Du Bois Reymonda. —

Ty metafizyką i religją nową, ks. Hubert swymi wynalazkami lotu napowietrznego, przedłużeniem życia do kresów dowolnych. Książę wiele już zdobył, lecz niema celu dla swej woli.

Ten cel metafizyczny Ty możesz tylko odkryć.

Kapitan Anacharzis ogarnia sfery działań społecznych.

Ja będę Twą inspiracją.

Teraz, kiedyśmy już to omówili, czy mogę Mu podać filiżaneczkę herbaty z ogrodów bogdyhana? zbierałam własnoręcznie, bo matka cesarza była dla mnie bardzo uprzejma! —

Kiedy Zolima ofiarowała filiżaneczkę lotusową, w której złościł się płyn, Arjaman podjął szczyptę ziemi, potem zakłuł sobie rękę puginalem i krew tę sączył do filiżaneczki.

Napój dziwaczny krwawy i czarny od ziemi chciał podnieść do ust.

Lecz Zolima go wyprzedziła.

— Mistyczny obrządek wystarczania sobie samemu?

To będzie dla mnie — i wtedy znaczy, że nie możemy już rozerwać łańcucha. —

I w gnieniu oka wypięła.

— Trudno mi mówić Tobie po imieniu. Chciałabym

Ci nadać tytuł jakiegoś wschodniego władcy, lecz taki jakiego jeszcze nie było. Tu jest duch w tych górach, który nigdy jeszcze nie skalał się przybraniem ludzkiego kształtu. Bądź nim...

Gdybym miała duszę, oddałabym ją Jemu.

Ale ciała bez duszy On nie chce.

Otóż błędne bramy labiryntu!

Widzę Ciebie teraz lazurowym, jak posąg Buddy w księżycowym świetle! —

[Więc dla tej meduzy było jeszcze światłem wrzące w nim piekło, i on — Demon, wydawał się jej w aureolach świętości!!]

— Lecz to może znaczyć zupełnie co innego. Utraciłam brata, miał lat 18, był idealnie dobry i chciał być koniecznie Suffim, t. j. świętym mahometańskim.

I raz wchodząc do jego pokoju, zastałem go wiszącego. Pokażę Ci fotografię — uczyniłam ją, kiedy wisiał. —

Zniknęła za zasłoną.

Arjaman, mimo iż był silny, nie obliczył, iż wszystko się kończy i siły witezia Pratatr również.

Wyszedł za próg, gdzie leżał w wąwozie śnieg — oczu nie odwodził od jeziora, na którym tańczyły mirjady iskier złotych, drukowanych przez księżyc w niewysłowną Biblię duchów.

Król Wężów śle mu orędzie swe — lecz co znaczy — iż jego całego ogarnia Chrystus? Odepchnął — —

Poczerniało mu w oczach.

I padł twarzą w śnieg. Leżał tak bez ruchu. Zwlókł się potem o kilka stóp, siedział na śniegu i patrzył znowu w jezioro — bo tam znowu pisał Król Wężów swe orędzie, teraz nawet sam płynie przez jezioro — olbrzymi korpus

wzniósł nad wodę, niby okręt Argo zwycięski—obłok czarny z niego się oddziela.

Znowu Arjaman wyciągnął się na śniegu bez czucia.

Kiedy wzrok jego błaznić zaczął w wyżynie nieba — uczył, iż ktoś obok siedzi, włosami owija — i na piersi jedwabistej kładzie jego głowę.

Arjaman nie widział nieba nad sobą, widział serce krwawe tam po ścieżynie w górach, wlokące się wolno — z trudem, drące się na głazach.

Meduza przy nim, która ma węże na głowie, wydarła tamto serce!

Przypomina teraz: w grocie Króla Węzów znał już Zolimą — zwała się —

nie pomni. Starodawnie, a w najdalszą przeszłość...

I znowu mrok w oczach...

Serce tam na ścieżynie górskiej zaczęło się wpatrywać w niego jasnowidzącymi oczyma.

Wstał i podniósł się nakoniec z tego trzykrotnego raz po razie omdlenia. Wziął do ust śniegu, był zupełnie przytomny i wiedział, że takim już zostanie.

Śmiał się. Lecz to jemu tak się zdawało, bo Zolima usłyszała tylko głuchy zgrzyt zębów.

Leżała nieco wyżej nad nim, rozłożyła szkarłatny szal, księżyc oświetlał jej niebieskawe ciało w rozwiewającym się jedwabiu.

Noc była letnia niezwykle ciepła.

— Nie weźmiesz mię? — spytała cichutko, jak Persefona, kiedy za chwilę ma wstąpić w mroki podziemi Hadesu.

Zaspiewał Arjaman — echo śpiewu dzikiego potężnego zafalowało wśród skał. Król Węzów napił już ze swego rogu, napełnił mu płuca wichrem z Atlantyckich roz-

chybotañ wodnych; władał teraz Jaźnią, jak mityczny heroj.

— Ty wiesz, rzekła: noc taka nie powtórzy się już w zodiaku mego życia.

Rozkwitam tej nocy i tej nocy zabłyśnie, jak meteor, kwiat mojej duszy.

Jeśli możesz zapomnieć dla mnie o swym nieszczęściu, przyjdź.

Jeśli możesz być Zdobywcą świata, który na rydwanie jadąc, nie patrzy, na kogo wstąpią kopyta jego mrocznych rumaków — z gwiazdami na naczelniku swych łbów — przyjdź.

Jeśli możesz zemną wejść do groty Króla Wężów i tam nowe prawa napisać dla Polski — idźmy tam.

Nie możesz tego uczynić samotny, jak dawniej. Jakaż mocą będziesz się nakarmiał w tych złowrogich pustyniach? — Ty, który masz niebo nicości nad sobą, noc antarktyczną w swem sercu — i tylko głęboko tam, najgłębiej — niedojrzany pieni się Ocean strasznej nieohamowanej, nie z tego świata — metafizycznej radości!

Ja widzę Twą istotę —

i dlatego niema okrutniejszej dla Ciebie, niż moja gwiazda. Wyrzekam się marnych form, zwietrzałych słów — dla najgłębszej istotności, którą tworzymy my dwoje — w Nieskończeniu!

Patrz, zanim ten księżyc będzie zakryty chmurą, która się do niego zbliża, zanim naga mnie zamrozi ten wicher — przyjdiesz do mnie kochanku Błyskawicy, jakiego nie miała Heloiza, ani Sziakuntala!

Przyjdiesz. Lub jeśli nie przyjdiesz, zapadnie między nas otchłań większa niż ta, która roździeliła Hewę, idącą za Wężem, od Archanioła.

Jestem Kobieta — Światło Wschodu.

Mogę stać się Nemezis, mrokiem podksiężycowych
ciał —

jako ta mumia w British Museum królowej Egiptu
Nemezis, której każdy kto dotknie — umierać musi; każ-
demu, kto upragnie jej mrocznych agatowych oczu—niesz-
częście zabrzmi w jego najgłębszy mogilny dzwon. —

Wysoko wśród modrych niewypowiedziane głębokich
Apokaliptycznych zasłon — góry aż ku planetom wzniesio-
ne, i tam jakiś olbrzym Bóg... cherubimy niżej zstępują
po stopniach — uczuł iż on sam ma skrzydła, ma sześcioro
skrzydeł, które go niosły nad głębiami — tam!

Tu zaś kobieta wyśniona, będąca zaprzeczeniem wszyst-
kiego Nieba — i wstępowań!

Jako człowiek, który uchwycił rękoma za dwie roz-
chodzące się skały w Odyssei opiewane —

nagle czuje, iż one się rozchodzą — nie może wypu-
ścić żadnej z nich, a pod nim straszliwa morska wira skłębia
się — wicher nadomiar mu bije w twarz i zaślepia, — ska-
ły rozchodzą się, trzeba jedną z nich wypuścić na zawsze —
w jednej z nich — i niewiadomo w której — najświętszy
skarb, najświętsze Przeznaczenie — —

tak Arjaman czuł się w nieludzkiej męczarni roździe-
ranym.

Wtem nagle wspomniął oczy zimne swej małej kró-
lewienki — buchnął w nim tak potworny niesprzymierzony
odtąd już nigdy z Niebem gniew —

że krzyknął dziko tryumfalnie, jakby miał już pod
swym mieczem tego pożądanego Wroga!

Śmiał się wspaniale, zwaliwszy wszystkie zakony świa-

ta, jakie objawiał kiedykolwiek Zarathustra i Manu, Chrystus i Orfeusz...

Wola jego była teraz ową pieniającą się wezbraną szeroko rzeką, która już wypłynęła z cieśnin górskich. Mógł czynić, co chciał.

Miał wszystko, czego zażądał kiedy. Mógł być Czarnym Magiem i miał Selenę. —

Chmura zbliżała się do księżyca, miała go zakryć za chwilę.

Zolima stała posągowo naga w uchyleniu swych złotych szat. Boska — w udach mocnych, w piersi rozwiniętej, w łonie będącym tylko niedostrzegalnym falowaniem od ud aż do gór piersi.

Lecz nadewszystko głowa jej w całej puszczy tropikalnej mrocznej włosów — i twarz teraz w miłości mistycznej dochodząca grozy... Wśród wierzchołków gór wichur zaczął grać melodję obłądną, jakby całe miasto demonów płynęło w powietrzu.

Czemś niewyraźnym przenikniona Zolima zaczęła biedz. Biegła ku wzgórzom leśnym, wyczerpana upadła głową w dół na dziki zwal głazów.

Nie było tam murawy.

Księżyc oślepił i z głazów czynił jakieś bryły niebywałego blasku — niby lazuli, malachit, onyxy, blade aragonity — i mroczny nierozświetlony nefryt —

Arjaman szedł zwolna, podszedł do leżącej rusalki. Podniósł ją i patrzył.

Nie całował jej głowy, leżącej niżej niż tors, przechylonej ku jezioru tak, że jezioro to odbijało się w jej oczach, niby w dwóch świętych Sezamach.

W powietrzu muzyka mogilnej melancholii łkała, zdało się, jakaś postać z ołtarza padła na klęczki i błaga — i czoł-

ga się — i tęskni. Błyskawice krwawe jęły mżec, gaszac blask miesieczny.

Legł obok niej i patrzył w jezioro, gdzie dzialy się mity. Uczul jej usta, calunku nie oddal wzajemnie. Wzial ja tak zimno, jak waz laczaczy sie z wezyca.

Ksiezyc zlaczyl sie z chmura.

Nie wiedzial nawet, czy odeszla z niego rozrodcza moc.

Kiedy Ona wytezyla sie w ekstazie, gigantyczna postac Krola Wezow zablysla wsród gor, przechylista swa korone nad falujace lasu wierzchołki.

Arjaman wyrzekł glosno spokojnie, jak bizantyjski cesarz Archiereus, czytajacy wyrok zaglady dla calego plemienia inowiercow:

— Niechaj bedzie Demonem na wieki wiekow—to, co sie z nas teraz narodzi. —

— I ja tego zadam rzekla Zolima.

Mrok.

Chmura przeplynela — lecz ksiezyc juz zaszedł za gory.

Mzenia błyskawic stawaly sie coraz potezniejsze.

Wstal i odjal rece Zolimy ze swej szyi.

Krzyk bardzo slaby, daleki.

Na przeleczy w dlugiem konwulsyjnym mzeniu lysnicy—ujrzal zone idaca w lunatyzmie, targana wichrem, czepiacą sie skal, ktore wisialy nad jeziorem.

Mrok nagly. — Arjaman juz zrozumial wyrok piekla wydany nad soba, zalozył rece i patrzył w mrok. Lysnelo. Z wyzyny tysiac metrow postac biala, wydajaca sie przezroczysta okiscia zamarzla, wyciagnela rece — jakby bogoslawiac — czy — —? wtem wicher ja porwal i uniosl.

Arjaman tak zatrząsł młodym drzewem jodły, o które się wspierał, iż ono trzasło u nasady. Mrok nieprzejrzany.

Teraz — teraz — łyskawice tworzą jeden taniec szalony nad jeziorem, podobnem roztopionej lawie w kra-
terze —

jeszcze leci ta mewa!

nim dobiegł Arjaman jeziora, tam runęła.

Fontanna obłoczna wytrysła z nurtu czarnego, niby gejzer gorących łez. Bo musiały być gorące łzy jeziora — bo tu musiał ktoś płakać — — choćby jezioro i kamień!

Wśród lasu mrocznego, więcej niż tysiącletnich modrzewi i limb, wrytych w niewymiernie smutną rozpaczną, tylko że zazwyczaj nieświadomą ziemię Tatr, szedł Wędrowiec.

* * * * *

X.

TROCĘ METAFIZYKI I KRWI Z PŁUC.

Mgła zakryła puszcę i Tatry.

Z okien Turowego Rogu widok, jakby na targaną zwątpieniami duszę; chmury Wezuwuszowym popiołem przytłaczały niebo, zabierając ze ziemi całe światło i oddech; niewidzialne niezłomne podniebne wirchy, mroczne lasy, zanurzone w mgłach — nie błyskają już w szmaragdowej baśni, nie roziskrza ich słońce; w kaskadach nie śpieszą zanurzyć się pluskotnice — tylko Czarni Pankowie, w mgłach zatuleni, zagrzebują ostatnie klejnociki światła w przepastne urwiska.

Osunęła się zasłona Apokaliptyczna, zasłona śmierci, zasłona z wielkimi wlokącymi się szponami Lewiatana, jakby nagłe zgaszenie świata—raczej tylko onej lichej zwierzchni, na której dzieje się życie ludzkie, bo nad chmurami wieczna jest pogoda — tam słońce — prastary mityczny bóg Światowid. Tylko mityczny? —

Młody Xiądz Bazyłjanin patrzył w mgły.

Jego twarz rzymska, jakiegoś z Liwjusza historii dowódcy, który zgnębił hordy Markomanów—jego twarz miała

teraz tak dziwny wyraz, że Matka, rozmawiająca z Panią Ameńską, kiedy ta ukazała jej szczególny ból na twarzy Mnicha — porzuciła nagle robotę, pytając:

— Synu, co Tobie?

Nie odrzekł nic, patrzył w dalekie mgły.

Pani Mogilnicka wyszywała dalej ornat: na tle jedwabnej, mieniącej materji o tonach kości słoniowej, przechodzącej w złoto i aż w purpurę — wielkie liście winogrodowe od młodych zielonych pędów aż do macicy, karmiącej fioletowe grona, wokoło zaś brunatno-czarne liście, zjedzone przez gąsienicę. Istna symbolika życia zatrutego!

Robotą piękną, wenecką, posuwała już haft ten kończony, bo wkrótce następował czas pierwszej mszy jej syna.

Bazyłjanin powstał. Olbrzymiego wzrostu, w czarnej, długiej szacie zdawał się nie kończyć i nie zaczynać.

Pani Mara spytała:

— Bracie Konstanty, co Wam jest?

Milcząc, Bazyłjanin wyszedł z pokoju — porwała się już Matka jego — załamała ręce, mówiąc:

— Chryste, Tobie go oddaję, ale mi go nie zabij!

Wtedy z rozdartego jej łona, przez które zdawał się prześwieślać miecz nagi — wypłynęła wielka, jak struga krwi, spowiedź.

Młody Bazyłjanin szedł w las: naprzód przez potok szalony, po kładce zmurszałej, gdy każda tafla załamującej się wody usiłowała zmącić uwagę, strącić przechodnia w dół i nieść go, targając na głazach, zatopić w kaskadach, zawirować nim w głębokich, szmaragdowo-modrych cysternach! Kiedy już potok minął, zaszumiały wiekowe jodły — każda kościołem będąca, każda arcytworem strzelistego aktu, każda

samotna—mniszki i wojownice, kochanki wichru, córy gór, niewymownie tragiczne, nieskarżące się nigdy, może nie mające komu?

X. Konstanty szedł upity winem bólu z wężowego ziele — z tego szaleju, co rośnie na wszystkich drogach duszy, i nawet przy najcichszej chatynie, gdzie kryje się samotność — tam nawet w księżycowych blaskach mdłe kielichy zapraszają do uczt czarnoksięskich, tam ćwiartuje się serce, stygmatyzują wargi rozpaloną krawędzią puharu i spłomienia się język, który wypowiedział: *Ergo—Deus non est!*

Bazyłjanin począł zrywać paprocie i opędzał niemi jakieś myśli trwożące, niby naszczekujące piekiel widma, wreszcie, spojrzawszy na obumarły jednego drzewa wierzchołek—zadumał się; wzdrygnął, wspomniawszy, że Swift w przeczuciu idącego nań obłądu—do takiego drzewa porównał się, mówiąc przyjaciółom: „Bracia, mnie czeka ten sam los, jakiego to drzewo już doznało: to jest, będę tak, jak ono, obumierał, począwszy od wierzchołka”. I wskazał na swą głowę, wymawiając te słowa. Trwając w tej myśli—sporządził testament na budowę i uposażenie szpitala dla idjotów i lunatyków. „Z utratą rozumu, pisał, utracę prawo do osobistej wolności: i przeto mą bezwładną istotę zabezpieczycie w domu obłąkanych, na który wam fundusz zostawiam”.

Zrozumiał X. Konstanty, że Polska tak obumarła od wierzchołka swego.

Uprzytomnił nienawiść wzajemną narodowości, które ją składają, zamęt partji, głuche wrzenie i mordercze wybuchy warstw przeciwko sobie — całe rojowisko szakałów, oszczekujących świątynię Ducha — a w tej świątyni martwa, zastęgła cisza, przerywana żarzeniem błyskawic! Nikt nie jest powołany, aby tę ciszę przerwał jakimś słowem, przyniesionem z nad rzek Wieczności... chyba oszust!...

On zaś — czy ma jeszcze prawo bronić krzyża?
Życie jego wstało przed nim w oddali zamierzchłej.

— — — — —

Był jeszcze pacholęciem, miał lat 7, chodził po szuwarach nad Sanem, zamyślał się — i w dzień swych imienin do Matki rzekł: ja muszę być księdzem.

Matka, wierząca głęboko, oddana Chrystusowi służebna, choć magnatka na ziemi — rzekła: „Tak, synku, ale przez 7 lat nie będziesz o tem mówił nikomu, ani nawet myślał”.

— Mówić nie będę miał już więcej komu, ale myśleć muszę o tem, bo to jest moje życie. —

Oddali go rodzice do gimnazjum, ćwiczyli jego umysł i duszę, na wakacjach dnię całe spędzał na koniu, lub w lesie i w kniei wśród myśliwych — na niwach szumiących wśród żeńców, wśród ksiąg i przyjaciół w ogrodzie.

Mając lat 14, przyszedł w dzień imienin, milcząco i nieśmiało do Matki. Myślała ona, że to może jakaś prośba dziecinna, że ujmie się za którym z braci i weźmie jego przewinę na siebie, — lecz spojrzawszy w jego oczy niesamowite, już wiedziała, czego chce od niej Chrystus.

I tylko krzyknęła: „Boże, daj jemu moc!”

Matka i syn tworzyli odtąd jedno mistycznie zrosłe drzewo. Konstanty poszedł do uniwersytetu; ukończywszy, przedłożył ojcu prośbę. A była to prośba straszna.

— My jesteśmy renegatami, rzekł. Byliśmy dawniej Rusini, opuściliśmy brać naszą ciemną, magnacki przepych nie daje nam już nawet do niej dostępu. Nawet Wy, Rodzice, nie zagładacie już nigdy do opuszczonej cerkiewki! —

Ojciec surowy i dumny, zmierzył go wzrokiem ranionego tura.

— Nie wiesz, odrzekł z wolna — że przez cały czas Rzeczypospolitej ród nasz był obrzędu uniackiego? ostatni metropolita był z naszego rodu!

Nie dla faworów Rtej możnej zmieniliśmy wiarę, ale gdy Polska upadła w ostatnim rozbiorze — odrzuciliśmy zarazem i ostatnią zaporę od jej duszy. Byliśmy z dawien matki tej Ojczyzny dzieci, lecz, od chwili rozdarcia, jesteśmy już w godzinę męki jej zjednoczonymi, t. j. katolikami.

Któż ma prawo cofać naród w jego rozwoju duchowym? lub może tęsknisz do tych czasów, gdy, jako kozaczek, nosiłbyś ogon za Potocką?

Zachmurzył się syn. Matka rzekła:

— Tu ma prawo mówić tylko Chrystus.

Rzekł Konstanty:

— On już powiedział mi, bym Tobie, Matko, dał hostję z tej małej cerkiewki, kiedy lud się zbierze, przyniósłszy zioła. —

Straszną miał twarz wielki magnat, pan Mogilnicki, jakby słysząc w uszach brzmiały krzyk: „Zdrajca!” Mimo to silił się na spokój.

— Tak, rzecze, spełniaj Twoją własną wolę, lecz nie przypisuj jej Chrystusowi.

Z mej strony, ja stawiam warunek ostatni: jeszcze dwa lata kształć się za granicą, poznaj przyrodę i współczesną myśl aż do kresów, wtedy pojedziesz na rok zwiedzać wszystkie główne monasteria prawosławne od cerkwi Katarzyny II i soboru Mikołaja w Petersburgu po skity fanatyków Oneżskich, po Sołowiecki Monaster więzienny; zbadasz świętych w Kijowie, powitasz nowego Iwana Gołowskięka w Berdyczowie, zapoznasz się też z Ojcem Kronsztadzkiem i Najświętszym Synodem, oraz z — Pobiedonoscewym! —

— To nie jest moja wiara, rzekł Konstanty.

— Ale obrządek ten sam, bizantynizm ten sam! rezultaty i na Rusi będą te same. —

Ukończona rozmowa. Wyjechał znów syn.

Przeżywał Nietschego i Avenarjusa, Ostwalda chemję i Poincarégo matematykę.

Wyjechał potem na Wschód z listem żelaznym, który mu ojciec magnat wyrobił—i rozwarły się przed nim wszystkie bramy, furty i skrytki klasztorne, zwiedził i poznał hipokryzję, tragikomedję, udany blask, udaną wiarę, nieudane rozpaczę i obłądy, widział rozpustę i nierządne hołdowanie najgrubszym rozkoszom, widział cyniczne oszustwo w imię Przemienionego, zamykanie w imię Taboru wszystkich Bram Życia... I cudowną głębinę tęsknoty...

Chrystus na niezmiernym moczarze przyzywał w ciśnie rozślonecznione, mówił, gdy szedł Konstanty wśród najbezwstydniejszych szaleństw tłuszczy na paryskim Longchamps w dzień wielkopiątkowy — zarówno jak kiedy wychodził z cerkwi, wyłożonych porcelaną i fałszowanem złotem, gdy modliły się tłumy chuliganów, mających rzezać i bić na śmierć „kainowe plemię żydowskie inorodcze”.

Konstanty wznosił nad wszystkim krzyż,—i krzyż ten zmuszał go iść Doliną Niewidzących, ustawiać kamienie węgielne wciąż rozbijanych miłości.

Po latach paru działania wśród ludzi, Konstanty zamknął się w klasztorze, by stamtąd wynieść prawo mówienia do wielkich rzesz; lecz wtedy właśnie wprowadzili tam regułę z IV wieku dla umartwienia ciała, dla zabicia wroga mniemanego.

Konstanty żył w celi, wychudły szkielet, z duszą przetorturowaną, lecz wyniosły i wynoszący.

Jednego wieczora, krew mu buchnęła gardłem i lała się, jak z rozplatanego zwierzęcia...

Wyjechał w Tatry, czując, że nie może dłużej dźwigać tego szarego, nie czyniącego już cudów, monasterskiego krzyża.

Wierzył w Chrystusa mocno, niezachwianie — lecz ta rzeczywistość kościelna, jak turyńskie prześcieradło, ukazująca mu, zamiast Boga-człowieka, jeno tęgie ciało z rozbitym nosem i ponurą twarzą; ta rzeczywistość, która czyni tłum nosicielem instynktów tabunowych pradawnego zlepu Homosimiusów; ta rzeczywistość, która Europejczyka tylko pozorami różni od Buszmena — i jeszcze wyższa, głębsza rzeczywistość przemijania wszystkiego, co wyniosłe; rzeczywistość trwałej równowagi wszystkiego, co poziome; i ta ostatnia rzeczywistość: śmierci — pocziwej Matki, wygrywającej na flecie piosnkę wieczornego zmierzchu... wszystkim...

Nikną wobec takich uczuć wszechświata cierniste chłosty gazet polskich, że zdradził Rusin Polskę! albo w rusińskich, że ten panek polski chce zrobić karierę metropolicką... wszyscy otwarcie tryumfują, cieszą się — że on tam w góry pojechał i umiera z nieuleczalnej choroby.

Zaiste, zgarbiony idzie, jak starzec, smutny, bez kropli krwi w sercu.

Miłuje Chrystusa, rozmawiając z nim, jak Nikodem, już nie nad stopniami przeźroczystych wód, ale nad niechlujnym moczarem duszy współczesnej, nad moczarem, w którym wyją wszystkie stada wieprzowe, a lśnią gdzieniegdzie zatopione góry z gwiazd.

„*Sicut ego nunc Deum non esse, probol!*“ powtarzał machinalnie, przypominając dawną Polskę. Oto wstał przed nim straszny cień spalonego za Króla Jana III ateusza Kazimierza Łyszczyńskiego. Ten wiódł życie nieposzlakowane,

lecz zadumany nad istotą wiary i zwątpiwszy o istnieniu Boga, na 15 arkuszach wypisał zdania starożytnych i nowych autorów, dowodzących, że Boga niema.

Sąsiad jego, łajdak, który był mu winien pieniądze, chcąc skrewić dług, doniósł Biskupowi.

„*Polonia non parit monstra*“, mówił na sądzie Instygtor, a teraz tego nie można powiedzieć, bo Łyszczyński monstrum!... I tacy obrońcy Boga, jak prymas Radziejowski, wnieśli karę śmierci w mękach i płomieniach. Skazaniec, zrazu przeświadczony o swej niewinności, mówił w końcu słowa, rozpaczą i obłąkaniem tchnące: „jeżeli przeciw mnie zapadnie ciężki wyrok, wątpię, czy tłoczącym mnie pokusom potrafię się oprzeć”...

Wyprowadzono go na miejsce stracenia. Pastwiono się naprzód na języku i ustach, któremi „srogo krzywdził Boga”.

Potem spalono rękę, to narzędzie najszkaradniejszego płodu, dalej papiery bluźniercze; nakoniec on sam „potwór tego wieku, Bogobójca i Prawołamca — Legirupa, impudens, impurus, inverecundissimus — został ścięty i pożarty błagalnemi płomieniami, jeżeli tylko można przebłagać nimi Boga” — zastrzegł biskup.

Jakiż potworny widok ciemnoty, którą zaszczepili Jezuici, nieraz wybitni jako pojedynczy ludzie, a niweczający narody, jako Zakon *).

*) Swym rymowanym Alwarem i bizunem Jezuici wytępiłi wszelkie zakusy samodzielnego myślenia. Byli oni w Polsce tyle winni, ile Inkwizycja gdzieindziej. Oni to swego wymarzonego króla Filipa II chcieli zrobić Panem Chrześcijaństwa, a Hiszpanji poddać cały katolicyzm. Zrywając maski, po rzezi św. Bartłomieja, papież Grzegorz XIII zanucił radosne *Te Deum* u św. Marka.

Przez śmierć Łyszczyńskiego nową sromotą został okryty naród, który utworzył ze siebie jedno wielkie jezuickie kolegium—i w tych zatęchłych murach niszczył wspaniały zasiew Kopernika, Vitelliona, Brudzewskiego, Batorego i tego Jana Ostroroga, który już r. 1449 wnosi pomysł wzorowego urzędnika kraju. Naród, tak przedtem tolerancyjny, że dwóch tylko katolików było w Izbie Senatorskiej przy wstąpieniu Zygmunta III na tron, zaś szlachta niekatolicka wybrała Henryka III, aby wstrzymać miecz Hugonotów mordujących—naród ten uległ całkowitemu przeobrażeniu! Koadjutorami Jezuitów byli Ludwik XIV (wypędzenie hugonotów) i Zygmunt III, niecnie popierający Łzędymitrów w Rosji. Jezuici zmienili Polskę, jak wyraził się mało znany historyk, w zaczarowany pałac, w którym złe duchy miały dokazywać póty, póki razem z nimi nie runął w chwili odczarowania Europy!

Bohaterski papież — Klemens XIV wiedział, że przypłaci śmiercią zniesienie straszego zakonu — lecz na Polsce oglądał potępięcze otchłanie, wyrte przez tych „trupów”, jakimi czynią się w regulaminie swym; pisał o tem w liście do biskupa Zułuskiego. Został nakoniec otruty jadem, powolnie działającym, nie mającym barwy ani woni, ani smaku, jak woda, lecz rozkładającym ciało, zmurszającym je w nagłą starość, tak, że po śmierci rozpada się ono kawałami—i twarz zmienia się w maskę do niepoznania.

Niechybnie była to owa słynna aquatoffana, eliksir złowróźbny, wysączony przez alchemików, zaprzędanych Djabłu.

Jezuici, wypędzani zewsząd, tragicznie, jak z Hiszpanji, wiezieni na okręcie, umierający z niewygód i ze strapienia, w półrocznej wędrówce nie przyjmowani nigdzie, aż wysadzeni na skałach Korsyki—wzbudzaliby w nas, dziś już, współ-

czucie. Ale widzimy, że znów uzyskują możną opiekę Katarzyny II w Połocku—i Fryderyka na Śląsku. Godni protektorzy — nie pozwalają, aby Zaraza przestała osłabiać Polskę! Tak Jezuici doczekali się bulli 1814 r., którą Pius VII, posłuszne narzędzie Napoleona, nieomylnie znów, choć sprzecznie z poprzednim Klemensem, powołał ich do życia. Wysiłki wierzących, pod nazwą neokatolicyzmu—czy mogą wlać życie w tę Camorrę pohańbionych cudów? —

Xiądz Konstanty zbudził się z męczącej zmory rozmyślań—któż to cwałuje na koniu karym? Księżniczka Azudem—wysmukła, z płomiennymi oczyma, jakby Bohun pobratał się z Hanem tatarskim—wtedy za wolnej Ukrainy! Pałacy step rozgorzał w nim wewnętrznym pożarem wspomnienia:

O, miecza w ręce—jeszcze raz! i na te krainy dajcie runąć z krzykiem Huna!
wróćcie nam, groby, husarze skrzydlate,
niech nam Czarnieckich całych odda truna!
i hej! przez dawne Attyli bezdroże —
godzinę tylko życia, wielki Boże!

Wyszedł na drogę: tam cwałuje Tatarka z płomiennymi oczyma, z rozpuszczonymi kruczymi włosami — już tu na zakręcie wśród olbrzymich jodeł ukazuje się jej gibka postać.

Może to ona wiosnę niesie—po tej zimie bizantyjskich i alwarowych tortur? Cofnął się Brat Konstanty za drzewa, z twarzą wykrzywioną biegł i między paprociami stanąwszy, runął —

Krew, krew napiera mu do gardła — ha, wybuchła — niechaj!

Koń z szaloną Amazonką kwietne prerje na miazgę potratował.—Cóż, księżu Mogilnicki, zapytał się sam nagle

i zimno w swem sercu, taką li masz wiarę w wieczne narodziny Boga — i w naród, któremu siebie miałeś dać na męczennika? Wstał, chwając się — jeszcze z zamglonemi oczyma z nad kałuży krwawej i rzuciwszy zbroszoną chustkę, szedł w mgłę wiosenną, myśląc że może spotka Maga Litwora: z nim chciałby przemyśleć jeszcze ostatnie wierzchołki życia i dalej, za życiem!

Szedł pod górę — stromą kamienistą drożyną wśród lasu. Na tym wzgórzu mieszkają bracia Wyszowici i tam zamieszkał czasowo Mag Litwor.

Ujrzał go wśród wielu mnichów i świeckich mieszkańców Turowego Rogu—w komnacie, z prostego drzewa ukleconej. Mag powitał się z nim, nad miarę piękny, jakby mistyczny Nal królewicz.

— Ktoś mi cię oznajmił, wejdz, bracie Konstanty, rzekł. Usiedli przy sobie. Dłoń nieśmiała Bazyljanina poczuła magnetyczny uścisk Tego, co miał duszę wszechświata w swej dłoni.

Jakiś człowiek w czarnej zbroi, z przyłbicą — nie należący do żadnego z bractw witeziów,—usiadł po przeciwnej stronie, nie witając się z nikim, patrzył przez okno wciąż na las.

Wielu zasiadło wokół płonącego ognia (gdyż było chłodno). Brat Wysz w szarym, popielatym, grubym habicie—jeden z najciekawszych ludzi naszego Odrodzenia w sztuce, który był wielkim malarzem, a teraz stał się wielkim świętym.

Jest tu już i Pani Mara, i Pani Mogilnicka, kilka innych pań, X. Azudem, Panna Oleśnicka, Lena i sędziwy król Włast. Mędrzec Zmierzchoświt rozmawia ożywienie z prof. Rufinem — pan Melanchtonius wiezie subtelną rozmowę o sekcje Marjawitów z niezwykłym umysłem, jako genialność i wykształcenie, panem Oleśnickim, ojcem mniszki.

Tam było też wielu górali i obcych osób „ceprów”, których X. Bazyljanin nie znał; zwrócił tylko jeszcze uwagę na czarniawego pana Muzaferida, ojca Zolimy, który podczas obrad narodowych wyliczał pilnie siłę spadku Wielkiej Siklawy, użytej jako motor do kopalni!

Wreszcie przewodniczący, biały, orli król Włast, udzielił głosu Mędrcom z Tatrzańskich Jezior.

— Któż to jest? zapytał X. Bazyljanin.

— Człowiek najszczęśliwszy, który nigdy nie zdejmuje maski—tak określił Mędrca Mag Litwor.

Mówił Zmierzchoświt, stojąc otoczony obrazami, malowanymi na szkłe, a na stole dłoń opierając wśród dzbanuszków góralskich, spin i innych zabytków.

„W tych czasach, gdy zbyt ciasno pojęty pozytywizm w Polsce więził umysły, wszelkie życie fantazją, natchnieniem, wogóle życiem wewnętrznym Duszy — zdawało się nietylko upiorem przeżytego mistycznego romantyzmu, ale, co gorsza, rozsądnikiem wstecznicstwa i tych niezliczonych dawnych przywilejów w Polsce.

Wtedy to utworzył się Turów Róg; klasztor bez reguły innej, niż wewnętrzna prawda, religja bez dogmatu innego, niż Słońce Wewnętrzne.

Tu schodzą się i żyją wielcy uczeni, tworząc lub apercepując traktaty, podziwiane potem w nauce; powieściopisarze idą tu do źródeł języka i w nowej głębinie oglądają myśli, które ich dziełom dadzą trwanie dłuższe, niż marna sława dzisiejszego dnia.

Tu zawiązało się jakby Bractwo, mające dla siebie magiczne zaklęcie: Polska; tu jedynym ceremonjałem jest, żeby nikt podły nie przekroczył murów Turowego Rogu, nikt marny, nikt niegodny, któremu Mickiewicz i Król Ba-

tory—nie mogliby uścisnąć dłoni, jeśliby mogła chciała nam tych wielkich oddać!..

Robota wciąż postępuje — jest to dalszy ciąg tatrzańskiej lawiny, w której pierwsze szrony otrząsnęli dawni alchemicy i kruszcarze w wieku XVI, kiedy grzmotem prawd nowych wstrząsnęli dusze Kopernik i Kolumb.

Alchemicy i kruszcarze tak Tatry odkryli, jak wielkie bezmiary nowej prawdy odkrył Kopernik, jak wielkie królestwo założył jedyny Król, który był w dawnej Polsce, Chrobry, jak przed wielkimi otchłaniami moczaru jeszcze niesformowanego ostrzegął Modrzewski.

Moczar w końcu zwyciężył. I wtedy Sybir staje się dla nas największym z Uniwersytetów, jakim jest Bolesć. Wzmacnia nam dusze. Lecz kiedy ludzie zażądali już lotów i wirchów i orlego życia—zjawiły się Tatry, w które wprowadził Polskę — król Włast. Krainy te były czemś w rodzaju Odzyskanego Raju. Tu bowiem człowiek może wrócić do swego jestestwa i zrozumieć się, jako władca przepaści swego przeznaczenia.

Turów Róg począł jednoczyć wędrowników, którzy tu przychodzili z Polski, jak umierające zwierzęta w czasie posuchy do wytrysłego z ziemi źródła—na upój.

Brat Wysz przywoził tu swoich chorych zakonników, co poświęcając się dla nędzy ludzkiej — wytrzebili z Krakowa tyfus, a sami tu zaczerpują do swych płuc tlenu. Wielkie owocodajne jest ich dzieło.

Jak wiadomo, w zakładach swoich fabrycznych zatrudniają kilka tysięcy ludzi takich, jak z życia Na Dnie rosyjskiego pisarza Gorkiego; Brat Wysz dał im kawał zapracowanego przez nich samych chleba i moralne słońce radości św. Franciszka.

Pan Muzaferyd elektrycznością, wytwarzaną przez gór-

skie potoki, wodospady, a szczególnie przez przyływ i odpływ morza, zdołał oświetlić, puścić w ruch wielkie kopalnie pod Tatrami, które wydobywają węgiel, grafit i ametysty. Wyprawy Maga Lilwora dały nam dostęp do przedziwnych Światów Zamierzchłych. I teraz Mastodont jest tak znanym zwierzęciem w Turowym Rogu, jak w chacie góralskiej jest liptowski pies.

Kulturę wprowadzili panowie Oleśnicki i Muzafferid w Karpatach dalszych—z tą zdwojoną zasługą, że obracali się wśród środowiska wrogiego, idąc przeciw złączonej szarzy żydowskich lichwiarzy, oraz naszych polskich Targowiczan.—Mimo to wystawili niezłomną strażnicę Odrodzenia Polskiego.

My z naszej strony, wraz z współpracą twórczą i niezmiernem poświęceniem architekta Wodnika, dwóch lekarzy i paru obywateli ukraińskich, oraz działając w materiale tak gienjalnym, jak tutejszy lud — zdołaliśmy zbudować zamki, świątynie, chaty, fabryki i szkoły w stylu dawnym lechickim.

Bujny plon dla myślicieli zawarty jest w zbiorach pani Ameńskiej. Można w nich rozświetlać zagadnienia, jakim jest źródło twórczości w duszy lechickiej? ile z niej stać się może własnością duszy każdego człowieka?—w szczególach zaś—jak się wiąże leluja z gałęzmi modrzewiu, czym jest niespodziany krzyżyk—„swastika”, którą góral, budujący chatę, zbożnie i zdjąwszy kapelusz, wycina toporem na węglach domu dla uchrony przed Złem; czym są rysie, czym iście niepożyte wiązanie belek i krokwi; w czym wartość architektoniczna i obyczajowa sozrębu; dlaczego elastycznej budowli góralskiej nie przełamie Wiatr Halny? w jakim stosunku do tej organicznej sztuki może być twardy nowoczesny murowaniec?

Mimo pracy naszej i poprzedników, niewielu artystów wnika jeszcze w te motywy roślinne i kosmiczne, niewielu myślicieli odgaduje, jaką jest Mitologia Tatr i jaką ich rzeczywista moc!

Uzbierany widzimy sprzęt góralski dawny niewypowiedzianej wytworności, mocy i prostoty (tu wskazał Mędrzec Zmierzchoświt ręką na zbiory): owe Chrystusy, pełne powagi bolesnej, Madonny z twarzami naiwnej miłości, Aniołki, siedzące na jakimś dziwnym tworze, który ma być chmurą—łyżniki, gdzie wyrzeźbiony jest modlitewny nastrój, niby zaklęta w linje modlitwa ranna i wieczorna; te po dawnych bacach pyszne czerpaki, godne przyjąć miodem czy żętycą Króla Bolka na łowach; te zrabowane (trzeba przyznać!) w kościołach węgierskich z ornatów materje, użyte na gorseciki góralek; te obrazy zbójnickie i święte; spiny wielkie z łańcuszkami, mające w sobie patryjarchalny i nawet kapłański charakter.

Wiele życia bujnego wniosły nam niknące już opowiadania Sabałowe i Gandary, oraz innych starych gazdów z Murza Sichla i Ratułowa, a nawet czarownic, których zaklęcia są jednym hymnem wielkiego upojenia świętą Adoracją dla Wszechświata i jego Cudów, Męki oraz Tajemnicy.

Teraz stoimy wobec niebezpieczeństw: dawna pustynia Tatr zaczyna w sposób kramarski być zajmowaną przez ludzi o małym utylitarnym światopoglądzie, którzy budują kolejki na Łomnicę, zakładają restauracje nad wszystkimi jeziorami, którzy moreny po dawnych lodozwałach rozkopują na taras dla piwiarni.

Wprawdzie Morze jest dotąd niedostępne, raz, ze względu na swoje nagłe i przerażające huragany, powtóre—że jest tu ktoś Niewiadomy, kto wszelką próbę budowania okrę-

tów udaremnia, zaś przybywające zagraniczne wysadza w powietrze lub prześwidrowuje.

Musimy jednak zauważyć przerażający objaw: widok morskiego żywiołu nie działa już na ogół polski tu przebywający—nikt nie zawoła już, jak dawne 10 tysięcy z Ksenofonta, ujrzawszy morze—Thalassa, Thalassa!

Zaraza moralna z rozkrytego szeroko bagna staje się chroniczną właściwością okolic za Turowym Rogiem. Tworzymy wysepki — którym grozi zalaniem wulkan błotny. Wprawdzie musimy zastrzec, że zwykle widzimy aż do końca sferę możliwości podłych natury ludzkiej, lecz któż ogarnie sferę możliwości szczytnych?

Mój anarchizm każe mi ufać, że droga wszechludzkiej miłości i rozjaśniania błędów, nie wiążąca dogmatem nikogo—doprowadzi najprędzej wielkie zrzeszenia ludzkie na wirchy. Tocząca się obecnie wojna z Japonją nie jest w stanie sama przez się roztworzyć zardzewiałych bram Wysokiej egzystencji Polskiej. Jest to praca, zmuszająca nas wszystkich odsłonić przed każdym jego własne przeznaczenie. Krzyż musimy wynieść z podziemi Wawelu i postawić go teraz wśród żywego zielonego lasu. Nasze dusze musimy otoczyć lasem żywych prawd, wyrosłych z surowej, lecz bujnej ziemi!

Ukończył, ciężko zakasławszy i musząc usta zakryć pod napływem krwawego śluzu; odzywały się głosy szeptem, lecz wkrótce gwar nastął ogólny—z którego wyrozumieć można było tylko potrzebę jednej wielkiej, wiążącej wszystkich, Religji.

Ból przeniknął Maga Litwora. Ten wiedział, że Polska jeszcze musi przebyć jakieś okropne piekło—okres władania Mangra i obłąkanego Mnicha — zanim narodzi się w niej nowy zmysł dla istotnej prawdy. — — — — —

Lecz myśli pierwszorzędnej wagi, poruszone przez Zmierzchoświta, tylko nielicznych mogły naprawdę zająć. Większość szeptem komentowała niedawną przygodę Zolimy, i to wszystko, co żuła opinia salonów podhalańskich.

Ukryty i niewysłuchujący potępień, lecz domniemany sprawca tej brutalnej Zemsty, był niweczony wszędzie, jak mucha jadowita tse tse, któraby z okrętem dostała się do Europy i zabręczawszy niespodzianie żądłem swym, zabiła najlepszych i najzdrowszych ludzi.

Damy poza Turowym Rogiem tarły go na drobny pe-
mikan. Szanowni i poniekąd nawet mądrzy ludzie nazywali go naprzód maniakiem, potem widząc, iż narzędzia swojskich tortur nie wystarczają, sprowadzili zagraniczną nazwę człowiek jaskiniowy z Neanderthalu.

Serdeczna bowiem dzisiejsza Polska urządza zjadliwą naganekę na takiego demoralizatora, który niema za sobą finansów, prasy i—policji. Zato Mangro wzniósł się wysoko na tym kurhanie, gdzie leżał pogrzebany tatrzański marzyciel.

Tak wysoko, jak niedosięła prawie dla oka sama dobroć i nieśmiałość najtkliwszego z kochanków!

Kiedy bowiem czarna grobowa rzecz przywiązana do śmig młyńskich wirowała w powietrzu, Xiężniczka Morza dostała morskiej choroby.

Baron zacny prosił ją wtedy, błagał na wszystko, aby się nie krępowała jego obecnością — i umiał, nie odchylając twarzy, ustawić swe oczy prosto przed jej usta, stające się naraz Scyllą i Charybdą.

Słowem, właśnie zachowywał się tak, aby nie zrobić przykrości najmniejszej swą obecnością. I kiedy ona, padając na niego tak nagle, jakby Andżelika, wytęskniona za swym Rudzikiem dostała na widok jego kurczu i szału

miłości—baron Zolimę w powietrzu unosił, prawie wniebowznosił. Był dla niej obłokiem. Czy i Jowiszem w obłoku? nie, nigdy! Bo kiedy w okamgnieniu stawali na głowach, on jej podkładał pod warkocze swe ręce, a chociaż raz krzyknął: aj aj! to dlatego, iż szpilka z włosów wbiła się mu pod paznogie przynajmniej na dwa milimetry.

Kiedy zaś jego linia grawitacyi pochyliła się nad nią [damy wysilały cały swój mózg, żeby tę sytuację drastyczną przedstawić naukowo lub przynajmniej naturalnie, jakby ruch przepisany w lawn tennisie] Pan Bóg wyinstynktował barona, że poduszkę jedwabną kładł między nią a siebie, i siłą nadludzką niweczył wszystkie wulkany, szepcząc:

— Dziej się, co się ma stać, ja palcem nie ruszę.—

Damy egzaltowane, które czytywały Katechizm buddyjski, dowodziły, że Baron i Zolima klęczeli właśnie przed pustą trumną, jak Anioły skrzydlate nad arką —

gdy ów Rakszas, który po śmierci stanie się z pewnością krokodylem w słonym jeziorze z samych łez na pustyni, ten Arjamańsko rzucił się na nich w kontemplacji będących—i zakrył nad nimi wieko.

Ten potwór gnusny (jak mówiły litwinki), ten poczówny Epikur (jak mówiły warszawianki, co słuchały Mniha Wincentego à Szaulo), ten niewdzięcznik, jak mówili najpobłażliwsi w Turowym Rogu, miał wóz rzeźniczy przygotowany, i nawet kata sprowadził w tym zamiarze z cytadeli czy też z Łodzi. Takiego Frejndla, co wieszał swojego szwagra.

Mówiła jedna osoba (duchowna), że pewien nieznajomy wypowiedział się przed nią i że teraz już wie, gdzie się ukrywa w jaskini Tatr sam Frejndel.

Cały kraj był poruszony. Witezie nawet wstrząśnięci. Ich żony kłuły Arjamanem, jak szpryczką Prawaca:

— Może mu podacie teraz rękę? zato, że wam zabierał najlepsze wirchy? może zaczniecie się nim zachwycać, bo polując na bogatą pannę, zeszedł na to, że go utrzymuje pewna głośna awanturnica za czasów Xięcia Józefa z pod Blachy? I wy takiego chcecie jeszcze zachować w swym gronie? —

Witezie radzili to i owo przy czarnej kawie, wreszcie postanowili Arjamana — unikać. I teraz tak cały kraj był na Arjamana rozżarty, że gdyby zajechał kiedy bryczką w jakieś zachołuście litewskie, gospodarze w pierwszej chwili rzuciliby się na gościa, jak zgłodniałe komary na zdychającego od nosacizny konia. Panny prędko by wyrurkowały swe włosy, Mama umyłaby swe piegi i trzeci podbródek wodą ogórkową, lub jeśli to już straszna parafińczyzna, to Eau des lysem; szlachcic kordjalnie by zaszpuntował Arjamana na kanapie... Aliści, kiedy już panny i Mama weszły — i wnoszą z drugich drzwi na tacy nalewki domowej roboty, tort z niedawnych imienin — wtedy wystarczy głośniej wymówione nazwisko przy przedstawianiu — Mama spojrzałaby tragicznym wzrokiem na córki już przekwitłe i wycedziłaby:

— Wujenka Drapiewiczowa pisała nam, że tego pana zna zanadto dobrze... —

Nastanie cisza, słyhać, jak mysz, myśląc że to już śpią — przebieży przez komnatę zadymioną od wstawionego i sapiącego samowaru — Mama wstaje heroicznie, mówi:

— My pana nie śmiawszy zatrzymywać, konie już zjechały. —

Wprawdzie Arjaman nie ukazywał się ludziom, ale zato nie ukazując się, nie dopiął tego, iżby ludzie z nim się oswoili. W Polsce można dziś okraść kasę, a za miesiąc wrócić z podróży i chodzić po salonach, jako aferzysta

zdolny, wybitny kandydat na dyrektora towarzystwa dobroczynnego, teatru Wenus lub instytucji patrijotycznej.

Tem objaśnia się, dlaczego Baron de Mangro zrobił swym pojawieniem wrażenie nieoczekiwane. Dwie panie zaraz powstały, czekając przywitania zmieniły się w kolumny. Pan poważny, który był z nimi, wybiegł zobaczyć, czy na powozie kto nie położył sarkofagu?

Baron de Mangro zaś swobodnie uśmiechnął się, jakby go to zwycięstwo nad sobą nic nie kosztowało — i mówił z Zolimą.

Na jednej osobie, która wpatrywała się w Mangra wzrokiem osłupiałym, czynił on wrażenie tego, co już był na szubienicy przez narodowych żandarmów wieszających zdekoltowany—i patrzcie, jest!

Więc Mangro jestto quelqu'un w Tatrach?

I znowu kronikarz Turowego Rogu musi wszyc nowe foljanty do tej tajemniczej kroniki o Nietocie?!

Zaiste, szczęśny jest los pisarza komicznego, który wszędzie widzi swoje typy doprowadzone przez naturę do niezmiernej niedosiętej doskonałości. Weź tylko pędzel i maluj! jak mówi Gogol.

Lecz nieszczęśny nadmiarę jest poszukiwacz ducha. Duch bowiem jestto radium. Z całej bryły ziemnej dałoby się go wydobyć zaledwo 4 kilogramy. Lecz ta drobna ilość musi jednakże tworzyć cały kosmos ludzki i kierować wszystkie narody do ich niezmiernych celów. — — —

Powstał baron de Mangro Rabsztyński, z racji swego wysokiego patrijotyzmu zasiadający ławę między pierwszymi. Zmienił się w swej masce — od czasu, gdy widzieliśmy go wśród muzyki z Zolimą. Zmienił się, w powagę zapięty, jak w dobrze leżący tużurek, z ołówkiem w rękę,

kreślący wciąż cyfry i dogmaty. Nieznany wprawdzie, lecz już przez famę wysoko głoszony — zabierał teraz głos:

„Nie znają mnie tu jeszcze wszyscy. Wspomnę więc, że jestem uczonym bigotem arcybractw, instytutów oraz kongregacji w Tomsku, w Surabaji na wyspie Jawa, w Oksfordzie, w Harvard-University w Ameryce północnej i w Rzymskiej Santa Fede. Wykształcenie me kosztowało milion franków—minimalny kapitał, jaki pochłonąć musi do najwyższej dzielności doprowadzony mózg Polaka.

Teraz, kupiwszy Tatry, ofiarowuję je najwyższemu z czterech władców naszych, a mianowicie temu, który jest w Rzymie. Słuchajcie, dostojni panowie—chodzą tu pogłoski o jakimś Magu Litworze, który ma łączyć Indje z wiedzą współczesnej Europy; ja wam wyłożę, jak się rzecz ma właściwie za sprawą Ducha”.

Niewiadomo, jakby go dalej słuchali, bo już na wspomnienie Rzymu Zmierzchoświt oblał się purpurą i powstał, inni zaszemrali z przykrem zdumieniem, lecz ogólnie de Mangro spodobał się.

Damy szeptały, ukazując jego zbrudzoną twarz:

„Ile on musiał wycierpieć, nim zdobył taką pewność siebie”!

De Mangro chciał mówić dalej, lecz jakby zwierzyzna, która czuje na tropach swych myśliwego — tak Mangro obejrzał się nagle i ujrzał w ciemnym zakątku Maga Litwora.

Jak to być może, iż dotąd go nie zauważył? Czyżby Mag Litwor miał możność ukazywania się tylko niektórym? bo oto, ku zdumieniu wszystkich, baron de Mangro wydał przeraźliwy kwik, chciał rzucić się przez okno (szczęściem nisko), lecz dzięki mnóstwu przytrzymujących go rąk, usiadł na ławie, odzyskał przytomność i objaśniając to nagłym

zawrotem głowy, nawet grzecznie się uśmiechnął w sufit, który był nad Magiem.

Było to tak demonicznie nagłe, że nikt nie miał czasu zdziwić się, ani roześmiać.

Na miejscu, gdzie mówił de Mangro, stał już w białej wschodniej szacie Mag Litwor.

I mówił spokojnie, jak kapitan na statku, badający przez lunetę dalekie wybrzeża skał i opisujący to załodze:

„Życie bezinteresowne, życie, niezamykające się w opłotkach sobkostwa, jest warunkiem zasadniczym Wzrostu. Uczni, zginający się, jak wielbłądy, pod obeliskami swej wiedzy—jeżeli nie żyją tym falowaniem, które przekracza mury egoizmu, nie są bliżsi Prawdy, niż rak, zamknięty w swej skorupie. Ta jest mu potrzebna, lecz gdy chce wzrastać, musi ją odrzucić.

Wiedza indyjska jest urzeczywistnieniem tego, co zwięzło się u nas w Dogmaty. Mistrzem jest ten, kto żyje w sercu wszystkiego, co istnieje. Ten jedyny ma prawo powiedzieć: Ja jestem Tamto, Otchłań i ja—jesteśmy Jedno.

Ten mistrz, zwany tam pod Hiamawatem Kriszną, w Tatrach tu Królem Wężów, na równinach Iranu Zarathustrą, w świątyniach myśli europejskiej Luciferem—prowadzi zawsze ścieżyną samotną, na której jednak wszechświaty ludzkie spotykają się ze sobą. I niema innego obowiązku nad ten: aby znaleźć Jaźń swą, nie zasklepiac się w tem, co jest tylko pozornie Moje i Nasze”.

Niepostrzeżenie odddał się Mag Litwor, wszystkim się zdawało, że jeszcze jego wyniosła postać świeci wśród drzew. Muzyka z za niezmiernych horyzontów wibrowała w utajonej głębinie każdego z uczestników.

De Mangro odzyskał przytomność i rzucił 10 tysięcy banknotami na pielgrzymkę do Ziemi Świętej dla niemowląt. Nieznany rycerz zaśmiał się dziko, lecz niesłyszalnie. Wszyscy weszli w las prawiecznych jodeł. Powietrze nappełniło orzeźwiającą ciecżą przestwór od ziemi, która zarosła zielonymi, cudnej architektoniki, jak Sainte Chapelle w Paryżu, jodłami. Zastłony z miliardów zielonych igieł tworzą sklepienie tej gontyny Dziwożon i leśnych Panków.

XI.

W KUŹNI POD ORNAKIEM.

Stary Oreł, Sabała, kosił siano przy księżycu — wszyscy jego domowi też się uwijają — baba i synowie.

Wnuczek ciągnie Sabałę za cuchę.

— Dziadku, napowiedźcie nam bajkę.

— He he—cekaj! w samą kwilę trafiłeś, kiedy muse odpykać habrykę we fajce. —

Jak na ten raz idzie Wieszcza Mara. Usłyszawszy, o co Jędrus molestuje i ona przyłącza swą prośbę, której nigdy nie prociwił się Sabała.

(Mówił Baśń, usiadłszy na kopie; synowie i maleńka nizka jego żona z wolna zasłuchują się, wsparci na grabiach i kosiskach).

— S dawna u nas bęła ta gwara między ludziami o zaśnionem wojsku, co królowi ma skądesi na pomoc wyjechać.

Ba, przecie bęł taki kowal w Kościeliskak, co im chodził konie kuć.

Przyseł raz wojak do niego, jużci padá: „my haw nie prec w Ornaku stoimy, pudzies nam konie kuć”. Narobił

moc podków i poseł z ónym wojakiem, a hań w Ornaku popod skałę, kryjome miejsce, dziura do ziemie. Wleśli do tej piwnice, godna tego bęła przestroność, toż to moc wojska na koniak stoi, sytko zaśnione w siodłak, głowy poschylane na piersi, pojeden siedzi przy koniu na ziemi, powódki dzierży w rękak i śpi...

Kowal od strachu nic nie pedział, ino chodzi wartko od konia do konia, podkuł sytkie; pieniądze mu dali co mu się patrzyło; toż to poseł — i zawarło się za nim.

A i Franek Kostka ze Siziny, znałek go, dobry gazda, kowala we wsi ku niemu nie było, to mi tyz gadał, jako raz poseł, cy z chałupy do pola wyźreć, cy kany, a tu widzi na trzynastu białych koniak jakisi wojaków. Juźci pyta: a to panowie zprecka?

„Ni” — pojedajom, — „my tutejsi, my jest wojsko polskie, nie prec ztela w Babigórcze stoime, kie pora przyńdzie królowi swemu na pomoc pudziemy”. —

To zaś pote, świnia (przepytujem) tego gazdy kansi sie traciła, juźci posła za niom dziwka, zaśła do ty dziury, kany wojący spali, każdy przy swoim koniu śpi schylony, ta zaś świnia popod źłoby je ten obrok, co go konie ozsypały.

Dziewka skrzyknęna na niom: „ksy, ksy!”

Toteż to jeden wojak głowe dźwignon: co to burniawe robi — ba, wirny mu zara năkazuje:

„Śpij, śpij — jesce nie cos!” —

Juźci dziewka od strachu uciekła, a za niom ino kłupło —

zawarła się dziura. —

Sabała wziął kosę do ręki.

— Bierta się do roboty — haj — przy miesiącku kielo telo

musim umęczyć te zioła boże pachnące, aby się stały w naszym chlewisku zywobyciem, krwi Pana Jezusową. —

Koszą. Wieszcza Mara spogląda w tę stronę, gdzie Ornak niewidzialny —

widzi, że idą dwaj wędrowcy —

zdumiewa się — bo jakaś wieczność unosi się nad ich głowami, jeden z nich patrzy wzwyż i przedsię, drugi głowę ma pochyloną, jakby przygnieciony winą jakąś —

wśród jodeł zniknęli: Wieszcza Mara podchodzi do płotu i patrzy tam w ciemność.

Inni koszą. Sabala spogląda w księżyc, i wtedy okazują się jego wielkie, nieruchome, ślepe oczy —

kosę kładzie, nadziewa na się torbę, do rąk gęślice, a za kołnierz ciupagę—aby nie myśleli, że on już tak nic nie widzi.

Żena. A ty haw kany idzies, zmiłuj się Boga, stary! i nie dowidzisz.

Synek. Musi być po sadło świstaka, łamie Ojcyka po kościak. Hej, syćkie świstaki wybiere on w Tatrak. Chocia ślepy je—do kazdej jamy świstaka trafi—taki ma cuch!

Żena. Robota je, sam pilis, a ty w góry idzies, jak by jakowy pan z Warsiawy na wycieckę.

Sabala. Bądźta zdrowi.

(Odchodzi).

Żena. Pewno znowu ze trzy tyżnie będzie przepadał. (Ozwał się i Gandara, co hipkał po otawie):

— Ej podeźrałem ja, ka on zagrzebał wielgi skarb — modlił się nad nim —

wiecie przy Kościeliskik wrotak, hań pod Pysną — na wirsku skały—na prawą trukę tsa się brać!

Synowie. Idźwa.

Żena. A nie hańbi wam — ze jak was Matka Ludzi-
mirska skarże?! Ojca okradać kcecie— i tak stary, grób mu
blizki—pod nogami trzęsącemil.

Synowie. Nie nam haw zagrzebał te złote dudki—ba,
innym! mówi, że narodowi potrzebne — jakisim tym baj-
dom wierzy o zaśnionem wojsku—ze to im tsa bendzie na
munderunek, czy co?

Gandara. Który z was je Hadwokat? niech mi napi-
se list do śmierzci, ino wartko!

Syn I. A gdzie ona zywie, jaki jej hadres?

Gandara. Jak ci dam w kark ciupagą—zaraz będzieś
wiedział, gdzie ona mieska. Trzeba mi śmierci—ino wartko,
(W synach budzi się chciwość, mówią szeptem już, aby ich
obca Pani nie dosłyszała — jeden Gandara nie da się uci-
szyć i wykrzykuje głośno).

Syn II. No, Wojtusi, powiedzcie nas — a psed
śmierzią najecie się kiełbasy i kukielkę wam damy.

Gandara. A kto mi odda moje hole, moje grunta?
krowy? cemuście me nie bronili, osiusty jedne, jak mi Ta-
try zabrali? wsyćko było moje!

Syn I. Będziemy mieć dudki — damy ci na stemple,
napises do Cysorza—do Miłościwsego Pana.

Gandara. A i wina musicie mi dać, com go pił w Nie-
talji, jak byłem w Weronji z pułkiem Princ Preis von Fri-
dlik este regiment—rozumiecie po niemiecku?—Syćkie pan-
ny kochały się we mnie —

Syn I. Idźmy po śmierć —

ki djabli nadali—chciałem pedzieć, po dudki.

No, bierzcie płachte —

a ty, Matko, waruj sie gadać sąsiadkom, bo hareśt
niehaw —

ani nawet nie idź pod figurę jojcyc, bo tylko zepsujesz sie, babskim modleniem. Waruj sie, haj!

(Odchodzą).

Gandara tańcząc zaczyna nucić piosenkę, synowie uderzają go po karku, aby milcząc siedł. Matka zasiada na kopie siana.

— Mój Ty Jezu — niehajze ten Gandara i na mnie sprowadzi śmierć—hej, grają tam gęślicki Sabałowe, grają!—
(Słychać muzykę w dali).

Wieszczka Mara idzie ścieżyną tam, gdzie przemknęli wędrowcy—i rozmyśla, żeby się to jej tak zdarzyło znaleźć amę do Zaśnionej Duszy narodu—i Wiernemu powiedzieć: „Już czas”.

We wnętrzu Tatr. Wychodzi z za skał św. Kowal z rozbitem krwawem czołem—okryty łańcuchami.

Widać jaskinię, niby więzienie, zawarte kratą.

On trzyma palec na ustach — surowo patrzy ku Niewiadomemu, wreszcie odwraca się i, widząc, że tylko potok mówi do Niego,—On mówi z nim).

— Strumieniu mroczny, który płyniesz wśród lasu zielonej Tragiedji jodeł —
iskrząc srebrnym węzarem — —
przebudź nas w tem więzieniu szarem!

Ty, upadek swój z wysokich granitowych wrót
w niziny ludzkich zadzumionych marem,
okupujesz walką Wolności, wita z nieśmiertelnych burz!
Ty, Wieczny Wędrowniku! zamknij nurt w mej ciem-
[nej pustyni,
aż zgłębi się w toń Antarktycznego Morza,

gdzie krew Tatrzańskich olbrzymów
z podziemnych niewiadomych źródeł
stanie się falą światła—skrzydlatych gromem Cheru-
[bimów!

Mszy twojej słucha Zaśnione Wojsko! Twe modlitwy
do słońca—to dawnych bachant szalejący śpiew! —
Nadchodzi wiew

od Morza i z dalekiej Litwy...

Hej—niby w Zaduszkach—duchy wirują nad Tobą,
śmigają gwiazd procami i w Mamutowe idą kolum-
[nady,

gdzie nad Żiniczów olbrzymich żalobą
iskrzą pochodnie i Chrystus dawne już utracą władzy!
Jezu! jesteśmy w starej indyjskiej świątyni —
nad nami Majestat Duszy—i Uniwersytet największy:
[Boleść-Mistrzynie!

Zawory żelazne łamię z mych przysiąg sarkofagu,
bo wiedz: Grób Polski ja znalazłem pustym!
gdzie Ona? mów—prorokuj, zwyciężony Magu,
lub się kłoń—przed Archaniołem Krzywoustym!
Lekarzu dusz, chodź za mną! w ciemnym jodeł zamy-
[ślonych borze

świetleje chata! nad magicznem zwierciadłem wód —
tam Wieszcza umiera bólem Polski. Mróz załśnił jej
[łóże

i coraz groźniejszą jest jej Wawrzyńcowa krata —
i został przy niej tylko już umarłych lud.
Żywioły mroku! unieście me serce na krzyżu
i jej wielkie, jak księżyce, ły,
w to Morze, które wszystko już wie —
i objawia tysiącem dzwonów ze śpiżu,

że jest błogostawiejszy, niż Wisznu z Purany Bha-
[gawata,
olbrzyszy, niżli Jazń — i świętszy, niżli Chrystusowe
[dnie:

Niedosiężonych szczytów ból,
mówiący strumieniem ludzkich nędz — w tę Noc ta-
[jemniczą...

(Św. Kowal podchodzi do krzyża kamiennego wśród dwoj-
ga jodeł — wokoło śniegi; mroczne lasy, niby niedźwiedzie
wielkie, co się układały; tumany przeświecają jakimś dziw-
nem z za góry złotem jaśnieniem—tam zamek mistycznego
nieba! Mrok wszedł — olbrzymiem skrzydłem zagasił złote
jaśnienia—w krwawych otchłaniach widać daleką Polskę).

Niewiadome głosy mówią: Szatan stanął w mroku na
[mogile —

tak wielkiej, jak ból ziemi,
głębokiej, jak żądza ziemi,
zamilkłej, jak przekleństwo Wiecznego po siedemkroć
[Matce swej ziemi.

Księżyc wziął maskę krwawolicą!
umarły księżyc do Mszy zaprasza nekrofile.
Jodły podobne na bagnach dzwonnicom.
Różany blask wschodzi ponad wodami,
(wspomnienia miłości z Płanetnicą!)
w kępy tych drzew wlatuje złotymi Dantejskimi
[snami...

Mrok huczy. Powódź wzbiera Wisłę, niby Nile,
boskie i groźne. Rzeka wspieniona cicho powoli
płylnie—jak dni człowiecze, przeżyte w niewoli:
wśród miasta zadżumionych —
wśród tłumu, żyjącego kłamstwem i wrzawą —

nad rynsztokami łoż wyciśnionych,
w Ojczyźnie Targowiczan, o której wspomnieć hadko—
[i aż śmiertelnie, Panie Jezu, boli!

Mrok huczy—błyska jednym ślepiem krwawo
nad oświetlonymi grobami w Zaduszkach—Warszawą!
Hej, wiatr! powiał z Łomnicy Lodowego stoku,
z piekielnych, huczących Gnozą, głębin Tatr —
z dolin, gdzie żyje królowa, porzucona smoku —
z lasów jedł groźnych.

Tam, Szatan Alchemik, szuka w jeziorach lazuru,
z węzową świecą idzie wśród burzliwej nocy,
wzywając—Duszy. Broni mu Król Duch—Anioł gwiaź-
[dzistych nadmocy,

Konrad-guślarz zakłęcia czyni nad miljonami;
i Ten z pod Maciejowic bohater ludowy;
Mędrzy i legjony w febrze z wysp Antylskich!
męczennicy i wieszczę idący na Sybir tundrami;
i w Ostrej Bramie Bogarodzica...

Głos... szyszcząca wiecznie—nad Wielkim Moczarem —
[i wami!

(Widać gotyckie katedry wirchów, chmury—i wśród pioru-
nowych retort Szatana Trismegiste).

Trismegista. Moje łyż zanurzyły się w pięć Ran
[Polski —
w pod Zawratem jeziora. Jam obłąkany z miłości
szedł na nieobjęte, w niebie płomieniące góry —
lecz sposepniałem, jako ten Staw Zmarzły!
otrząsałem pióra swoje, jako chmury,
na skałach! w otchłań leciałem Bytu ciemnym; wodo-
[spadem —

miażdżonej Tęczy buddyjskim uśmiechem,
aż wreszcie ujrzałem wolności głębinę:

Jam ból zabił i jam zabił mych wierzeń wielką moją
[winę!

Hej — śmierć we mnie rozpasana — łun marzących
[zmora!

W nocy na koniu olbrzymim lecę, jak mrok moglił,
[gdzie piorun wiruje!

Hej—jam jest Ziemi królem! jam jest Władem!

hej, księżyc magicznem winem hydrę truje siedmio-
[głową

— moje serce!

hej, hej! wśród planet mieszkalnych, ni w kręgu za-
[tracenia,

niema żebraka tak lichego,

jako ja!—wchodzę do boru tajemniczego —

tam widma stoją i króle wśród płomieni —

tam Kowal mi pancerz wykuje —

(Uderza gromem w drzwi kuźni—błyska—widać św. Kowa-
ła, kującego wielki Dzwon).

*Niewiadome głosy mówią: Meteor upadł z nieba wyso-
kiego, niedosiężnego!*

łśni u stóp Trismegisty—który, jak Memnon z lodu
[nagi,

zamarzły—wsparty na księżycu wśród jedlanych cieni.

*Kowal (śpiewa): Na przełęczy wysokiej, gdzie w dole
z turmalinu błyszczą Chrystusowy staw —*

ujrzałem ciemne podwoje: krwaw się—krwaw,
żelazo, na anielską zbroję.

(Bije młotem. Iskry lecą, jakby komeciane chwosty).

Trismegista. Zmagam się z gwiazdą potępień — wśród
[zamarzłych
mroków z duszą mą na wieki chorą —
mówię do Niej: zbaw!
żadam ja od niej, by wróciła z tych przestrzeni,
gdzie padła już...

Niewiadome głosy (nuca): O, przyjdź!—jak Wenecjan-
[ka po złotych wschodach na Ca d'oro—
jak Burza tropikalna żądz mych —
jak bóstwo Atlantydy!

Trismegista. Wszakże was, gwiazdy, nikt tak na zie-
[mi i w oceanu
głębinach nie kochał!
nikt, jak ja teraz, nie warjował—i nie szłochał!

(po chwili)

Ostrołuki gotyckich szyb —
migotliwy znak Trismegisty —
substancje księżycowych law—trupie księgi Bytu!
wyjawcie—Kto jest z moim Duchem? żem jest wieczny!
i u tych lodowych murów Piekła — nie ziemi pod-
[rzutek?!

Niewiadome głosy. Ziemia wpatrzona w wieczność,
[z tym odruchem
Matki Izdydy, gdy kona jej Syn Światła — i napróżno
pokarm Drogi Mlecznej wyciska mu ze sutek.
Milczy zła otchłań... napływają chmury —
gwiazdy mu gasną zdradziecko...

Trismegista. Płomienie mroku! jam zawarł z nicością
[przymierze!

Mroku! ten krzyż wciąż świeci—czart komunię bierze—
gryzie drzew korę—śpiewa hymn ponury —
sto oczu błyska we mnie: Ezechjela zwierzę!—
Tej nocy zgłębiam całe odwieczne życia zło!
tej nocy Moc moja niechaj się przesili!
jam Konrad! lecz już odziany w upiora gzło!
Hej, lotu! kruku pędź—jakby już ludzie nie żyli!..

Kowal. Ktoś ty jest? czemu tutaj wchodzisz, Mroku
[wiekuisty—zły?!

Trismegista. Stań się mną — ! jam Twój wieczny!
[jam jest Ty!

Kowal. Dam im klucz do mych sklepień — otworzę
[im wrota —
wielki Pan są oni—a na dworze kurniawa i słota!
Niebo zawarte na wieki — w otchłaniach pełza tam
[król Gad—
możecie się przyjrzeć.

Trismegista. Czyj ten uwięziony świat?
(kował milczy).

Widzę mury krasne — mury Ewangielji — muzyka gra
pięknie na skrzypcach z piszczeli.

Kowal. W kazamatach więzień chciał zwalczyć Mon-
[strum,
które niszczy wiosenny siew Królestwa Bożego.

Trismegista. Medei miłość wwiiodła go do ciemnicy!
to są me syny—bez wiar—buntownicy.

Zawarczał bęben na kaźń:
z mrocznych cel wyciągają bladych, jak fosforescencje,
[robotników — —

bój szponów przeciwko bagnatom. W złowrogi Dom
[Warjatów
zmienia się więzienie — mózg szarpie strach! jęk za
klątwy — łamanie kości kolbami! — [życiem,
— — — — —

Zamilkły mury warszawskiego Kolizeum!
— — — — —

W workach niosą ciała złodziei i Promethidionów.
Nikt nie chce się modlić.

Kowal. Zjawia się w masce niewiadomy kat —
zrywa im schodki z pod nóg —
zawiśli w konwulsjach sprężeni!... Maską upadła —

Wzdrygnął się Generał obcy — coś mówią!

(Widać scenę kaźni — Generał do kata pod szubienicą).

Generał. Dla wrażenia Książę wieszales rewolucjoni-
niechaj zajedzie mój powóz — nie, inny! [stów?
Tu jest pięćset rubli. Należy przyjąć — lecz nie mam
[koperty.

Wrażenie to warte, Książę, dobrze zgranych wistów.
Spotkamy się w salonie, jeśli nas nie zmoże
Japońja, bunty chłopskie i stare zatrute obroże.
O was — zapomniał wasz Bóg, jak o podwodnym
statku w głębinach Bizerty.

Dzwon huczy w mroku — Władca niewolników.

(Kowal zamyka wrota—scena kaźni znika).

Trismegista. Mój kruk mówi — mój kruk zgadł!
mrok dokoła — we mnie mrok,
który już niebiosów księdza Piotra zatopił otchłanie.

Wisła krwawi od księżycy, niby leżący, zdeptany
[grom.

Wzdrygam się, patrząc na dwór, skąpany w księży-
[cowem winie.

tam wśród topól brzmi nokturn —

nie winograd, lecz krew toczy się z tych murów —

Tam bez maski Księżę — uroczone ma oczy — gra na
[fortepianie —

gra pięknie ten Kat!.. Ręce w pierścieniach ma starte
[od sznurów.

(Widać salon i Księcia grającego).

Księżę-kat. Hej, zbudował mi Pan Jezus piękny
[dom —

na dole moje dwie leżą miłości — i tli się gromnica.

Mogile im kopię i mym głuchym łzom.

Za światem ja mam wielkie królestwo księżycy — —
tylko kaftan warjata czemu wisi na ścianie —

czemu słyhać za oknem wściekłych jędz ujadanie?

Kruku mój, co masz lice astralnej Chimery
i tętent Burzy!

ty krzyże wiedzą mroków ćmij!

jam się znalazł: Ja przedwieczny i wiedzący Żmij.

Z trumien dwojga ja zrobiłem mocną zbroję —

weselę się, że nie żyją już dwie królewienki moje.

W karacenie czarnej jadę na turniej z wielkim wro-
[giem —

modliłem się kiedyś przed nim — nazywałem świata
[carem.

Kowal. (wstaje od Krzyża). Konradzie —
ta pieśń jest nieczłowiecza! — to jest pieśń szatańska!

ty olbrzymim głazem zgmiotłeś kwiecie — tam modlit-
[wa Pańska!

Trismegista. Ha ha! Konrad jestem, co nie mdleje
[i nie klęczy w prochu już!

wkoło chmury wirujące —

jam jest w mrokach lazuruwoko Oko Burz!

Z gór tych krzyże już strąciłem

i uderzam w średniowieczny Mogił Dzwon.

(Bije młotem. Dzwon poczyna grać głucho, jakby mnóstwo
cmentarzy pod ziemią jęczało).

Słyszę odgłos jego straszny, co potrząsa gór opoką:

Vivos plango! mortuos voco!

Tam u ognistych bram ktoś Nieznany
mięsza mi potępionej wiary dawnej ton!

Nieznane Głosy (daleko).

Jedzie witeź, ubroczony krwi węzowej złą posoką — —

Trismegista. Ty ziemio Chrobrego — spocznij pod
[Oceanu

ciemną huczącą nawłoką!

Ja trwam — umarłych przywołuję —

gromy na skałach potwornych zagadnień hartuję!

Kruku, leć!

na oknie Magnat z obwiązaną głową —

w swym ręku trzyma nić — a na jej krańcach gwiaz-
[dę biegunową!

Księżę-Kat (w domu obłądu, stojąc na oknie). Nie przyj-
[dą umarli —

dozorcy za mną drzwi mocno przywarli!

(Kowal bije młotem w rozjarzoną sztabę).

Trismegista. Wisła się krwawi w księżycu, jak ze-
[lazną, rozpaloną sztangą
ściśnięte moje serce!

(Uderza gromem w dzwon).

Fulgura frango!

Idę po wzgórzach, ciężko wlokąc trumny —
idę ani pokorny — ani w świetle tłumnej —
sam — ot, wściekły upiór, co nachleptał z kołysek
[krwi!
idę — pełzam jak Echidna — to wskakuję lwi!
Na wysoką — hej! wieżycę! w głębiny milczenia —
aż stanę na najgłębszej Górze!

(Wchodzi Rycerz, Zawisza Czarny, z ogromnymi nieznanego ptaka skrzydłami, z gwiazdą na hełmie).

Zawisza Czarny. Czemu ten dzwon niespokojny?
[czemu te pęknięcia nowe?
wspomnij nasz układ: My budujem kościół — wielki
[po nieba posowę!
jeśli zdradzisz —

Trismegista. Puście mnie wolnego, jak Judasza —

Kowal. Nie wiem, co większe: Golgota — czy Oj-
[czynna nasza.

Zawisza Czarny. Nie mędrkuj! złe wykuwasz
[słońca!

nam trzeba Morza i Tatr: początku i końca!

(Trismegista załopotał skrzydłami swemi).

Kto zacz jest?

Kowal. Wędrowiec jako i ja wieczny!

Zawisza Czarny. Więc tyś nie człek jest prosty?

Kowal. Prosty — i słoneczny.

Zawisza Czarny. Lecz ten — jakby księga o Marności
[króla Salomona —
potęga ta czy służy Polsce? wyklęta? zgaszona?!

(dobywa miecz, lecz hamując się mówi).

My tam niedaleko w Ornaku stoimy.

Pójdiesz nam konie kuć.

(Kowal biorąc naręcz podków, idzie za nim. Odchodzą —
robi się mrok. Przez szpary wpadają świty).

Trismegista. Na cóż im nowy tej mogiły dzwon? —
[wiem, że bezemnie go nie dźwigną!!

Już wałą się posągi — ich wędrówek wirch
zbluźniony krzyżem! dość tych synagog i kirch!

W mój Zamek Mroku wezmę dzwon — tam burze
gromami, jakich świat nie zna! [zamigną

(Dźwiga Dzwon i niesie. Dzwon głucho jęczy. Trismegi-
sta idzie — rozsuwają się horyzonty).

Podemną wężar wijących się rzecznych lazurów —
lasz miedzianych jodeł —

(jak w antycznym chórze mowa Rapsodu).

Obłok potworny spienia się, zrywając obrożę —
a tam — dalekie Antarktyczne Morze!

Hej, góry płyną — rozstąpiły się nagle żyzne okolice,
„wyzłacane przenicą, posrebrzane żytem”!

Zamykam Bramę Jutrzni z przeraźliwym zgrzytem!

(Huk zamykanych bram, zlewających się ze sobą piorunów,
błyskawice nagle oplatają Trismegistę, jak węże Laokoona.

On idzie, niby posąg Mrocznej Nieugaszonej Energii, i wznosi dzwon wyżej — wciąż wyżej nad głową — mając zamiar rzucenia go w otchłań!...)

Tworzyło się wielkie życie w Turowym Rogu. Zbie-rali się ludzie wieczorami i radzili.

Dniem rozlegały się huki młotów parowych pod zie-nią, wywożono jak zwykle, węgiel, naftę, grafit i ametysty.

Lecz zarazem wiązano się tam w jakąś dziwną znowę, niby Templarjuszów polskich — mających na celu odrodzić Ojczyznę.

Słowacki tak pisał o Matce swej, jak oni czuli o Polsce:

„Z błogosławieństwa Twego miałem blaski,
gwiazdom podobne i cień w puszczech Gazy!...
nieraz ćwiek rdzawy u podróźnej laski
rył imię Twoje... Tam, gdzie same głązy,
i słychać tylko fal libijskich wrzaski,
Eschyłowymi budzone wyrazy,
echa sływały Twoje święte imię —
i słyszał je on laurów las, co drzymie!”

Kto widział ludzi tych, najdziwniejszych w Polsce, ten na twarzy ich mógł spoznać wyraz, jaki tylko znał Mickiewicz u tych, co szli z Napoleonem w roku 1812:

„Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu”.

Pieśniarz żydowski z Antyllów, gdzie dawał koncerty, przyjechał tu do Polski, którą uważał za drugą, a raczej już jedyną Palestynę; widząc mnóstwo zwierząt, jakich od po-

topu nie widziała ziemia i typy ludzi niezwykłych — chciał to nazwać zwierzyńcem, a mówiąc fatalnie po polsku, nazwał — Zwierzeniem: „u państwa takie jest Zwierzenie”!

Lecz wymówiło się mu dobrze: z najtajniejszych tęsknot zwierzały się dusze, w mrokach tych więzień wiekowych rósł kwiat prometejański i napełniał się mocą czarowną zupełnej życia przemiany.

Niebyło tu jednak żadnych koturnów i bawili się czasem sobą, jakby w Arce Noego, tym wysypaniem się wszystkich gatunków szczytnego cudactwa na małym płaskowyżu góry Ararat, czyli Turowego Rogu.

Jedynym, który patrzył na wszystkich tu ludzi, jako na karykatury, był książę Hubert, sataniczny Melancholik i do tego przeżywający jakieś, nieznane nikomu, nieszczęścia. Cały Turów Róg uważał za jedną wielką komedję; i teraz, siedząc po południu wraz z panem Melanchtoniusem, czynił wycieczki przeciw Romantyzmowi.

Pani Ameńska leżała na werandzie, będąc na prawach kuracji, bo jakaś trawiła ją męka płucna, z nią zaś byli inni, dbający o jej ciszę i humor—wtem rozległ się wystrzał, potem krzyk!

Wybiegli — oczywiście prócz Księcia, który pokazywał jakiś perwersyjny japoński rysunek p. Melanchtoniusowi — ujrzeli, jak pan jakiś leży omdlony bez ruchu, zaś profesor Rufin Zawirro, znakomity z Marburga przyrodnik, chłop ogromnej struktury, rzuciwszy flintę, podnosi go i cuci z tkliwością matki.

— Nowa historia Rufinka — rzekł Zmierzchoświt — patrzyłem z okna, alem nie domyślił się, że do tego aż dojdzie! —

Profesor Rufin nosi, jak wiadomo, zawsze przy sobie rewolwer, kastet, a jeśli mu pozwala czas wyjść na polowa-

nie i choćby na dwór, bierze ze sobą sztucer lub w najmniejszym razie dubeltówkę.

I teraz tak było.

Tamten pan, który chciał przejść kładkę, był to dawny kolega uniwersytecki Rucfia, i zbliżał się do niego, machając radośnie rękoma.

Ale profesor, mimo, że jest zagorzały myśliwy, bez sześciu par okularów nie widzi nic! Krzyknął więc w pasji: „Tędy się do Turowego Rogu nie przechodzi — albo będę strzelał”!

Kolega dawny wziął to za żart. Profesor, nie namyślając się dłużej, wystrzelił. Miał widać wadę sercową kolega, bo chwycił się za pierś — i zemdłał.

Żał było patrzeć na profesora Zawirrę, jak zbladły, chmurny, ratował swą ofiarę.

Nakoniec, tamten pan zdecydował się podnieść powieki, z przerażeniem wejrzał na swego druha, który go już czule tłamsił w swych niedźwiedzich uściskach.

Zakończyło się na podwieczorku pysznym: maliny i miód z leśnych pasiek, oraz kawa, ser luptowski i ciasta wypieku Księżniczki Zolimy, która w tem przynajmniej nie była antyseksualna, szepnął Księżę, patrząc na złotoszafranowe baby. Wreszcie profesor wezwał wszystkich do swego laboratorjum, gdzie badał wpływ warunków psychicznych na chore zwierzęta. Wszystkim pacjentom; małpom, królikom, świnkom morskim i psom zastrzykiwał suchotnicze zarazki, lecz jednych trzymał na słońcu, gładził i czule pielęgnował — inne hodował w mrocznej klatce, i choć na tym samym pokarmie, ale krzyczał na nie, lub choćby tylko obchodził się obojętnie: śmiertelność była tam przerażająca. Osobniki, traktowane czule i słonecznie, przychodziły mimo zarazków do zdrowia.

Profesor był naturą niepohamowaną.

Będąc jeszcze małym pacholęciem, wyskoczył z wieży plockiej katedry, trzymając się parasola, aby wypróbować powietrznej jazdy.

Podnieśli z bruku biedactwo, mające pogruchotane ręce i nogi. Choć wrócił do zdrowia, nigdy nie byli pewni w domu, czy Rufcio kogoś nie zabije, lub sam nie zatruje się własnym preparatem. Po latach wyrósł na sławę europejską, stał się wielkim uczonym, którego zazdrościły sobie uniwersytety. Bardzo kochał mędrca Zmierzchoświta, a formalnie drżał przed panią Marą. Jego natura żywiołowa, nie hamująca się nigdy, żeby kogoś nie ustrzelić, mający miljon zawsze pojedynków i awantur — ten wybuchający materiał torpedowy, który nienawidził i kochał równie gorąco — był jedynie hamowany w momentach najwściekłej furji tym słowem, jakoś dziwnie wypowiedzanem przez Mędrca Zmierzchoświta, który ile lubił, tyle bawił się panem Rufinem:

— Ona! —

Poważny mastodontowy profesor, w którym tak wiele było dziecka — nagle wśrubowywał się w siebie, łagodniał i zmykał przez okno. Wogóle ten sposób ulatniania był stosowany również przez Mistrza Teodoryka, kiedy uciekał przed natręctwem dam, lornetujących go, jako narodową chwałę.

Profesor Zawirro w zacności swej ratował wszystkich, ilekroć komu zdarzyła się ciężka choroba; nie cofał się nigdy przed zrobieniem kilkuset mil do Turowego Rogu, aby tam zastosować swe medyczne, jak mawiał, owczarstwo; najlepszy z ludzi na uczucie, był tu jednak ciągłym wichrzycielem. Pani Mara mówiła, że należy go, jak ruskiego kata,

trzymać w kajdanach, przyprowadziwszy do chorego rozkuć, a potem znowu kajdany nałożyć.

Nienawidził mnóstwo osób, implicity zaś nieznosił pana Melanchtoniusa, który nigdy tego nie domyślał się i często wciągał go do rozprawy naukowej.

Ach, wszyscy oni—ileż tworzyli ciągłych burz!!

Mędrzec Zmierzchoświt zawsze był łagodny w rzeczach powszednich lub najwyższych—lecz i on miewał swoje głębokie, nie dające się zagoić już, zadry.

Gdyby określić można było współczesnych nam przez ideał średnich wieków, byłto Bajard: życie swe poświęcił na dwóch ideach — nie czynić nikomu bólu — bronić zawsze źródeł nieugiętej, niepożytej prawdy.

To jednak wprowadzało go w nieuniknione konflikty, gdy np. musiał powstać przeciw baronowi de Mangro, który, otrzymawszy w posiadanie całe Tatry i mając wielkie wpływy we wszystkich 3 stolicach kraju, związał się z kliką, obejmującą Kasyno Zabaw.

Walka była nierówna. Po tamtej stronie użycie wszelkiej broni, osobliwie wysypywanie kosztów ze skorpionami i węzami, kalumnie, przekup świadków w sądzie—ferowanie wyroków na raucikach u szefów — po tej zaś, wypowiedzenie się potężnym śpiżem czynu: wzbudzenia Polski Lechickiej i zamilknięcie tak zupełne, jakby nietylko Kasyna Zabaw, warszawskich bazgraczy i barona de Mangra, ale nawet Moczaru potargowickiego i ludzi w nim żyjących, nie, było.

Mędrzec Zmierzchoświt jest jednym z ostatnich przedstawicieli tych w Polsce, którzy uważają się jednocześnie za przynależnego Litwy i Polski. Bałtyk i Tatry połączył tak w swej duszy, iż zdało się mu, że morze północy rozbija swe fale o groźne fortece naszych gór. Między tymi

dwoma kresami Polski widział naród, jakby jedną duszę, nie roździelał Żydów ni Litwinów, Polaków ni Rusinów, ponad rasowemi waśniami, nad partyjnymi obrachunkami — jeden wielki Znicz wszystkich miał oświecać, rozgrzewać i wskazywać wszystkim drogę: była to Mickiewiczowska idea wolności wewnętrznej, wiodąca do rozerwania olbrzymich krat życia zewnętrznego; cicha o promieniach złotej jutrzni miłość wyżynna; pęd tragicznie rozkwitającej wzwyż jodły w linjach surowych i cudownych, jakby kościół Wiecznej Prawdy.

Spędziwszy młodość na Sybirze, widział go tuż przylegającym do Tatr: nieodzowną dziedzinę Polski, nabytą wiekowemi wędrówkami narodu po światło Zorzy. Na nieszczęście Mędrca Zmierzchoświta, był on przykuty do gór; większość ludzi w Turowym Rogu byli skazańcami, utrzymującymi się tylko w łańcuchach górskiego powietrza, za kratami żywicznych świerkowych borów. Choroba wyżłabiała Turowczykom płuca, wkradając się nieraz podstępnie i podle w ich wielkie umysły, mącąc jeziora nieposzlakowanego kryształu charakterów. Nerwowi, skłonni do melancholji, a z drugiej strony — do niczem nieuzasadnionego optymizmu, równie jak do niedających się pokonać uprzedzeń, nie mówiąc o ekstazach lub ekstrawagancji miłosnej.

Nie rozumiał tego nikt lepiej niż Mędrzec Zmierzchoświt; z Panem Melanchtoniusem i Panią Marą przewartościami życie, ludzkie wiary, obłądy, religje i pokuszenia.

Zostało im na dnie potwornego młyna analizy kilka wielkich, prostych głązów prawd, jak te monolity, z których niegdyś lud Egiptu wybudował system kosmiczny w kształcie piramidy.

Na tle najgłębszych mrocznych puszc uczucia, wiecz-

nie gotowy był Zmierzchoświt świecić dobrocią i uśmiechać się jakimś kresom ludzkim, ponad nizinną moczarnością...

Życie jego istotne najlepiej symbolizuje powieść Tołstoja: „Czem ludzie żyją?“ podobna do opowiadania Sabały „o Śmierci“. Michajło Anioł żalił się nad matką i nie chciał jej zabrać dwojga dzieci, przeto Bóg rozkazał mu zapoznać się z ziemią i z warunkami, w jakich ludzie realnie żyć muszą— strącił go z nieba.

Idzie szewc drogą. Chłopi go zawiedli — ktoś mu wypłacił tylko 20 kop. Na głód w chałupie — cóż to znaczy? chyba tylko warto, aby przepić! Wtem widzi na drodze golutki człowiek! Okrył go kataną, prowadzi do chałupy. Baba poczuła wódkę, widzi gołego, wpada odrazu we wściekłość.

Ostatecznie, Michajło Anioł staje się czeladnikiem, robi doskonałe buty. Cichy jest, a wszystko zawsze umie.

Raz przyjechał magnat, każąc zrobić obuwie wspaniałe na podziw—Michajło zrobił mu proste pantofle do trumny. Niedługo przyszedł ktoś w imieniu żony magnata, wymagając, aby już nie robili butów, bo pan umarł.

Kiedy już Michajło poznał, że miłość duchowa jest tem, co ludzi utrzymuje w ich okropnej nędzy istnienia — wraca do nieba.

Została po nim tylko jasność w chacie!.....—

Takim niezwykłym stworem w chacie ubogiej—wprawdzie nie szyjącym butów, lecz wznoszącym świątyniowe budowle z myśli, głązów i z jodeł — był Mędrzec Zmierzchoświt, którego życia realnego dotknąć nie wolno kronikarzowi. Nie wybaczyłyby tego osobliwie pan Melanchtonius, który jest Wielkim Instygatarjuszem Turowego Rogu — nie zniósłby, zapiorunowałby na zgon, żeby cośkol-

wiek, choćby przez pietyzm, Muza mitów i historii Herodotowej miała zwulgaryzować. — Prócz tych osób, które kronikarz al fresco maluje, ileż postaci z demo i z arystokracji o najdziwniejszej historii rodów, z tyraństwem matek, co wspaniałe kwiaty swych cór wydawały za mąż przeżyтым magnatom, złośliwym i tępym, a które potem same rodziły synów z jakimś postrzałem w głowie, choć uważały ich za ósmy cud!

Matka barona Rabsztyńskiego była taką ofiarą tyrañji swojej macierzy, takim udatnym okazem zaszczepionego daltonizmu magnackiego. Będąc najgorętszą patriotką, nie miała bynajmniej wrażenia, że syn tej Polsce służy źle. Wiemy, że Mangro, wykazał się dokumentami za jej zaginionego syna; służyła mu ślepo, wierzyła w niego niezachwianie. Wykształcona aż po wielkie obszary Scjencji wraz z narzeczem chińsko-hebrajskiem dla studjów nad szczepem żydowskim, zamieszkującym w Chinach, a mającym pono własne tradycje biblijne; z językiem arabskim dla przekonania mahometańskich nabich o bóstwie Chrystusa — pani Marszałkowa nie rozumiała nic ze spraw Wielkiej Przyrody, z dziejów spokrewnionej z Aniołami i z małpami Ludzkości. Jej cudna, choć stara twarz mumji, jej wspaniała heraldyczna postać tkwiła wśród życia takich ludzi, którzy byli jeno monstrami, nieraz po pachy zanurzonymi w nikczemność.

Dom jej z XVII wieku zachowany cały. W nim mieszkały tylko dwie staruszki — pani Rabsztyńska, chodząca w czarnym habicie, i siostra jej — w gorsecie długim, jak u hiszpańskich dueñ Velasqueza, cała w stylu pradawnym.

Pokoje były też szczególne: na suszę jest pokój o szarych zasłonach, smutnych i jakaś fontanna szemrze, łzawo

nastraja. Na deszcz zaś jest pokój o tonach brzasku, zasłony i draperje rozweselające, obrazy miłe. Pokój morski z zielonemi i szafirowemi obiciami. Jadalnia z cedrowego drzewa, przywiezionego aż — z Libanu, z takimi loggiami, jak w Wieczerniach malarzy włoskich.

Pani Rabsztyńska żyje Biblią i ta jej nadaje styl patryjarchalny; siostra jej—przesycona epoką krynolin z przed Lamartine'a — ma życie swe zanotowane w najdrobniejszym szczególe na albumach i w minjaturach. Miała czterech mężów, każdy z nich zapisał się najtkliwiej.

I właśnie kiedy Zolima była raz z nią sama, siostra pani Rabsztyńskiej rzecze:

— Widzisz, ja już blizka zgonu — pokażę ci wszystko!... — Rozmowa oczywiście po francusku, bo już jak poszło na czułość, nie można mówić inaczej! i wydobywa starowinka ze skrytki minjaturę pana, jeszcze innego, niż czterej mężowie — i listy, przewiązane włosami.

— *Cet homme que jamais j'aimeis...*

Zolima aż się zarumieniała. I wierzyć teraz najtkliwszym uczuciom w albumie po czterech mężach....

Ks. Bazyłjanin dziwił się wielu rzeczom, ale nie mógł sobie wyrobić ani opinji, ani tembardziej zająć miejsca czynnego wśród aktorów ludzkiej i nadludzkiej dramy Turowego Rogu.

Tak więc, chodzi z Wieszczką Marą i Ks. Wisznu wśród przepysznych gąszczy tej puszczy z jodeł, świerków, cedrów i limbowych drzew; nad zagłębiami ucichających fjordów morza Pratatr; nad turmalinowemi głębinami, w których kołysały się dumne żaglowce, napełnione snami ich serc. Tymczasem w grocie nadmorskiej Zolima mrukliwie zgłębiała statystykę, a zamilknąwszy, komponowała referat, wysyłany co tydzień do powag uczo-

nych *Harvard University* w Ameryce. Zazdrościł sobie niegdyś tego wielkiego szczęścia, że Turów Róg istnieje, lecz teraz czuł zbyt straszny malsztremowy wir serca. Myślał o Arjamanie, który teren walki zwiedzał, należąc do walczących, choć nie wiadomo po czyjej stronie, a potem po strasznym przejściu — zniknął gdzieś w czeluściach Tatr; myślał o Magu Litworze, który już wrócił z nad ujścia Leny do Lodowatego morza, gdzie pono wznosi się założona przez wygnańców świątynia. Wtem ujrzał Bazyljanin w płaszczu wędrowniczym idącego człowieka, o twarzy zmużdżkiego boga, w którym poznał właśnie Zmierzchoświta, Mędrca z wyspy tatrzańskich jezior—tych, co graniczyły już ze Sybirem. Człowiek ten ciemniał w słońcu wielką, bujnie uwłosioną głową, z jasnymi, bławatkowemi, choć jak stał lodowatemi oczyma i witał towarzystwo. Ale najwyższy podziw, obawę i nawet krzyk przerażenia wzbudził wilk skrwawiony i ziejący, z ochłapem krwawej piany u pyska: Mędrzec niósł zwierza na rękę i pod płaszczem tulił. Sytuacja stała się niemożliwą, każda próba złożenia wilka na ziemię, napotykała się z groźnem warczeniem.

Myśl Zolimy, aby to zwierzę, tak przywiązane do Arjamana, które wściekło się z tęsknoty za nim nieobecnym, strącić zniecka w morze, była o tyle nieurzeczywistnialna, że wilk na widok wody jeżył się, drżał, piana mu ciekła jeszcze obfitsza, a zęby jeszcze bliżej dotykały twarzy Zmierzchoświta. Rozstrzygnęła ten rebus dopiero Ks. Wisznu, przypomniawszy o kuli magicznej z kryształu, którą nosił przy sobie niegdyś Arjaman, nim zniknął z Turowego Rogu — i podstawiła wilkowi przed oczy. Okropnym, nieruchomiejącym wzrokiem wilk jął się wpatrywać, wreszcie stężał.

Zmierzchoświt złożył go wtedy w grotcie Zolimy, któ-

ra wilka koniecznie chciała mieć, mówiąc, że właśnie już zaczyna się nudzić, zaś ta nowa sytuacja utrzyma jej wolę w skupieniu.

Ks. Bazyljanin założył łańcuch i uwiązał przy drzewie, wilk był w zupełnej katalepsji.

Wyszli. Ks. Bazyljanin z niezwykłym zajęciem słuchał mocnych, jak ze spiżu wykutych, tajemnie religijnych, dowodzeń Zmierchoświta, który miał umysł szeroki jak Tołstoj, lecz bez zajątrzeń doktryny innej, niż Wszechmiłość.

Mówili o Polsce, której gazda przynosi do chlewa jadło konstytucji, nie dlatego, żeby ją kochał, ale że ją chce utuczyc na Wielkanoc. Partja polska, najgłówniejsza dziś, nie stawia żadnej polityki, t. j. nie buduje ani jak Bismark, ani jak Cavour. Na to, aby rządzić, niszczy, tępi i prześladuje wszelkie wyżyny w narodzie. Paktuje z kłamstwem świadomem i z ciemnotą nieświadomą. Teraz jest dopiero właściwy, bo od wnętrza rozbiór Polski.

Odpada Litwa i Białoruś, my sami jesteśmy podzieleni na różne parcele i serwituty. Wprawdzie, pociesza się Zmierchoświt, Litwa musi odpaść na to, aby zechciała pokochać nanowo przysłą właściwą Polskę.

Jedyna drapieżna potęga w Europie — Prusy upadły ideowo z chwilą zupełnie nowego wojowania Japończyków którzy umieją wroga miłować i umierają ze satysfakcji, nie tylko z „obowiązku”.

Ta rozmowa wśród gąszczu wielkich tulipanowych drzew i mangowców, okrytych purpurą, gdzie kołysały się małpki—była dla Bazyljanina tak przejmująca, jak biesiada z Królewskim Duchem tej puszczy.

W zachodzącego słońca promieniach ktoś niewiadomy myśli swe nakreślił na korze brzozy białej; drzewo to jakby fontanna wystrzeliło w mroku jodłowego lasu.

„Tak mi jest cudnie tu!
jakgdyby raj zeszedł na chwilę do ziemi!
Niebo turkusmi świeci bezbrzeżnemi...
Zachodzi za borem słońce, jak w Micie
indyjskim — ziemia i niebo mówią: już wiemy! już
[wiécie!

I tylko dusze nieukojne,
przybite do ziemi,—wstają—i Mocom Groźnym wyta-
[czają wojnę,
w której polegna!.,

Tak mi jest cudnie tu!..

W rozpojeniu wszystkich władz szczęścia szli o zachodzie słońca, tak umiającego chronić dęby, jodły i walisnerje Turowego Rogu, zarówno jak i zwierzęta przedpoto-we, spożywające niezmierną ilość traw, dobroczynstwem słońca znowu się odradzających.

Zbierała Xiężniczka Wisznu krokusy i fijołki, zbierał gasnący bóg ślady jej stóp drobnych, obutych w białe kierpcycki i całował.

Była ona Savitri—promieniem tych miejsc.

Kochały ją żarłoczne aligatory, Iguanodonty, olbrzymie jak gotyckie wieże — nadewszystko zaś krążące i przelatujące z drzewa na drzewo, migotliwe tęczowe rajskie ptaki lub białe pawie ze złotymi zbrzeżami ogonów — nad głową X. Wisznu leciały, śpiewając, na ile ich stać było do-nośnie, choć nie pięknie.

Lecz czemu, gdy nad morzem nachyliła się, zbierając wodę w swe cudne artystyczne ręce o linjach wielu ukrytych nieszczęść, które zdążył wyczytać Mag — czemu Morze modrym mrokiem przepojone, nagle błyskało fosforycznym wirem, do szaleństwa upajającym? Nadbrzeżne brązowe wzgórza, okryte lasami sosen i złotawymi kwiatuśkami ja-

nowca, wznosiły się nad modroczarnym, groźnym, niezmiernym żywiołem, ponurym jak duch Wallenroda.

Najbliższym swym Zmierzchoświt jął opowiadać dzieje życia Maga Litwora. Mag, dotykając kwiatów wysmukłej dziewanny, niepodległy czasom, zbudowany jakby z adjamantu Platońskiego, z płomieniami wulkanizujących oczu, miał tak nieprzeparty czar, że wyszeptał, wpatrując się w niego, Bazyljanin: — Oto, któremu by los winien oddać wszystkie Ofiry szczęścia! — Lecz obłok patriotycznego bólu zachmurzył dusze słuchaczów. Rozwarły się przed nimi dan-tejskie obrazy minionej Polski.

Z głębokim smutkiem, występującym, jak lawy z pęknięć wulkanu, opowiadał Mędrzec Zmierzchoświt.

— W Mickiewicza trzeciej części Dziadów wywożą młodych uczniów kibitkami na Sybir. Jeden z chłopców, mających już kajdany na ręku, krzyknął: — Jeszcze Polska nie zginęła! — Mickiewicz nazywa go Janczewskim, lecz właściwie był to młodzieńczy Jan Witołdowicz, założyciel stowarzyszenia w Krożach pod nazwą Czarnych Braci. Zapędzono ich na wieczne czasy do bataljonu pod Uralem i ostrzyżono w żołdacy.

Mijały dziesiątki lat, nikt z rodziny nie mógł i nie miał prawa dowiedzieć się o losach dziecka.

Humboldt, kiedy zakończył podróż po Sybirze, wracając przez Petersburg, był przedstawiony na dworze. Zapytał go Car Mikołaj: — Cóż najciekawszego widziałeś pan w mojej monarchji? — Wielki uczonej odrzekł: — Podziwiam naturalne bogactwa kraju, lecz mię najwięcej zdumiewa wykształcenie rosyjskich żołnierzy. — Zdumiał się Car Mikołaj, który nie oczekiwał zgola takiej odpowiedzi. Zapytał więc niedowierzająco: — Cóż to znaczy? —

— Wiedziałem, że jest wojsko dzielne, ale wyobraź,

Najjaśniejszy Monarcho, moje zdziwienie, gdy zastałem raz deńszczyka szorującego rondle — a przed nim rozłożone dzieła naukowe. Z rozmowy przekonałem się, że wiadome są mu i jego towarzyszący nie tylko wielkie odkrycia przyrodnicze, lecz że posiadają gruntowną wiedzę, jakiejby mógł pozazdrościć niejeden rozgłośny uczonec. Nadto mają własne zbiory geologiczne, oraz tworzą nowe poglądy na formację tamtejszych skał. Osobiście byłem pochlebiony: entuzjazmowali się moim Kosmosem. —

— Nazwiska ich? — spytał Car Mikołaj.

— Nie znam ich nazwisk, rzekł Humboldt, tam noszą żołnierze tylko numery. —

Wielki i zacy człowiek, chcąc ratować skazańców, odgadł trafnie, że wymienić polskie pochodzenie byłoby dla nich wyrokiem na bramie Piekieł: „Tu niema nadziei“!

Car Mikołaj kazał natychmiast podane numery uczynić oficerami z prawem awansów.

Tak, dzięki Humboldtowi, Jan i towarzysze jego stali się wolnymi ludźmi.

Witołdowicz nadzwyczaj prędko został pułkownikiem, choć świeżą była tradycja powstania r. 31. Na stepach bezbrzeżnych Chiwy i Buchary, wiodąc oddziały zdobywcze, chciał zaciągnąć Rosję najdalej na Wschód, aby nastąpiło zderzenie Rosji z Anglią, jedyną wówczas potęgą, zdolną przeciwstawić się rosyjskiej. — Rozjeżdżając po dawnym władztwie Dżyngishana, z oddziałem kawalerji, poznał dokładnie Wschód — z emirami złączyły go tajemne, głęboko przyjazne stosunki. Skarby, które od nich i od Hanów otrzymywał, rozdał tamtejszym mieszkańcom, aby zdobyć ich zaufanie i nie wzbudzać niechęci wśród ludu, że cudzoziemcy wywożą bogactwa z ich kraju.

Ludy wschodnie uznały go za proroka, który ma wy-

bawić Wschód. Przebrany za kupca wschodniego, musiał raz pojechać z Kaukazu do Petersburga. —

Mędrzec Zmierchoświt zamilkł.

Wieszczka Mara wydobyla listy Tomasza Zana i jąla odczytywać tę straszną opowieść.

Jan spędził na rozmowie noc z dwoma czarno ubranymi panami w hotelu; szpieg służący nie dopuszczał nikogo na kurytarz, słyszano głośną, do krzyku dochodzącą rozmowę, potem wyjechali w nocy kareta do ministerstwa wojny, nad ranem wrócili wszyscy trzej; nakoniec zaś wyszli tylko dwaj tajemniczy nieznajomi. W południe służący zrobił alarm; Zan i towarzysze chcieli ujrzeć nieboszczyka: zastali drzwi opieczętowane, zamknięte na kłódki, przy nich zaś straż.

Pogrzeb odbył się bez zawiadomienia; uczestniczyć w nim nie mógł nikt z przyjaciół Jana.

Historja tego nieznanego ogółowi, istotnego i zapewne, jedynego Wallenroda, stała się przedmiotem badań dla sto sunków angielsko-rosyjskich w Afganistanie.*)

Nieocenione zbiory i rękopisy, które wiozł ze sobą, posiadał towarzysz dawny z wygnania, druh jego blizki i dotąd ma je zagrabione, i mieszka spokojnie na jednej z wytworniejszych ulic Warszawy. —

Tu znowu zabrał głos Mag Litwor i prosił, aby nie wspomniano już tych spraw małoznaczących zbyt, wobec istotnej grozy zmartwychpowstania, jakiego doznał w Petersburgu, i potem, gdy poznał Joge, zamieszkałszy w Indjach.

Płomienie mają ogarnąć świat słowiański. Mag, zgi-

*) Historyczne.

nający się pod tragicznem przeznaczeniem Wallenroda, za
palił na Wschodzie ludy — już goreją.

Wśród ciemnych drzew lasu mignęła postać czarna
z fosforyzującymi oczyma. Mag Litwor drgnął, usłyszawszy
cichy złowieszczy śmiech.

Wolą swą usiłował wstrzymać tego, który był niedawno
jeszcze adeptem Wiedzy Riszich Indyjskich, lecz ze smut-
kiem przekonał się, że wola jego odbija się o jakąś twardą
łuskę, za którą zionął wulkan nienawiści.

Wszyscy stali nad morzem zasłuchani.

Myśli tytaniczne, jak chmury płynęły, brzemienne pio-
runami. Księżyc odbijał potężne, groźne zarysy skał w mrocz-
nych, zdających się nieruchomemi, głębinach.

XII.

WIĘZIENIE NAD ŁADOGĄ.

Tam, gdzie spotykają się ze sobą burzliwa, jak morze, bezbrzeżna jak morze, Ładoga i Newa — rzeka, tętniąca falami, jak arterja krwi pod sercem olbrzyma;

tam, gdzie dawniej dzikie ludy walczyły ze sobą, potem drużyny Nowogrodu i Moskwy ze Szwedami, gdzie „tysiące mężnych poległo, pokrywając pole, na którem nie można zasiać kartofli” — jak mówi stary Wil Szekspir —

tam, gdzie miejsce tylko dla żerowiska czarnych kru-ków — kiedy z chmur wichurą gnanych zlecą na ziemię, nio-sząc w dziobach krwawe ochłapy;

tam gdzie jedynie śmierć powinaby zamieszkać na ska-listej wyspie, strzegąc Hyperborejskich krain, gdzie są ciche, i cudowne noce białe latem i obłądnie tragiczne zorze boreal-ne, jak zjawy anhelicznych duchów, wśród ciemnościowej męki tego piekła — —

tam forteca o grubych, niskich, żółtawych bastjonach, potworny krab, zrodzony przez macicę Ładogi, zapłod-niony przez Wicher-Djabła, —

teraz jest świątynią boleści, świątynią dumań straszliwszych, niż Chrystusa na pustyni.

W tej wieży Świetlicznej na drugim piętrze męczyła się piękna żona Piotra Wielkiego, Eudokja Łopuchina — oddana najpierw do klasztoru, potem zmuszona oglądać wbić na pal tego oficera, który chciał ją wyzwolić.

Tu umarła też Marja Aleksiejewna — — — z głodu.

O piętro niżej — w izbie, gdzie jest piec kaflami kolorowymi zdobny — przeminęło niepojęcie smutne życie władcy Joanna Antonowicza, który od 4 roku życia zamknięty w celkowym więzieniu — bez książek innych, niż Biblia, bez Towarzyszków innych, niż dozorczy — został aż do końca nierozwiniętym dzieckiem; zabity w czasie buntu przez tychże dozorców — bohater smutniejszy, niż z Calderona — „Życie to sen”!

Nie wyliczajmy grozy, nie wyczerpiemy jej opisem!

Nikt nie zna tych raskolników, co tu zamorzyli się — w ciemnych norach: deskami zakryto im drzwi i okna na głucho — i tylko straż „silne i ostrożne”, nie mogące słowa przemówić z więźniami — przechadzały się za murem.

Tu reformatorzy zapaleni liberalizmem Katarzyny II, przez też Semiramidę północy uwięzieni i nie wypuszczeni, aż po jej zgonie — —

kiedy już byli żyjącymi trupami (Nowikow, porucznik Krieczetow).

Tu pierwszy konstytucjonalista rosyjski, książę Golicyn umarł.

Tu zamknięci bywali potworzy okrucieństwa i tyranji, jak zwalony wremieńszczyk Biron...

W najniższej kondygnacji, pod niskim beczkowem sklepieniem — gdzie nie było podłogi, lecz zmarzła, wiecznie

wilgotna, zapleśniała ziemia — męczył się Mason Polski, major Łukasiński —

cichy, głęboki myśliciel, chcący przeobrazić ducha narodowego w lożach, wznoszący przedziwne dla serca ludów katedry.

Po 11 latach męki w fortcach polskich — zapomniany przez rodaków w lochach Belwederu, kiedy Warszawa upajała się wolnością dni listopadowych 1831 r. —

tu został zamknięty — i przez lat 37! żył na tym pokarmie za 3 kop. dziennie miedzią, bo tyle zostawało z płacy na więźniów, kiedy dozorczy więzienni przepuścili ją przez swe kieszenie.

Z głodu cierpiał cyngę, od której wypadły zęby —

W strachu mroków nocnych, kiedy szatani kręcili się w zamieciach śnieżnych, odprawiając swój Nokturnowy sabat — w pustce tych dni szarych, jak dusza pająka.

w trwodze śmiertelnej o rodaków, słysząc jak świstały kibitki z malowniczych wiosek pod górami Świętego Krzyża, aż het — — het — — het w tajgi — —!

Starzec krzepiony tą dziwną jogą, której imię było Polska — nareszcie uległ obłędowi, jeśli można tak nazwać melancholję najgłębszą, gdzie wszystkie myśli kierowały się do wzniesienia z upadku kraju.

Córka nadzorcy więziennego, ostatnie dni starcowi umiała troskliwością — —

nie pozwolono mu nawet wtedy widzieć się z rodziną własną. I w tym piekle, nieznanem Dantemu, umarł.

Tu różni rosyjscy myśliciele i działacze w tych „kamiennych workach” wiedli, rozkładali się za żywa, aż który „wołą Bożą (!) umarł z długiej choroby”.

Zwykle suchoty i skorbut, szczególnie dla tych młodzianków po lat 17...

Tu Bestużewy, tu Kiprskij, tu starszy i młodszy bracia Rajewscy —

z nich jeden w obłądzie oddany pod dozór krewnych. Tu spełniano wyroki śmierci.

Kiedy nie był wykonywany akt szubienicy, czytano skazańcowi wyrok śmierci, nakrywali go prześcieradłem, na oczy spuszczały biały kołpak — —

Lecz w tejsze chwili, gdy kat miał zaciągnąć pętlę, nagle zjawiał się feldjeger, który objawiał ulaskawienie: zamiast śmierci, wieczną katorgę.

Iszutin odszedł z pod szubienicy obłąkany — i obłąkany żył już w mogile więziennej.

Towarzyszom, pytającym go przed śmiercią, tak mówił syczącym głosem, dziko oglądając się, odmachując od tajemniczych widzeń rękoma:

„Tam straszno — — ale nie można mówić — tam zmije okręcają się dokoła mego ciała — wpijały się w nogi, ścisnęły mi ręce... tam wszystkie strachy... Ale nie wolno mówić o tem: oni słuchają”...

I zaiste:

w każdej celi było małeńkie okienko w drzwiach, przez które zaglądało oko żandarma — nieruchome oświetlone elektrycznością. W nocy krzyk obłąkanego towarzysza.

Tu urząd kata sprawował aresztant, skazany na katorgę za 7 zabójstw.

Tu ludzie wieszani patrzyli w niebo, nie chcąc ostatniej chwili skalać wejrzeniem.

Tu jednak żyli myśliciele, którzy rozwiązywali Apokalipsę — Morozow —

i takie dusze, jak Wiera Figner lub Janowicz, który przed powrotem do kraju odebrał sobie życie — nie mając siły już zacząć tam żyć...

Nad brzegiem szumiących wód, na skrawku ziemi wśród głazów, za potwornymi murami fortecy — jest cmentarz bez krzyży — bez drzew — bez furty dla modlących się — —

Wrony ostrzą tam swe dzioby —
fale w dzikich szkwałach jesiennych wyją tam i biadają nad marnością wszystkiego —
tam leżą nieboszczyki.

Kapitan Anacharzis już przedtem jako osiedleńca na Sybirze, chadzał z rohatyną na niedźwiedzia, uciekał przez tajgi sam ze swoim psem — przez bezmiary milczących lasów, nieznaną odgłosu życia — szedł, nie mając przez tydzień jedzenia ani wody.

Pies wybiegał na kilka kroków naprzód, potem straszliwie znużony, kładł się i wył.

Dziwną grozą napełniały te jęki obumarły las, który na przestrzeni setek mil był spalony — pnie czarne mroczyły się w księżycu, jak wyobraźnią Edgara Poe stworzone widma.

Kapitan Anacharzis chciał doprowadzić do końca swą na pół genialną, na pół warjacką ideję —

ustanowić prawo dla robienia wszystkich odkryć i wynalazków.

Znajdowali się sami w półmroku kancelarji.

Żandarm, znużony nocnymi dyżurami i złagodzony monetą złotą patrzył przez okno.

Arjaman niepostrzeżenie zaczął się rozbierać i nakazał kapitanowi czynić to samo.

Potem zamienili się odzieżą.

Kapitan się śmiał.

— E, ty jesteś ambitna sztuka—mówił—chcesz abym ja ci wystawił mauzoleum perennius aeris! otóż nie—ludźkość o tem nie dowie się nigdy!

Ukończę me odkrycie, strzelam sobie w łeb — i tam się spotkamy —

rozumiesz? nikogo z tej robaczliwej ludzkości nie będzie, lecz my tam usiądziemy, nad przepaściami Jowisza —

i będziemy radować się.

Znasz Herodota tę radość Greków, kiedy zbliżali się Persowie, a ci nie pozwolili skracać olimpijskich igrzysk?... Jakaż to słoneczność...

Więc ostatecznie zostajesz tu? daj łapę. Czyżbyś mnie ty nie miłował? a to byłoby kapitalne odkrycie!! więc ty szukasz tylko pretekstu, aby zniknąć ze środowiska szanownych żyjątek ludzkich?

O, to idź do diabła z Twem przebraniem —! —

Arjaman uścisnął mu głowę.

— Jestem Twój brat w pustyni?

W takim razie —

żegnaj! —

Dwa wirchy lodowe gdyby nagle się zrosły — od siły zderzenia roztapiając swe lody i buchając strumieniem łez —

byliby to ci dwaj ludzie.

Arjaman tegoż wzrostu ubrany w bałachon więzienny, został sam w kancelarji i cicho trącił żandarma.

Żandarm zbudził się, wybąknawszy parę słów niejasnych, prowadził Arjamana do celi, na trzy rygle zamknął.

Nazajutrz miał być wykonany wyrok śmierci.

Lecz jako obcego poddanego i głośnych zasług naukowych Anacharzisa Cholewę — ulaskawiono.

Wprawdzie już Wirgili mówił: *Timeo Danaos et dona ferentes*.

Ułaskawieniem była katorga; potem już w drodze, zmieniona na Szlisselburg.

Mówiono, iż któraś zagraniczna księżna, zwiedzając więzienia etapowe, po dłuższej rozmowie z Arjamanem zmieniła katorgę dożywotnią na wytworną mogiłę nad Ładogą.

Spotkało Arjamana to najwyższe odznaczenie w procedurze więziennej: znalazł się między tymi, których za bić dla jakichkolwiek powodów, okazało się niewygodnem i niekorzystnem, a należało usunąć na zawsze.

Tak czy inaczej, znalazł się tam Arjaman.

W więzieniu straszliwszem, niż zamek Czillion, zamknął się z własnej woli, czując, że wyrasta w nim Monstrum, grożące zniszczeniem świata.

Była raz chwila, kiedy na Maga Litwora strącił skałę, lecz ta w łuku olbrzymim przeleciała nad głową nieruchomo siedzącego w kontemplacyi.

Z żądy niebezpieczeństw zapisał się do szeregu jakichś zamachów. Nagle zbudziło się w nim dwoje Chrystusowych oczu sumienia, kiedy zrozumiał do głębi tę ohydę takiej walki bez najwyższego wewnętrznego uprawnienia. Nie miał on w sobie djalektyki Raskolnikowa, jednakże mając wysadzić jakąś świątynię w powietrze wraz z tysiącem winnych i niewinnych —

wydał na siebie sam wyrok.

I było szczęśliwym zdarzeniem, że mógł z tem połączyć wyzwolenie swego druha.

W murach samotni rozważał swoje prawo do zbrodni i uznał, że ten zagrzebany w kryptach katedry Sewilskiej, który kazał siebie deptać, jako najgorszego z ludzi, był wobec niego Ablem.

Gdyż potencjalność złego w Arjamanie stała się niewymierzalna.

Gdybyśmy mogli teraz przeniknąć za te mury—urze-
libyśmy wielką niską celę o beczkowem sklepieniu.

Tam w blaskach polarnej nocy rozmyśla więzień.

— Zgłębiam pojęcie przepaściste, jak Gehenna: nie-
powracalność.

Wielki Lewiatan ziemi, dysząc, zrodził miljarde pę-
cherzyków ludzkich, które wirują, siłą się dopłynąć słonecz-
nej powierzchni — — rozkładają się na węglowodór i t. d.

Pomnę, kiedyś, gdy mi pewien rabin żydowski z pia-
ną mówił, że gdyby Chrystus żył teraz, należałoby Go
ukrzyżować —

ja wtedy, biały, dumny Templarjusz, stanąłem nad
duchem tego rabina, świecąc mocą rycerza Świątyni Bożej.
Rabin wyznał mi, że nocami lęka się sypiać — lęka się iść
w ciemności teraz do domu — żyje on bowiem zawsze
nocą w jakimś piekle.

Chrystus był mi najbliższym: słońce mogłoby zgasnąć,
mnie byłoby z Tym mrokiem jeszcze jaśniej; ziemia gdyby
zapadła w niewiadomą otchłań, ja mogłem jak Szymon
Stylites, na jednej kolumnie stać, mając dokoła przepaście...

Ile skrzydlatych mar runęło już — —godnych obco-
wać z Nim na Ostatniej Wieczerzy, równie jak wstąpić na
rydwan słoneczny Hipariona...

Niepowracalni...

— Jam więzień zamurowany w najciemniejszej celi.

Newa szumi nademną; na mojej pościeli

gryzie szczur resztkę chleba. Tam krzyk — to ludzie
[wieszani!—

Widzimy: nadchodzi djabeł, ubrany w szaty z Nocy Po-
larnej—w błękity, w mroki i w srebro; gra mu tak rzewnie

jak słowik nad mogiłą narzeczonej; tak wspaniale, jak wycie jesiennej burzy tu nad Ładogą... Instrument muzyczny jego tworzy kombinację wioli z mandoliną, jak miewają mieszkańcy zaświatów portretowani przez Fra Angelica.

Dziwną serenadę gra djabeł.

— Zakwitła raz w ciągu istnienia
palma Karjota:

sto lat czekała miłosnej ofiary,

aż w kwieciu, lito-złota,

miłości nieziemne czary

z miesięcznym blaskiem przeżywa wśród burz roz-

— — — — — — — — — — [modlenia!

Miną raje kwitnienia.

I stoi, jak Isztar w podziemiach, obnażona!

Gałązki jej, jak zeszcłe łyzy.

I wiecznie zda się, kona...

I w mroku wiecznym zwątpienia

upiorne ją męczą sny... —

Jestem tą nocą majową nieco wzruszony, gdyż doprawdy:

— W więzieniach moich są cedry Libanu,

ptaszki świegocą, jak strumyki gór —

nie mogą przejść przez ten mur,

co mię oddziela od szczęścia—i żyję podobien szatanu!—

Na te ostatnie słowa swe djabeł ironicznie wprawdzie, lecz surowo mierzy go od stóp do oczu — i rzekł mu głosem okropnym, wychodzącym jakby z trumny pogrzebanej pod podłogą, lecz tak mocnym, że zadrżały sklepienia:

— Mogę przejść ten mur — lecz tam nie czeka mię królowna z pieśni nad pieśniami.

Ja—król omamień i arcy mistrz demonicznych perspektyw: udaję, że łańcuch dla mnie zbyt mocny.

Nie, tamta góra magnetyczna jest w gruncie rzeczy tylko Grünes Gewölbe demonicznych fatalaszek.

Jestem więc mądry, mędrszy niż całe istnienie.

Dałem się tu wraz z Tobą zamknąć w więzieniu, aby mózgi tęsknić — choćby za wolnością... Najgłębsze chowam dla siebie... pustynie me starsze są, niż całe istnienie! —

Przypomniał Arjaman z dawnych legend średniowiecznych, że Djabęł sili się wywołać stan pychy —

a za ten jeden jej włos gotów zawlec, aż na ostatnie dno bredzącej halucynacji.

Więc wzruszył ramionami, nie chcąc stać się rzeczywistym tajnym djabła spowiednikiem—i myślał o ludziach rzeczywistych:

(bowiem, gdy wykopano dół i wbito dwa słupy — i mieli rozstrzelać skazańca — — on sam podszedł do słupa, objął go rękoma i gładził, jakby żegnając się z nim) —

— tak i djabeł w braku zaświatowej istoty, więźnia uczynił swym spowiednikiem.

Djabeł, widząc zdradzonym swój zamiar wyjęcia mary nadczłowieka, zmienił się nagle w muszkę brzęczącą, chcąc wyrwać z zadumy.

W brzęku jej skrzydełek usłyszał wszystkie tchnienia letniego wieczoru —

i zdało mu się, że wszedł w mroki litewskiego dworku pod zasłonę, gdzie kryje się sypialnia i czeka w ciemności tajemniczej przed walką gorącą, radosną, umiłowana o nagie, gibkim pod koszulą ciele.—Teraz spojrzął płomiennym wzrokiem w Djabła:

— Tu gra na wioli, ukradzonej z nieba,
zły duch—przecudne szaty na nim tej Nocy Polarnej;
błękity i mrok głębin—srebrzystość, jak Feba,
niosącego w pomroku blask czaszy ofiarnej!
Widzę, że wykopano dół i wbito dwa słupy;
mają rozstrzelać Nestora Mignejszwili.

On podszedł sam—i jakby maszt tonącej szalupy,
objął rękoma ten słup, i gładząc, żegnał... Ha—zabili!
Nie spoczniej, muszko, na mym czole!
wichrze nie przynoś mi tchnień!

niech się rozpostrze nad ziemią wieczny cień —
niech Myśl zejdzie w tę czarnych królestw mych niedolę!
Żaden owad, który wchodzi w głębie Nepenthesu,
ćma, zaczepona w rosiczki łzawnicach,
nie jest tak pogrzebana—żaden brahmanin Gangesu
tyle swej krwi nie wylał, co ja w mych świątnicach!—

Nagle szatan otoczył go podzwrotnikową rozszalałą
roślinnością—i oczywiście chciał mu przez to wykazać, że
mógł całe to królestwo fantasmagorji oddać, jeśli wy-
rzeknie się atawizmu: iść z narodem — i w rezultacie, jeśli
z Szlisselburga uczyni Zamek marzeń.

Lecz za przykładem Mistrza kuszonego na pustyni Ar-
jaman odpowiadał wciąż milczeniem.

To też djabeł wkrótce sam złowił się w swe sieci,
widocznie czując się księciem wschodnim, mówił, klęcząc
przed ścianą, którą brał—ach za wejście do świątyni miłości
w Josziwarze:

— Lilje czerwone Japonji —
me serce, zamienione w pagodę rozpusty,
mirty dziewic, wycalowane bezśmiertnymi usty
aż do obłędu—w agonji!

Ładoga groźnie wciąż huczy nademną,
w burzy—widzącej mrocznych mór Arktyki!
Schodzę w otchłań serc moich, wiekuistnie ciemną,
gdzie jest mogiła i napis: Tu leży Walmiki!—

Nieukrywane było zdziwienie na mądrej skądinąd twarzy djabła, gdy usłyszał to ostatnie swe wyznanie, w którym zlekka uchylał, lub raczej dawał się domyślać, że ten obecny numer więzienny, jest twórcą dawnej indyjskiej Mahabcharaty, i że wcielił się teraz więzienne milczące jestestwo.

I co więcej, że ma tyle serc, ile paw ma oczu w swym chwoście tęczowym.

Zamyślił się ów mieszkaniec kręgów zatracenia pod księżycem i rzekł, z tą złośliwą pedanterją warszawskiego krytyka, który był wielbicielem komuny i Jarosława Dąbrowskiego, a potem dla przymilenia się baronowi de Mangro, podającemu dwa palce mu na raucikach partyjnych — gotów pisać anonimy przeciw wszelkiej indyjskiej, albo li polskiej Mahabcharacie!

— Ja Tobie zaprzeczam: ty nomier Tridcatyj, jak możesz być Walmiki?!—

Na takie brutalne, zbyt długie już, naigrawanie, Arjaman przygotowany nie był. Uderzył pięścią w miejsce, gdzie złożyły się djonizyjskie różki djabła—i on runął wzdłuż kamiennej posadzki, błagając o dalszą cierpliwość.

Lecz Arjaman płakał.

Płakał szalejącymi łzami, że to wszystko jest takie nędzne i że nie ma już żadnej Świątyni, którąby mógł wysadzić w powietrze...

Nie wyszło mu jednak to zbytne wzruszenie na dobre, bo skorzystawszy z leżącej pozycji Mroczna Zmo-

ra wystąpiwszy ze ściany, owładnęła nim — wspaniała za-
śmiertna o szerokich biodrach i pasie miłosnym z rubinów,
Messalina północy.

I śpiewał nad nim leżącym, djabeł:

— Ja na zimnych granitach obejmuję ciało
cudownej wizji, lecz upiór północy
miażdży mi głowę łapami, i nad mroczną skałą
pisze me imię wśród duchów niemocy!
Chciałbym iść z Tobą wśród pustyń Tybetu,
i wstąpić w żądz Twych święte osokory.
Nad mrokiem świata jestem księżyc chory
i dobywam, jak Hamlet, dźwięki — z męczarni moich
[fletu!

Mroczna Zmora odjęła swe olbrzymie skrzydła.

(o nędzo upokorzenia, siedziała więc na muzyku nocy
polarnej okrakiem ta Wiedźma)?

Nagle ujrzał postać djabła, jaśniejącą wytartem czo-
łem tryumfu i znów mówił z pewną protekcyjnością,
jak zawsze mówi djabeł, nawet kiedy się spowiada:

— Z towarzyszami piekielnymi porozumiewam się
wybornie przez kanał kanalizacyjny ludzkiego jestestwa, po
kilka godzin deklamując im swe poematy... Czemuż więc
nie użyłbym tej zuchwałej, lecz istnie Dantejskiej obrazo-
wości, gdybym rzekł:

— W więziennej pustce wyzywam upiory,
mówiąc me wiersze przez rurę..., trzech zer...
Zagłąda w me okno jedlina bez kory...
W czarnej Ładodze świeci księżyc chory,
i ze mnie, jak z fletu, dobywa pieśń—więziennych sfer!—

I szydził djabeł:

— Uczyniłeś gest Apollina, który w jednej osobie zjednoczył kobietę i mężczyznę, w harmonijnej boskości mrok i świty, Wiedzę i Letargiczne Sny...

Napiąłeś myśli łuk adjamantowy, łuk nie znający drzeń, łuk posyłający śmierć wszelkiej konieczności...

(Teraz jest chwila, kiedy przekracza Arjaman zakłętą koło swego przeznaczenia: teraz wykuwa swój los. Wychodzi z zamku marzeń. Wkracza w najgłębszą rzeczywistość: odwiecznej kosmicznej Jaźni...) — — —

I stała się cisza tak niezmierna, nawet djabeł cichaczem się wyniósł.

Z mrocznych kątów idą długie korowody ludzi spowiewianych i nieszczęsnych. A tam jak Harpje — widma tych co zginęli w wybuchu straszliwym sklepień pod świątynią... Wyzwolenia — — !! Cyt, przyszli nie z zemstą, lecz jakby do druidycznego kapłana, odmówić wieczorne pacierze:

— Nocy czarna, która idziesz nad wodami
i zamieniasz je w srebro pełne błękitu,
módl się za nami —

bośmy jak brzoza moczarna,
która widzi odbity w mogile blask swojego szczytu...
Módl się za nami!

bo wszelka dusza kona, jak my — pośród gwiazd
[bezmocy!

Tam płynie Wolność, jak dzikiej Imatry
nurt — tam kwitną żądze, jak lilje czerwone,
tam orły znowu na Kaukaz i w Tatry
leczą — po jasną rozświtów koronę!

Umrzeć—tak ciężko, kiedy was wieszać będą w imię Chrysta—
módl się, o Nocy, za was — mądra, straszliwa, wieczysta!

Białe omdlewające, niemające swej widzialnej przyczyny światło, zalewało całą przestrzeń, gdzie był zamknięty. Nad nim huczała Ładoga.

Słuchał fal, jakby potwornej kroniki ludzi umęczonych.

Światło to było już jak owa miłość, w której mieszkając, mieszkamy w Nim —

ale tu nagle wymówił imię, które zawsze wywołuje przez kontrasty echa—mroczną, nawiedzającą go teraz często, postać szatana.

I zrozumiał naraz precudne słowa:

„Zwyciężyliście go, gdyż większy jest Ten, co w was jest, niż ten, co na świecie!“ *)

Minął rok—za kratami żelaznymi. W szmat zimnego błękitu spoglądały nie tęskniące już za niczem oczy. W celi szarej, jak dusza pająka, świecił wciąż równy znicz—tatrzańskiego Jogi.

Mur okna, gruby niby w zamczysku, cisza przerażająca i rozskrzydlenie najgłębszej najwyższej nadziei.

Obłoki płynęły; czasem w mroku śpiewały błyskawice; wygwiażdżone niebo jedyną było przechadzką.

Arjaman miał jednak towarzysza Morozowa, Z celi rozmawiać przez wypukiwanie nie było możliwem: wojłoki tamują, tudzież zbyt gruby mur.

Więźnie rozmawiali ze sobą, — jak o tem świadczy w swym pamiętniku panna Wolkensztein — przez rurę ka-

*) Kronikarz Turowego Rogu ten szczególny dokument rozpacznej walki o własną Jaźń podaje bez żadnych komentarzy.

nału, gdzie rezonans był wcale dobry. Arjaman opowiadał o Tatrach, Morozow opowiedział swój wykład Apokalipsy.

Były to objawienia dla każdego z nich.

Morozow zamknięty w wieku bardzo młodym, przyrodnik, dostał dopiero w końcu roku Biblię po francusku. Lektura, nie dość zajmująca dla wolnodumcy! lecz umysł badawczy umiał się zainteresować. Wyrozumiał astrologję w Symbolu Panny, która gniołła węża, zrozumiał strzelców, niosących śmierć. Data określić się dała bardzo dokładnie, na r. 395. Autorem był niewątpliwie Jan Chryzostom, który tu na wyspie Patmos obserwował zaćmienie słońca, a trafiła się nadto burza.

Tak więc w księdze morza i gór wyczytał Jan swe Objawienia! takie tłumaczenie bardzo przemówiło do Arjamana, jako żyjącego zawsze morzem, obłokami i piekłem.

Czasem odzywała się potrzeba naukowego zajęcia. Karafka rżnięta posłużyła mu do badań nad spektrem, i dzięki tym rozmyśleniom, odkrył nowy sposób fotografii barwnej i zmienił teorię Helmholtza.

Zasadniczo jednak, Arjaman czas więzienny zużywał na ćwiczenia w Jodze.

Poczynił w niej zadziwiające odkrycia i ogarnął niebywałej rozległości krainy.

Księżyc, niby Mag Litwor—Hermes Trismegistos wiódł go w tę przepaść, z której mógł się już dotykać duszy wszechświata, lecąc jak Sinbad żeglarz na Niezmiernym ptaku Roku.

Jednej nocy zaczęła w nim śpiewać wielka:

INKANTACJA.

Niech Orzeł z gór Kaukazu, który żywił się wątrobą i sercem Prometeusza —

tu przyleci, skrzydła rozpostrze nademną.

Tu, w dolinach mrocznych, niemających światła, wśród których żyję.

Tu jest pustynia, bezbrzeż samotnych myśli, przewiercających Kosmos — w jednym ogromnym Luciferycznym Malsztremie Buntu.

Na cmentarzu więziennym rosną młode żółte kwiatuszki na grobach — potworna źmija zwinęła się w czerepie, sycząc przeciw słońcu.

Nadziemny Orle, przyszła godzina północy, wyszedłem z katakumby więźniów umarłych —

oczy moje zagatowiały od widoku, którego nie opisze mowa życia.

Zaiste, serce moje wije się, jak chmura pełna piorunowych dreszczów —

otchłań piekieł staje się jawą —

patrzy we mnie wzrok straszliwego Władcy gór, Króla Węzów.

Nad wielką mogiłą czaszek rozlega się krakanie kruków i głos umierającego na krzyżu.

Eli-Eli-lama sabachtani?

Ale głos Króla Węzów wzywa mnie, bym leciał na góry najwyższe, na lodozwały oświecone w gwiazdach,

skąd widać bezmiar Oceanu, niby misę wydrążonego turmalinu —

wyżej!

Gwiazdy zieją ogniem kosmicznym w nocach wiecznych nieodgadnionych —

a tam —

kometa, wędrowiec wieczny, dąży w pustynie by wieścić samotnemu Złemu Myślicielowi epokę zagłady dla żyjących na ziemi...

Teraz mówię do najwyższej woli mej — wzleć wyżej!
do rozżarzonej wulkanami myśli mej—wyjdz z labiryntów!

Ty Orle, szum Twoich skrzydeł, niby Ocean huczący,
unosz mi, zamiast poszarpać, — płuca me napełniają się
ambrozją dzikiego świszczącego powietrza, które jest naelek-
tryzowane Zorzą.

Unosisz mnie pędem krążącym, jak myśl nagłym —
nad krainą Rosji—i aż na wielkim Meru, rozpostartym ni-
by ptak nad krainą lodów, nad indyjskimi lasami zacho-
wanymi w dolinach Turowego Rogu, nad morzem Pratat,
gdzie świecą wirchy, niby rubinowy korowód mnichów mo-
dlących się przed bogiem swym, Królem Węzów!

Tu powietrze niewchłonięte nigdy pierśią śmiertelni-
ka, poi mi, nakarmia i ekstacycznie rozognia myślami!

Nadziemny Orle, uniosłeś mi, abym wśród tych
gór najeżonych tajemnicami, budował świątynię wielkiego
przebudzenia—jaźni narodu polskiego.

Jeśli Szatan, ni Bóg nie mogli kałuży życia przeobra-
zić: Ten w Królestwo Boże, tamten w Wielki Pałac Dja-
błów; w imię pierwsze tyłu już umarło; w imię drugie —
tyłu wciąż naradza się do nowej potwornej imprezy —
jakie mam prawo to uczynić?

Jaźń moja wydaje się mi studnią, do której wejście
zasypała ręka Nieszczęścia —

a nad tą ciszą morską postawiła dla ironji pół dysku
słońca, które zapadło już w morze, lecz ludzi mirażem swym,
że jeszcze świeci — —

jeszcze tańczy na wzdętych olbrzymich beznadziejnie
huczących falach: słońce—Polska!

Mam już oto swą moc odzyskaną—moc twórczą, która
narodziła całą tę ziemię—i teraz władnie wszystkim.

stynktu życia, niż niedający się nigdy podejść, ani zranic
Morski Wąż.

Arjaman, wychynawszy z fal, ujrzał nad sobą nisko
obłoki śniegowe —

nad wodą w cudownej tęczy księżycowej przelatywało
skrzydlate widmo aeroplanu, niby czarny na zbrzeżach tę-
czujący wampir.

Baron de Mangro nisko nad wodą kierował powietrz-
ny statek. Obok niego Zolima.

Obserwowali niskie, przysiadłe, jakby potworny krab,
bastjony forteczne.

Zolima bowiem miała chęć ujrzeć więzienie, gdzie sie-
dział niedawno jeszcze Łukasieński.

Zolima ujrzała rozchyloną kratę.

Ze zdumieniem zauważyła człowieka, który rzucił się
w głębinę i płynął.

Usłyszawszy wystrzały karabinowe, prosiła de Mangra,
aby zechciał uratować więźnia.

Lecz baron de Mangro, z trudem zmuszający się do
patrzenia na więzienie, teraz za skarby wszystkich Golkond
miłosnych nie chciał przyjąć katorżnika.

— Mam wstręt fizyczny, rozumiesz mnie,—mówił, szyb-
ko nakręcając ster w stronę nadobłoczną, a motor nastawia-
jąc na 200 kilometrów na godzinę.

Zolima miewała swoje wspaniałe wybuchy.

Poczuła się naraz wyższa o wiele kondygnacji od tego,
który miał wstręt fizyczny do takich katorżników...

Wstrzymała dłoń Barona.

Statek musnął powierzchnię wody.

Twarz Arjamana patrzyła w lico kobiety.

Był to wzrok bez nienawiści — nieopisane zdziwienie
malowało się w nim. Wyniosła duma człowieka, który na-

raz pojął, iż on, tonący w polarnem zimnem jeziorze jest możniejszy, niż tych dwoje unoszących się w aeroplanie nad światem.

Wzrok jego i Zolimy zwały się z sobą, jak niebo ze ścianą granitu.

Zolima, pochylona tuż nad twarzą płynącego, wyglądała na Salome wpatrującą się w misę z głową św. Jana.

Miałaż ja wybawić z błaków piekielnych, czy miała pograć na wieki w toń?

Nie wyciągnęła ręki, jak bóg Wisznu z lotosem—nie pograżała szponem w toń, jak Charybda—zwróciła nieznacznie wskazówkę motoru.

Zabić można duszę tylko nieznacznym gestem.

Wysadzić w powietrze można skałę olbrzymią tylko nieznacznym pociśnięciem elektrycznej baterji.

Byłoż to ukazanie obcości większej niż ta, która dzieli gatunki dwóch zamieszkałych planet?

Lecz te przynajmniej karmią się z jednego słońca!

Aeroplan wzbił się, jak pocisk w górę, zasłonił jezioro obłokiem śniegów.

XIII.

KLUCZENIE W CIEMNOŚCIACH.

W księdze nizin życia ludzkiego tajemniczym kluczem, który wszystko rozwiera: samotność Kaina, czy Wieczerzę Ostatnią, jest, jak wiadomo — owo kraśne jabłko Wiecznej biodrochwiejnej Hewy.

W Nietocie — zali mamy wybierać punkt widzenia podobny — będący bez wątpienia odblaskiem gyneceów zachodnich?

Jak bryzg wody, padający na rozpalone do białości jezioro ze stali w hucie — nim doleci, rozdmuchnie się w najcieńszy pył — tak w Arjamanie materiału już nie było na minstrela.

Arjaman, w kosmicznej Miłości żyjąc, podobny bogu indyjskiemu o tysiącu rąk, który symbolizuje życie lasu i życie pustelników, i życie tygrysa i życie fali, i życie promienia i życie lodozwału —

Arjaman niepokalany, choć zanurzony w namiętnej miłości, nie był zwykłym aberratem, wybierając za Sezam dla swych życiowych skał Zolimę.

Musimy z obowiązku kronikarza znów zalecić aż do Ładogi i do owego czasu, gdy aeroplan zniknął z oczu ostrzeżliwych go fortecznych żołdatów — podczas gdy Arjaman, płynąc nurkiem z siłą morsa, rządził się w absolutnych mroczkach jeziora tylko instynktem kierunku.

Musimy wszystko zobaczyć aż do głębi.

Musimy więc i zrozumieć nareszcie, co zachodzi między Mangrem i Zolimą tam w nadziemskich wyżynach.

— Zolimo, rzekł spokojnie baron de Mangro — cieszy mnie, iż rozumiałaś to prawo życia: nie trzeba nigdy poniżać się aż do tych, którzy mają bezczelność być niezależnymi od Wielkiej Kultury bogactw i użycia. Mimoto, najlepszy most, po którym się dochodzi na wszystkie brzegi, jest most z ludzi serca.

— Wyglądasz jak Apollo, — odrzekła Zolima, — lecz umiesz być zimnym, jak Szajłok.

Wykazujesz swą praktyczną mądrość, a ukrywasz drogi przebyte, które ci dały tę pająkową wiedzę życia.

Teraz zdajesz egzamina we Fryburgu, aby stać się cywilnym księdzem. Masz jakieś wielkie zamiary, idąc przez Rzym.

Powiedz mi, kto ty jesteś?

Gdy buduję na twych napomknieniach, pochodzisz z rodziny cesarskiej Habsburgów, lecz z matki Polki emigrantki; bywasz teraz na dworach królów, dokąd cię pociąga tradycja krwi.

Wprawdzie ktoś twierdził, że widział cię, jako policjanta, lat temu dziesięć w tłumie ulicznym?

— Opowiadali ci jeszcze moi sykofanci, że posiadam za sobą okres kolonji karnych?

Kim jestem, sama siebie zapytaj! — rzekł z cichą szlachetną prostotą de Mangro.

Jestem geńjuszem, który nie ma pokrewieństwa, ponieważ nie chcę się przyznać nawet do rodzin panujących; jestem zwycięską wolą, która umiałaby się wznieść z warunków nawet więcej, niż ordynarnych. Lecz mię los przed nimi ustrzegł.

Wykształceniem mym kierował pewien starzec w klasztorze koło Glogau — a teraz idę na wodza, aby mieć dużą część kraju w swym ręku.

— Czemuż tak powłóczysz nogą, chodząc?

— Jak fetysz mongolski, jak okrutny bożek Batyja i Zoroastra, — rzekł niezbyt silny w historii baron — męczysz mnie.

Gdybyś mogła, przytroczyłabyś mnie do siodła, lub nawet zaparzała pod siodłem, na sposób kałmucki.

Lecz otóż ja daję ci dowód, że kocham w tobie właśnie twą tradycję pustyni Szamo.

Niegdyś horda — potem zginacie królów przed waszem strzemieniem.

Wytepełiliście owoczesną kulturę, z miast zostawały ruiny; karzecie ludy za jakiś tajemniczy grzech ludzkości!

W tym odnajduję nasze powinowactwo.

Wychodzę z ruchomego, czyli jak mówili w Egipcie — z wnętrzości małpy. Chcę zaś stać się jedynym i niepodzielnym władcą Polski. Chcę założyć me królestwo szerszej niż Bolesław Kędziorowaty, chcę walczyć o me prawa tężej, niż Zygmunt Walezjusz.

Polskę stworzę nowoczesną i silną: „podłą, karczemną, chytrą, pełzającą” — powiedziałaby pan Mickiewicz. Ale trawiąc, odpowiadam, zamykając dyskusję.

Wszakże i ten aeroplan nie ja wymyśliłem, lecz ja używam górności jego lotów.

Dla mnie jest narodowym omnibusem.

Korzystając z tego, że egoista książę Hubert potrzebował wstąpić na chwilę do swego pałacu po cygara —

ja wskoczyłem do aeroplanu, który jest jego tajemnicą i wynalazkiem, skoczywszy i nakręciwszy motor zacząłem krzyczeć, że mnie Duch narodu porywa — nie uważałem oczywiście na pięści wyciągnięte Księcia—potem, gdy zniknął daleko, spokojnie zatoczyłem łuk do twego zamku.

I oto jedziemy tout simplement w podróż przedślubną.

I przez te parę dni, które jesteśmy razem, czy nie byłaś dla mnie, jakby wzniosłą Andżeliką dla pustelnika? a mimo to w ogrodach Szacha widzieliśmy kąpiące się dziewczyny. Zostawiwszy tę ciekawostkę w haremie, razem omówiliśmy ze Szachem eksploatację Irańskich gór na południe od Kaspija.

W świątyni gwębrów kupiłaś te prześliczne ametysty.

Tu na północy pragniesz zbadać fizjograficzne warunki dla rozszerzenia komunikacji wodnej i kanałów między północną Dźwiną a Poniewieżem.

Teraz tę wiadomość podbijemy na giełdzie londyńskiej. Co do mnie, jestem dziś w złototwórczym usposobieniu. Jaki jest dzisiaj dzień?

— Niedziela.

— A, jakież fatalne roztargnienie. Przy tobie tak mi czas ulata, szczęśliwi pieniądze nie liczą, chciałem rzec, iż dla nich czas nie bywa pieniądzem.

Zolimo, muszę ci się zwierzyć, iż pod postacią współczesnego człowieka kryje się we mnie człowiek głębokiej tradycji. Ja czczę religję i cieszę mnie, iż jesteś głębo-

ko, jeśli nie wierząca, to w każdym razie praktykującą katoliczką.

— Chcesz oprzeć się na księżach, aby zdobyć wpływy w kraju?

— Zolimo, jesteś przenikliwa!

Jest teraz przedświt. Na 7 rano możemy być w wielkiej kaplicy papieskiej z czarnych marmurów, wyłożonej gromnicami. Tam przyjmiemy razem Ciało i Krew — —

(Zolima patrzyła szeroko rozwartemi oczyma w głębinę).

— W ekstazie, godnej tych, co popierają katolicyzm w Polsce, jak uradują się nasze oczy obrazem mistrza Matejki, obrazem Obrony Wiednia, który to obraz Mistrz złożył za całą Polskę w darze najmędrszemu Ojcu.

Zwycięstwo podobne jest w nas: miłości chrześcijańskiej nad rozbestwieniem rewolucji.

U znajomego mi kardynała w precudnym parku ocienionym cyprysami Dorja Pamphili — spożyjemy śniadanie.

W Rzymie też bawi pewien książę z Petersburga, można wiele zrobić przez niego. Wciągnę go do koła Fjołko-krzyżowców — tego cudnego stowarzyszenia, gdzie dozwolone są pociechy bardziej przenikliwe i subtelne, niż grubiaństwo zmysłów.

Gdyby mój przyszły ojciec chciał to zrozumieć! gdyby chciał zerwać spółkę górniczą z tym wstrętnym masonem Oleśnickim!

Tego wprawdzie mam już w swoim ręku. Chodzi o to, by mu nie dał pomocy Muzaferyd i żeby wszedł ze mną do naszej spółki fabrykantów pruskich.

Wtedy stanę się niepodzielnym władcą przemysłu na całym obszarze Rosji, nie mówiąc już o Galicji.

Teraz więc powiem jasno, czego spodziewam się po tobie:

ja będę rządził sumieniami w Polsce i ja nadam odpowiedni kierunek energii wytwórczej; ty zaś bądź moją różdżką czarnoksiężą, którą chcę macać w ciemnościach.

Nie znam tak dobrze, jak ty, różnych teorii cywilizowanego świata, choć mogę sobie przyznać, mam o wiele potężniejszy instynkt życia.

A teraz pierwszy punkt naszej intercyzy. Wieniec kobiet, który mnie otaczał, zarówno księżniczki krwi, jak przelotne znajomości w Ostendzie i Wiesbaden, petersburskie cyrkówki, jak nasze łowczynie salonowe i rybaczk—te wszystkie nie będą dla mnie istniały, jak dla Księdza.

Ty jednak bądź moją Selene, moją prawą i lewą siostrą. Wszakże spełnił się obrzęd w kaplicy Muzaferidów, znamionujący, iż jedno drugiemu niczego nie odmawiał! —

W mrokach nocy błyskała nieokreślona mgławica, pod aeroplanem cicho przesuwaly się drzewa.

— Tam jest Petersburg, — rzekł w natchnieniu de Mangro.

Wszystkie marzenia swoje można będzie najlepiej urzeczywistnić tam.

Jeśli jesteś znużona, ja mam właśnie wynajęty pałac, gdzie zamierzam utworzyć Międzynarodową Ambasadę.

— Wynieś, baronie, ten kufer z mojami rzeczami. Nie wyrażam nic, co czuję, tracąc wszystko, — w duchowym kierowniku.

— Jakże rad jestem—o pozwól, że ci uścisknę paluszki już tam na ziemi.

Nie lubię w rezultacie tej pozy z Ptaków Arystofanessa. Dobrze upatrzyłaś przystań. Sto kroków za tymi drzewami jest elektrycznie oświetlona stacja kolei.

Jestem szczęśliwie na ziemi.

Aeroplan zabierzemy, zwinąwszy go do kufra, gdzie jest jeszcze, o ile się zdaje, dużo wolnego miejsca. Oto postument! —

De Mangro klęknął, pochylając swe plecy, aby Zolima mogła stanąć. Lecz aeroplan wzbił się na wysokość 12 stóp nad ziemię.

Zolima zaśmiała się.

Mangro spojrział.

Pierścionek narzeczeński wzbił się parabolą i leciał do wody, błysnąwszy jak zatrute ślepie bazyliuszka.

W wodzie klupło.

— Co to znaczy? — ryknął Mangro.

— Nie mogę być nałożnicą duchowną człowieka, który musi kompromitować się przewozem rewolucyjnej literatury i ładunków.

— Ja?

— W Persji, kiedy pan, baronie de Mangro, szachrował z szachem — ja mówiłam z ludźmi wolnomyślnymi. Ametysty, które wiozę — darem są dla rewolucji.

Ten kufer proszę elegancko i spokojnie zanieść ku stacji, szczególnie, że właśnie idzie tu żandarm i dwaj dróżnicy.

Kufer ma na wierzchu firmę mód Nicejskich i pachnie fijołkami.

Trzeba go dostarczyć na ulicę, gdzie jest, baronie, pańska Ambasada, domu 15, mieszkania 8.

— Więc ty—Pani nie jest taka idjotka, jak myślałam—?

Aeroplan stał się podobny już tylko do żorawia, odlatującego na jesień.

Tu baron zaklął tak, że policja, zakazująca na ulicach

izwoszчыkom rugat'sia w Moskwie i Petersburgu, musiała-
by z wytwornego barona ściągnąć isk...

— Więc ona mnie tylko sobie rozświeciła? czekaj,
odechce ci się robić ze mnie przeźrocze do swej latarni.

Mogę obudzić podejrzenie władzy, iż tu bada fortece
pewna panienska...

Do licha, któż wie, dokąd poleci? a jeśli w Tatry,
ostrzedz Muzaferyda? Lecz na to kocha mnie zbyt szalenie.

Wszakże uznaje mnie za jedyną Duszę Dostojną w kra-
ju. Nie mówiła mi tego wprost, ja to jej właściwie wma-
wiałem, lecz czemu nie miałyby o tyle być mądrą? Co uczynić z kufrem?

Wątroba mi puchnie na grubość ręki! — Muzafe-
rid musi ujrzeć we mnie człowieka, który Zolimę zaraz
po ślubie weźmie w krótki szpagat. To nic, że rzuciła...
wiele pierścionków taka przetrzuci, nim nareszcie będzie za-
kładać inny pierścień gdzieindziej. Kufer wyślę via zamek
Turów Róg w Tatrach. Dołączę te kości po jakimś zwier-
zętaku, które tu na polu wyzionęło ducha. Podobne do
niemowlęcia.

To będzie figiel. Wszystkie wieszczki wezmą się za
głowę — i z pewnością skropią łzami i będą mi przebaczać.
To ich potrzeba.

Ba, a jeśli Zolima odemnie żądała dowodu odwagi—
i skoro dostarczę kufra tam, ona będzie już czekała na
mnie — w tym kufrze zaś jest skarb wtajemniczonych?

Żandarmi! Trochę odwagi cywilnej — — teraz lękają
się aresztować — naszych — t. j. tych — —

Na szczęście szedł tragarz, nie żandarm. Lecz kufra
dźwignąć nie mógł. Oddał więc baron tragarzowi pled, ku-
fer zaś niósł sam — jak wiadomo miał siłę niepospolitą,

wycwiczwszy ją przez lat wiele oskardem w kolonjach poprawczych.

Kiedy znalazł się już w pociągu, minawszy stację i żandarzmów, salutujących instynktownie przed tak dostojnie wyglądającym panem, wyczerpany padł i zamknął oczy.

— Taka narzeczona! — myślał...

Teraz kronikarz Turowego Rogu nie wie, za kim iść. Niełatwo jest być opisarzem polskich charakterów, które zawsze się rozlatują w przeciwne kierunki, jak stado kszyków. Gdyby był detektywem, wybrałby bezwątpienia towarzystwo barona.

Sprawdźmy jednak, czy Arjaman, utonawszy w jeziorze, przestał męczyć swego dziejopisa sytuacjami piekielnymi?

Morozow nie mylił się:

jak wąż umiał Arjaman znikać i być niedosiężnym dla wzroku.

Nurkiem podpłynął pod łódź strażniczą i, trzymając się w zagłębieniu pod sterem, krążył w różnych kierunkach, słuchając rozmowy żołdatów i więziennych dozorców o tem, że trzeba będzie zapuścić sieci i szukać ciała dla doprosu.

Wtem dał się słyszeć na wodzie szum.

W mrokach nocy migał parostatek.

Pielgrzymka z wielu tysięcy osób jedzie do monasteru Walaamskiego na wyspach, objaśnił główny Tiuremszczyk.

Arjaman zrozumiał, że zbliża się ratunek.

Silne zaczerpnięcie powietrza do płuc, wyczekiwanie,

aż soldaci zdjęli nabożnie czapki i czynili kriesty przed świętym monasterskim parostatkiem — —

Arjaman zanurzył się, minął przestrzeń, która oddzielała go od pędzącego parostatku.

Brakło mu powietrza, usłyszał już potężne szumy kół—istna przygrywka młyna śmierci.

Arjaman przerzucił się jeszcze dalej, żeby znaleźć się po drugiej stronie statku.

Parostatek dyszący, straszny, zdał się Lewjatanem; runął nań, falą potężną zalał.

Należało chwycić się dachu, który był nad kołem — i przedewszystkiem nie dać się wciągnąć pod koło, gdzie byłby wessany przez szalony wir i zmiądzony.

Fala potężnie odpycha.

Dach jest ślizki, okrągły.

Gwałtowny pęd statku rzucił Arjamana na tę okrągłość, wystającą nad wodę.

Krew napływała do gardła.

Parostatek gna.

Niebezpieczeństwo nie zmniejszyło się.

Grozi nie żywioł ślepy, lecz ludzie ślepi i źli.

Zgolone pół głowy aresztanta, w tłumie zaś pobożnych krąży policja...

Jeśli ujrzy kto, trzeba będzie rzucić się znów do wody i nie wypłynąć raczej, niż dać się zawlec do turmy.

Użyta swoboda buchała fugą szału, wydawała się Bogiem.

Nagle głowa w czarnym kłobuku monasterskim przechyliła się za burzę.

— Christos woskriesie — przemówił czerniec.

Arjaman ucieszył się, że Wielkanoc ludzie jeszcze obchodzą, jeszcze wierzą w tę cudowną pieśń średniowiecza.

Lecz ścisnął go ból życia, który mu zimne mury Szlisselburga wyłożyły.

— Nieprawda — krzyknął mimowoli.

Milczenie.

— Hej, bracie, tyś zbiegły katorżnik?

— Rycerz jestem, rozumiesz, niewolniku, rycerz.

— Jestem niewolnik Boży. A ty czyj rycerz?

— Swój.

— Hardyś. Opuszczę ci moją rjasę i na niej tu ciebie zaciągnę!

Ubierz się — noc zimna.

Ludzie tu śpią i chrapią.

Ciężki jesteś, niech Bóg zachowa. Myślałem, że nie utrzymam. Teraz chyl się nisko i zaraz się odziewaj. Naród przesądny, wzięliby cię za Koszceja bezśmiertnego, lub inną potworę wodną.

Wszyscy śpią.

Chłop na nas patrzy—na Ciebie, jakby Cię znał!

Położył się znowu, wziął nas za senne majaki.—

Arjaman, odziany rjasą z kłobukiem na głowie, stanął obok czerńca, który był w bieliźnie.

— Tyś kto jest i czemu taki ponury, straszny? nie pytam. Bywa ciężko.

Mamy przez noc kącik w kajucie.

Rano kupię ci odzież i bilet.

Wtedy wmieszaj się w tłum.

Więc ty naprawdę nie wierzysz, jako Chrystus, który Łazarza wskrzesił, mógł wskrzesić i siebie? Dziwnyś ty człowiek! —

Arjaman milczał, mimowoli twarz mu się rozrzewniła odblaskiem dawnych wiar.

— Widzisz, jest w tobie iskra.

Nie idźmy spać. Opowiem ci nie o czerńcach, bo wśród nas jest mało cnoty. Ale są w Rosji i słoneczni bracia, rycerze, jak ty chcesz mówić, takiej Świątyni Bożej, jaka jest w XIV rozdziale św. Jana.

Jest pewne Bractwo pod godłem Wzniesienia Krzyża. Magnat rosyjski rzucił ambasadorstwo u króla bawarskiego, wrócił do chat, zaczął dzieci wiejskie nauczać, wychowywać.

I teraz żyjemy wielkiem bractwem.

Jam u nich księdzem.

Żyjemy z Chrystusem, jak z Ojcem naszym.

Myślisz, że u nas ciemnota? jeździmy też zagranicę, znamy Wenecję, Paryż, wynalazki i Nietschego.

Niektórzy byli na uniwersytetach. Mamy poetów między sobą, malarzy. Lecz wszyscy pracują na roli lub w fabrykach.

Głównie dbamy o to, żeby nas Chrystus kochał — i nasz święty Nauczyciel.

U nas wolność, bracie, wolność ogromna, aż do nieba step! — — —

Noc zdawała się Arjamanowi wprost cudowną teraz na wolności!

Skąły potężne, pełne świeżych wodospadów Imatry. Dokoła szmaragdowe wzgórza i lasy ciemne, balsamiczne. Noc srebrna, niebo złocące się mimo północy.

W duszy Arjamana kłębiło się dzikie piekło z mroźnych chmur i ciemności podziemnych, jak w Nifl-hajmrze..

Czerniec stał opodał i modlił się.

Jego zachwycona, wniebowzięta twarz miała w sobie ten wyraz ze św. Sergjusza, który tak dziwnie oddał Niescierow. Wielka świętość Rosji jarzyła w tych oczach, zapatrzonych w mistyczne dobro.

Arjaman był nieruchomy, lecz ręce boleśnie zaciskał i wykręcał sobie palce, myśląc, że już iść nie może z takimi świętymi ludźmi.

Kiedy Mangro wsiadał na pociąg idący do Petersburga, Zolima dążyła znowu w kierunku Ładogi.

Wysiadła w parę kwadransy później nad jeziorem z północnej jego strony, obleciawszy przestrzeń dużą, jak pół Francji. Aeroplan zostawiła w lesie.

Mieszka w tych krajach ludność fińska, Korjely.

Wobec niedzieli wyjeżdżali łodziami do monasteru św. Wafaama, otoczonego archipelagiem wysp.

Jechali wesoło, nucąc korelskie pieśni.

Wzięli panią, która zapewne wysiadła z pociągu.

Śmignęły wiosła, żagle wydęły się, łodzie jadą.

Przedświt zarubiniał już obłoki, złotem obarczał mgły, w których spoczywało jezioro.

Boskie napięcie wszystkich zmysłów i uczuć.

Zolima myślała o towarzyszach, których spotka.

O tych dziwnych ludziach, przed którymi drżała Rosja.

Przyjadą tu, jako pielgrzymi.

Na jednej z wysp zrobią zebranie, na którym mają sądzić zaocznie jednego z towarzyszy.

Potem przy sposobności powieszą go, lub z brauninga...

Zolima była przez długi czas zachodnio - europejską uczoną; wstąpiwszy na drogę rewolucji, szła nią z całą bezwzględnością.

Aeroplan będzie sprawie wolności służył, sterroryzuje nim wszystkich gubernatorów, wszystkie więzienia...

Broń to najstraszliwsza, bo dotąd w jednym tylko ręku!

Kto wie jednak, czy tylko w imię rewolucji walczy Zolima? czy nie miłowała ona miłością tak głęboką, że tym uczuciem przechodziła w ultrafiolety i absorbcję miłości aż w mrok? tajemnicę swej duszy ukryła starannie przed Kronikarzem Turowego Rogu; pozatem myśli jej są jasne, przenikliwe, jak druty stalowe opasujące świat.

Baron de Mangro jest to kwintesencja wszelkiej nieprawości, lecz ma jeden punkt tępoty.

Zolima zużyje to do celów Partji—czy Miłości?

Łodzie płynęły w rytmicznym chórze wiosła i pieśni, półgłosem śpiewanych.

Nie pytał Zolimy nikt, nie zaglądał jej nikt natarczywie w zadumaną twarz, po której ślizgały się: lazur jeziora i myśli, brzemienne chmurami.

Dlaczego opuściła Arjamana?

Może, iż na Arjamanie ciążył Wyrok Partji?

Może, iż miała uczucie mściwe znieważonej orlicy?

Może, iż przeżyła cały problem matkobójczyni, i z niebezpieczeństwem najwyższym wychowuje dziecko w jednej jaskini Tatr?

Zresztą, cóż jest Arjaman na świecie — jest, czy go niema — będą się dokonywać rewolucje, będą się toczyły olbrzymie boje miliardów przeciw milionom robotników... Z dwóch tych ludzi nieporównanie i szczerzej woli de Man-

gra, niż Arjamana. Pierwszy przynajmniej należy do europejskiej kultury i nie cofa się nigdy przed niczem.

Nagle Zolima zdumiona spojrzała na wodę: zjawisko: silna mgła, słońca nie widać — w kręgu potrójnym tęczy rubinowej, zielonej i szafirowej płynie człowiek samotny na łodzi.

Chrystus!

Błogosławi brunatnym wzgórzom łądów — błogosławi lazururowe wody.

Za nim płyną lilje mgieł.

Lecz on zwraca swą twarz ku Zolimie.

Patrzy surowo. Nie przebacza.

— Nie istniejesz—mówi Zolima, powstając z łodzi — zabili cię dawno Strauss i Harnack, rozświetlając ponure królestwo Biblii — wiemy z każdej stronicy przyrody, iż Ciebie niema.

Lampę Twą i ja zgasiałam.

Walka musi być sroga, okrutna między ludźmi, gdyż działa w nich ciemne odwieczne Zło!

Mówiła, lecz Chrystus nie zniknął. Modrem już staje się niebo.

Baśniowy lazur jeziora.

Suną mgły, jak flotylla dawnych witeziów.

Pachną tataraki, którymi usypano łodzie.

Mity z kurhanów północnych, legiendy i byliny słowiańskie —

ach, to nie Chrystus—raczej Perkun z grozą Majestatu w oczach, ogarniających wszechbyt.

Runy czyta na wodzie... która jest we krwi od tego obłoku w górze.

Runy czyta — — zagładę Słowiańszczyzny...

Runy czyta — — i pogrąża łodzie witeziów...

Dlaczego tak musi być?

I wspomniała legiendę z Tatr.... Króla Węzów.... nienawiść pogrąża wszystko...

Zolima mówi: nienawiść jest piękną cywilizacyjną siłą. Dzięki niej, idą tłumy proletariatu; dzięki niej — istnieją bogactwa ducha i myśli.

Nagle widmo zniknęło — na miejscu czarnej postaci pojawia się w tęczy potrójnej wielkie mrowisko pożerającej się ludzkości, mrowisko rozsypuje się, mrówki toną, zczepione ze sobą kleszczami.

I teraz, jak obraz Muncha — widzi siebie tam w głębinie: kobietę, której włosy zmieniły się w fale Oceanu.

To ona — —Madonna demoniczna wiedzy: Xiężniczka Meduza...

Łodzie dopływały do wysp — złościły się już wieże cerkwi.

Było gwarno, radośnie. Zolimę powitali dwaj Rosjanie w skromnym odzieniu. Tych znała: terroryści. Trzeci wydał się znajomy. Ten wzrost — oczy — drgnęła... czyżby to był Arjaman?

I naraz ogarnął ją bezwzględny pewnik.

Wydało jej się nadewszystko ważne — nie sądenie Luciferysty, nie budowanie rewolucyjnej wieży Babel w ciemnościach!... lecz Tamto, Tamto!..

Żył na poddaszu ze swym znajomym Persem Książę Hubert.

Żyli nad Newą, obok wspaniałej Oranżerji na wyspie Aptecznej.

Książę Hubert roztaczał przed Szejchem obrazy polarnych podróży, gdzie spotkał się z kapitanem Anacharisem.

Szejch ze wzruszeniem powielekroć odczytywał list Anarchyza, który mu doręczył książę.

— Widziałem w Islandji pustynię Oda-dakrahu! Bezmiar lawy zagasłej — czarnej... Zachodzi słońce, rzucając krew na te potworne Sodomy i Kainy... Zapadła noc, wulkany jarzą wokół. Myślam i memi dzielę się jedynie z tobą, nawet już nie z tą kobietą wybraną!... Wywołałeś mnie z pustyń moich — do Ojczyzny, której już nie kocham. Lecz przybędę na zakłęcie twe, ty ptaku husarniany. przybędę, zanim już marzenie twe dosięgnie niebytu.

Azali ma być walka? nie — zabawa! Zbudujemy okręt Argonautów, zbierzemy tam ludzi — tęgie duchy — i wypłyniemy na pokłon Zorzy. Odkryjemy drogę — duszom we wszystkie bezgranicza! —

Szejch Tebrizi noce białe spędzał z Księciem, błędząc po upiornym Petersburgu, ubrany za Persa, zresztą nie dbając o to, że mógł być odkrytym. Lub czekał świtu na Strielce, zapatrzony w morze — tępy, smutny, niechający niczego.

W dni słoneczne przesiadywał w ogrodzie Tauryckim, patrząc na te szmaragdowe koszone łąki, na cieniste jodły i cedry, na blask stawu — niby z ogromnej łąki, i na pałac Biały, za którego wielkimi szklanymi ścianami zbierali się przedstawiciele narodów i tworzyli wielki sąd...

Książę Hubert zaciągał nieraz Tebriziego do wnętrza Pałacu, gdzie przysłuchiwali się po dniach całych obradom.

Tebrizi ożywiał się tam, przez dzień cały zajęty dysputami nad pogromem w Białymstoku, nad buntami na Kaukazie, nad wyrokami śmierci w Warszawie.

Wieczorem o 8, kiedy rozchodzili się wszyscy — on jechał parostatkiem po Newie z Księciem w upiornych światłach nocy do Ambasady, którą założył de Mangro.

Baron do polityki nie mięszał się, ale dzięki swym pałacom, kredytowi w bankach zagranicznych i opiniји wielkiego gienjusza w przemyśle, uzyskał sobie wpływ. Dla mas szerokich miał urok dziesięciogłowej Bestji.

I wtedy poznał Arjaman, że wszystko, co błyska teraz nadzieją — runąć musi.

Baron de Mangro stał się bożyszczem intelektualnego świata.

Do ludzi wykształconych na agnostycyzmie Hercena, Spencera i Feuerbacha — mówił o powadze religji, jako jedyniej, która chłopa, robotnika i nawet inteligencję utrzyma w warunkach taniego producenta.

I ludzie, wykształceni na agnostycyzmie, patryjoci ogólnie szanowani—przyklaskiwali de Mangrze.

Do księży mówił o władzy Synodu i papieży, jako osi, dokoła której musi organizować się świat; mówił o bankructwie nauki i o tem, że mędrzec jest niczem wobec św. Alojzego Gonzagi; mówił o środkach rozszerzenia dochodów z monasterów i parafji—i trafiał też nienajgorzej.

Do rewolucjonistów (bo i z tymi nawiązał szerokie stosunki) miał język twardy Niszczyciela.

Widywał się z nimi potajemnie, udzielał chętnie dużych sum na tajemnicze zamachy, znał Aziewa i wiedział, że w rewolucji najłatwiej wypływać temu, co siedzi naraz w biurze śledczem i przy drukarni potajemnej.

Z Niemiec przez fabrykantów tamtejszych sprowadzał brauningi w olbrzymiej masie i rozrzucał głodnym strajkującym robotnikom. Wiedział, że dawszy broń wszystkim, z walki uczyni się rozbój.

Fabrykanci niemieccy korzystali ze stagnacji, ze strajków, z walk, nurtujących społeczeństwo w Rosji i w Polsce.

De Mangro olbrzymie tereny gospodarstw swych i kopalń obsadzał żywiołem niemieckim.

Wreszcie zaczął wpływać na opinię Rosjan, aby Królestwo oddali Niemcom, bo mają za dużo z gadzinowem usposobieniem polskiem kłopotu.

Jednocześnie de Mangro tłumił wszelką oświatę zapomocą pism, wydawnictw, zapomocą wzywania środków represyjnych.

Gubił naraz Rosję i Polskę, odsuwając te bratnie narody od jedyne go źródła, które mogło je naprawdę zbratać i uzbroić do walki z nawałem toczącej się chmury niemieckiej.

Odsuwał daleko od wielkiej myśli europejskiej, od organizacji mas dla samopomocy kulturalnej.

Szejjch Tebrizi znalazł pismo, świstek Rejtanowski, do którego zaczął pisywać. Chodząc do fabryk — zapoznawał się z realnemi potrzebami proletariatu.

Z Biblioteki wielkiej Cesarskiej korzystał, poznając świetlane postacie Staszica, Czartoryskiego i ruch odrodzenia Polski przez pogłębioną wiedzę i nowe oceaniczne sumienia.

Lecz w kraju budził tylko niesmak i gniew, bijąc w Dzwon Życia Nowego.

Znaleźli się wkrótce anonimowi denuncjanci u władz.

Wzywany do rządu miasta mówił spokojnie i otwarcie, że wysiłek bezwzględnej Prawdy jedynie zdoła usunąć ten głaz, zawalający potworną grotę Polifema, w której żyjemy, pożerani przez potęgę ludożerczą — widmo naszej ciemnoty i wzajemnej nienawiści. Rządca miasta wzruszył ramionami i nie pytał o pochodzenie u Persa takich idei.

Szejjch Tebrizi uznał, że honor bywa w policji, szczególnie kiedy go braknie w sferach honorowanych.

Nie domyślił się, iż wysoki urzędnik wziął go za war-
jata!

Z księciem widywał się już rzadko.

Zamieszkał gdzieindziej.

Pracował w bibliotece, zwiedzał fabryki, pracując jako robotnik—i przymierał głodem.

Tu z obowiązku Kronikarza wyłożymy namiętne, a ośle-
płe w ciemnościach myśli Arjamana, których tonu nie po-
chwaliliby Mag Litwor.

Race płomiennego uczucia wylatywały z wielkich głę-
bin, lecz nie przebyły jeszcze Słońca miłości wśród przemy-
śleń nad życiem i Polską.

Tęsknił za Magiem Litworem, za jego duszą, dla któ-
rej nie tajne już były odległe cele ludzkości.

A rozumował, jak dziki syn Puszczy, pasterz i myśli-
wy ginących czarnych żubrów.

Fragmenty listów z Północy.

Nudzi mię głupota i egoizm ciężkiej, przewalającej się
masy, zwanej inteligencją naszą.

W ich matolkowem na świat spojrzeniu kryje się dzie-
wiąta fala zagłady dla okrętu Polski...

Morze ohydneho szwargotu...

Gdybym był św. Krystyną, wchodziłbym na wierzchoł-
ki wież, gór i drzew—aby tylko oddalić się od przemierze-
go zapachu ludzi...

Mickiewicza „Kocham za miliony...” to był inny kraj,
zresztą, wtedy żył Bóg w sumieniach. Teraz tu jest plu-
skiewnik, Polska, oblepiona brunatnym habitem moralnego
robactwa, zjadana żywcem...

Niemcy—zgniotą resztę Wenedów polskich, nie zdolną stawić żadnego oporu...

To już nie z epopei litewskiej: głupi, głupi — starego Macieja, co nie ugiął się przed Pociemem — lecz: podli, nikczemni, w swych balach, w Świętopietrzach, w swych karcianych popisach, w swym sknerstwie na cele istotnego dobra, — w swym porywie do ogarniania władzy nad narodem — a gdy mają władzę, marnują bez myśli! Ambicjusze na krótką metę! gubiący przyszłość — Targowiczanie!

Życzę wam, żeby wulkan wzniósł się piramidą bezmierną: buchał lawą i płomieniem dymiących pogorzeliisk tam, gdzie wasze spelunki — —

Życzę, żeby ciężar butów chłopskich i robotniczych pokazał wam, iż siła i egoizm, na który lubicie się powoływać w walce ze słabszymi lub szlachetniejszymi — aby ta siła pokazała się wam wreszcie argumentem, nie tak do cna przekonywającym!

Życzę wam, aby morze Bałtyckie napłynęło ku górom Tatr.

Wy, nie czujący już morza, nie widzący go nigdy, drwiący z tych, którzy pod Tatrami słyszą jego szalejące łaskoty —

niechaj was morze uświęci, kryjąc moczar ohydny waszych kiepskich geszeftów, moczar, gdzie niema już czci, niema już instynktu dla Prawd.

Wiry Oceanu powietrznego, czy zapomnieliście już waszych szturmów?

— — — — —
Miłości moja, słońce me, Polsko! w co obróciłaś się, w jakąż Gehennę smutną i beznadziejną?

Idę —

tam, gdzie Morze dziko pluszcze —
łkam — a może tylko w burzy śmieję się — i na pio-
runach gram? —

Książę Hubert po niewidzeniu miesięcznem ledwo mógł poznać Tebriziego.

Zawsze podobny do wodza Huronów, teraz z swymi długimi włosami, ze zczerniałą twarzą, gorączkującymi oczyma — stał się podobnym do Margiera, kiedy z Litwinami idzie na stos, nie chcąc się poddać Krzyżakom.

Książę Hubert, jak Demon, widzący tylko zło, nie lubiący ukazywać stron jasnych, wysiłków i myśli obywatelskiej, dokładając drzewa do wulkanu, rzekł:

— Dziwiłeś się, że tu powstała w Petersburgu Międzynarodowa Ambasada, t. j. że de Mangro wydaje krocie tysięcy na przyjęcia dla reakcjonistów?

Nie zdziwisz się, jeśli poznasz tę rzecz u źródła.

Będziemy znów bliżej Tatr...

I może to cię zachęci, dziś bowiem już bezwarunkowo w nocy przyjdą po ciebie...

Nie uda mi się już żadną miarą powstrzymać nad tobą potopu—oraz trwałego zamknięcia w Arce...

Nawet nie będziemy mogli do kraju wprost wyjechać — dworzec Warszawski strzeżony.

Wyjedziem w inną stronę —

W złotym porankowym lesie, nad jednym z tych przednych jezior witebskich, zatrzymał się powóz. Książę był znajomym właścicielki majątku, pięknej jeszcze kobiety, która właśnie ubierała się i szła do obory ujrzyć nowonarodzo-

ne cieleća. Gromada Łotyszów otaczała ją, rozmawiając ze swą Jeziorną Panią.

Weszli po przywitaniu do jadalni, skąd widok na jezioro wśród lasów; dom zdał się unosić, jak statek na bezmiarach wód Amazonki.

W jadalni wisiał obraz, przedstawiający zmarłego starca, który przelatuje nad Tatrami.

W wazonie szklanym płomieniały kwiaty, wonne nasturcje różnych odcieni, tworzące razem jakby palący się krzew.

Usłyszawszy historję Tebriziego, Pani wyciągnęła do niego ręce tak serdecznie, jak tylko czasem Polki na kreścach umieją to jeszcze uczynić.

Pierwszy raz od czasów wyjścia z murów nad Ładogą, Arjaman uczuł uspokojenie i niemal szczęście.

Otaczał ich precudny modry błękit cichego, wśród puszczy, jeziora; spożywali śniadanie. Wkrótce potem Pani Jeziora poszła do swych zajęć, dwaj panowie mieli iść wypocząć. Arjaman nie mógł zasnąć, czytał o dawnych w Polsce bractwach masonskich, wydobywszy parę książek ze szafy.

Śniły mu się wkrótce te korowody, idące w podziemiach, robotnicy mistyczni, niosący żagwie i szpady...

Między nimi Łukasiński, mędrzec łagodny i nieposzlakowanej prawości — między nimi też szpiedzy, dostojnicy polscy!! Łukasiński, zapomniany w czasie Dni Wolnościowych w Warszawie!! przybity łańcuchem do armaty, wleczony nad Ładogę — —

Po latach 50 — Starzec obłąkany, a zawsze głęboko czujący to, co Polskę może zbawić — pisał pamiętnik, pełen wzruszających napomnień...

Arjaman zerwał się ze snu, uderzył głową o ścianę i krzyknął nieprzytomny z metafizycznego bólu:

— Co ja czynię, co ja czynię z moją duszą? — Był to głos Jaźni, ostrzegający Arjamana, że błądzi i zginąć może w Ciemnościach. Cóż bowiem go wiodło teraz przez życie, jeśli nie słup ognistej nienawiści?

Wieczorem żegnali precudne brzozowe lasy, ten kościółek litewski, zamknięty na zawsze, gdzie tylko duchy umarłych z cmentarza odprawiają mszę.

Kto wie, może nieco żalu w Księciu utaiło się i dokoła złotych włosów Pani Jeziora?

Znów pociągi błyskawiczne niosły ich ku Tatrom. Arjaman nigdy słowa nie przemówił z Księciem o Zolimie. Jakież więc było jego tajone wzruszenie, gdy Księżę rzekł mu:

— Powiem coś, co obejdzie cię mocno...

Zolima jest w Turowym Rogu.

Czy pojedziemy tam wprost? —

Bładość pokryła twarz Arjamana.

Wspomniał potworną miłość w górach, gdzie wraz z Zolimą odprawiali Czarną Mszę.

Wiedział, że musiał spełnić tę złowrogą, lecz konieczną drogę Przeznaczenia.

Wspomniał, jak Zolima opuściła go tonącego... i jak osądziła wraz z mścicielami rewolucyjnymi, którzy równie nie rozumieli Wielkiej Sprawy Jaźni, jak ich wrogowie żandarmi. Arjaman nie chciał bronić się przed ludźmi, których kochał... z którymi przeżywał wspólne tęsknoty za doskonalszą ludzkością.

Uśmiechając się, zapatrzony w dal za horyzontem, czekał, aż kula położy go na cichym brzegu, skąd się zaczyna astralna wiedza.

Lecz nagle pojawił się ktoś wśród Trybunału sądzącego.

Był to Mag Litwor.

Pochyliły się głowy w najgłębszej czci.

Arjaman wziął za rękę i kazał mu iść, gromiąc go, dlaczego pogłębia otchłań śmierci, zamiast rozjaśniać Życie?—

Jarzył się w Arjamanie teraz jeden ogień: Wiedza tajemna dla Polski!

Więc uprzytomniając wielką duchową jej klęskę, rzekł:

— Idźmy ku Hermopolis Tatr!..

— Niestety, przypomni nam to raczej ową u Wiktorra Hugo w *Miserables* wędrówkę przez kanały pod Paryżem...

Trzeba mieć nietylko straszliwie odporne płuca na ten swąd i czad...

Trzeba się nie bać, iż nagle ręka z ciemności wsadzi aż po rękę żelazny hak, że banda szczurów rozwścieklona za to, iż miesza się im spoczynek i strawę, rzuci się na nas... t. j. na ciebie.

Ja jestem z tych, którzy nie podlegają krytyce... kryję się za mym herbem, za mymi w Banku Angielskim milionami — i za mą obojętnością na uczucia moralne.

Patrzę na kraj mój, jako na moczar, gdzie chętnie idę polować bekasy.

Nie wzruszam się tem, że jakiś ideał zapadł do bagna.

Mówię z „Mefistem”: jest Polska czem jest, ot, rachunek ścisły... Dla mnie istnieją światy niższe, lecz stokroć ważniejsze... Tak, teraz lub nigdy muszę to osiągnąć.

Xiążę Hubert wyglądał straszliwie, mówiąc to. O, jakże oni wszyscy ginęli w ciemnościach! Mangro, mający na sobie odwieczne góry win — Karmę z innych wcieleń; X. Hubert ze świty niegdyś Lucifera, Arjaman i Zolima — z rodu błędzących Dzieci Bożych...

Przejeżdżali właśnie pociągiem wśród lasów poleskich, wilgotne opary zakrywały srebrzystymi zasłonami w księżycu świątynie prastarych dębów.

Gdyby Arjaman nie był teraz mrocznym morzem, gdzie wirowały Malsztremy, uczulby na sobie wzrok tych dobrych wieszczych istot, które tu żyją w lasach i zwą się boginkami.

Słowiki śpiewały tak cudnie! chciało się wierzyć, iż można być jeszcze szczęśliwym—należy tylko nie wchodzić w te piekła podziemne życia polskiego, w tę grozę zamczyska Królowny, która zapadła w letarg od jednego ukłucia wrzecionem w nieszczęsne serce, zakochane w tem, co nie istnieje.

XIV.

WIELKA NOC U ŚW. JANA.

Noc kłębamii śnieżnymi i wyjącem szturmem uderza.
Drżą żelazne bramy; dźwięczą w ołów oprawne witraże; huczy dalekie echo w podziemiach.

Nagle rozwiera się brama okuta, a wiodąca z mogił i kurhanów:

buchnęły światła zielone i fioletowe, stygmatami krwi usiane rozety —

na klejnotach koron podziemnych, cierniowych i żelaznych tak — odbijają się pochodnie.

Idą...

Żywi czy umarli? różne postacie na przestworzu tysiącolecia z Polski dawnej i obecnej, od Krymu i Kaniowa — do Wenety i Żmujdzkich puszczy.

Hymnem milczącym, granym przez organy i chór, wywołują zaśnioną Duszę Narodu.

W tłumie poznaje się Samuela Zborowskiego, z dawniejszych wojów Zawisza Czarny ze skrzydłami, Mag Litwor, dzierzący młot z kuźni pod Ornakiem, Mickiewicz, Norwid, księżycowa twarz Słowackiego, Cieszkowski, Hoe-

ne-Wroński, Kopernik. Opodal samotny Krasieński. Mieszkańcy Turowego Rogu. I wielu innych, nieobjętych tą kroniką bohaterów Dramy współczesnej.

Robotnicy górują liczbą i zapalem. Z nimi straszliwi, jak ptaki drapieżne, przewodcy buntu.

Chłopi w obudzonej świadomości — obywateli tej ziemi.

Witeż Włast w zbroi astralnej Przyszłości, lecz jakby wyszedł z kurhanu: krzewi się na nim cały las dziwaczných, trujących roślin i potworných chimer. Na piersi ma herb, którym piętnowali się dawni Słoneczni Bracia.

Byłoby radosnie do łez, gdyby nie coś, co zadziwia: wszędzie nienawiść wybucha, kiedy ręka dotknie się cudzej ręki.

Jest li to wpływ ponurej Magji Trismegisty, który miesza zgrzytliwy, wyjący dysakord do grających zielenią łąk i lasów wśród wiosny na chórze organów?

w tem uwielbieniu Rozumu, Woli Twórczej i Wiary w Człowieka-Słońce — zahuczy On — Zły Duch piorunem nieszczęścia!

Słowo Trismegisty strąca mozolnie dźwignioną bramę Nadziei w otchłań, rozsiewa wzrokiem Węża zobojętnienie na najwyższej ofiary mękę.

W tym kościele krążą, walczą ze sobą, zmagają się archaniołowy i demoniczne blaski —

nieustannie przelatując — zmieniają wyżyny i głębie, błyskają, jakby język Ducha św. lub język szatana, nad tym, owóz nad innym —

to nagle w próżni wysoko, aż pod stropem, zaigra wielki hejnał płomieni łyśnicą bezgłośną.

Rozewrzeć trza inny wzrok w sobie, aby to wszystko widzieć; radować się nad wszystkimi otchłaniami i mieć po-

wagę straszliwą nad całą podłą groteskowością podszewki życia i natur ludzkich...

Mag Litwor, jak zwornik w kościele gotyckim trzyma zbiegające się łuki sklepień, tak on wiąże i wzmacnia te rozstrzelone elementy, które tworzą naród.

Spowiedź narodu!

Mówią ludzie czy widma? spowiedź jest to grzeszników? rozmowa bohaterów, wysłanych z Hadesu?

Mówi jaźń zbiorowa—mówi też człowiek pustyni.

Tragiczną boleścią rzeźbią się światła nad czarnym w krepie Chrystusem hetmanów—z jego cierni padają najwyższe krople krwi i tworzą cierniową altanę stygmatów, gorejących wśród mroków głębszych, niż Gehenna!

Niewiadomy głos mówi:

Kto jestem? wie tylko ten,

który wie, iż mnie wcale niema.

Śni mnie ktoś, jakby ciężki sen —

płacze ktoś o mnie pod brzozami trzema!

Imię Jezus powtarzam wśród nocy,

imię Jezus powtarzam, gdy płaczę —

imię Jezus powtarzam, gdy kracze

nad mogiłą moją ptak niemocy!

Imię Jezus napęlnia moich serc komorę,

imię Jezus mam na każdym głązie,

imię Jezus zamienia mię w świętą potworę,

która idzie przez sady i kwitnące bazy.

Imię Jezus na wirchu mam księżycą góry,

którem wyrył, zanim ziemia ta była ognista!

imię Jezus wymawiam wśród życia tortury —

w domu obłądu, gdzie droga jest ciernista.

Imię Jezus kocham nad lice kochanki,
nad jeziora, nad lasy i nad świtania —
imie Jezus wprowadza mię w szranki
rycerzy bożych — Zmartwychwstania!
O, tajemnicze —
Ciebie z rąk gwiazdnych odbieram — i lśnięć
w mojem sercu nie obliczę!

Targowiczanie.

Nie kochaj mnie, Mroku, lecz mnie męcz — na kra-
cie Wawrzyńca rozżarzonej — nie rzucaj mi za most złudnych
tęcz, niech idę wciąż upokorzony.

Niech duch mój leży w głębi Tatr, gdzie huczy mor-
skich głębin wir — niech mą opowieść śpiewa wiatr i kona-
jących orłów skwir!

* * *

Jam zły — i zaiste Szatan! plama na słonecznym bo-
gu, zatrute żyto, trucizna, zebrana na przednówek w stogu!

Wolnomularze polscy:

Dałeś nam, Mroku, mieczów siedem,
a wszystkie miecze obosieczne:
nieszczęsną Miłość — brak Miłości,
wpatwienie oczu ślepych — wieczne!
nieugaszonych marzeń — kwiat parości,
zwątpienie, które jest nam Cred'em;
zamek Chrystusa na bajorze;
tętent szatana wśród Golgoty —

i krzyż milczący, w głębiach złoty,
który niewiarą pług zaorze!

Targowiczanie inny.

Idę wśród ciemnych pól Gehenny —
niech mrok obłąka mię promienny,
niechaj mię stawią pod pręgierze,
niech mię narodzi robaczne zwierzę!

Emir Rzewuski:

Hjacynty wystrzeliły nad grobem Jezusa:
Marja z Magdali!
Nepenthesy czarne nad grobem Jezusa:
Mahomet-Ali!
Róże się krwawią nad grobem Jezusa:
Katarzyna z Sieny!
Paprocie tajne nad grobem Jezusa:
z ksiąg Awiceny!
Nenufary ciche nad grobem Jezusa:
mniszki śnią mękę!
Niebo wieczorne nad grobem Jezusa:
kometa Enke!
Ogrody pustyń nad grobem Jezusa:
Marja z Magdali.
Tarcze zagasłe nad grobem Belusa:
Mahomet-Ali.
Sfinksy olbrzymie wśród gór Edypa:
człowiek wybrany!
Nad Gopłem czarna opuszczona lipa:
wieszcz obłąkany!

Upiorna zorza nad oceanem,
okręt wśród lodu!
na świecie idę—w kraju nieznanym —
wódz bez narodu!

Nieznany współczesny:

Nie zatrzyma mięż żona Putyfara,
idę do Myśli Ogrojca —
napisy czytam Baltazara,
przekleństwo mego Ojca!
Zahukał szatan w pustym Domu:
śmiech pewno ze mnie!
gdyż nie przyniosę dobra nikomu,
mówiąc te ciemnie!

II Współczesny:

A gdym wzniośł oczy—był już ranek —
i kąpałem się w bladym Oceanie!
na skale siedzi mój szatanek,
gra chutne pieśni na tympanie.
Lecz mi go wnet zakryją wody,
gdzie utonałem bezrozumnie:
skałę Mojżesza mam w mej trumnie —
i pić z mych źródeł chcą narody!

III Współczesny:

Tak jestem szczęśliw, jak Chrystus nad krzyżem —
a tak samotny, jak duch, kiedy tworzy;
a tak na drodze—jak archanioł boży —

a tak ogromny—jakby grany śpiżem!
Z rąk moich płyną ziemi utworzenia,
choć jedna tylko gwiazda w mroku ze mną...
Wmyślony jestem w górę mych światła tajemną,
gdzie mówią wokół Bracia wśród milczenia.
Jestem zaiste Moczar niepojęty
i życie moje—to czartów bezdroże;
jestem Czarodziej w lasach, trochę święty,
i z pni prawiecznych wydobywam zorze.
Mam ja wyklętą mądrość niewidomą —
me imię jest: omnis Homo!

* * *

Kapitan Anacharzis:

Tajnia mej wiedzy — to wielkie wstrząśnienie ziemi —
wulkan, buchający słowami ognistemi wśród lodów;
mistyczna zorza nad okrętem zamartwym, burza nad
światów zamętem, wielki hymn Wschodów!

Mój człowiek ciemny płynie w mroku nieprzejrzanym,
gdzie gwiazdy już zgasły—a okręt utonie nad ranem.

Tam obłąd jarzy—i bezgwiezdne mroki, widma pod-
morskich cmentarzy.

Widzę Meduz latarnie—ich drgające ssawki — gniazda,
utkane z piszczeli i trawki, wśród mórz zamtuza.

Myśląc, wizjami gadam, jak Fr'Angelico!

Myśląc—ja Prometeusz, w otchłani Kaukazu rozpięty—
odczuwam ludzi jakby kępę ślazu—z gromów muzyką!

Myśląc, jam mur Cyklopów — kościół odarty z pozor-
ów, gdzie zamiast gromnic świecą oczy Węgi i skały zim-
ne, twarde wśród przepastnych borów.

Krzyż runął w otchłań: Wokół niewiadome brzegi!

C. Norwid.

Myśl—oto piekiel posłannica—ona mię na krużganek
świętyń stawia i zachwyca!

Myśl — oto mroków służebnica — ona w pokorze
klęka, mówiąc: tajemnica!

Myśl — to rozmowa wieczna Lucifera z Chrystusem,
gdy gwiazdy krążą nad eterem!

Jul. Słowacki.

Zmartwychwstań, duszo, która jesteś w górze — ludzie
w otchłani Ciebie potrzebują; wśród rajskich witrażów ka-
dzidła wirują, hymn na organach gra, jakby kuł Tytan
w marmurze!

Kościele polskiej ziemi, żywocie, co dźwigasz Jezusa—
uczyn mój naród bólów najgłębszych pożarem! niech idzie
w Przemienieniu—niech u Świętego Obrusa dzieli się Wie-
dzy przenaświętym darem!

Kołatko śmierci zamilknij u ołtarza: rozwarte piekło
męki — to Voluntas Tua! Dokoła nicość — ale w niej się
stwarza Dzień Genezyjski—muzyka olbrzymia i czuła!

Król Duch już za naród wyrzekł do otchłani: Jestem!
wziął skrzydła gwiazd, a zamiast serca: Jeruzalem—

i nad Ocean uniósł się z gromowym giestem i trum-
nę Życia rozwarł Miłości opalem!

Głębokim jest—a nad wszystkimi światami! i w niebo
wstępuje—ja i Ojciec—sami!

Tyle światel wśród mroków! tu wśród niepojętej mę-
ki—z uśmiechem się nachylam do nóg Matki Ziemi świętej!

(*powstając z ziemi mówi*):

Umarli, którzy nie chcecie być ze mną na Wawelu! w tej czarnej z modrem sklepieniem królewskiej kaplicy, ukryci za nagrobkiem z mosiądzu, wy z nad rzek Hadesu, niosący kwiaty asfodelu!

Wy, przez witrażów klejnoty przeświecający królewscy pątnicy, którzy słuchacie olbrzymiej kantyleny chóru! kardynał wam odprawia mszę w mitrze złocistej Assuru, a pastera! trzymają okropne mumje—starzy dostojnicy.

Widzę głębinę serc tych — tu Jezus nie wstanie, ni Zygmunt, przez rozpustę zjedzony, w Alchemji.

Kamieniu wędrowników, któż cię ma? organów łkanie—umilkły! kaznodzieja huczy—tak mroczno i źle mi.

Xiądz mówi o Żydach, którzy przekupili żołnierzy nad grobem—i teraz przekupują tych, co wątpią w zmartwychwstanie —

Ja wątpię! i wszystkie modlitwy i długie konanie w mogile—i to, żem był bitym gromami Hijobem — każą mi wyjść z kościoła—dla honoru—krzyża.

Idę. I wielki ból mi pierś mą opancérza — na myśl, że idę sam—bez narodu—w wężozach Golgoty...

Lecz słońca wszedł blask wieczny w me serce—tajemniczy, złoty.

IV Współczesny:

Wykapana w grozie gróz—dusza moja cicho łka —

Idę w mroku—w ciemny mróz—pohańbiona dusza ma!

U żelaznych zimnych bram, gdzie lat tysiąc kościół trwa,

klękam w pustce — w mroku — sam! duch, jak wąż
zdeptany, drga!

W dzwon ten mogił chciałbym tłuc, zakłąć — niech
w mym sercu gra!

bym jak dawny powstał Wódz — by Ojczyzna ze
mną szła.

Lecz zbłąkanych ludzi tłum w piekle głupich mar-
nych żądz,

a nad nimi gwiazdny tum — i ja — niemy warjat
ksiądz!

I odprowadzam czarną mszę — na tych głazach schy-
lam skroń,

tu zimowe smętne krze, ziemi czarnej wilgna woń...

Księżyc, płacząc, nakrył mnie — jam wędrowiec, da-
wny trup!

grozy życia straszne dni — a nad nami zimny grób!..

Wiara moja jest jak zórz nieskończona jasna dal—lecz
przedziela mię świat burz i okropny trupi żal.

Wśród ohydy zesłała noc — zadżumionych ludzi rój...

Dzwon wciąż bije — ciemna Noc znów odpędza mię
w grób mój!

(Rozchylają się mury i widać Miasto. Idzie tłum wśród
błota z kopącymi żagwiami).

Tłum. Mrok północny na dżdżystych ulicach War-
szawy. Nad moczar wilgny i podziemny idziem, gdzie
w budce szyldwach ciemny, a mur więzienia wyrósł do na-
wy bezdennie czarnych niebiosów.

Przez moczar wilgny wiedzie tama, latarnie, kwiaty
 prostytutek: zda się Gomora i Adama, Kartago, Babel
i Sodoma...

W oczach gasnących lśni namiętny smutek, za badył
biorą się rąk stoma i, grzęznąć, toną w pleśniejącym mule.

Duch mroków bierze swą ofiarę, wiodąc w potępień
martwą Thule!..

Wśród grozy więzienia nad moczarem błyska jaśń Bo-
żego Syna... poznajem Go z Jego ramion uchylenia, — ja-
śnieje w mroku, jak lampa Maga Aladyna.

W mroczne sklepienia wszedł —
wyprowadza więźniów—w wolności krainę.

Cicho, tak cicho... nocne niebo szare i miasto żywych
grobów tych prastare.

Wzniosły się marzeń monumenty—kabalistyczna iskrzy
duchów brama —

ludzie z moczaru wznoszą się w ekstazie świętej na
gór wulkany, jakby Fuzijama!

My w mroku — z myślami, co jakby kościół stary —
myśli te więdną i butwieją —

i jak w głęboką pustą studnię — patrzymy w otchłań
naszej wiary!

(Miecz i księgę bierze do rąk Mickiewicz, czyta ze św. Pa-
wła list, a przetwarza go na życie własne).

Mickiewicz.

W pracach rozlicznych — w ciemnicach obficie, niżli
w tryumfie; rażon mękami nad miarę. W śmierci często-
króć—łzy mi płyną skrycie tak gorzkie, że ich nie śmiem
dać Bogu w ofiarę!

I nic, to, zem był od mędrków biczowan pięćkróć po
czterdzieści plag bez jednej—litości byłem bit różgami i ra-
z'em był ukamionowan i trzykróć'em się rozbił w mojej
barce biednej.

Noc tę pośmierną byłem w morskiej głębi.

W drogach częstokroć — w niebezpieczeństwach rzek, w lasach, gdzie zbóje i gdzie strach ziębi oczyma powieszonych, z których duch już zbiegł...

Konały mi wierzenia jedno za drugim... złe serce, czemu nie zawyjesz? poznałem kościelny gwóźdź, który mi nie dał iść za pługiem, lecz mię przybijał do trumny w nieba osłonie.

W niebezpieczeństwach od rodziny — w niebezpieczeństwie od poganów, w niebezpieczeństwach w mieście, w niebezpieczeństwie na morzu; w niebezpieczeństwach na pustyniej i pośród kurhanów; w niebezpieczeństwach między fałszywą bracią i w własnem bezdrożu!..

W pracy i w kłopotcie — w częstem niespaniu; w głodzie i pragnieniu — w pościech i w nędzy; w zimnie i na gości!..

Księżyc mię na barłogu oglądał—obłądnym wzrokiem Jędzy!

Oprócz tych szarpań, któremi bronuje mię życie — ileż krzyków sumienia! starań o wszystkie kościoły! ile krążących gwiazd, a pod niemi loch i wycie i żądza, co nagle wypala żagwią oczodoły.

Któż choruje—a ja nie choruję?

Któż się zgarsza—a ja nie jestem z Gomory?

Człowiek jestem i bóg szatanów mię policzkuje — w Damaszku serca mego zamknęły się zawory.

Trzykroć'em Pana prosił, aby mnie odstąpił—lecz On we mnie upodobał, kiedyś jest bez mocy—i mnie zachwyca do Raju, gdyś i w groby zwątpił, i zorze mi daje ślepemu wśród polarnej nocy!

Dzień przeminął—a noc się przybliżyła! i trzeba na się włożyć zbroję jasności!

Im więcej jam poniżon—tem większą jest Siła i przyjdzie Świt—gdy z martwych wstaną kości.

Albowiem pewniem, że ani żywot, ani zgon — ani Aniołowie, ani księstwa, ni wszelkie duchy — ani terazniejsze dzieje, ani przyszłych nieszczęść tron—ani moc, ani wysokość, ani w głębokości głuchej

Żadne stworzenie mię nie oddzieli od Bożej Miłości — (która jest — zasłoną na mych oczach — w Niewiadomej Męce).

Łzy mi płyną — straszne zaobłądne łzy!.. Na mogiły wychodzę, których wciąż więcej i więcej...

Jam Mojżesz, choć w pustyni nie mam już źródłanych skał! jam Eljasz, choć naród mój jest już mogiłą —

ja w czarnej otchłani będę jak Cherubim stał: duch Pański—jestem świat gniołącą bryłą.

Niewiadomy — może zły? klękam na grobie, i tak mi straszno, bo w ten grób się zwali wszystko, w com wierzył—

Głos Trismegisty.

W bezmiernej chorobie!

Mag Litwor (bierze Biblię).

Nie należy już się spowiadać z tej biblijnej księgi. Było to kiedyś życiem.

Teraz kościół polską krainę ugniata i nie daje wyjść na góry, w oświetlone łęgi, i pracować nad przyszłością świata.

(Księgę kładzie na ołtarzu. Płoną zwolna karta za kartą. W stallach drzemiący budzą się prałaci—oburzeni wskazują palcami na Maga Litwora i Mickiewicza).

Kardynał (wstaje w swych fioletach).

Na kolana, duchy krnąbrne, na kolana!
cóż to, nie wiecie, że kościół bywa różgą Pana?
to nie heder, aby każdy wnosił swoje komentarze!
u kościoła postawić żądam policyjne straże.
Tu nie Polska, lecz kościół rzymsko-katolicki!
za wami idą Żydzi i różne socjaliki-Wicki.
A ty, mości Mickiewicz—dano ci posągi
dwa kosztowne — to się ciesz. Lecz wara cuda czynić
[w naszej stągwi!
i wara sprawdzać tu—za świętym parawanem.
Krzyż ten zbyt jawnie świeci, okryć go krepą dog-
[matów.

(Prażci zasłonami okrywają krzyż).

Tłum.

Naczynie głupoty! Babilońska ścierka! wieczny Awion!
nasze serca krwawią się nad łanem, zasiewając ziarno
Boga — —

a ci Annasze wznoszą grób... gorze im! gorze im!

(Z ciemnych kątów katedry wychodzą tłumy rozżarte
i wrogie).

Grupa I.

Głupie Polaki! dobrze wam było, kiedy wami rządziła
[Esterka?
my teraz będziemy rządzić! o Elohim! o Elohim!

Grupa II.

Kościół jest jeden—z tej i z tamtej strony Buga—
a przez ciemnotę urasta nam w niebie zasługa.

Grupa III.

Trędowatych usunąć,—owce, co mają krętki w głowie,
co zjadają papierki święte... Pani Kozłowa opowie,
jako czynili księży w miłosnym ogrodku!

Poznać drzewo po mszycach, was proszą z za Buga
[na wodku!
przemierzli strzelajmy w nich, nim wszystkie sługi
[nam zatrują!
precz z ascetyzmem księży! lepiej nam z naszą na
[plebańjach rujają!..

Legat papieski.

Silentium, Polacy! macie słuchać tego, co was kara:
wszystkich władców, jacykolwiek... Idzie do nieba
[ofiara,

wszelka władza od Boga,—mówi Paweł.

Nawet kiedy sarnę

rozerwą w lesie wilcy — i to nie pójdzie na marne!

Wszystko przewidział Bóg w prastarym swym ze-
[garze —

a krnąbrnych w imieniu Boskim—ja ukarzę!

(Do prałatów).

Wydobądźcie tę na zapas Encyklikę,

w duchu Tomasza z Akwinu, lecz zbrojną tudzież
[w politykę!

(W kościele burzy się—wre—niektórzy z jękiem chylą się
do nóg Legatowi, który ich głaska. Prałaci podali mu pa-
pier—on daje kardynałowi do czytania głośnego).

Kardynał.

Naród polski był od wieków nierządny.

Dostał się przeto w niewolę. Dziś—zamiast się kajać, poczyną farmazonić—nawet się uzbrajać.

Miejcie cierpliwość: na końcu świata jest Dzień Sądy, tak przyrządzone w Piśmie. Wy, tworząc pogromy w Kiszyniowie—w Odesie; mordując kozaków

na ulicach Warszawy; wy w nienawiści do Prusaków wypędzając ich z ziemi—nie dziwcie się, że Bóg ukuł

[gromy
na wasz przewrotny obyczaj. Przeklinam wasze Veto.

Rozkazuję Wam nie mówić już o Polsce.

Podpis jest: Richtig! stimmt! Wot eto!

Legat Papieski.

Rzymska Encyklika mnie samego oświeciła.

Polsko, Polsko—nie jesteś ty już memu sercu miła.

Margraf Kuno na ciebie się żali—i se non e vero e ben
[trovato —

jesteś dla wszechzbrojenia wieczną tarapatą.

Przeklinam cię! choć jeszcze nie oficjalnie,

lecz nie waź się iść kroku dalej — w duchu ni so-
[cjalnie —

bo namiestnik Chrystusa i ta ziemna Trójca —

potrafi ujarzmić tego, kto mędrak i zbójca!

(W katedrze zapanowuje osłupienie. Niejeden osuwa się na ziemię w bezmocy, w innych wybucha gniew — rzucają olbrzymie kłody do stosu — nagłym ogniem zajmuje się w krępie żałobny Chrystus. Wtedy widnieje w murze

ukryta jama. Wylatuje olbrzymi Puhacz-widmo w tjarze. Z pod stropu rozlega się cicha, złowieszcza muzyka Trismegisty. Ludzie z toporami rzucają się do krzyża, by zřabać. Wstrzymuje ich sędziwy Król Włast., który podnosi się z klęczek przed ołtarzem — długo trzęsie się ze wzruszenia, mówi — a z chórów odpowiadają mu śpiżowe dźwięki. Z hałasem powstają prałaci z miejsc, lecz rychło milkną).

Król Włast.

Wiekuietna Prawda mówi w mrokach do mnie:
wyjdź z Watykanu!

nie łudź się pięknoscią loggi Rafaela, tem, że ogromnie trwożą tytany w Ostatnim Sądzie u stóp Chrystusa
[rydwanu.

Wyjdź, duszo, z murów ciasnych Watykanu:

Sarto rozdarł ostatnią uludy zasłone
i ukazał Machjowelstwo słówkami grzeznione.

Wspomnijmy Borgjów, którzy doprawiali
trucizny, patrząc na podwórcu zamkowym,
jak za klaczami goniły rozgrzane ogiery.

Majestatyczny papież wraz z synem i córą
gościom wierzącym leją do czar cyjankali.

Rasowe Afrykany! Wolę ich przyjapizm szczery,
na krzyżu Wenus i życie, ciekące purpurą,
niż twoje, Sarto, cnoty—z gromnic zapachem jałowym.

Więc mówisz, że Mrok jest łagodny, rozumny!
pięknieś wykrajał taki szmat olbrzymi łgarstwa!
mówisz, że Polska rzezie sprawa, modląc się z swej
[trumny,

na której legł zmorą Krzyżak, jakby trądu warstwa!
Więc mówisz, że arcybożnik, wyżyty z rozumu,
dobrze uczynił, łajac egzaltacji tłumu
i swoim księżom każąc stać na Bagna straży?
Zaiste, że im Chrystus swej ukaże twarzy
i na prawdziwą drogę wywiedzie.—Mówiłeś pielgrzymce
polskiej, która przyniosła grosze i hołdy składała twej
[drzymce,
Ty—dusz sułtanie, krwawszy niżli nad Bosforem,
gdyż pastwisz się nad sercem Polski, zbłąkanem i cho-
[rem —
że nas kochasz!—a handlarstwu sprzyjasz niewolników!
to gorzej, niżli 30 srebników...
bo większym jest naród, niż Twarz Ukrzyżowana!

— — — — —
Oh, widmo, widmo z okropnej ruiny —
w pomrokach duszy złe odprawiasz łowy:
zmroziłeś krzykiem pokorne doliny,
zabiłeś serca, Ptaku ciemnościowy!
Głuchy twój głos, lecz jest w nim groźba, jęk i potę-
[pień śmiechy,
łopotanie skrzydeł, czyniących ścieżki krwiopijczym
[upiorom...
wzdrygnęły się Chrystusa męki, wtulone pod strzechy
i wieść, że zaraza w Rzymie — pójdzie ku wiosennym
[borom.
Ujrzą Cię wówczas, Sarto, że jesteś bezwiedny
sługa szatana, bo prawdy w twym duchu nie staje!
Ty umęczeń furtą wieszysz w lodowate kraje,
a za tobą idzie mrok, jak Wsadnik mjedny!
Tyś nieomylny? czemuż więc bluźnisz Duchowi?
kostur twój ostry i wzrok zimny sowi,

wraziłeś w serce Polski, kiedy zmartwychwstaje!
żeś stanął przy więzieniu w postawie żebraczej —
tego lud mój, tobie Sarto—nie przebaczy.

— — — — —

Wyjdź z Watykanu, moja duszo!
w rozległe pola, gdzie Tatr śnieżne wirchy —
staw twą chatę pod lasem i z kozami gór
zawiąż przymierze — wsłuchaj się w grom i rzegot
[chmur!

Idź: w lochach Inkwizycji łańcuchy cię zduszą.
skoroś jak Samson zatrząsł tym filarem
kłamstwa — musisz na wiedzę już zmienić twą wiarę!
W ruinie ścigaj Puhacza Widmo, grzmij ogniem, aż
[się katownia zawali.

Wtedy przez lasy idź, na ciemne góry,
gdzie słońca wschodzącego zatlą się purpury
i ogień twój ofiaruj Niebu — o mocna, groźna, Pra-
[lechicka duszo!
idź — w mrokach już przebytych twój duch się kry-
[sztali!

(Ręką władczą rozchyła zasłony—widać zbliżające się Tatry,
nad którymi Wawel [unosy się w powietrzu — — wtem
z drugiej strony ciemniejszą uliczki Wilna przy Ostrej Bra-
mie. Widać Polskę całą—Legat papieski, kardynał, prałaci
cicho przeklinają wersetami z księgi świętej, łamiąc gromnice.

Występują księża w ubogich sutannach—kaplica Matki
Boskiej Ostrobramskiej rozświeca się jutrznią, wieśniacy
wnoszą wielkie snopy zbóż i zieleni).

Xięża młodzi.

„Umocnieni wszelaką mocą według możności Jego, we wszelkiej cierpliwości i nieskwapliwości z weselem.

Który nas uczynił godnymi dziedzictwa świętych, —
który nas wyrwał z mocy ciemności i przeniósł w królestwo umiłowania swego”.

Wileś Włast.

Kiedy świeci słońce wśród pól
i ty idziesz, Marjo Boża, ku mnie —
ja klękam wśród jasnej zieleni,
gdzie zboża kłonią się tłumnie —
jezioro wielkich płomieni
i mroczy bór litewski pełen kurhanów—zazúl! *)

Lecz teraz ofiaruję Tobie—duch przedwieczny,
moją nędzę, abyś ją zmieniła w królestwo,
i zwątpienie moje, abyś przemieniła w Moc:
my bez komunji żyjemy słonecznej
i w zamku duszy mieszka rozpaczne jestestwo,
w zasłonie jęków idzie ponad ziemią Noc.

Niewyraźalna moja! w Ostro-bramie
klęczę i naród mój się we mnie łamie
i widzę jak zwycięża moczar—nie zagwiezdny bój:
Ty w koralach,—królowa księżyca,
jam Twój rycerz—twój wzrok mnie zachwyca —
na dłoń mi kładąc pierścien, mówisz do mnie: — Mój!

*) Kukułki.

Zaiste, ja — Mąż wiecznej Tajemnicy,
jestem jak Hijob obielony trądem —
kryjąc się w lochu — by nie znaleziono mnie.
Lecz idą ku mnie upiorni pątnicy
i otoczyli mnie gwiazd zmarłych sądem —
kamienny posąg Mroku, który w głębiach wie!

Przed niebem mię skarży Twój ból, Matko Ziemi —
że nie wzbudzam źródeł życia w umarłej otchłani!
Wrony kraczą na kurhanach; śpiew
dziki wojska lśniącego sztykami ostremi —
wielka zgnilizna narodu (—myśl, która rani
gorzej niż knuty!); więzienia lodowaty wiew —

oto wymowy moje! Na ziemi pełźnie jakaś glista
o nóg mirjadzie — ruszają się szczęki żujące:
jej oczy jak reflektory, co strzegą kazamatów mur.
Ten potwór jest zlepieńcem — setki i tysiące
urzędów ludzkich — instynktów, ohyd i chmur —
ze skrzydeł mrocznych poznają nagle Antychrysta.

Mój sztandar Wiary zda się ciche w polu żdźbło,
które przyciemnił macką ten potwór ślimaczy,
co w mogiłnych dołach ma hyjeny żniwo.
O, niezgłębione przepaściste zło —
u brzegów jego w mej dumnej rozpaczy
na harfie olbrzymiej gram mą Pieśń Szczęśliwą.

Tajemniczy w ciemnościach wzgórze Gedymina —
legendarny gród Krzyża i mrocznej Kabały —
w błotnych ulicach mrowie Izraela lud.
I uchylił Lew Sapieha swej trumny zbutwiałej:

męczone zakonnice przez miecz...
gdzie każda kość mówi modlitwą narodu o cud *).

Nagle huk armat: łyzy ciemnią moje oczy —
na morzu w mroku pali się okręt Oczaków,
jęk nad falami: ratujcie—bracia—nas!
Tak mszczą się dzieje: wielki miecz Polaków
nikomu już promieni jasnych nie roztoczy—
bo leży w rdzy — bo rządzi światem bezgwiazdzisty
[płaz.

Mroczne szalejące morze mej woli,
które się targasz na głazach! więzi Cię ta Brama
Ostra, w której się narodu uprzytomnia los?
(Kwiat wymarzony w moczarach niewoli!..)
Wstań, duszo! niechaj runie wszelka już przed myślą
[tama —
w Niagarę głuchą—w Ocean mistycznych groz!!

Wolności! jak zamurowany rycerz konny —
wyjdź z kurytarza—z lochów, gdzie jest źródło krwi! **)
weź miecz — na Ciebie czeka gród przyszły tysięcy
[dzwonny,
okręty ładowne światłem wpłyną na burzliwe morze...
Pełne jest dziwów tajemnych ludzkości bezdroże,
wśród najgroźniejszych skał lśnią kryształne drzwi.

Wolności! wyjdź z tych krat—leć jako boży wiatr—
nad mrokiem życia błysnij, jak kometa—

*) W lochach kościoła św. Michała w Wilnie r. 1655.

***) W podziemiach pod Baksztą.

głębinę złącz z wirchem nadziemnej świątyni:
Błogosławiony, kto w kuźni życia pług wyczyni
i przez moczar powiedzie narody od Morza do Tatr,
a ziarno—niechaj Lucifer rzuca—Euergeta! *)

Wolności—wielbią Ciebie granitowe góry,
orzeł lecący, gdy brzmi w chmurach grom!
Tajemnic Matko: masz wojskiem Ahury! **)
Ty magów uczysz—i wieścisz w płomieniach,
Ty chleb anielski dajesz nam w więzieniach,—
Ty jesteś Krzyż—i Piramidy mrok—indyjskie Om! ***)

Skrzydlate niech będą krzyża Twojego ramiona,
a miljonowy z fabryk udźwignie Cię tłum.
Muzyka we mnie gra—i morza ciemny szum—
zaiste, nie zmieńcie domu mej Matki w jaskinie
zbójów! —

teraz się dramat rozpoczął —

zasłona

otwarta: przed Wami Słońce!

za Wami—Eryńje! ****)

Kardynał.

Przeciąć gordyjskim mieczem! trza oświecać naród—
z Matki Bożej chcą uczynić kolumnę Vendôme dla
[Astaroth!

*) Anioł mądrości, dobro czyniący.

**) Gieńjusz u Zendów.

***) Monosylaba mistyczna, znacząca Absolut.

****) Wyrzuty sumienia—wysłanki Hadesu.

Legat Papieski.

Przeklinam! wirchy ducha! Tatry! Goga i Magoga!
za marzenia, za pychę krnąbrną—odbieram wam Boga!

Król Włast.

Większa to jest chwila, niż kiedy Polska wiązała się
z Rzymem!

(Tworzy się huragan rozjęku, złorzeczeń, przekonywań. Dalekie przestworza Polski całej znikają. Znów piętrzą się mury i kraty. Niektórzy rozbijają witraże, wystrzały; kamienie lecą, tłumy ze sobą walczą. Witezie porywają młoty, aby rozwalić mur).

Mag Litwor.

Wzmocście się w burzy swej — trzeba przeobrazić całe zamczysko wierzeń, które wyrosły z głębin i z serca narodu—lecz zakryły mu światłość.

Ten zamek przegnił i każdy z nas nosi na sobie ziel-ska trujące i przyciąga upiory.

Weźmy krzyż, dawniej cudotwórczy — w wielkim zmartwychwstaniu idźmy narodem całym ku Tatom.

Tam krzyż ten posadźmy w ziemię na nowy wzrost.

Co było w nim światłością, niechaj świeci z wyżyn.

Miłość i ofiarę — niechaj powitają na górach wielkiej Myśli przedświt.

Tłum.

Nie rozumiemy! albo z krzyżem—i pajęczyną dokoła,
albo przeciw niemu i wszelkim tajemnicom!

Król Włast.

Zaiste, dobrze powiedział mój syn Witeź i Mag Litwor. Chrystus zmartwychwstanie i rozbłyśnie w przemienieniu na Tatrach. Umarłe w Bogu ziarno niech wyda wreszcie swój wielki plon!

Głos w ciemnościach wielu tysięcy.

Nie pójdę już z wami na wirchy. Zejdziem kurytarzami podziemnymi do świętych kurhanów...

Moje oczy nie mogą przywyknąć do nowego blasku — —
(Kilku witeziów krepą okrytego, ogniącego się Chrystusa na krzyżu, niosą, jakby trumnę.

Pochodnie wokół; dzwony poczynają bić rozgłośnie.

Mag Litwor, Witeź Włast, Mędrzec Zmierchoświt i inni—rozchylają bramę, tam widać Matkę Bożą — dawną tęsknicę narodu, przeobrażoną w Wolność. Muzyka organów tworzy Sonatę Brzasku, z którym walczą twarde przeklinające tony rzymskich zakrystjanów. Tłumy zaczynają wpaść w apatię, witają jak Zbawcę i wodza wchodzącego Barona de Mangro, ten mówi im jedno magiczne słowo:

— Ogłupiajmy się! Życie jest iluzjonem! —

(Wielka radość między tłumami, frenetyczne brawo zbiera popularny Baron.

Tajemnicza Władczyni prowadzi niewielki orszak Witeziów, mieszkańców Turowego Rogu i nieco ludu. Ubrana w kwiaty, jak w Dalmacji dziewczeczka, która, przedstawiając Oblubienicę umarłego młodzieńca, idzie przy trumnie. Huczeć poczyna potwornie rozszalała fala życia. Rozsuwają się Tatry — widać idący orszak w mroku nocy. Świeci księżyc—dawna bogini Zgonu i Wtajemniczeń.

Trismegista, patrząc w księżyc, jak z Mitu Człowiek, jedyny na ziemi—mówi do księżycowej bogini idącej we krwi...).

— Miesięczna wielka mogiła,
gdzie śni myśl wieków ukryta,
jakby na ścierniu kobieta,
zbierając, które zgubiła,
kłoseczki krwawego żyta
od wieków zagubione!
W jakąż wiedzie stronę
dusze—co tworzy mogiła?
Miesięczna bogini leży —
na łonie różne ma znaki —
z Zigurat Chaldejskiej wieży.
Dziwne śpiewają nam ptaki.
Każdy kłos krwawy zerwany
szepce tajemne wigilje —
wciąż rozwierają nam lilje
krzyżowe swoje znaki!
Wiedzie mię do mej mogiły,
gdzie się poznamy miłośnie...
Zapalam dziewięściły,
wicher wygrywa na sośnie!
Labirynt widzę zawity,
tam huczy morze rozjękiem —
napawa duchy lękiem
idąca ciemność mogiły!

(Mrok).

XV.

MAHATMA.

Zamek księcia Huberta był ukryty w lesie i wśród skał nad morskich.

Przez olbrzymią puszcę smreków i jodeł, modrzewi i grabów — droga wijąca się, obramowana fantastycznymi skałami, wiodła nad szalenie dziką przepaścią, gdzie były potoki, to wśród zielonych muraw, kryjących zdradne trzęsawiska: w mrokach tu zapalały się gromnice błędnych ogni, tu widać było w mgłach upiorne żywiołaki, „które mieszkają w ziemi i niema złośliwości, którejby nie śmiały wykonać”.

Puszcza ta, o ile jej nie zamykały nieprzystępne turnie, była obwiedziona wysokim płotem z kamieni i z dzikich kłujących roślin.

Zamiast bramy wjazdowej był most zawsze podniesiony w górę nad głębokim i nie do przebycia jarem, gdzie były gorące źródła i nie zamarzała woda nawet przy najcięższych mrozach.

Ten most, chociaż odwieczny, bo z czasów pono pani Włódkowej Rozbójnicy, dotąd zachował swą sprawność i mógł być opuszczony za dotknięciem elektrycznego guzi-

ka, ukrytego w jednym z modrzewi. Elektryczne urządzenie oczywiście było nowoczesne, lecz ruiny wieży nad jarem i starowieczny most z dębu, którego już nie było w okolicy — oraz żelazne łańcuchy, kute gotycką robotą, przenosiły myśl w czasy wieku czternastego.

Jednej nocy osunęły się w milczeniu ogromne bale mostu; księżyc, który błyskał z za jaszczurzych łusek modrzewiowych zagąszczy—oświecił dwóch ludzi:

Arjaman nadchodził, Księżę oczekiwał.

Ledwo przeszli most i na nowo go podnieśli, zjawił się ciemny Nubijczyk: świecił kagańcem, wiodąc dwa konie. Konie te miały owiązane kopyta i stąpały bez odgłosu. Miały zaciągnięte pyski, aby nie mogły rzeć.

Spokojnym, lecz wyciągniętym do ostatniej końskiej możliwości klusem pędzili przez las dziwnie djabolicznie wyglądający teraz nocą; dwie pochodnie, opuszczone w dół, trzymane przez Nubijczyka, który jechał za panami; droga rozświetlona dziką groteskową fantastycznością. Tak wjeżdża się do piekła, śnionego przez Edgara Poe...

Księżę i Arjaman nie mieli ochoty poetyzować, więc i my odłożymy do innej sposobności opis tej zaiste wspaniałej siedziby.

W pół godziny już widniał zamek, na którego jednej baszcie w mroku nocy jarzył mdły ogieniek.

Rzucił Nubijczyk pochodnie wypalone do potoku. Z sykiem zgasły.

— Co za nieogłędność — mruknął księżę — zapomniał Mistrz Sędzimir zapuścić kotary w alchemicznej pracowni!

Kiedy wjechali na podwórzec, Nubijczyk chwycił za mundsztuki konie—i cicho, jak zjawisko na seansie spirytystycznym, zniknął w gąszczu z trzema rumakami.

Tu na podwórku było mroczno — mimo iż wejście do

zamku było oświetlone błękitnym ogniem, który przez olbrzymi pryzmat kaskady rozteczał się jakąś bajeczną muszlą z tysiąca i jednej nocy.

Mury zamku były dziwnie pochylone, jak pizańska wieża, okna trumny, na drzwiach wyraźny olbrzymi krzyż.

Weszli nie przez wejście główne.

Wsunęli się w gąszcz nad stawem, błyszczącym ponuro w nocy bezgwiazdnej, mrocznej, gdzieś tam przejaśnionej od chmur, jakby przeświecało dno piekła.

W załomie muru księżę otworzył drzwi do schodów wgląd, mijali kurytarz długi, gdzie na końcu paliła się lampka żelazna przed jakimś bożyszczem. Świeciły złe, żółte, topazowe oczy tajemniczego fetysza.

Znów po schodach wchodzili wyżej, nie spotykając ni żywego ducha.

W jednym przejściu spojrziała prosto w Arjamana jakąś twarz—tak blisko, jak pająk, kiedy oplątawszy muchę, zbliża się już z śmiertelnym uściskiem. Arjaman wzdygnął, rzucił się ku zjawisku—ujrzał szybę, noc roztaczała swą nieprzejrzaną nieskończoność.

Rozlegały się ciche, trwożące szelesty tu i ówdzie.

Weszli nakoniec w propileje z szeregu kolumn wkształt wyprężonych potwornych węzłów.

Dalej były meksykańskie i maoryjskie bożyszcza.

Wyglądały zaiste niesamowicie: Milczenie, Oblęd, Misterjum, Żądza, Moc. Ten ostatni był tytanicznie wspaniały w runięciu głową na dół, spozierając gwiazdzistym wejściem w Skale-Przeznaczenia.

Wnętrze pałacu było w barwach wyszukanych, w mozaikach dziwnych i zatrważających. Idąc szybko, rozświetlając drogę tylko elektrycznością w lasce, mało zaiste mogli widzieć.

Minęli salę muzyki i pagodę opiumiczną, weszli na wąskie, wijące się schody z drzewa hebanowego; na pierwszym piętrze wkroczyli do pracowni księcia, którą była cała amfilada dziwnych komnat.

Czytelnia: pisma z całego świata, z Oceanji i z Londynu, z Lipska, z nad Amuru i z Kambodży — — lecz wszystkie tylko w dwóch materjach: technicznych wynalazków i seksualizmu.

Biblioteka—foljały Cyclopedji Brytańskiej, wydawnictwa drogocenne z życia Indjan amerykańskich, kosztowne japońskie i francuskie dzieła, dotyczące bestjalizmu; odkrycia nowych lądów, globusy z czasów Kolumba, z czasów Kuka i Bougainville'a, z czasów Darwina i współczesne, oraz jeden wielki, ostateczny, gdzie Arjaman ujrzał ze wzruszeniem dokładnie wyrysowane góry biegunów Antarktycznego oraz Północnego; nieznanne zakąty Tybetu i Ałtaju, zaludnione miastami wielkimi, jak Londyn, — — był to globus ziemi, odwiedzanej przez księcia na jego aeroplanie i w łodzi podmorskiej. Księgi w szafach, skóry różnych żmij i pytonów, nad stołem lampy żarowe w abażurach, podobnych do morskich mątwn—zielone ze złotemi szklanemi nićmi.

Przez rzędy laboratorjów chemicznych i fizykałnych szli dalej, przez okrągłe sale, gdzie jak gigantyczne armaty, nieruchome w dziwnem nachyleniu teleskopy wiodły wzrok na mgławice Drogi mlecznej. Nakoniec wkroczyli w świat życia towarzyskiego. Pokoje mieszkalne z meblami, wybitymi starym brokatem, z koronami książęcemi i portretami matron o wspaniałych twarzach, lub Megier złych, zwyrodniałych, mądrych, jak matki zbrodniarzy na tronie.

Tu i ówdzie krzyże legji honorowych, krzyże masonskie w pięciokątnych gwiazdach, z cyrklem, z dwiema pochodniami i literą G — ówdzie ordery wschodnie z cudną mozaiką i arabeskami.

Dalej sypialnia — czyja? gdyż obraz tam był Matki Boskiej Perudzina i oryginalna postać Satyra z brązu pompejańskiego.

Przechodzili jadalnię, zwieszały się kandelabry, lśniły w szafach srebra, rzeźbione w jakieś fantazmaty; jadalnia ta miała sufit wykładany z drzewa w kwadraty z rozetami, wszędzie były lustra, każde poruszenie odbijało tysiącem postaci.

Mroczyły puławy rogów turzych, krzewiły się gęszcza rogów antylop, rogi tybetańskich jaków, rogi nerwałów czyli mieczników morskich, rogi nosorożców, zęby słoniów, paszcze tygrysów i wogóle narzędzia walki w świecie zwierzęcym.

Komnaty wschodnie: maurytańskie fontanny, otomany, na ścianach azulechy, czyli różnobarwne wzorzyste wykładania z porcelany — przepyszne inkrustowane robotą florentyjską z XV wieku sprzęty; na ścianach i na podłodze dywany haftowane kaszemirskim wzorem; drzwi, jak w meczecie z wersetami wschodnimi, cysterny z głową lwa, Sfinks pustyni z napisem koptyjskim; nisza, niby konfesjonał z baldachimem, gdzie wisiało wiadro z metalu rzeźbione: poidło konia Mahometa, na którym leciał w zaświaty. Dalej puszcza mirry, którą królowa Saba ofiarowała kochankowi.

Rozpoczynały się oranżerie — i było bez miary tych drzew cynamonowych, palm, o cudnych pniach, jakby wyrzeźbionych kolumn z kości, agaw, japońskich lilij czerwonych i tych arumów, których kwiat olbrzymi stanowi całą roślinę z wyjątkiem cebuli, zanurzonej w ziemi — orchideje rosnące na korze drzew; paprocie po tysiące lat... filodendrony...

W akwarjach pełnych cudnej roślinności migotały młode rekiny, podobne do damasceńskich jataganów, z zaokrąglonym ogonem; błękitne okunie i wytworne szaro-klejnot-

ne japońskie Sanszito; lecz najdziwniejsze były te małe chińskie rybki, który zmieniały barwę od każdego poruszenia wewnętrznej pasji będąc w ustawicznej ze sobą walce, zapalały się jak wulkany, występowały na nich kręgi i krwawe lub czarne na tęczach obłoki — walka zaś polegała na tem, że większa dusiła mniejszą, nie dopuszczając ją do powierzchni wody zaczerpnąć powietrza.

Książę i Arjaman mijali z wolna te mirażowe gąszcza.

Błyskały znowu okna, jakby trumny w komnatach, wchodzili teraz do komnat sypialnych. Arjaman patrzył wzrokiem jasnowidzenia na ten symetryczny Chaos w którym zupełnie nie było mieszaniny, znamionującej zwykle smak niewyrobiony i plebejstwo; zaiste, było się tu otoczonym mikrokosmem, w którym przeżywał ktoś potężny wszystek świat.

W jednej komnacie stał biust z najkosztowniejszego nefrytu cudownej kobiety: w kącie spogląda tajemniczo w dal, mając oczy wielkie, głębokie, nalane smutkiem i namiętnością, rysy wybitne władczyni i czoło myślicielki, na którym spoczęły dwa węże.

Zdawał się ten marmur płonąć wśród napisów wschodnich, wyzywających złe duchy — dżinny, rakszasy, asury; posąg zdawał się być Szeherazadą dziwnych złoto-jedwabnych opowieści—Moallakat, zawieszonych w Kaabie.

Tu kanapy zdały się tronem Maharadzów, kwitnące tropikalne rośliny zmieniały ten przybytek w świątynię demoniczną, kosztowne lampy wschodnie, nakształt koron wiszących, jakby zdjętych z głów władców chrześcijańskim, zmuszone palić się, zamiast przed Zwiastowaniem Matki Boskiej, przed Igraszkami Djabła w haremach.

Niby w zaciszy pałacu Abencerragów, kadzielnice w niszach rzezanych, wyglądających jakby plastr miodu...

Wisiał portret jedyny naprzeciw posągu; przedstawiał księcia w stroju rycerskim: młodzian bajecznie przystojny, czapka — rodzaj krymki o rozwieszających się kudłach. Jatagan lśnił. Wzrok młodzieńca był utkwiony w posąg tej kobiety melancholijnej. Arjaman uczył, iż mu serce otoczyło się lasem, jakby tam miała być jakaś najgłębiej obchodząca go tajemnica.

Książę jednak rozwiązał ją, mówiąc:

— To jest moja żona. Z przed ołtarza w górach Himalajskich — odjechała mnie. Szukałem jej po świecie całym. Kocham ją. Mnie ona nienawidzi. Zgodziła się na ślub po wielu mych zaklinaniach, gdzieś musiał jej przyrzec, iż nigdy nie skrepuję jej swobody. Zniknęła mi, jak tajemnicza Urwazi z przed oczu zachwyconego brahmanina.—

Nic nie rzekł Arjaman, zdało się mu to powtórzeniem jego historii. Wprawdzie świat nigdy nie jest powtarzaniem się typu!

Przechodzili mimo urn egipskich, mimo zbrojowni afrykańskich, przez komnaty wyłożone od podłogi do sufitu prawdziwymi, lecz nieżyjącymi motylami o barwach, niewyśnionych nawet w Tysiącu i jednym Dniu perskiego poety.

Weszli w zaciszne tajne pokoje Indyjskiej Sztuki kochania—o freskach orgiastycznych z kopulacjami kobiet, których biodra były jak lotusy przepelnione esencją słońca, lasów, gór i oceanu. Dokoła nich były zwierzęta: hipopotamy o potwornych paszczach, mrówkojady z długimi, wysuwającymi się językami.

W tych komnatach była cała Kama Sutra indyjskiej rozpusty—„wtajemniczenia”, jak betel gryziony w ustach, od którego podniebienie staje się krwawe i palące. Przez kontrast zaiste niezwykły, w tej indyjskiej kaplicy znajdowały się narzędzia chirurgiczne oraz do tortur.

Mimo zaprzeczeń logiki, tu musiały działać się w guście Markiza de Sade krwawe orgie na kobietach czy zwierzętach dokonywane — — czy tylko na własnej satanicznej duszy?

W drugiej komnacie wielkie marmurowe cysterny, napełnione jakimś opalizującym płynem: tam widniały smętne i potworne płody z trwożącymi napisami imion kobiecych.

Księżę minął salę, weszli do sąsiedniej kaplicy, rozświetlonej przez woskowe kościelne, nawet z kwiatkami, gromnice na ołtarzu. Gromnice paliły się! jedyne światło dotąd spotkane w tym pałacu!

Zamyślił się smutno Arjaman, przypominając Mszę czarną, którą widział niegdyś w zamku Muzaferida.

— Dżwiza mojego rodu—nie dać się zwyciężyć, nawet Bogu.

— Lecz najgorzej, że wszystko już—spreparowane.

— Tęsknię jedynie jeszcze do mojej niedoszłej żony o złoto-zielonawych włosach, jak Lukrecja Bordzia, tej Indjanki, której nie wyśnił Sziwa. Teraz idziemy do Mistrza, który może wszystko spełnić. Żądaj i ty dla siebie! —

Arjaman, mimo iż nie chciał żądać już niczego dla siebie, szedł za księciem.

Po krętych schodach, wyłożonych grubym dywanem, weszli na wieżę—zastali w jednym miejscu kotarę—rozchylili ją—drzwi żelazne.

Księżę roztworzył zamek bardzo misterny, ukazała się znowu przestrzeń ciemna i schody, po których idąc, natrafili drzwi drugie, które były z drzewa, mającego kolor płomieni i rosnącego tylko na jednej wyspie tatrzańskich jezior. Otworzywszy je, znów ujrzeli klatkę schodową i drzwi trzecie z czarnej jednolitej płyty kryształu.

Bez szmeru rozchyliły się pod dotknięciem w pewnym miejscu znaku Różokrzyżowców na ścianie.

W komnacie dużej kopuła szklana, przez którą świeciły miliardami gwiazdy. Za pomocą olbrzymich soczewek zbliżone, widać było pierścienie Saturna i jego satelitów; Saturn właśnie zapadał, zato inne niesłychanie odleglejsze światy iskrzyły, jak zamieć śniegowa.

Nie było tu podłogi—lecz ubita ziemia.

Pośrodku wyrastał święty cis lechicki; starzec w zielonej jedwabnej szacie stał w najgłębszej medytacji, nad piecykiem alchemicznym, gdzie jarzyły się kruszce.

Było pusto w komnacie: ku najgłębszemu zdumieniu Arjamana, ujrzał się naraz otoczony dziwnymi tęczowymi kręgami światła.

Jakby z jednego szafiru on zaświecił.

Na razie wydało się mu, że to niebo rzuca nań swój refleks niby w grocie lazuruwej. Lecz niebo, z wyjątkiem gwiazd, było mroczne.

Dokoła księcia wirowały smugi światła krwistych, jak rozpalone narzędzia tortury, zaś on sam był niby z czarnego żelaza. Były to astralne aury, ujawnione przez magnetyczny psychizm tej sali.

Starzec nie przerywał medytacji—wkońcu nagle wydo był sztylet i błysnął nim w powietrzu, mówiąc: Kaliruga!—zapewne imię żony księcia.

Olbrzymia modra iskra syknęła, rozświetliła salę, która naraz zdała się wypełniona lasem drzew pędzących w wichurze, kłębami gór i szalejącego morza, jakby wszechświat zmienił się w lejący wodospad Niagary.

Alchemik stał, jak przedtem, tylko ręce jego wyciągnęły się, chcąc wstrzymać lub ostrzedz przed niebezpieczeństwem.

W Arjamanie, jak mała ryba w akwarjum, tak w przezroczach jego duszy przesunęła się myśl ujrzenia tu, przywołania Zolimy, rzucenia na nią wielkiego czaru, pod którym musiałaby przetrwać życie.

Lecz było mu tak uroczyście w tych kręgach światła astralnego, że nie śmiał zmącić tej najdziwniejszej ekstazy żadnem osobistem pragnieniem.

Wtem na powietrzu koło księcia uczynił się istny cyklon—potworna walka toczyła się tam—widać było tylko błyskające straszne oczy.

Pierścień mignął—i naraz osunął się na rękę Arjama: na: lała się w powietrzu długą smugą krew, płynęła — zdało się, że komnatę zaleje...

Alchemik cicho skrzyżował dłonie na piersiach i wszystko znikło.

Księżę podszedł doń:

— Nikczemny starcze, kapłanie Czarnoboga — — — dlaczego nie dasz mi ująć córę Króla Wężów? czyż nie dla niej zdobyłem środki wiedzy mechanicznej, i mogę już opanować świat?

Ty mię jednak łudzisz, obiecując, iż urzeczywistnię moje metafizyczne i tu już ziemskie dopełnienie! — —

Alchemik odwrócił się—i było straszno widzieć te powieki podnoszące się, może od wielu lat zamkniętych oczu.

Lecz nie, to oczy zaczęły przeświecać przez zamknięte powieki—jakby tam się zapalały księżycy wschodzące.

Alchemik wskazując pierścień, który trzymał Arjaman, dał znak księciu, żeby przeczytał.

Księżę rzekł:

— Kaliruga! —

I na powietrzu znowu coś zaczęło płonąć — tamten uciszył to lekkim pochyleniem dłoni.

Arjaman uczył na sobie wzrok widma — i uczył krwawe błyski na całym ciele.

Nigdy straszniej jasnowidzących oczu nie widział, nigdy głębszego zła, niżli oczy tej cudnej kobiety!..

Zakrył twarz swą i wyszedł, odrzucony mocą przemożną płaczu, który go zagarniał, jak szalejąca rzeka.

Znalazłszy się za drzwiami—zbiegł na dół—i kiedy został sam w sali—uczuł, że w nim są też lzy olbrzymiego szczęścia—nareszcie—

To!...

Wiedza i Pewność.

Chociażby zbyt późno, choćby już w otchłani piekieł—i cóż? Wiedza tajemna jest tem, co wszystko wybawi.

W zupełnej ciemności komnat, zakrytych drzewami parkowemi, iść nie mógł.

Wtem usłyszał huk piorunowy w komnacie alchemika.

I w tejże chwili usłyszał zbiegające kroki księcia—lecz czy mu się zdało? jakby zbiega na czterech łapach zwierzę—nastąpiła cisza, nagle rozświetliło się światło elektryczne od laski księcia. Był jak zwykle spokojny, lecz przybladły i z ponurym uśmiechem. W ręce miał sztylet. Osmaloną twarz, jakby wyszedł z palącego się domu.

Ten dumny, gwałtowny człowiek wiedział, iż miał do czynienia z potęgami, przewyższającemi całą wiedzę współczesną i starożytną—a jednak wydał im walkę!

Mówił:—Mistrza chciałem zabić. Lecz sztylet mój uderzył w ścianę astralną. Iskra piorunna fioletowa oślepiła mnie. Wejść tam—nikogo niema. Nawet cisu tego, który miał co najmniej dwieście lat. —

Arjaman i księżę znów weszli do komnaty Sędzimira.

Było pusto. Tylko po drzewie, wyrwanym z korzeniem, czerniała mogilna jama.

— Ojciec mój, umierając, kazał mi go odszukać—mówił cicho, wstrząśniony i jak śmierć blady, księżę.

Znalazłem go w jednej jaskini podziemnej. Tam na stole granitowym paliła się lampa—w niej były promienie

słońca zgęszczone. Lampa ta zgasła, uderzona automatycznym młotem, kiedy wchodziłem. Trupa zaś wyniosłem.

Ja nie mogąc doczekać w ciągu miesiąca jego przebudzenia, w cedrowej skrzyni wiozłem przez Praocean Tatr.

Tu osadziłem posiadacza może największej tajemnicy, jeśli nie posiadał jej człowiek drugi: Mag Litwor.

Tu w tej wieży uczyniłem grootę, zamieniwszy dach na jedną olbrzymią soczewkę teleskopu. Położyłem tam śpiącego.

Jednej nocy przyszedłszy, ujrzałem go w w tej pozycji, jak przed chwilą: medytującego pod trzechsetletnim niewiadomo jak, wyrosłym drzewem. Widziałeś więc...

Rozległo się ciche, dyskretne pukanie.

Arjaman nie odchylił głowy. Miał dotąd wrażenie, iż w tym zaczarowanym zamku niema i nie może być ludzi.

Książę był zdziwiony. Uchylił drzwi.

Na tarasie schylił się w kornym ukłonie lokaj.

— Jaśnie panie, przyjechała nieznajoma—która się kazała oznajmić, jako „Córa króla węzów”.

Książę drgnął muskułem twarzy i tak spojrział, jakby za chwilę drzwi miały się otworzyć do samych piekieł.

— Wprowadzę sam. Ty zaś na tarasie przygotuj haszysz, wino, kaljany. Mieście w kuchni gotową kolację. Księżnej pani oczekiwałem. —

Arjaman patrzył z tarasu na morze i śniące w mrokach góry.

Po kilku minutach książę wprowadził dziwną kobietę o jasnych, lecz z cieniem szmaragdu włosach, z cery i oczu wyglądającą na Kreolkę z południowej Ameryki. Oczy nalane fosforyzującym mrokiem tak świeciły, iż przez swą nadzwyczajność nasuwały myśl o krajach nieziemskich. To co się zdało koliaż ze szmaragdów—były to wężyki uspione na jej głowie Meduzy.

— Trzy lata temu rozstaliśmy się w ruinach Zygmunta—miasta—mówiła ta dziwna pani, jakby do siebie.—Widać nie możecie sypiać, ja zaś sypiam tylko wtedy, gdy jest na świecie dzień. Noc obłędnie piękna. Siadajmy, lub może oni będą przechadzać się?

Mnie ten kalian, który palę, i mokka smakują, triklinia tu są wygodne, jak wszystko u księcia, i pierwszy raz nie będą mijały się z celem: naprawdę jestem zmęczona, bom szła tu pieszo z daleka. Mówiąc po polsku, nie miałam wcale pieniędzy na jachty, orient-expresy, a nawet na góralską furkę.

Myślę, iż teraz musi się spełnić moje widzenie:

Niesłychanej straszliwej piękności,
jakby niebo zawarte wśród chmur —
stoi Anioł mej przyszłej wolności:
mój Wszechwładca, Jażn moja—mój Twór! —

Arjaman patrzył w cudowne zjawisko Wieszczyki podziemnego życia. Mówiła pojęciami europejskimi, lecz nadawała im szczególny, jakby z obcej planety, ton.

Książę schylił się do jej nóg, całował — dosłownie całował opylone, zdarte trzewiczki.

— Widziałam się niegdyś z twoim gościem—mówiła, jakby Arjaman na żaden sposób nie mógł rozumieć polskiego języka.

Książę zmarszczył się, lecz nic nie odrzekł.

— Mówcie o waszych sprawach.

— Dobrze — więc będzie to coś bardzo poważnego — cyfry, sprawy fabryczne, lock' outy i syndykaty.

A ty, Kalirugo, może przejrzysz albumy tej niesłychanej rozpusty japońskiej, gdzie zda się sam żywioł oszalał, nie ludzie... którzy są tylko dodatkiem do spotworniałych lingamów, kapłanami bożyszcz tych świetnie malowanych, jakby koncha, kobiecych joni..

...Jakież cudne są te srebrne linie wśród rozszalałych fioletowych wnętrz...

Nie lubię francuskich rysunków! cóż oni wiedzą, lub co przeczuwają z miłości lesbijskiej? te Wersale, posągi faunów, uszy wołów, któremi się łąchocą damy, korowody Erosa, Mandragora! Marne też są sadyzmy lordów w komnatach zakrytych materacami dla przytłumienia jęku ofiar. Jak marne te sadyzmy ruskich zwątpiałych rewolucjonistów, którzy męczą koty uwiązane do nóg stołu, szczując je fox-terjerami.

Znam—mówił książę—zabawę w tygrysa pociemku, jeden strzela z rewolweru, inny z dzwoneczkiem czai się, jak tygrys, a jest uzbrojony w zatruty sztylet... Wracam teraz z Petersburga — i z przyjemnością odświeżyłbym sobie te sceny upajające. Ja będę tygrysem, Arjaman myśliwym, ty—zdobyczą.

Widzisz tu—rzekł, ukazując album — rzezańców w kąpieli, czarniejszych, niż owoc kukusby, którzy wskakują na ramiona wspaniałych kobiet, otulając je w tęczowe obłoki mydlane; to znów cheszą je złotymi grzebieniami.

Tęsknię do Androgynów melancholijnych w piękności swej i do Monstrów takich, jak Afrodis Syriaca.

Tu—ciągnął książę — przy magnezjowem świetle fotografowany krokodyl, którego zabiłem w Afryce. Głowa zjedzonego dziecka wystaje z naderżniętego brzucha!.. Teraz sceny w namiotach arabskich i wśród czarodziejów...—

Arjaman z przybladłą twarzą, wsłuchany w oczy tej kobiety dziwnej, jak wcielenie indyjskiej Afrodyty, wziął z rąk księcia stos albumów i rzucił je z tarasu w morze.

Nie mówili przez chwilę nic.

Potem ozwała się z uśmiechem Ona:

— Wszyscy znamy rzeczy bardziej piekielne, które

dzieją się tu (ukazała na czoło z wężami, które cicho, leniwie syknęły).

Mówmy więc na razie o czemś niemilosnem. Czy Polska jest jeszcze? Szkoda, że nie poznałam barona de Mangro—myślę, że taki jeden potrafi stać się karawaniarzem całego kraju.

— Miałem kiedyś Arjamanowi — rzekł książę — opowiedzieć o nieustającej u nas Targowicy. Będę opowiadał w osobie trzeciej, jak Juljusz Cezar, kiedy dyktował „Pamiętniki” w swym namiocie, wsparty na tarczy i na brance z plemienia, gdzie żyją Druidzi.

— Branki tu niema—rzekła pani Kaliruga — Juljusz Cezar jest dla mnie zbyt nieciekawym— a Druidów—dawniej znałam, nim ich opiewał Wiwian.

— I ja nie przyszedłem na opowiastki, rzekł twardo Arjaman. Wracam do mego zamku Krzyżtoporów, czy chcesz należeć do naszej sprawy? —

Xsiążę zaczął cicho się śmiać, ten śmiech stłumiła Pani Kaliruga.

— Nieprawdaż, jak te owady fosforyzują, tonąc w morzu? Te świetlaki mirjadami latające, zmieniają górę leśną w ciemną dantejską opowieść o aniołach... Wezbrana, gorąca jest pierś morza!.. Dyszy namiętnie jakimś macierzyńskim upojeniem... matki naraz i kochanki. Odejdę!—

Książę schylił się jej do kolan i błagał, by nie odchodziła. Potem powstał i spojrzął się złymi oczyma w Arjamaną.

— Zbyt ujawniasz, stojąc, Arjamanie, swą budowę dyskobola, lub ujarzmiacza koni. Zresztą wiem, że znalazłszy włos na drodze, przecinasz go wzdłuż na troje, ty śniący analityku.

Otóż więc!..

Wujaszek barona de Mangro jest wielkim, wytwornym myślicielem.

Tak przynajmniej określali go ci, którzy zawsze na brzuchu leżą przed „quasimodem”, ubranym w mitrę, w milion, w tytuł członka senatu, lub rzymskiej kurji, nadętym w błagę i zbrojnym w długoręką mściwość.

Wiedział de Mangro, że dobrze trafi, biorąc za menera swej kliki księcia Zyndrama de Grabie Wrzodobolskiego, który w swym majestatycznym wzroście i z brodą kruczą Mojżesza, czynił wrażenie patriarchy.

Zyndramek jednak pchał się, jako klejnotny potomek zwycięzców jeszcze z czasów Konrada von Jungingen, na wodza narodu polskiego — i w czasie wojny japońskiej zaczął pisać z pustych frazesów dzieło, gdzie można było wnosić z pierwszych trzech tomów, że i nad nim zafurczyło coś, w rodzaju proporca.

W następnych czterech było wahanie, czy Polska nie jest z tych stworów, które Opatrzność przeznaczyła na zarzeczanie, jak owe zwierzęta, które święty apostoł Paweł miał rzezać i jeść.

W pięciu ostatnich tomach przekonał się, że nietylko tak jest, ale że Wolność—jest to Hańba Narodu, że naród mocny jest tylko jako Stowarzyszenie św. Zyty i św. Filipa Boni, którzy, jak wiadomo, są patronami kucharek i matolek.

I stało się, że ksiązę, zwany wśród wtajemniczonych w klubie koniarzy i winciarzy dobrotliwie—grzeczny Yś—bo czerniąc swą brodę, wydawał się niezwykłym „galant uomo”—nagle wśród powszechnego zgnębienia, a rozwiązłej gadatliwości tchórzów i bałwanów, urosł wśród nich na powagę.

Na wszystkich zebraniach w sześciu stolicach kraju, przy otwarciu parlamentów, Dumy i senatu, przy odsłonięciu pomników, teatrów i na pogrzebach znakomitości, on miał nieprzegadany głos.

Ksiązę Zyndram wykluwał w swym cieniu barona de

Mangro—i kiedy ten stał się już człowiekiem „arrivé” — założyli patriotyczne Stowarzyszenie „Sak”, które ogarnęło cały kraj i wszystkim okolicznym dworom monarszym dostarcza za poręczeniem: wzorowych lokajów ze świadectwami, iż od gimnazjum najniższych klas owo indywiduum podlegało tresurze. Wskutek czego za taksą 10.000 rubli, 25.000 marek rocznie—a nawet mniej—odznaczy się służeniem komu trza i kany trza.

Wybiera się na to głównie tych, co w uniwersytecie na zebraniach Młodzieży składają przysięgę na miskę krwi, utoczonej z palców odartych na klamkach, że nigdy pod żadnym pozorem do żadnego z ruchów „anarchistycznych” należeć nie będą.

Książę Zyndram takich młodzieńców miał w szczególnej opiece. Mając powierzone sobie rozdawnictwo nagród, stypendjów i zapomóg, zaczynając od stu franków rocznie dla nędzarzy-artystów, głodzących się, jak istne żebraki, aż do miejsc, z których się już zaczynało rządzić krajem—kierować opinią, wychowywać młodzież — i być „opriczina” groźnego Wrzodobola.

Najzdolniejszy młodzian otrzymuje brylantową sprzączkę za wściekle obkuwanie, które pozbawia go na długi czas wszelkiego zasobu myślenia, a potem czyni nieprzejednanym nihilistą.

Dosyć wam powiedzieć, iż ja należałem do nielicznych zaszczyconych taką sprzączką i z powodu roztarganych nerwów, a zabitej duszy, wyjechałem do Anglii, gdzie jedyne zajęcie wzbudziła we mnie moda Sadyzmu, uprawianego na młodych murzynkach-hermafrodytach.

Książę Zyndram proteguje osobiwie artystów: chodzi do najuboższych na piąte i szóste piętro, karete zostawiając na dole, lokaja wygalonowanego u wpółotwartych drzwi.

Podaniem dwóch palców, lecz nie zdejmując kapelusza, wznosi artystę w jego własnym mniemaniu.

I kiedy ten myślał, że nędza jego się kończy, kiedy widzi się już w możności rok czasu poświęcić swobodnej twórczości, księżę Zyndram dobywa kilka lichych litografowanych obrazeczków świętych po dziesięć centimów sztuka, wybiera jeden z nich i mówi:

— Mnie namaluje — rozumie? ten! święty Makary, o którym jest ruskie przysłowie, że on do zbyt dalekich krain cieląt nie ganiał—duży obraz olejny, ja dam za to — ale porządna ma być robota, nie fuszerka, ale z nastrojem religijnym —

Jakie tu są cugi, strach! zaziębię się—trzeba znów zacząć kurację z powodu kabotynów!

Dam za to—obraz duży dwa łokcie wysokości, półtora szeroki, płótno ma być gęste.

Więc sto franków.

Voilà... luidor zadatku.

Nie chce? sobie ze mnie kpi! nie umie malować na obstalunek i z litografji?.. no, no, nie trzeba być kabotynem— co? korcą pana nastroje z fioletowych krów i z baletnic tulipanujących, he? a 150? no, dobrze, iż się zgadza, nie taki więc głupi... to więc od dziś za miesiąc, bo ja lubię pracowitych!

Adje. —

Księżę otoczył się całym przeolbrzymim dworem ex-magnatów, prałatów, profesorów i byłych utrzymanek obcych ministrów, w dalszym zaś rzędzie, tłumami ubogich karierowiczów. Miał talent, że umiał każdego karierowicza natchnąć na żywot cały tym przeświadczeniem, że poza księciem Zyndramem i jego dworem w Bolących Wrzodach, niema dla kraju zbawienia.

Były to Puławy, wymarzone przez najdurniejszego z djabłów, takiego, co go namalował Matejko u Panny Marji, kiedy zły duch zatknął uszy i wyje... Księżę Zyndram odmawia paruset rubli na cele społeczne palącej ważności, ponieważ istotnie już łoży pół miliona franków na Polską Ambasadę w Nicei, gdzie obywatele nasi przegrywają po 200 tysięcy rubli do ambasadorów jakichś podrzędnych mocarstw, — — lub do uznanych reakcjonistów.

Teraz wytłomaczcie mi cud, iż ks. Zyndram zatrząśł krajem od Berlina i Warszawy, aż po Smorgoń i pola Cecory!

Widziano tu ludzi z poczciwej zagrodowej szlachty o zbyt poufałym zresztą rodowym brzmieniu, którego przy damach nie da się jakoś wymówić. Ludzie ci, zmieniawszy nazwisko, stawali się najzjadliwszymi arystokratami, wyżej niwszy damę herbową i będąc pozatem istotnie zasłużonymi pionierami na polu popierania arendarzów i gorzałki.

Osobliwie wspierał księżę Zyndram zasługi polityków, jeśli umieli trzymać się jednego z kręgów ogona skorpionowego, godzącego w tętno życia narodu.

I widziano tu ichmościów, którzy pisując stylem waselinowym, obdzierali każde zagadnienie z jego tajemniczej głębi.

Bogaci bankierzy byli wybornymi teściami dla kawalerów, którzy nauczywszy się modnie nosić garnitury, i biorąc umysłowe garnitury z pleców księcia Zyndrama—stawali się potem opoką narodowej kultury.

Wujaszek Zyndram jest gościnnie—przyjmuje u siebie w zamku krocie takich panów, mówi się tu o polityce Paskiewicza, Metternicha, Bülowa, o nabożnych stowarzyszeniach i grubych posadach, o stypendjach i merytorjach, najwięcej zaś jest w użyciu „morelność”.

Ach Arjamanie—i ty, pani Kalirugo—czemuż mi każe-
cie o tych nudnych sprawach mówić?

Dusza mi się rwie jakąś szaloną serenadą, chciałbym
wschodzić po górze stromej zamku ku temu balkonowi, gdzie
jest moja przybyła z za Oceanu!

— Nigdy twoja — rzekła pani, i wzdrygnął się Arja-
man, wspominając napis na pierścieniu, który dotąd trwał
na jego ręce.

Książę pochylał głowę, twarz jego stała się tragiczną,
uśmiechał się, ale jakby z mieczem w obu płucach.

— W imię więc moralności zrobiono gargotę na ca-
łym narodzie, zduszono myśl, przykutą do słupa więziennego.

W imię jej zrobiono oblawy na tych, co wogóle my-
śla i wogóle czują.

W imię jej zajęto wszystkie dochodne miejsca, wszyst-
kie mównice, urzędy, nawet rogatki i miejsca przy „lieux
d'aisance”, które też są obsadzone przez zaufanych; wyże-
niono wszystkie bogate „dueńje” za szambelanów, profeso-
rów, pułkowników, za radców do wszelkich funkcji, byle
jednego wyznania: tego mianowicie, iż środek życia, jak
i środek ciała okazuje się wtedy, gdy ciało zegnije się
w kornym ukłonie.

W wielkich mowach do narodu, książę Zyndram, nie
lubiący Rosjan, zbierał tłumy poronionej szlachty, kleryków
i pańien, sodalisów i kanoniczek — i robił im koncepty
w rodzaju:

— Nasze kobiety wychodzą za cudzoziemców — —
cóż to? czy między naszymi już niema—tęgich?—

I zachwycone audytorjum słucha rozmowań niwelu-
jących wszystko do czasów św. Mikołaja z piernika.

Książę Zyndrama określił niezwykle trafnie pewien
filozof, iż rozwija się w trójkącie: na dole w młodości jesz-

cze był jako tako pojemny, w miarę lat zwęzał się, tak że w końcu już nic nie wchodzi, aż zakończyło się matematycznym zerem.

Przypominają się mi też słowa mędrca Zmierzchoświ-
ta, że należy wśród ludzkości, jak wśród lasów, czynić po-
ręb—aby niszczyć starzejące się zawały postępu.

Książę Zyndram jest mściwy: kiedy umierał zasłużony
pisarz narodowy, z którym nie żył w zgodzie, służący ko-
ścielny uważając to za nieulegające zakwestjonowaniu, wy-
wiesił nad kaplicą grobową—czarną chorągiew. Książę Zyn-
dram, wściekły, zwymyślał tak grubo, jak tylko umieją kłać
dystyngowani panowie.

Nie dziw więc, że ludzie z Turowego Rogu i osobli-
wie Oleśnicki, stali się przedmiotem najnieprześlągniętej
nienawiści ze strony kliki mego kuzyna, a wujaszka baro-
na de Mangro. Ale, miałem mówić w trzeciej osobie.

Książę Hubert miesiąc temu wrócił z podróży, szuka-
jąc Kalirugi, wrócił do ojczyzny, dla której nigdy zresztą
nie cierpiał ma du pays—homesickness. Tak, nie schnął za
Polską obecną.

Wzdłuż i wszerz, na wskroś i wglęb widział ten wiel-
ki moczar, na którym dotąd niema Herkulesa Łuczniaka.

Błądziłem po mieście lechickiem, nad którym rozpos-
tarł się brak poczucia prawdy, zanik zupełny sumienia my-
ślowego. Nie może ich wznieść zresztą nigdzie — ani ko-
ściół Panny Marii, ani katedra św. Jana, ani wysokie wały
świętego Jura; nie mogą ich uzbroić uniwersytety wiedzy nie-
mieckiej, ni uniwersytet największy, według Arjamana, oraz
Tirso de Moliny, jakim jest boleść, lub raczej Hakata i Sybir.

Szerokie zamiejskie błonia, Wilanów, wspaniałe drze-
wa Łazienek, tem więcej dawały mi uczuć kontrast kłam-
stwa dusz. Kłamstwo jest takim tynkiem obyczajowym

i myślowym obecnej Polski, że nawet genialni lekarze, matematycy, biologowie poddają się atmosferze zatęchłej, politykującej z Rzymem. Atmosfera mdłej bigoterji: najczystszy żyją wśród neokatolickich bredów, nie pomniąc, co mówił Chrystus o winie dobrem w łatanych workach.

Na czele najczystszych stoi mąż mdłego serca, bojaźliwie strzygący uszami, jak biały królik, dbały jedynie o to, iżby wszystkie Charybdy groźnej logiki dziejów i życia ominąć — a niedostrzegalnie dokonać zaszczepienia bezpłodnej scholastyki na rosnących dopiero i z urodzenia słabowitych drzewinach polskiego myślicielstwa i wolności.

Tak nudząc się, zaszedłem aż do pałacu księcia Zyndrama za miastem, gdzie zająłem się rozmową z dostojną księżną i uroczą, jak malowanie, księżniczką Świętochną.

Wtem zajechała karetą barona de Mangro.

Wolałem uciec od tego towarzystwa, ale księżę Zyndram pociągnął mnie do gabinetu.

Baron de Mangro wszedł po schodach zadywanionych, skąd wiódł go lokaj do naszego wielkiego wspólnego wujaszka.

— Jak się masz! Opatrzność cię nam zesyła, myślałem o tobie, twierdziłem, mówiłem, apostołowałem w Ostendzie za tobą przed kardynałem Val de Grâce. —

Mówił to księżę Zyndram głosem wyaranżerowanej kokoty i ucałowali się w powietrzu.

— Jakże księżę pan znajduje powietrze w tej przybrudnej stolicy króla Stasia?

— Dżuma, kochany baronie, bakcil wolnomyślny tego łajdaka Oleśnickiego i tych jakobinów z Turowego Rogu!..

Ale, ale! wszakże jesteście sąsiadami — mówże, jakże tam ta żalobna Sepia, zwana Wieszczką Marą — czy zawsze zbiera dokoła siebie najbogatsze panny?

Nie odbiłeś której, choćby z małym nadwężeniem „des ewig Weiblichen”? mój drogi, nie bądź skromniejszy, niż ja byłem w twoim wieku.

I jeśli teraz chodzę co tydzień do spowiedzi, bądź pewny, że odczuwałem i rozumiem „wolę Bożą”.

— „Das ewig Weibliche” — rzekł baron — teraz mówi się „das ewig Langweilige”. —

— Ha, ha! — zaśmiał się książę Zyndram, który nigdy nie czytając, lecz tylko wytępiając Nietzschego, nie wiedział, że ten aforyzm zeskamotował mu baronek.

— Niemniej strzeż się! mówią, że jakiś rybak kręci się koło Muzaferydzianki. Cóż to? (i oczy starca zrobiły się lubieżnie złośliwe) — czy niema już w naszym stronnictwie ludzi?

Tu wymówiło się mu słowo z masztalni salonowej tak wytworne, że de Mangro ryknął chichotem.

Rozmowy dalszej jednak nie wysłuchałem dokładnie, bo zaczytałem się w mistycznym cudownym żywocie Chrystusa Pana przez dawnego mnicha Ludolpha de Chartres.

Było już zmierzchniwie, przy wylanej rozmowie zmieniano likiery, mokkę, cygara. Baron de Mangro częstował wonnymi cukierkami, napełnionymi afrodyzjakiem indyjskim.

Po ugoszczeniu wpadli obydwa w należyte podniecenie, zapomnieli o mej obecności i książę Zyndram wyciągnął z notesu kartkę:

— Masz tu, rzekł do Mangra, wypis sum, które Bank prowincji udzielił jako kredyt Oleśnickiemu. Przekroczył o duże miliony więcej, niż prawo dozwala. Dyrektor Banku Turhan jest wielbicielem Oleśnickiego. Mamy go w swoich ręku. Skruszym go, jak Skartabellusa...

(Książę Zyndram lubił wyrażenia archaiczne, których znaczenie, jako fachowy agronom, mieszał fatalnie).

Teraz już zacząłem uważnie słuchać.

— Nie żądam od ciebie niczego wzamian, daję ci pomoc moralną dwudziestu siedmiu pism z Centrali junkrów. Daję nadto agitację w „Saku chrześcijańskim”, w „Zgłoszeniu narodowym”, w „Rogu katolickim”—sam będę miał rozmowę z kim trzeba.

Wyznaczam ci honor „Majstersingera”, abyś ich — —

Tu użył zwrotu z owej sławnej anegdoty o pewnym Monarsze. Gdy Anglja przyłączyła się do związku potęg w wojnie krymskiej, monarcha w pasji rzekł do ambasadora angielskiego: Powiedz swej królowej, że ja przyjdę i całym ją wojskiem — —

Miłosne jednak aspiracje ostudziła Wojna Krymska.

Wyszedł de Mangro, mimo cucenia ogórkiem—ledwo trzymając się na nogach.

Przyjął nawet ramię lokaja, który go sprowadził ze schodów — potykając się i narzekając na ciemności, mimo że kinkiety płonące gasiły księżyc.

Ja też wyszedłem innem wyjściem i trzeba zdarzenia, iż spotkałem Mangra, który, odesławszy powóz, biegł szybko, krokiem pewnym i silnym, jakby przed kwadransem nie bełkotał i nie czepiał się poręczy.

Widziałem, iż szedł prosto do prokuratora, obok szefa policji.

Nazajutrz skandal stał się na całą Polskę.

Natychmiast zjawili się w Banku plenipotenci majątków księżny Wrzodobolskiej i kilkunastu firm bankierskich. Wśród nich był i baron de Mangro. Zauważywszy zblednięcie dyrektora, zaprosił go na kolacyjkę wieczorem w hotelu „White-house”.

Wyszedł pewny swego, jak pająk kiedy zaciągnie nici i omota siecią wijącą się gąsienicę.

Dyrektor Turhan, po wyjściu wierzycieli i de Mangra, wydobył z szufladki stos rewersów Oleśnickiego, pod nim zamignęła stal: rewolwer.

Przyglądał się nie rewersom, ale fotografii Oleśnickiego — ojca księżniczki Wisznu, podobnego zresztą do niej z twarzy.

— Ja będę Twoim Halbanem — wyszeptał stary romantyk.

Wieczorem Turhan był już w więzieniu, zaś w hotelu „Whitehouse” zebrali się przy stole de Mangra dyrektorowie i różni „commis” Oleśnickiego;—wszyscy pili jemu na pohybel.

Podjęto proces, w Banku ogłoszono run.

Okazało się, iż uwięziony dyrektor Turhan przekroczył regulamin, udzielając Oleśnickiemu kilku milionów, które wpisywał na różne imiona fikcyjne.

Oleśnicki nic nie wiedział.

Już przedtem, płacąc lichwiarzom olbrzymie procenty (żydom i nieżydom), Oleśnicki był zmuszony sprzedać swój Krywań. Ten zaś w parę miesięcy po sprzedaniu, okazał się najlepszym z terenów węglowych.

Turhan był oddany bezwzględnie Oleśnickiemu—i nie pozwalał mu nawet wiedzieć, skąd udzielał kredytu.

Oleśnicki, broniąc przemysłu krajowego wobec rządów, nie mógł sam być przy najważniejszych nieraz sprawach—np. poznawszy jeden teren, jako węglowy, wysyłał komisję rzeczoznawców.

Na czele jej stał Amerykanin, znany w świecie naukowym, i dwaj Prusacy.

To było fatum Oleśnickiego, że nie znajdując w kra-

ju ludzi fachowo uzdolnionych i prawych, musiał brać z zagranicy różnych łowigroszów.

Takim też był jego głośny plenipotent, baron de Mangro, o którym powiedział sobie cicho Turhan:

— To nie jest człowiek pewny, będzie kraść, ale przy najmniej nie da kraść innym. Jest niesłychanie uzdolniony i sprytny. —

Lecz Mangro i sam kraść nad miarę—i utworzył cały złodziejski trust, a niesłychanych zdolności w tym kierunku nikt mu nie może zaprzeczyć.

Dyrektor Turhan tymczasem niszczał w więzieniu.

Oleśnicki był wzywany do sądu, jako świadek, uznał się współwinnym — i to groziło mu też więzieniem.

Ten marzyciel, genialny przemysłowiec, kazał przygotować sobie do więzienia księgi wieczne, chcąc w więzieniu czytać „Mowy Gotamo Buddy”, „Biblię”, „Eddę” i t. d.

Natomiast prasa nikczemna, sprzedajna różnych „Błatów”, „Saków”, „Rogów katolickich” i „Zgaszeń” rzuciła się, jak psy, na Turów Róg.

Pisały pismaki, że Oleśnicki będąc w Anglii i należąc do „Kompanji Indyjskiej”, wyzyskiwał Hindusów, gnębił też murzynów w Afryce, że lud w Turowym Rogu przeklina go jako swego zbrodniarza, Polska widzi w nim przewrotnego bezwyznaniowca i obalamuciciela, że nawet własni przyjaciele wstydzą się do niego przyznać.

Istotnie, przyjaciele polityczni wstydliwie, jak Piłat, umywali ręce lub proponowali, żeby kazał się uznać za warjata.

Wielki ten człowiek lękał się nadewszystko, żeby jakaś mgła nie padła na jego nazwisko.

Straszne cierpienie serca, rozszerzenie aorty, udzielało

się rozstrojem całego organizmowi. Potężny, jak jodła, Oleśnicki jęczy po dniach i nocach.

Nadzieja była tylko w zeznaniach dyrektora Turhana.

I ten mówił: czekajcie, ja na rozprawie sądowej okażę wszystko—i ujrzycie, jakim człowiekiem wielkim jest Oleśnicki! —

Jednego wieczoru do więzienia wprowadzono Mangra, który miał długą konferencję z dyrektorem.

Tejże nocy Turhan umarł.

Księgi kasy, zostawione przez zmarłego Turhana, były enigmatem.

Nie mogli znaleźć sum, dopiero Oleśnicki, będąc prawie w agonji, lecz duszą zawsze ogromnie skupiony w sobie, teraz nawet podniecając się morfiną, żeby mógł mieć wytchnienie od bólu —

ucieszył się, jak student, wynajdując te pozycje, które zgadzały się z jego księgami, i które wykazały kilkanaście nazwisk fikcyjnych, pod którymi pożyczki dawane były jemu.

Imię Turhana było oczyszczone. Halban go nie zawiódł.

Majątek 70 miljonowy złożyli ojciec Zolimy, Muzaferrid, drugi z wielkiego „tryumwiratu” Licki i sam Oleśnicki—pod warunkiem, że zostaną prowadzącymi własne zakwestrowane przedsiębiorstwa kopalniane.

Mieli pewność oczyścić je z długu.

Lecz Mangro, ukryty za figurą pewnego ichmościa, stanął na czele kasy, gdyż ichmość był tylko pozornym przedstawicielem rządu.

Kiedy zepsuły się transmisje od rygu (maszyny, prowadzącej wszystkie roboty w kopalni) Mangro, utajony za plecyma swego agenta, nie pozwolił naprawić więcej, jak

połowę, mówiąc, iż teraz jest konieczną oszczędność — i wówczas dwadzieścia kilka szybów w Turowym Rogu zaczęło dawać tyle produktu w ciągu tygodnia, co jeden sąsiedni szyb barona de Mangro w ciągu jednego dnia.

Po bezowocnych walkach z intrygą, której nici dopatrzyć się nie było można—Muzaferid wycofał się, zostawiając swą majątność nowym ludziom w Banku, bo nawet pracować jako podrzędny inżynier nie mógł, widząc, że z Turowego Rogu wszystkie maszyny wywożą do kopalń barona de Mangro. Młoty parowe, ustawione z największą starannością, sprowadzone zdala z najwyższym zachodem, poszły jako „bruch“ do sąsiednich kopalń Mangra. Odwołać się do opinii publicznej, rozjuszonej przeciwko pijawkom narodu: Oleśnickiemu, Muzaferidowi i Lickiemu—nie było sposobu. Naród kipiał świętym oburzeniem.

I stało się dziwnie: gdy jednego dnia Oleśnicki nagle porażony padł na serce—Muzaferid, nie wiedzący nic o tem i zdala o pięćdziesiąt mil, silny jak tur, runął zemdlony i z łoża dotąd nie powstał.

Majątność ich została kupiona przez Bank „Die unterirdische Klapperschlange“, za cenę długów, bez grosza pieniędzy!!

Tak zmarnowano wielki, genialny, prawdziwie obywatelski czyn.

Głupi, podle głupi w tym narodzie są ludzie.

Zostały rodziny, nie mając środków do życia, bo sławetny Bank nawet meble im opieczętował.

Niepognębeni zaczęli pracować w zakładach naukowych, lub leczniczych, pani Oleśnicka uczy lud, Muzaferid oddać musiał swój cały teren—panna Zolima wschodni zamek zachowała, i tam ma zamiar założyć uniwersytet dla kobiet.

Książę Zyndram zaś rozjeżdża po kraju, głosząc w rodzaju księdza Skargi biadania o tej Hańbie Narodu. Mowę miał w parlamencie berlińskim, taką — jak on był sam:

przewrotną, starczą, głupią, lecz zwycięską! — — — —
Nie, myślę się — miał i on swą porażkę.

Hrabia Wallensztajn-Sazonow kapitan gwardji, magnat rosyjski — kiedy ujrzał na balu córkę księcia Zyndrama — osłupiał.

Ten trzydziestokilkoletni piękny mężczyzna mimowolną radość sprawił panu Melanchtoniusowi, który patrzył na to nadzwyczajne wrażenie.

Już było wiadome, że Rosjanin ją porwie.

Dla pana Zyndrama straszliwy cios, tem więcej, że żona jest za małżeństwem.

Księżna jest z rodziny kupców, więc książę Zyndram, naraz trafiony w miejsce dotkliwe swego istotnie szczerego, choć tak dziwnego arystokratyzmu, rzekł grobowo, po raz pierwszy w życiu, wielki aforyzm:

— Nie robi się kompromisu z Targowicą! —

Była to aluzja do pochodzenia targowego wielkich majątności pani Wrzodobolskiej, córki dostarczyciela dla wojsk w Kamerunie: pierza, kokot, wina i armat.

Nastąpiła historyka pani, rozstrój domu. Więc książę Zyndram uległ.

Rosjanin przed ślubem już pewny siebie tak, że pali cygara jedno za drugim; wobec pań rozsiada się i właściwie tak zachowuje się względem Świętochny, to jest niewłaściwie, że pan Melanchtonius mówił, iż należało chyba Rosjanina za ucho wyprowadzić.

Ślub odbywa się wspaniały, zjechali Rosjanie z Petersburga.

Polacy wytrzepali z molów stare kontusze, mogąc już

teraz w czasach konstytucyjnych używać na kostjumowych balach.

I tylko nauczycielka nie chce podać ręki Świętochnie.

Znałem tę ubogą institutricę, która sama jedna rozbudziła całą prowincję ludu śląskiego.

Może była za nudna w swej cnocie, bo cóż lepszego, żeby Świętochnę wziął jakiś zużyty degenerat magnacki z Królestwa, lub z Lodomerji?

Po ślubie Świętochna używa życia, rozkwita...

Jacht własny na morzu pod Tatrami, życie na rewiach kijowskich.

Wygląda tak cudownie w brzasku rannym, że raz w porcie Jaworowym—gdy szła w swej perłowej sukni z kapeluszem, jak przewrócony koszyk hjacyntów —

Pani Rabsztyńska ujrawszy ją i nie wiedząc, że rozumie ją ta dama — zawołała:

— Kto to jest? czy ona wie, jak jest cudowna?

Świętochna zbliża się do pani Rabsztyńskiej, prosi, aby ją przedstawiono — — wyznaje jej swój największy ból, że nauczycielka, której wszystko dobre zawdzięcza — nie może z nią być dobrze — lecz pani Rabsztyńska cofnęła się sucho i niegrzecznie.

Ale Świętochna nie była Jerneścią z Turowego Rogu.

Hrabia Sazonow odbiera sobie życie, podobno jakaś szpetna choroba, nagle przybłąkana.

Świętochna powiada:

— Lepiej, że wcześniej, nim się miało zepsuć. —

Mądrość wspaniała, niesłusznie oburzano się na nią, kawalergardy i ich żony bliżsi są wiedzy życia, niż filozofowie, głoszący Wolę ku Potędze.

Ale wróćmy do Hańby Narodu, z którą chcę skończyć.

Hańbą Narodu są u nas wszystkie przedsięwzięcia publiczne.

Kiedy przyjdzie zrobić coś dla narodu, a choćby jakiś zamek dziejowy odnowić — zawsze wysuną się „bumagi“ urzędowe, ludzie obcy duchowi narodowemu, lub ci, którym żyłki w mózgu już pękają od starczej sklerozy.

Już raz tak urządzili Mickiewicza.

Śmieli się do rozpuku w naszej magnaterii, że na rynku aż było słyhać — niektórzy dostawali ataku furii i rozpisywali listy, by ratować dzieło narodowe.

Mędrzec Zmierchoświt odpisał, by posąg zwalono; przerazili się — uznali, że w każdej sprawie musi być kompromis.

Zaczęli poprawiać — i stoi taki idół z brązu, trzymając się za miejsce wątrobiane.

Wiadomo wam, że Wawel przed ruiną uratował niegdyś poczciwy austriacki kapitan, który zakrył ściany grubym tynkiem, aby uchronić freski i sztukaterje od kolb żołnierzy, którzy tam mieli kazerny.

Teraz uczynią orgie złego smaku w Krzyżtoporskim zamku, który jest ostatnim wielkim snem potęgi minionej. Tam gdzie Witezie, Mag Litwor i Arjaman zbierają skarby duszy, tam w miejscu Odrodzenia urządzą kabarety i uhonorują prostytutki.

Teraz chciałoby mi się opowiedzieć wam życie moje — małego Orcia, lecz co uczyniła ze mnie moja matka?

Nie byłem kochany. Pedagog mój całymi nocami wyjeżdżał w powozie wspaniałymi końmi na poszukiwania po wsiach.

„Exploits“ jego dawały mi wolność, lecz używałem jej na razie tylko na czytanie poezji.

Moja siostra była chora na suchoty. Matka moja trzy-

mała się zdala od łoża, chowając się sama dla wielkiego rodu. Hanię wywożą do Warszawy, choć lekarz, pan Tytus, gniewa się, że już żywej w Tatry nie przywiozą.

Przywieźli dogorywającą.

Matka moja znieawidziła męża, oskarżyła go o kradzież klejnotów w hotelu. Wbiegła policja i burmistrz Berlina, pytali, kogo oskarża, — kazali jej z łóżka wstać, ta nie chce, niby ciężko chora. Żandarmi podnieśli ją — i w materacach znaleźli wszystkie klejnoty koronne, należące do naszego rodu.

Na ród nasz rzuciła przekleństwo pewna Litwinka. Było to w kościele — schodząc, z każdego stopnia kościoła rzucała klątwy na nowe pokolenie.

Sprawdziło się!

Mam tu w zamku swym archiwum z tajemnicami rodzin w kraju pierwszych, ze skandalami Targowicy, z cudnymi listami Krasieńskiego, mam też koszule skrwawione powstańcze — mam i perły Patiomkina, najświetniejsze w Europie — darowane mej prababce, mam listy Fryderyka do mej drugiej prababki, bardzo skandaliczne.

Otóż moje słowo ostatnie:

My magnaterja, ludzie majątkami związani z Polską, wszystko wiemy, świat cały objechaliśmy, lecz mamy dusze stare.

Sypią się z nas trociny.

Rozumiecie teraz, że my jesteśmy Hańbą Narodu —
my —

wielcy poliszynela przed trumienką?

— Ty jednak, książę Hubercie, chociaż winy naszej magnaterji skupiłeś we Wrzodobolskim — rzekła pani Kaliruga z dziwnym uśmiechem, od którego przeszedł dreszcz Arjamana — jesteś gorszy od nich, gorszy, niż wszystko, co

dotąd było na ziemi polskiej. Ty wieszaleś rewolucjonistów dla zabawy. Ty nająłeś się za kata!

— Zadługoby teraz rozpoczynać tę historję,— rzekł książę Hubert, jak gdyby odpowiadał tylko na pytanie retoryczne.

Dziwi mnie, że ty, wracając z Królestwa podziemnego Króla Wężów, wiesz o tem, czego nie wie nikt...

Chyba Mag Litwor...

Zrobię ci tylko jedną uwagę dla dopełnienia twego patriotycznego egzaminu: Goethe słysząc o jakiej zbrodni, mówił: „jeszcze nie słyszałem o takiej, do której nie byłbym i ja zdolny”.

— Ty? wszakże w zwykłej świadomości nie jesteś zdolny zabić małego ptaszka... lecz miewasz napady straszliwego obłądu —

wtedy — ha!... widziałam Cię kiedyś w twoim zamku na Litwie, gdy z obwiązaną głową stałeś nad trumnami twoich dwóch zamordowanych żon...

Ty, który masz więź z ołtarzem dla szatana Trismegisty — wszakże to w imię moje uczyniłeś koniec z niemi?

— Mam kulkę z trucizną w ustach — rzekł cicho książę — cyjankali. Dość rozgryźć, za minutę będę zimny, jak kamień.

— Odprowadź mnie, — rzekła kobieta — panie Arjanie, tam, dokąd ty chcesz, jeśli to możliwe? —

Łuna, jakby od purpurowych skrzydeł szatana oświeciła naraz jego serce. Wydało się mu w tej tragicznej chwili, że ujrzał króla Węża zielone oczy, wpatrzone w niego poprzez mrok.

— Ja odpowiem za niego,— rzekł książę—jeśli pójdzie z tobą—nie odnajdzie już wejścia do Krzyżtoporskich podziemi. A przytem, jest on ponoć rycerzem Króla Ducha—im nie on tu przyjechał zjednywać... Pod chorągiew Perkuna-Kriszny...

ha! I cóż, jakoś zapomniał o swej misyi! I cóż, jak ci się tam żyje w lesie z ascetami?

Pani Kaliruga rzuciła kwiat na ziemię.

— Proszę mi zanieść aż tam, dokąd każę. —

Arjaman uderzył w Kalirugę ostrem, jak graniony dyament, spojrzeniem. Różę jej podjął i trzymał nad płonącym ogniem na czarnym ołtarzowym głazie niewiadomo któremu z Szatanów? Róża jednak nie zetliła się na nierozsypujący popiół, ale zdała się krwawić sercem. I upuścił ją w ogień Arjaman.

Wziął za rękę Kalirugę, szedł z nią — i cały, wstydząc się tego, płonął niesłychanem szczęściem.

Minęli tarasowe wzgórza, wstąpili w las. Ciepło jej łona paliło mu zmysły i duszę jakimś niezwykłym upojeniem, a zarazem grozą.

Był szczęśliwy na wirchu mroku i mówił do siebie: Kain! Kain! oh, ile szczęścia... zbrodnia — tym lepiej! —

Wstąpili do ukrytej czarnej szalupy, którą miał Arjaman nad morzem. Kierował wśród tragicznych, mrocznych świątyniowych gór nad fiordem.

W głębinie lśnią gwiazdy.

Nieopisana cisza, zdało się, iż na wyspę umarłych jedzie dwoje miłujących się, mając tam zejść do Hadesu.

Świętość mistyczna zaczęła jarzyć w sercu Arjamana — jakaś Polska, którą należało zbawić od Targowicy. (Króla Ducha rycerz, czy biedny Don-Kichot?)

Zwrócił się do córki króla Węzów:

— Dokąd idziemy? po rozkosz — nie zaznam jej. Ciebie miłować nie mogę.

Jesteś zjawiskiem Walkiryi, która walczy nad chmurami.

Lecz ja, według słów Kościuszki, stanąłem nakoniec w tej części Świata, gdzie wając na Szali powinność, uczu-

łem głos wewnętrzny przekonywający, że nigdy dosyć z własnej Ziemi wywiązać się nie można! —

Mówiąc to, wyskoczył na brzeg.

Pani Kaliruga wyprostowała się w łodzi, wężę błysnęły wirem płomieni.

— Niestety — rzekła — gonisz ziemię, która cię odpycha i tak o ciebie nie dba, jak Au bon Marché nie dba o motyla, który leci, ginąc w tym olbrzymim piekielnym natłoku deptających się ludzi.

Jam jest miłość tryumfująca wierzchołków Hiamawatu — i tych smętnych podziemnych jezior Tatr, które ma mój ojciec — Król Węzów! Zemną pójdziesz na Wielkie gody Życia — tam trafisz już tylko na stypę po umarłej Polsce!... —

Arjaman wszedł w mroczny iglasty las, a był pełen tak tragicznego bólu, iż nie potrzebował zatykać uszu, jak Odysseusz przed śpiewem Najady. Kierując się instynktem człowieka puszczy, znalazł wkrótce drogę najbliższą do Turowego Rogu. Szedł część nocy i kawał dnia.

Ten mistyk, żyjący już na wierzchołku lodowca — niewzając miłość, kochał najwięcej.

Podchodząc do Turowego Rogu, ujrzał elegancką z wielu pałkami na koronie remizę—zaśmiał się, jak na dobre żarty, bo na koźle siedział murzyn—w rękawiczkach czarnych i cylindrze.

Dwa kare konie, niezwykle rasowe, grzebały nogami piasek.

Było to tak karawanowe i nie w stylu Turowego Rogu, tak zdradzające cudzoziemca i raczej brazylijskiego bogacza w złym guście, jednego z tych Rastakuerów, którzy grasują w Paryżu — że myślni błdził Arjaman, ktoby to

mógł być ten Pan? z odległości jakby przypominał sobie, czy nie właściciel czterechset fabryk i Tatr?

Ktoś stał wsparty o jodłę: był to Mędrzec Zmierchoświt, wyglądający zdala, niby połatany wojak, który w uniesieniu wita słup graniczny z napisem: Polska. Lecz straszny potworny ból zamroczył jego jasne niegdyś oczy i ziemiastą uczynił twarz. Milcząc witali się, milcząc weszli do sieni: o mało nie padli od niesłychanego zapachu kwiatów, których cały wóz leżał pod ławkami — z sali zaś dolatywała wesoła rozmowa.

Księżniczki obie, Wieszcza Mara, kilku nieznanych Arjamanowi witeziów i kilka jeszcze osób — między nimi baron de Mangro.

W pierwszej chwili Arjaman, uczuwszy zduszenie w gardle, chciał uderzyć pięścią, zmiażdżyć maskę na twarzy dżentelmena, poprosić o karafkę wody dla towarzystwa i wyjść. Lecz nie dał mu czasu na decyzję de Mangro, który widząc, że Wieszcza Mara wita Zmierchoświta jak Piotrowina — zamiast przedstawiania się, podał im olbrzymi purpurowy bilet z koroną i Krakusowym smokiem w herbie, zaś napis w krzyżykach Fiołkokrzyżowców głosił:

— Monsignore J. Św. O. Św. Markiz Kiaja Douglas baron von Mangro Rabsztyński. —

Zmierchoświt bilet położył na oknie, dwakroć czytając i rzekł:

— Wszakże to pan jest bohaterem z wysp Hebrydzkich i z pod młyna! —

Monsignore, jakby tylko czekał na tę sposobność, zaczął opowiadać o młynach parowych amerykańskich, które zabijają nasze rolnictwo.

Zachwycił widać towarzystwo, wielkie pudło rozwar-

tych ciałków stało na ziemi, obie ręce zanurzał w nim mały Feniś, brat księżniczki Wisznu.

Z wyjątkiem Wieszczyki Mary i panny Oleśnickiej — wszyscy emablowali Markiza Kiaję, który mówiąc płynnie po angielsku, spierał się z niemałą erudycją i przekonywał Zolimę, że „bill“ na dopuszczenie kobiet do parlamentu będzie przyjęty, ponieważ kobiety z najpierwszych towarzysztw poprą swe życzenie, jak kobiety w Lyzistracie Arystofanesa.

Ubrany był skromnie, lecz z niesłychaną wytwornością: prawdziwy lord, markiz, a nawet mandaryn.

Arjaman w szacie podartej na jedlinach nie mógł konkurować z wspaniałą, chłodną zewnętrznością markiza, którego oczy lśniące jak u tarantuli, lśniły dowcipem, fascynowały zagładaniem za wszystkie parawany. Wsparty, niby Bajron, na lasce, tłómaczył się, że na ostatnim „par force“ kazaniu nadwichnął nogę. Niebywałej piękności perła lkała w jego czarnym z mory żabocie.

Rozwinął niedbale stary „Figaro“ i „Daily Nius“, ukazał artykuł: Markiz Kiaja Douglas de Mangro był ścigany za dwa śmiertelne pojedynki uskutecznione z niesłychaną brawurą nieznanym w Europie pchnięć. Lecz otrzymał już za to rozgrzeszenie!

Rozповідаł o hodowlach owiec z Nowej Zelandyi, gdzie dzięki kwakrom i Pismu Świętemu zbadał kwestję powstawania płci — tak że mógł, jak Jakób, tworzyć dowolną ilość baranów. Jest Polakiem z natury, jako Rabsztyński, lecz w każdym kraju zdobywał wiedzę i tytuły. Ojciec Święty rozmawiał z nim o reformie muzyki kościelnej, na zasadzie kantaty, jaką Monsignore ułożył.

Księżniczka Zolima bawiła się pysznie ze swym towarzyszem, którego znała w Oksfordzie na studjach, jako naj-

weselszego z przyjaciół lorda Paradoxa, aczkolwiek wtedy nie zdradzał niczem swego polskiego pochodzenia. Potem odbyła z nim wycieczkę na aeroplanie, lecz to było tajemnicą dla pani Ameńskiej.

W pierwszej chwili Arjaman, jak wiemy, chciał tego Męża, cieszącego się narodowem zaufaniem, zdemaskować.

Lecz budzący się w nim demon Ironii kazał mu spokojnie czekać rozwinięcia tej komedyi.

Z obecności Mangra w Turowym Rogu widział jasno, iż nikt tu nie domyśla się, jaką rolę odgrywał przy ruinie i hańbie Muzaferida.

Uczuł i Zmierzchoświt żal do istot tak górnych, które nie przeczuwały, kim jest de Mangro. Witezie witali się ze Zmierzchoświtem gorzej, niż chłodno, wprost złowrogo.

W życiu Cervantesa było takie zdarzenie.

W Algierze, przez kilka lat jako niewolnik u pewnego Renegata, wyszukuje sposobu wyzwolenia.

Po mękach i współżyciu z braćmi niewolnikami, niby Xiążę Niezłomny — wraca do ojczyzny, czując iż niema większego szczęścia na ziemi niż odzyskana wolność.

Zastał mur oszczerstw usypany przez mnicha dominikańskiego, który zdradził przed Renegatem ucieczkę więźniów, a potem jeszcze Cervantesa w Hiszpanii obgadał, aby mu już nikt nie dał wiary i tym uprzedzając relacje prawdziwe. Mutatis mutandis spotkało to Zmierzchoświta.

Lecz Cervantes miał 11 świadków ze współwięźniów, którzy mu wystawili świadectwo męznego szlachetnego człowieka.

W Polsce: jak niepogoda w Tatrach łatwo odmieniają się ludzie, a jak lawina od byle muśnięcia, spada potężnie szarym gradem kamieni.

Nie mówią w oczy.

Wszędzie spotka się węgozowate omijanie kwestyi.

Z pajęczych, a duszących nici, usnują zakrzepłą na szyję gargotę.

Jestto psychologia tłumy nieszczęśliwego i zdeprawowanego; również i psychologia ludzi, którzy wszyscy uważają się za wodzów, nie radują się tem, iż Sprawa coś zyska, zajęci jedynie, iż przez nich — przez to najmilsze własne ego — powinien pójść wielki rum Zygmuntofskiego dzwonu.

Polonus Polono lupus?

To byłoby przynajmniej wojownicze groźne.

Lecz jest to z ludzi doborowych owo servum pecus, zawsze gotowe przyłączyć się do nagany lub pochwały Mangra.

Po śmierci delikwenta oratorują nad jego trumną.

Za życia sypią pod nogi jego rumaka bretnale; jeśli szedł bosonóż — wyleją jeszcze nań pomyje.

X. Poniatowski Józef był przez lat dziesięć okryty hańbą. Poniewierali nim.

Lecz teraz są jeszcze straszniejsze czasy. W dogorywającej rewolucyi poszukiwał winowajców nietylko rząd, ale i ludzie rewolucyjni między sobą. Walcząc z potwornością zdrady, rewidowali już każdego. Szpikulcem żelaznym przebijali mu jego świat myśli tajemnych. Im ktoś był niedostępniejszy takim oględzinom, tym stawał się bardziej podejrzany *).

Kronikarz Turowego Rogu podkreśla dlatego ten wy-

*) Kronikarz nie ma zamiaru uogólniać. W dalszym biegu opowieści będzie miał sposobność wysławić wspaniałe na Monumente Nędzy Polskiej postacie tych, którzy ze siebie uczynili most dla Nike Skrzydlatej lub Nike, chodzącej za piugiem!

padek zupełnej samotni w życiu Zmierzchoświta, iż jest on znamienny w naszych dziejach — i w narodowej psychice.

Kto życie pojmował, jako Natchniony Obowiązek, chciał czynić ludziom dobrze, lecz szukał wyżyn — temu ludziska nie przebaczą.

Gdyby siał tani frazes patrijotyczny; gdyby jak Harpa-gon rozparł się na worze cekinów, mając dla innych tylko — sznur; gdyby wyrozumiałym był dla własnej i dla innych ludzi marnostek — — gdyby natomiast nie miał tej siły fatalnej, która niewolnika przedzierzga w człowieka — — byłby gościem iluminowanym we wszystkich 6 stolicach kraju.

W Turowym Rogu Zmierzchoświt miał jeszcze ochronę i list żelazny. Biada, jeśli gdzieindziej spotka się z swymi współbraćmi, z którymi patrzył razem tak niedawno w oblicze śmierci, wyczekując wschodzącego słońca.

Tu siłą się na pozór jedności.

Cedzą natchnione słowa wieszczów, mówią o Narodowej Świątyni, z tajemną życzliwością patrząc w de Mangra. I ani uczucie straszliwej powszechnej klęski, ani obławy, które urządza na nich życie, choroby, nędza, oraz czci-godny zawsze zręcznie ukryty baron de Mangro — nie mogą w nich obudzić instynktu obrony przez zjednoczenie, przez sojusz taki, jak mieli dawni słowiańscy witezie na Pomorzu w walce z Danią, Norwegią i Niemcami. Gorsze to, co dziś — nad obrazy z Próchna, gorsze niż Dzieci Szatana, niż smutek Popiołów — gorsze niż Bestia triumphalis reakcyjnych zbirów i potwarców; to są owe z pobojo-wisk serca Wenedów, które ogląda Kapłanka Roza. Biada im, biada i nam!

Bezsilni w walce, tworzymy marzenia wielkiej zemsty. Tymczasem inną jest droga! — Kilka osób pochodzenia ży-

dowskiego — którzy wzięli na siebie zbyt trudne zadanie zrobienia Polski społeczeństwem o wiedzy współczesnej, a nie bagienną Głodomorją Arjamana chcą ze sobą w pracy zjednoczyć.

Arjaman wiedział, iż trzeba przesiać zboże polskiego myślenia, lecz zbyt olbrzymie wirchy rozłonił przed nim nieminiony już nigdy ból.

Czuł w sercu coraz głębiej szarpiący żelazny łańcuch, — który należało wyrwać, lub otoczyć skamienieliną.

Wyszedł na taras, gdzie cudny rozstaniał się widok na morze, puszcę i góry.

Wieszczka Mara ze swą smętną błyskawiczością oczu modrych, jak noce ukraińskie, gorące i bezksiężycowe, przepelnioną miała duszę magnetyzmem długich religijnych przesłonecznień, których nie zgasił mrok zwałonego świata nadziei.

Z intuicyjnym darem czytania w duszach, choć nie wiedząc o strasznych przemyśleniach Arjamana, od pierwszej chwili spędzonej przy lodowcach — poczuła dlań przyjaźń. Więc rzekła mu: Szczęśliwie dotąd uniknęłam podania markizowi Kiaja ręki, i wogóle nie rozumiem, dlaczego Zolima uznała za stosowne markiza tu wprowadzić? —

Nawet Pani Mara nie widzi już nic w ciemnej głębinie duszy. Kobiecą logiką wytłomaczyła sobie, iż Arjaman jest bardzo nieszczęśliwy, bo Xiężniczka jest nań niełaskawa. Arjaman nie miał bynajmniej żalu! jeśliby chciał zdobywać, — ale wszak nie chciał! Okrutną i nie do zniesienia byłaby dlań teraz jakaś wenecka barkarola. Kochał przyszły świt! Kochał nadewszystko to nasienie Życia Wzniosłej Polski, a przerażała go myśl — iż bóg pozorów przeżarł i to ostatnie ziarno.

Arjaman nic nie odrzekł — zęgnął się, pani Mara do-

tknęła końcem rączki jego głowy i rzekła: ... nie trzeba wychodzić ze złością z Turowego Rogu! —

Arjaman w zimnym, lecz szalonym gniewie na siebie, postanowił już iść wciąż dalej ku piekłom, o których wiedział, że mają bramy zawsze gościnnie dla niego niedomknięte.

Zolima patrzyła na ten obraz rozstania swymi oczyma ogromnymi, nalany ciecżą mroków lawy, co kryją w sobie temperaturę głębin ziemi. — Swym wzrostem wysmukłym, jak cyprys, górowała nad Arjamanem, a mając duszę nieśklonną do „misterjów“, z prawdziwym djabolizmem poprosiła de Mangra, aby powiedział jej ten wiersz, który jakoby przysłała mu pewna Hiszpanka.

Baron de Mangro rzekł:

„Ni con tigo, ni sin ti
non tienen mis penas remedio!
contigo — porque me matas—
y sin ti — porque me muero“

„Z tobą, ani bez ciebie
nie mają me bóle wytchnienia!
z tobą—ponieważ mnie zabijasz —
i bez ciebie, ponieważ umieram.“

— Jakby pan to przełożył, panie Arjamanie? —

Arjaman, którego duch mroków natchnął, rzekł:

„Même quand Loyson vole
on sent, qu'il a des pattes.“

„Nawet kiedy Lojson
lata (synonim: kradnie), czuje
się w nim łapy.“

Ukarzał go błysk nagły oka Zolimy, która rzekła, zręcznie zażegnując atmosferę pojedynkową:

— Mężczyzna nie cierpi nigdy — i tym mniej, im więcej zdolny jest o tem rozpowiadać. —

Markiz Kiaja zgodził się z tem wesoło.

Ukazał posążek Wenus, którą podobno papież Bordzia miał w kamei na krucyfiksie, i którą całował podczas błogostawieństw, on zaś ją nosił jako talizman na swej lasce.

Wkrótce też nową definicję nadkobiety dał baron de Mangro, patrząc w lustro i kiwając łaską:

— Jestto w mierzwie życia pasożytny kwiat borneański; jestto „homunculus“, jakiego zbudował wiek XIX w swym socjalno-przyrodniczym laboratorium.

Jestto tryumfująca energia dwumetrowej australijskiej glisty, która wspaniale wyrosła w bezsłonecznej, lecz wygrzanej macierzy ziemnej; rachunek nieskończonościowy djabła, który wie wszystko, co dotyczy jego egoizmu. —

Tym aforyzmem baron osiągnął wirch uznania.

Zaczęły się cieszyć młode panie, iż tu uzyskały nowy horyzont dla swych pragnień i poglądów.

Witezie poczuli, że jest ktoś, kto ich wyzwala ze zbyt ciężkich pancerczów. Inni, że po drodze usłanej banknotami, wejść nareszcie na wielką arenę życia, bo cóż jest większe niż życie? pytają damy, opierając nóżki pod stołem na kamazkach panów.

Arjamanowi zaczął się Mangro również podobać.

Wtem spojrzawszy w kąt komnaty drgnął nagle, porwał się i o mało nie zakrzyknął w nieohamowanym bólu.

W ciemnym przedpokoju stały małe widma — nad nimi Kaliruga ze sztyletem.

Wpatrywał się w tych dwoje długo, aż rozplynęły małe widma, uniósłszy się nieruchomymi stopami na powietrze, a cudna wiedźma zapadła pod ziemią.

Usłyszał w górze toczącą się lawinę — jakby demon piorunami śpiewał.

Zimną wyrafinowaną mądrością starał się Arjaman zalać ogień, który go pożerał.

Pożegnał się raz jeszcze pokłonem głębokiej adoracji w stronę Zmierzchoświta, w stronę towarzystwa gestem uprzejmych obojętności.

Wszedł w las, nie oglądając się za sobą.

Serce jego podobne się stało do otchłani, przez którą przelatują meteory, gasnące w błysku nagłym i śmiertelnie bolesnym.

Mrok gęstniał w borze, przez który szły Orgie purpurowe słonecznego Katodos. Zapadło słońce w niewiadomy mrok Hadesu.

Arjaman, spotkawszy konia z rasy dawnych Hiparionów, pasącego się na lewadzie — wskoczył ze zręcznością Scyty, i pognał bezdrożem pod górami wielkimi mimo Kościelisk.

Już był mrok nocy zupełny, na szafir nieba wystąpiły gwiazdy.

Jakby daleki tętent konia usłyszał za sobą.

Mija ogromne ciemne lasy, na chwilę niepowstrzymując Hipariona.

Mija aż zachmurne skały.

Napojem gorzkiej piołunowej samotni poi się jego duch.

Miłość swą stracił w lodowe wiry wodospadu!..

Nie potrzeba Miłości, szczęsnej czy nieszczęsnej —

witeż ma teraz swą górę lodową, na którą wspina się jego rumak.

Nie trzeba żadnej kobiety, żadnej handlarki miłosnych napojów, żadnej z tych pułapek, którymi łowi Natura.

Ból sroższy, niż ten osobisty, ból za wszystkie nieurzeczywistnienia Ziemi, zaczął go szarpać.

Chmura oskarżeń całego narodu przez Xięcia, wlokła się, błyskając bazyliszkowem wejrzeniem.

On jednak tych ludzi kochał. I rósł w nim ten rozterk Jeremiaszowy:

„Wnętrznosci (wnętrznosci moje choć srodze boleia)
osierdzie moje y serce moje trwozą się we mnie, tak iż za-
milczeć nie mogę“.

Nagle, ciężkie dyszenie: niemal uczuł gorący dech
zwierzęcia.

Miękkie halne zioła przygłuszyły tętent...

Ręka czyjaś w mroku lasu chwyciła za chrapy jego
rumaka.

Hiparion się wzdębił.

W błysku fosforyzujących jego źrenic, rozszerzonych
od przerażenia, jakby od atropiny, a błyskających czerwono,
jak zielony za dnia kamień alexandryt, z gatunku szmar-
agdów —

ujrzał Arjaman istną groźną mityczną Meduzę.

Przepaść — oba rumaki wryły się kopytami w skały
i osiadły na zadach.

Zeskoczył Arjaman, Zolima pozostała na koniu. Cen-
taurzyca!

— Nareszcie mogę mówić z Tobą — lecz i tu jeszcze
nie jest bezpiecznie. Ty wiesz, kim jest de Mangro? nie,
jeszcze nie wiesz!..

Pomnisz tego potwora, który w kościele podczas
Mszy Czarnej wyniósł trumnę i ona nagle zniknęła Wam
z oczu?

To nie był człowiek żyjący... choć jest tu istotnie wróg
de Mangra... to było Monstrum, zrodzone z tych astralnych
cyklonów nienawiści, w których żyje Mangro.

Siła ta zwróciła się przeciw niemu: zmaterjalizowawszy
się, przybrała kształt ludzki, użyła powozu jako wehikułu,
przywiązała trumnę do śmig wiatraka, w ciebie rzuciła gła-
zem...

Tę siłę teraz de Mangro zamierza użyć na swą korzyść—i to już poczęści się mu powiodło.

My sądziliśmy naiwnie, że to jakiś zbrodniarz współgalernik na de Mangrze mści się...

To siła najpotworniejsza, jaką wydała Ziemia: Kainotherium!

Muszę ukrywać me dziecię... więcej lub tyleż, co Matka Boska przed mordercami...

Teraz nareszcie rozumiesz, dlaczego byłam narzeczoną Mangra —!

— Nie rozumiem.

— Ujarmiałam go swą obecnością, przeszkodziłam mu wielokrotnie, iż nie wysłał przeciw tobie morderczego fluidu i nie udusił Cię w więzieniu śpiącego.

Nakoniec, obserwowałam go, jak człowiek w mroku ogląda człowieka, stojącego w blasku reflektorów.

— Patrzyłaś spokojnie, kiedym tonął w jeziorze!

— Głos jakiś mi szepnął, abym była spokojna.

— Oskarżyłaś mnie jednak na sądzie rewolucyjnym!..

— Jeden z rewolucjonistów był figurą zaprzedaną de Mangrowi... Musiałam upewnić go, iż jestem tylko fanatycką rewolucji... Lecz ja uwiadomiłam Maga Litwora...

— Wzbraniam się przyjąć od Ciebie obronę mego jestestwa. Nie jestem lękliwy. Kimkolwiek jest Mangro, mogę porwać go i mózg mu rozbić na skałach... jeśli tego zajdzie potrzeba.

— Więc kiedy jesteś taki ślepy, Achillesie, patrz!.. —

Nie mógł nic dojrzeć narazie Arjaman — potem wpatrując się w ciemny przestwór powietrzny, uczuł potwornie chłodne prześlizgnięcie się—niby rekina, który przepłynął... i znowu okrąża...

To nie była igraszka idei. Wprawdzie Arjaman znał

walkę z monstrami morskimi, lecz tu była siła, z którą walczyć niepodobna orężem.

Jakby człowiek z wspaniale urządzonego salonu — przez nagle rozwartą klapę w podłodze wpadł do morza, gdzie krążą głowonogi — i czają się rekiny: z monstra szydził niedawno jego mózg przy jasno-płomieniającej lampie nad dowcipnymi Essays Montaigne'a; oto jest teraz sam bezbronny wobec ośmiu rzędów straszliwych kłów w paszczę ślepej siły, która chce żreć...

Mówiła Zolima:

— Tamtej nocy nad jeziorem Szatanów krążyły duchy, które my braliśmy za świetlaki świętojańskie — my ślepi nie widzieliśmy zawieruchy duchów, ni zstępującego ducha Promethidiona.

Widziałeś teraz fluidyczną potworę, która idzie za tobą trop w trop — —

— Widziałem, lecz nie wierzę.

— Jesteś sam potężnym czarodziejem!

— Nie wierzę w me czary.

— Będiesz musiał uzbroić się w miecz, tajony przez Króla Węzów, ażeby bronić Turowego Rogu, który prawdopodobnie będzie zwyciężony i zniweczony.

W Polsce ludzie najlepsi są bezbronni: w swej szarej mogile wytwornego laissez faire — gotowi zaprzepaścić wszystko, co im się powierzy w najgłębszej wierze—iż Oni zwyciężą.

Czy myślisz, że który z nich ręką by ruszył na obronę moją przed Mangrem? nie — bo to jest ich kanon, że miłość jest świętem tabu... i oni nie śmia zedrzyć nikomu maski, nawet Mangrze... Oni, nasi ukochani Święci — — nie uratują nikogo... bo nie można uratować nikogo, nie mięszając się do jego spraw.

— Patrzaj jednak, jaki cud: nie poruszając ręką, poru-

szli gorejącem sercem wszystkie dzwony w narodzie — —
Ja słyszę! —

Arjaman, trzymając rękę na głazie, aby nie zapomniał,
gdzie jest rzeczywistość — czuł, że mu dusza zmienia się
w Cherubima.

Bywa we śnie, iż czytając długo przedtem w nocy In-
ferno i Paradiso Dantego, ujrzymy się nagle w Róży Mis-
tycznej niesieni nad czeluściami niewysłowionych męczarni —
dokoła grają kręgi świetlane.

I śpiący roni łzy przez sen, wiedząc że tak nie jest,
jak mu się marzy...

Więc — naprawdę — jest Rozwój Kosmiczny? uświę-
cenie Ziemi i Życia — Misterjum dwojga Dusz?

— Idę teraz w podziemia, poznam wszystkie moce
i zakony Króla Wężów.

Nie możemy być razem — na mojej duszy jest zbyt
wielki mrok przebytego nieszczęścia. Zresztą, to nie wzmo-
głoby naszych sił teraz w tej Walhallycznej walce.

Idźmy, jak podczas mgły w Londynie ślepi Przewod-
nicy, którzy instynktem wiodą widzących.

— Nie żegnam Cię!.. —

Turecki rumak z grzywą falującą, długą prawie aż do
kopyt, uniósł ją po trawie hal przyleśnych, cicho jakby
łódź Stygsową...

Niesłychanie tajemniczył ocean gwiazd...

Mówił Arjaman w sercu swym:

— Znalazłem Chalybs, ów uniwersalny magnet Sę-
dzimira, którego cząstka więcej ma być warta, niżeli cała
ziemia.

Jest w duszach alchemiczna moc, która topi żywioły

obce sobie i wydobywa ze wszystkich Aurum sublimum istnienia.

Odpowiedział mu złowieszczy głos wśród mroku skał:

— Twój magnet nie przyciągnie nikogo. Naród zatra-
cił poczucie takiej Prawdy, któraby ich złączyła.

Sprawa narodu jest już zachwiana.

— Więc pójdę obudzić ją nanowo wraz z witeziami.

— Marne powody witezioów dzielą więcej, niż mogłyby
ich złączyć otchłanie Mlecznych Dróg.

— Witeziami są ci, którzy wspierają się na Jaźni. Jako
szprychy koła przeciwległe lub w ukosie względem siebie—
wszystkie razem toczyć się kołu pozwalają, wszystkie razem
wytrzymują w miarowym obiegu ciężar Wozu Przeznacze-
nia Polskiego, potworny ciężar tej Arki:

w jednej Piaście wsparci i uwielmożeni — takimi ma-
ją być witezie.

W wizyi Króla Jana Kazimierza — zjawiające się wid-
mo zmarłego króla, wzywa, iż trzeba chcieć, trzeba umieć
módz...

Tak i głos Jeremiaszowy niegdyś wołał: „Podnieście
chorągiew w Syjonie, bądźcież serca dobrego, a nie zasta-
nawiajcie się.

Albowiem przywiedzie Mrok nieszczęście od północy
i porażkę wielką“.

— Umarłych są to słowa, wiodące ciebie na to, abys
przeżył i oplakał swe ostatnie omamienie. —

— — — — —
Na wyspie ostrym cyplem wrzynającej się pod chmu-
ry, wśród potwornego zwału gór i przepaści czarnych, nad
morskim Fjordem huczącym w mroku dzikim łoskotem
wiecznego Tak i Nie — —

jaśniał dziwnymi światłami prawieczny, jeszcze z czasów Zarathusstry, Zamek.

Otoczon siedmiu świątyniami, w których magiczny płomienieje żar.

Tam schronił się Król Włast ze swymi najlepszymi w narodzie, którzy nie ulegali już zniszczeniu.

Tam budują i wznoszą wielkie prawdy, aż przeminie era straszliwego Węża, który obległ zamek skrętami wielkimi, jak bryły lodu na Antarktyku.

Widział Arjaman mżące od fosforycznych jądów cielsko, na górze rozłożone, niby mury lodozwału zielonawego. Wąż pilnuje Zamku.

Tam więc miał wejść do swego dziedzictwa, miał zrzucić ze siebie szarą wygnańca odzież i wziąć narzędzia mistrza budowniczego w kraju, którego nikt odebrać nie zdoła.

Szedł w mroku, zapatrzony w astralne, a tak bezwzględnie istotne, jarzenia Zamku.

Idąc, nie zauważył gromady wielkiej ludzi, która mrowiła się na drodze, widocznie nowobudującej się, bo stały usypiska nagromadzonych głazów i pełno w ziemi jam...

Nie zauważył, gdyż całą jego uwagę pochłonęły gigantyczne czeluście Inferna, do którego wszedł poniewolnie.

Ponure iluminowane rusztowania szubienic wyglądały, jak świeczniki djabła.

Mrowiący się ludzie byli okryci w jakieś dziwne peleryny, mieli na szyjach powrozy.

Xiądz ich błogosławił Ostatniem Namaszczeniem.

Ale jedni z nich rzucali się, jak dzikie zamknięte zwierzęta, do krat, które ich przedzielały od wolności i na tych kratkach w warjackim krzyku zawisali...

Trzeba było siłą odrywać stężałe krwią napłynione palce.

ni czekali na swą śmierć, jak automaty. Inni jak twarde posągi.

Bajecznymi byli chłopci, którzy przebierali się w stare sukmany, aby nowe odesłać do domu.

Niektórzy byli radośni, mówiąc, że im wszystko jedno, aby tylko królować z Panem Jezusem!...

...Masy były podobne do stada zwierząt, spędzonych dla tej chwili, którą ludzie w dobrobycie znieczuleni uważają za tak normalną. Tylko że uczującym był tu Szatan. Nie było go widać — lecz to on zapewne strącał granitowe sześciany i kłody drzew, zebranych na budowę świątyni myśli. Przywiązani łańcuchami do tych ciężarów, budowniczywie toczyli się ze stromych gór, miażdżeni, jelitami owijając krzewy i pnie.

W tym strasznym Kolizeum siedział pośrodku błazen i grał na dudkach, a piosenki jego opiewały lubieżne ekstazy ludzi wieszanych, lub tak bitych, że aż odpadały płuca. Na domiar ohydy były tu illuzjony, teatryki bezwstydne, knajpy, lupanary i kaplice. Niebem tu była nicość. Istotnymi ołtarzami tępa potworna samowola jednych ludzi nad innymi. Wszelka wiara w wędrowną duszę wydawała się tu matołkową baranią fantazją. Wszelkie hasło braterstwa ludów niezdarną, niezabawną prowokacją. Najstraszniejszym było to, iż w tym Piekłe wszyscy mieli oczy wypalone... omackiem brano męczonych, omackiem wstępowano na schodki. Arjaman podszedł do kogoś, kto mu się wydawał naczelnikiem.

Nim wyrzekł słowo lub spróbował obrony, rozległ się głos krótki, lecz dobrze skądś znany: — Bierzcie go! —

Wzniosły się bierwiona wydarte z szubienic, żelazne pręty wyłamane z krat — tłum otoczył groźny, dyszący, wściekły.

— Czyńmy sąd nad nim, rzekł tenże głos w ciemnościach.

Arjaman wyrwał palącą się żagiew robotnikowi i oświetlił czerwoną płachtę na głowie kudłatej i niewątpliwie zamaskowanej.

— Tyżes jest Arjaman, który naród tumani?

— Jam jest Arjaman, który narodu nie tumani.

— Nie wiesz li, że niema innej rzeczywistości nad społeczeństwo: w nim powstały wierzenia, mity, w nim zbudziła się moc nowego robotniczego prawodawstwa!

— Jest jeszcze inna rzeczywistość, wobec której każde społeczeństwo jest tylko mrowiskiem na pustyni, gdzie wirują gwiazdy.

— Mistyku, kiedy wwiercać ci będę zwolna ten świder do oka, zali będziesz modlił się do gwiazd? nie, chlipiąc, będziesz całował mą rękę, abym ci darował życie i przykuł do lichej chałupy, gdyż każda istność rzeczywista więcej jest warta, niż Dantejski Poemat.

— Wiem to wszystko, co twój Pan wie i mogę to wszystko, co twój Pan może:

jedynie wielka rzecz która naród zbawia — jest Praca i swobodna, lecz rzetelna Twórczość —

ale ty pracujesz w imię Małpoźwierza, który jest momentem wstecznym w ludzkości —

ja tworzę dla tych Świątyń, o których Ty ani wiesz, ani ich dosięgnąć możesz. —

Zaszumiały tłumy.

— Ukaż nam, bo cię tu zmiemy.

— Ukazuję Wam: całe to wielkie dziedzictwo, które oddają Wam Mroki wśród Gwiazd—

Tu szarpnął go nieznacznie przewodca, odwiódł na stronę i rzekł:

— Wyznaj, iż w Mangra wierzysz, a będzie ci przebaczone.

— W oddziale katowni tyś mnie pomagał badać, pomocniku de Mangra — dokąd wiesziesz teraz ten tłum?

— Nie wierzę w polaków, odrzekł mu tamten bardzo cicho, i to się musi skończyć. Jakiś nowy eksperyment, z północy czy z zachodu...

Lecz podziwiał wprzód szybkość, z jaką tu ciebie zaskoczyłem, zmontowawszy również tłum, w którym rozniosły się pogłoski, iż Mangro jest zdrajca.

Ty będziesz jego blichem, który go wyśniesz. Zamek oddamy na rozdrapanie tłumom — to barona zabawi w neuralgii, a Ciebie — nauczy, jakim jest istotnie Homo sapiens, nie — Homo faber!

— Czy zaiste nie wierzysz, iżby nad społeczeństwem nie było innych mocy?

— Naiwny! czyż jestem jednym z tych zielonych literackich gnojków, którzy naczytawszy się dzieł z kulturalnej europejskiej wypożyczalni — już wierzą, że pełnym jest brzuch tygrysa, którego się ugada abstrakcjami o dobrze społecznem i celach rasy?! Ja zdobywam ten Zamek w imię mojego pryjapa, w imię mej nienawiści, którą mam silniejszą, niż wszystko, względem każdego, kto chce żyć obok mnie i wyżej niż Mąż Epoki — Mangro.

Zresztą, odebrałeś mu Zolimeę, ja odbieram Twoje święte podziemia i Twoje ideały tam nietylko zamorduję, lecz nad nimi odbędę fizjologiczną czynność.

— Chcę pożegnać przed śmiercią witezów!

— Każdy z nich, walczący samotnie, ulega temuż losowi, co i ty: trzeba was wywieszać, bo inaczej byście się między sobą na śmierć zagryźli. Macie wszystkich ludzi rozsądnych przeciw sobie!—Mówił Arjaman już głośno do

tłumu, nie chcąc odpowiadać na jady tego Proroka Wieszającego: — My budujemy wieże dla podwójnej Wiedzy, zapalamy światła na wirrach. Wśród robotników jesteśmy jedni z najbardziej utrudzonych. Dlaczegoż nas poniewierają marzycielstwem? Wszakże to, iż człowiek nie jest tylko machiną, z niezbląganą pewnością dowiedzionem zostało!

— Dość, i ja nie mogę długo znosić jak ta czerń cuchnie! — Rzekł Nieznany podnosząc głos:

— Hej, zakopcie żywcem rozsiewacza błędnych ogni wiar, który wiecznym doskonaleniem Jaźni chce w was zabić realny śmiech waszych wnętrzości i jurną moc kpienia ze siebie i ze wszystkich. Wieczności niema, niema też żadnej ponad człowieka drogi.

I w jednym momencie skończmy z tą baśnią, która odbierała nam istotne natężenie sił w dziedzinie jedyne go realnego instynktu walki o byt.

W drugim już momencie stworzymy nowy niebywale mężny prometeiczo-robotniczy świat. —

Lecz zamiast realnego śmiechu rozległ się bezmierny jęk tych, co już byli wywołani na śmierć.

Tryumf pomocnik Mangra osiągnął tem, że mówił głustwo, zastosowane do okoliczności.

Porażka zaś Arjamana, że mówił o promieniach X, o losie skrzydlatym do Syzyfów. Mangro, chcąc mieć materiał apatyczny a zarazem wybuchowy, zaszpunktował dusze ludzkie w straszne głuche bez wyjścia więzienie materializmu: nie tego, o którym mówi Marks, lecz tego, który ucieleśnił Rabagas!

Tłum, napięty na najwyższy ton rozpaczy, chciał być surowym, chciał już nie dać się złudzić niczem.

Setkiem rąk zepchnięty Arjaman, uczył się naraz przy-

walonym grudami ziemnymi, głazami, piachem — zaczęły go smalić płonące żagwie.

I kiedy wyskoczył z jamy, oskardem uderzono go w pierś — runął.

Zasypywany znowu gradem pocisków, wśród wycia i tryumfu tych, co nareszcie myśleli że ujmują rzeczywistość, pokonawszy tęsknotę wieczności w piersi człowieczej zawartą —

Arjaman przemyślał moc, któraby go wybawiła w tym lub w tamtym życiu.

Uderzył ręką o deski zmurszałe.

W tumanie kłębiącego się dymu i piasku, nie był widzialnym dla tego tragicznego, jak w Sądzie Ostatecznym, tłumy.

Więc napał mocno bierwiona, rozchylił tyle, iż mógł przejść — i znalazł się w kurytarzu napóły zawalonym, przeciskał się, biegł nim — aż natrafił zejścia głęboko wiodące w dół.

Tam głucho odzywało się ciężkim swym dyszeniem Morze.

W labirynty Krzyżtoporskie wszedł, których tak zdawna upragnął.

Tam duszę swoją umocni w wielkich przykazaniach tysiące! Tam odzyska nareszcie źródło mocy dla narodu — chronione przez Cherubima Twórczej Jaźni! Tam usłyszysz nareszcie to słowo, które rzec musi nieszczęsnym z powrozami na szyjach!

W morzu wyjącem ułowi rybę, jak młody syn Tobiasza — i umierającej ojczyźnie natrze oczy — aby przejrząwszy — uzdrowiała!

Kiedy to rozmyślał i postanawiał, uczył: jakby ohyd-

ne gumowate dotknięcia łap, jakby oddech zaczajonych zbrodniarzy —

lecz w ciemności nie było widać niczego więcej, prócz gwiazd nad morzem i mżącego odblasku fioletowo-różowej fosforescencji z okien Zamku.

Przecucia złęgo walczyły w nim z rozumem i wolą męzną: uspakajał się, mówiąc sobie, iż to nerwowe przywidzenia.

Szedł wciąż dalej—schodami granitowymi zstępował — już domacał się w mroku jakichś drzwi okutych, które się rozchyliły —

i szybciej niż piorun, zapadła się pod nim płyta, wpadł w jakąś ciemność, pochwyliły go czyichś rąk mnóstwo — nie pomogły Herkulesowe rzuty jego ramion, krępowano go linami; knebel w ustach miał — i nieśli go, spowitego.

Więc to przejście podziemne było tylko zasadzką?

Więc dalej igrał z nim Szatan?

Ogród męczarni zaczął wyrastać przed jego oczyma, lecz wnet uspokoił fale krwi, buchające mu do mózgu.

Wprowadzono go do ciemnego kościoła, w którym tliła się tylko lampka.

Ten kościół musiał być na skale nadmorskiej, bo aż tu dochodziły syki pian rozbitych na zwirze.

Wicher wył. Dary żeglarzy nadmorskich: tu wota świeciły zatopionych polskich okrętów.

Arjamana związali dziwnie: nogi w kostce ściągnęli linami aż do bioder, tak że klęczeć musiał — liną do filaru wyciągnięto go, że musiał wyprężony klęczeć, jakby w oczekiwaniu błogosławieństwa.

Na głowę włożyli mu hełm. Klęczał na szklanej płycie — dokoła druty, jakby od elektrycznego aparatu.

Ludzie, którzy go wprowadzili, nie wyronili ani jedne-

go dźwięku; stąpali na palcach, cicho też wyszli, zamknąwszy kościół na spusty.

Długa chwila... pełna nie strachu, lecz dziwnego zachwytu.

Gdyby nawet skalpowano, nie czułby — lub może czując aż w mózgu płonące drzazgi, miałby to za ciernie jakichś nadziemnych róż.

Teraz dopiero ogarniał w pełni swe jestestwo, wyższe nad wszelką torturę, potężniejsze nad wszelkie urągawisko podłej nad nim przemocy.

Mijały godziny —
i nic.

Fizyczne zwyczajne zmęczenie, silny nieznośny ból krzyża, wreszcie senność i ciągle ziewanie, które wraz z szumem w uszach męczyło go i upokarzało.

Wyczerpany do ostateczności życzył już, żeby prędej zaczęły się te wymyślne katusze, których mu nie oszczędzi Mangro.

Zaczął się przyglądać wotom zatopionych okrętów i zauważył, iż one musiały tonąć zawsze od braku równowagi między Ziemią a Duszą, dzięki której większość marzeń kończyła się na gestach. Ziemia i Dusza polska były to dwie rozbieżne, których punkt spotkania następował w miejscu Niemożebności, w Dolinie Absurdu.

Uczył sobie ślub, że jeśli wyjdzie wolny — całą swoją moc włoży już tylko w realizujący się teraz lub w przyszłości czyn.

Lecz nic—nic prócz pełgania lampy.

Fizyczny ucisk stał się tem nieznośny, że wprowadzał karykaturalny nastrój duszy — kościół wydał się mu pełnym istot nierealnych, a zaprzeczających istnieniu czegośkolwiek wyższego; monstrialna wiedźma na ołtarzu wi-

rowała na jednej nodze, czyniąc swe zawrotne pas na każdym wysterku rzeźby —

I nic — — czarna fałdzista miękka zasłona przed oczyma.

Huczący młot krwi w skroniach.

Zbudził go strach, raczej niezmierne obrzydzenie.

Stał przed nim w białej pontyfikalnej szacie Mangro. Sunął w cichych aksamitnych pantoflach.

Usiadł na fotelu.

Patrzył w Arjamana—wytworny, woniejący, czysty. Zapalił papierosa. Znow patrzył.

Jeden papieros żarzący zgasił mu na źrenicy oka, przytrzymując delikatnie palcami rzęsy!

Okiem tym nie widział już Arjaman.

Tamten mówić zaczął.

— Twoja omyłka polega na tem, iż nie uwzględniałeś istotnej natury ludzkiej.

Pod słabiuchnym pokostem religijnych i społecznych przyzwyczajęń—cóż się kryje? wspomnij niezliczone ohydne rozbastwienia czerni w czasach rewolucyjnych. Lecz i teraz jeszcze widziano dziewczkę pięcioletnią, która się rzucała pod pociąg. Zatrzymano. Odrzekła, iż matka jej kazała to uczynić, grożąc, że w domu ją sama powiesi.

To detal.

Inżynier, który ze swym bratem mordują niewinnego człowieka, odrzynają mu nos, wargi, żdzierają skórę z twarzy, odcinają głowę—i ogłaszają, iż tym trupem jest właśnie ów inżynier, który był ubezpieczony na sto tysięcy rubli...

To jeszcze zwykle dziennikarskie kroniki.

Lecz ja jestem potężniejszy, nawet niż Xiążę Hubert —

i mnie już nie oszuka tak bystry detektyw, jakim jest Zolima.

Religja, którą reprezentuję, nauczyła mnie wszystkich smakowitych podrażnień męczarnią. Ja ciebie zamagnetyzuję, wołą moją uczynię z ciebie istotę najohydniejszą:

będziesz np. na wałach cytadeli zapraszał dzieci — oszczędzę twój słuch!!

Tymczasem wołę Twą unicestwię, puszczając silny tok kilkuset wolt; pożar ten będzie ciebie tak spalał, że wyjdzie z całego ciała biały dym, a między zębami zrobi ci się łuk żarowy.

Nie wspominając o tem, że wyjdą oczy z orbity i piana zaleje ci usta.

Spróbuję teraz na dwieście wolt zaledwo.

Wiedz o tem, że przy traceniu w Ameryce skazańca, użyto 2000 wolt i skazaniec spotworniały od niewysłownych szatańskich męczarni — jeszcze się poruszył. — Teraz zacynam! — — —

Jakby drzewa targane burzą—wyrwane z korzeniami—zapalone — wleciały do żył! rozdarły je wszystkie naraz, w mózgu uczyniły krwawy infernalny wir — straszne wewnętrzne smażenie się — usychanie tak okropne, nie — już niema człowieka — piorunująca Nicość! Jak kiedy był przy pożarze nafty w Baku—i te straszliwe płonące wulkany wypaliły wszystek tlen — w dolinie tej było gorąco i duszno — tak jest teraz—tylko—że on jest tym płonącym wulkanem: anioł gryzłby swoje trzewia, żeby nie krzyknąć.

Nagle runął w lodowate morze... jedyne oko widzące ujrzało znowu bladą postać Mangra.

— Jam jest rzeczywistość, szepnął—poddajesz się mi? wyjąłem ci knebel, mów!

Teraz przesuвам wskazówkę na 400 wolt — wzywaj
Maga Litwora, lub

— Łaski — —

— Więc wyrzekłeś jednak to słowo? o, wystarczy mi,
gdyż wiem iż je wyrzekłeś, aż po ostatni dzień twego ist-
nienia. Teraz cię uczynię wolnym — tylko już zamagne-
tyzuję, uczynię człowiekiem bardzo dostojnym, lecz z ja-
kimś parszywym instynktem — koprofagią — może Eulen-
burgiadą — — Wyobraź, jeśli będziesz wysokim dostojni-
kiem w łoży Masonów — otoczą cię miłość, hołdy, cześć—
namaszczone uznanie — i wtedy odkryją w tobie np. wy-
stępek — —

co? he? na tych młodzianach, których oddano twej
wysokiej pieczy — —

— Nie dosłuchałeś mię do końca — łaski Twej nie
pragnę, woli mej nie poddam. Boże cię zabij!

— To nie stanie się napewno, dam ci czas, abyś
skruszał we własnym sosie. Moja nienawiść względem Cie-
bie jest Szyllerowsko piękna, bo niema żadnej korzyści.
Będąc młodym, dla zabawy zbierałem żaby i siekałem je
w koszyku tasakiem. Były obrzydliwie słodkie te kurczące
się wnętrzości. Lubilem też ukrzyżować sowę i patrzeć
nocą w jej gorejące ślepie. Kiedy byłem kuchtą — za naj-
większe święto miałem zarzynanie małych niemowląt, które
wciskałem i zaszywałem w skóry prosiąt. Ach, ta Wielka-
noc — ileż ona mi dawała prawdziwych zadowoleń... Koń-
czę drugiego papierosa.

Nie żal ci będzie ślepi? Choćbym Cię nawet uwolnił,
będziesz już — tylko Homerem.

Nie żart! Nie, to jest coś więcej niż tragedje, napisane
przez wszystkich poetników świata:

nie widzieć nigdy słońca, ani żuków bawiących się w nawozie, ani falbanki na spódnicze rozbierającej się Zolimy.

Więc, wieczny dom obłądu ślepeca... tak, jam jest Bóg!

Straszny Bóg, kiedy zacznę przemawiać językiem ogniowym czterystu wołt!

Nastąpi teraz częściowe porażenie mózgu, utracisz związek między twojem życiem w Tatrach— a ludźmi z Turów Rogu... Turów Róg non existet! — —

Na powietrzu ukazała się w chmurze zielono-różowej przezroczyściej twarz! niewypowiedziana groza oczu, wydających się srogimi, choć czoło bez najmniejszego zmarszczenia —

zawój biały lekko związany, końcem spadał na lewe ramię —

lico Zeusa uduchownionego.

Reszta postaci mgławicowa—lecz poznać już było można: Mag Litwor.

Trzymał ręce przy drutach i elektryczność gromadził w kłębek materji lotnej.

Tam powstało jąderko światła, zdające się żywym — potem wirując, rosło—

napełniło całą kulę, i wtedy będąc istnym kulistym piorunem, leciutko sunęło na powietrzu w stronę Mangra.

Ten zajęty obserwacją cierpienia na twarzy Arjamana i dziwiąc się jego spokojowi—nie dostrzegł na razie niczego.

Lecz nagle oczy jego ujrzały zjawisko:

zakrył się ręką przed piorunem, który leciuchno, jak bańka mydlana kołysał się nad nim —

wzrok jego jadem najgłębszej nienawiści oblewał Maga Litwora. I wtedy maska jego stopniała od bazylijskiego żaru; Arjaman się wzdrygnął! nigdy [nie widział bardziej

potwornego kłamstwa, ni tak niepoahamowanej ambicyi— dla której było jedyne ujście: Obłąd.

Mangro mimo swej pontyfikalnej szaty, na fotelu siedząc, zdał się obrazem najgłębszej nędzy.

Nagle padł na posadzkę omdlały.

Kula piorunowa wyleciała przez otwarte okno i tam wylądowała potężną błyskawicę. Widmo Maga Litwora rozsunało więzy jednym dotknięciem ręki, podniosło Arjamana, napełniło mocą dotknąć tak, jak się napełnia pod ulewnym dżdżem, wazon wyschłego zapomnianego kwiatu.

Kiedy Arjaman pełen był dobroczynnych światła w obu uzdrowionych oczach — rzekł mu:

— Niema religii wyższej nad prawdę serca.

Pójdziemy teraz jeszcze stopniem jednym głębiej w poznaniu Rzeczywistości. —

Nie zdawał się wychodzić ten głos z ludzkich płuc. Arjaman chciał dotknąć ręki Maga Litwora, lecz poznał, iż był on tylko potężną emanacją jego własnej woli i niewiadomej mocy, która wnet rozproszyła się.

Znowu był sam: wolny... Leżał u stóp jego przeciwnik. Lecz nie wróg... bo nie miał już w sercu swym żadnej żądy pomszczenia się. Mógł teraz związać Mangra, obudzić—i przez niegodziwy mózg jego przepuścić tysiąc wolt— — aźby mu język stał się gorejącym krzakiem Mojżesza! lecz wiedział już, że Mangro jest tylko zaślepiłym człowiekiem.

Położył go na dywanie — i rzekł:

— Dzięki ci, mój wrogu! Tyś mnie zmagął na siłach — teraz dla walki z Królem Wężów muszę ogarnąć potężną wiedzę Zachodu.

Lecz tym więcej dla mej własnej duszy muszę już wchłonać mistycznego światła z granitowych świątyń w Rameszwaram i Krzyżtoporach.

Niech będą błogosławione drogi rozkrywających się tajni!
I wielkie testamenty Prometeuszów!.. — —

Wmyślony w morze rozkrywających się życia tajemnic, Arjaman schodził wąwozem ku światu obleganemu przez Króla Wężów.

Wiedział, iż na wszystkich z wyżyn spogląda Wielki Duch Tatr i kreśli na skałach runy, które za wieki znajdą wryte ręką Niedokonanego, jako ostateczny Rozwoju Zakon.

W głębokiej tragicznej radości szedł, myśląc, iż wszystkiemu przyświeca Mrok Niewyraźalny Wiedzący, wszystko ludzkie istnienie płonie iskierką, chcącą się zmienić w Wolę Olbrzyma.

* * * * *



KOMENTARZ.

Str.

16. PURANA, poematy indyjskie, w których jest kosmogonia „o początku rzeczy“. Purana Bhagawata dotyczy Świetlanego Wisznu, inne zaś Sziwy i Brahmy.
27. LEPIDODENDRON drzewowate skrytopłciowe z rodziny wiślaków. Głównie znajdują się w pokładach węgla kamiennego z epoki Dewońskiej. Dochodziły 30 metrów wysokości. Trzon pokryty rombicznymi nacięciami.
37. MURZA SICHLE wioska pod Tatrami.
46. OFIUCHOS, wielki gwiazdobiór Smoka, dotyczący Drogi Mlecznej.
69. KARAPETNIAK, potwór ludzki (gw. podhał.)
112. FRANKIŚCI, sekta z XVIII w., z której wyszło potem wielu zasłużonych patriotów.
147. EPIPSYCHIDION, towarzysz duszy.
178. ARETINO poeta włoski z XVI w., znany z jadowitego, wszechcennego i przedajnego pióra.
261. Ważniejsze omyłki w druku: wiersz 3 z góry ma przyjść na str. 260 wiersz 8 z dołu; na str. 283 wiersz 9 z góry ma być: czarnym żlebem.
272. MIHRAB nisza w meczecie, gdzie leży księga Koran i płonie lampa.
328. TRISMEGISTA, tytuł Szatana w Magii Czarnej: potrzykroć Wielki.
333. OKO BURZY nazywa się w wirującym leju chmur miejsce lazurowe niezmaćnienie spokojne.
„ VIVOS PLANGO — żywych męczę.
„ MORTUOS VOCO — umarłych wołam.
334. FŪLGURA FRANGO — łamię pioruny.
348. OFIR nazwa legendarnych Indyj, krainy bogactw.
360. ISZTAR bogini assyryjska; mit o jej zejściu do piekieł, gdzie Strażnik Śmierci obnażał ją z klejnotów.
441. MATOŁKI ludzie szpetni, mali, kretyni. Nocne straszdyła.
485. MAHATMA Wielki Duch; nazwa tych mędrców Magów, którzy doszli najwyższej potęgi i światła. Tu w Nietocie: objawiająca się Jazń.

SZCZĘŚLIWOŚĆ Z WAMI!

ZJAWY W KSIĘDZE TAJEMNEJ TATR.

	Str.
I. Wieczne pustynie	3
II. W podziemiach Giewontu	33
III. Twór ludzki	50
IV. Maski i miłość	66
V. Mare tenebrarum	104
VI. Turów Róg	153
VII. Ałlah kehrim	171
VIII. Chata Wieszczki Mary	206
IX. Już po tamtej stronie liny	243
X. Trochę metafizyki i krwi z płuc.	297
XI. Kuźnia pod Ornakiem	320
XII. Więzienie nad Ładogą	352
XIII. Kluczenie w ciemnościach	373
XIV. Wielka noc u św. Jana	399
XV. Mahatma	425

KSIĄŻKĘ ZDOBIL KAZIMIERZ STABROWSKI *
ODBITO NAKŁADEM KASY PRZEZORNOŚCI
I POMOCY WARSZAWSKICH POMOCNIKÓW
KSIĘGARSKICH W TŁOCZNI L. BILIŃSKIEGO
I W. MAŚLANKIEWICZA W WARSZAWIE,
NOWOGRODZKA Nr. 17 * KLISZE WYKO-
NANE W ZAKŁADZIE FOTOCHEMIGRAFICZ-
NYM B. WIERZBICKIEGO I S-ka * SKŁADALI:
W. ZAJĄCZKOWSKI I M. SMONIEWSKI * OD-
BIJALI NA MASZYNACH: FR. STRZESZEWSKI
I ST. SZCZUCKI * SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘ-
//////// GARNI GEBETHNERA I WOLFFA. //////////

WYDAWNICTWA KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY WARSZAWSKICH POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH.

Daniłowicz-Strzelbicki K. Jak się to kończy. Sceny z życia kop. 90 zniżona na kop.	— 30
Gąsiorowski W. Pamiętniki Wojskowe Józefa Grabowskiego, oficera sztabu cesarza Napoleona I 1812—1814 r. rb. 1.80 zniżona na kop.	— 80
Gide Karol. Zasady ekonomii społecznej. Polskie wydanie III, poprawione i uzupełnione według X wyd. francuskiego przez profesora Wszechnicy Jagiellońskiej W. Czerkaw- skiego 1907. rb.	4 —
Kotarbiński Józef. Pogrobowiec romantyzmu. Rzecz o Stani- sławie Wyspiańskim 1909	1 80
Kurczewski J. Ks. Konferencye i nauki rekol.	— 90
Laskowski Kazimierz (El). Agent policyjny (W. Grün)	— 75
Nowaczyński A. Car Dymitr Joannowicz. Kronika dramatyczna wyd. II poprawione 1909	1 80
Orlicz-Garlikowska. Szablon, powieść rb. 1.20 zniżona na	— 50
Rygier-Nałkowska Z. Rówieśnice, powieść 1909.	1 80
Schlicht. Ludzie pierwszej klasy. Powieść z życia oficerów pruskich rb. 1 zniżona na	— 50
Sclavus W. Thalitha Kumi. O prawach kobiety i jej stanowisku społecznem. 1908	1 60
Szamota A. Orły. Fragmenty z życia 1909	1 20
Szcześniak J. Ks. Zapoznawana prawda	— 30
Tetmajer K. Gra fał. Powieść 1910	1 80
Wianek Eucharystyczny. Rozmyślanie o N. Sakramencie	— 60
Z tajników dworu austriackiego, kop. 80, zniżone na	— 40
Żeromski Stefan. Andrzej Radek, powieść 1909, z port. autor. 1 50 — Duma o hetmanie wyd. III. z inicjałami i z kolorową artystycznie wykonaną okładką rysunku Ed. Okunia	2 —
	W oprawie ozdobnej 2 60

×KSIEGARNIA×

ANTYKWARIAT



300,1

871292 E

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX